PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUNASTY. — TOM XLV.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1895.

KRAKÓW.
Druk W. L. Anczyca i Spółki.
1895.

Errata.

Str. 130, wiersz 17 od góry, zamiast: „Boyarda lub Dugueschin'a", czytaj: „Bayarda lub Duguesclin'a".

Str. 131, w. 19 od góry, zamiast: „którego także i ks. Bulsano wspomina", czytaj: „który się także a Bulsano nazywa".

RUCH LUDOWY W GALICYI.

Kto nieco żywiej interesował się wystawą lwowską, zwłaszcza zjazdami przez wystawę wywołanemi, temu wpaść w oczy i zastanowić musiała ważna rola, jaką odgrywała w nich t. zw. kwestya ludowa. Na zjeździe dziennikarskim najwięcej może uczestników liczyła, a z pewnością wywoływała najgorętsze rozprawy sekcya „oświaty ludowej“; wiec „Kółek rolniczych“ zgromadził około półtora tysiąca uczestników; bezpośrednio przed nim zebrany „wiec chłopski“ doliczył się przeszło 2000 członków, a wygłoszone w czasie obu tych zjazdów przemowy, przyjęte rezolucye, poruszyły żywo opinię w najodleglejszych zakątkach kraju. Ale nietylko w czasie zjazdów „sprawa ludowa“ w oczy i uszy się pchała. Zmuszały do myślenia, do rozmowy o niej pawilony poświęcone szkolnictwu, Kółkom rolniczym, dziennikarstwu; zmuszały „Racławice“; zmuszały nadciągające niemal dzień po dniu ze wszystkich krańców Galicyi włościańskie wyprawy. Zbyt podobno niewielu z uczestnikami tych wypraw w dłuższe i poważne pogawędki się wdawało; przysłuchiwało się czynionym przez nich uwagom, licznym skargom na przeszłość, na teraźniejszość, projektom na przyszłość; tych niewielu nie żałowało z pewnością czasu, użytego na te pogawędki. Raczej dziwili się i gniewali na samych siebie, że dotąd ze zmianionemi z gruntu okolicznościami się nie rachując, przedstawiali sobie zawsze lud takim, jakim był przed laty trzydziestu,

dwudziestu; tak mało wiedzieli, co dzieje się po wsiach i wioskach, jakie prądy przez nie płyną, jakie nauki różnemi drogami do nich się dostają i rozpościerają się coraz szerzej i głębiej.

Bodaj najważniejsze to dziś u nas i dla nas pytania. Wystawa, wystawowe zjazdy dały na nie częściową odpowiedź; kto chce dokładniejszej, musi zapoznać się z tym ruchem, nietylko występującym w wystawowej, odświętnej szacie; musi się dowiedzieć, jak wygląda on nie we Lwowie, lecz na wsi, w życiu powszedniem; jak przedstawia się przy pewnych wyjątkowych okolicznościach, np. przy zbliżających się wyborach; co o nim, o różnych jego objawach mówią, jak się nań zapatrują we dworze, na probostwie, pod słomianą strzechą. W pierwszych tygodniach listopada miałem sposobność poświęcić tym studyom dni kilkanaście, wędrując od wsi do wsi, pytając o wyjaśnienia, kogo tylko spytać mi się udało, w trzech powiatach: sanockim, brzozowskim, krośnieńskim, w których ruch ludowy, jeśli nie najsilniej, to bardzo silnie od pewnego, dłuższego już czasu się rozwija. Czego własne spostrzeżenia i ustne informacye nie wyjaśniły — a niejednego nie wyjaśniły — to dopełnić się starałem spostrzeżeniami i wiadomościami z ludowych pism wszystkich barw i odcieni, na pierwszem miejscu z umieszczanych w nich listów znanych przywódców różnych stronnictw ludowych. Oczywiście nie będzie to obraz kompletny, przedstawiający wszystkie strony, wszystkie światła i cienie, obejmującego coraz szersze kręgi, galicyjskiego ruchu ludowego; za różne i za gwałtowne wichry to w tę, to w tamtą stronę nim kierują, aby można dziś o taki obraz się kusić; za niedawno powstał, za młody, a stąd za gwałtowny, za niedoświadczony, aby mógł stałem, wyżłobionem korytem płynąć.

Siedząc w mieście i dobrze oczy i uszy sobie zatkawszy, można od biedy nie wiedzieć o istnieniu ludowego ruchu; mieszkać na wsi, a mniej o nim wiedzieć, niż o wojnie chińsko-japońskiej, na to potrzeba osobnego sprytu i temperamentu. W czasie informacyjnych mych przejażdżek napotkałem dwóch panów, właścicieli dóbr, którzy o tem, co się we własnej wsi ich dzieje,

tak dobrze, jak żadnych nie umieli mi udzielić informacyj; gdybym chciał być złośliwym, mógłbym sam był im dostarczyć niejednej ciekawej wiadomości z listów pisanych do *Przyjaciela ludu, Wieńca, Związku chłopskiego* i t. d. Jeden z nich, człowiek bardzo zasłużony, ale tak obarczony różnemi publicznemi pracami, urzędami, że we własnym majątku musi do pewnego stopnia być gościem, wieczorem uspokajał i zaręczał:

„Do nas żadne agitacye nie docierają. Lud kontent, spokojny; po dawnemu pracuje w domu czy w polu i Pana Boga chwali. Przed wyborami bywa i będzie naturalnie trochę wrzawy i hałasu; ale zresztą niema o czem mówić".

Widocznie jednak sam niezupełnie zaręczeniom swym dowierzał, poruszone sumienie nie dawało pokoju, bo nazajutrz rano wieczorne oświadczenia uległy dość radykalnej przemianie:

„Mówiłem z rządcą o tej sprawie, a on utrzymuje, że istotnie szerzy się we wsi jakiś niepokój, niezadowolenie, poddmuchiwane, i ustnie przez agitatorów i przez różne ludowe dzienniczki, których podobno dość spora liczba tu przychodzi. Trzebaby się kiedyś na seryo nad całą tą rzeczą zastanowić".

Kilku innych właścicieli, urzędników, wiedziało więcej. Znać było, że już z okazyi ostatnich wyborów do sejmu, do parlamentu, do rady powiatowej, nad sprawą tą się zastanawiali, że znali wtedy z nazwiska i wpływu znaczniejszych wiejskich prowodyrów; później falą codziennych interesów porwani, stracili rzecz z oka; dziś, gdy różne wybory znów za pasem, trochę się o nie niepokoją, ale pocieszają się jeszcze: „Tym razem kandydatów naszych przeprowadzimy". A następnym razem? Tego pytania nikt jakoś zadać sobie nie chce, nikt o niem nie wspomina, że to aż mimowoli uderzyć musi i nasunąć na pamięć ów przysłowiowy sznur, o którym w domu wisielca mówić nie wypada. I ważniejsze jeszcze pytanie: Czy dobrem, roztropnem jest zapatrywanie się na kwestyę ludową wyłącznie z punktu widzenia wyborów? Czy to nie tak, jakby kto bał się blado wyglądać i dlatego zawzięcie twarz różem malował, a nie troszczył się, skąd, z jakiej racyi ta bladość pochodzi?

Wybornie to rozumieją obywatele — ziemianie, w pięknem

a w ścisłem tego słowa znaczeniu, którzy w dworze swym siedzą, roli pilnują i dobrze wiedzą, co się dzieje w sąsiedzkich chałupach; spotkałem i paru takich, i aż serce rosło słuchając, jak dokładnie znają każdego swego parobka, wiedzą o potrzebach, dolegliwościach każdego gospodarza w swej wiosce, i wedle sił z rozumną, często materyalną, a zawsze moralną pomocą mu przychodzą. Rozumie to ogół księży, zostających z natury swego powołania w ciągłych a blizkich stosunkach z chłopem, zainteresowanych gorąco jego losem, życiem, duszą, i dlatego przypatrujących się bacznie obudzonemu, budzącemu się po wsiach ruchowi; śledzących z uwagą jego czarne i jasne strony; rozbierających w częstych, poufnych pogawędkach różne fazy, przez które przechodzi, ubolewających nad niepowołanymi sternikami, którzy ledwie co puszczoną na szerokie morze łódkę prowadzą na najniebezpieczniejsze wiry... Rozumieją i chłopi, którzy bardzo często we własnem kółku, a coraz częściej i głośno, publicznie niemiłosiernie drwią sobie z „wyborowych“ swych przyjaciół; piszą długie listy, układają satyryczne wiersze o „wyborczej kiełbasie“.

„Stanowczo wytłumaczyć sobie trzeba — powtarzam słowa kilku bardzo poważnych księży, na które bez dyskusyi zgodzić się można; — powiedzieć i wytłumaczyć sobie trzeba, że pamiętanie i zajmowanie się ludową kwestyą, żądaniami i potrzebami ludu ze względu na wybory, na kilka miesięcy przed wyborami, nie prowadzi do właściwego celu; w najbliższej przyszłości coraz rzadziej nawet doprowadzać będzie do przeprowadzenia upatrzonych z góry kandydatów“.

Ruch chłopski istnieje: w jednych powiatach, gminach, wsiach objawia się mocniej, w innych słabiej, stosownie do tego, czy znajduje się na miejscu jaki uczeńszy, sprytniejszy, bardziej zapalony przewódca, który zapisał się w usługi tego lub innego stronnictwa chłopskiego, i słowem, pismem usiłuje pozyskać dla niego zwolenników; stosownie do mniejszego lub większego ogólnego stopnia wykształcenia; stosownie do wielu, różnorodnych innych przyczyn, które za długo byłoby tu wyliczać. Że fala ta płynie, że każdego roku, miesiąca płynie coraz szerszem

korytem, na to zgadzają się wszyscy, i ci nawet, co skądinąd zupełnie sobie nie zdają sprawy, skąd nagle na powierzchni ziemi się okazała, w jakim kierunku podąża. Może się ktoś z tego cieszyć; niech się smuci, jeśli uważa za stosowne; faktowi bijącemu w oczy nikt zaprzeczyć nie może. W tem pytanie, w którą stronę płynie; na czem zależy główna istota tego ruchu, na którą — przynajmniej w najogólniejszych zarysach — zgadzają się wszyscy udział w nim biorący: czarni, różowi, czerwoni?

Gdyby chodziło o określenie jej jednem słowem, to najwłaściwiej może użyćby należało wyrazu: emancypacya chłopa; emancypacya pod względem moralnym i materyalnym. Chłop — mam tu zawsze na oku zachodnią, polską część Galicyi — umie czytać i nieraz dużo czyta; jeśli sam nie czyta, obydwoma uszami słucha, co mu drugi z przeczytanej gazety, książki opowiada; rozmyśla nad tem, dyskutuje, i przychodzi dziewięć razy na dziesięć do wyniku: Dzieje mi się krzywda! W niektórych razach wynik to wyrozumowany i prawdziwy; w innych — przez uczucie, przez podrażnioną ambicyę, przez zewnętrzne wpływy i perswazye podyktowany; jeszcze w innych płynie z niedostatecznego zrozumienia i objęcia wspólnych państwowych, lub krajowych interesów; — jakiebądź zresztą źródła, te same zeń sączą się wody nieufności do innych stanów, niezadowolenia ze wszystkiego i z wszystkich: ze starostwa, z dworu, z plebanii.

Z tego, niestety! bagnistego — nie wchodzimy z czyjej winy, ale z natury rzeczy niezdrowego — gruntu, wyrastają, bywa, że bardzo słuszne, ale bywa też, że na razie do spełnienia zbyt trudne, że i w pojedyńczych wypadkach wprost niemożliwe żądania i życzenia. Zupełnie jasnego programu, obejmującego w ściśle określonych paragrafach, czego lud chce i do czego dąży, napróżnoby szukać. Streszczając odezwy różnorodnych ludowych partyj, ogłaszane przez różne ludowe pisma; reasumując projekty uznanych i nieuznanych wodzów ludowego ruchu, powiedziećby, zdaje mi się, można, że program ten — na najbliższy czas przynajmniej — zamyka się w następnych głównych punktach:

a) Zmiana pewnych ustaw, szczególnie dla ludu wiejskiego

uciążliwych, jak ustawy drogowej, łowieckiej, o konkurencyi kościelnej, o połączeniu obszarów dworskich z gminami. Do ostatniego czasu ważną rolę odgrywała tu jeszcze arcyniepopularna ustawa o prestacyach szkolnych; zmianę jej, uchwaloną z aplauzem przez sejm na wniosek hr. Stan. Badeniego, przyjęły zarządy chłopskich stronnictw z uznaniem, ale też z zastrzeżeniem, powtarzanem z naciskiem, że przyjmują ją *à conto* dalszych ustaw, jako akt najprostszej, częściowej sprawiedliwości [1].

b) Moralne i ekonomiczne polepszenie losu chłopów, przez zakładanie kółek rolniczych, sklepików chrześcijańskich, czytelń, „biur ludowych"; przez dostarczanie pracy; podwyższenie zbyt nizkich zarobków; ułatwienie w nabywaniu ziemi.

c) Większe rachowanie się ze strony innych stanów ze zmienionem towarzyskiem położeniem chłopa, wskutek wyższego jego dzisiejszego wykształcenia i udziału w publicznem życiu, w publicznych ciężarach.

d) Wprowadzenie do sejmu i do parlamentu pewnej, o wiele większej, niż jest dzisiaj, liczby posłów-włościan, których szczególnem zadaniem byćby miało bronienie specyalnie ludowych interesów.

To kardynalne punkta, ogólny program, na który w pra-

[1] Ciekawem i charakterystycznem jest odnośnie do tego wniosku postępowanie posła do sejmu i prezesa „Związku stronnictwa chłopskiego", Stanisława Potoczka; wykazuje ono, jakie prądy między ludem nurtują, na jakie względy, bardzo nawet zacni przywódcy stronnictw, radzi nieradzi oglądają się, aby nie stracić znaczenia, popularności. W pierwszej chwili po przyjęciu przez sejmową komisyę znanego wniosku szkolnego, wystąpił p. Stan. Potoczek z ciepłem „uznaniem w imieniu włościan i naszego klubu dla szlachetnego wnioskodawcy, komisyi szkolnej i większości sejmowej". W uznaniu tem nie było z pewnością ani nic nadzwyczajnego, ani tem mniej poniżającego; nie było ani słowa zobowiązania się do jakiejbądź praktycznie objawiającej się wdzięczności; był to prosty akt najzwyklejszej parlamentarnej kurtuazyi. Tymczasem ludzie, polityce „Związku" niechętni, przekuli sobie akt grzeczności na broń przeciw „Związkowi" i Potoczkom, i obsypali ich zarzutami: Panom się kłaniasz, sprawę chłopską opuszczasz!" Co tu robić, jak odpowiedzieć? Najprostszem zdawałoby się wyjaśnić sprawę i tak dość jasną ze siebie. Nie zaniechał też tego wydawca *Związku chłopskiego*, ale jednocześnie, aby nie zostawić na sobie pyłku strasznego podejrzenia, że z panami bratać się zaczyna, że wedle jego

ktycznych, bezpośrednich zastosowaniach czasem się różniąc, godzą się w zasadzie wszystkie ludowe stronnictwa, wszystkie ich organy. Krakowski *Krakus*, piętnowany z matematyczną regularnością przez swych przeciwników nazwami: „pański“, „stańczykowski“, „wszelkiemu ludowemu ruchowi wrogi“, wzywa do niego w podpisanej przez redakcyę notatce [1]:

„Przyszedł czas, że i włościanie powinni brać się do pracy nad sobą, pod przewodnictwem zacnych i uczciwych ludzi, których, chwała Bogu, jest coraz więcej we wszystkich stanach. Trzebaby więcej jeszcze dbałości, zwłaszcza ze strony dworów, bo trafiają się, niestety! i takie, które mało o czem myślą; ale miejmy nadzieję, że i ci co śpią, obudzą się niezadługo. Ta praca braterska na miejscu, w każdej wiosce, w każdej parafii i w każdym powiecie nad podniesieniem rolnictwa, oświaty i dobrobytu, nad kółkami, sklepikami, czytelniami i t. d., to rzecz najgłówniejsza bo z tego wyrośnie oświata i dobrobyt całego kraju. Zmieniła się już ustawa szkolna, na dobrej drodze jest ustawa o konkurencyi kościelnej, zmieni się i wadliwa ustawa drogowa i wiele innych“...

Wszystkich ustaw wadliwych, za wadliwe uważanych, jednem

---

przekonania i panowie mogą naprawdę o dobro ludu się starać, puszcza się w paru z rzędu artykułach (por. *Związek* z 15 czerwca i 15 lipca 1894 r.) na niebezpieczne wody dyplomatycznych wykrętów i ostatecznie cofa uznanie wyrażone szlachetnemu wnioskodawcy, komisyi szkolnej i większości sejmowej. Owszem, wzywa czytelników, „aby znowu tak bardzo nie unosili się nad wnioskiem hr. Badeniego, gdyż nie przyniósł on nam żadnej łaski, ale tylko to, co się nam od dawna słusznie i sprawiedliwie należało“; ostrzega, że wniosek ten „nie był pierwszym tego rodzaju“, podsuwa mu pewne poboczne cele, odnoszące się do wyborów, bo „dawało i daje wiele do myślenia, że wniosek ten wyszedł dobrowolnie z grona posłów konserwatywnych“; gniewa się, że „posłowie konserwatywni dobrowolnie uczynili ofiarę pieniężną, a natomiast do ustępstw słusznych, konstytucyą zagwarantowanych, w dziedzinie praw politycznych nie bardzo im się jakoś spieszy“... Rozumiemy, że prezesowi „Związku“ chodzi i chodzić musi o utrzymanie swego wpływu i uroku, ale w danym wypadku — sam bez wątpienia najlepiej to rozumie — przedyplomatyzował; zbytnie obcym wpływom ulegając, na wpływie stracił; stając sam ze sobą w sprzeczności, musiał stracić na uroku.

[1] *Krakus* z 21 lipca.

cięciem noża znieść, przekształcić nie można. Nie chcą tego rozumieć, bo rozumieć celowiby może nie odpowiadało, doktrynerzy-agitatorzy, uważający za główne swe zadanie, nie leczyć, ale jątrzyć; rozumieć tego nie chce ani redakcya *Przyjaciela ludu*, ani *Wieńca* i *Pszczółki*, i dlatego, jakby z umysłu, wytaczają swe baterye przeciw wszystkim razem niemiłym sobie prawom; najpewniejszy to sposób, aby wypuszczane na wszystkie strony pociski utrzymywały nerwową irytacyę, a do żadnego praktycznego, pozytywnego rezultatu nie doprowadzały. „Związek chłopski“ innej trzyma się taktyki, zdrowym „chłopskim rozumem“ podyktowanej. Nie tai, że pragnie zmiany całego szeregu ustaw, ale dąży do tej zmiany powoli, stopniowo; wszystkie siły, na każdem polu: w sejmie, w organie swym, na ludowych wiecach, wytęża w jednym kierunku, nie rzuca się, nie miota się febrycznie, krok za krokiem idzie, ale wciąż idzie. Uchwalił sejm ustawę szkolną — bardzo pięknie!; zbliża się do rozwiązania „kwestya konkurencyi kościelnej“ — jeszcze lepiej! „Związek“ wyraża za to swą wdzięczność i zwraca się z podwojoną energią do agitowania za przedłożonym już dawniej przez posła Potoczka wnioskiem, domagającym się radykalnego przekształcenia obowiązującej dziś ustawy łowieckiej. W organie „Związku“ pojawiają się raz po raz korespondencye, żalące się na zające, na sarny, „które wychodzą na pola nasze na żer w dzień i w nocy, wygryzają nam zboże“ [1]; na lisy [2], „które duszą nam kury po kilka sztuk dziennie... a gdy zasadzimy ziemniaki, przychodzą zaraz dziki i wyryją“... Kilka wieców chłopskich powzięło uchwały, solidaryzujące się z wnioskiem Potoczka; pewna liczba gmin nadesłała na jego ręce petycye, upraszające „o zmianę ustawy łowieckiej po myśli wniosku Stanisława Potoczka“.

Zajmując się pierwszy raz, i to w oderwanej teoryi, łowami, poprosiłem o wyjaśnienie w tej sprawie jednego z poważnych posłów sejmowych, właściciela dóbr, na którego *notabene* parę

[1] *Związek chłopski* z 1 maja.
[2] *Związek chłopski* z 1 sierpnia.

godzin czekać musiałem, zanim dość późnym wieczorem wrócił do domu z polowania:

„Niełatwa to kwestya, — odparł — o której wiele *pro* i *contra* mówićby można; proszę tylko wziąć do ręki z jednej strony *Związek chłopski*, z drugiej *Łowca*. Dla nas myśliwych przyjęcie projektu Potoczka byłoby klęską; ale z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że dzisiejszy stan rzeczy jest nieraz dla chłopów bez porównania większą klęską, i że mają racyę, przed nią się broniąc. Nie tracę nadziei, że da się wynaleść jakiś *modus vivendi*".

Nie można nadziei tracić, bo jak tu, tak gdzieindziej, jak w tym, tak w innych punktach, jak dotąd, tak na przyszłość, agitacya dobrze obmyślona, szeroko rozwinięta, a ściśle konstytucyjna, lojalna, musi co najmniej dać do myślenia, a w dalszem następstwie i praktyczne owoce przynosić.

„Pierwsze nasze hasło: r ó w n a m i a r k a! — stwierdzał i programem dalszej pracy rozwijał Stan. Potoczek, w mowie wygłoszonej na walnem zgromadzeniu ‚Związku stronnictwa chłopskiego', odbytem w dniu 9 października 1894 r. w Nowym Sączu. — Co do tej r ó w n e j m i a r k i, daje się widzieć jakiś postęp ku lepszemu;... dziś już nikt nie śmie nam powiedzieć i zarzucić, że żądania nasze nie są słuszne... Przejdę do innej, bardzo ważnej sprawy, nad którą dotąd za mało się zastanawiano. Jest to sprawa podniesienia stanu włościańskiego i sposoby tego podniesienia. Sama r ó w n a m i a r k a, żeby była jak najsumienniej przestrzegana przy wymiarze ciężarów, to jeszcze stanu włościańskiego nie zdoła podnieść z upadku. Stan włościański leci do upadku, bieda szerzy się coraz bardziej; to jest prawda, której nikt nie zaprzeczy"...

Tak! to najbardziej boląca rana.

„Bieda szerzy się coraz bardziej!" — wszędzie słowa te posłyszysz; od wsi do wsi, jak widmo straszące za tobą idą.

„Nędza okrutna między ludem w mojej okolicy — żali się kilkuwioskowy szlachcic. — Znam np. rodzinę, gdzie dziewięcioro dzieci, a niema ani kapusty już, ani kartofli. W zimie dzieci w koszulkach krajką tylko przepasanych biegają po śniegu, po

lodzie. Czy zarobićby sobie, losu poprawić nie mogli? Do mnie na kośbę górale przychodzą, i jeden zarobi sobie 60, ba! do 70 guldenów na miesiąc. Góralska dziewka zarobi do 25 guldenów. Prawda, nie umieją nic innego, tylko kosić, ale jak oni koszą, aż skry lecą! Próbowałem z ludźmi z mojej wsi, ale nie poszło; dwunastu kosarzów tutejszych tyle zrobiło, co czterech góralskich. Jak tu nędzy być niema?"

„Zarobku niema, robić co ludzie nie mają — opowiada zgodnie kilku proboszczów, wikarych. — Zapewne, po dworach, po plebaniach jest dla pewnej liczby jaki-taki zarobek, ale przyznać trzeba, że mały, i który absolutnie wystarczyć nie może, przy dzisiejszych zwiększonych cenach i potrzebach, tym przedewszystkiem, którzy już z rozmaitych pieców chleb jedli i widzieli, jak gdzieindziej na świecie wygląda. Pan źle się ma, zboże nie popłaca, podatki, dodatki do podatków coraz większe; i ksiądz ma się źle; z próżnego nie naleje, a gdyby więcej płacili, musieliby nie raz, nie dwa ze swego dodawać".

„Swoją drogą, bardzo nizkie zarobki. W czasie żniw dzienna płaca waha się od 30—50 ct.; w zimie dziewki przychodzą do młócki za 20 ct.; bywają miejscowości, że tylko 15 ct. im płacą. Jak tu z tego wyżyć i z tego morga, pół morgi koło walącej się chałupiny? Dawniej jechało wielu do Ameryki i stamtąd przysyłali, przywozili dolary. Dziś amerykańska emigracya bardzo osłabła, bo już i tam silnych rąk mają dosyć. Pewna, stosunkowo nieznaczna liczba ma zarobek przy nafcie; inni — często wszyscy młodzi i silniejsi z całej wsi wyruszają gromadami „do świata": do Rumunii, na Węgry, na Bukowinę, do pracy w polu, do paszenia bydła, do mularki po miastach; jeszcze inni znajdują pracę w lwowskich, przemyskich cegielniach. Dawniej przyjeżdżali osobni ajenci z Węgier, z Rumunii; dziś zagraniczni panowie, rządcy, przedsiębiorcy mają prawie w każdej gminie kogoś zaufanego i piszą do niego, wielu i jakich robotników potrzeba. Ludzie idą, bo i kwestya chleba do tego ich zmusza i chętka większej swobody pociąga; ale ten kawałek chleba, to rozglądnięcie się po szerokim świecie zbyt gorzko często okupują i moralnie i nawet materyalnie. Najgorsi „Węgrzy", „Lwo-

wiacy“ — jak my ich tu nazywamy. I „Amerykanom“ przewracało się często w głowach, chcieli o wszystkiem sądzić i rozumować z amerykańskiego punktu widzenia, wracali z tak zniszczonemi siłami, że już naprawdę do żadnej roboty nie mogli się zabrać; ale wracali przynajmniej z pieniędzmi w kieszeni i jakoś, choć pewien czas, mogli biedę klepać. A teraz, z pewnemi wyjątkami ludzi starszych, żonatych, którzy istotnie grosz sobie ciułają, całe tłumy emigrujących parobków tracą wiarę, cnotę, zdrowie, wyszli biedakami i wracają biedakami. „Węgier“ za miesięczną lub sześciotygodniową kampanię zarobi 4 reńskie i korzec pszenicy albo trochę kartofli; tu się napije, tam pohula i wszystko przepuści. „Lwowiak“ wypoleruje się tak, że głośno szydzi z wiary, z obyczajów; rozszerza po całej wsi najobrzydliwsze pieśni, najskrajniejsze zasady, chełpi się, że jest „socyalistą“ i ultrasocyalistyczne zasady w praktykę wprowadza. O „węgierskich“, „lwowskich“ dziewczynach lepiej zupełnie nie mówić“...

Gorliwy proboszcz, z którego parafii do 400 chłopów i chłopców „do świata“ wychodzi, skarży się:

„Rozumiem dobrze, że bieda wielka, że koniecznie potrzeba ludowi nowe źródła zarobku otworzyć. Próbowałem też młodych, zdolniejszych chłopców pchnąć to do tkactwa, to do koszykarstwa, to oddać ich do krawieckiego, kowalskiego terminu. Pokręcili głową i poszli do Lwowa, bo tam — swoboda“.

Z innych parafij ciągną to w tę, to w tamtą stronę karawany złożone z paruset, z kilkudziesięciu robotników; wypychają ich z rodzinnego sioła różne powody: chęć większej swobody, zobaczenia świata, ułudne opowiadania ajenta, ale na pierwszem miejscu wypycha ich bieda. Emigracyjny prąd, to jeden tylko z objawów i dowodów tej biedy, na którą, gdyby naprawdę dowodów było potrzeba, dość byłoby przejść przez próg każdej prawie z kolei wiejskiej chałupy; przypatrzeć się, zapytać, jak żyją jej mieszkańcy, co jedzą, jak się ubierają, ile zarabiają? Odpowiedzą i opowiedzą mniej więcej to samo, co słyszeliśmy we dworze, na plebanii, w kamieniczkach najbliższego powiatowego miasteczka.

Bosa pasterka z Haczowa (pow. brzozowski), głośnego do niedawna z wyjątkowego dobrobytu, zapomina na chwilę o ukochanej „Gryzuli“, „Madziarze“, „Opałeczce“, których dotychczas rzadkie przymioty wysławiała, i lamentuje:

„Dawniej u nas gospodarze dobrze się mieli, dziś każdemu coraz cięższa bieda doskwiera. We wsi już przeszło stu Żydów; mają dwa sklepy, propinacyę. I Kółko rolnicze ma sklepik, ale ludzie więcej do Żydów idą. Do Ameryki dużo od nas poszło. Dziewczyn także dużo poszło i wszystkie się wydały. Piszą, że co do ciała, to dobrze; ale co do duszy, to źle. Do Węgier biedniejsi idą; dobrze im tam — nie dobrze, ale co mają robić?“

Dorodny parobek z pod Iwonicza, przybrany w żołnierskie czerwone pantalony, w brudny, kusy, na wszystkie strony dziurami i plamami świecący, u Żyda na tandecie, niewiedzieć po kim, kupiony tużurek, recytuje monotonnie, ale nie bez pewnej ironii w głosie, zarobkowy cennik:

„Chłop w żniwa bierze po 40 ct.; w zimie po 18 do 20 ct. Dziewka w lecie 25, najwyżej 30 ct., przy sianie 15 ct., w zimie przy maszynie 12 ct. To trudno wyżyć, proszę jegomości“.

„Głód — czytamy w *Związku chłopskim*[1] — panuje w okolicach górskich powiatu staromiejskiego, a najdotkliwiej w ubogiej wsi Topolnicy, narażonej od szeregu lat na ustawiczne klęski powodzi, skutkiem wylewów Dniestru i Topolnicy. Miejscowa ludność żywi się gotowaną gorczycą i innem zielskiem, w braku lepszego pokarmu... Piszą nam, że za całodzienną pracę w polu płacą w Topolnicy 14 ct.!“...

Józef Moryś, włościanin z pod Wojnicza, opisuje nędzę w Brzeskiem[2]: „Jako samouk i jeszcze przypięty w tej nędzy galicyjskiej, jak chruściel w trawie, piszę parę słów i dowiaduję się, czy wszędy taka rozkosz, jak u nas tu koło Wiśnicza w górskich okolicach. Jak mi znane okoliczne wioski, to nie wiem, czy jest na sto gospodarzy jeden, któryby na przednowku nie kupował. A żebym nie przesadził, lepiej mówić będę mniej niż

[1] *Związek chłopski* z 1 sierpnia.
[2] *Przyjaciel ludu* z 1 lipca 1894.

jest. Więc zaznaczę, że na sto, 25, co to mają od jednego morga do trzech, to już od wiosny niema czem psa wygnać z domu... Może kto pomyśli, że tu pijaki albo próżniaki. Nie, bracie drogi, tu właśnie jest lud pracowity, choćby za piętnaście centów to pójdzie, ale tu w naszych stronach chyba druga Syberya. Fabryki nijakiej, kopalni tak samo; jest pokład węgla u nas w tej górze, bo przed paru laty pewien pan szukał, to się znajdowały, co już kowale przy nich robili, ale gdzieś głęboko; kieszeń mu zmalała i uciekł. A do dworu na robotę nikt nie pójdzie, bo deszcze przeszkadzają od wiosny".

Podobnemi wynurzeniami, listami z najrozmaitszych stron kraju, możnaby spory tom zapisać. Dajmy na to, że z niektórych pesymizm wieje, że jakiś szczegół, cyfra, niezupełnie ściśle rzeczywistości odpowiada; to i tak arcyniewesoły obraz nam malują i w całej pełni tłumaczą rzucone hasło: „Podnieść trzeba stan włościański!" Bardzo ważna to sprawa, jak prawdziwie stwierdził p. Potoczek w Nowym Sączu, i bardzo prawdziwie zauważył, że dotąd za mało nad nią zastanawiano się. Ściślej mówiąc, zastanawiano się już nad nią niejednokrotnie, ale nie wymyślono praktycznych sposobów, któremi owo, na pierwszem miejscu, ekonomiczne podniesienie dałoby się do skutku doprowadzić. Tu sęk, jak mówi nasze przysłowie; na tym punkcie chromają wszystkie ludowe programy, stronnictwa; temu — prawda, że najtrudniejszemu, bywa, a co najmniej wydaje się czasem, że wprost nierozwiązalnemu — pytaniu boją się zazwyczaj odważnie oko w oko spojrzeć.

Nadzwyczaj wiele, najwięcej zrobiły i wciąż robią w tym kierunku „Kółka rolnicze" i mniej lub bardziej ściśle związane z niemi chrześcijańskie sklepiki, gospody; robią wiele, słychać o nich niewiele, bo kłócić się nie lubią, hałasu nie szukają, do organu swego prywatnym niechęciom wstępu nie dozwalają. *Związek chłopski* nawołuje[1] do „prawdziwie narodowej polityki",

[1] Z 15 października 1894. Przemowa p. Stan. Potoczka na walnem zgromadzeniu „Związku stronnictwa chłopskiego", odbytem d. 9 października 1894.

do powiększania i pomnażania gospodarstw chłopskich przez nabywanie przy parcelacyi obszarów dworskich; dla umożebnienia kupna domaga się: 1) tanich i dogodnych pożyczek na mały procent i na spłatę małemi ratami; 2) usunięcia przy parcelacyach wyzysku. Redaktor *Wieńca i Pszczółki* utrzymuje, że za jego pracą „Kółka rolnicze“ powstały i wzrosły, ale później zdezerterowały; dopomógł do założenia ludowego Towarzystwa ochrony ziemi, ale Towarzystwo to również zdezerterowało, a założyciela nawet za członka swego nie chciało uznać; dopomógł do założenia „Związku chłopskiego“, i „Związek“ fatalną koleją losu zdezerterował; wreszcie założył „Macierz katolicką“, która dotąd prócz pisemek i broszurek swego założyciela nic podobno jeszcze nie wydrukowała. Co zrobili redaktorzy *Przyjaciela ludu* i grupujący się koło nich obóz? Napróżno szukamy odpowiedzi w faktach, w sprawozdaniach sejmowych, w rocznikach samegoż *Przyjaciela*, w historyczno-programowem przemówieniu p. Wysłoucha na walnym wiecu chłopskim we Lwowie. Dużo słów, dużo przeróżnych pomysłów, dużo zasianego hojną ręką rozgoryczenia, dużo plew i kąkolu — ale też na tem koniec.

Trzeci z kolei punkt ogólnego programu, w teoryi mniej ważny, tem ważniejszy nieraz w praktyce życia, dotyczy zewnętrznego zachowania się, powiedzielibyśmy: pewnych towarzyskich form, których chłopi a członkowie innych stanów powinni wzajemnie między sobą przestrzegać. Naturalnie żądanie to ująć się nie da w ściśle określone paragrafy, nie występuje w żadnym urzędowym programie, bo trudno, aby sejm uchwalał, lub wiec jaki postanawiał, jak ma chłop[1] tytułować pana ze

[1] Mówimy „chłop“, „chłopski“, nie przykładając do tego wagi, aby używać pozornie grzeczniejszych nazw: „włościanin“, „lud“ i t. p., bo tego sami chłopi żądają. „Pierwszy znak. — pisze *Związek* — że stronnictwo nasze zadanie swoje spełnia, będzie w tem, że słowo ‚chłop‘ będzie traciło swoje znaczenie wzgardliwe, wyzywające i odtrącające, a będzie przybierało właściwe i pierwotne swoje znaczenie pełne godności i siły... Słowo ‚chłop‘ oznacza prawdziwego, rodzinnego demokratę chrześcijańskiego i polskiego“. Por. *Związek chłopski* z 1 października 1894. Artykuł: „Dlaczego... chłopski?“

dworu, a pan chłopa; jak gospodarz parobka, a parobek gospodarza; kto przed kim naprzód i na ile kroków ma czapkę zdejmować...; niemniej przebija ono z licznych listów, podsycanych redakcyjnemi uwagami pism ludowych; z liczniejszych jeszcze rozmów o grzecznem lub niegrzecznem, szorstkiem lub poczciwem obejściu się pana, księdza, urzędnika, ekonoma. Niegrzeczność, szorstkość wszędzie jest zła i z pewnością nikomu na myśl nie przyjdzie o nią się zastawiać. Złem jest, jeżeli chłop przyszedłszy o parę mil do urzędnika, dostać się do niego nie może, lub zamiast porady i wyjaśnienia, spotyka się z groźbą — nie wie za co, z hałasem — nie wie po co; złem jest, jeżeli pan każe mu stać po parę godzin w sieni lub na dworze; jeżeli ekonom w złym humorze krzyczy nań i przeklina; jeżeli ksiądz nie wysłucha spokojnie jego żalów, wątpliwości. Tego wszystkiego domaga się już nie wyłącznie tylko dobre wychowanie, ale prosta ludzkość, a tem bardziej chrześcijańska miłość. Co innego, jeżeli mowa o przyjętych powszechnie w innych stanach towarzyskich formach. Z chłopem mniej więcej wykształconym, z ludźmi obytym, na formach tych się znającym, mniejsza o to, czy ubiera się w surdut czy w sukmanę, każdy roztropny bez najmniejszego wątpienia będzie je zachowywać. Czy można zachowywać wszystkie i z wszystkimi bez wyjątku? Chcielibyśmy przysłuchać się rozmowie ks. Stojałowskiego, najzaciętszego apostoła w tym kierunku, np. z dziewką od krów, z parobkiem od koni; chcielibyśmy posłuchać, czy tytułuje ich: „pan“ i „pani“ (może „panie dobrodzieju“, „pani dobrodziejko“); przypatrzeć się wtedy minom mówiącego i słuchających. Konsekwentnie poprosićby powinien jednego z obecnych znajomych, aby go dziewce i parobkowi przedstawiono; przed dziewką głęboki ukłon złożyć, parobkowi po angielsku dłonią zatrząść. Tymczasem, kto miał sposobność widzieć ks. Stojałowskiego w otoczeniu chłopów, ten wie, że wprawdzie z niektórymi z nich, z przywódcami, w oba policzki się całuje, ale innym tylko głową kiwnie; do bardziej wpływowych mówi: „Panie Janie!“, „Panie Józefie!“ — do innych: „Mój kochany!“; co więcej, nawet w drukowanych swych listach i odezwach innych używa formułek, inaczej się

wyraża, przemawiając do kogoś co mieszka we dworze, a do kogoś co mieszka w chałupie. Sądząc z tych danych i z istoty rzeczy, samaż redakcya *Wieńca* i *Pszczółki* nie bierze bardzo na seryo tych wszystkich swoich postulatów; tak, jak je stawia, może je jedynie za narzędzie, za broń uważać. Prawda, że nie każde narzędzie jest właściwe, nie każda broń lojalna. „Jezuity“, wbrew podejrzeniom poety, wołają głośno, że i największy cel podłych dróg nie odwszetecznia; czyżby złączeni z nimi w poetycznym sojuszu „demagogi“ innego mieli być zdania?

Potrzeba nam — zgadza się na to stronnictwo ludowe we wszystkich swych odcieniach — zmiany wielu praw; potrzeba ekonomicznego, moralnego, społecznego podniesienia; — drogą, nie jedyną, ale jedną z najgłówniejszych do tego celu, to pomnożenie liczby chłopskich posłów; drogą do tego pomnożenia — zmiana, rozszerzenie prawa wyborczego. W jakich granicach ma być to rozszerzenie, ta zmiana? Rezolucya, przyjęta jednogłośnie przez lwowski wiec chłopski, wykazuje jaśniej niż długie omówienia z jednej strony, w czem wszyscy się jednoczą, z drugiej różne prądy, które w ostatniej tej kwestyi dzielą, jak całe społeczeństwo, tak i lud; jak inne stronnictwa, tak specyalnie i ludowe; zaznacza z jednej strony najwyższe ideały stronnictw ludowych, z drugiej praktyczne ograniczenia tych ideałów, uznane na razie za niezbędne właśnie w partyjnym interesie tych stronnictw.

„Równość — brzmi rezolucya — jaką nam zagwarantowano w zasadniczych ustawach konstytucyjnych, nie jest dotychczas udziałem wszystkich obywateli z tej przyczyny, że przez wadliwą ordynacyę wyborczą usunięto lud od udziału w życiu politycznem. Równość praw politycznych jest warunkiem wszelkiej innej równości, dlatego też wszyscy uczuwający skutki dzisiejszej nierówności, powinni się starać o zmianę prawa wyborczego. Po sprawiedliwości, wszystkim pełnoletnim obywatelom powinno być nadane jednakowe prawo wpływu na prawodawstwo, czyli wszyscy pełnoletni powinni mieć prawo głosowania. To jest jedna jedyna słuszna zasada, i dlatego wszyscy powinniśmy dążyć do jej urzeczywistnienia, każdy nasz poseł powinien tę za-

sadę wyznawać. Ponieważ jednak przez brak szkół i przez opłakane stosunki wiejskie, znaczna część ludności wiejskiej i miejskiej nie umie ani czytać, ani pisać; ponieważ dalej z braku wszelkiej oświaty jeszcze znaczna część ludności mogłaby nieświadomie pójść na rękę wstecznym żywiołom, a wreszcie ponieważ przeciwnicy równości poduszczają ludność rolną do sprzeciwiania się powszechnemu głosowaniu, przeto na razie uznaje wiec ludowy za najodpowiedniejsze domagać się r o z s z e r z e n i a p r a w a g ł o s o w a n i a i b e z p o ś r e d n i c h w y b o r ó w. Kto się na to nie godzi i kto się nie zobowiąże za tem głosować na najbliższej sesyi sejmowej, czy w Radzie Państwa, ten nie może być naszym posłem, temu odmawiamy naszego zaufania. Obowiązkiem wszystkich zgromadzonych jest rozwinąć agitacyę za ziszczeniem tego żądania. Gazetkom naszym poleca się, aby tej sprawy pilnowały i jak najwięcej o tem pisały".

Gazetki piszą, bez przerwy piszą; agitacya na szeroką skalę rozwinięta; nie czekając na upragnioną zmianę prawa wyborczego, dała o sobie znać w ostatnich miesiącach w niektórych powiatach przy wyborach uzupełniających, rozwija się coraz potężniej w całym kraju, w miarę zbliżających się ogólnych wyborów. Różne nuty, słabsze, silniejsze, ale jeden tekst piosenki: „Trzeba nam wysyłać do Wiednia, do Lwowa, do rad powiatowych naszych ludzi; niech chłopi o chłopskich interesach radzą — a będzie lepiej!"

„Kochani Bracia! — zachęcał Stan. Uryga[1] na walnem zgromadzeniu „Związku chłopskiego" — dalej do pracy, a praca w naszem stronnictwie chłopskiem ma głównie na celu, ażeby wpływać na wszystkie wybory z mniejszej posiadłości i przed każdemi wyborami zawiązywać komitety chłopskie przedwyborcze, i na tychże komitetach stawiać kandydatów takich, którzy należą duszą i ciałem do naszego stronnictwa chłopskiego... Posłowie wybrani przez lud, czyli z mniejszej posiadłości, obowiązani są stawać w obronie naszego stanu chłopskiego i z biedą walczyć; a któż najlepiej potrafi stanąć w tej obronie, jeżeli nie sam cier-

[1] 9 października 1894. Por. *Związek chłopski* z 1 listopada.

piący, tj. chłop, ponieważ on to wie najlepiej, w czem leży to złe, które dolega wszystkiemu ludowi włościańskiemu... Na dowód mego zdania przytoczę Wam tylko wielce szanownych posłów włościańskich, którzy, jak to Wam już dobrze wiadomo, pracują szczerze i wytrwale, tak w sejmie krajowym, jakoteż i w Radzie Państwa nad polepszeniem naszego stanu chłopskiego. Ale chociażby prace swoje i w dwójnasób pomnożyli, jeżeli liczba posłów naszych do sejmu krajowego nie wzrośnie do liczby 74, natenczas głos naszych posłów będzie głosem wołającego na puszczy... Jeżeli obwód sądecki wychował w swojem łonie dwóch mężów i to jeszcze braci rodzonych (Stanisława i Jana Potoczków), którzy jeden w sejmie krajowym a drugi w Radzie państwa są posłami; to dlaczegóż i inne powiaty nie znalazłyby ludzi im podobnych? Błędnem jest to mniemanie, jak niektórzy twierdzą, że chłop stworzony jest tylko do pługa, a nie do sejmu i polityki; twierdzenie to nie jest zgodne z prawdą, jest poniżające dla naszego stanu chłopskiego i sprzeciwia się konstytucyi i ustawie wyborczej z kuryi gmin wiejskich do sejmu i Rady Państwa... Kochani bracia! wybory są już na karku, bo w roku przyszłym będą wybory do sejmu krajowego; przeto musimy zawczasu do tego się przygotować"...

W myśl wniosku, postawionego przez mówcę, zgromadzenie „Związku" uchwaliło jednogłośnie: popierać takiego tylko kandydata, który się zobowiąże prowadzić „politykę chłopską"; zwalczać wszelkiemi prawnemi sposobami „agitacyę"[1], przekupstwo i niemoralność, czyli tak zwane ‚kiełbasiarstwo"; nadto poleciło zarządowi „Związku" wejść w porozumienie z posłami chłopskimi, z prezydyum wiecu, z przychylnemi tej sprawie pismami ludowemi i z osobami wpływowemi z powiatów w celu utworzenia „zjednoczonego komitetu centralnego", który za po-

[1] Mowa tu oczywiście o agitacyi posługującej się niemoralnemi środkami; gdyby „Związek" chciał wszelką agitacyę wykluczyć, musiałby przedewszystkiem sam się rozwiązać. Ale czemu tak ważna, programowa rezolucya nie została zredagowana — i w tym i w następnym ustępie — staranniej, jaśniej, tak aby nawet najniechętniejszemu nie dać powodu do fałszywych przypuszczeń?

średnictwem „ściślejszego komitetu centralnego“ prowadziłby akcyę wyborczą. Trochę to jeszcze niezgrabna, skomplikowana maszyna, ale i pierwsza lokomotywa, na szyny puszczona, wyglądała ciężej, niezgrabniej, niż dzisiejsze.

„Zabierajmy się do roboty, do boju wyborczego!“ — woła, powtarza *Przyjaciel ludu* w każdym numerze, na kilku miejscach: w artykułach redakcyjnych, listach „od przyjaciół“, kronice, rozmaitościach. „Baczność na przyszłe wybory!“ — woła, powtarza prozą i wierszem: *Wieniec*, *Dzwon*, *Pszczółka*. „Baczność!“ — woła i *Związek;* powtarzają wszyscy ludzie dobrej woli; precz z przekupstwem, precz z „kiełbasiarstwem“, z którejkolwiek stronyby pochodziło i jakiejkolwiek sprawie na razie miałoby służyć. — Któżby się nie zgodził z temi hasłami, naturalnie o ile w dobrej myśli wydane, mają na celu walczyć z rzeczywistemi, nie z urojonemi, nie dla agitacyi wymyślonemi nadużyciami. Precz z „kiełbasiarstwem“ — ale z „kiełbasiarstwem“ z obu stron; precz z kiełbasą mięsem nadzianą, precz z kiełbasą nadzianą obietnicami, których nie można spełnić; podejrzeniami, których nie można dowieść, insynuacyami, wymyślonemi, „aby agitacya szła“, a w które samemu się nie wierzy!

Na takich wodach płynie, wznosi się, opada łódź ludowego ruchu; jakie wichry pchają i rzucają nią, jacy sternicy to w prawo, to w lewo nią kierują, wszelkich sił dokładając, aby niepodzielnie sterem zawładnąć?

Stronnictwo polityczne, któreby nie rozumiało, czem lud być zaczyna, a jaką rolę w niedalekiej przyszłości odegrać może, byłoby niegodnem nazwy poważnego stronnictwa; nie dziw, że wszystkie partye, które o hegemonię w kraju się ubiegają, starają się o wpływ na lud, o zjednanie go dla swych haseł, swych ideałów. Nie zawsze w równej mierze rywalizowali, dziś rywalizują w tem o lepsze demokraci, liberali, konserwatyści; rywalizują — co prawda nie z równem natężeniem i równem wojennem szczęściem — ich wodzowie, agitatorzy, ich organa. Konserwatywną politykę *Czasu* i lwowskiego *Przeglądu* przedstawiać i bronić ma wobec ludu krakowski *Krakus*, a do pewnego stopnia

i krakowski *Nowy Dzwonek;* liberalne dążenia *Nowej Reformy* i pokrewnych jej dzienników reprezentuje na szczęście, w dość bladej kopii, *Polski lud;* radykalno-demokratycznemu *Kuryerowi Lwowskiemu* podaje bratnią dłoń w najściślejszym sojuszu z nim zostający *Przyjaciel ludu.* Prócz tych trzech prądów, które są mniej lub więcej wiernem odbiciem prądów płynących w górnych: szlacheckich, mieszczańskich warstwach; prowadzi samoistną, chłopską politykę sądecki *Związek chłopski,* a najbardziej samoistną, bo koło własnej osoby obracającą się, głośny redaktor *N. Wieńca, N. Pszczółki, N. Dzwonu,* ks. Stanisław Stojałowski.

Chcąc na pewno wiedzieć, jakie wpływy w tej lub tamtej wsi przeważają, za jaką polityką, za jakim posłem chłopi w niej się oświadczają, wystarczy zapytać: „Które pismo ludowe ma tu u was najliczniejszych i najchętniejszych czytelników?“ Jeżeli ma nietylko czytelników, ale choćby jednego wpływowego między sąsiadami korespondenta, natenczas znaczenie tego pisma w całej wsi, w całej okolicy wzrasta w trójnasób: korespondent postara się już o to, aby wydrukowane jego słowa nie przeszły niepostrzeżenie; propaguje „swoją gazetkę“, broni jej zasad w domu, w karczmie, przy robocie, na chrzcinach, na weselach, na jarmarkach; poczuwa się z nią, choćby z pewnego punktu honoru, do najściślejszej solidarności zawsze i wszędzie. Z natury rzeczy wywiązują się między redakcyą a korespondentami ściślejsze listowne, często i osobiste stosunki; w danej chwili: przy wiecach, wyborach, rozporządza redakcya całym hufcem rozsypanych po kraju, duszą i ciałem oddanych sobie agitatorów; uwiadamiana przez nich dokładnie, co, gdzie się dzieje, może kierować przedsięwziętą kampanią z niezbędną znajomością terenu. Nad pokojem redakcyjnym wisi skromna tablica: „Redakcya“ lub „Biuro redakcyjne“ takiego lub takiego ludowego pisma; w gruncie rzeczy jest i musi to być zarazem: biuro agitacyjne, wyborcze, informacyjne, kupieckie, adwokackie; powiedzieć prawie można: prawodawcze i sądowe. Oczywiście może tem wszystkiem nie być; może się ograniczyć na regularnem dostarczaniu swym czytelnikom arkusza lub dwóch zadrukowanego papieru;

ale też wtedy nie wywiera szerszego wpływu, z kwartału na kwartał coraz mniej owych zadrukowanych, w każdym razie coraz mniej z góry zapłaconych arkuszy na pocztę oddaje.

Pytamy, jakie wichry rzucają łodzią ludowego ruchu; jacy sternicy nią kierują; zapytajmy, — w mniej poetycznej, realniejszej formie — jakie są ludowe pisma, jakie programy ich, dążności, wpływy; jak są redagowane?

Na skrajnej lewicy rozsiadł się, wydawany od lat sześciu we Lwowie pod redakcyą pp. Wysłouchów, dwutygodnik *Przyjaciel ludu;* pismo tem niebezpieczniejsze i tem bardziej na uwagę zasługujące, że redagowane jest istotnie zręcznie, zimnej krwi nie traci i zapala się wtedy tylko, gdy zapalić się chce, a tak na czytelnikom i redaktorskiej kieszeni niemiłe konfiskaty się nie naraża, umie do czytelników swych przemówić, i wie, czem ich zająć, poruszyć, wstrząsnąć może. W kwestyi narodowościowej *Przyjaciel* odstępuje stanowczo od taktyki pokrewnych sobie miejskich pism socyalistycznych: *Naprzodów, N. Robotników* i t. d.; z patryotyzmu nietylko się nie śmieje, nie pyta szyderczo: kogo miłość ojczyzny od głodu, od chłodu zasłoniła — ale przeciwnie głosi: „Chcemy odrodzenia Polski, i dlatego chcemy odrodzenia ludu; znamieniem ruchu chłopskiego jest głęboka wiara, że łączy się nierozerwalnie z odrodzeniem narodu...; miłość ku ojczyźnie, tłumiona przez długie lata wrogiemi okolicznościami, wstaje potężna i żywa w sercach chłopskich“ [1]. Ważny to zapewne punkt, ale też właściwie jeden jedyny, w którym fundamentalne zasady krakowskich Daszyńskich, Engliszów, lwowskich Mańkowskich i Żelaszkiewiczów, różnią się od zasad — bo sądzimy i sądzić chcemy, że istotnie od zasad, a nie od taktyki — Wysłouchów i Stapińskich. W podjudzaniu przeciw innym stanom, przeciw dziełom nawet najużyteczniejszym, ale nie zostającym pod bezpośrednim zarządem i wpływem „partyi“, w walce przeciw księżom, a pośrednio przeciw Ko-

[1] Por. mowę B. Wysłoucha o dzisiejszym stanie sprawy ludowej, wypowiedzianą na lwowskim wiecu. *Przyjaciel ludu* z 15 września.

ściołowi — nie wiedzieć, kogo mistrzem, kogo uczniem zamianować.

Szlacheccy posłowie, panowie nasi, nic nie robią — żali się *Przyjaciel* w każdym numerze; niechże coś zrobią, i to coś oczywiście dla ludu korzystnego — jeszcze bardziej niekontent, jeszcze o nutę głośniej się żali. Poseł z Gorlickiego, p. Adam Skrzyński, objawił zamiar wysłania na swój koszt do Lwowa na wystawę 80 wójtów ze swego okręgu wyborczego. „W tej formie — insynuuje i ostrzega oryginalny *Przyjaciel ludu*[1] — zaczyna sobie p. Skrzyński kaptować ludzi na przyszłoroczne wybory... Nędzy, przez sześć lat z roku na rok rosnącej, nietylko stówkami, ale tysiącami okupić nie można. To też nie sądzimy, aby się któryś ze światłych wójtów dał złapać w te sidła... Wstyd wójtowi, który na koszt Skrzyńskiego na wystawę pojedzie“... Dobreby były kółka rolnicze, ale niestety! główny zarząd śpiewać zaczyna na nutę stańczykowską; Towarzystwo oświaty ludowej źle służy sprawie ludu, bo popiera takiego *Krakusa*[2]. — „Stańczykowskiej garstce — grzmi *Przyjaciel* w redakcyjnym artykule[3] — co chwyciła rządy, gdyśmy jeszcze spali, już chyba piątej krokiewki brakuje. Z każdego postępku widać, że im rozumy wysychają, że zatem blizki koniec ich panowania... Niech Zarząd główny ‚Kółek‘ z usłużnością dla Jaśnie Wielmożnych i z polityką da sobie spokój, bo inaczej — to obejdziemy się bez niego“...

Rzucone nasienie trafia na grunt bujny. „Nieodstępny“ czytelnik *Przyjaciela*, Dominik Piękoś z Przybówki, zagrzany obradami lwowskiego wiecu, wyśpiewuje ułożonego przez siebie „chłopskiego krakowiaka“[4], o którym wierzyć się nie chce, że mógł wyjść z pod pióra chrześcijanina; wierzyćby się chciało,

[1] Z 1 lipca 1894.

[2] Z 1 września. Sprawozdanie z referatu Wójcika na lwowskim wiecu ludowym.

[3] Z 1 lipca. Artykuł zatytułowany: „Niepoprawni do końca“, wypowiada walkę zarządowi „Kółek“ z powodu wydanego przezeń okólnika, polecającego nie prenumerować dla „Kółek“ pism ks. Stojałowskiego.

[4] *Przyjaciel ludu* z 1 października.

że jest jakimś starodawnym zabytkiem z czasów Szelów i Żeleźniaków:

Z maleńkiej iskierki
Wielki ogień bywa,
Oj pękną, choć twarde,
Magnatów ogniwa!
Oj ostra, oj ostra,
Ostra ta broń nasza,
Nie trza nam bagneta,
Ani też pałasza.

Kiliński wyrzucił
Z Warszawy Moskali,
My Stańczyków jarzma
Nie będziem dźwigali.
Uczy nas *Przyjaciel,*
Bojownik ludowy,
Zwalczać Targowiczan
Bez ścinania głowy...

...Niech padają kule —
Żadna nas nie zrani,
Z nami Bóg i prawda,
Z tamtymi szatani.

Huzia na Jaśnie Wielmożnych, na stańczykowskich posłów; huzia na księży! tych zwłaszcza, co spełniając rozkazy swych biskupów, wystąpili ostro przeciw złym ludowym gazetkom. „Ruskie duchowieństwo wspiera ruch ludowy, a polskie gasi i przeszkadza... Pożal się Boże, gdzie ci ludzie rozum podzieli? Chcą widać jak najwięcej wykląć — czyżby na dobitek — i nieba ludowi zazdrościli?“ [1] „Polski kapłanie... przestań dąć w dudę średniowieczną“ [2]. Jakób Bojko przyrównywa „prześladowanie“ *Przyjaciela ludu* i zostających z nim w przymierzu gazetek, ni mniej ni więcej, tylko do prześladowania Kopernika i — Pana Jezusa [3]. „Nędzni i ciemni krzykacze wrzeszczeli na Kopernika sto razy głośniej, jako takie Piechoty, Dudki i Tłucy, że Kopernik do tego celu dąży co Luter, tylko inną drogą. Na jego dzieło padły klątwy... i jeszcze coś więcej. Za życia Kopernika wyszydzano, a dziś dziatwie naszej w szkole kładną nauczyciele w uszy jako oklepaną prawdę, że słonko stoi, a ziemia się obraca... Kiedy Zbawiciel ogłosił swą boską naukę, jakże ją świat niby uczony: faryzeusze i biegli w zakonie, przyjęli? Oto póty pracowali, póty podłemi intrygami rząd ówczesny podburzali, póki Piłat „wichrzyciela i buntownika“ bożego na drzewie krzyżowem nie zamordował. Za cóż? Za to, że chciał, aby nie-

[1] Z 1 lipca. „Z Gorlickiego“.
[2] Z 16 sierpnia. „Wrażenia z wystawy“, przez J. Bojka.
[3] Z 1 lipca. „Jak prawda bywa prześladowaną“.

tylko bogaci patrycyusze rzymscy, nietylko kapłani i faryzeusze zaliczali się do ludzi, ale żeby ubożsi takie prawa mieli, a nawet uboższych wyżej postawił. W dobrze zatem zrozumianym swym interesie zabili tak niebezpiecznego reformatora“...

Wszak to dość przezroczyste! Wprost na religię *Przyjaciel* nigdy nie uderza; gdyby dziś wprost uderzył, chłopby go za okno, na gnój wyrzucił, a to ani honorowo, ani zdrowo. Na razie wystarczyć musi wpajać w czytelników przekonanie, że ksiądz sprzysiągł się z panem na ich zgubę; że chodzi mu o utrzymanie swych owieczek w ciemnocie, w niewoli, bo bez trudności wtedy może ze swych owieczek wełnę strzydz, skórę zdzierać [1]. Źli są księża, źli biskupi co zakazują czytać ukochanego *Przyjaciela ludu*, który z oka nie traci „dobra całego narodu, ojczyzny naszej i Kościoła świętego *(sic!)*“ [2]; zły i Ojciec św., który wydał encyklikę, mówiącą „o bezwzględnem posłuszeństwie dla gnębicieli naszego Kościoła“ [3]. Czyż więc niema żadnego dobrego księdza, żadnego kościelnego dostojnika? *Przyjaciel* za przezorny i za dobrze lud polski zna, aby z podobnem zdaniem się wyrwać. Po zgonie kardynała Dunajewskiego, gdy zmarły bronić się, protestować już nie mógł, *Przyjaciel* wystąpił z długim panegirykiem, który nazwaćby raczej należało bolesną obelgą, wstrętnem szyderstwem. „Do zasług Kardynała — pisze ironicznie [4] — należy zaliczyć dobre uposażenie fakultetu teologicznego, oraz że za jego rządów poczyniła ś. p. Helclowa $3^1/_2$ milionową fundacyę na szpital dla nieuleczalnych, a ks. Lubomirski złożył na jego ręce dwa miliony złr., na dwa zakłady opiekuńcze dla chłopców i dziewcząt... W starości zaprzestał

[1] Do wpojenia tego przekonania posłużyć ma przedrukowany przez redakcyę, i żarliwie rozsyłany na wszystkie strony, patent józefiński o opłatach za usługi kościelne. Jaką wartość miał grajcar za Józefa II, a jaką ma dziś, jakie wtedy panowały stosunki, a jakie dziś, to naturalnie *Przyjaciela* nic nie obchodzi. Uważa widocznie chłopów za bardzo „ciemną masę“, kiedy sądzi, że na brzydkim tym podstępie się nie poznają.

[2] Z 16 sierpnia. Korespondencya z powiatu stanisławowskiego, podpisana przez Wawrzyńca Moszumańskiego.

Z 1 lipca. „Wiadomości polityczne“.

[4] Z 1 lipca. „Książę kardynał Albin Dunajewski, biskup krakowski“.

gorącej walki o wolność Polski, ale Stańczykom do śmierci się nie oddał, i on jeden z czterech biskupów tej części Polski do znanej wam kurendy przeciw ks. Stojałowskiemu i nam się nie przyłączył... Ustanowienie delegacyi rosyjskiej przy Papieżu i pojednanie się Papieża z Rosyą w ostatnich czasach, boleśnie dotknęło ś. p. ks. Kardynała, i dziwna rzecz, że właśnie w tej chwili, gdy poseł rosyjski wychodził z audyencyi papieskiej, wręczono papieżowi wiadomość o zgonie ś. p. Dunajewskiego".

Ileż tu podłych insynuacyj! Co za gratka udawać, że się chwali jednego biskupa, a samem tem chwaleniem szkalować wszystkich innych, błotem obrzucać Papieża! A w dodatku naiwni gotowi pomyśleć: „A przecież *Przyjaciel* w zasadzie przeciw duchowieństwu, przeciw Kościołowi się nie oświadcza. Umie rozróżnić dobrych księży od złych; czy jego wina, że na parę tysięcy jednego zaledwie dobrego znalazł?"

W ciekawym, nie powiemy serdecznym, tem mniej szczerym, lecz dość jednak ścisłym aliansie z *Przyjacielem ludu* znajdują się organa ks. Stojałowskiego: *Dzwon*, *Wieniec* i *Pszczółka;* z wielu względów przypomina on mimowoli — *si licet parva componere magnis* — przymierze rosyjsko-francuskie. Dawniej, dawniej walczyli ze sobą; później zaczęli się tolerować, aż wreszcie podali sobie bratnie dłonie; *Wieniec* i *Pszczółka*, zdesperowawszy o prowadzeniu wojny na własną rękę, przeszły z bronią i bagażami do obozu *Przyjaciela* i poddały się pod jego komendę; za to *Przyjaciel* otoczył je i ich redaktora wspaniałomyślną swą protekcyą. Otoczył pewną protekcyą przeciw biskupom, przeciw księżom; ale czując swą wyższość, a może też nie mogąc pozbyć się zakorzenionej niechęci dla księżej sutanny, traktuje sprzymierzeńców z nietajonem lekceważeniem; mimo wszelkich czynionych sobie grzeczności, awansów, uważa ich zawsze za „ludowców" drugiej klasy. Napróżno ks. Stojałowski agituje, jak może, za zwołanym przez Wysłouchów i Stapińskich do Lwowa wiecem chłopskim; napróżno rozrzuca odezwy: „Przyjeżdżajcie!"; redakcya *Przyjaciela* całą tę agitacyę ignoruje, nie przyznaje gorliwemu agitatorowi, już nie inicyatywy, ale najmniejszej zasługi w zwołaniu wiecu. W sprawozdaniu z wiecu,

jakby chodziło o podrzędną jakąś figurę, nie o główno-dowodzącego wojsk sprzymierzonych, pisze nawiasowo:

„Ks. Stojałowski jako gość również na wiec przez nas zwołany przybył“ [1].

Jakto jako gość! — protestuje do żywego dotknięty redaktor *Wieńca* i t. d. [2] — „Ks. Stojałowski przybył na wiec przez siebie też zwołany, nie jako gość, ale jako uczestnik i spółdziałający w komitecie urządzającym“.

Przyjaciel nie pozostał dłużnym w odpowiedzi:

Jako żywo! Ks. Stojałowski „był tylko uczestnikiem wiecu, jak wszyscy inni [3]. Ani w rozpisywaniu listów do referentów, ani w żadnej czynności, odnoszącej się do urządzenia wiecu, nie brał udziału, ani do kosztów się nie przyczynił, ani jednem słowem nie zapraszaliśmy go do komitetu, a zatem i w nim nie był“.

Ks. Stojałowski, czując dobrze, że przymierze „chrześcijańsko-socyalistycznego“ reformatora z wyraźnie antychrześcijańskim *Przyjacielem ludu* rzucić musi na pierwszego dziwne światło, usiłował obmyć, ochrzcić sojusznika: „W ostatnich dwu latach — wmawia w siebie i w innych [4] — redakcya *Przyjaciela ludu* doświadczyła, że do naszego ludu nie trafi z antychrześcijańską propagandą, a więc pod tym względem stanowczo zmieniła kierunek i przyjęła zasadę, że ‚religia nie należy do polityki‘. Zaprzestała tedy atakowania religii, a nawet umieszczać zaczęła pozdrowienie: ‚Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus‘, którego dawniej unikała. W ten sposób punkt sporny między *Przyjacielem ludu* a pismami naszemi został poniekąd usunięty“.

I znowu zdrajca, nie *Przyjaciel*, rozwala za jednym zamachem z takim mozołem wybudowany gmach [5]:

---

[1] *Przyjaciel ludu* z 1 września. „Historya wiecu we Lwowie“.

[2] *Nowy Wieniec polski* z 15 września. „W imię prawdy i sprawiedliwości“.

[3] *Przyjaciel ludu* z 1 października.

[4] *Nowy Dzwon* z 15 września. „Przegląd polityczny“.

[5] *Przyjaciel ludu* z 1 października.

„Myli się ks. Stojałowski chwaląc nas, żeśmy się zmienili. Kto zmienia swe zasady i nie ma ustalonych przekonań, ten, zdaniem naszem, nie ma prawa wydawania gazetek. My prawdą stoimy od początku, prawda dopomogła nam dziś do znacznego zwycięstwa i z tego naszego oparcia na prawdzie czerpiemy otuchę, że przy pomocy naszych czytelników, jedynych przyjaciół i pomocników, jakich posiadamy, dojdziemy szczęśliwie do celu. Dla nikogo i nigdy zasad naszego postępowania, które rozumiemy o tyle, że się ich do *Nowego Wieńca* uczyć nie pójdziemy, nie zmienimy".

Gorzka pigułka; połknąć ją, czy nie połknąć? Na bez porównania grzeczniejsze przedłożenia, czynione sobie niejednokrotnie z różnych innych stron, odpowiadały regularnie: *Wieniec, Pszczółka, Dzwon* potokiem niegrzeczności. Teraz jednem słowem odpowiedzieć nie śmieją. A nuż jedyny możliwy sprzymierzeniec, którego cały program za swój własny uznały, powiedziałby bez ogródek: „Idź precz — straciłeś dawny wpływ i raczej zawadzasz niż pomagasz!" Niech tylko konstelacya polityczna się nieco zmieni, a Rosya wystąpić gotowa z takim samym komplementem dla płaszczącej się przed sobą Francyi; skądże żądać od p. Wysłoucha, aby był delikatniejszym dla ks. Stojałowskiego? Nie chciał redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* poddać się zdaniu i rozkazom żadnego z dotychczasowych swych przełożonych; nemezis dziejowa wepchnęła go pod nielekkie jarzmo pp. Wysłouchów. Mniemał, że potrafi ukształcić sobie z chłopów powolne narzędzie, i z góry groził niem wszystkim nie zgadzającym się z jego planami i drogami; taż sama nemezis przekształciła wrzekome owe narzędzie w groźną broń, która przeciw niemuż samemu na pierwszym planie się zwróciła.

Rozumniejszym chłopom, przywiązanym do wiary, pragnącym istotnego dobra kraju i własnego chłopskiego stanu, musiał być wstrętny kierunek *Przyjaciela ludu*. Kiedy na scenę wystąpił ks. Stojałowski, otoczyli go i poparli, spodziewając się, że sługa ołtarza sprawiedliwości będzie bronić, należnych praw nieustraszenie się domagać, a jednocześnie nigdy nie da się prywatą unieść, na manowce nie poprowadzi. W tej myśli, założone

w Sączu, głównie za inicyatywą braci Potoczków, stowarzyszenie polityczne: „Związek stronnictwa chłopskiego“, uznało wydawane przez ks. Stojałowskiego *Wieniec* i *Pszczółkę* za organ „Związku“. Tymczasem „pisma te zaczęły stawiać się ponad zarząd i przeciw zarządowi“, co więcej, „ze złością na zarząd się rzuciły“; wskutek czego zarząd „Związku“ po różnych bezskutecznych pertraktacyach zdecydował się wydawać na własną rękę — począwszy od 1 marca 1894 roku — dwutygodnik: *Związek chłopski*, i w samym już tytule zaznaczył, że jest to „jedyny prawny organ stowarzyszenia politycznego tej nazwy“. „Do kaduka — pisze energicznie Zarząd w swem sprawozdaniu[1] — byłby taki ‚Związek‘ i taka rada i taki zarząd, żeby kiwał głowami, jak ks. Stojałowski co wyrzeknie. Ks. Stojałowski, jak czegoś takiegoś potrzebuje, to może sobie obstalować chłopów od parady, takich, jak byli na wystawie z wosku w jednym pawilonie, niech ich poubiera w sukmany i kaftany, niech siądzie między nimi, i niech mu na wszystko kiwają głowami“...

„Związek“ nie myśli na wszystko głowami kiwać; prowadzić chce politykę „chłopską“, o chłopskie interesa chce się zastawiać, „dążenia swoich posłów i ludzi dobrej woli popierać i siły im dodawać i nad sprawami chłopskiemi własnemi oczyma czuwać“ — ale za roztropny, zanadto i za szczerze katolicki, zanadto o własne chłopskie interesa mu chodzi, aby zaprządz się w służbę jednego człowieka i dochodzić prywatnych jego uraz. Zerwawszy raz na zawsze z gwałtownie narzucającym się agitatorem, nie szczędzi mu w każdym z kolei numerze przykrych wymówek, gorzkich szyderstw; wykłada mu zasadnicze punkta katechizmu o posłuszeństwie władzy kościelnej; oświadcza, że jeśli go dawniej za redaktora mógł uważać, to przez głowę mu nie przeszło uważać go „za pasterza, za jakiego się ciągle w pismach swoich udawał, pisząc i zwodząc wiernych: Jam jest pasterz“. — Ks. Stojałowski nie pomaga, ale przeszkadza polityce chłopskiej; baje o jakiejś „chłopskiej Targowicy“, a sam z so-

[1] *Związek chłopski*. Dodatek do nru 18. „Sprawozdanie zarządu o organie Związku stronnictwa chłopskiego“.

cyalistami kokietuje, odwodzi polemiką o swej osobie, apologiami swej działalności, od zajęcia się praktycznemi sprawami, które chłopu daleko więcej leżą na sercu, niż dwudziestu Stojałowskich; mową wypowiedzianą na wiecu nowo-sądeckim zdradził się niebacznie, że wrzekomy ów obrońca i opiekun ludu uważa chłopa za „ciemną masę“, niezdolną do pisania, do redagowania chłopskiej gazetki, do strzeżenia własnych swych interesów.

Patrzcie na słonia — pisze w rymowanej alegoryi w trzech obrazkach, wiejski poeta: Jan Myjak z Zagorzyna, „mieszkaniec gór karpackich“ — jak sam się podpisuje [1]:

Słoń oparty o strom silny,
Czując się być nieomylny,
Gdy wykopał dół pod drzewem,
Korzeń mu był na zawadzie.
Krótko myśląc: „on mi w zdradzie“ —
Rzuca się nań z wściekłym gniewem,
Kopie, kłuje, kły zasadza,
Trąbą z gruntu go wysadza,
Chcący własną mieć swobodę —
Na wzgląd swoich sztywnych kroków,
Nie mogąc znieść onych progów
Pod tę skromną czasu dobę.
„Jakto? wielki ma się liczyć
Z niższym siebie?... czoło niżyć?...
Istna to karykatura!
To nieznośne!... — myśli sobie —
Lepiej chyba już ledz w grobie
Niż zależnym być od gbura!“ (chłopa).
Wielcy ludzie nie są święci,
Gdy są mściwi, nieugięci,
A gdy pycha je owładnie,
Padną nizko, bezprzykładnie...

Ach! gdybyż zapomnieć można o istnieniu niepowołanego trybuna i opiekuna; gdybyż spełnić zechciał rzuconą w chwilowej irytacyi groźbę: „Cofnę się od wszystkiego; kiedyście tacy niewdzięcznicy i nie uznajecie moich zasług, to wiedzieć

[1] *Związek* z 1 sierpnia. Cały utwór nosi tytuł: „Mężu zasługi, spłać twoje długi“. Obrazek pierwszy zatytułowany: „Złość albo bazyliszek“; obrazek drugi: „Samowola, albo koń rozbrykany“; obrazek trzeci: „Pycha, albo słoń pod drzewem“.

o was więcej nie chcę!“ Niestety! groźby nie spełnia; na złość „kilku gburom i pomyjakom z Targowicy sądeckiej“ [1], zapowiada założenie nowego towarzystwa „chrześcijańsko-ludowego“, oczywiście pod hetmańską buławą tego — jak skromnie we własnym swym organie się wyraża [2] — „bohatera, ks. Stojałowskiego“, który „jako arka Noego unosi się ponad gwałtowne wody potoku“... Wobec takich zakusów niepodobna nie walczyć, nie ostrzegać; niewesoła to konieczność, ale konieczność.

Pozytywny program „Związku“ zawiera w ogólnych zarysach te same postulaty i dążenia w dziedzinie politycznej, społecznej, ekonomicznej i cywilizacyjnej, do których osiągnięcia dąży cały ruch chłopski. W czem się odszczególnia, to że redaktorzy z oczu nie tracą zapewnienia, wyrażonego w statucie „Związku“: „Celem towarzystwa — a więc i jego organu — jest popieranie sprawy chłopskiej... przy zachowaniu podstaw religijnych, narodowych, państwowych, a więc w sposób legalny, oraz zgodny z nauką wiary św. katolickiej“. Bardzo korzystnie odszczególnia się tem, że nietylko w programowym artykule na samym wstępie zaręcza [3]: „*Związek chłopski* żadnej waśni między stanami szerzyć nie będzie“ — ale stara się, z pewną niezaprzeczalną dobrą wolą, teoretycznemu temu zapewnieniu w praktyce odpowiedzieć. Parę ostrzejszych zwrotów i wyrażeń przeciw szlachcie [4] mogłyby bez wątpienia i bez szkody dla pisma być wykreślone; sądzić z nich, potępiać całe pismo — to może także za ostro.

„Myślałem, — mówił mi w wagonie gorąco kąpany, *notabene* wcale nie szlachcic — że raz wreszcie będziemy mieli porządną gazetę ludową, co i ‚stańczykom‘ nie będzie schlebiać i do rzezi nie będzie prowadzić; co mądre, to powie że mądre, co głupie, to głupie. Wpadła mi jeszcze do ręki korespondentka, którą chłop do baby napisał: ‚Czytałem *Związek chłopski;* wiesz,

[1] *Nowa Pszczółka* z 13 października 1894.

[2] *Nowy Wieniec polski* z 25 października. „W sprawie stronnictwa chrześcijańsko-ludowego“.

[3] *Związek chłopski* z 1 marca. Nr. 1.

[4] Np. w artykule „Książę Marszałek krajowy i szlachta“, umieszczonym w nrze z 1 listopada.

to mi się podoba'. Podoba mu się, może się i mnie spodoba; odżałowałem papierka i coś tam krajcarów, i czytam. A on, patrz Ksiądz, sumituje się, że do nikogo nie ma uprzedzenia; a czemu na szlachcie psy wiesza? Nie będzie z tej mąki chleba".

A z jakiej ma być? — Po długim, długim rozhoworze przyznał nawet mój pesymistycznie usposobiony towarzysz drogi, że dla jednego artykułu, i to bodaj gorzej napisanego, niż pomyślanego, nie można na całe pismo rzucić kamieniem. Broń złożyć musiał tem prędzej, że, jak się okazało, ostatecznie i mimo wszystkich „ale", *Związek* najbardziej mu jeszcze ze wszystkich czasopism ludowych przypadał do smaku.

„*Przyjaciel ludu* — to socyalista; *Wieniec* — szaławiła; *Polskiego ludu* nie widziałem, ale podobno przez kobietę redagowany[1]; *Dzwonek* niezły, lecz dotąd szerszego wpływu nie ma; *Krakus* — stańczykowskie pismo, przez panów subwencyonowany; o *Niedzieli* nie mówię, bo nigdzie jej w naszych stronach nie ujrzysz, żadne pismo o niej nie wspomina, i szkoda tych pieniędzy, które ‚Macierz' na nią sypie; jeden *Związek* zostaje... I dlatego właśnie takem się gniewał, kiedy z takim niemądrym artykułem wystąpił"...

Grupując galicyjskie pisma ludowe wedle zwyczajów przyjętych w parlamentach, powiedziećby można, że na lewicy stanęły: *Przyjaciel ludu* i organa ks. Stojałowskiego; w centrum: *Związek chłopski;* coraz bardziej ku prawicy posuwają się: *Polski lud* i *Nowy Dzwonek;* na prawicy bez żadnych zastrzeżeń zajęły miejsce: *Niedziela* i *Krakus*. Ostatnie cztery pisma stoją na gruncie czysto katolickim, narodowym; bronią wspólnie dawnego, pięknego ideału: „Z szlachtą polską, polski lud"; polityczne, teoretyczne różnice, które redakcye ich wzajemnie między sobą dzielą, nie mają dostatecznej sposobności, aby żywiej w drukowanem słowie się objawić, i przed oczami zwykłego czytelnika przechodzą niepostrzeżenie. Jest ich cztery; czy na nasze stosunki nie za wiele? Lepiejby podobno było dla powszechnej sprawy, aby dwa

[1] Z dniem 1 grudnia 1894 roku redakcya przeszła w ręce p. Józefa Lokietka.

przynajmniej z nich zwinąć, a w dwóch pozostałych pomnożyć redakcyjne siły, starać się o utrzymanie ciągłych a żywych stosunków i listownych i osobistych z czytelnikami; słowem, stworzyć z nich organa, o których i najbardziej uprzedzony powiedziećby nie mógł, że są nudne, niedostatecznie poinformowane, niedostatecznie uwzględniające właściwe interesa ludu.

Niełatwa to rzecz; jak niełatwa, o tem najlepiej można się przekonać, przerzucając np. tygodniową pocztę, nadeszłą do tego czy owego ludowego pisma. Jeden z czytelników dziękuje gorąco za umieszczoną w ostatnim numerze powiastkę: „Takie pouczające i interesujące rzeczy nam dawajcie — a nie piszcie o ks. Stojałowskim, którego nie znamy i nie chcemy znać". Drugi się gniewa: „Chcecie, żebyśmy wasze pismo czytali, a każecie nam, jak dzieciom, bajeczki czytać" [1]. Trzeci pismo odsyła i oświadcza, że go nadal, choćby i za darmo, czytać nie chce, bo jak się dowiedział, rej w niem wodzą „stańczycy", a „stańczycy" chcą zguby chłopa, i o tem tylko myślą, jak go w ciemności utrzymać i wrócić do dawnych pańszczyźnianych czasów; nie dodaje, że wszystkich tych interesujących szczegółów dowiedział się na ostatnim jarmarku, od umyślnie przybyłego ze Lwowa, z pękiem *Przyjaciela ludu* pod pachą, agitatora, od akademika, bawiącego się w czasie wakacyj w zapalonego „ludowca". Czwarty również pismo na bok odkłada, niby z tej, niby z owej racyi; w gruncie rzeczy dlatego, że *Przyjaciele, Pszczółki* i t. p., przyzwyczaiły go do „pikantnych" opowiadań o różnych pańskich i księżych nadużyciach; dały mu zasmakować w ostrej, osobistej polemice — a w *Krakusie, Dzwonku* napróżno takich przysmaków szukać. Jak tu wszystkim zadośćuczynić, jak uniknąć zabójczej, ze wsi do wsi, z powiatu do powiatu szerzącej się krytyki: „Nudne pismo! — nie dla chłopów to pismo!"...

[1] „Takich gazetek — pisze dosłownie do swego proboszcza w długim, bardzo charakterystycznym memoryale jeden z haczowskich włościan — które historyjkami i bajkami ludzi tumanią, już nie każdy potrzebuje, tylko ten, co nic więcej nie widział, a reszta ludzi dojrzalszych, których już bardzo spora liczba, już sobie nie dadzą oczu zamydlić"...

Czy i co na to robić?

Najłatwiej zapewne powiedzieć sobie, jak mi ćwierć żartem, ale trzy ćwierci naprawdę powiedział pewien, bardzo skądinąd zacny obywatel: „Tyle słyszę zarzutów na wszystkie nasze pisma ludowe, że w wątpliwości żadnego ani nie popieram, ani nie prenumeruję". To łatwo, wygodnie. Mniej już wygodnie, ale także mała stąd pociecha, zaprenumerować dla swej wsi, dla „Kółka" to lub owo pismo; postarać się o rozesłanie *gratis* po swoim powiecie kilku numerów *Niedzieli* lub *Krakusa,* nie troszcząc się, czy ktokolwiek do nich zagląda. Zdarzyło się, że zaglądać nikt nie chce, bo tłumaczy się: „kiedy Rada powiatowa dopłaca, kiedy panowie płacą — to w tem coś siedzi i strzedz się musimy". Można i trzeba dopomódz porządnemu pismu do powstania; przez dalsze życie ono samo przebijać się dziś i może i powinno. Dopóki samo sobie nie dopomoże, dopóki samo nie wyrobi sobie wzięcia, pewnej popularności, nie pozyska we wszystkich stronach kraju oddanych sobie czytelników i korespondentów, dopóki — mówiąc po prostu — bez subwencyi się nie obchodzi, znać że nie zapuściło w kraju głębszych korzeni, a zatem nie ma jeszcze pożądanego znaczenia, odpowiedniego wpływu.

Czy zadanie to do spełnienia niemożliwe? Oczywiście, na podżegające, skandaliczne tory, któremi kroczy np. *Przyjaciel ludu,* żadne pismo szanujące się i szukające istotnie dobra ludu wkroczyć nie może; ale i od wroga taktyki uczyć się można i zapytać, czemu — prócz powyżej już podanych, nie dających się naśladować środków — powodzenie swe zawdzięcza? Na pierwszem może miejscu bardzo obszernemu działowi „Listów", nadsyłanych sobie przez czytelników, i treściwych „Wiadomości z powiatów i gmin". I dla czytelnika z innego stanu listy te są bardzo interesujące; jakże muszą interesować tych, których bezpośrednie interesa są w nich poruszane; jaką ciekawość, jaki niejednokrotnie entuzyazm wzbudzać we wsiach, w całych okolicach, o których — jak od chałupy do chałupy telegraficzna wieść bieży — „w ostatnim *Przyjacielu* pisało". Cóż dopiero, gdy ten lub ów, własne swe imię, nazwisko w gazetce wyczyta!

Cóż, gdy *Przyjaciel*, znając z tej ciągłej, ożywionej korespondencyi, z pilnie utrzymywanych osobistych stosunków, gdzie i do kogo w jakiej wsi zwrócić się trzeba, zaprasza po nazwisku na zwołany przez siebie wiec[1]; wzywa głównych przywódców do agitacyi przed wyborami. Wielkie polityczne dzienniki, które — wyrażając się po dziennikarsku — nie „utrzymują czucia“ z swymi czytelnikami, schną na suchoty, dobić się nie mogą istotnego wpływu, żadnej poważniejszej akcyi nie są w stanie przeprowadzić; — do pisemek ludowych zasada ta w wyższym jeszcze stopniu się stosuje. Rozumieją to wszystkie socyalistyczne organy: krakowskie *Naprzody*, berlińskie *Gazety Robotnicze;* rozumieją katolickie pisma ludowe na Szląsku, takie np. *Nowiny Raciborskie*, lub *Katolik*, które czynnemu współpracownictwu olbrzymiego legionu swych czytelników zawdzięczają głównie niezwykłe swe powodzenie i materyalne i moralne; — zrozumieć to muszą i przeprowadzić katolicko-polskie ludowe pisma w Galicyi.

Przyjaciele ludu, *Wieńce*, *Pszczółki*, są głównemi centrami szkodliwej agitacyi; pisma, zastawiające się o interesa wiary, narodowości, wzajemnej harmonii między różnemi stanami, powinny być z natury rzeczy centrami kontragitacyi przeciw zgubnym tym podszeptom. Ale sama dziennikarska, a choćby wiecowa, tem bardziej sama przedwyborcza kontragitacya nie wystarczy do zatamowania zgubnych prądów; do zwrócenia całego ludowego ruchu w inne, ścisłą sprawiedliwością, ale zarazem wzajemną miłością i wyrozumiałością wyżłobione koryto. Powstrzymać tej rzeki nikt nie potrafi, choćby kto chciał, choćby widzieć nie chciał, że w jej wodach jedyna nadzieja dla zeschłej, skurczonej ojczystej ziemi; chodzi o to, aby brzegów nie

[1] „Przybywajcie więc Bojki, Skwary, Adlery, Radowie, Krempy, Łazy, Borowicze, Jasińscy, Bąby, Szmydy, Stępki, Marki, Bukowscy, Włodyki, Barniaki, Kotule, Lubasie, Fajfry, Płazy, Wójciki, i wszyscy drodzy bracia od Białej, Krakowa, Chrzanowa, Żywca, Bochni, Brzeska, Tarnowa, Dąbrowy, Pilzna, Gorlic, Jasła, Krosna, Brzozowa, Rzeszowa, Łańcuta, Kolbuszowy, Mielca, Tarnobrzega, Jarosławia, i wy bracia ze wschodniej części kraju“... (*Przyjaciel ludu* z 16 sierpnia). Takie wezwania, odezwy, raz po raz przy każdej ważniejszej okoliczności się powtarzają.

zerwała, i miasto użyźnić, nie naniosła piasku i kamieni, nie zalała, nie zniszczyła plonów, które tak jeszcze nieśmiało z pod ziemi wyglądają.

Rzeka płynie, — to najprzód wiedzieć i powiedzieć sobie trzeba; minęły bezpowrotnie czasy, kiedy miało się przed sobą spokojny, stojący staw; dziś na jego miejscu rzeka płynąca, i to płynąca z coraz większym impetem, z coraz większym, ufajmy że przemijającym, hałasem. Irytować się, lamentować, załamywać ręce, na nic się nie zda, rzeki z pewnością w biegu nie wstrzyma; ostatecznie zdrowiej to, o wiele dla całego kraju zdrowiej, choć dla kogoś w szczególności może być niewygodniej, że woda ze stojącej zmieniła się w płynącą. Sytuacya się zmieniła, i z tym faktem, powtarzamy, koniecznie należy się rachować. Chcieć traktować chłopa, jak go traktowano przed laty kilkudziesięciu, dziś nie uchodzi; on dziś inny, inne ma obowiązki, a zatem i inne prawa, inne wykształcenie, inne zapatrywanie na świat i ludzi. Potrzebnem wprowadzenie, jeśliby gdzie jeszcze wprowadzoną nie była, r ó w n e j m i a r k i w prawodawstwie, w sądzie, w urzędzie; równej, nie mniejszej, ale też i nie większej. Łatwo to powiedzieć w teoryi, i na teoryę każdy się zgodzi; cała trudność w praktycznem określeniu, gdzie, kiedy przesypuje się, lub nie dość w tej miarce dosypane po tej, czy po tamtej stronie. Tu już bezwzględnej sprawiedliwości przyjść musi w pomoc rozsądna wyrozumiałość, z którą harmonijnie łączy się wskazywanie palcem, a gdzie się da, wyrzucanie bez ceremonii za drzwi niepowołanych faktorów, pokątnych adwokatów — jakąkolwiek dają sobie nazwę: redaktorów, protektorów, przyjaciół ludu — których utrzymaniem są ludzkie spory. Brzydkie to plemię, co, gdy dwaj chwilowo poróżnieni bracia chcieliby polubownym sądem, wzajemnemi ustępstwami proces zakończyć, wołają na wszystkie tony: „Nie gódźcie się, bo z czegóż my bez procesów żyć będziemy?“

Rzeka płynie. Nie zatrzyma się jej zamknięciem oczu, odwróceniem ich w inną stronę; nie pokieruje się nią machnięciem ręki, lekceważącem słowem. Rozwijający się, rosnący ruch ludowy, to dziś w dwóch przynajmniej dzielnicach ojczyzny na-

szej: w Galicyi i w Poznańskiem, najważniejsza i najpoważniejsza kwestya. Podporządkowywać tę kwestyę pod pewne chwilowe, opurtunistyczne względy; zapatrywać się na nią i sądy o niej wydawać np. z punktu widzenia najbliższych wyborów, mówić sobie, że jak się te wybory udadzą, to już się wszystko udało — byłoby czemś, niedość powiedzieć zabawnem, byłoby u człowieka poważnie myślącego czemś nie do darowania. Po latach dziesięciu, dwudziestu, może się zmienić cały dzisiejszy system parlamentarny; o dzisiejszego fasonu posłach i wyborach drugie, trzecie pokolenie może tylko z tradycyi będzie się dowiadywać; lud zostanie — i od tego, jakie żywić będzie uczucia, jakie mu świecić będą ideały, zależeć będzie, jakim torem pójdą losy naszej ojczyzny, czego możemy się spodziewać dla naszego polskiego, katolickiego społeczeństwa...

Czem lud, tem przyszłość; czyj lud, tego przyszłość...

A czem lud będzie, jakie będą jego programy, jakie dążenia i czyny, jeżeli główne jego, przodujące fale posuwać się będą dalej, bez przeszkody, z tą samą co dziś siłą i szybkością, w tym samym kierunku?...

Ks. Jan Badeni.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Z Japonii i Korei. Dok.).

Między Czimel-po a Czi-fo, 15 czerwca 1889.

Dzień drogi między Fusanem a Czimel-po, wzdłuż wybrzeża Koreańskiego, spędzam na dokończeniu tłumaczenia z angielskiego jednego z licznych podań japońskich. Miły i spokojny dzionek; morze jak staw—bardziej jeszcze: jak żeby kto oliwy na wodę nalał; istotnie-bo też jak oliwa ta woda nieraz wygląda. Kilkakrotnie zauważyłem już ten rodzaj spokoju morza; w bardziej południowych strefach i w innej roku porze byłbym przypuszczał, że burza nas nazajutrz nawiedzi, bo zwykle ten zbytni spokój atmosfery i morza, uprzedza burzę. Owego czasu, kiedym powracał z wysp Riu-kiu, w dzień przed ową burzą, zupełnie podobne było morze: szare, niebo szare, atmosfera ciężka, przepełniona jakby popielatym prochem. Kontury gór i wybrzeży w tych razach zamazują się, jakby je woalem przykryto.

Tu, na szczęście, moje hipotezy zupełnie mylnemi się okazały; cudny czas — i dobrze, bo wybrzeże Korei należy zapewne do najtrudniejszych, najniebezpieczniejszych w świecie dla żeglugi. Naturalnym tego skutkiem jest, że to wybrzeże jest śliczne. Chwilami, zwłaszcza ostatnie godziny przed wpłynięciem do t. zw. portu w Czimel-po, zupełnie przypomina japońskie Inland-See — różnica w formacyi skał i wysepek. W Japonii jednak okryte drzewami, tu najczęściej ledwie krzewami, trawą lub nagie zu-

pełnie. Dziwna jakaś procedura matki-natury stworzyła układ tych wybrzeży. Setki skał, brył potężnych, grupami całemi sterczących z morza, setki mniejszych i większych wysp i wysepek — to wszystko tak obsiadło wybrzeże Korei, że o lądowaniu w którymkolwiek punkcie mowy być nie może. Niebezpieczeństwo polega głównie na tem, iż wybrzeża te są jeszcze niedostatecznie zbadane, i że zdaje się od czasu do czasu powstają nowe ławy; a wreszcie, że przypływ i odpływ jest niezmierny — dochodzi do 38 i 40 stóp różnicy; skutkiem czego skały niektóre, przy odpływie widoczne, w czasie przypływu nikną pod wodą i czyhają formalnie na nieostrożnego żeglarza.

Smutne to jednak wybrzeże. Niektóre tylko z tych wysepek zamieszkałe; poznać to można po daleko widocznych, obecnie żółtych polach pszenicy; ruchu, życia tu jednak żadnego nie widać. Czółenka rybackie tylko gdzieniegdzie się ukazują; zresztą wszędzie pusto, głucho, smutno. O godzinie 10-tej 14 b. m. zawijamy do portu Czimel-po. Zdala widne góry lądu stałego; mijamy mnóstwo czółen i czółenek; wreszcie dwie wielkie junki koreańskie. Czemuż nie mam aparatu fotograficznego? — rozpacz istna! Dawno czegoś równie malowniczego, ale i równie dzikiego nie widziałem! Ogromne junki, żagle spuszczone, przygotowują się jednak widocznie do dalszej żeglugi. Wszystko prymitywne, wszystko żółtawo-bronzowe w kolorze — jak ciała tych biednych Koreanów. Na pokładzie koło masztów około 40-tu, chłop w chłopa. Jedni całkiem, drudzy napół nadzy. Ciała istotnie jak z bronzu — pyszne, herkulesowe postacie; czupryna lwia, czarniejsza od węgla, związana wpół głowy białą chustką. Tak w pozach arcyartystycznych, bo natchnionych owem bezgranicznem lenistwem tego ludu, siedzą i leżą i patrzą na nas. Mijamy ich nie dalej, jak na 30 kroków. Cudny obraz — czemuż nie mogłem go uwiecznić? Czimel-po nader wspaniały zdala przedstawia widok! Ponieważ przystęp do portu właściwego — tj. do rodzaju basenu nieco głębszego, przed samem miastem położonego — jest niemożliwy, w czasie odpływu, więc rzucamy kotwicę w odległości 2—3 mil ang. od miasta. — Ławy piaskowe w całej okazałości sterczą z morza. Tuż nad ławami nieco wyżej

skały wyszczerbione, połamane; wśród nich jedyne dzieło, na jakie nowa era cywilizowana Korei się zdobyła, to potężny pal murowany, tuż nad morzem stojący, — biorę go z daleka za jakąś arcyciekawą przedhistoryczną budowlę; jakież moje rozczarowanie, gdy się dowiaduję, że to lot-miernik wysokości stanu wody! Nieco dalej żółcieje korweta wojenna chińska; za nią bieleje kanonierka amerykańska; dalej sterczy, czarny jak djabeł, jedyny okręt wojenny koreański; wreszcie drugi parowiec w usługach rządu koreańskiego, stojący pod niemiecką flagą.

Ledwie rzuciliśmy kotwicę, zbliża się kilkanaście czółen. W pierwszem siedzi pan Cafen, kapitan, Niemiec; obok, urzędnik koreańskiej marynarki wojennej *(sic)*, Niemiec. Przypływa czółno naczelnika urzędu cłowego, Niemca; wreszcie inne czółno, w niem jegomość długi, brzydki, z nosem zadartym, w ogromnym kapeluszu, z fałszywym kołnierzem u koszuli, w czarnej kurtce, żółtych nankinowych pludrach, z jasno-paliową krawatką na uszach — widocznie źle steruje czółnem, z trudnością przybija do statku — i to Niemiec? — Tak jest — wszystko Niemcy; jak mrówki wsuwają się, cisną — dziesięć razy wyrzucani, wracają, i wreszcie tak silnie się wpijają, że nic już ich wyruszyć nie potrafi. Ów jegomość w nankinowych pludrach, to reprezentant firmy Mayer et Comp. z Hamburga, głównej w Korei reprezentantki handlu europejskiego. Od szpilki do kotwicy, od guzika do szyn kolejowych, a nawet i armat w danym razie, wszystkiego u tych panów dostać można; podobnie jak u ich kolegi Niemca, pana X. Y. (zapomniałem nazwiska), który podobny interes założył w Władywostoku, jak pijawka się tam wpił, i teraz trzyma w swych ręku cały niemal handel wschodnio-sybirski.

Reprezentant panów Mayer et Comp., jak jego szef, Hamburczyk, o spadzistych ramionach, badawczo sentymentalnem spojrzeniu, rudy, czerwony, lat 26 (!), przedstawia mi się i oświadcza: *dass es ihm ein besonderes Plaisir wäre*, pokazać mi miasto i port. Naturalnie przyjmuję. Po chwili siadamy do czółna, którem on znowu źle steruje — i ruszamy ku portowi. Pierwsze moje pytanie: czy i w jaki sposób mógłbym się dostać do sto-

licy Korei? — Statek mój odpływa do Tien-tsin nazajutrz o czwartej z rana; odległość do Seul 28 mil angielskich, po złej, górzystej drodze; nimbym konia i przewodnika dostał, minęłoby co najmniej godzin dwie — jadąc na tym samym koniu (wysłać konia naprzód do zmiany nie ma możliwości), potrzebowałbym około 5-ciu godzin, by stanąć w Seul; więc fizyczna niemożliwość. — Rozpacz, rekryminacye; ale wszystko na nic. Przynajmniej, w razie gdybym się miał zdecydować na wracanie do Europy przez Amerykę, nie omieszkam i tu wrócić, i wtedy zobaczę Seul dokładnie.

Wśród tej pogawędki zbliżyliśmy się nieco do portu. Czimel-po leży amfiteatralnie na wyniosłym brzegu; u szczytu pagórka, zdala widoczny, jak zamek wyglądający dom mieszkalny pp. Mayer et Comp. Przed nami, tuż nad portem, t. zw. *Settlement* japoński, wielkie zabudowania agencyi Towarzystwa żeglugi Nippon Yusen Kaisha; dom cłowy, mieszkanie konsula japońskiego. Tu policya japońska, w japońskich mundurach. Dalej kilkadziesiąt domów japońskich; wreszcie dwa domy europejskie: pierwszy bez piętra, ale rozsiadły — to *office* pp. Mayer et Comp. z ogromnym flagowym masztem; drugi piętrowy, to *Hotel de Korée*, a w nim pan restaurator, z żoną i nadobną siostrzenicą, Austryak, jakiś biedak pędziwiatr! Na południe tych settlementów właściwe miasteczko koreańskie, nieco większe niż Fusan, równie brudne, równie biedne; chałupki niziutkie, słomą kryte, lepione z gliny. Tu także rezyduje w nieco lepszej chałupie pan gubernatur. Po śniadaniu, które mi w niezmiernie grzeczny sposób ofiarowują reprezentanci panów Mayer et Comp., jadę z jednym z nich, z którym się poznałem na statku, konno na chińskich, wcale niezłych konikach, zwiedzać okolice.

Niezmiernie dziwny krajobraz. Co chwila inny: lasu, drzew niezmiernie mało; pola pod zbożem żółte, gdzieniegdzie już żniwo; pola pod ryż ledwie zaczęto uprawiać. Ziemia, zdaje mi się, niezła, glinkowata, żółtawa. Jedziemy dość długo ścieżkami między polami; krajobraz przypomina mi nieco okolice Lwowa, nieco północne Węgry; chwilami widoki widziane, zda mi się, w Riu-kiu; chwilami jednak krajobraz istnie azyatycki, dziki —

choć pola uprawne przed nami. Pagórki nagie, trawą pokryte; w dali zamyka horyzont łańcuch gór dość znacznych; tam u stóp tych gór leży Seul.

Wjeżdżamy do znaczniejszej wsi czy miasteczka, dawnej rezydencyi gubernatora. Tu w jego domu, dziś ledwie się kupy trzymającym, strukturą zdala nieco chińskie i japońskie budowle przypominającym, podpisano pierwszy traktat między Stanami Zjednoczonemi a Koreą. Wśród wsi, między drzewami, na rusztowaniu z kilku pali, stoi rodzaj pawilonu, siedziba władzy, na wszystkie strony otwarty, cały z drzewa, jak altana; dach z dachówek ciemno-stalowych; całość malowana na pomarańczowo, czerwono i niebiesko; wzór rysunku nieco znów chiński, nieco japoński styl przypomina. Tu w cieniu wygodnie, w kuczki jak Turki, siedzi kilku, zapewne największych zasobami i rozumem. Naturalnie palą fajki, z wcale nie pachnącym tytoniem własnej uprawy. Mijamy kilka, nieco porządniej i zasobniej wyglądających domostw — ale tylko zewnątrz; wewnątrz zawsze ta sama nędza, pustka, brak wszystkiego.

Jedziemy dalej; — dwóch obdartych, brudnych, ale nie obrzydliwych ludzi, w kapeluszach zawsze dziwnych formą — niesie w niby lektyce, zupełnie podobnej do tych noszy, w których u nas kwiatki w wazonikach przenoszą — starą babulę jakąś, jeszcze od nich brudniejszą i obrzydliwą; lecą biedaki jak mogą, równo prawie z naszemi końmi. Nareszcie dostajemy się na drogę krajową, do Seul prowadzącą. Niezła być musi, póki sucho: czysta glina. Po kilkunastu minutach stajemy przed rezydencyą pana X., znowu Niemca, któremu koreański rząd powierzył założenie chowu jedwabników. Na przestrzeni może 4—6 morgów po 100 drzewek w 300-tu rzędach; wszystko małe i niezbyt tęgo wyglądające — to morwy. Wśród tego, koło drogi, rudera; napół rozwalony i walący się dom z gliny, słomą kryty, to rezydencya hodowcy naczelnego; w sieni dwa brudne stołki, coś w rodzaju drzwi prowadzi do mieszkania; teraz drzwi te zamknięte, bo pana naczelnego jedwabnika nie zastaliśmy. Brudny, świecący się jak lustro pachołek, Chińczyk, honory nam robi; a ponieważ nie mamy trybuszona, więc siekierą odtłukuję

główki flaszek od piwa. Pijemy spragnieni to ciepłe piwo; nagle zjawia się dwóch Koreańczyków u wejścia: to bonzowie żebrzący (mnisi buddyjscy). Mój towarzysz energicznem: *ka!* (idź precz), załatwia ich pokorną prośbę. Ogromne, niezmierne kapelusze słomiane, do pół twarzy spadające, w formie piramidy, są ich odznaką. Powiadają mi, że wszyscy bonzowie, wszyscy dworzanie króla, są eunuchami.

Jedziemy dalej; — przy zachodzącem słońcu, z wysokości dość znacznej widok śliczny; w głębi, po obu stronach i w naszych tyłach, góry; przed nami morze, roje wysp, skał w morzu; ku północy widne ujście rzeki Han, co od wschodu z pod Seul, potem ku północy płynąc, tu się wlewa w morze. Pytałem, czy w tej części półwyspu koreańskiego są jakiekolwiek oznaki, resztki wulkanicznej czynności ziemi? Powiedziano mi, że ich obecnie niema; przeciwnie zaś w Fusanie, na wschodnio-południowem wybrzeżu, liczne podobno solfatory jeszcze egzystują. Mimo to zdaje mi się, że powierzchnia tego kraju wszystkie oznaki wulkanicznej formacyi w tej części nosi. Czyż góry te i pagórki były kiedykolwiek lasami pokryte, nie wiem; faktem jest, że dopiero daleko za Seul mają się rozpoczynać znaczniejsze lasy; dawniej zapewne pokrywały one wszystkie te dziś nagie wyżyny. Jakkolwiek Korea ma obfitować w kruszec, jakkolwiek klimat dozwala uprawiać ryż dość daleko na północ, jest to jedno z najuboższych państw w świecie. Chiński system mandarynów, owych pijawek ludu, wyniszczył kraj, co gorsza, czyni wszelkie podniesienie się dobrobytu między ludem niemożebnem, bo pocóż chłop ma pracować, kiedy wie, że mu wszystko zabiorą. Stąd owo lenistwo i bezczynność. Głównie podobno kobiety pracują — mężczyźni fajki palą. Kobiety niezbyt ładne; zamożniejsze nie wychylają nigdy nosa poza dom, chyba zakryte; nikt ich nigdy prócz męża nie widuje. Mężczyźni wydali mi się niesłychanie zazdrosnymi; przypominają w tym względzie Mahometan.

Jak niesłychanie lud wiejski jest przeciążony, osądzić łatwo z opowiadania kapitana Megera, którego spotkałem w Czimel-po; naturalnie za autentyczność nie ręczę. Każdy zamożniejszy wła-

ściciel gruntu jest w posiadaniu pewnej liczby czynszowników, z których każdy, choć zażywa wolności osobistej, jest obowiązany dziennie pewną zmienną ilość keszów (pieniędzy miedzianych, czy bronzowych) w gotówce zapłacić swemu panu. Podatki ściąga rząd w naturze, a mianowicie ryżem je spłacają. Parowiec ów, *quasi* królewski, a raczej przez pp. Mayer et Comp. rządowi wynajmowany, jeździ od portu do portu i zbiera podatek w formie worów ryżu. Z ogólnego zbioru każdy rolnik jest obowiązany oddać rządowi 70%. Naturalnie połowa z tego przepada w kieszeniach czy spichlerzach rozmaitych mandarynów.

Więcej szczegółów o Korei dziś mi podać trudno, choć słyszałem ich co niemiara — ale ze źródeł, mojem zdaniem, zupełnie niekompetentnych. Niestety, nie spotkałem misyonarzy. Biskup i misye rezydują w Seul. Owi dwaj misyonarze, którzy mieli ze mną jechać, nie przyjechali. Biskupa niezmiernie wszyscy chwalą. Jutro mamy być w Czi-fo, już w Chinach. Stamtąd na północny zachód do Taku, morskiego portu Tien-tsinu.

W szeregu listów z Japonii, drukowanych w tym roku w *Przeglądzie*, znajdują się dwie luki: w liście datowanym z 17-go marca (numer *Przeglądu* z czerwca, str. 394) rozpoczyna nasz podróżnik wycieczkę do niezwiedzonych prawie dotąd wysepek, daleko na południe od Japonii wysuniętych, pod 26° szerokości, Riu-kiu zwanych; — a potem urywa się wątek tej podróży, i opisu tych wysp niema. W innym znów liście z kwietnia podróżnik nasz zapowiada audyencyę u Mikada — a dalej opisu tej audyencyi nie podaje.

Otóż teraz dopiero udało nam się szczęśliwie odszukać listy, których brakowało: dwa z wyprawy do wysp Riu-kiu, jeden z Tokio o audyencyi. Sądzimy, że czytelnicy nasi, po przeczytaniu tych listów, wdzięczni nam będą, żeśmy je, choć dodatkowo, zamieścili.

(*Nb.* data listu, umieszczonego w numerze *Przeglądu* lipcowym, str. 35, była zapewne przez nas zmyloną).

Redakcya.

Napa, port wyspy Riu-kiu, 25 marca.

Choć w brzydki czas ruszać się trudno, a dziś brzydko na dworze, bo deszcz co chwila przepaduje, jest to jednak rodzajem ofiary, będąc na wyspie od stolicy Japonii o przeszło 1200 mil morskich odległej, wśród Oceanu Spokojnego położonej, dotąd ledwie przez dwóch żyjących Europejczyków znanej — będąc, powtarzam, na takiej wyspie, zamiast iść patrzeć i oglądać, siąść przy rodzaju stolika, który mi dano, i pisać. Jest to rodzajem ofiary; w nadziei jednak, że list z takich okolic napisany, właśnie pewną przyjemność moim wszystkim najmilszym sprawi, ze szczęściem prawdziwem zasiadam i w pośpiechu tych kilka uwag o tej dziwnej, odległej wyspie na papier rzucam. List ten wyjedzie stąd ze mną równocześnie, pragnę go tutaj rzucić na pocztę dla oryginalności!

Wywlókłszy z tego kraju króla, który panował nad całym rojem wysp i wysepek, osadzili go w swej stolicy, i tam jak więźnia pod dziwacznemi pozorami trzymają. Gdym spytał, co porabia syn królewski, który mieszka w pałacu starodawnym królów, w stolicy kraju Sziuri położonym — ów stereotypowy, głupkowaty uśmiech, co wiecznie twarz każdego Japończyka przekrzywia, zmienił się w brzydki uśmiech wzgardy i nibyto litości, i mój towarzysz, jeden z urzędników japońskich, przydzielonych mi jako tłumacze, odpowiedział: Syn królewski nic nie robi; ma wiele żon i kobiet wkoło siebie, gra i śpiewa po całych dniach!

Wczoraj wieczorem gubernator tego kraju — powiedzmy: tej kolonii japońskiej — dał obiad na moją cześć. Obiad wprawdzie był podany według starego obyczaju dworu w Sziuri; wino i wódkę, *sake* zwaną, która wino zastępuje w tych krajach, nalewali synowie dawnych senatorów tego kraju — ale przy stole z nami nie siedział ani jeden z przedstawicieli szlachty tutejszej; same piszczyki, gryzipiórki, japońskie urzędniki, kulturtraegery. A gdy w czasie wieczerzy tancerze tutejsi wspaniałe starodawne tańce rozpoczęli, gdy następnie odegrano jeden akt wielkiej jakby tragedyi czy epopei narodowej, gdzie syn mścił

ojca na jego mordercach — wtedy to miałem dowód niezbity, że Japończyk ani słowa z mowy ludu tutejszego nie rozumie, nie zna go, nie chce znać; uważa go za coś niższego, głupszego, gorszego; ale ponieważ posiadanie tej ziemi wydaje mu się korzystnem, ważnem dla jego handlu i strategii, więc zabrał kraj, swą mowę ludowi narzuca, króla mu więzi, syna królewskiego trunkiem i rozwiązłością ogłupia i wyniszcza, kraj podatkami wysysa; a przed sobą i światem dobroczyńcę, światłodawcę udaje.

Oto w kilku słowach historya kilkunastu ostatnich lat panowania japońskiego w tym kraju! To charakterystyka stosunku Japonii, tj. dzisiejszego zcentralizowanego jej rządu, do t. zw. japońskich kolonij, tj. posiadłości poza obrębem głównego archipelagu położonych. Patrząc dziś na ten pałac królewski, na zamek opuszczony przez króla Riu-kiu, którego zmuszono do mieszkania w Tokio — zajęty dziś przez żołdaków japońskich, strojem pruskie wojsko przypominających, zdawało mi się, że widzę Wawel lub Zamek warszawski.

A teraz przypatrzmy się ludowi, krajowi, który ten rząd japoński znosi. — Postawa wspaniała. Lud prosty niewiele od szlachty różny. Szlachta dziś rozpuszczona, chowa się w zakamarkach, po domach i ogrodach; niektórzy tylko, ostrzygłszy piękną, staro-germańską przypominającą fryzurę, wstąpili do urzędów japońskich. Twarze o rysach regularnych, wyniosłem czole; wzrostem nam równi, Japończyków o całą głowę przerastają; strój dziś przypomina japoński; tylko jeszcze fryzura pozostała według dawnego zwyczaju; wszystkie włosy w górę, a na czubie głowy rodzaj loka, zwiniętego starannie i spiętego dwoma szpilkami formy łyżek srebrnych. Ruchy spokojne, powolne, pańskie; ów nieznośny, wieczny uśmiech japoński, tu nieznany.

Kraj piękny, miejscami bardzo nawet piękny; wyspa główna, którą właśnie zwiedzam, to rafa koralowa, którą kiedyś zapewne zmęczone dźwiganiem dno morskie chciało zrzucić i nie mogło, więc tylko podniosło, wypchnęło w górę; i tak powstała wyspa. Stąd ziemia trudna do obrobienia, bo pomału, w biegu wieków

koral musiał wietrzeć i w urodzajną przemieniać się glebę, lud więc bardzo pracowity, rolnictwem, niegdyś i przemysłem się trudnił. A że klimat ciepły, zdrowy, bo wśród Oceanu Spokojnego się żyje — więc lud urósł z pomocą Boga w piękną, silną, czerstwą rasę. Przytem, jak każdy silny, jak każdy co daleko od innych ludzi urósł i nie miał sposobności gangreną drugich być zarażonym, tak ten lud spokojny, dobry, żyje dziś jeszcze życiem świata z przed lat tysiąca. Młody malarz, Austryak, Franz Neydhardt, którego wziąłem ze sobą, zrobił 54 zdjęć fotograficznych okolic, przez które w tych kilku dniach pobytu na wyspie Riu-kiu przejeżdżaliśmy; te lepiej ode mnie opowiedzą, jak kraj i ludzie wyglądają. Opisy wszelkie, choć może arcydzieła pióra, dają, według mnie, takie wyobrażenie o kraju nieznanym, jak krajobraz widziany przez szklankę napełnioną wodą. Widzi się, że tam coś jest z drugiej strony, ale co, jak to coś wygląda w istocie, o tem soczewka w formie szklanki wyobrażenia dać nie może. Tak też w opisach; regularnie się albo przesadzi, albo nie dosadzi, już choćby dlatego, że się w opisie wiele rzeczy, szczegółów, jako samo przez się rozumiejących się, nie podaje, a one często o istocie rzeczy stanowią. Pisząc romans, opisywałbym naturę; pisząc dziennik podróży, notuję tylko ogólnikowo wrażenia; przytem fotografie kupuję.

A teraz parę słów o moim pobycie w Riu-kiu. Dawno nie napękałem się tyle, co w czasie tego pobytu; mówię: pękałem, bo musząc śmiech wstrzymywać i kryć, pękałem istotnie w rzadkich chwilach, kiedyśmy byli sami. Biorą mię widocznie za austryackiego księcia krwi. Stąd gubernator, dowiedziawszy się o mojej obecności na terytoryum jego władzy podwładnem, wysłał natychmiast oficera straży bezpieczeństwa na powitanie mnie; przed hotelikiem japońskim, w którym mieszkaliśmy, stał nieustannie posterunek policyjny; dwóch urzędników, niby mówiących po angielsku i niemiecku, przydzielono mi jako tłumaczów, z rozkazem bycia na moje rozkazy dzień i noc; konie i wózek, ciągnione przez ludzi, tak zwane *riksa*, należące do gubernatora, nosiły nas i woziły po wszystkich kątach wyspy. Gubernator urządził wspaniały obiad, z przedstawieniem teatral-

nem połączony, na moją cześć. Nic zabawniejszego, nic bardziej komicznego, jak miny skruszone i przestraszone tych panów, gdy się do mnie zbliżali, a wyraz podziwu i uwielbienia, gdym odpowiadał na toasty, wychwalając postępowanie rządu japońskiego w swoich koloniach państwowych, i wznosił okrzyk na cześć cywilizacyi i Mikada.

Wieczory równie jak dnie, szczelnie zapełnione rozrywkami wszelkiego gatunku; między któremi na pierwszem miejscu, japońskim zwyczajem, śpiew, tańce i muzyka tak zwanych *gecha*'ów, czyli bajader. Dziwne to wszystko i ciekawe. O japońskich tańcach jużem coś pisał zdaje mi się; otóż o wiele ciekawsze, piękniejsze zdają mi się tańce riukijskie. Tak jak twarzą, wzrostem, rysami, mową, charakterem i temperamentem, tak też i tańcem i muzyką różnią się zupełnie mieszkańcy wyspy Riukiu (po japońsku Okinada) od Japończyków. Japoński taniec wiecznie ten sam, nużący wkońcu monotonnością i tożsamością stroju tańczących. Tu rozmaitość ruchów, stroju, aryi, nawet instrumentów; a wszystko poważne, prastare, rycerskie. Stroje, które widziałem na scenie, w czasie obiadu danego na moją cześć (a wszystkieśmy odfotografowali), przypominają doprawdy babilońskie i syryjskie z przed lat tysiąca. Muzyka raczej zbliżona do jakichś, niewiem gdzie doprawdy słyszanych aryj arabskich, tureckich, starosłowiańskich. Śpiewy religijne tych ludzi, które dziś na pożegnanie nas śpiewała cała grupa kobiet, synów i mężów, proszących niebiosa o dobrą podróż, śpiewy te dziwnie mi przypominały wieloma motywami „Aidę".

Lud to przytem nader szlachetny, powolnego, dobrego, łagodnego charakteru, myślący, mniej mówiący niż japoński, choć także wesoły, uprzejmy, mimowoli sympatyę budzi. To też w chwili gdy wsiąść mamy na statek, mimowoli patrząc na ten kraj piękny i lud piękny, położeniem swem dzisiejszem nieco do nas zbliżony — patrząc na te warowne wały nad portem, stawiane, lat temu setki, przez potężnych niegdyś królów przeciw inwazyom chińskim — patrząc na opodal leżące, do zamków podobne groby książąt tej wyspy, mimowoli żałuję, że już koniec tego pobytu — mimowoli, Bóg wie dlaczego, chciałbym

tem ostatniem spojrzeniem uścisnąć, w pamięci i sercu na zawsze wyryć ten krajobraz, te typy szlachetne. *Auf nimmer Wiedersehen*, powiedział obok mnie stojący mój malarzyna; i doprawdy smutno mi się zrobiło; jak sen minął ten pobyt, jak sen bezpowrotnie, a żegnając ludzi i kraje z świadomością, że się już nigdy ich nie ma zobaczyć, zawsze jakiś rodzaj smutku czy tęsknoty do serca się wkrada.

Na pokładzie „Minomazu", 1 kwietnia.

Zamiast 26 marca, jak przepis wymagał, wyjechaliśmy — dla bardzo złego stanu powietrza, niesłychanego wichru wschodniego, sprowadzającego w tych okolicach deszcze, burze i niesłychanie niespokojne morze — dopiero 27 popołudniu, w przepyszny pozornie czas. Na drugi dzień już jednak żałowaliśmy niezmiernie, żeśmy Riu-kiu opuścili: raz, bo pobyt tam był i niesłychanie miły i ciekawy, powtóre, bo w przystani wyspy Oszima, jeszcze do archipelagu Riu-kiu należącej, gdzie musieliśmy się zatrzymać 12 godzin, zerwał się orkan, czyniący dalszą podróż niemożliwą, tak że po naradzie z nami, nasz poczciwy i zacny kapitan Japończyk zdecydował się przeczekać. Z mniej pięknym czasem niż onegdaj, wyruszyliśmy ku Satsumie. Ocean ów, chyba przez kłamliwe podchlebstwo „Spokojnym" nazwany, bardzo się zaczynał gniewać i burzyć; nasz stateczek, ledwie 500 ton obejmujący, skakał biedactwo jak opętany. Mimo to szczęśliwie wjechaliśmy w ową cudownie piękną przystań Kagoszimy, stolicy wyspy Kiusziu, w archipelagu japońskim, inaczej Satsumą zwanej (skąd owe sławne porcelany pochodzą).

W Kagoszimie dwa dni. Zwiedzamy znowu, przy pysznej pogodzie, rezydencyę medyatyzowanego księcia Satsumy. Istny raj, pieścidełko, z ślicznym ogrodem, tuż nad ową idealną zatoką morską położonym, od tyłu i dwóch boków zasłoniętym cudnej formy pagórkami, gęstą, bujną, wiecznie zieloną zgrają drzew, aż po czuby obrosłemi. A że teraz wiosna, więc wszystko prawie w kwiecie; owe sławne japońskie owocowe drzewa, brzo-

śliwinie, śliwki i wiśnie, bez liści, ale okryte cudnie woniejącym, wielkim, pełnym kwiatem!

Wreszcie wczoraj, więc 31 marca, wieczorem, po dziwnie spokojnej wodzie w zatoce, wyruszyliśmy ku Kobe, więc ku głównej wyspie japońskiej. Powiedziałem: dziwnie spokojną była owa woda — aż nadto spokojna. A tak świeciła jeszcze przed zachodem słońca, tak lśniła, takie miliony światełek z każdej najmniejszej falki się sypały, że już po tem samem doświadczony marynarz mógł wnioskować, że się na oceanie coś złego święci. My jednak, niezbyt na to zważając, ciesząc się raczej, że zatoka taka błyszcząca, najspokojniej do snu się układamy. Już przecie około 2-giej w nocy zbudziło mnie niezwykłe hibotanie się statku i niepokój między mojemi rzeczami w kajucie. Zaspany, nie zważam wiele i zasypiam na drugi bok. Znowu mnie budzi gwałtowny ruch okrętu, znowu zasypiam, i tak do świtu! Teraz jednak zanadto zaczęło wszystko w kajucie tańcować; nie mogłem zasnąć; wstaję, idę do parapetu statku; nie mogę jednak ustać: statek kiwa się szalenie. Wyglądam: niebo ołowiano-szare, morze szaro-zielone, deszcz drobny siecze w okna, które dobroczynna jakaś ręka, na szczęście zawczasu, w nocy pozamykała. Chcę się nieco umyć i wyjść na pokład, by się przekonać, co właściwie na dworze się dzieje; — w tej chwili coś rzuca tak strasznie statkiem, że ja wraz z karafką i szklanką jak piłka przelatuję z jednego końca kajuty na drugi. Myślę: źle! Nie myję się; chcę wyjść na górę; statek tak skacze, że ledwie na czworakach wydrapać się mogłem. Na górze widok doprawdy straszny przedstawia się moim istotnie osłupiałym oczom. Wicher szalony od wschodu świszcze i szumi; deszcz siecze jak rózgami; a formalne góry wodne, niepojętej wysokości i szerokości, jadą z szybkością wichru na statek, który w tych strasznych pląsach skacze, kiwa się, podnosi, upada, przechyla z jednej na drugą stronę, jak opętany! O staniu na nogach, bez silnego trzymania się czegokowiek oburącz, ani mowy. Siadam więc na kanapce, koło krytych schodów, trzymam się oburącz; ale i to nie pomaga; za chwilę bowiem przysuwa się ku nam góra wodna, dwa razy od naszego statku wyższa; najpierw bo-

kiem, potem grzbietem porywa statek; wreszcie na drugą stronę przerzuca, podaje go drugiej jeszcze większej górze; statek co chwila pochyla się pod kątem prawie prostym do powierzchni morza; ja zsuwam się z kanapy, dobrze że nie wpadam do wody — uciekam.

Czem dalej ku południowi jednak, tem gorzej. Wicher coraz silniejszy; morze przybiera jakiś kolor zielony, brzydki, zły; fale rosną coraz, co chwila wali któraś z niewidzianą siłą na pokład. Doprawdy widok straszny, uczucie fatalne, taka samotność na łupince takiej, wśród tego ryczącego, złego oceanu. Schodzę do kabiny, kładę się, i doprawdy w niewesołem usposobieniu zaczynam mówić pacierze. Wtedy, proszę mi wierzyć, przeżyłem kilka godzin, których nikomu nie życzę. Pytanie: czy stateczek nasz wytrzyma tę nawalnicę wichru, deszczu i tych strasznych bałwanów — ciągle staje przed oczyma. Czując i widząc, jak się ta łupina kiwa, jak trzeszczy, jak drży cała, odpowiedź, że nie wytrzyma, coraz częściej przez myśl przelatuje. Nie przebywszy na morzu jeszcze nigdy prawdziwej burzy, niema się pojęcia, co taki stateczek wytrzyma; wydaje się, że za każdą nową falą musi się przewrócić.

Nagle wśród tego huku — cisza; słychać głosy i bieganie na pokładzie i dwukrotny świst alarmowy maszynisty, śruba przestaje funkcyonować! Wypadam na pokład — co się stało? Niemym ruchem pokazują, bardziej niż kiedy rozhukane morze. O Boże, bądź nam miłościw! człowiek w morzu — z pośród dwóch gór wodnych błysnęła mi jego głowa. Statek jednak, choć zatrzymano maszynę, pchany własnym rozpędem i falami, z przerażającą w takich chwilach szybkością oddala się od tego nieszczęsnego! Tej chwili w życiu nie zapomnę. Jakże się to jednak stało? Oto majtek jeden z wprawniejszych, wraz z drugim byli zajęci przy przymocowywaniu żagli, które choć na parowcu, zawsze w takich wietrznych chwilach rozpinają, dla łatwiejszego utrzymania równowagi. Nagle statek pogłębił się szalenie w przepaść między dwie fale, następująca fala przelała się ponad pokład — i owych dwu ludzi zniknęło. Jeden zatrzymał się przecież między sznurami, drugiego porwało morze. Oficer (Japoń-

czyk) pełniący służbę, widząc co się stało, z niesłychaną przytomnością umysłu, jedną ręką dał sygnał, *stopp*, maszyniście, a drugą ręką rzucił tonącemu obręcz ratunkową. Mimo to patrząc za nim, po kilku sekundach straciliśmy go z oczu. Tu, *post festum* muszę przyznać, że Japończycy mi zaimponowali swą zimną krwią. W największym ładzie i spokoju, mimo szalejącego żywiołu, ściągnięto natychmiast żagle; jeden wydrapał się na szczyt masztu, by szukać oczyma za porwanym, i statek począł się wracać. Po długich 10 minutach ujrzeliśmy tego biedaka o jakich 300 kroków — żył jeszcze, nie utonął! Nader zgrabnym ruchem samego tylko steru, postawiono statek tak, że fale same tego biedaka powoli przynosiły ku nam. Po 10 minutach dalszych, był on na pokładzie — i żywy. Ale tych dziesięć minut!

Nie mogąc spokojnie i bezczynnie patrzeć na ten obraz grozy, o jakiej pojęcia się nie ma, gdy się go nie widziało, począłem modlić się o ratunek dla biedaka i dla nas; bo morze doprawdy jakby wściekłe, że mu ofiarę wydzierano z paszczy, poczęło ze zdwojoną jeszcze siłą ryczeć, szumieć i bałwanami ciskać. Statek jęczał formalnie, jakby ostatnich dobywając sił w tej nierównej walce. Pierwszy raz w życiu widząc tę potęgę żywiołów, ten słaby stateczek i tego nieboraka w morzu, który ledwie wpadłszy do wody, już porwany przez fale, jak punkcik wyglądał — pierwszy raz w życiu miałem uczucie, że patrzę śmierci w oczy — a te oczy na morzu rozhukanem, są bardzo nieładne. Ale Bogu dziękowałem i dziękuję, że mi pozwolił przebyć takie przejście, bo wiele, bardzo wiele w takich kilku chwilach nauczyć się można. Wtedy doprawdy staje się napoły już przed sądem bożym; w mgnieniu oka całe życie staje przed oczyma duszy, i widzi się niestety, jak życie to w dodatnie strony ubogie. Strasznie musi być umierać samotnie na tym oceanie, który sam jako wieczność wygląda i odczuwać nam daje ogrom i grozę tej wieczności i naszą wobec niej maleńkość i bezsilność.

Może kiedy czytać będziecie, spokojnie w fotelu, ten mój list; wyda się wam, moi drodzy, że przesadzam grozę położenia; nie wiem — zdaje mi się że nie. W każdym razie mój malarz, choć pół świata objechał, powtarza: *So was Schauderhaftes, so*

was Entsetzliches habe ich in meinem Leben nicht geahnt! Bo też co prawda, Ocean Spokojny jak się rozkołysze, to nie na żarty. Nad wieczorem wicher zwolniał nieco, deszcz przestał padać, i ujrzeliśmy nareszcie na horyzoncie ląd, wyspy japońskie, koło których zdaje się przez pół dnia skakaliśmy jak opętani. Teraz płyniemy mimo wichru spokojnie, bo mamy na wsze strony ląd; jesteśmy w t. zw. Inland-See, morzu wewnętrznem japońskiem; jutro, da Bóg, staniemy popołudniu w Kobe, porcie jednym z większych w Japonii.

Wracając przez Sybir, chcę po drodze wstąpić do Częstochowy.

Tokio, 20 kwietnia.

Przed kilku godzinami wróciłem z audyencyi u Mikada. Właściwie mniej była ciekawa, niż się spodziewałem, bo zupełnie prawie według europejskich zwyczajów wszystko się odbyło. Pałac, na miejsce dawnego, przed paru laty zgorzałego, nowo postawiony — swoją drogą prześliczny. Choć wiele tu, niestety, europejskiego wprowadzono elementu, jednak całość nie-europejska — całość przecie japońska, prostotą niesłychaną, kilku zaledwie szczegółami niesłychanej kosztowności zadziwiająca, wspaniała, iście pańska.

Przez trzy rzędy niebotycznych prawie murów, z głazów granitowych, ciągle przez mosty śmiało rzucane nad rowami obronnemi, wjeżdżasz na znaczne wzgórze, gdzie samo *atrium* stoi. Niezmiernej szerokości wschody, do niesłychanie przestronej acz niezbyt wysokiej prowadzą hali; stąpasz ciągle po ślicznych, skromnością kolorytu uderzających dywanach. Budynek sam, raczej miasto całe budynków, o dwa razy łamanych, ogromnych, rozsiadłych dachach japońskich, bez piętra, jak wszystkie japońskie, ale niesłychanie przestronny — prawdziwie pański, — bo po cóż ma się pańska noga męczyć po wschodach — miejsca na ziemi jest tyle, ile serce zapragnie, więc też budują wszerz bez miary i końca. Przez długie, szerokie, widne, niezbyt wysokie korytarze, zdobne tylko w cudnej czystości i uroku

pełne mury szare, o złocistym deseniu, wchodzimy do sali poczekalnej. Jako proporcye — nic piękniejszego; okien mnóstwo, światła, powietrza dużo. Wszystkie okna i drzwi — to arcydzieła; po prostu prześlicznej barwy wiśniowo-bronzowej drzewo, lakiem tegoż koloru kryte, oprawne w nader proste, cyzelowane w bronzie złoconym okucia. Sufit w kasetony; *boiseria*, znowuż ów cudownej barwy lak bronzowy i złocony bronz, a jako motyw milion razy powtarzający się kwiat chryzantemu: herb Mikadów.

W środku sali kwiaty, ale kwiaty japońskie, tj. lasek zieloności cudnej, świeżej, z pomiędzy której widoczny wodotrysk wody lewandowej. Na ścianach kilka arcydzieł sztuki japońskiej, t. zw. *kakemono*, obrazy na jedwabiu; więc gałązka śliwki w kwiatach, a w dali wschodzi z pomiędzy lekkich chmurek blady jeszcze księżyc; obok kogut wspaniały, czemuś w złym humorze, szuka ziarna na ziemi, ale okiem pełnem dumy i gniewu zarazem szuka rywala. Niestety, wkradły się tu portyery i krzesła europejskie; te psują, niszczą całą tę idealnie prostą, tak niesłychanie pańską harmonię.

Wreszcie wielki mistrz ceremonii: figura ciekawa, twarz sprytna, niestety ubrany, jak wszyscy dworzanie, w mundur przypominający europejski — oznajmia, że chwila przyjęcia się zbliżyła. Biegeleben, otoczony i poprzedzony przez ochmistrzów, ministrów, szambelanów, idzie naprzód. Grobowa cisza; po dwóch wschodach wchodzimy do innego krużganku; cudownej roboty parawan wzbrania oczom niepowołanych przystępu do *atrium* najświętszego. Biegeleben wchodzi; po trzech ukłonach z daleka poznaję, że jest przed obliczem bóstwa Mikada. Przemowa ministra po francusku krótka; tłumaczą ją na japońskie; cesarz zupełnie bezdźwięcznym głosem, a raczej szepcząc coś, odpowiada, co nam tłumaczą jako słowa powitania i kondolencyi zarazem, z powodu nieszczęsnej śmierci arcyksięcia Rudolfa. Potem kilka frazesów konwencyonalnych; wreszcie Biegeleben przedstawia mnie. Teraz dopiero po raz pierwszy przypatruję się oko w oko Mikadowi. Wśród sali zupełnie pustej, w środku mniej więcej stoi Mikado; za nim cudnej roboty tron, krzesło kurulne

nizkie, jego figurą zasłonięte; wkoło sali zamiast mebli — dostojnicy rozliczni. Mikado w uniformie europejskiego kroju, ciemno-brunatnym, w szerokich spodniach, za długich; nogi w kolanach trochę zgięte; palce od nóg do środka (tak każe szyk i etykieta); ledwo stoi, oparty na pałaszu czy szpadzie; ma dość długą, cienkowłosą, kruczą brodę; krucze, od lat nie strzyżone włosy spadają mu nad uszami, jak pejsy lub loki; twarz blado-żółta, oczy czarne, nos prosty, ale kartoflowaty, szeroki; usta wielkie, zmysłowe.

Jak mnie zobaczył, wybałuszył oczy jeszcze bardziej, i tak przez chwilę trzeszczyliśmy oczy wzajemnie na siebie; widocznie zdziwiony, nawet przerażony był Mikado, widząc przed sobą książęcia, w starym fraku czarnym, z wytartemi guzikami zamiast orderów, i niezbyt świeżą krawatą białą (cztery miesiące podróży zredukowały moją garderobę niesłychanie). Ten biedny Mikado! toć to typ manekina przebranego; bo też to ogólnie wiadome, że to człowiek wielce ograniczony, bez inicyatywy — człowiek, który od lat się już przyzwyczaił do *laissez faire* i do *far niente*. Parę jeszcze frazesów grzecznych nawzajem, i Mikado szepcze coś do ucha tłumacza, który mi powtarza: że Jego Królewska Mość z przyjemnością zobaczy jeszcze moją ekscellencyę; poczem ruch ledwie spostrzegalny głowy Mikada oznacza, że audyencya skończona. Trzy ukłony; wychodzimy rakiem i — *finita la comedia.*

W gruncie, choć tu przyjęto cywilizacyę europejską, choć dziś małpują Europę nadaną konstytucyą, choć uniformy na model pruski krajane, mimo to wszystko, bardziej tu Azyę czuć, niż w Syamie. Tu istotnie czuć ogólne przekonanie, a zwłaszcza samego Mikady, że reszta świata — to ludzie, a on — bóstwo. Dlatego nigdy się ruszać, nigdy głośno mówić, ledwie się uśmiechnąć mu wolno; dlatego, choć lat tyle już minęło, przyjęcie przez Mikada, opisane tak znakomicie przez Hübnera, dziś jeszcze jest prawdziwem.

Paweł Sapieha.

Doloras i Dolores — Campoamor i Ballart.

Z literatury hiszpańskiej.

W naszych czasach pisać wiersze wydaje się naiwnością, a cóż dopiero pisać o wierszach, i to jeszcze o wierszach hiszpańskich! A jednak gdy się samemu coś ładnego przeczyta, szkoda jest nie podzielić się tem z nikim. Mamy właśnie przed sobą dwie książki, dwa tomy poezyj bardzo różnej treści, a prawie z jednako brzmiącym tytułem: *Doloras* i *Dolores*. Ostatnie jest znanem imieniem, skróconem od *Maria de los dolores*, dawanem na cześć Matki Boskiej Bolesnej. Hiszpanie pod tym względem pozwalają sobie niesłychanych, mniej lub więcej poetycznych licencyj: mnóstwo imion kobiecych, jak Augustias, Lagrimas, Paz i t. p., wywodzi się od imienia N. Panny. Jest to jedyny kraj na świecie, gdzie ludzie ośmielają się nadawać dzieciom imię Jezus lub Jezusa! — Ale wracajmy do naszej książki. Autorem jej jest wysoko obecnie ceniony poeta Federico Ballart, którego nazwisko zdradza obce pochodzenie rodziny, osiadłej może już przed wiekami na ziemi hiszpańskiej.

Autorem pierwszego dzieła, zatytułowanego: *Doloras*, jest Don Ramon de Campoamor, mąż już wiekowy, od dawna uznany i wsławiony w niejednym kierunku, stojący dziś, może w braku innego, na szczycie hiszpańskiego Parnasu. Pomiędzy tymi dwoma różnica jest ogromna, a jednak trafiają się utwory, pod któremi możnaby na ślepo jednego lub drugiego nazwisko podpisać.

Noszą bowiem bardzo wybitne piętno swego czasu, a nadto spotykają się na punkcie najważniejszym, na punkcie wiary. Są to jakoby dwa strumienie, które do jednego dopływają ujścia, tylko że podczas gdy strumień Ballarta przepływa przez puste wzgórza, po ostrych skałach i cierniach, skąd znużony ale przejrzysty i nieskalany wydostaje się na szerokie, jasne przestrzenie miłości bożej — strumień Campoamora przeciwnie, toczy się wzdłuż ulic miejskich i miejskich kanałów, skąd kału ludzkiego wpada doń bardzo wiele. Nie przeszkadza to, że fale jego płyną może bystrzej i szerszem korytem: tak przynajmniej głosi „królowa opinia", a my, ulegając jej władzy, zaczniemy nasz przegląd od jej ulubionego poety.

I.

Don Ramon de Campoamor urodził się 24 września 1817 r. w Navia de Luarea w Asturyi. Na wstępie obdarzyła go Opatrzność nazwiskiem, jakoby umyślnie dla poety stworzonem, tworzącem samo przez się aureolę harmonii wokoło jego głowy. Niejednego może ta uwaga rozśmieszy, ale jeżeli się zastanowi, uzna zapewne, że dla żadnego rodzaju sławy brzmienie nazwiska nie jest rzeczą obojętną. Gete ostrzega w swojem *Aus meinem Leben*, aby nigdy, nie chcąc zranić bliźniego, nie żartować z jego nazwiska: jest to bowiem jakoby skóra oblekająca człowieka, a której niepodobna dotknąć, aby tego nie czuła cała jego istota. Ramon de Campoamor zatem miał już to ułatwienie z góry, że nie potrzebował, jak niejeden artysta to czyni, brać pseudonimu — niemal dla przyzwoitości. Zrazu jednak nie w stronę Helikonu poczęli go kierować rodzice; ukończywszy nauki w mieście portowem La Vega, podążył do Madrytu w celu poświęcenia się medycynie. Ale tu wkrótce pochłonęła go filozofia, literatura i polityka. Rozpoczął karyerę administracyjną, a równocześnie jął zdobywać poetycką sławę; w 23 roku życia znany już był zaszczytnie między literatami w Hiszpanii, wydawał swoje: „Jęki duszy" *(Ayes del alma)*, „Czułości i kwiaty" *(Ternezas y flores)*, i swoje „Bajki moralne i polityczne". Zawód administracyjny również nie okazał się dla niego strasznym dwuznacznikiem, ja-

kim bywa dla wielu: w zawodzie swoim nie doznał zawodu; widzimy go bowiem gubernatorem w Castellon, potem w Alicante, a wreszcie w Walencyi.

W tej ostatniej — prawdziwym raju Hiszpanii, ponad którym świeci jeszcze w całej pełni chwała rycerskiego Cyda — rozmiłował się wielce Campoamor. Utrzymuje on, iż tam „sama natura ma w sobie coś lekkiego, uduchownionego, mężczyźni posiadają wdzięk niewieści, a kobiety powiewne są jak anioły", że „samo miasto wiecznie się śmieje, śmiechem niewygasłym, jak bogowie Homera". Entuzyazm ten, sprzeciwiający się zdaniu o Walencyi św. Wincentego Ferreryusza, który, jak przytacza sam Campoamor, wychodząc z miasta otrząsnął obuwie, aby nawet pył z Walencyi na niem nie pozostał — entuzyazm ten nie przeszkadzał naszemu poecie spełniać sumiennie obowiązków gubernatora prowincyi. Nadarzyła mu się nawet tamże sposobność zdobycia laurów, nie mających nic wspólnego z wieńcami poety. Było to w r. 1854 — dzieje dawne, bo i bohater nie młody — w czasie jednego z owych zbrojnych zaburzeń, *un pronunciamiento militar*, rzeczy nie rzadkiej wówczas w Hiszpanii, a którą, jak twierdzi Campoamor, rzeczypospolite amerykańskie zaraziły dawną matkę ojczyznę, w zamian za odziedziczone po niej złe rządy i niewolnictwo. Bunt wojska, wsparty rewolucyą uliczną, nie jest łatwy do stłumienia; uległy mu też kolejno wszystkie główne miasta Hiszpanii. „Towarzyszyły mu, jak zwykle — pisze autor — wszystkie plagi egipskie: zaraza, wojna, głód, oraz plaga oszczerców, którą możemy nazwać plagą plugawych zwierząt".

Nareszcie przyszła kolej i na Walencyę. Campoamor, wierny rządowi, bronił z energią do ostatniej chwili zasady karności i ładu; wkońcu jednak ujrzał się bezsilnym. Wtedy postąpił w sposób dosyć oryginalny: „Zaledwie dowiedziałem się, — opowiada — iż wszyscy inni przedstawiciele władzy publicznej uznali za stosowne paktować z rewolucyą, stawając sami na jej czele, postanowiłem wypalić ostatnie prochy i zasiadłem do stołu, pragnąc aby ostatecznym moim czynem urzędowym był toast na cześć sprawy, która za chwilę miała być zwyciężoną. Jak aktor umierający na scenie układa fałdy płaszcza by upaść z godno-

ścią, tak ja chciałem, aby w ostatniej chwili moich rządów motłoch mnie zastał z uśmiechem na ustach. Mówię: w o s t a t n i e c h w i l i, przyznaję bowiem otwarcie, że słysząc zbliżający się po ulicach huk rozkiełznanej rewolucyjnej burzy, przypomniałem sobie, iż przed jedenastu laty też same ulice zbroczono krwią mego poprzednika, nieszczęsnego Camacho". Campoamor siadł tedy do obiadu w towarzystwie kilku przyjaciół i urzędników, i tu w istocie spełniano toast na cześć „upadłych", gdy tłuszcza opanowała pałac, cisnąc się i do sali jadalnej. Wtedy wstali od stołu, „trzeba bowiem było porzucić między innemi i wety, gdyż wobec liczby nowych gości nie byłoby i tak wystarczyło dla wszystkich". Dzięki godnej postawie gubernatora i ognistej oracyi jednego z obecnych, tłum uspokoił się; nadto po chwili porwany nowym prądem entuzyazmu, jął z okrzykami i wiwatami obnosić tryumfalnie po mieście przedstawiciela władzy, którą był przyszedł w osobie jego obalić. Wszystko zatem skończyło się szczęśliwie, szczęśliwiej niźli dla tych, którzy poddawszy się rewolucyi utracili swoje posady. Przejście to jednak przykrem było gubernatorowi: uczuł się upokorzonym. „Musi w naturze naszej — mówi — tkwić jakiś zaród hardości i opozycyi; pomimo bowiem wdzięczności, jaką winien jestem ludowi Walencyi, nie mogę wspomnieć bez uczucia wstydu, iż stałem bezsilny, oddany na łaskę lub niełaskę zbuntowanego tłumu, czytając w jego twarzach pewien uśmiech protekcyonalny, za który niezmiernie jestem wdzięczny, ale który wówczas nieco mnie upokarzał, gdyż serdeczny jak uśmiech brata, był równocześnie wspaniałomyślnym jakoby uśmiech monarchy. Ta gromada ogrodników, przywykła patrzeć na tysiączne pokolenia kwiatów, następujące po sobie bez przerwy, wystąpiła wobec mnie z galanteryą właściwą ludziom mającym zwyczaj podawać bukiety"...

„Jeżeli kiedyś — pisze nakoniec — ujrzę się, co nie jest niemożliwem, zmuszony wypić czarę trucizny, za to, żem jak Sokrates odpychał dobrodziejstwa demokracyi i oddalał od rządu głupców i nieuków, wtedy ja, czujący w sobie nieco więcej cnoty i nieco mniej pewnych wad, niż ludzie ogólnie sądzą,

lędę wolał spokojnie wypić przeznaczony mi kielich, niż poddać się któremu z owych idyotycznych szaleństw, jakiemi ludzkość od czasu do czasu się kala.

„Wtedy ciało moje będzie zaszczytnie podniesione do godności relikwii; to też na przypadek owej przyszłej apoteozy, zapisuję moje śmiertelne, wówczas już nieśmiertelne szczątki, miastu Walencyi. Odwdzięczając się za jego przywiązanie, oddaję mu ciało moje po śmierci a serce za życia".

Powyższe ustępy wyjęte są z epilogu dzieła filozoficznej treści, wydanego przez Campoamora w r. 1855 pod tytułem *El personalismo*. Świadczą one o jego politycznem usposobieniu, a zarazem o wesołej naturze, której bądź co bądź trzymają się koncepta. Niepospolity dar wymowy zjednał mu kilkakrotnie mandat poselski do Kortezów; rzadsza zaś u polityków zaleta konsekwencyi sprawiła, że rząd nie zapomniał o nim po powrocie dynastyi. Mianowany dyrektorem departamentu „Dobroczynności" (tłumaczę dosłownie z hiszpańskiego *Beneficencia*) i „Zdrowia", a następnie radcą stanu, wkońcu sam zapragnął spoczynku i przed dziesięciu laty opuścił służbę publiczną. Spoczynek ten należał się po tak dziwnie pracowitym żywocie; oprócz bowiem urzędowych i obywatelskich zajęć, prócz długiej a świetnej polemiki z Castelarem i innymi demokratami, prowadzonej w łamach dziennika *El Estado*, Campoamor napisał kilka dzieł filozoficznych, jak np. *La filosofia de los leyes* (Filozofia prawa), *Lo Absoluto* i przytoczone już *El personalismo*. Do tych zaliczać można i przepyszną mowę, odczytaną z okazyi przyjęcia do królewskiej akademii hiszpańskiej (1862), a dowodzącą, że metafizyka oczyszcza, utrwala i uświetnia mowę.

Takim jest, a raczej był Campoamor jako polityk i mąż publiczny; jakim jest jako człowiek prywatny, nie wiemy. Stan jego umysłu i serca mogą nam, i to bardzo niedokładnie, odsłonić jego poezye. Dwa wielkie jego poematy: wspaniały, jak twierdzi krytyka, „Dramat powszechny" *(Drama universal)* i „Kolumb" *(Colon)*, o którym sam mówi, że jest najbardziej p o w i e t r z n ą z epopei — niestety nie doszły do rąk naszych. Możemy więc tylko zająć się tutaj zbiorem poezyj lirycznych, które

sam autor przezwał *Doloras*. Wyraz ten, wydający się przekręceniem wyrazu *dolores*, jest czystym barbaryzmem, gdyż nic a nic po hiszpańsku nie znaczy. Stąd też wielki rumor powstał w iberyjskim świecie literackim, gubiono się w domysłach, aż wreszcie zapytany autor odpowiedział, że jest to wyraz nowo przez niego stworzony dla oznaczenia nowego rodzaju poetycznych utworów. Próba była dość śmiała, ale udała się — wyraz się przyjął. Co więcej, ustaliło się przekonanie, że Campoamor stworzył zupełnie nowy rodzaj poezyi, coś między idyllą, epigramatem, madrygałem i anakreontyką. Według niego samego, *dolora* ma „łączyć w sobie lekkość z uczuciem, i treściwość z wartością filozoficzną"; jest to w rzeczywistości najlepsze określenie ideału, do którego dążył a nieraz i trafił, najlepsze, gdyż pozbawione balastu kadzidła, jakiego mu nie szczędziła bezwzględna admiracya krytyków. Jeden z nich tylko śmiał twierdzić, że są to „bawidełka mogące w swej żartobliwo-złośliwej prostocie zaniepokoić nieśmiałe sumienia" — ale głos jego wnet umilkł zagłuszony pochwalną orkiestrą. Oceny utworów tego rodzaju bezwzględnie narzucić nie można: jest to rzecz upodobania i usposobienia, co dla jednego może być przykrem, może drugiego rozśmieszyć. Przeciwko jednemu tylko bezwarunkowo zaprotestować można, tj. przeciwko nowości wynalazku. Poczciwi Hiszpanie zapominają o Heine'm — albo go wcale nie znają, a przecież czytając niejeden wiersz Campoamora, wciąż cień Heinego snuje się po głowie, zda się, że się słyszy gdzieś w dali jego śmiech napół szyderczy a napół bolesny i rzewny. Tylko że u Heinego więcej jest tej rzewności niż u Campoamora; znać w nim człowieka: *Der hatte einst ein schönes Vaterland* i za nim tęskni, któremu z innej strony *leuchtet die Ferne im goldenen Licht*, do którego natura potężnym przemawia głosem. Do Campoamora przeciwnie przemawiają sami jedni ludzie; w bajkach jego wprawdzie występują z urzędu rośliny i ptaki, ale takiego wiersza jak *Ein Fichtenbaum stand einsam* i t. d. nie byłby nigdy w stanie odczuć ani napisać. Nie chcemy tu dotykać ani porównywać wartości moralnej obu autorów; zresztą od czasu, gdy pewne czasopismo socyalistyczne wiedeńskie, mówiąc o Panu Jezusie a zaraz potem o Heine'm, na-

wało go *der Andere Jude* — nazwisko to mogło obrzydnąć nawet najbardziej oczarowanemu jego poetycznym urokiem. Tu wymieniliśmy Heinego, aby dowieść, że rodzaj poezyi, rzekomo wymyślony przez Campoamora, nie jest nowością i że niejedną jego „dolorę“ mógłby podpisać nietylko Heine, ale nawet Lenau, lub który z Francuzów, poprzedzających szkołę *des nèo-pantelants*, kwitnącą obecnie w Paryżu.

Campoamor mniej rzewny od Heinego, dościga znowu sfer zupełnie dla tamtego niedostępnych. Dowodem tego jest śliczna idylla, w której kędyś w powietrzu spotykają się dwie dusze: jedna leci się oblec w ciało nowonarodzonego dziecięcia, druga dopiero co wyzwolona z więzów ludzkich spieszy do nieba. Pierwsza pełna lęku wypytuje się powracającej ze świata, czem jest w istocie ten „olbrzymi chaos zwany ludzkiem więzieniem?“ Druga zaś, szczęśliwa już, ale jeszcze zalana łzami po rozstaniu z drogiemi istotami na ziemi, kreśli jej obraz ustawicznej walki między zmysłami a duszą, między złym a dobrym instynktem człowieka; wkońcu żegnają się: wzlatująca w niebo poleca tamtej, aby jej łzy pożegnania poniosła na ziemię; tamta zaś ją prosi, aby jej żal i trwogę poniosła na swych skrzydłach do nieba.

Niestety! nie wszystkie utwory są równie przejrzyste. W wielu z nich, pod pozorem satyry, więcej jest anakreontyzmu niż czego innego, czasem nawet więcej niż poezyi. Jeden z tych wszakże, ulubiony autora *Amar al vuelo* (Kochać w przelocie), gdzie młodej dzieweczce zaleca, aby, jeśli chce w życiu uniknąć cierpienia, do niczego zbytnio nie przywiązywała myśli ni serca, jest, jeśli niekoniecznie pouczający moralnie, to przynajmniej prześliczny formą: ma się wrażenie, jakoby w istocie przeleciał powiew wiosenny. Spróbowaliśmy przetłumaczyć kilka z drobniejszych poezyj Campoamora, aby je dać choć w przybliżeniu poznać naszemu czytelnikowi. Wogóle jednak ostrzedz należy, iż każda z nich w przekładzie traci wiele z lekkości rodzimej: wiersz polski jest z natury swojej poważniejszy, cięższy, wyrazy jednozgłoskowe rzadsze niż w języku francuskim, hiszpańskim

lub włoskim — przecież ktoś utrzymywał, że nawet grzechy wydają się lżejszemi gdy się je po francusku nazywa!

Zacznijmy od utworu, równie jak *Amar al cielo* lubianego przez autora, a daleko bogatszego treścią:

Dwa zwierciadła.

Stanąłem raz przed gładkim zwierciadła kryształem,
Lecz miałem lat czterdzieści i źle mi wypadło,
Gdyż się naraz tak starym i szpetnym ujrzałem,
Że w gniewie stłukłem zwierciadło.

Wtedy w inne przezrocze zwróciłem wejrzenie,
Prawdziwy stan mej duszy jasno ujrzeć chciałem:
Ale mi taki obraz odbiło sumienie,
Że w bólu serca struchlałem.

Tak się dzieje z człowiekiem, kiedy w życiu traci
Wraz z młodością i miłość i wiarę w sąd boży:
Chce się przejrzeć w zwierciedle, ale... bierz go kaci!
Popatrzy w duszę, lecz tu — jeszcze gorzej!

Widocznie autor czy też stworzeni przezeń bohaterowie mają coś na pieńku z sumieniem, inny bowiem wiersz pokrewny z poprzednim nosi tytuł „Najsroższa kara“ i brzmi jak następuje:

Gdy Dante w ślad za mistrzem schodził w piekieł cienie,
Musiał u wrót szatańskich zostawić sumienie,
Gdyż było wprost rodem z nieba.
Zwiedził szereg męczarni, długi i okrutny,
Lecz wychodząc, na progu znów mu było trzeba
Wziąć sumienie — więc westchnął i rzekł bardzo smutny:
Niemasz tak srogiej kary pod piekieł sklepieniem,
Jak przechodzić przez życie obarczon sumieniem.

Wogóle Campoamor bardzo mało się udziela w swoich utworach; niepodobny w tem do innych współczesnych pisarzy, ukrywa się poza wypowiedzianym aforyzmem lub paradoksem, poza nakreślonym obrazkiem. Dlatego może, iż jego osoba zawsze była na widowni publicznej, otoczona pewną oficyalną etykietą, w poezyi znika zupełnie, lub przynajmniej autorowi zdaje się, że znika. Zapomina, że samo „dzieło mistrza chwali“, albo... gani, że choć jak struś głowę schował pod skrzydła, przecież

można go poznać po piórach. I tak, sądząc według znanych nam utworów, Campoamor jest chrześcijaninem, wierzącym dość głęboko, aby rozróżnić zło i niem się brzydzić, ale nie wznoszącym się dość wysoko, aby módz to zło gromić bez goryczy i jadu. Umie tylko wytykać je i wyszydzać, zdzierać szych i fałszywe perły, przyczem jednak zdarzy mu się zerwać i kawałek potrzebnej zasłony, rozwiać niejedno z niewinnych a pięknych złudzeń, które Opatrzność jakby mgłę złocistą zawiesiła przed naszemi oczami, abyśmy snać, mierząc naprzód wszystkie trudności wskazanej nam drogi żywota, nie stanęli zniechęceni u wstępu. Powiadają, że życie samo przez się te złudzenia rozprasza — to prawda; ale dzieje się to powoli, w miarę pochodu i potrzeby, a w miejsce ich, dla tych którzy patrzeć umieją, ukazują się inne blaski, otwierają inne świetlane widnokręgi, w które topiąc oczy, a zwłaszcza serce, można bezpiecznie dosięgnąć błogosławionego końca tej ziemskiej pielgrzymki. Pan Bóg wszystko czyni w swoim czasie i nie należy działania Jego uprzedzać, robiąc, pod pozorem przestrogi, ludzi dorosłych z dzieci, a rozczarowanych i oziębłych starców z dorosłych ludzi. Ale wracajmy do Campoamora. Oto jest próbka jego usiłowań poprawy ludzkości:

Wierzchowce i jeźdźcy.
(Caballos y Caballeros).

I.

Wśród wojny pewien Francuz się zoczył
Naraz srodze obsaczon przez wroga,
Ale z matni koń jego wyskoczył,
I biegł w dal, w dal od Niemców, aż droga
Wolna, jasna stanęła przed niemi.
Gdy zaś jeździec do rodzinnej ziemi
Dotarł, dzięki rumaka dzielności,
Wnet mu wrócił ton i arogancya,
A wjeżdżając do ojczystej włości,
Wołał dumnie: Niechaj żyje Francya!

II.

Wkrótce potem z głodu rozszalały,
Szablą tą, jakiej w boju używał,
Porąbawszy go wprzód na kawały,

Jeździec chciwie wierzchowca spożywał.
„Jakto? tego co ocalił mu życie
Zabił?“
Tak jest — i jawnie lub skrycie
Dziś niejeden (by go świat nie winił,
Wolę tutaj milczeć o nazwisku)
Czyni nieraz dla marnego zysku,
Co ów jeździec z rumakiem uczynił.
. . . . . .

Po satyrach, mniej lub więcej w rodzaju podanej, ale wogóle bardziej szyderczych, są i rzuty pendzla, a raczej pióra, któreby Francuzi nazwali *des boutades*, pełne zacięcia i życia. Pierwszy, który tu podajemy, ułamek z dłuższego utworu, wydrukowany jest w zbiorze pod osobnym tytułem:

Dusza na sprzedaż.
(El alma en venta).

Tak dnia pewnego Julio przemawiał do czarta:
„Chcesz kupić moją duszę?“ — „Kiedy mało warta!“ —
„Dałbym ją prawie darmo — za rozkoszy chwilę,
Choć jedną!“ — „Oszalałeś! któżby ci dał tyle!“ —
„Przecież...“ — „Stary grzeszniku, głupstwa ci się roją!“ —
„Więc nie kupisz?“ — „Nie“. — „Czemu?“ — „A bo już jest moją!“

Prawdziwość podań.
(Verdad de las tradiciones).

Raz na pustkowiu dalekiem
Widząc krzyż, pytam pasterza:
„Tu — rzecze mi — przed półwiekiem
Zbójcy zabili żołnierza“.
Wróciłem w owo pustkowie:
(Ja święcie w podania wierzę!)
„Tu — ktoś mi zaraz opowie —
Zbójcę zabili żołnierze“.

Odraza.
(Hastío).

O jakże pusty, smutny żywot samotnika,
Od ogniska miłości odcięty, daleki!
Lecz stokroć większą jeszcze litością przenika
Samotność dwojga istot związanych na wieki.

To wszystko jednak jest jeszcze niczem w porównaniu z istotną falą goryczy i *Weltschmerz*'u, wylaną na czytelnika, a prawdopodobnie wynikłą z przeczytania francuskiego dzieła *La lutte pour la vie*. Utwór, choć nie nadobny, zbyt jest charakterystyczny, aby go nie podać:

Wielka biesiada.

(El gran festin).

I.

Z ponad trzciny schylonej nad bystrym potokiem
Spadł robak, i wnet z nurtów pstrąg nań skoczył głodny
I połknął; w tejże chwili nadleciał ptak wodny
I pożarł pstrąga. Wkrótce jastrząb chciwem okiem
Zmierzył ptaka i rozdarł po walce zawziętej.
Ujrzał to z kniei strzelec i gniewem ujęty
Mszcząc rzeź, trafnym wystrzałem jastrzębia powalił;
Lecz i on, choć się losu ptaszęcia użalił,
Sam polując bezprawnie szedł w cudzą dąbrowę:
Zastrzelił go leśniczy... Z ciała jego nowe
Wylęgły się robaki, i tak dalej jeszcze
Jęło się koło śmierci obracać złowieszcze.

II.

A gdzież miłość? gdzie szczęście? Czyż nowozrodzeni
Na świat jeno dla marnej przychodzą zagłady,
By jednych zjadłszy, sami przez drugich zjedzeni,
Służyć do strasznej biesiady?

Zwrot ostatni świadczy, iż Campoamor wie dobrze, iż na zobopólnem pożeraniu istot wszystko się na świecie nie kończy, że jest poza tą „biesiadą“ cały ogrom niespożytego życia. Wszelako nie byłby autorem „swojego czasu“, to jest współczesnym z Ibsenem i t. p., gdyby na naszą biedną ziemię i rojącą się na niej ludzkość spoglądał inaczej jak z brzydkiej strony, i szpetnością tą nie częstował czytelnika — zawsze pod pozorem leczenia: w etycznych celach. Niekiedy też zbliża się, nie już do ponurych proroków północy, ale do mglistych dekadentów francuskich, nie dochodząc wszakże jak oni do ostatecznego *absurdum*. Upaja się, nie dźwiękiem obcych sobie a nieraz zapewne w słowniku wyszukanych wyrazów, które zestawione pięknie brzmią, ale absolutnie nic nie znaczą — lecz myślą własną, ani dość powszednią, ani dość wyniosłą, zawieszoną jak obłok pomiędzy niebem a ziemią. Być może jednak, że czytelnik, pomimo wadliwego choć wiernego przekładu, osądzi inaczej:

Życie wśród śmierci.

(Vivir muriendo).

Vivit, et est vitae nescius ipsae suae
Ovidius.

Gdym się urodził, w tejże chwili ku mnie
I śmierć i życie rozwarły objęcia,
Lecz wnet zazdrosne o głowę dziecięcia
Jęły wyzywać się dumnie.

„Czego tu szukasz nieboże?“ —
Śmierć życia pytała śmiało.
„Dla ciebie rodził się może?“ —
Z gniewem się życie ozwało.

„W moje siedziby odwieczne
Śle go Bóg“ — śmierć rzecze sroga.
A życie: „Wieść go w słoneczne
Światło mam rozkaz od Boga!“

„A więc niech wraca aż na Stwórcy łono! —
Krzyknęły społem. — Niech sam Bóg osądzi,
Kto z prawa nad nim, życie czy śmierć rządzi!“
I obie po mnie z wściekłością szaloną
Chciwemi naraz sięgały rękami,
Szarpiąc dziecinę w tę lub ową stronę,
Aż sam podnosząc twarz zalaną łzami
Wstałem z kołyski...

Odtąd jam zawsze między niemi chodził
I sam niepewny, zapytać się bałem,
Czylim żył kiedyś nimem się urodził,
Czyli się rodząc skonałem.

Wiem to, że ile od pierwszego kroku
W mem życiu kroków stąpiłem po ziemi,
Śmierć sobie liczy i przy moim boku
Zuchwale cieszy się niemi.

Idę wciąż naprzód, a myśl niecierpliwa
Po obu stronach błąka się ciekawie,
I życie zowie czuwaniem na jawie,
A śmierć — snem cichym nazywa.

Od obu cierpię, bo gdy słońce wstanie,
Z życiem się budzą i troski bez miary;
A gdy zmrok śmierci zwiastuje władanie,
Z snem straszne powstają mary.

I tak mą duszę w ślad jeden za drugim
Dręczą naprzemian śmierć i przebudzenie,
Jak dnie i noce suną rzędem długim,
A każdy niesie cierpienie.

Gdy się na chwilę myśl zamgli znużona,
A trud niebacznie powieki mi sklei,
Już wiem, że z życia zboczyłem kolei
I wpadam w śmierci ramiona.

A wtedy nieraz tak dziwnie się plączą
We mnie śmierć z życiem, że ich obu blizki,
Czuję, jak w czułych pieszczotach się łączą
W bratnie splecione uściski...

Czemu ja taki? Czy raz pierwszy może
Małem dziecięciem zakwiliłem w trumnie?
Lub czy przeciwnie za śmiertelne łoże
Kolebka służyła u mnie?

Jeżelim umarł w chwili urodzenia,
Czemu mnie życia oblega potęga?
Jeślim nie dotarł kresu przeznaczenia,
Czemu wciąż śmierć po mnie sięga?

Dokądże gonię w to ciemne przestworze,
W ślad za marami, w których serce grzebię,
Aż zmieszan z niemi, pytam: czylim może
Jest cieniem samego siebie?

Wyrwij mnie Boże z tych otchłań zwątpienia!
Odchyl zasłonę co mi prawdę kryje,
Niech raz już usnę snem bez przebudzenia,
Lub niech na wieki ożyję!

Że w tem jest bardzo wiele poezyi, zaprzeczyć nie można, choć na ten raz autor odstąpił zupełnie od swojej roli moralizatora, a nawet idei moralnej nie usiłował w utwór swój przelać. Najmniej oryginalnemi są z natury rzeczy „dolory“ o treści miłosnej; tu już nie krople, ale potoki żółci się leją, sceptycyzm panuje w całej pełni, widocznie jednak nie sprowadzony osobistem doświadczeniem bolesnem: mężczyźni bowiem nie są bardziej oszczędzani niż kobiety. Jeden dłuższy utwór: *Todos son unos* (Wszyscy jednacy), poświęcony jest cały dowodzeniu, że jedne są warte drugich — w czem zapewne ma słuszność. Gdyby chciał, mógłby Campoamor być i rzewnym. Jest nim naprawdę w swoim „Grajku“ *(El gaitero de Gijon)*, gdzie opowiada o biednym wiejskim kobziarzu, który wracając z pogrzebu matki musi iść grać na weselu, bo małe rodzeństwo w domu głodne i woła chleba. Łzy jak groch toczą mu się po piersiach, a tancerze wołają

wciąż: „Raźniej, raźniej!" Biedak dmie co ma sił, ale łkanie tłumi mu oddech i przerywa muzykę, a wśród podochoconych odzywają się gwizdania i śmiechy... Jest niemało również rzewności w wierszu oryginalnej formy, napisanym po śmierci jakiejś nieznanej nam Karoliny, młodej dziewczynki, widocznie należącej do rodziny autora lub kółka blizkich przyjaciół, gdyż imię jej, zawsze z równym żalem, powraca w niejednym utworze:

Opinia.

Biedna ty ptaszyno miła,
Zawsze w sercu żywa u mnie!
Oto co ludzkość mówiła,
Gdy wynoszono cię w trumnie:

KSIĄDZ.
Czas rozpocząć śpiewanie.

LEKARZE.
Cierpieć przestała.

OJCIEC.
Pierś zrywa mi łkanie!

MATKA.
Ach, umrzećbym chciała!

CHŁOPCZYK.
Jaka wystrojona!

MŁODZIENIEC.
Jak piękną była!

DZIEWCZYNA.
Ach, biedna ona!

STARUSZKA.
Jaka szczęśliwa!

DOBRZY LUDZIE.
Niech w ciszy spoczywa!

RESZTA ŚWIATA.
Już żegnamy ciebie!

FILOZOF.
Jeden człowiek ubywa.

POETA.
Przybył anioł w niebie!

Jeszcze jedno na zakończenie — rzecz zawierająca wielką myśl pod bardzo dziwaczną formą, uwydatniająca stopień pesymizmu autora, stopień wysoki, ale na którym bodaj się każdy pesymista zatrzymał. Utwór ten poświęcony jest innemu poecie, D. Rafaelowi Cabezas:

Wielka Babel.
(La gran Babel).

I.

Krąży w świecie dziwna baśń ludowa.
Czy prawdziwa nie wiem, ale stara:
Że najpierwsze mowy ludzkiej słowa
Były: tururu, tarara.

I niejeden przy tem się upiera,
Że te pierwsze z ust człowieczych dźwięki

Są zarówno ostatniemi jęki
Każdej mowy ludzkiéj, co zamiera.

Słuchaj, bracie, a uznasz przed końcem,
Że nam dobrze, iż gdy nas odbiegła
Wiara w wielkość i chwałę pod słońcem,
Przecież jeszcze wierzym w Pana Boga.

II.

Raz Rzymianin wśród dziwów bez liku
Dostał ptaka — wierzcie! prawda szczera:
Ptak ten pono miał nakształt Homera
W pięknym Greków przemawiać języku.

I tak w swojej mowie plótł ojczystej,
Zapomnianej już prawie od wieków,
Że Rzym cały dla swady ognistej
Zwał go śmiejąc się: ostatnim z Greków.

Gdy go jednak zbyt długo nudzono,
Na natrętów spadała wnet kara,
Gdyż ptak z miną zuchwale skwaszoną
Odpowiadał im tylko: tarara.

Nasz Rzymianin ciekaw co to znaczy,
Wraz przed mędrcem swe zdziwienie wyzna,
A ten wyśnił coś i w głos tłumaczy,
Że: „Tarara, to niebian ojczyzna!“

Tak tradycya przenigdy nie syta,
Lgnie do lada nitki, snu lub cienia,
Jak tonący co się chciwie chwyta
Unoszącej go deski zbawienia.

Lecz Rzymianin nic o tem nie wiedział,
Śledził jeszcze i szukał wytrwale,
A i z końcem dnia się nie dowiedział,
Że tarara nic nie znaczy wcale.

Tylko własnym instynktem zrozumiał,
To co później w mieście rozpowiadał:
Że z uczonych, których o to badał,
Po helleńsku najlepiej — ptak umiał.

Tak to wszystko ginie i wietrzeje;
Może nieraz pyłek przetrwa dłużej
Niż to, o czem głośno piszą dzieje,
Co się Bogu i ludziom zasłuży.

III.

Trzeba jednak to opowiadanie
Wieść do końca, chociaż z serca bólem:

Otóż kiedyś był, twierdzi podanie,
Hrabia Chinchon w Limie wice-królem.

Temu raz papugę przyniesiono
Bardzo mądrą i w dziejach uczoną:
Był to jeden pomnik pozostały
Starożytnej peruwiańskiej chwały.

Tą wice-król zaraz począł badać:
Jakim był najpierwszy władca w Peru?
Lecz papuga, zamiast odpowiadać,
Rzekła głosem ochrypłym: Tururu.

Wraz nasz Hiszpan ciekaw co to znaczy,
Przed uczonym swe zdziwienie wyzna,
A ten wyśnił coś i w głos tłumaczy,
Że: Tururu, to ognia ojczyzna.

Skłamał biedak, jak ów niegdyś w Romie,
Sam nie wiedząc — bo serce człowieka
Tak się rzadko mężnie a świadomie
Gasnącego złudzenia wyrzeka!

Każda mowa, wielkość i potęga,
Gdy swój zawód dokona wiekowy,
Pozostaje jakby kiru wstęga
Rozciągnięta na karcie dziejowej.

Toż się wszędzie baśń powtarza stara.
W wielkim Rzymie i w dalekiem Peru:
Grek się marnem zakończył tarara,
Biedny Inkas zeszedł na tururu!

Cierpliwości! gdy wyroki boże
Naszą wielkość zdruzgoczą na szczątki,
I nam nic już nie zostanie może,
Chyba w ciszy płakać ich pamiątki.

IV.

Prędzej, bracie, niżbyś chciał dać wiary,
Choć ta myśl cię trwoży i rumieni,
Nasz Cervantes w tururu się zmieni,
Jak w tarara przeszedł Homer stary.

Jakżeż ludziom trzeba chylić czoła,
Gdy w ich oczach blednieją i gasną
Owe gwiazdy, które nam dokoła
Świat duchowy rozświecały jasno!

Czas ucieka, unosząc w oddali
Rzeczy wielkie z drobnemi złączone,
Aż pospołu wielkim snem uśpione
Giną wszystkie w zapomnienia fali.

A nas dwóch niech hymn dziękczynny łączy,
Iż świadomi oba ziemskich dróg,
Wiemy, że tam gdzie się wszystko kończy,
Tam rozpoczyna się Bóg!

Na tem powiedzeniu, najlepszem, zostawimy Campoamora, przechodząc do jego mniej sławnego może, lecz zdaniem naszem sympatyczniejszego kolegi.

(Dok. nast.).

T. W.

INDUKCYA U ARYSTOTELESA I PERYPATETYKÓW.

(Dokończenie).

Jakim prawidłom indukcya podlega u Arystotelesa i perypatetyków?

Macauley opowiada wypadek, w którym ironicznie przedstawia, do jakich wniosków może służyć indukcya, najściślej przeprowadzona według prawideł Bakona.

„Słyszeliśmy, że dość ceniony sędzia za dawnych czasów, lubił po obiedzie wykładać swoje poglądy, według których źródłem jakobinizmu miał być zwyczaj noszenia dwóch imion chrzestnych przed nazwiskiem. Z jednej strony stawali na dowód jakobini: Karol Jakób Foks, Ryszard Bransley Sheridan, Jan Horn Tuk, Jan Filpolt Kuran, Samuel Tejlor Kolrydż, Teobald Wolf Ton; to były tak zwane *instantiae convenientes* bakońskie. Z drugiej strony stawali obrońcy władzy królewskiej, żeby dostarczyć wypadków *absentiae in proximo:* Wilhelm Pitt, Jan Szkot, Wilhelm Windham, Samuel Horsley, Henryk Dundas, Edmund Burke. Następnie szły szczegóły porównawcze, *secundum magis et minus:* wymieniony zwyczaj rósł do pewnego czasu i ogarniał coraz dalsze okolice; tak samo rósł jakobinizm. Zwyczaj ten panuje szerzej w Ameryce, aniżeli w Anglii; Anglia zachowała króla i Izbę panów, a w Ameryce rzeczpospolita. Dalej odrzucał różne źródła jakobinizmu możebne: dlatego przywodził wypadki, które zachodziły zarówno z jakobinem jak z monarchistą, więc nie wyrodziły jakobinizmu. Do takich *rejectiones* należy, że Burke

i Teobald Wolf Ton obaj pochodzą z Irlandyi: więc pochodzenie irlandzkie nie stanowi źródła jakobinizmu. Horley i Horn Tuk, obaj duchowni: więc stan duchowny nie stanowi źródła jakobinizmu. Pitt i Horn Tuk, obaj wychowani w Kembrydż: więc nauka kembrydzka nie stanowi źródła jakobinizmu. Tym sposobem nasz filozof indukcyjny wykonał to, co Bakon nazwał *cindemiatio* i wywiódł, że źródłem jakobinizmu jest liczba imion".

Ten śmieszny wniosek z indukcyi, podług prawideł Bakona, nie dowodzi wcale, że temi prawidłami można zupełnie pomiatać; niejedną wskazówkę zdrową znajdzie w nich badacz przyrody; ale z drugiej strony nie można na nich polegać zupełnie. Nawet szczerzy wyznawcy ogólnej zasady Bakona uznają jego szczegółowe prawidła za niedostateczne i pracują nad niemi dalej, żeby je wydoskonalić. Z takiej pracy zasłynął Stuart Mill, ale i jego przepisy nie uchodzą dotychczas za ostatni wyrok w tej sprawie.

Choć jeszcze niedokładne, prawidła Bakona uchodziły dość długo za wielki postęp rozumu ludzkiego. Nie usłyszał Bakon tej pochwały od współczesnych: dziesiątki lat przeszły od jego śmierci, nim jego poglądy zyskały wstęp do umysłów uczonych; ale wtenczas zasłynęły szeroko i posłużyły za nowy dowód, że średniowieczni filozofowie niczego nie mogli nauczyć, jeżeli nie znali tej drogi do prawdy, którą utorowały prawidła indukcyi bakońskie.

Czy perypatetycy nie dostali od Arystotelesa nic równie dobrego, jak późniejszy wynalazek Bakona?

Jeżeli Arystoteles jak syllogizmowi kazał wyświecać prawdy pośrednie, tak od indukcyi żądał prawd pierwotnych, czyż mógł w prawidła nie ująć źródła wiedzy równorzędnego z syllogizmem, o którym tak drobiazgowo rozprawiał?

Przeciwnicy Arystotelesa przyznają, że w jego logice przychodzą wzmianki o indukcyi i jej prawidłach, ale zarzucają, że prawie całą logikę Arystoteles zapełnił nauką o syllogizmie i prawidłach tego dowodu apriorycznego, a dla indukcyi znalazł ledwo dwa rozdziały. W tem widzą jego niedbanie o prawdę doświad-

czalną; nawet pogardę dla indukcyi wyraźnie czują w niektórych ustępach jego pism, jak w następnych [1]:

„Indukcya, jako jaśniejsza i przystępniejsza dla zmysłów, służy do zwykłego użytku dla pospólstwa, a syllogizm z porządku rzeczy ma pierwszeństwo, silniej naciera i dzielniej razi w rozprawach". Czyż te słowa nie zdradzają, jak wysoce Arystoteles cenił prawdy aprioryczne a prawie gardził prawdami indukcyjnemi?

Przedewszystkiem trzeba tu zwrócić uwagę na to, że tylko dzięki mieszaninie pojęć i nazw, zaprowadzonej dopiero w przeszłym wieku, można mówić o prawdach apriorycznych w przeciwieństwie do prawd indukcyjnych. Dawni perypatetycy przeciwstawiali prawdę aprioryczną prawdzie aposteriorycznej. Do dziś dnia podręczniki logiki odróżniają dwojaki syllogizm: w jednym z przyczyny dowodzimy skutku, w drugim ze skutku poznajemy przyczynę; w obu z pojęć ogólniejszych dochodzimy w wyniku do prawdy mniej ogólnej. Apriorycznym nazywali perypatetycy syllogizm, który z przyczyny dowodził o skutku; aposteriorycznym syllogizm, w którym skutek prowadził do przyczyny. W tym syllogizmie prawda doświadczalna ściele drogę do wyniku: więc między tym syllogizmem a indukcyą nie zachodzi to przeciwieństwo, o którem często słychać, że panuje między nowożytną drogą indukcyjną a średniowiecznym syllogizmem. Z drugiej strony, także dzięki temu samemu zarzutowi, często wynik indukcyi uchodzi za prawdę doświadczalną, czyli syntetyczną. Perypatetycy do takiej prawdy stosowali nazwę doświadczalnej, w której ani podmiot w istotnem pojęciu swojem nie mieścił orzeczenia, ani orzeczenie podmiotu; spostrzegamy związek tych pojęć nie z ich rozbioru, tylko wprost doświadczalnie. Takich prawd używamy do indukcyi, ale z nich wynika prawda nau-

[1] ΑΝΑΛ. ΠΡ. ks. II, r. [23] 25: Φύσει μὲν οὖν πρότερος καὶ γνωριμώτερος ὁ διὰ τοῦ μέσου συλλογισμός, ἡμῖν δ' ἐνεργέστερος ὁ διὰ τῆς ἐπαγωγῆς, albo ΤΟΠΙΚ. ks. I, r. [10] 12: Ἔστι δ' ἡ ἐπαγωγὴ πιθανώτερον, καὶ σαφέστερον, καθὰ τὴν αἴσθησιν γνωριμώτερον καὶ τοῖς πολλοῖς κοινόν, ὁ δὲ συλλογισμὸς βιαστικώτερον καὶ πρὸς τοὺς ἀντιλογικοὺς ἐνεργέστερον.

kowa, której podmiot mieści w sobie orzeczenie: więc wynik indukcyi daje według perypatetyków prawdę, jak ją dziś nazywają, analityczną [1].

Więc choćby Arystoteles o indukcyi nie mówił nic, chyba z pogardą, jeszcze nie gardziłby prawdami doświadczalnemi, które służą przy syllogizmie aposteriorycznym, tylko przemilczałby o tem, jak rozum przechodzi z prawd syntetycznych do analitycznych.

Dalej i to mylny zarzut, że Arystoteles prawidłami syllogizmu zajął prawie całą logikę. Pierwsza jej część, księga ΚΑΤΗΓΟΡΙΩΝ, rozbiera rzecz o pojęciach. Druga, ΠΕΡΙ ΕΡΜΗΝΕΙΑΣ, poświęcona zdaniom. Dopiero w trzeciej części ΑΝΑΛΙΤΙΚΑ, przyszła kolej na naukę o dowodzie, i to w tym porządku, że pierwsza część ΑΝΑΛ. ΠΡΟΤΕΡΑ, mówi o zewnętrznej budowie wszelakich dowodów, druga część ΑΝΑΛ. ΥΣΤΕΡΑ, bada wewnetrzną ich siłę i znamiona drogi do prawdy. W dalszych ΤΟΠΙΚΑ i ΠΕΡΙ ΣΟΦΙΣΤΙΚΩΝ już wcale nie zwraca uwagi szczególnej na syllogizm.

Więc zostaje tylko część jednego dzieła, poświęcona wzorom różnych dowodów, w której Arystoteles w samej rzeczy szeroko rozbiera odmiany i tryby syllogizmu, a dla indukcyi ma ledwo jeden rozdział wyłączny. I tego przyczynę łatwo pojąć: Arystoteles nie uważał indukcyi za swój wynalazek; przypisywał ją Sokratesowi; znalazł już gotową i wyświeconą licznemi rozmowami Sokratesa, który zwykle z poszczególnych prawd, wypadków doświadczalnych i powszechnie znanych, naprowadzał słuchacza niepostrzeżenie na prawdy ogólne i zasady oderwane [2].

Przeciwnie, miał co pisać o własnym wynalazku swoim: o prawidłach syllogizmu, choćby nie dlatego bawił przy nim długo, że chciał dokładnie obrobić swój pomysł, ulubiony, jako własny [3].

---

[1] Por. *Przegląd Powszechny* t. XXXIV, str. 104.

[2] M. T. Φ. ks. 12, IV: Δύο γάρ ἐστιν ἃ τις ἂν ἀποδοίη Σωκράτει δικαίως, τούς τ' ἐπακτικοὺς λόγους καὶ τὸ ὁρίζεσθαι καθόλου· ταῦτα γάρ ἐστιν ἄμφω περὶ ἀρχὴν ἐπιστήμης.

[3] Π. ΣΟΦ. rozdział ostatni: περὶ δὲ τοῦ συλλογίζεσθαι παντελῶς οὐδὲν εἴχομεν πρότερον ἄλλο λέγειν, ἀλλ' ἢ τριβῇ ζητοῦντες πολὺν χρόνον ἐπονοῦμεν.

Syllogizm ma kilkadziesiąt możebnych odmian, których ledwo część rzeczywiście dowodzi: więc trzeba było roztrząsnąć te wszystkie wypadki i wyśledzić, co o każdym sądzić. A indukcya nie podpada pod żadne poddziały i tryby nowe, można ją ułożyć na podobieństwo syllogizmu. Więc wystarczyło Arystotelesowi, kiedy ją badał w oderwaniu, wyłożyć jej pojęcie i opisać jej prawidłowy przebieg na wzór syllogizmu. To też Arystoteles, po obszernej rozprawie o prawidłach syllogizmu, wręcz powiada [1]:

„Teraz trzebaby pokazać, jak według powyższych prawideł powstają nietylko syllogizmy dowodne i prawdopodobne, ale i krasomówskie i jakiekolwiek dowody na jakiejbądź drodze". Słowem, nie trzeba było nowych ksiąg pisać o indukcyi: dość było wyłożyć, jak można zestawić prawidłowo zdania w indukcyi na wzór syllogizmu. Dlatego zaraz po słowach powyższych Arystoteles dodaje [2]:

„Indukcyą jest i to indukcyą prawidłowo na wzór syllogizmu ułożoną, ten wywód, w którym, zarówno jak w syllogizmie,

---

[1] ΑΝΑΛ. ΠΡ ks. 2, r. [XXI] XXIII: ὅτι δ' οὐ μόνον οἱ διαλεκτικοὶ καὶ ἀποδεικτικοὶ συλλογισμοὶ διὰ τῶν προειρημένων γίνονται σχημάτων, ἀλλὰ καὶ οἱ ῥητορικοὶ καὶ ἁπλῶς ἡτιοῦν πίστις καὶ ἡ καθ' ὁποιανοῦν μέθοδον, νῦν ἂν εἴη λεκτέον.

[2] Ἐπαγωγὴ μὲν οὖν ἐστι καὶ ὁ ἐξ ἐπαγωγῆς συλλογισμὸς τὸ διὰ τοῦ ἑτέρου θάτερον ἄκρον τῷ μέσῳ συλλογίσασθαι, οἷον εἰ τῶν ΑΓ μέσον τὸ Β, διὰ τοῦ Γ δεῖξαι τὸ Α τῷ Β ὑπάρχειν· οὕτω γὰρ ποιούμεθα τὰς ἐπαγωγάς... Εἰ οὖν ἀντιστρέφει τὸ Γ τῷ Β καὶ μὴ ὑπερτείνει τὸ μέσον, ἀνάγκη τὸ Α τῷ Β ὑπάρχειν. Δέδεικται γὰρ τὸ πρότερον —

(mianowicie w środku poprzedniego rozdziału mówi: πάλιν, ὅταν τὸ Α, np. „ciała bezwładne", καὶ τὸ Β, „ciała ważkie", ὅλῳ τῷ Γ ὑπάρχῃ, np. „wszystkim ciałom podzielnym", to znaczy: „wszystkie ciała podzielne są bezwładne"; „wszystkie ciała podzielne są ważkie", ἀντιστρέφῃ δὲ τὸ Γ τῷ Β, i można naodwrót powiedzieć: „wszystkie ciała ważkie są podzielne", ἀνάγκη τὸ Α παντὶ τῷ Β ὑπάρχειν. to znaczy: „wszystkie ciała ważkie są bezwładne", ἐπεὶ γὰρ παντὶ τῷ Γ τὸ Α, καὶ τὸ Α παντὶ τῷ Β ὑπάρξει, czyli w syllogizmie pierwszego trybu:

wszystkie ciała podzielne są bezwładne;
wszystkie ciała ważkie są podzielne:
więc wszystkie ciała ważkie są bezwładne). —

— ὅτι ἂν δύο ἄττα τῷ αὐτῷ ὑπάρχῃ καὶ πρὸς θάτερον αὐτῶν ἀντιστρέφῃ τὸ ἄκρον, ὅτι τῷ ἀντιστρέφοντι καὶ θάτερον ὑπάρξει τῶν κατηγορουμένων. Δεῖ δὲ νοεῖν τὸ Γ τὸ ἐξ ἁπάντων τῶν καθ' ἕκαστον συγκείμενον· ἡ γὰρ ἐπαγωγὴ διὰ πάντων.

łączymy dwa pojęcia za pomocą trzeciego, ale z tą różnicą, że to trzecie pojęcie inaczej służy za pomocnicze przy syllogizmie, inaczej przy indukcyi. Syllogizm za pomocnicze pojęcie używa średniego i łączy we wniosku mniej od niego ogólne pojęcie skrajne, podmiot, z więcej od niego ogólnem skrajnem, orzeczeniem. Indukcya przeciwnie: za pomocnicze pojęcie używa bardziej szczegółowego podmiotu, żeby połączyć we wniosku pojęcie średnie z ogólniejszem skrajnem, orzeczeniem... Przytem używamy podmiotu o tym samym zakresie, jaki odpowiada średniemu, tak żeby można było i o podmiocie orzec pojęcie średnie i naodwrót, o pojęciu średniem orzec podmiot".

Co znaczy ta ostatnia uwaga? Arystoteles wyjaśnia swój przepis przykładem, wziętym z ówczesnych pojęć przyrodniczych, o których może trzebaby dzisiaj rozprawiać jeszcze, nim wyjaśniłyby sprawę. Dlatego można ten przepis wyjaśnić na tym samym przykładzie, którego pierwej Arystoteles użył: na figurze, ograniczonej średnicą i obu ramionami kąta w półkolu.

Według nauki wyłożonej powyżej, uczeń w ten sposób o takiej figurze rozumuje indukcyjnie:

dana figura posiada istotne znamiona trójkąta;
dana figura jest jakąbądź figurą, utworzoną przez średnicę i oba ramiona kąta w półkolu:
więc jakabądź figura, utworzona przez średnicę i oba ramiona kąta w półkolu, posiada istotne znamiona trójkąta.

W pierwszem zdaniu podmiot obejmuje mniejszy zakres, aniżeli orzeczenie, bo owo znamię, w niem spostrzeżone, przychodzi w figurach ograniczonych jakiemibądź trzema dłużniami, nietylko średnicą i ramionami kąta: więc algebraicznie można przedstawić pierwsze zdanie tak, jak wniosek syllogizmu: $P < O$.

W drugiem zdaniu podmiot ten sam wraca, zestawiony z pojęciem średniem, i na pierwszy rzut oka wygląda, jakby mieścił w sobie tylko część zakresu średniego: jedna dana figura poszczególna, sama w sobie uważana, wyraża tylko jeden przedmiot, więc wyraża mniej, aniżeli pojęcie ogólne: jakabądź figura tego samego rodzaju. Jednak z przebiegu myśli w indukcyi i z toku mowy wypada, że ten podmiot „dana figura", jako do-

wolnie obrany przedstawiciel jednorodnych figur wszelakich, przedstawia wobec rozumu wszystkie figury jednorodne, oczywiście nie razem wszystkie, tylko z kolei jedną po drugiej. W tej myśli można powiedzieć: „dana figura jest jakąbądź figurą, utworzoną przez średnicę i oba ramiona kąta w półkolu“: tym sposobem oba pojęcia zestawione w tem zdaniu, obejmują ten sam zakres przedmiotów poszczególnych. Dlatego algebraicznie tak przedstawić je można: $P = Ś$. Stąd można, jak żąda Arystoteles, przestawić pojęcia w tem zdaniu, i zarówno dobrze o „danej figurze“ orzec, że jest „jakąbądź figurą tego rodzaju“, jak naodwrót, o „jakiejbądź figurze tego rodzaju“ można orzec, że jest „daną figurą“. W samej rzeczy, tę samą myśl wyraził nauczyciel, kiedy przy wykładzie użył takiego albo podobnego zwrotu: „wykreślmy jakąbądź figurę, utworzoną przez średnicę i oba ramiona kąta w półkolu; niech nią będzie dana figura, którą kreślę obecnie“.

We wniosku pojęcie średnie obejmuje mniejszy zakres, niż orzeczenie, dlatego można tak algebraicznie przedstawić wniosek indukcyi, jak pierwsze zdanie syllogizmu: $Ś < O$.

Dlatego syllogizm i indukcya porównane ze sobą, tak algebraicznie przedstawią swoje różnice:

Syllogizm (w 1-ym trybie, do którego można sprowadziś inne):	Indukcya:
$Ś < O$	$P < O$
$P < Ś$	$P = Ś$
$P < O$	$Ś < O$

Więc sama budowa zewnętrzna obu rodzai dowodów przedstawia ich wewnętrzną różnicę: skąd wychodzi syllogizm, na tem kończy indukcya, na prawdach ogólnych; i przeciwnie syllogizm kończy na prawdach poszczególnych, indukcya z nich właśnie wychodzi [1].

[1] Dlaczegóż Arystoteles wymaga w indukcyi na drugiem miejscu zdania przestawnego? Tego przepisu zrozumieć nie mogą niektórzy dyalektycy: przypuszczają tylko, że według Arystotelesa indukcya schodzi na trzeci tryb syllogizmu, który w samej rzeczy przypomina budowę indukcyi, bo jak w indukcyi pojęcie pomocnicze stoi na miejscu podmiotu w obu

Więc nawet syllogizm, zewnętrznie najpodobniejszy do indukcyi, zawsze najzupełniej staje w przeciwieństwie do niej, kiedy porównywamy ich istotę. W syllogizmie drugie zdanie przystosowuje podmiot pierwszego zdania do jakiegoś pojęcia poszczególnego; w indukcyi drugie zdanie rozszerza zakres tego podmiotu na cały ogół innych jednostek: przez to sprawia, że ten podmiot więcej znaczy dla rozumu, niż mówi do zmysłu: dla oka przedstawia jedną jednostkę, dla rozumu przedstawia niezliczone mnóstwo jednostek. Dlatego Arystoteles przestrzega na końcu tego ustępu, że „trzeba rozumieć i myśleć o podmiocie, powtórzonym w obu zdaniach poprzednika, jako o zbiorowem pojęciu wszystkich jednostek poszczególnych, bo indukcya przez wszystkie jednostki potwierdzoną prawdę głosi", nie przez jednę wyjątkową, tylko opiera tę prawdę ogólną na rzetelnem

---

zdaniach poprzednich, tak także w trzecim trybie syllogizmu pojęcie średnie zajmuje to samo miejsce, i jak do indukcyi wchodzi drugie zdanie przestawne, tak także w trzecim trybie syllogizmu oba pojęcia, zestawione w drugiem zdaniu, obejmują ten sam zakres, więc tworzą zdanie przestawne. Tak można to algebraicznie przedstawić:

Syllogizm 3-go trybu:	Indukcya:
$\acute{S} < O$	$P < O$
$\acute{S} = P$	$P = \acute{S}$
$P < O$	$\acute{S} < O$

Stąd wnoszą, że Arystoteles chciał przypomnieć, jak można sprowadzić indukcyę na pierwszy tryb syllogizmu, żeby i w tem zrównać ją z syllogizmem w trzecim trybie, który sprowadzony na pierwszy tryb, tak wygląda algebraicznie:

$$\begin{array}{l} \acute{S} < O \\ P = \acute{S} \\ \hline P < O \end{array}$$

Podobnie wygląda indukcya z przestawionem drugiem zdaniem, według przepisu Arystotelesa:

$$\begin{array}{l} P < O \\ \acute{S} = P \\ \hline \acute{S} < O \end{array}$$

Ale zapominają o tem, że mimo podobieństwa indukcyi w pierwotnej postaci do syllogizmu w trzecim trybie, a indukcyi z przestawionem zdaniem drugiem do syllogizmu w pierwszym trybie, zawsze zostaje zasadnicze przeciwieństwo między syllogizmem, który schodzi z ogólnych prawd do poszczególnych, a indukcyą, która z poszczególnych prawd prowadzi

świadectwie chociażby jednego przedstawiciela wszystkich, odpowiedzialnego za ogół.

Może ostatnie słowa Arystotelesa, oddzielnie wzięte i nie porównane z całą jego nauką, wywołały zarzut, że Arystoteles znał tylko tę indukcyę zwaną „zupełną", która wylicza w samej rzeczy wszystkie poszczególne przedmioty, żeby je objąć potem wspólnem mianem i orzec o nich prawdę ogólną. Słusznie możnaby zarzucić, że filozofia perypatetyczna nie odkrywała nowych prawd

---

do ogólnych. Więc do czegóż służy przepis o drugiem zdaniu w indukcyi przestawnem? Nie do tego, żeby zatrzeć różnicę między indukcyą a syllogizmem, tylko żeby ją tem dobitniej uwydatnić.

Arystoteles przedtem wykazał prawidło syllogizmu, do którego stosuje dowodną siłę indukcyi. Badał, czy dowodzi taki syllogizm, jak ten:

wszystkie ciała podzielne są bezwładne:
wszystkie ciała podzielne są ważkie:
wszystkie ciała ważkie są bezwładne:

I odpowiada, że w tym razie taki syllogizm posiada siłę dowodną, jeżeli drugie zdanie jest przestawne, bo jeżeli możemy przestawić orzeczenie z podmiotem, w takim razie możemy ustawić syllogizm pierwszego trybu

wszystkie ciała podzielne są bezwładne:
wszystkie ciała ważkie są podzielne:
wszystkie ciała ważkie są bezwładne.

Otóż Arystoteles o tem prawidle wspomina przy indukcyi, i na niem wykazuje jej siłę dowodną, a nie odsyła do syllogizmu w trzecim trybie, bo ten, choć ma drugie zdanie przestawne, dowodzi tylko poszczególnej prawdy, więc mimo zewnętrznego podobieństwa do indukcyi, nie posiada jej siły wewnętrznej i dlatego do niczego nie służy, kiedy trzeba wykazać tę jej siłę dowodną.

To właśnie uwydatnia różnicę między indukcyą a syllogizmem. Poznać ją bardzo jasno możemy, jeżeli w drugiem zdaniu indukcyi zastąpimy pojęcie średnie, „jakabądź figura ograniczona jak powyżej", innem pojęciem, któreby także orzekało prawdę o podmiocie: „dana figura", ale nie służyło do tego, żeby uogólnić ten podmiot, jak służy do tego pojęcie średnie. Niech będą takie trzy zdania:

dana figura posiada istotne znamiona trójkąta;
dana figura jest przecięciem ostrosłupa;
stąd wynika: jakieś przecięcie ostrosłupa posiada istotne znamiona trójkąta.

Teraz wypłynęła we wniosku prawda poszczególna, a podmiot dwu zdań poprzednich: „dana figura" i dla oka i dla rozumu przedstawia tylko jeden przedmiot poszczególny, użyty tutaj za pojęcie „średnie", żeby syllogistycznie dowieść prawdę poszczególną o podmiocie: „jakieś przecięcie ostrosłupa".

w przyrodzie, gdyby używała do niej tylko indukcyi zupełnej, bo wniosek z niej nie rozszerza zakresu wiedzy. Ale wystarczy porównać te słowa z nauką Arystotelesa już wyłożoną, żeby zrozumieć myśl Arystotelesa. Sam ją nawet gdzieindziej wyraził dostatecznie, kiedy mówi [1]:

„Powiedziano już, jak trzeba odkrywać pierwotne prawdy do syllogizmu, że nie trzeba przeglądać wszystkiego... dość liczby mniejszej i przedmiotów wybitnych... Dlatego do każdej umiejętności, prawd pierwotnych dostarczyć ma doświadczenie, jak doświadczenie astronomiczne do astronomicznych nauk, i tak w każdej jakiejbądź umiejętności". A oczywiście nie możnaby żadnej prawdy ogólnej odkryć na polu doświadczalnem, gdyby badacz poprzednio musiał przeglądnąć osobno każde zjawisko i każdą jednostkę, których mnóstwa nikt nie policzy. A choćby możebnem było oprzeć prawdę ogólną na wszystkich poszczególnych przypadkach, z tak odkrytej prawdy nie byłoby pożytku do dalszej dedukcyi, która z zasad ogólnych wysnuwa prawdę o jednostkach niepoznanych doświadczalnie.

Do czegóż służył u Arystotelesa i perypatetyków podział indukcyi na „zupełną" *(completa)*, która przytacza wszystkie przypadki bez wyjątku, i „niezupełną" *(incompleta)*, która wymienia tylko niektóre przypadki, a o innych dodaje ogólnikowo: „i tak dalej".

Wielu pisarzy miesza powyższy podział z innym, mianowicie z podziałem indukcyi na właściwą albo „całkowitą" *(perfecta)*, o której to była dotychczas mowa w pracy niniejszej, i na indukcyę niewłaściwą albo „ułomną" *(manca)*, która polega na przykładzie albo podobieństwie (παράδειγμα) i pozwala z jednego albo kilku przedmiotów poszczególnych odgadywać prawdę o innych podobnych. Taka indukcya ułomna schodzi na syllogizm nieprawidłowy, który wyświadcza przy nauce usługi istotne, na-

[1] ΑΝΑΛ. ΠΡ. ks. 1, r. xxx: Αἱ δ' ἀρχαὶ τῶν συλλογισμῶν καθόλου μὲν εἴρηνται, ὃν τρόπον τ' ἔχουσι, καὶ ὁν τρόπον δεῖ θηρεύειν αὐτάς, ὅπως μὴ βλέπωμεν εἰς ἅπαντα... ἀλλ' εἰς ἐλάττω καὶ ὡρισμένα... Διὸ τὰς μὲν ἀρχὰς τὰς περὶ ἕκαστον ἐμπειρίας ἐστὶ παραδοῦναι· λέγω δ' οἷον τὴν ἀστρολογικὴν μὲν ἐμπειρίαν τῆς ἀστρολογικῆς ἐπιστήμης· ληφθέντων γὰρ ἱκανῶς τῶν φαινομένων, οὕτως εὑρέθησαν αἱ ἀστρολογικαὶ ἀποδείξεις. Ὁμοίως δὲ καὶ περὶ ἄλλην ὁποιανοῦν ἔχει τέχνην τε καὶ ἐπιστήμην.

suwa domysły bogate w następstwa i toruje drogę do prawdy, ale nie wykazuje jej stanowczo.

Takiej indukcyi ułomnej użył np. Ampère, kiedy badał istotę siły magnetycznej na solenoidach, tj. drutach skręconych nakształt linii śrubowej, przez które przechodzi prąd elektryczny; spostrzegał na nich odpychanie, przyciąganie, ustawianie się prostopadle do równika i liczne zjawiska, podobne do zjawisk magnetycznych. Stąd rozumował tak: zjawiska spostrzegane na solenoidach pochodzą od prądów elektrycznych, a zjawiska spostrzegane na solenoidach bywają objawami własności magnetycznych: więc podobno objawy własności magnetycznych pochodzą od prądów elektrycznych.

Taki syllogizm uchybia przeciw prawidłom, bo zawiera cztery pojęcia; zamiast jednego średniego pośredniczą dwa do siebie podobne. Więc wniosek podaje domysł, a nie prawdę wykazaną stanowczo. Dopiero po dłuższej pracy na drodze doświadczalnej przyrodnicy zdołają stwierdzić, czy rzeczywiście wszelkie przyciąganie, odpychanie, ustawianie się prostopadle do równika i inne zjawiska podobne pochodzą od stosownego układu prądów elektrycznych, a z innych przyczyn pochodzić nie mogą? Słowem, czy wymienione zjawiska wyczerpują wszelkie objawy magnetyczne? W takim dopiero stanie wiedzy znawcy zdołają ustawić oba zdania powyższe w indukcyę właściwą i powiedzieć stanowczo, że wszelakie objawy magnetyczne pochodzą od stosownego układu prądów elektrycznych, że magnetyzm jest odmianą elektryczności.

Z tej różnicy między indukcyą całkowitą a ułomną czyli podobieństwem, wynikło, że Arystoteles tę ostatnią polecał głównie krasomówcom, dla naukowej pracy pierwszej wymagał, to jest tej, która zebrała dość liczne zjawiska, żeby przekonać, że orzeczenie należy do podmiotu „jako takiego“, nietylko przypadkiem.

Póki orzeczenie nie należy do podmiotu „jako takiego“, póty prawda ogólna nie zasługuje u Arystotelesa na miano naukowej, póty jej podstawa: indukcya niewłaściwa, potrzebuje dalszej pracy, aby z hipotezy albo prawdy przypadkowej wydostać

tezę i prawdę konieczną. Dlatego Arystoteles pilnie przestrzega badacza, że powinien starannie rozważyć każdą prawdę ogólną, nim na niej oprze wnioski, bo inaczej nie da dowodów umiejętnych, tylko poda domysły. Tę naukę wyjaśnia przykładem wymownym [1]:

„Dlatego nikt o kątach w poszczególnym trójkącie nie dowiedzie nic umiejętnie, jeżeli opiera dowód na prawdach ogólnych, osobno odkrytych co do trójkąta równobocznego, osobno co do różnobocznego, a nie widzi tych prawd w jednem świetle jako prawdy powszechnej dla trójkąta jakiegobądź; choć może ją znać przypadkowo, ale nie oprze na niej dowodu umiejętnego, tylko mędrkuje sofizmatami, ani nie pojął trójkąta powszechnie, ani nie wie, czy niema trójkątów innego rodzaju. Bo nie zna trójkąta jako takiego, ani nie zna wszelakiego trójkąta, zna tylko liczebnie trzy jego odmiany, nie samą jego istotę, a nie wie, czy nie spotka gdzie trójkąta, jakiego dotąd nie spotkał. Więc kiedyż zna o trójkącie prawdę, choć ogólną, ale nie powszechnie? Kiedy przeciwnie, zna ją umiejętnie? Oczywiście, choćby poznał ją tylko na trójkącie równobocznym, poznałby ją powszechnie, jeżeliby nie było trójkątów, prócz równobocznych, i wszystkie piętna równobocznych stanowiłyby istotę trójkąta. Ale kiedy równe boki nie należą do istoty trójkąta, wtenczas nie zna prawdy powszechnej o trójkącie, kto ją poznał tylko na równobocznym jako takim. A czyż prawda o sumie trzech kątów, równej dwom prostym, należy do trójkąta powszechnie, czy do równobocznego wyłącznie? Kiedy prawda pierwotnie należy do

[1] ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. I, r. 5: Διὰ τοῦτο οὐδ' ἂν τις δείξῃ καθ' ἕκαστον τὸ τρίγωνον ἀποδείξει ἢ μία ἢ ἑτέρᾳ, ὅτι δύο ὀρθὰς ἔχει ἕκαστον, τὸ ἰσόπλευρον χωρὶς καὶ τὸ σκαληνὲς καὶ τὸ ἰσοσκελές, οὔπω οἶδε τὸ τρίγωνον ὅτι δύο ὀρθαῖς, εἰ μὴ τὸν σοφιστικὸν τρόπον, οὐδὲ καθόλου τριγώνου, οὐδ' εἰ μηδέν ἐστιν, ὁ οὐκ οἶδεν. Πότ' οὖν οἶδε καθόλου, καὶ πότ' οἶδεν ἁπλῶς; δῆλον δή, ὅτι εἰ ταὐτὸν ἦν τριγώνῳ εἶναι καὶ ἰσοπλεύρῳ ἢ πᾶσιν. Εἰ δὲ μή ταὐτόν, ἀλλ' ἕτερον, ὑπάρχει δ' ἡ τρίγωνον, οὐκ εἴδεν. Πότερον δ' ἧ τρίγωνον ἢ ἧ ἰσοσκελές, ὑπάρχει; καὶ πότε κατὰ τοῦθ' ὑπάρχει πρῶτον; καὶ καθόλου τίνος ἡ ἀπόδειξις; δῆλον ὅτι ὅταν ἀφαιρουμένων ὑπάρξῃ πρώτῳ· οἷον τῷ ἰσοσκελεῖ χαλκῷ τριγώνῳ ὑπάρξουσι δύο ὀρθαί, ἀλλὰ καὶ τοῦ χαλκοῦν εἶναι ἀφαιρεθέντος καὶ τοῦ ἰσοσκελές. Ἀλλ' οὐ τοῦ σχήματος ἢ πέρατος. Ἀλλ' οὐ πρώτων. τίνος οὖν πρώτου; εἰ δὴ τριγώνου, κατὰ τοῦτο ὑπάρχει καὶ τοῖς ἄλλοις, καὶ τούτου καθόλου ἐστὶν ἡ ἀπόδειξις.

trójkąta, jako takiego? I kiedy służy do dowodu ogólnego umiejętnie? Oczywiście, do tego przedmiotu należy pierwotnie, z którym nastaje, i z którym ginie. Np. odkrywamy ją na miedzianym trójkącie równobocznym, ale ta prawda nie ginie, choć zabraknie trójkąta miedzianego albo równobocznego. Z drugiej strony niema jej bez figury i linii; ale nie każda figura albo linia ziści na sobie tę prawdę: więc nie do nich należy pierwotnie. Do czegóż należy pierwotnie? Do trójkąta, jeżeli z nim powstaje i ginie, a przez istotę trójkąta należy dalej do jego odmian, i przy wszelakim trójkącie służy za dowód umiejętny".

Tak dobitnie zaznaczona różnica między wynikiem indukcyi właściwej, a wnioskiem opartym na niewłaściwej, na przykładzie albo podobieństwie, ułatwia sąd o wielu prawach przyrody, uznanych dziś za niewątpliwe, a przecie nie dość dowodnie wykazanych, aby módz powiedzieć, że inaczej być nie może. Wiemy, że każde ciało posiada ciężar właściwy, ale czy ciało jako takie posiada ciężar?... stanowczo odpowiedzieć nie zdołamy. Opieramy sąd na indukcyi także co do tej prawdy; ale jeszcze nie przeprowadziliśmy indukcyi właściwej, nie zbadaliśmy wszechstronnie zjawisk, które świadczą o ciężarze ciał: więc jeszcze nie możemy twierdzić, że ciężar należy do ciała „jako takiego", a nie przypadkiem.

Ta właśnie indukcya właściwa wykazuje, że wszelkie jednostki pewnego rodzaju noszą na sobie znamię, wyrażone orzeczeniem; przy tej to całkowitej indukcyi zachodzi podział na zupełną a niezupełną. Choćby badacz na jednym poszczególnym okazie w samej rzeczy odkrył znamię istotne całego rzędu jednostek, przecie taka indukcya, jakkolwiek niezupełna, odpowiada pod każdym względem pojęciu indukcyi właściwej czyli całkowitej. Więc tylu potrzebuje badacz jednostek do rozbioru, ilu wymaga rodzaj prawdy, której poszukuje. W matematyce pracuje nad prawdą, do której wchodzą pojęcia ścisłe i wyraźne, więc jeden wypadek wystarczy do indukcyi całkowitej. W innych działach wiedzy, po rozbiorze wielu jednostek jeszcze trudno zdać sprawę, czy dostrzeżone znamię im odpowiada wyjątkowo, jako tym właśnie jednostkom poszczególnym, czy stanowi ich

znamię powszechne, jako przedstawicielom wielu innych jednostek. Dlatego, im zawilsza sprawa, tem liczniejsze szczegóły potrzebne, tem więcej przedmiotów badać trzeba i doświadczać ich znamienia na różnych miejscach i o różnych porach, uważać na stosunki, w jakich je zastajemy, roztrząsać ich objawy w odmiennych a nawet przeciwnych wypadkach, a jeżeli te przedmioty, tak wszechstronnie badane, niezależnie od wszelakich wpływów zewnętrznych, noszą na sobie zawsze głęboko wyryte znamię wspólne, choćby uległo zmianom przypadkowym, w takim razie to ich wspólne piętno należy nietylko do wyjątkowych jednostek, ale także do wszystkich, których przedstawicieli zbadaliśmy z należytą rozwagą. Ale i w takich wypadkach o nic innego nie idzie, jak o to, żeby o jednostkach wziętych pod uwagę módz orzec, że wydają zgodne świadectwo, jako przedstawiciele mnóstwa innych przedmiotów, w których nic już innego nie możnaby doświadczyć, czegoby już nie pokazała ta albo owa jednostka wzięta pod rozbiór [1].

Najzawilsze indukcye przyrodniczych nauk nie zawierają więcej nad trzy zdania, które tak można wypowiedzieć:

Poszczególne jednostki dane: a_1, a_2, a_3... badane:
na miejscach różnych b_1, b_2, b_3...
w czasach odmiennych c_1, c_2, c_3...
wśród stosunków odrębnych d_1, d_2, d_3...
pod wpływami przeciwnemi e_1, e_2, e_3...
stale noszą na sobie jednostajne znamię *n*;

a poszczególne jednostki dane, badane tak wszechstronnie jak powyżej, są jakiemibądź z mnóstwa innych tego samego rodzaju:

więc jakiebądź jednostki z mnóstwa innych tego samego rodzaju stale noszą na sobie jednostajne znamię *n*.

Ale iluż jednostek potrzebuje badacz, jak długo je badać, na ilu miejscach i tak dalej, nim doświadczy je tak wszechstronnie, żeby mógł zaliczyć poszukiwane orzeczenie do isto-

[1] ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. II, r. 7: δείξει... ὁ ἐπαγῶν διὰ τῶν καθ' ἕκαστα ὑφ' ἡμῶν ὄντων, ὅτι πᾶν οὕτως τῷ μηδὲν ἄλλως.

tnych znamion podmiotu? Na to prawideł powszechnych Arystoteles nie daje z tego powodu, że ta miara zależy od poszczególnych przedmiotów badanych i przedewszystkiem od umysłu badacza samego. Umysły bystrzejsze i znawcy przenikną siłę indukcyi na kilku wypadkach i uważają wniosek z niej za prawdę konieczną, kiedy umysł powolny albo prostaczek wątpi jeszcze, czy ma przed sobą indukcyę całkowitą: potrzebuje jeszcze dłużej badać i śledzić więcej wypadków, nim uzna we wniosku prawdę niezbitą. Nowsi pisarze śmiało twierdzą, że błysk myśli, która w prawdach doświadczalnych odkrywa prawdę stałą i powszechną, należy nieraz do objawów geniuszu, do spraw umysłu odbywanych bez wielkiego zachodu przez umysły wyższe, a najtrudniejszych do szczegółowego rozbioru, podobnych do myśli artysty, który sam jej nie zdoła ująć w drobiazgowe prawidła. Więc głębszy myśliciel może już nieraz uważać wnioski indukcyi za prawdy konieczne i używać ich do syllogizmu, kiedy początkowy badacz potrzebuje jeszcze wykończać indukcye. Dlatego perypatetycy poprzestają na zasadach i prawidłach, danych przez Arystotelesa, i zgodnie twierdzą, że w świetle tych prawideł, zastosowanych zręcznie przez zdolnego myśliciela, indukcya „choćby nie przeprowadzona przez wszystkie szczegóły, tylko przez znaczną liczbę, choć nie sprawdzana ustawicznie, tylko od czasu do czasu, wszakże wystarczy doświadczonemu badaczowi, który nieomylnie poznaje we wniosku prawdę raz na zawsze i tęsamą w każdym innym wypadku, bo kiedy czasem w takich szczegółach ją napotyka, czasem w zupełnie niepodobnych, wtenczas spostrzega, że przy jakiejbądź zmianie poszczególnych szczegółów, zawsze ta sama istota działała jednakowo, więc nie wskutek przypadków wyjątkowych, ale z istoty samej jako takiej płynęły stale spostrzegane objawy“ [1]. Stąd słusznie Arystoteles uważał syllogizm za drogę prędzej dostępną dla znawców i umysłów oświeconych, a indukcyę za odpowiedniejszą dla ludzi, którzy nie umieją jednym rzutem myśli ogarnąć wspólnej treści i istoty różnorodnych zjawisk [2].

[1] Duns Scot in sent. dist. 3, q. 4, n. 9.

[2] Św. Tomasz de causis lect. 10: „Et hoc etiam experimento in nobis

Dotychczas wyłożona nauka perypatetyczna o indukcyi dostatecznie odpiera zarzut, jakoby Arystoteles w samej rzeczy mówił coś o indukcyi, ale o takiej, z jakiej wiedza nie ma pożytku, bo wspominał tylko o indukcyi zupełnej. Zarzut ten upada wobec zasady perypatetycznej, że indukcya z poszczególnych prawd doświadczalnych prowadzi do pierwotnych prawd ogólnych, a z nich syllogizm rzuca światło na inne szczegóły nieznane.

Zostaje jeszcze ostatni rozdział drugiej księgi ΑΝΑΛ. ΥΣΤ., w którym Arystoteles rzuca wiele światła na przebieg myśli w pochodzie indukcyi: dlatego ten rozdział zasługuje tu jeszcze na rozbiór treściwy, w świetle wykładu św. Tomasza.

Arystoteles bada, która władza poznawcza naszej duszy działa przy indukcyi. Taką władzę musiał przyjąć, skoro opisywał jej czynności; nazwał ją „nabytkiem zasad" (ἡ τῶν ἀρχῶν ἕξις, *habitus principiorum*), ale przyznawał, że możnaby wątpić, czy należy ją zaliczyć do władz zmysłowych, czy do umysłowych. Wspomina o różnych w tej sprawie poglądach sprzecznych, toruje sobie między niemi drogę, i za nić przewodnią bierze zasadę, że każdą prawdę naukową, czy to pośrednią, czy pierwotną, poznawać musimy w świetle prawdy jakiejś, już poprzednio znanej [1].

Uważa więc za niemożebne przypuszczać, że albo tych zasad znikąd nie posiadamy, albo czerpiemy je bezwiednie z jakiegoś źródła, któreby nie stanowiło w nas stałego nabytku wiedzy. Stąd widzi potrzebę jakiegoś źródła wiedzy, chociażby niższego rzędu od władzy, która z prawd pierwotnych wysnuwa pośrednie za pośrednictwem syllogizmu.

Jakaż wiedza poprzedza w nas zasady pierwotne i prowa-

percipimus. Videmus enim quod illi, qui sunt excellentioris intellectus ex paucioribus auditis vel cognitis totam virtutem alicujus quaestionis vel negotii comprehendunt, quod alii, grossiores intellectus existentes percipere non possunt, nisi manifestentur illis per singula, ratione quorum oportet frequenter inducere".

[1] Φανερὸν τοίνυν, ὅτι οὔτ' ἔχειν (τὰς ἀρχὰς) οἰόντε, οὔτ' ἀγνοοῦσι καὶ μηδεμίαν ἕξουσιν ἕξιν ἐγγίνεσθαι. Ἀνάγκη ἄρα ἔχειν μέν τινα δύναμιν, μὴ τοιαύτην, ἡ ἔσται τούτων τιμιωτέρα κατ' ἀκρίβειαν.

dzi do ich nabytku? W odpowiedzi Arystoteles opisuje pochód i stopnie naszej wiedzy [1].

Arystoteles zaczyna od wzmianki, że wiedza doświadczalna w swoim obrębie obejmuje już nie samo pole pracy, właściwej rozumowi ludzkiemu, ale cały obszar, na którym pracują zmysłowe władze poznawcze, wspólne człowiekowi z wszystkiemi zwierzętami. Więc wprowadza najprzód najniższe zwierzęta, obdarzone jednym albo drugim zmysłem, ale pozbawione pamięci. Te zajmują najniższy szczebel pomiędzy jestestwami poznawczemi: nie wiedzą nic poza tą chwilą, w której zmysł zewnętrzny wydaje swoje świadectwo krótkotrwałe. Inne stoją na wyższym szczeblu: obdarzone pamięcią, zdołają utrwalić w duszy ślad wiadomości, otrzymanej przez zmysł zewnętrzny. Na najwyższy szczebel wiedzy doświadczalnej wstępują dopiero zwierzęta rozumne: ludzie, „których zapas wiedzy gromadzonej w pamięci rodzi słowo umysłowe, czy to pojedyńcze pojęcie, czy z porównanych pojęć wytworzony sąd".

Czemże jest ten zapas wiedzy, jeszcze wspólny ludziom i zwierzętom, z którego powstają umysłowe pojęcia i ogólne sądy? Perypatetycy w nim właśnie widzą właściwe źródło ogólnych zasad i pewników, nazwane doświadczeniem przez Arystotelesa [2].

Tak w każdym zawodzie, spotykając się z ludźmi i wypadkami, wyprawiamy do nich nasze zmysły na zwiady i z doniesionych przez nie szczegółów wybieramy wskazówki, żeby ocenić nieznanych ludzi i dociec, co znaczą wypadki. Ale rzadko kiedy parę szczegółów rzuci już jasne światło na całe tło moż-

[1] Φαίνεται δὲ τοῦτό γε πᾶσιν ὑπάρχον τοῖς φώοις. Ἔχει γὰρ δύναμιν σύμφυτον κριτικήν, ἣν καλοῦσι αἴσθησιν· ἐνούσης δ' αἰσθήσεως τοῖς μὲν τῶν ζώων ἐγγίνεται μονὴ τοῦ αἰσθήματος, τοῖς οὐκ ἐγγίνεται. Ὅσοις μὲν οὖν μὴ ἐγγίνεται, ἢ ὅλως ἢ περὶ ἃ μὴ ἐγγίνεται, οὐκ ἔστι τούτοις γνῶσις ἔξω τοῦ αἰσθάνεσθαι· ἐν οἷς δ', ἔνεστι αἰσθανομένοις ἔχειν ἔτι ἐν τῇ ψυχῇ. Πολλῶν δὲ τοιούτων γινομένων ἤδη διαφορά τις γίνεται, ὥστε τοῖς μὲν γίνεσθαι λόγον ἐκ τῆς τῶν τοιούτων μονῆς, τοῖς δὲ μή.

[2] Tamże: Ἐκ μὲν οὖν αἰσθήσεως γίνεται μνήμη, ὥσπερ λέγομεν, ἐκ δὲ μνήμης πολλάκις τοῦ αὐτοῦ γινομένης ἐμπειρία· αἱ γὰρ πολλαὶ μνῆμαι τῷ ἀριθμῷ ἐμπειρία μία ἐστίν. Ἐκ δ' ἐμπειρίας ἢ ἐπ παντὸς ἠρεμήσαντος τοῦ καθόλου ἐν τῇ ψυχῇ, τοῦ ἑνὸς παρὰ τὰ πολλά, ὁ ἐν ἅπασιν ἓν ἐνῇ ἐκείνοις τὸ αὐτό, τέχνης ἀρχὴ καὶ ἐπιστήμης, ἐὰν μὲν περὶ γένεσιν, τέχνης, ἐὰν δὲ περὶ τὸ ὄν, ἐπιστήμης.

liwych stosunków i przestrzeże przed każdą niespodzianką, która może nam grozić. Niedoświadczeni dają nam ze siebie naukę, jakie następstwa płyną z porywczych sądów o prawdzie pozornej. Odstraszeni cudzem nieszczęściem, długo gromadzimy liczne szczegóły w skarbnicy pamięci, nim powiemy sobie, że już, doświadczeniem nauczeni, umiemy odróżnić istotę prawdy od jej pozorów. Teraz już nie łatwowiernie przyjmujemy świadectwo zmysłów; już nie na domysłach osobistych opieramy poglądy ogólne, ale na rzeczywistej podstawie: za zasady tak nabyte i za ich powagę wierzytelną ręczy teraz wiedza doświadczalna, której sprawdzić nie trudno. Uważa św. Tomasz w tem miejscu, że do tego nabytku zasad wiedza doświadczalna prowadzi nas inaczej, aniżeli w syllogizmie prawdy pierwotne wykazują prawdę pośrednią. Prawdy pierwotne własną siłą i ze siebie rodzą prawdę, poznaną w wyniku syllogizmu. Prawda doświadczalna dostarcza tylko podniety do pracy umysłowej, przez którą poznajemy prawdę pierwotną we wniosku indukcyi. Zmysły poddają rozumowi okruchy prawdy albo jej pierwotne objawy, rozum sprzęga te szczegóły, żeby z nich, jakoby unieruchomionych w duszy, urobić prawdę ogólną. Unieruchomionemi Arystoteles nazywa szczegółowe zjawiska, ujęte prawem ogólnem, bo to w swojej treści uwydatnia te znamiona poszczególnych prawd doświadczalnych, które nie podlegają zmianom, jako należne do istoty jestestw badanych. Tak prawdy doświadczalne stanowią źródło, z którego czerpiemy zasady i pewniki, naukowe przedewszystkiem, a przez podobny przebieg myśli, także zasadnicze prawidła sztuki, przemysłu i rzemiosł.

W czemże więc zbłądził Plato, kiedy mniemał, że nie zdołamy z prawd doświadczalnych, miejscowych i chwilowych, wywieść prawdy pierwotnej, powszechnej i wiecznej? Arystoteles tak odpowiada[1]:

---

[1] Tamże: Σταντὸς γὰρ τῶν ἀδιαφόρων ἑνός, πρῶτον μὲν ἐν τῇ ψυχῇ καθόλου· καὶ γὰρ αἰσθάνεται μὲν τὸ καθ' ἕκαστον, ἡ δ' αἴσθησις τοῦ καθόλου ἐστίν, οἷον ἀνθρώπου, ἀλλ' οὐ Καλλίου ἀνθρώπου· πάλιν ἐν τούτοις ἵσταται, ἕως ἂν τὰ ἀμερῆ στῇ

„Któreś ze wspólnych znamion, spostrzeżonych bez różnicy w różnych jednostkach, osiada w duszy jako pierwsza wiadomość ogólna, bo chociaż zmysł przez się i wprost przedstawia poszczególne zjawiska, jednak następnie i ubocznie uwiadamia nas o ogólnej istocie jestestw spostrzeganych; nietylko Kalljasza przedstawia nam w jego osobistej postaci ludzkiej z odznakami jego poszczególnemi, ale donosi nam ubocznie i świadczy także, że spostrzegł człowieka; znowu dalej zmysł daje nam znać, że ten poszczególny człowiek Kalljasz nietylko z każdym innym człowiekiem ma wspólną istotę ludzką, ale także z innemi zwierzętami posiada coś wspólnego: władze poznawcze tworzą znamię wspólne zwierzęciu rozumnemu, Kalljaszowi, i zwierzęciu nierozumnemu, Bucefałowi; więc zmysł naprowadza rozum na pojęcie jeszcze ogólniejsze ‚zwierzęcia', które odpowiada człowiekowi i innym jestestwom poznawczym. I tak dalej zmysł nasuwa nam coraz ogólniejsze pojęcia i dochodzi do najogólniejszych: jestestwa i bytu. Więc oczywiście potrzebujemy niezbędnie indukcyi, żeby w jej świetle poznać pierwotne prawdy ogólne, jeżeli w powyższy sposób ze świadectwa zmysłów urabiamy pojęcia ogólne".

Więc idealizm Platoników płynął z braku uwagi na to, jak zmysł nasuwa umysłowi zawiązek ogólnych pojęć i sądów: nie dostarcza ich wprost, bo wprost nie spostrzega ich sam; ale poddaje je w osłonie zjawisk, a rozum rozsuwa zasłonę i dostrzega konieczny związek między podmiotem a orzeczeniem, w nim zawartem.

Taki wykład indukcyi uwalnia perypatetyków od zarzutu, który biedzi Stuarta Milla. Perypatetycy pokładają siłę indukcyi na wiedzy, że znamię choćby jednej jednostki, należne do jej przyrody czyli istoty, odznacza wszystkie jednostki tej samej istoty. Stąd całą treść indukcyi widzą w pochodzie myśli, który na widok badanej jednostki wnika w jej istotę i orzeka, że któreś jej znamię należy do istotnych i zawsze koniecznych. Stuart

---

καὶ τὰ καθόλου, οἷον τοιονδὶ ξῷον, ἕως ξῷον· καὶ ἐν τούτῳ ὁσαύτως. Δῆλον δὴ ὅτι ἡμῖν τὰ πρῶτα ἐπαγωγῇ γνωρίζειν ἀναγκαῖον· καὶ γὰρ καὶ αἴσθησις οὕτω τὸ καθόλου ἐμποιεῖ.

Mill oprzeć usiłuje indukcyę na zasadzie przyczynowości, ale zaraz sam musi sobie zarzucić: a zasada przyczynowości skąd oczywista? Odpowiada, że ona sama nie oczywista jeszcze ze siebie, tylko prawdopodobna; ale że to nie ujmuje nic indukcyi, bo bez końca potwierdzane prawdopodobieństwo zasady przyczynowości wyciska na niej jakieś piętno jakby nieomylnej prawdy. Cóż z tego? Wynik indukcyi, i według niego i według perypatetyków, musi zawierać prawdę konieczną. Stuart szuka źródła tej konieczności, ale nie spostrzega, czy nie uznaje, że koniecznem jest tylko to, „czemu wewnętrzna jego istota nie pozwala nie być“ [1].

Perypatetycy uważali wynik indukcyi za konieczny, ponieważ wykazuje istotę rzeczy. Stąd od razu widzieli, że prawa przyrody w badanej jednostce działają stale. Nie opierali zaś indukcyi na prawie przyczynowości, bo wywodzili to prawo także indukcyjnie z wypadków doświadczalnych. Czy tę indukcyę przeprowadzili szczęśliwiej od wielu innych nieudanych, nie tu miejsce rozprawiać. Kiedy mowa o poglądzie perypatetyków na tę zasadę, dość przytoczyć słowa św. Tomasza, który o przyczynowości tak samo twierdzi, jak o każdej innej prawdzie pierwotnej, że jej zaprzeczać, znaczy odrzucać świadectwo zmysłów. Już za jego czasów poprzednicy Malebranche'a twierdzili, że na świecie niema przyczyn stworzonych, tylko Bóg jeden działa wyłącznie we wszystkiem. Przeciw temu perypatetycy podnosili to, że kiedy przykładamy ogień do suchego drewna, zawsze drewno zapłonie, i wnosili stąd, że ogień jest przez się a nie przypadkiem przyczyną palenia się drzewa. Odpowiadano im na to, podobnie jak później Hume: *post hoc sed non propter hoc.* Tę odpowiedź św. Tomasz nazywa oczywiście sprzeczną ze świadectwem zmysłów, bo zmysł, który nie czuje nic, póki nie dozna wrażenia od przedmiotu zmysłowego, nie poznawałby, że ogień pali, gdyby nic ogień nie działał, a tylko i jedynie sam Bóg wywoływał wrażenie gorąca. W takim razie czu-

[1] Św. Tomasz (In physic. Arist. l. II, lect. 8): „necessarium enim dicitur, quod in sua natura habet, quod non possit non esse“.

libyśmy gorąco, ale nie poznawalibyśmy, że to z ognia pochodzi gorąco, ani że ogień jest gorący; a jednak wiemy, że ogień gorący, i wiemy ze świadectwa zmysłu, który to poznaje a nie błądzi w obrębie prawd odpowiednio doświadczonych [1].

Z tych słów widać, że perypatetycy nie mieliby potrzeby uciekać się do syntetycznych sądów *a priori*, na wzór Kanta, żeby odpowiedzieć Hume'owi na pytanie, skąd znamy zasadę przyczynowości. Hume twierdził, że *nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu.* Póty zgodnie z perypatetykami. Ale dalej wnosił Hume, że przez zmysły doświadczalną drogą nic nie wiemy o przyczynowości: więc że nie jesteśmy pewni tej zasady. Otóż przytoczone słowa św. Tomasza zagradzają drogę wnioskom Hume'a, i nawet w zasadzie przyczynowości, której dziś nie każdy filozof zdoła obronić, pokazują oczywistą przez się prawdę, wykazaną przez indukcyę.

Jak co do tej zasady, tak co do wielu innych, filozofia dopuszcza do rozpraw, a nawet żąda, żeby każdy następca zbadał do głębi siłę dowodu poprzedników. Gdyby tylko na to zwrócił uwagę Bakon, w czem niedopisywały indukcye perypatetyczne, mógłby był wyświadczyć filozofii usługę niezmierną. Ale ryczałtowy i lekceważący wyrok na scholastykę nie mógł jej przedstawicieli przekonać, że błądzą. Stąd zamiast wspólnej pracy

[1] De potentia, q. III, a. 7, c.: „Quidam... in errorem inciderunt, attribuentes Deo hoc modo omnem naturae operationem, quod res penitus naturalis nihil ageret per virtutem propriam... Sed si obiiceretur contra eos, quod ex applicatione ignis ad calefactibile, semper sequebatur calefactio, nisi per accidens esset aliquod impedimentum, quod ostendit ignem esse causam caloris per se: dicebant, quod Deus ita statuit, ut iste cursus servaretur in rebus, quod nunquam Ipse calorem causaret, nisi apposito igne, non quod ignis appositus aliquid ad calefaciendum faceret. Haec autem positio est manifeste repugnans sensui, nam quum sensus non sentiat nisi per hoc, quod a sensibili patiatur, (quod etsi in visu sit dubium propter eos, qui visum extra mittendo fieri dicunt, in tactu et in aliis sensibus est manifestum), sequitur, quod homo non sentiat calorem ignis, si per ignem agentem non sit similitudo ignis in organo sentiendi. Si enim illa species caloris in organo ab alio agente fieret, tactus etsi sentiret calorem, non tamen sentiret calorem ignis, nec sentiret ignem esse calidum, quum tamen hoc judicat sensus, cujus judicium in proprio sensibili non errat". Summa Q. 115, a. 1. c.: „sensibiliter apparet, aliqua corpora esse activa".

nad prawdami, zebranemi przez tysiące lat, nastała walka między filozofią szkolną a wyzwoloną. Nowa filozofia musiała od podwalin zaczynać, choć miała nieobliczone zasoby wiedzy w pracach swojej poprzedniczki. Powstawały systemata zbyt chwiejne, żeby długo stawić opór naciskowi przeciwników: padały jedne za drugiemi. Nakoniec zaczęła filozofia poznawać, że niepotrzebna to robota zaczynać wiecznie od początku: zwróciła oko na pomniki, które dowodzą jej, że znaczną część drogi ku prawdzie znali już dawni myśliciele. Stąd coraz częściej spotykamy prace, które pokazują średnie wieki w mniej ciemnem świetle, aniżeli twierdziło wielu wrogów szkolnej filozofii. Może i niniejsza praca przyczyni się do usunięcia od filozofii perypatetycznej zarzutów, jakie Bakon przeciw niej nagromadził, i dorzuci cegiełkę do usprawiedliwienia dzisiejszego ku niej zwrotu, któremu dał impuls Leon XIII.

Ks. K. Czaykowski.

WALKA O TRON KRAKOWSKI

w roku 1228.

W roku 1886 współcześnie prawie pojawiły się trzy prace niezawisłe od siebie, traktujące o wypadkach zaszłych w Małopolsce w r. 1228, bezpośrednio po śmierci Leszka Białego w Gąsawie. Wyłącznie wypadkami temi zajmuje się praca K. Szkaradka p. t.: „Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego w r. 1228“ [1]. Ubocznie porusza je Semkowicz w monografii p. t.: „Zbrodnia Gąsawska“, poświęcając im końcowy, trzeci ustęp swej pracy [2], a rezultaty swych badań, dotyczących roku 1228, powtarza w obszernem dziele p. t.: „Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza“ [3]. Wreszcie i znany badacz spraw prusko-pomorskich, Perlbach, poddawszy po 13 latach raz jeszcze gruntownej analizie najdawniejsze dokumenty zakonu niemieckiego przy jego osiedleniu się w Prusiech, w pierwszym zeszycie dzieła: *Preussisch-polnische Studien zur Geschichte des Mittelalters* [4], niejednokrotnie zmuszonym był bliżej poświęcić uwagę stosunkom małopolskim z roku 1228 [5].

Szczupłość źródeł i lakonizm ich, nie pozwalają stworzyć z nich jednolitego obrazu. Hipoteza więc mniej lub więcej pra-

[1] „Rocznik Filaretów“, 139—231. Kraków 1886.
[2] *Ateneum*, r. 1886, III, 344—348.
[3] Kraków 1887, 224—227.
[4] Halle 1886, 1. Heft. *Zur Kritik der ältesten preussischen Urkunden.*
[5] Str. 58/9, 67.

wdopodobna gra w każdej z tych prac z konieczności niepoślednią rolę. Nie dziw więc, że przebieg wypadków, jakkolwiek z tych samych luźnych okruchów dziejowych wysnuty, u każdego z autorów na odmiennem tle historycznem skreślony, całkiem odmienny przedstawia obraz.

Podajemy tu w krótkości wyniki tych poszukiwań, by, zbadawszy krytycznie ich wartość, przy pomocy źródeł dotąd niezużytkowanych, dojść do jakiejś, nie powiemy, pewności, lecz większego przynajmniej prawdopodobieństwa.

§ I. Wyniki badań Szkaradka, Semkowicza i Perlbacha.

Szkaradek twierdzi, że w pierwszych miesiącach po śmierci Leszka Białego rządy przy pomocy biskupa Iwona, wojewodów Pakosława i Marka, sprawuje Grzymisława, że niema śladu jakiejkolwiek opieki ze strony czy to Konrada, czy to Władysława Starego [1]. Dowodem na to jest stosunkowo dość częste wykonywanie praw książęcych przez nadawanie przywilejów, lub ich potwierdzanie, nadto tytuły, jakiemi się w końcu roku 1227 i w pierwszej połowie następnego księżna wdowa posługuje [2].

[1] Obacz Dodatek I.. (Dodatku tego i trzech następujących nie umieszczamy w *Przeglądzie.* Wyjdą one w osobnej odbitce tej pracy. *Przyp. Red.).*

[2] 1227. 6. XII. Nadaje Grzymisława d. g. *ducissa Poloniae,* Cystersom sulejowskim prawo trzymania bobrów w posiadłościach nad Pilicą. K. Mp. II, n. 393.

1227. XII — 1228? Uwalnia poddanych klasztoru tynieckiego od podatków zwanych „slone". K. Tyn. n. 9.

1228. III. Na zjeździe z Konradem w Skarzeszowie G. *duci. Poloniae,* uwalnia Cystersów jędrzowskich od pewnych ciężarów, jak stróży, powozu, przesieki, dostarczania bydła, budowania grodów, wypraw wojennych „et a nullo castellano ad judicium provocentur, solummodo, cum sigillo meo et literis meis ante me ducissam cum citra Pilciam vel Visliciam fuerim et non alias judicandi provocentur". Kod. Mp. I, n. 19.

1228. III. Tamże przywraca G. *Cracoviae ductrix et Sandomiriae* biskupowi kujaw., Michałowi, prawo polowania w kasztelanii wolborskiej w ziemi sieradzkiej. K. Pol., n. 19.

1228. 5. V. Pakosław, wojewoda sandomirski, daje łan i winnicę w Zabawie Cystersom mogilskim *coram G. ducissia Cracoviae.* K. Mog., n. 6.

1228. 11. V. Sulisława, wdowa po Marcinie, na drugim zjeździe w Ska-

Dopiero w marcu Konrad Mazowiecki, mając największe prawa do opieki, lecz nielubiany przez małopolskich wielmożów, energicznie upomina się o swe prawa, bawiąc z licznym orszakiem dygnitarzy mazowiecko-kujawskich w Małopolsce i układając się z Grzymisławą wraz z wielmożami małopolskimi[1]. Układy te, przewlekane do maja, biorą niekorzystny dla Konrada obrót wskutek wieści o napadzie Prusaków i Litwy na ziemie mazowieckie[2]. Wtedy to po oddaleniu się Konrada wielmoże małopolscy uznają w Cieni, miejscowości wielkopolskiej pod Kaliszem, Władysława Starego, władającego po ujęciu Odonicza w tymże roku całą Wielkopolską[3], opiekunem młodego Leszkowica, wymógłszy na nim pierwsze *pacta conventa*, w osobnych przywilejach im nadane[4]. Konrad uporawszy się z Prusakami i założywszy ku obronie kraju zakon Dobrzyńców, uzyskał pomoc Romanowiczów, Daniela i Wasylka, przeciw Litwie i przeciw oponentom swych słusznych praw do opieki nad Leszkowicem[5]. Wobec takiego sojuszu i bezbronności Władysława Starego, któremu zbiegły z niewoli bratanek zagraża[6], Grzymisława za radą wielmożów małopolskich zrzekłszy się Krakowa, oddaje się, prawdopodobnie w sierpniu[7], pod opiekę Henryka, by przynajmniej Sandomierz synowi zabezpieczyć[8]. Dlatego też napad Konrada nietylko przeciw Władysławowi Staremu, lecz i przeciw

---

rzeszowie G. ze synem Romana (kniaziem Daniłłą) sprzedaje połowę Dzierzkówka *coram G. duc. Sandomiriae.* K. Mp. II, n. 395.

1229. Nad Pilicą na zjeździe z Konradem G. *relicta ducis Lestconis*, potwierdza Kanonikom Regularnym w Czerwińsku targ w Kochowie. Kod. Mp. I, 12.

1230. 18. XI. W Skarzeszowie przed zjazdem z Konradem poświadcza G. *ducissa*, iż Jakób szlachcic, wieś Dzierzkówek klasztorowi miechowskiemu darował. K. Mp. II, n. 401.

[1] Dokumenty z r. 1228. III, K. Mp. I. n. 11, i K. Pol. I, n. 19, i 23. IV, w Bejscach. Pr. *Urkdb.* n. 64, z 3. V. Pr. *Urkdb.* n. 65.

[2] Dusburg, *Script. rer. Pruss.* I, str. 36. Kronika Wołyńska pod r. 6737.

[3] Kronika Wp., *M. P. H.* II. 557.

[4] K. Kap. Krak. I, n. 19 i 20.

[5] Kron. Wołyńska pod r. 6737.

[6] Obacz przyp. 3.

[7] Grünhagen, *Regesten*, n. 338.

[8] Kron. Polska, *M. P. H.* III. 648/9.

Henrykowi jest wymierzony. Drużyna ruska Romanowiczów zapewnie we wrześniu nietylko oblega Kalisz, ubiega Starygród wielkopolski, ale zdobywa i szląski gród, Milicz [1]. Ubezwładniony napadem tym Władysław Stary, niemniej i walką z bratankiem, usuwa się na drugi plan, a walkę dalszą z Konradem podejmuje Henryk i to ze skutkiem, dwukrotnem zwycięstwem wyparłszy go z Małopolski [2].

Semkowicza rezultaty są następujące:

Wedle testamentu Krzywoustego, który chwilowo i bezprawnie uchylony został wyborem Kazimierza i następstwem Leszka, należała się monarchia wraz z Księstwem Krakowskiem najstarszemu z rodu Piastów. Był nim Henryk Brodaty, nie Władysław Stary, bo wedle Długosza urodził się tenże roku 1168; Henryk zaś wedle domysłu autora między r. 1160—1165. Przemawia za tem okoliczność, iż na prośbę Henryka Brodatego Innocenty III. właśnie w bulli z dnia 9 czerwca roku 1210 potwierdza rozporządzenie Krzywoustego [3], nadto że Władysław, obejmując przywilejem z dnia 23 marca opiekę nad Leszkowicem, nie występuje z pretensyą do władzy zwierzchniczej. Konrad Mazowiecki, jako najbliższy krewny, r o ś c i ł s o b i e p r a w o d o o p i e k i nad małoletnim i tych tylko praw domagał się z początku, sądząc, że będąc raz w posiadaniu Krakowa, zawładnie monarchią; Henryk zaś miał słuszne pretensye do władzy wielkoksiążęcej. Ciężkie rany, zadane mu w Marcinkowie, nie dozwoliły mu zaraz po śmierci Leszka dochodzić z orężem w ręku tych praw. Konrad Mazowiecki zatem stanął najpierw w ziemi krakowskiej, potwierdza to obecność Kazimierza, syna Konradowica [4], na dworze krakowskim w kilka dni po śmierci Leszka, nadto Kronika Wpol. c. 61, mówiąc: *Denique post mortem Lestconis Conradus Boleslaum cum suis ducatibus et aliis terris in sui curam suscepit* i Chron. Pol., str. 641, twierdząc: *Lestcone sic interempto Conradus monarchiam Cracoviensem occupare nitebatur.*

[1] Kron. Wołyńska p. r. 6737.
[2] Kronika Polska, *M. P. H.* III, 648/49.
[3] „Zbrodnia Gąsawska", *Ateneum* 1886. III. 344, przyp. 2.
[4] K. Mp. II, n. 393.

Ponieważ Henrykowi największe przysługiwało prawo do Krakowa, Grzymisława widziała w nim najgroźniejszego rywala. Przerażała ją myśl, iż może utracić Kraków i przenieść się wraz z synkiem na mniejsze księstwo sandomierskie. Dlatego poruczyła opiekę nad dziecięciem Konradowi, którego mogła nienawidzić, którego jednak nie obawiała się tak bardzo, albowiem ciągłe napady Prusaków wymagały jego obecności na Mazowszu. Pod osłoną mazowieckiej załogi tuszyła księżna, iż samodzielnie sprawować będzie rządy w obu księstwach. Konrad, wezwany do objęcia opieki, zrazu nie stawiał trudnych warunków, skoro Grzymisława w pierwszych miesiącach, jako udzielna występuje księżna. Bezinteresowna opieka Konrada trwała niedługo. Grzymisława widząc, iż jej położenie staje się coraz nieznośniejszem, zjeżdża się z Konradem w marcu i przychodzi do przekonania, iż Konradowi nie tyle na opiece, ile na posiadaniu księstwa zależało. Zrywa więc z Konradem wszelkie stosunki, a 23 marca na zjeździe dygnitarzy wielko- i małopolskich Władysław Stary, zaprzysiągłszy *pacta conventa* wielmożom małopolskim, obejmuje opiekę nad Leszkowicem. Nie długo trwała opieka Władysława Starego nad Bolesławem. Wkrótce wybuchła walka między Odoniczem a jego stryjem, wywołana ogłoszeniem powyższych traktatów. Władysław Stary nie mógł dotrzymać obietnic, przyrzeczonych na zjeździe. Za namową Konrada na wiosnę wpadli Rusini do Wielkopolski i na Szląsk, a Grzymisława, zagrożona przez Konrada, uczyniła krok rozpaczliwy, powołując Henryka na pomoc. Zrzekając się Krakowa, chciała uratować choćby sandomierską ziemię.

Perlbach kreśli następujący obraz tych stosunków:

Po śmierci Leszka Białego ówczesny senior rodu Piastów, Władysław Stary, objął opiekę nad wdową i dziećmi zmarłego. Z początkiem roku 1228 zawarł tenże za pośrednictwem episkopatu wielko- i małopolskiego w Cieni pod Kaliszem ugodę spadkową z młodym Leszkowicem, gdyż wyrażenie *in colloquio in Cena* uważa nie za datę (*in cena Domini* 23 marca w roku 1228), lecz za oznaczenie miejsca. Ale już w marcu 1228 r. Konrad, jako najbliższy krewny Leszka, wraz z synami i wojewodą ku-

jawskim, Arnoldem, wkroczył do Małopolski. W Skarzeszowie spotkała się Grzymisława z Konradem i musiała biskupowi kujawskiemu przyznać znaczne przywileje. W końcu (23) kwietnia znajduje się Konrad na południowym krańcu Małopolski w Bieczu i tutaj, w co dopiero zajętym przez siebie kraju, wystawia Zakonowi niemieckiemu pierwszy przywilej w imieniu swych braci, wszystkich książąt polskich. Mimo to 7 i 21 maja w Krakowie o mazowieckiem panowaniu nic nie słychać. Księżna Grzymisława odbywa 5 maja zjazd z wielmożami małopolskimi w Krakowie, a 21 kapituła krakowska wystawia dokumenty dla klasztoru mogilskiego bez wymienienia jakiegokolwiek kasztelana mazowieckiego [1]. Napad Prusaków, o którym wieść właśnie krzyżaccy posłowie przywieźli, zmusił księcia mazowieckiego do spiesznego odwrotu. W lipcu już widzimy go koło Płocka, zajętego zabezpieczeniem kraju przez fundowanie zakonu Dobrzyńców (str. 61). W Krakowie tymczasem już w końcu sierpnia książę Henryk Brodaty, powołany przez księżnę i wielmożów, jest władcą i jako taki zdołał kraj swój obronić od napadów Konradowych dwukrotnem zwycięstwem pod Skałą, niedaleko Krakowa, i pod Międzyborzem, prawdopodobnie w górach świętokrzyskich na drodze z Krakowa do Mazowsza.

§ II. Krytyka opinii, iż Konrad Mazowiecki po śmierci Leszka Białego pierwszy objął opiekę nad jego synem.

1) Krytyka źródeł, na jakich się ta opinia opiera.

Do siebie zbliżone są wyniki Szkaradka i Perlbacha, do całkiem innych dochodzi rezultatów autor „Zbrodni Gąsawskiej". Mianowicie broni on utartej w naszej historyografii opinii [2], jakoby po śmierci Leszka opiekę nad jego synem i rządy w Małopolsce objął bezpośrednio brat zmarłego, Konrad Mazowiecki. Już Smolka w swej pracy: *Herzog Heinrichs auswärtige Beziehungen* odmienne wyraził zdanie, za nim poszli Perlbach, Grünhagen [3], Szkaradek. Opiera się ta opinia na Kronice Wielko-

[1] K. Mog. n. 6. 7. 8.
[2] Smolka, „Henryk Brodaty", 38. — Lewicki, „Zarys hist. Polski", § 62.
[3] *Geschichte Schlesiens*, t. I. 52.

polskiej lub Baszka, jak chce Małecki [1], która jedyna wspomina o objęciu opieki nad Leszkiem przez Konrada bezpośrednio po śmierci Leszka [2]. Kronika ta jednak o sprawach małopolskich zawiera tak mętne wiadomości, iż absolutnie na nich polegać nie można. Uważamy przeto za zbyteczne nad cytowanym przez Semkowicza ustępem z 61 rozdziału Kroniki Baszka bliżej się zastanawiać wobec oceny, jaką specyalny badacz tej Kroniki, Warmski [3], a także i Smolka [4] o wspomnianym rozdziale właśnie wydali. Uważnie go czytając, trzeba koniecznie przyjść do przekonania, że kronikarz podaje w nim ogólnikowo najważniejsze tylko wypadki z całego szeregu lat po śmierci Leszka Białego i to na podstawie całkiem mętnej tradycyi.

Potwierdzenie jednak tej mętnej wersyi Baszkowej znajduje Semkowicz w dokumencie Grzymisławy z dnia 6 grudnia roku 1227 [5], gdzie wśród świadków wymienionych figuruje Kazimierz, syn księcia Konrada. Czyż jednak obecność książątka mazowieckiego w Krakowie dowodzi, że „Konrad stanął pierwszy na ziemi krakowskiej“ i że objął opiekę nad pacholęciem Leszkowem? Kazimierz, drugi czy trzeci syn Konrada, bawi w Krakowie 6 grudnia, bo przybył na pogrzeb stryja, odbyty w pierwszych dniach grudnia [6]. Czy z ojcem przybył, nie wiemy. Ponieważ jednak akt darowizny bobrów nad Pilicą, dla Cystersów sulejowskich przez Grzymisławę z polecenia męża i za duszę jego uczynionej, odbył się uroczyście w katedrze św. Wacława, w obliczu najwyższych dostojników małopolskich, świeckich i duchownych, dziwićby naprawdę musiała Konrada nieobecność przy akcie tak uroczystym, jeżeli rzeczywiście gościł w Krakowie, dziwićby musiało bardziej jeszcze, dlaczego pisarz dokumentu

[1] Kronika Baszka. *Kwartalnik historyczny* z r. 1894, zeszyt I, 1—23.

[2] „Denique post mortem Lestconis, principis praeclari, Conradus frater ejus Mazoviae dux nepotem suum Boleslaum Pudicum cum suis ducatibus Crac. et Sand. et aliis terris in sui curam suscepit“. *M. P. H.* II, 555. Cap. 61.

[3] *Die grosspoln. Chronik*, 105.

[4] „Henryk Brodaty“, 5. Ob. przyp. 66.

[5] K. Mp. n. 393.

[6] Zamordowanie Leszka miało miejsce 24 lub 23 listopada. Kalendarz krak. *M. P. H.* II. 938. Nekrolog czesko-szląski. *Schles. Zeitschrift* V, 115.

sulejowskiego, wymieniając syna książęcego wśród świadków zaraz po biskupie Iwonie, nie wymienił samego księcia, przybyłego dla objęcia opieki, wszak świadectwo księcia, choćby obcego, podnosi wiarogodność dokumentu! Pełnomocnikiem zaś ojca w objęciu władzy opiekuńczej Kazimierz, drugi czy trzeci syn Konradowy, żadną miarą być nie mógł. Licząc bowiem 12 do 17 lat[1], był wyrostkiem, a wyrostkom tak ważnej misyi, jaką było objęcie rządów w Małopolsce, nie porucza się.

Cytowany wreszcie przez Semkowicza dla poparcia swego zdania ustęp z dobrze o tych sprawach poinformowanej Kroniki polskiej[2]: *Lestcone interempto Conradus monarchiam Cracoviensem occupare nitebatur,* mówi tylko o usiłowaniach i zabiegach Konrada o Kraków, o Wielkie Księstwo Krakowskie[3], i na to chętnie

[1] Ślub Konrada z Ahafią, córką Rurykowicza Świętosława, wspomniany w bulli Honoryusza III. z d. 16 czerwca 1218, kładzie Perlbach na r. 1213, i to po 23 czerwca, a to dlatego, iż Gietko, biskup płocki, tocząc spór z arcybiskupem Henrykiem Kietliczem, urażony między innemi o to na metropolitę, iż tenże przy uroczystości zaślubin Konradowych usunął go od celebrowania mszy — iż obrażony biskup płocki w tym dniu jeszcze znajduje się na synodzie biskupów w Sieradzu w otoczeniu arcybiskupa. Nie sądzimy jednak, by usunięcie od mszy pontyfikalnej, choćby w dniu zaślubin księcia, tak dalece mogło obruszyć Gietkę, iżby nawet na synody biskupie stawić się nie chciał. Sądzimy więc, że ślub odbył się wcześniej między r. 1207—1209. Leszek, starszy brat, dopiero 1207 r. pojął córkę kniazia luckiego, Ingwara, Grzymisławę za małżonkę. (Droba, „Stosunki Leszka z Rusią", str. 84). Wątpimy, by młodszy brat wcześniej się żenił. — W r. 1207 znajduje się ojciec Ahafii w niewoli Leszka, w następnym roku jest już panem Przemyśla, we wrześniu r. 1209 ginie na szubienicy z ręki Haliczan. Przypuścić należy, że zaręczyny Konrada odbyły się w 1207 lub 1208 r. i były pokojowem uwieńczeniem sporu między Igorewiczami a Kazimierzowicami. Potwierdza to przypuszczenie dokument z r. 1218, d. 10 sierpnia (K. Pol. II. 1, n. 3), gdzie między innymi wspomniany jest pedagog trzeciego syna Konrada, Ziemowita, Bożej. Ponieważ ksiądz pedagog dla syna choćby książęcego nie pierwej był potrzebny jak w piątym roku życia, przypuścić należy, iż już około r. 1213 urodził się trzeci syn. Zaślubiny więc musiały się odbyć około r. 1208.

[2] *M. H. P.* III, 641.

[3] Tak interpretujemy *monarchiam Cracoviensem* w przeciwieństwie do Semkowicza, który pod tem wyrażeniem rozumie „monarchią", czyli zwierzchnictwo nad całą Polską, twierdząc, iż „Konrad domagał się zrazu tylko praw do opieki nad małoletnim i jego ojcowizną, w przekonaniu, że będąc

się piszemy, bo te usiłowania właśnie są dowodem, że Krakowskiego Księstwa nie posiadał, jeżeli o nie się kusił, że zatem nie objął opieki z prawami książęcemi nad Małopolską.

Cały więc wywód Semkowicza o powołaniu Konrada na opiekuna przez Grzymisławę bezpośrednio po śmierci Leszka, o jej rachubie, iż Konrad, zajęty sprawami pruskiemi, nie będzie jej przeszkadzał w wykonywaniu praw książęcych, że się bardzo rozczarowała jego ograniczeniami, że wreszcie na zjeździe skarzeszowskim w marcu, przekonawszy się o jego samolubnych zamiarach, zgodziła się 23 marca na opiekę Władysława Starego, że wskutek tego już na wiosnę roku 1228 Rusini z namowy Konrada napadli na Wielkopolskę, — wszystko to jest domysłem, i to nie bardzo fortunnym domysłem, gromadzącym zbyt wiele faktów, niczem nie popartych, w trzech pierwszych miesiącach roku 1228[1]. Przyczyną zaś tego fałszywego zestawienia faktów jest błędne datowanie przywileju Władysława Mieszkowica dla

raz w posiadaniu Krakowa, nietrudno mu będzie zawładnąć monarchią" („Krytyczny rozbiór" etc. str. 226). Ostatnim, który tytularnie przynajmniej uważał się za zwierzchnika całej Polski, był Leszek Biały i pozostała po nim wdowa, tytułując się *dux* lub *ducissa Poloniae*. Ani Henryk Szląski, lubo stał się panem tak rozległych dzierżaw, nigdy się nie tytułował *dux Poloniae* tylko *dux Slesiae et Cracoviae* lub *dux Slesiae Poloniae et Cracoviae*, ani Konrad, mimo że chwilowo ubezwładnił przeciwników i był panem Małopolski, nigdy nie wyraził w tytule pretensyi do zwierzchnictwa nad całą Polską, lecz tytułuje się co najwięcej *dux Cracoviae, Mazoviae, Sandomiriae et Lanciciae*, tj. panem wymienionych księstw; nigdy zaś *dux Poloniae*; widać stąd, że, kiedy pretensyj do zwierzchnictwa nad całą Polską nie miał w chwili największego powodzenia, nie mógł ich mieć w chwili, gdy się dopiero ubiegał o opiekę. Po r. 1228 *dux Poloniae* znaczy tylko „książę wielkopolski".

[1] Co do napadu Rusi na Wielkopolskę i Szląsk, iż na wiosnę r. 1228 miał miejsce, „bardzo przekonywujący np. dowód" znalazł Semkowicz w pracy Smolki *Herzog Heinrichs des Bärtigen auswärtige Beziehungen (Zeitschrift für Gesch. Schlesiens,* XII, str. 115). Szkoda tylko, iż autor przeoczył w pracy cytowanej jeden wyraz *frühestens*. „Da die Chronik in der Erzählung desselben (tj. Feldzugs der Russen gegen Kalisz) zweimal ausdrücklich von einem grossen Regen spricht, so muss man ihn frühestens in den Frühling des J. 1228 setzen", brzmi dosłownie ustęp, na który się autor powołuje. Wiosna zatem r. 1228 jest zdaniem Smolki i naszem *terminus a quo* wyprawy ruskiej, nie zaś terminem samym tejże.

Kościoła i możnowładztwa małopolskiego [1], gdzie w wyrażeniu *in colloquio in cena* upatruje autor, idąc za wydawcą Kodeksu Małopolskiego, datę, tj. dzień Wielkiego Czwartku, przypadającego na 23 marca w r. 1228. Jednakże taki sposób datowania jest tak niezwykły, iż większość wydawców i badaczy upatruje w wyrażeniu tem miejscowość „Cienię", leżącą w ziemi kaliskiej około Opatówka [2]. Wobec tego cała sztuczna budowa hipotez Semkowicza musi runąć. W źródłach co do objęcia opieki nad Leszkowicem przez Konrada w r. 1228 nie mamy żadnych danych, wiemy z nich tylko o zabiegach, i to zabiegach dla niego zrazu niepomyślnych.

2) Opieka nad małoletnimi książętami w XII. i XIII. wieku.

Być może jednak, iż argumenta wewnętrzne, przez Semkowicza ze stosunków ówczesnych wykombinowane, jakoby opieka Konrada była pożądana dla Grzymisławy, jakoby brat jej męża był najmniej groźnym dla niej rywalem, a dla jej syna opiekunem, silniejsze się okażą od argumentów formalnych, ze źródeł wysnutych.

W tym celu rozpatrzyć się nam przedewszystkiem należy: 1) Kto w XIII. wieku miał prawo do opieki nad małoletnim księciem w razie śmierci ojca? 2) Jakie przysługiwały opiekunowi przywileje i prawa?

Ponieważ prawo familijne w XIII. w. przeważnie oparte jest na zwyczaju, w zasadzie ten sam zwyczaj obowiązywał rodziny panujących jak i poddanych. Stąd też przykłady, zaczerpnięte z życia rodzin prywatnych, mogą służyć za ilustracyę książęcych stosunków rodzinnych. Z drugiej strony, jeżeli już wśród rodzin prywatnych napotykamy na pewne różnice w zwyczajach i prawach familijnych, na pewne odrębności, wypływające z różnicy warunków ekonomiczno-społecznych [3], to odręb-

[1] K. Kap. Krak. I. n. 14, 20.

[2] Szkaradek l. c. str. 70—73. Cfr. aktykacyę dokumentu z r. 1236. Philippi, *Preuss. Urkdb.* n. 124. *Actum in Juni Wladislavia in cena domini [illegible] sextodecimo Kal. April).*

[3] Tak np. w rodzinach zamożnych po wyjściu wdowy zamąż, ma-

ność ta w wyższym jeszcze stopniu do rodzin książęcych się odnosi.

Po śmierci ojca najbliższe prawo do opieki nad małoletnimi i do zarządu dobrami miała niewątpliwie pozostała wdowa. Ona też, zwłaszcza w rodzinach mniej zamożnych, zarządza zupełnie samodzielnie majątkiem mężowskim, wydaje córki zamąż i naznacza im posagi [1]. W rodzinach jednak zamożnych przy wielości dóbr zbyt kłopotliwy ciężar spadał na barki wdowy; dlatego, zwłaszcza gdy chodziło o załatwienie różnych interesów prawnych, widzimy dodanych wdowom opiekunów, którzy małoletnimi się opiekują i sprawy prawne w imieniu swych pupilów załatwiają. Z dokumentu mogilskiego z r. 1230 [2] widzimy, 1) że opiekuna mianował umierający ojciec, 2) że nim był teść zmarłego, najbliższy krewny rodziny pozostałej, 3) że bez opiekuna wdowa nie chce aktu sprzedaży wsi dziedzicznej dokonać, lubo że kupujący klasztor gotów jest ugodzoną sumę wdowie wypłacić. Podobnie w dokumencie szczyrzyckim z r. 1239 [3] spotykamy opiekuna sierot i wdowy po Gryficie Marku, wojewodzie krakowskim. Jest nim Klemens, brat rodzony zmarłego, potwierdza zaś pieczęcią swą akt darowizny, na rzecz klasztoru dokonany przez wdowę i jej dzieci. W rodzinie magnackiej Odrowążów również napotykamy pod r. 1231 [4] opiekunów, którzy *pro se et pro pupillis cognationis nostrae, quorum agimus tutelam,* zrzekają się praw rodowych do włości klasztoru mogilskiego. Z przytoczonych przykładów wynika, iż w rodzinach możnych instytucya opiekuna była rzeczą zwykłą, chociaż matka małoletnich pozostawała przy życiu, że opiekunami byli najbliżsi krewni, i że pra-

jątek pierwszego męża przechodził pod zarząd najbliższego krewnego, a może też i piecza nad nieletniemi dziećmi jemu się dostawała. W familiach mniej zamożnych, zdaje się pasierb pozostawał przy matce w domu ojczyma i był przez niego wychowywany aż do wieku młodzieńczego. (Hube, „Prawo polskie w wieku XIII.“, str. 68. Cfr. *Lib. fund. claustri st. Mariae Virg. in Heinrichow.* str. 66).

[1] Hube l. c. str. 63, przyp. 3, i K. Mp. II. n. 395.

[2] K. Mog. n. 11.

[3] K. Mp. II, str. 61.

[4] K. Mog. n. 12.

wdopodobnie ojciec umierający opiekuna naznaczał. Źródła nic nie mówią, kto obejmował opiekę, jeżeli ojciec umarł, nie wyznaczywszy opiekuna. Zdaje się, że prawo żądania być opiekunem nieletniego, posiadającego dobra dziedziczne, opierało się na ekspektatywie do dziedzictwa w razie nastąpionej śmierci małoletniego [1]. Najbliższy więc krewny obejmował prawdopodobnie opiekę nad małoletnim i załatwiał jego interesa prawne, jak to z mogilskiego dokumentu rodziny Odrowążów wynika.

Podobne stosunki znachodzimy i w rodzinach książęcych. Gdy Bolesław Kędzierzawy umiera, porucza opiekę nad synem, Leszkiem, najmłodszemu bratu, Kazimierzowi, robiąc go zarazem w razie bezpotomnej śmierci syna spadkobiercą jego dzierżaw [2]. Kazimierz następnie pełnomocnikiem swoim i zastępcą w zarządzie dzielnicy kujawsko-mazowieckiej robi wielmożę Żyrona [3]. Gdy zaś Leszek Mazowiecki r. 1186 umarł bezdzietnie, wziął jego ziemie w posiadanie [4].

Nagle, zatem prawdopodobnie bez testamentu, umiera Kazimierz Sprawiedliwy. Stąd też matka jego chłopiąt, księżna Helena, przyjmuje na siebie prawowitą opiekę nad małoletnimi, pókiby starszy nie doszedł do lat. Wedle woli tej niewiasty rozdawane były wszelkie, nawet najmniejsze urzędy [5]. „Zresztą biskup Pelka i wojewoda Mikołaj z niektórymi wielmożami przyjmują na się pieczę nad państwem, którego zarząd poruczają odpowie-

[1] Hube l. c. 69.

[2] Testament Bolesława Kędzierzawego brzmiał wedle mistrza Wincentego jak następuje: „Lestco, filius meus Masoviae simul et Cuiaviae unicus in solidum heres esto! Frater meus Casimirus pupillares interea vices, non tutorio procuret officio, sed paterno foveat amplexu. De Lestcone si quid humanitus obtigerit, idem frater meus Casimirus earumdem provinciarum unicus in solidum heres esto“. *M. H. P.* II, 375/6.

[3] Mistrz Wincenty, str. 397.

[4] Tenże, str. 407.

[5] „Mater puerorum legitimam in se pupillorum tutelam suscipit, donec maior adolescat, qui proximus erat pubertati. Ad huius mulieris nutum, pro meritis cuiusque, fasces distribuuntur dignitatum; hi submoventur, illi substituuntur, ut nec tribuniciae sine ipsius arbitrio, nec minimae omnino concederentur potestates“. Tenże, str. 436.

dnim i ze wszech miar wiernym osobistościom [1]. Tenże sam biskup, którego głównie zabiegom zawdzięcza Kazimierzowa rodzina zatrzymanie wielkoksiążęcej godności, w swej przemowie do rycerstwa, porównywa między innemi, państwo do pupilów. „Jak nie można, oświadcza on, żadną miarą odmówić opieki małoletnim, tak i rzeczypospolitej trza przyznać opiekunów“ [2]. Widać stąd, iż instytucya opiekunów była niezbędną wobec małoletnich książąt, choć nawet matka ich została przy życiu. Niewiasta nie mogła przedewszystkiem najważniejszej funkcyi książęcej, tj. obrony kraju, spełniać. Dlatego musiał ją ktoś w tej mierze wyręczyć. Chodziło o to, kto? Innowacyą i uzurpacyą krakowskiego możnowładztwa było to, iż funkcye te samo sobie przywłaszczyło, kiedy prawem zwyczajowem obowiązki i przywileje opiekuńcze przysługiwały tylko najbliższemu krewnemu małoletnich. Tymże był w tym razie Mieszek Stary. Nie mogąc orężem przeprzeć swoich pretensyj, uderza szczwany książę w strunę legalności i przedstawia księżnej Helenie, jak niepewna jest władza jej, „oparta na aklamacyi krzykliwej pospólstwa“, żąda, by młodociany Leszek „odstąpił mu wielkoksiążęcej godności, a wtedy obiecuje go adoptować, pasować następnie na rycerza, przywrócić mu godność wielkoksiążęcą i w ten sposób aktem legalnym uczynić go dziedzicem, aby godność wielkoksiążęca i zwierzchność nad całą Polską w linii Kazimierzowej na zawsze dziedzicznie była ustalona, albowiem nie może być chwilowem to, co książę postanowił i co książęcą powagą jest postanowione“ [3]. Widać stąd, iż Mieszko, uznając dziedziczne

[1] „Reipublicae curam suscipiunt; cuius administrationem idoneis ac fidelissimis potestatibus distribuunt“. Tamże, str. 436.

[2] „Nam si respublica, juris testimonio, instar habet pupilli; constat idem esse juris in utroque: quia ubi est eadem ratio, eadem est juris censura. Aut ergo pupillis omnem omnino tutelam auferes, aut etiam reipublicae tutores non negabis: nec enim per se principes rempublicam administrant, sed per administratorias potestates“. Tamże, str. 431.

[3] „Cedat mihi filius tuus principatum, quem ego in filium adoptem, eique consequenter militiae cingulo a me insignito eundem restituam, ipsumque heredem legitima sollenitate instituam, ut Cracoviensis dignitas, immo totius Poloniae principatus in tua stirpe perpetua successione solidetur“. Tenże, str. 441 2.

prawa Kazimierzowej linii do Krakowa i władzy zwierzchniczej nad Polską, czy pozornie tylko, w to nie wchodzimy, nie na podstawie testamentu Krzywoustego, lecz na podstawie prawa familijnego, jako opiekun swych małoletnich synowców, władzy nad Krakowem się dopominał. Snać wiele słuszności musiały mieć argumenta Mieszkowe, skoro się na nie zgodziła księżna Helena, „uważając, że lepiej tron ojcowski synowi zapewni, szanując prawa stryja, niż niemi gardząc, i że lepiej jest panować z łaski stryja niż zawsze zależną być od łaski pospólstwa“ [1].

Również nad Władysławem Odoniczem opiekę dzierży najbliższy jego krewny, stryj, Władysław Stary, i ojcowizną swego synowca rządzi dowolnie, oddając mu przy dojściu do lat r. 1207 tylko część onejże, tj. księstwo kaliskie, w zarząd [2].

Po śmierci Kazimierza Opolskiego opiekę nad jego synami i księstwami sprawuje, mimo iż matka Viola żyje i niejednokrotnie prawa książęce w księstwie opolskiem wykonuje, znowu najbliższy krewny zmarłego, jego stryjeczny brat, Henryk Brodaty, i jako opiekun wykonuje prawa zwierzchnicze w ziemi opolskiej [3].

Z przykładów przytoczonych wynika jasno, że małoletni książęta z reguły dostawali się pod opiekę najbliższych krewnych bez względu na to, czy matka małoletnich żyła, czy nie.

Najbliższym tedy uprawnionym opiekunem Leszkowica był niewątpliwie Konrad i jemu się należał wedle prawa zwyczajowego zarząd nad ziemiami zamordowanego brata, gdyby nie ów traktat spadkowy Leszka z Władysławem Starym, w którym Leszko na wypadek swej śmierci właśnie stryjecznego swego brata opiekunem swego dziecięcia mianuje [4]. Traktat ów był innowacyą w dotychczasowem prawie familijnem i dlatego ani

[1] „His inebriata mater ac filii, cedendum esse censent ad tempus principatum, tutiusque patris loco fore, patruum venerari, quam hostem perpetuo sustinere, satius esse patrui regnare munere, quam ex vulgi semper pendere arbitrio“. Tenże, str. 444.

[2] Kronika Baszka. *M. H. P.* II, str. 557. Cfr. Semkowicz, „Krytyczny rozbiór“ i t. d. pod r. 1214, str. 211.

[3] Grünhagen, *Regesten zur schlesischen Geschichte,* n. 429 b, 482, 483.

[4] K. Kap. Krak. I, n. 19.

Władysław Odonicz ani Konrad, jako poszkodowani, żadną miarą na tę innowacyę, uszczuplającą ich prawa rodzinne, zgodzić się nie chcieli.

Dlaczego Konrad zgodzić się nie chciał, jasnem się staje, jeżeli rozpatrzymy się w atrybucyach i przywilejach opiekuna. Mimo że matka najbliższym jest opiekunem i jako opiekunka nietylko wychowaniem małoletnich kieruje, lecz także niejednokrotnie władzę książęcą wykonywa w imieniu nieletnich dziedziców, jakeśmy to widzieli przy Helenie, a także w pierwszej połowie roku 1228 przy Grzymisławie, a w latach 1230 i 1235 przy Violi [1], księżnie opolskiej, jakkolwiek jedna i druga własną posiada pieczęć i akta książęce wydaje, mimo to władza niewiast z natury swej musiała być ograniczona i więcej pozorna niż rzeczywista. Książę opiekun był właściwym władcą, gdyż rozporządzając siłą wojskową, dzierżył rzeczywistą władzę w swym ręku, matkom i małoletnim zostawiając tylko tej władzy pozory.

Już Kazimierz Sprawiedliwy wykonywa taką władzę na Mazowszu i Kujawach, iż, aczkolwiek niesłusznie, posądzany jest o zamachy na własność swego pupila [2]. Z jego np. rozkazu prowadzi książę Leszek i jego drużyna wojnę z Rusią [3]. — Księżna Helena, aczkolwiek tak rozległą posiada władzę wedle słów Mistrza Wincentego, iż nawet najmniejszy urząd woźnego bez jej woli nie bywał obsadzany, mimo to Mieszko szydził z jej władzy, zwąc ją: *non coronam sed luteam testam, ridiculum capitis gestamen, arte figulorum et compositum et impositum.* A że słowa te nie były tylko złośliwemi drwinkami, lecz trafnie acz dosadnie charakteryzowały zależności księżnej wdowy od możnowładztwa krakowskiego, potwierdza fakt, iż wolała zrzec się tymczasowo na rzecz stryja rządów, by dłużej nie być ustawicznie zależną od woli pospólstwa [4]. Ten sam Mieszko jednakże, stawszy się na mocy zaprzysiężonego układu panem Krakowa i opiekunem Kazimierzowiców, rozporządza dowolnie ich dziedzictwem, zaj-

[1] Grünhagen, *Regesten,* n. 354, 467.
[2] Mistrz Wincenty, *M. H. P.* II, str. 406, rozdz. 13.
[3] Tamże, str. 397, przyp. 3.
[4] Tenże, str. 436 i 442.

nuje Kujawy, odrywa od sandomierskiej dzielnicy pojedyńcze ziemie, jak wiślicką, wbrew woli i interesom ks. Heleny i swych pupilów, i dopiero po wielu staraniach oddaje im zabrane ziemie [1].

O opiekuńczej władzy Władysława Starego nad synowcem Odoniczem, nie potrzeba się długo rozwodzić. Wszak nadużycie jej stało się zarzewiem długoletnich krwawych walk między opiekunem a pupilem, przyczyną straszliwych zamieszek w całej Polsce [2].

Co zaś do władzy Henryka Brodatego w ziemi opolskiej, również możemy skonstatować, iż ona była wcale rozległa. Z czterech dokumentów, które mogą w tej kwestyi służyć jako świadectwo, dwa, tj. dokument z r. 1230 i 1235, wystawiła Viola, jako księżna, samodzielnie wykonywając prawa książęce; jednakże zauważyć musimy, że nadania w nich zawarte, dotyczą pojedyńczych tylko włości: w pierwszym uwalnia księżna posiadłość Reptów klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu od danin wszelkich i posług i sądownictwa książęcego, a to za duszę ś. p. męża swego [3], w drugim nadaje biskupiej wsi „Klucze" te same wolności, jakie posiada miejscowość „Ujest", a to za usługi, jakie biskup Tomasz jej samej i synom oddał [4]. Dwa pozostałe dokumenty natomiast świadczą wymownie o zwierzchniczej władzy księcia opiekuna. W pierwszym z r. 1234 [5] na podstawie świadectwa księżnej wdowy, jej syna, niemniej i dostojników opolskich, Henryk Brodaty potwierdza fundacyę i uposażenie klasztoru czarnowąskiego, zrobione przez zmarłego księcia Kazimierza i jego matkę, a czyni to, jak sam wyraźnie zaznacza, *tutelam et gubernationem filiorum dilecti fratris nostri d. Casimiri gerentes.* W drugim dokumencie z r. 1236 [6], dokumencie kasztelana opolskiego Zbrożka, zapisującego swą posiadłość dziedziczną, Ścieniawę, kościołowi wrocławskiemu, książę opiekun na pierwszem miejscu wśród świadków przed księżną Violą występuje. Przytem wyraźnie kasztelan opolski zaznacza, iż zapis ten raz jeszcze ponowił w obecności i za zgodą księcia Henryka, jego baronów

[1] Tenże, str. 443/4.
[2] Szkaradek, l. c. str. 6.
[3] Grünhagen, *Regesten*, n. 354.
[4] Tenże, n. 467.
[5] Grünhagen, *Regesten*, n. 429 b.
[6] Tamże, n. 482.

i swoich krewnych, pomija zaś milczeniem księżnę opolską Violę, choć ona przy akcie tym wraz z synami jest obecna. Owo pominięcie księżnej opolskiej na dokumencie opolskim, świadczy wymownie o ścieśnionym zakresie jej władzy wobec księcia opiekuna. A przecież pobożny mąż świątobliwej Jadwigi prawdopodobnie nie nadużywał swej władzy opiekuńczej, nie krępował zbytnio księżnej wdowy w jej działaniu [1], tem więcej, że księżna, uzasadnionemi snać obawami powodowana, uciekła się pod opiekę Stolicy apostolskiej i takową otrzymała [2]. Jeżeli jednak książę opiekun był mniej uczciwy, mniej względny, wtedy nietylko przywłaszczał sobie władzę w czasie małoletności pupila, lecz nawet po dojściu jego do lat niejednokrotnie ojcowizną jego z nim się dzielił. Bądź co bądź z przytoczonych przykładów jasno wynika, że władza opiekuna nad ziemiami małoletniego księcia była wcale rozległa i to tem rozleglejsza, im bliższym krewnym był opiekun, im większe posiadał prawo do dziedziczenia ziem przez siebie rządzonych.

Z tym faktem przecież liczyć się musiała księżna Grzymisława, a mając dość blizkie i smutne przykłady opieki stryjowskiej, nie mogła żadną miarą się kwapić do opieki Konradowej, tem bardziej, iż miała wyznaczonego przez męża opiekuna w dalszym, a bezinteresowniejszym krewnym, Władysławie Mieszkowicu.

Był dalej wprawdzie Konrad sprawami mazowieckiemi zajęty, lecz nie do tyla, by rządy Grzymisławie pozostawić, wszak miał dorastających, i to 4 czy 5 synów, z których 20-letni blizko Bolesław za dwa lata już zasiędzie na sandomierskim stolcu

[1] Czy Henryk Brodaty dał Violi kaliską i rudzką ziemię, jako osobne księstwo, jak chce Smolka („Henryk Brodaty“, str. 61), jest kwestyą. Dokument, na zjeździe ks. Violi z ks. Henrykiem w Bobrownikach wydany r. 1238, w którym pierwszy raz wdowa po Kazimierzu, jako księżna kaliska i rudzka występuje, jest bez daty dnia. Obecność tylko młodszego syna ks. Violi zdaje się przemawiać, że starszy już był księciem opolskim, że zatem zjazd ów miał miejsce po śmierci Henryka Brodatego i że owym Henrykiem jest syn tegoż. Zdaje się, iż ziemię kaliską i rudzką otrzymała księżna Viola w spadku po Władysławie Starym, że dopiero syn Brodatego słuszną pretensyę księżnej opolskiej zaspokoił.

[2] Grünhagen, *Regesten*, n. 426. 427.

książęcym w dziedzictwie Leszkowica, nie jako opiekun, lecz jako pan [1].

Nieznane są nam ze źródeł familijne stosunki między dworami mazowieckim a małopolskim, zdaje się jednak, że gwałtowna córa powieszonego Rurykowicza, księżna Ofka, która jak się uweźmie, to i biskupa ze wsi darowanej kilkakrotnie wygoni, tak iż mąż i synowie muszą mitygować zawziętość [2], niewielką budziła sympatyę w Grzymisławie, tem więcej, iż, jak plotki złośliwe, których i w XIII. wieku nie brak, głoszą, nietylko szatan sam ale i księżna Ofka księcia Konrada do bezecnych i gwałtownych czynów nakłaniała [3]. Nie wiemy wprawdzie, czy tuż po śmierci Leszka nienawidziła Konrada Grzymisława, jak to później bywało, gdy ją kazał batogami ociwiczyć i do więzienia wrzucić [4], to jednak pewna, że się go lękała ze względu na gwałtowny charakter, który poznać przez lat 20 miała dość sposobności; nie potrzebowała więc czekać aż do zjazdu skarzeszowskiego, jak chce Semkowicz, i rozczarować się, albowiem na przenikliwości i XIII. wieku białogłowom nie zbywało. Lękała się go zaś powtórnie ze względu na liczne jego potomstwo, które choćby cudzem wyposażyć mieniem ówcześni książęta się wcale nie wzdragali [5].

(C. d. n.).

Dr. K. Krotoski.

[1] K. Mp. II, str. 46.

[2] K. Pol. II, 2, n. 437 i II, 1, n. 14.

[3] Kronika Wp. Cap. 62 i 69. *M. P. H.* II, str. 556 i 560.

[4] Tamże, str. 55 Cap. 61 i Theiner, *Monumenta Poloniae*, I, n. 52.

[5] K. Wp. n. 125. Mieszko Stary mianuje księciem zabranych synom brata Kujaw, własnego syna Bolesława, tak Konrad obdarza ziemią sandomierską syna, Bolesława.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Napisał *ks. Karol Fischer,* proboszcz w Dobrzechowie. Tom II. obejmujący czas od Niedzieli I. Postu do Zielonych Świątek. Kraków. Nakładem autora. 1894. Księgarnia Zwolińskiego i Spółki.

Drugi tom Kazań czcig. ks. Proboszcza dobrzechowskiego na niemniejsze zasługuje pochwały jak pierwszy [1]. Zawiera on kazania wielkopostne i wielkanocne, więc: „Pięć kazań o Sakramencie Pokuty", „Siedm o Męce Pańskiej na Gorzkich żalach"; cztery nauki liturgiczne, od Niedzieli Palmowej do Wielkiej Soboty; trzy kazania o Zmartwychwstaniu Pańskiem; dwa o Wniebowstąpieniu; trzy o Zesłaniu Ducha Św.; sześć na niedziele powielkanocne; na uroczystość św. Wojciecha, Stanisława bisk. i dwa na rozpoczęcie majowego nabożeństwa.

Jak widać z powyższego wyliczenia, treść tego tomu jest nadzwyczaj obfita i niezwykle urozmaicona, ale nadewszystko — praktyczna. Oto np. próbka tej praktyczności z kazania na niedzielę I. po Wielkiejnocy, części 2-ej, o wierze żywej:

Zastanówcie się, czy wasza wiara jest żywą... Aby poznać, że wielu chrześcijan-katolików [2] wiara nie jest żywą, a wielu może żadnej wiary

[1] Patrz *Przegląd Powszechny,* tom XXXVI, str. 273 czyli zeszyt listopadowy 1892 r.

[2] Szkoda, że ten germanizm często zachodzi. Po polsku, a zwłaszcza do polskiego ludu daleko lepiej jest używać tylko jednego z tych słów, bo u nas chrześcijan niekatolików niema.

nie ma, przejdźmy kilka przykazań Bożych... Jaki-taki, jeżeli ma wielki grzech, to go na spowiedzi tai. Spowiada się z małych grzechów, albo mówi na spowiedzi nic nie znaczące drobiazgi: że na kurę powiedział: ty gadzie, że krowę przezwał koniem; ale że popełnił cudzołóstwo, albo inny jaki grzech śmiertelny, to tai.

Wiele też wdzięku dodaje tym kazaniom naturalna, że tak powiem bezwiedna oryginalność. Np. w kazaniu o niebie (a wiadomo, jaki to trudny temat):

Nie będziesz w niebie drżał od mrozu biedaku w nieopalonej chacie, ani pot znoju od pracy we fabryce, w kopalni, przy żniwie na upale na twoje czoło wynijdzie. Głodu tam nie uczujesz, opuszczenie i sieroctwo tam nieznane. Nie umrze ci, matko, w niebie dziecina, pogrzebów w niebie nie będzie. Nie udręczy cię w niebie nieprzyjaciel, nie będzie cię skarżył ani procesował. Zgorszeń, plotek, oczernień w niebie nie będzie, bo nie *wnijdzie do niego nic nieczystego albo czyniącego obrzydłość i kłamstwo.* (Obj. 21, 28).

Albo o spowiedzi kapłanów (str. 13) jak *ad rem* powiedziano. Wielkiej wagi są też cytaty z Katechizmu rzymskiego (str. 19); a jak mało wogóle tego, tak znakomitego źródła się używa! Jakież to znów dosadne porównanie świętokradzkiej spowiedzi do chorego, który mając obie nogi złamane, do jednejby się tylko przed lekarzem przyznał.

Bardzo też dobre są dwa kazania o św. Józefie, jako wzorze ojców rodzin, i o godności Jego. A te wyjątki z pieśni i hymnów, tak w tem (str. 117), jak i w innych kazaniach, jakże je miłemi i zajmującemi czynią!

Ale najpiękniejsze może z całego tomu, to kazanie ostatnie, o „Królowej Korony Polskiej". Ileż w niem szczero- i staropolskiego nabożeństwa ku Maryi! Boleć tylko trzeba, żeśmy się Polacy nie postarali dotychczas u Stolicy św. o ulegalizowanie przez odpusty litanii z tym tak drogim nam tytułem Maryi.

O śś. Patronach Polski z dziwnem ciepłem i obfitością szczegółów potrafi szan. autor mówić! To patryotyzm prawdziwie w duchu bożym, na wzór Skargi i Antoniewicza.

Nauki liturgiczne nie tyle przedstawiają zalet co kazania. Wogóle za mało w nich wniknięcia w symbolizacyę obrzędów Kościoła, a przez to pewna dowolność w ich tłumaczeniu.

Co do języka i stylu — można zauważyć przy całej jego piękności i prostocie pewne braki pod względem poprawności. Najpowszechniejsze z nich, to stawianie orzeczenia przymiotnikowego zawsze w 6-ym przypadku i niewłaściwe używanie zaimków dzierżawczych twój i swój.

Jak jednakże te kazania są odpowiednie dla ludu wogóle, nietylko polskiego, to się pokazuje z tego, że tom I. przetłumaczono już na język litewski.

Ks. H. P.

Wykład Liturgii Kościoła katolickiego. Napisał *ks. Antoni Nowowiejski*, magister św. Teologii, prof. Seminaryum dyecezalnego w Płocku. Tom I., poszyt pierwszy. Warszawa 1893.

Mamy przed sobą pierwszy poszyt dzieła zakreślonego na szerokie rozmiary.

Pierwszy poszyt obejmuje „Wiadomości wstępne“ i część pierwszą dzieła (nieskończoną jeszcze): „O środkach rozwinięcia kultu“.

Wiadomości wstępne (str. 1—98) stanowią osobną całość zaokrągloną; nazwaćby je można liturgią ogólną. Autor wyjaśnia naprzód tutaj pojęcie i przedmiot liturgii, kult i jego rodzaje, cechy katolickiej liturgii: symboliczność, boskość, starożytność, powszechność i uświęcenie. Następnie porównywa liturgię chrześcijańską z liturgią Starego Zakonu i wyjaśnia stosunek pierwszej do teologii, sztuk pięknych, historyi i archeologii. Potem zbija zarzuty przeciw liturgii, zastanawia się nad obrządkami, natrąca o prawie liturgicznem, rubrykach, zwyczaju, Kongregacyi obrzędów, historyi liturgiki i rubrycystów, wreszcie kończy wykazaniem potrzeby znajomości liturgii i podziałem dzieła.

Obejmować ono będzie sześć części:

1. O środkach rozwinięcia kultu.
2. Komput kościelny i officyum brewiarzowe.
3. Ofiara Mszy św.
4. Wykład obrzędów sakramentalnych.
5. Sakramentalia i nabożeństwa.
6. Wykład roku kościelnego.

Będzie to zatem, jak widać z podziału samego, gruntownie i wszechstronnie opracowany wykład liturgii Kościoła katolickiego.

W pierwszej części mówi autor o osobach i miejscu kultu religijnego. Z wielką erudycyą i znajomością rzeczy opowiada nam historyę wieczernika, pierwotnych kościołów i katakumb (rozdz. I.—VII.). W dalszych rozdziałach (X.—XVII.) mówi autor o położeniu (oryentacyi), miejscu i formie kościoła, jakoteż o rodzajach stylów.

Dalej tłumaczy symboliczność kościołów, ich rodzaje, budowę; daje praktyczne i szczegółowe wskazówki i uwagi o budowie i odnawianiu kościołów, o funduszu kościelnym i czci okazywanej świątyniom.

Wkońcu tłumaczy znaczenie ołtarza i jego części składowych, wreszcie style i budowę ołtarzy.

Na tem kończy się pierwszy poszyt tomu pierwszego.

Sposób przedstawienia jasny, prosty, piękny. Autor pisze wyczerpująco, gruntownie i naukowo. Rzecz objaśniają liczne drzeworyty.

Jeśli co zarzucić można szan. autorowi, to pewną czasem niedokładność w wyrażeniu. Mówi np. (str. 23): „Liturgia jest wyrazem wiary i źródłem tradycyi. Czem ziarno dla pestki, tem liturgia dla teologii". Szkoda, że autor choć kilku słowy nie wyjaśnił tego porównania. Na innem miejscu wyraża nadzieję, „że kiedyś Kościół ujrzy ziemię wychwalającą swego Bożego Oblubieńca jednakowym sposobem, jak za starożytnych dni: *et erat terra unius et sermonum eorundem*" (str. 25). Ten „jednakowy sposób" w błąd tylko może wprowadzić czytelnika. Wydaje się bowiem, jakby autor mówił tu o dążności Kościoła do zaprowadzenia jednej liturgii. Wprawdzie (na str. 39) wyjaśnia to nieco autor słowy: „Opatrzność zdaje się, jakby sama nawet dopuściła, aby od początku chrześcijaństwa była rozmaitość w formach kultu, która w wiekach następnych dawałaby świadectwo jedności wiary". Mimo to wolelibyśmy, by autor krótko i jaśniej sformułował i wyraził myśl Kościoła, że nie dąży on do jednej liturgii i dążyć nie chce, a różność obrządków i liturgij przy jedności wiary, jest tylko jednością w rozmaitości, pięknem.

Nie dość jasnem wydaje nam się także i to, co autor mówi o czci Chrystusa Pana co do natury ludzkiej, jako człowieka.

Książkę czyta się z zajęciem i pożytkiem. Wdzięczność się należy autorowi za podjęcie tej pracy.

Dziś, gdy wiele książek, nibyto duchownych, wychodzi opracowanych płytko i powierzchownie, z tem większą radością witać nam należy gruntownie i naukowo opracowane dzieło. Dlatego też z serca życzymy szan. autorowi, by dalsze poszyty swej pracy jak najprędzej nam ukazał.

Rozmyślania na wszystkie dni roku, do użytku kapłanów i osób świeckich. Przez *ks. Hamon*'a. Tłumaczenie z francuskiego. Tom I. Od 1. Niedzieli Adwentu do 1. Niedzieli Postu. Rozmyślania dodatkowe o Świętych. Kraków 1895. Nakładem Fabryki wyrobów introligatorskich J. Gadowskiego. (Cena 1 złr. 25 cnt., ozdobnie oprawne 1 złr. 65 cnt.).

Oto nowość na karnawał, dla ludzi seryo na życie patrzących. Przynosi nam ją, po raz pierwszy występujący nakładca, p. J. Ga-

dowski, spodziewając się słusznie po takim początku obfitego błogosławieństwa bożego.

Przedewszystkiem uderza w tem dziele krótkość i jędrność rozmyślań. Nie wyczerpują one przedmiotu, ale pobudzają umysł czytającego do samodzielnego myślenia. Rzadki to, a tak ważny przymiot podręczników do rozmyślania.

Powtóre, niemniej zasługuje na pochwałę dobre tłumaczenie polskie, bardzo korzystnie się wyróżniające od wielu, wielu innych.

Nie mamy w naszym języku wielkiego wyboru książek do rozmyślania — ta, prawdziwie cennym będzie nabytkiem dla naszej literatury ascetycznej. To też polecamy gorąco wszystkim ten nowy pokarm duchowny.

W tej chwili dowiadujemy się, że tom II., obejmujący czas od 1. Niedzieli Postu do Trójcy św., już opuścił prasę.

Ks. H. P.

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. wieku. Przez *Wilh. Bogusławskiego.* Tom III.

W naszych czasach przewagi zupełnej Niemców nad Słowianami, czy może się na co przydać odgrzebywanie starych dziejów o przeszłości zupełnie innej, o dawnej przewadze Słowian nad Niemcami?

Dziś mało kto wie o tem, że jeszcze za czasów Karola W. od Rynu do Wisły[1] i dalej na wschód ciągnęły się same słowiańskie osady, że więc Czesi i Polacy nie zachodniemi (jak teraz), ale bardzo wschodniemi byli wtedy narodami. Cóż się zatem stało z tą zachodnią Słowiańszczyzną, o której kolejach prawie niczego się nie dowiesz po zwykłych dziełach historycznych?

Odkąd Surowiecki, a za nim Lelewel i Słowak Szaffarzyk wzięli sobie za hasło: *antiquam exquirite matrem*, zaczęto szukać śladów pobytu Słowian nietylko w Tracyi i Iliryi, ale i Zachód i Północ Europy wzięli na uwagę liczni naśladowcy owych pierwszych badaczy słowiańskich starożytności.

Idąc powoli od Odry do Łaby ku Wezerze (Wyzierawie), przekonano się, że pod powłoką niemiecką nietrudno nawet i teraz (wziąwszy zwłaszcza na pomoc zapiski średniowieczne choćby samych Niemców) dopatrzyć się zabytków innej przeszłości, innej warstwy etnicznej. Nim zatem dzieje owych stron napisać było można, potrzeba było wprzód

[1] Według wyraźnego świadectwa Eginharda.

niezbitych dowodów, że rzeczywiście tam kiedyś Słowianie mieszkali. Badania etnologiczne musiały poprzedzić wykład pragmatyczny dziejów.

Zazwyczaj każdy z badaczy jednocześnie z odkryciem nowem o narodowości badanych przez siebie stron dołączał i dzieje odnośne. Okruchy takie zupełnej prawdy w sobie zawierać nie mogły, a zwłaszcza stosunek wzajemny Słowian do Niemców niedokładnie był pojmowany. Na niwie tej wielu już pracowało uczonych, że wyliczymy tylko więcej znanych, jak Rosyanie Perwolf i Hilferding, Czech Szembera, a z Polaków Karłowicz, Pawiński, Kazimierz Szulc, Edward Bogusławski. Wszystkich przewyższył jednak Wilhelm Bogusławski, który o Słowianach północno-zachodnich napisał wielkie 4-tomowe dzieło, a w niem oparł się na swoich poprzednikach i jeszcze ze swego dodał wiele. Kto więc z tym przedmiotem chce się należycie obeznać, niech nie żałuje trudu i czasu na uważne przeczytanie wspomnianego dzieła. Właściwe dzieje, tak jak je zazwyczaj rozumiemy, czyli dzieje polityczne i zewnętrzne, zawierają się dopiero w tomie trzecim, o którym krótką zdać sprawę chcemy czytelnikom *Przeglądu* [1].

Chociaż książka gruba, bo aż z 43 arkuszy się składająca, jednak okres dziejowy w niej przedstawiony wcale nie tak wielki, bo tylko sześć wieków liczy. Głównie przedstawione są tam zapasy Słowian z Niemcami, i tylko prawie mimochodem potrąca autor o stosunek Słowian do Obrów, czyli Awarów, nieco więcej mówi o ich stosunku do Madjarów, a tylko obszernie się rozwiódł o apostolstwie śś. braci sieluńskich Konstantego, czyli Cyryla i Metodego. Rozpada się ten tom na cztery działy. Pierwszy obejmuje okres od wieku VI. do r. 907, czyli od rozbicia państwa Durynków aż do tak zwanego upadku państwa Morawskiego. Dział drugi zawiera w sobie dzieje wieku X.; dział trzeci tylko panowanie Chrobrego i Leszka II., a w czwartym opowiada autor dzieje Słowiańszczyzny już konającej, aż do jej zupełnego upadku na północnym Zachodzie, tj. od roku 1036—1171.

Kto z uwagą przeczytał poprzednie dwa tomy, ten z wielką radością weźmie do ręki tom trzeci. Lecz po niejakim czasie ochłonie z zapału i dozna pewnego rozczarowania. Zawód ten może stąd pochodzi, że nas autor przyzwyczaił do różnych nowych i ciekawych wiadomości, które jeśli nie zawsze świetnie, to zawsze dosyć gruntownie czytelni-

[1] Recenzyę dwóch poprzednich tomów umieściła Redakcya w dawniejszych zeszytach *Przeglądu Powszechnego:* tomu I. we wrześniowym z r. 1892, drugiego zaś w czerwcu, lipcu i listopadzie r. 1893.

kom swoim przedstawia. Przebywszy już największe trudności, czytelnik pragnie się dowiedzieć, jak na tej, przez autora dla Słowiańszczyzny zdobytej ziemi, rozwijało się życie polityczne naszych praojców, jakim zwłaszcza sposobem się stało, że tyle krajów bezpowrotnie zginęło dla wielkiego szczepu słowiańskiego, jak Niemcy powoli a wytrwale ciągle się na wschód posuwali. Po opisaniu wewnętrznego ustroju i życia społecznego, wypadało w tomie trzecim wyłożyć, jak ten organizm funkcyonował w życiu politycznem naszych praojców, zatem życia tego objawy powinnyby były znaleść wytłumaczenie w charakterze narodowym, w ustroju społecznym, a to wszystko zostające znowu pod wpływem zewnętrznych okoliczności[1]. Autor nie miał prawdopodobnie czasu w tem świetle przejrzeć i w tym duchu przerobić pozbieranych zapisków. Chociaż to prawda, że z okruchów luźnych, z wiadomości obcą i niechętną ręką kreślonych, niełatwo ułożyć całość, żywy i prawdziwy obraz życia narodu, tem bardziej, jeśli nawet sam główny przedmiot, tj. naród, którego się dzieje ma pisać, nie zawiera w sobie czegoś całkowitego, zupełnego, ale z natury swojej jest tylko ułamkiem. Słowianie północno-zachodni nie byli nigdy jakimś osobnym narodem, odrębnem państwem z ściśle oznaczonemi granicami; jest to pojęcie raczej geograficzne, niż historyczne. Dzieje zaś ułamku nigdy nie mogą być obrazem pełni życia. I dlatego nie dziwi nas, że praca pana B., chociaż ogromna i sumienna, bo źródłowa, jest jednak tylko dość wiernem omówieniem tekstów kronikarskich, dość misterną tkanką, z zapisków dorywczych uwitą. Że zaś w tych zapiskach nie wszystko zawarte, więc i opowiadanie na nich oparte nie odkrywa wszystkich sprężyn działania historycznego.

Ale co ważniejsza, że ani nawet stosunek Niemców do Słowian, o którego zrozumienie głównie tu chodzi, nie jest należycie przedstawiony. Jest to, zdaniem naszem, kardynalna wada dzieła p. Bogusławskiego, a wynikła z niedokładnie przeprowadzonych badań etnograficznych. Bądź co bądź jest to zjawisko jedyne w historyi, żeby naród, tak liczny jak słowiański, przytem waleczny i nadewszystko ceniący swobodę, mógł jednak tak marnie wyginąć na ogromnych przestrzeniach swojej pierwotnej ojczyzny. Jakim sposobem to się stało, autor nie wyjaśnia, albo przynajmniej czyni to bardzo niedostatecznie, i nie wiem, czy kogo przekonają takie wywody, że Słowianie ciągle między sobą

[1] Wszak dzieje zewnętrzne jakiegoś narodu są głównie wypływem stanu jego wewnętrznego.

niezgodni, nie mogli się zdobyć na połączenie wszystkich sił pod jednym głównym wodzem, a to dlatego, że nie rozumieli potrzeby tego, lub że nie chcieli poświęcić swoich właściwości plemiennych [1].

Niedokładnie przeprowadzone badania etnograficzne o mieszkańcach starożytnej Germanii są przyczyną, jak już wspomniano, że autor jak nie poznał pierwotnego stosunku Niemców do Słowian, tak też nie mógł należycie ocenić i późniejszego stanu, jaki się wyrobił pomiędzy temi dwoma narodami.

Ażeby zrozumieć dobrze owe zapasy późniejsze Słowian z Niemcami, w których, według Widukinda, pierwszym o ujście ostatniej niewoli, drugim zaś o szerokie panowanie chodziło, potrzeba koniecznie poznać ich stosunek wzajemny od początku. Niepodobna bowiem, żeby tak wrogo stali do siebie od samego początku, tem bardziej, że Niemcy (nawet według autora, który ich sprowadza ze Skandynawii i pierwotnie na ziemi między Wezerą a Renem osiedla) nie byli z początku tak liczni, więc o podbijaniu tak zawsze bardzo licznych Słowian myśleć od razu nie mogli. Więc nie zawsze była walka na zabój między nimi, co autor tem pewniej byłby mógł zatwierdzić, gdyby swe badania etnograficzne o pierwotnych mieszkańcach starej Germanii był wykończył i bez żadnej koniecznej potrzeby, a owszem wbrew Tacytowi, nie podzielił starych Germanów na Teutonów i Słowian. Jeśli zaś Niemcy nie są odwiecznymi mieszkańcami Germanii, tak jak nimi są Słowianie, jeśli wszyscy ze Skandynawii, i to nie od razu, ale niewielkiemi drużynami do Europy napłynęli [2], więc pierwotny ich stosunek do naszych praojców musiał być przyjacielski (podobnie jak Rusów Waręgów do Słowian wschodnich) i wiele musiało ubiedz czasu, nim nastał taki stan, jaki się rozpoczął właściwie dopiero od Henryka Ptasznika. Przez dłuższy czas nie było u Słowian nienawiści ogólnej do Niemców, bo i poczucie narodowości odrębnych słabo jeszcze wtedy było rozwinięte, i jeszcze za wrogów tych nie uważano, z którymi często w sojusze wchodzono. Stąd zatargi z Niemcami niektórych plemion słowiańskich mało inne plemiona obchodziły. Takie stanowisko początkowe Niemców między nami jako wojska zaciężnego, jako

[1] Zob. str. 25: „ludy słowiańskie w owej epoce nie dorosły jeszcze do pojęcia konieczności wyrzeczenia się swej udzielności plemiennej na korzyść państwa“; str. 27: „Słowianie podnosili swe spory domowe wyżej nad ogólne niebezpieczeństwo“.

[2] Rhabanus Maurus (z IX. w.) wyraźnie zaświadcza, że wszyscy, co mówią *theotisca lingua,* czyli Teutoni, ze Skandynawii pochodzą.

żołnierzy (*Söldner*), sprawiało wprawdzie, że przy częstych niezgodach naszych przychodzili to tej, to owej stronie w pomoc i wkońcu stawali się panami swych chlebodawców, jak np. Rusy. Jednakowoż nawet takich pojedyńczych wypadków nie uważano jako klęskę całego narodu. Nie przypuszczano, żeby się miały częściej powtarzać, żeby systematycznie w tym kierunku dalej miano postępować. Zatem nie brak zrozumienia najkonieczniejszych podstaw życia państwowego, o jaki ich autor posądza, ale zwykła słowiańska poczciwość i nieprzezorność w tem się objawiała. Właśnie dlatego, że Słowianie byli odwiecznymi mieszkańcami w Europie, znali oni dobrze polityczne jej stosunki. I z Frankami, i z Sasami, i z Normanami mieli stosunki dawne, przyjacielskie, o ile nie nastawali na ich swobodę; nieprzyjacielskie — gdy do ich ujarzmienia dążyli. Nie była to polityka genialna, ale znów nie tak głupia, jak ją autor wystawia. „Wieczne pacholę“ Szaynochy i u autora stoi jeszcze na niższym poziomie wykształcenia duchowego, niż inne ludy europejskie. Autor swojemi badaniami wprawdzie wprowadził Słowian do Europy jako odwiecznych tubylców aż po Wezerę, ale nie wprowadził ich w starożytne stosunki europejskie, które przecie bez nich się nie wyrobiły.

Z tej samej przyczyny niedostatecznego zbadania stosunków etnograficznych, autor biedzi się z Wiltami w Batawii (Holandyi). Ciekawe jest pytanie na str. 13: „Któż błąd popełnił... pomieszawszy Słowian z Fryzami“. Nie jest to żadne pomieszanie, w rozumieniu autora, jakoby Niemców ze Słowianami, tylko jest uważanie Fryzów *starych* za Słowian, co też i z Tacyta wynika, który za takich samych Germanów uważa Fryzów (Brzegowych, Brzeżanów), jak np. Swewów. Jeśli zaś Swewi, według przekonania autora, są Słowianami, niemniej i Fryzowie *ówczesni* nimi być powinni: wszystko to bowiem plemiona jednej krwi, według świadectw starożytnych. Chcielibyśmy też wiedzieć, skąd autor wie, „że między Wezerą a dolnym Renem już za czasów Chrystusa siedzieli Teutoni“? (str. 14). Jeśliby rzeczywiście *siedzieli*, toby zostały z *tego czasu* jakieś nazwy niemieckie w owych stronach, jak *zostały słowiańskie*, których autor kilka wylicza. Wspomina Cezar o Adwatukach (B. G. II. 29) w Belgii, a więc z tamtej strony Renu, że są pozostałością Teutonów (nie Germanów), gdy ci w r. 113 przed Chr., wyszedłszy skądeś z nad morza, które ich kraj zalało, do Gallii przybyli i na południe potem się udali. Pomponiusz Mela (z I. w. po Chr.) wyraźnie Skandynawię za ojczyznę Teutonom naznacza: *Scandinavia, quam adhuc Teutoni tenent*, to znaczy: pomimo

tego, że znaczna ich część wyszła stamtąd przed wiekiem, jednak jeszcze tam się oni znajdują. Niema zatem potrzeby naznaczać im mieszkania w Germanii zabałtyckiej, kiedy tego rzymscy pisarze nie czynią; niema też najmniejszej przyczyny szukać ich pod innemi imionami, kiedy ich własne, tj. Teutoni (jak się też sami przez całe średnie wieki nazywali), dobrze Rzymianom od początku znane było. Gdyby więc jeszcze gdzie siedzieli (np. między Wezerą a Renem), nie ukrywanoby ich pod pseudonimami.

Dziwne też jest twierdzenie o wdzierstwie Słowian na ziemie duńskie, nie poparte żadnym dowodem. Bo czy ma być dowodem okoliczność, że mieszkańców zachodniego pasu Jutlandyi sami Niemcy za Słowian uważali? Ale właśnie dlatego, że już w IX. w. tylko na zachodzie tego półwyspu znajdowali się Słowianie, możnaby słusznie wnioskować, że dawniej cała Jutlandya była przez Słowian zaludniona, i dopiero wskutek podbojów i wdzierstw duńskich od wschodu, część Słowian, unikając niewoli, albo się przeniosła za Bałtyk, albo się usuwała przed najeźdźcami ku zachodowi. Tak samo nazwy słowiańskie na wyspach duńskich mogły powstać z czasów, kiedy się tam jeszcze o Niemcach i nie śniło. Niema wypadku w dziejach, żeby gdzie Słowianie zabrali ziemię Niemcom, boby ci i nie pozwolili na to, gdy przeciwnie o Duńczykach jest podanie, że zajęli ziemie słowiańskie [1]. Tak, jak obecnie sam autor zwalcza (w II. tomie tego dzieła) mniemanie pisarzy, że Słowianie na lewem Łaby porzeczu są późniejszymi osadnikami, tak wkrótce zapewne się pokaże, że i na duńskich ziemiach żadnych wdzierstw słowiańskich nie było, tylko że do Słowian tam zamieszkałych przybyli Duńczycy i podbili tychże [2].

I jeszcze jedna uwaga nasuwa się nam co do sposobu obrobienia dziejów w tym tomie zawartych, dziejów smutnych, lecz na których przeczytanie czasu nie powinno się żałować, bo i jasno i dość barwnie opowiedziane, i obchodzą nas bardzo blizko.

Kto czytał z uwagą drugi tom „Dziejów Słowiańszczyzny" i spostrzegł, ile stąd światła zyskał dla zrozumienia lepiej stanu wewnętrznego polskiego narodu, ten, czytając tom trzeci, uczuje się rozczarowany, widząc jak z dziejów naszych sąsiadów nic prawie nie zyskał

[1] Wszak według Eddy Oemund, syn Olafa, pokonał siedmiu królów słowiańskich w Jutlandyi (zob. Roczn. Tow. Przyj. nauk Pozn. T. III, str. 354).

[2] Według Dahlmanna *(Geschichte v. Daenemark)* przybyli Duńczycy do Jutlandyi nie prędzej jak w V. w. po Chr.

dla lepszego zrozumienia dziejów ojczystych. Czy rzeczywiście przed Mieczysławem Polska (właściwa) chińskim murem od Europy oddzieloną była? w tych wszystkich walkach pobratymców żadnego udziału nie miała? Tak, zdaje się, sądzi pan B. Coś raz wspomniał o związku Polanów z Obotrytami, ale w czemby się jego skutki pokazały, o tem wyraźnie nie mówi. Istnienia wielkiego państwa polskiego przed Chrobrym nie przypuszcza. Wprawdzie go nie wyśmiewa, jak Lelewel, ale że w swoich zapiskach niemieckich nic o tem wyraźnego nie znalazł, więc, jako ściśle przedmiotowy historyk, w żadne fantazye i domysły się nie wdaje. Lecz czyż nasze kroniki tak zupełnie na wiarę nie zasługują? Prawda, że zamieszanie w nich wielkie, ale znów wytworem czystej wyobraźni nie są: szczegóły w nich zawarte prawie wszystkie dadzą się odszukać w dziejach, chociaż nieraz w zupełnie innych konjunkturach — i ta właśnie okoliczność powinna zachęcać badaczy ojczystych dziejów nie do pomiatania niemi, ale do wydobywania ziarn z plewy, o ile się to da z pomocą dziejów powszechnych. Autor prawie nie kusi się o to, a jednak, pisząc np. o Samonie, byłby może wiele zyskał światła z wiadomości przez Mateusza wygłoszonej, że *administratio hujus reipublicae cessit nonnunquam personis humilibus et incertae conditionis.* Tymczasem i dzieje Samona i Świętopełka opowiada autor według utartej rutyny.

Rusin z Pokucia.

Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków. *Ks. Jan Piotrowski.* Wydał A. Czuczyński. W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1894. (Str. 240).

Pod powyższym tytułem przybywa pracownikom naszym na niwie dziejopisarskiej nowy materyał, mogący przyczynić się bardzo wiele do dokładniejszego poznania i ludzi i czasów. A były to czasy niezwykle ciekawe. Na północnych kresach dawnej Rzeczypospolitej odbywała się w końcu XVI. wieku walka doniosła, od której przebiegu, a zwłaszcza od jej konsekwentnego wyzyskania, zależała nietylko czasowa przewaga jednego z dwóch współzawodniczących mocarstw, lecz może i sama egzystencya polityczna jednego z nich. Już Zygmunt August pojmował doskonale niebezpieczeństwo, grożące Polsce i Litwie, nad których zjednoczeniem tak gorliwie pracował, ze strony sąsiedniej Moskwy, zaledwie wyzwolonej z więzów tatarskich, a już zdobywczej i gotowej narzucać więzy innym narodom. Nie wojowniczego jednak ducha będąc, nie mógł ani zapalić, ani prowadzić narodu do

walki z tym niebezpiecznym, wschodnim sąsiadem. Do tego potrzeba było większej energii i silniejszej woli, a ramienia zahartowanego w bojach z nieprzyjaciółmi. Takiego monarchę otrzymała Polska w osobie Stefana Batorego.

Z niezwykłą przezornością i konsekwencyą podjął Stefan Batory walkę z groźnym zapaśnikiem, a nie jego było winą, jeżeli w pół drogi musiał się zatrzymać; jeżeli wojna ta, która stać się mogła pogromem odwiecznego wroga, zwróceniem jego pochodu dziejowego w drugą, wręcz przeciwną stronę, stała się tylko dłuższym etapem w tem parciu się rosnącego olbrzyma kontynentalnego ku morzu Bałtyckiemu. Ogromna większość naszego narodu nie umiała wówczas stanąć na wysokości swego zadania dziejowego i mało okazała instynktu samozachowawczego.

Mieliśmy w naszej przeszłości może większe zwycięstwa, może rozgłośniejsze czyny orężne, lecz „wielka“ wojna moskiewska należała niechybnie do tych, które wymagały największych trudów i na największą próbę wystawiały wytrwałość narodu, pasującego się z przeciwnikiem, który cnotę tę posiadał w stopniu wysokim.

To też „wielka“ wojna moskiewska pozostała jednem z najpiękniejszych wspomnień naszej przeszłości. Jakkolwiek do jej poznania posiadamy cenne źródła i swoje (Heidensteina: *De bello moschovitico commentariorum libri sex)* i obce (Possevina: *Livoniae commentarius*, *Moscovia)*, a przytem niejedno cenne opracowanie, atoli wszelki przyczynek do niej jest pożądanym, a zwłaszcza tej wartości, co listy ks. Jana Piotrowskiego. Wprawdzie nie są już one nowością wśród wydawnictw historycznych. Ogłosił je po raz pierwszy drukiem historyk rosyjski M. Kojałowicz pod tytułem: *Dniewnik poślèdniawo pochoda Stefana Batoria na Rossiu* (Petersburg 1867). Lecz w wydaniu tem są pewne niedokładności, a przytem nie jest ono zbyt dostępne naszemu czytającemu ogółowi. Z tego powodu pożądanem było nowe wydanie tych listów, którego się podjął A. Czuczyński na podstawie kopii listów ks. Jana Piotrowskiego, znajdujących się w bibliotece dzikowskiej, o wiele wcześniejszej od tej, z jakiej korzystał wydawca rosyjski. Pan Czuczyński mógł zatem, opierając się o tekst M. Kojałowicza, poczynić w wydaniu polskiem znaczne poprawki i uzupełnienia, a nadto dodał jeszcze trzy nowe listy z początków roku 1582.

Wydawnictwo to, nazwane „Dziennikiem wyprawy Stefana Batorego pod Psków“, składa się właśnie z 15 listów ks. Jana Piotrowskiego, sekretarza królewskiego, pisanych do Andrzeja Opalińskiego,

marszałka koronnego, pod pseudonimem „jednego przyjaciela z dworu". Pierwszy z tych listów datowany dnia 9 kwietnia 1581 r. z Mściborza, a ostatni z Rygi dnia 18 marca 1582 roku. Przeważna zaś ich część, datowana z pod Pskowa, zawiera wiele ciekawych szczegółów z ostatniej kampanii wojny moskiewskiej.

Aby należycie ocenić wartość materyału historycznego, zawartego w tych listach, trzeba przypomnieć kilka szczegółów z życia samego autora. Ks. Jan Piotrowski, rodem z Wielkopolski, z powiatu kościańskiego, wyższe wykształcenie otrzymał za granicą. W latach 1567 i 1568 odbywał studya prawnicze w Padwie, a może bywał i na uniwersytetach niemieckich. Wróciwszy do kraju, wstąpił do kancelaryi Zygmunta Augusta, gdzie, w charakterze sekretarza mniejszego, pozostawał przez lat 20, pod rządami czterech królów. Sekretarzy wynagradzano najczęściej za wierną służbę beneficyami kościelnemi. Aby umożliwić sobie otrzymanie takiej nagrody, Jan Piotrowski wstąpił do stanu duchownego, chociaż nie miał do niego prawdziwego powołania. Naturalnie, iż za rządów Stefana Batorego w kancelaryi królewskiej było najwięcej do czynienia, zwłaszcza odkąd na jej czele stanął kanclerz Jan Zamojski. Ponieważ na gorliwości w służbie autorowi tych listów nie zbywało, a przytem umiał być dyskretnym, to też cieszył się uznaniem swych przełożonych i szczodrych doznawał łask monarszych; szybko zatem otrzymywał jednę po drugiej godności kanoników: krakowskiego, poznańskiego, gnieźnieńskiego, dziekana poznańskiego i kustosza sandomierskiego. Umierając w roku 1591 w Krakowie, zapisał na kościoły i instytucye dobroczynne 20.000 złp.

Człowiek tego wykształcenia i na tem stanowisku mógł wiele widzieć, a jeszcze więcej słyszeć. Ani król Stefan Batory, ani kanclerz wielki koronny nie mogli i zapewne nie mieli powodów ukrywać się z czemś przed swym sekretarzem. Informacye ks. Jan Piotrowski posiadał zatem jak najlepsze i to z pierwszej ręki. Ponieważ Andrzej Opaliński pragnął wiedzieć, co się działo na dworze, przeto domagał się widocznie listów od swego najpierw protegowanego, a potem przyjaciela na dworze i w kancelaryi królewskiej. Listów tych pozostało wogóle kilkadziesiąt, a z nich 15 zużytkował pan A. Czuczyński do „Dziennika wyprawy Stefana Batorego pod Psków". Osłonięty tajemnicą listową i pseudonimem „jednego przyjaciela z dworu", pisze ks. Jan Piotrowski szczerze i otwarcie. Wiele w tych listach materyału anegdotycznego, przyczyniającego się znakomicie do charakterystyki

ludzi i czasów. Znaleść w nich możemy szerokie tło obyczajowe, na którem tem wydatniej występują dzieła oręża polskiego.

Wydanie listów ks. Jana Piotrowskiego nader staranne, co należy poczytać za zasługę, zarówno wydawcy, jak i nakładcy, którym jest zasłużona Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. Do tekstu dodano na końcu objaśnienia różnych zwrotów i wyrażeń dziś albo niezrozumiałych, albo wcale nieużywanych; dalej skorowidz osób i miejscowości; a na początku, po wstępie, wydrukowano wykaz imienny osób, których autor listów nie wymienia po nazwisku, lecz tylko podług piastowanych urzędów i godności. Całe zdania łacińskie lub pojedyńcze słowa, których sekretarz nie skąpił w swych listach, wydawca podał w tłumaczeniu polskiem w tekscie, a w odsyłaczach umieścił je w oryginale. Chociaż dzisiejsza praktyka wydawnicza nakazuje trzymać się procedury wręcz przeciwnej, to jednak przyznać należy, iż „Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków“ zyskał przez to dostęp do szerokich kół czytelników, nie nużąc ich potrzebą ciągłego zaglądania do odsyłaczy, a tem samem nie narażając na przerywanie wielce zajmującej lektury.

A. Szarłowski.

O książkach elementarnych na szkoły wojewódzkie z czasów Komisyi edukacyi narodowej. Przez *d-ra Antoniego Karbowiaka*. Odbitka z *Muzeum*. Lwów 1893.

Po wyliczeniu źródeł, z których autor tej broszury czerpał swe wiadomości, znajdujemy w pierwszym rozdziale wskazany cel edukacyi w szkołach wydziałowych i podwydziałowych, jaki sobie założyła Komisya edukacyjna, cel zawarty w słowach: „być szczęśliwym i pożytecznym dla drugich“. Odpowiednio do celu wprowadzono do planu naukowego tylko rzetelnie użyteczne umiejętności, mianowicie: religię, naukę moralną, obejmującą obowiązki ucznia wobec rodziców, nauczycieli, w dalszym ciągu wobec sług, współobywateli, rządu i t. d., matematykę, fizykę, nauki przyrodnicze, higienę, język polski, łaciński, naukę o wymowie, wiadomości o kunsztach i rzemiosłach, historyę, geografię, język niemiecki.

Towarzystwo do ksiąg elementarnych oznaczyło ściśle, jak pojmuje i czego żąda od nauczycieli pojedyńczych przedmiotów, określiło ściśle plan nauk, ilość godzin, przeznaczonych na każdą z nich, wydało program, jak powinny być napisane podręczniki szkolne, wyznaczyło konkursowe nagrody dla najlepszych z przysłanych, i osta-

tecznie wydało na 46 żądanych i potrzebnych podręczników, 24. Nie należy zapominać i o tem, że językiem wykładowym w nowych szkołach miał być wyłącznie język polski.

Towarzystwo składało się początkowo z 10, później z 12 członków; przewodniczącym Towarzystwa przez cały czas jego istnienia był Ignacy Potocki, sekretarzem Grzegorz Piramowicz, najwięcej chyba z całego Towarzystwa pracujący i najbardziej zasłużony. Członkowie Towarzystwa pracowali gorliwie i z poświęceniem, niektórzy nie byli wcale płatni, a wiele pracy dostarczyło im przeglądanie i ocena nadsyłanych podręczników, nieraz tłumaczenie, gdy napisania podręcznika, jak to było z arytmetyką, algebrą, geometryą, logiką, podjął się cudzoziemiec.

W rozdziale V. daje nam p. Karbowiak przegląd lekcyj szkolnych w 6 klasach szkoły wydziałowej; mówi, jak były rozdzielone na te 7 lat, w których się nauka kończyła, którzy profesorowie pojedyńczych przedmiotów udzielali. Do nauki języka łacińskiego osobnych nauczycieli nie było, tylko prawie wszyscy profesorowie klas, od III. począwszy, czytali z uczniami wypisy, zastosowane do przedmiotów takich jak: zoologia, botanika, mineralogia, historya kunsztów i sztuk, nauka moralna, historya i t. d.

Nauka odbywała się od 8—10 rano i od 2—4 popołudniu.

W drugiej części tej pracy mamy przegląd wszystkich książek, używanych do nauki w szkołach wydziałowych, przegląd uwidoczniony wedle przedmiotów, począwszy od nauki moralnej aż do higieny i kaligrafii. Przy każdej książce, aprobowanej przez Towarzystwo, znajdujemy jej treść i uwagi, jakie nad nią poczyniło Towarzystwo.

Oto treść książeczki p. Karbowiaka. Zasługa tej pracy w tem, że zwraca uwagę na szkolnictwo nasze w przeszłości, że wskazuje szczegółowo, jak mądrze i przenikliwie badało Towarzystwo i Komisya potrzeby społeczeństwa, jak sumiennie pojmowało swe zadanie, jak dobrze z niego się wywiązało. Zasługa p. Karbowiaka w tem, że podając nam plan nauk, treść podręczników, zwraca uwagę teraźniejszych nauczycieli, gdzie i czego mają szukać, aby nauczyć się, jak młodzież prowadzić, jak na nią wpływać, jak połączyć naukę ścisłą z wyrabianiem charakterów. Z przedstawienia rzeczy wyciąga już każdy wogóle czytelnik świadomość podnoszącą nas w dumie narodowej, bo widzi, jakie postępy porobiła Rzplta polska przed swoim zgonem na polu wychowawczem. Słyszy się ze zdumieniem, jak ci ludzie, żyjący przed stu laty, rozumnie, z jaką znajomością psychologii rozwijającego się

umysłu, wskazują środki i drogi, jakiemi do tych umysłów trafiać, jak je kształcić należy.

Materyał do tej pracy zebrany pracowicie, ale oprócz materyału, który ma znaczną wartość informacyjną, oprócz kilku uwag w końcu zamieszczonych, pragnęlibyśmy jeszcze czegoś więcej. Zdaje mi się, że słusznie moglibyśmy wymagać: 1) ogólnego wstępu, choćby bardzo krótkiego, o książkach, o stanie szkolnictwa przed utworzeniem Towarzystwa do ksiąg elementarnych; 2) jeszcze słuszniej krytycznego sądu o podręcznikach, wydawanych przez Towarzystwo (naturalnie ze strony tylko pedagogicznej i o naukach autorowi znanych), o jego całej działalności, o myśli, jaka niem kierowała, o wpływie zagranicy, o podkładzie filozoficznym, jaki odbił się w planie nauk, ich wyborze, ustosunkowaniu (np. nacisk na nauki przyrodnicze). Natomiast mamy tylko zdanie Towarzystwa o tej lub owej książce. Wadą pracy tej jest trzymanie się niewolnicze Piramowicza; książka cała składa się albo z dosłownych cytatów słów Piramowicza lub obwieszczeń Towarzystwa, albo ze streszczeń słowami nie własnemi, lecz wzmiankowanego pedagoga. Było to może dla autora dogodniej, ale jasność wykładu na tem nie zyskała.

Skarży się p. Karbowiak we wstępie, że nie mógł dotrzeć do „protokółów posiedzeń Komisyi“ i do „Uwag“ wizytatorów, skutkiem czego wyniknął i przez nas bardzo żywo odczuwany brak krytyki planu przyjętego, brak wiadomości, jak i o ile okazał się on praktyczny, na jakie trafiał przeszkody. Z zupełną pewnością powiedzieć nie możemy, bo nie mamy pod ręką *Ateneum* z r. 1889, ale o ile sobie przypominamy, korzystał z tych protokółów i uwag p. Władysław Smoleński w studyum: „Żywioły zachowawcze i Komisya edukacyjna“ [1]. W rozprawie p. Smoleńskiego jest w każdym razie dużo materyału do wypełnienia luk, wymienionych wyżej. Przypominamy sobie z niej np. skargi wizytatorów na opór stawiany rozporządzeniom Komisyi przez dawnych nauczycieli (z braku nowych sił zatrzymała Komisya trzy czwarte dawnych nauczycieli), uwidoczniający się w używaniu dawnych podręczników, o czem wspomina p. Karbowiak, uczeniu wedle dawnego planu, w nieuczeniu wprowadzonych świeżo przedmiotów, w wyśmiewaniu przed publicznością nauk przyrodzonych, w zakładaniu szkół prywatnych, o dawnym planie pod bokiem zakładów rządowych i t. d.

Dr. A. M. Kurpiel.

[1] *Ateneum* z r. 1889, marzec i n.

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1893/4. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1894.

Zwracamy szczególną uwagę czytelników naszych na ostatni, świeżo wyszły rocznik Akademii, z powodu zamieszczonej w nim bardzo ciekawej rozprawy d-ra B. Ulanowskiego: „Wieś polska pod względem prawnym od w. XVI. do XVIII.“. Dr. Ulanowski, jak z przypisku dowiadujemy się, przygotowuje do druku kilkotomowe wydawnictwo, mające zawierać materyały do historyi włościan w Polsce; jak niezmiernie ważne to wydawnictwo, ile rzuci światła na całą wewnętrzną historyę naszego kraju, to poznać można z umieszczonej w „Roczniku“ rozprawy, która spożytkowuje materyały, prawie wyłącznie odnoszące się do jednej tylko wsi: Kasiny Wielkiej, w powiecie limanowskim. Ustrój społeczny tej wsi, stosunek dworu do poddanych, sądownicze prawa i zwyczaje, przedstawiają nam się tu niejednokrotnie inaczej, niż zwykliśmy je sobie wyobrażać. Prawda, że Kasina była wsią kościelną, własnością krakowskich Dominikanów, i stąd obraz stosunków prawnych — jak sam autor ostrzega — o wiele tu się korzystniej przedstawia, niż w licznych, bardzo licznych innych wsiach. „W warunkach — stwierdza dr. Ulanowski — w jakich los poddanych w Polsce się rozwijał, wsie takie jak Kasina, istnieć mogły“. Jakie wogóle były, to wykazać mają szczuplejszemu kołu uczonych, drukujące się już zbiory dokumentów; to, nie wątpimy, wykażą, szerszemu kołu wszystkich interesujących się tą kwestyą, oparte na tych dokumentach rozprawy, monografie, które w ślady za przykładem danym przez d-ra Ulanowskiego, odmalują nam życie, prawne i nieprawne stosunki, panujące w różnych wsiach rozsypanych po Polsce, po wszystkich jej prowincyach.

Samobójstwo. Studyum krytyczne. *Dr. Eugeniusz Rehfisch.* Przekład *Wiktora D.* Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i Sp. 1895.

Książka ta składa się z dwóch części. W pierwszej autor bada przyczyny samobójstwa, przyczem na każdej stronicy powołuje się na dzieła w tym kierunku w różnych językach wydane. Jest to więc kompilacya różnorodnych teoryi, z których wyprowadza autor w końcu przekonanie, że główną przyczyną samobójstw jest dziedziczność chorób umysłowych i zaraza psychiczna. I to nie jest wnioskiem oryginalnym, bo widoczne tu rozciągnięcie teoryi o dziedziczności zbrodni Lombrosa na choroby umysłowe, tylko bez porównania słabiej umotywowane niż u filozofa włoskiego.

Zdaje mi się, że p. dr. Rehfisch szukał tych przyczyn zbyt daleko, aby spostrzedz najbliższą, i obok chorób umysłowych najważniejszą przyczynę samobójstwa, a mianowicie brak wiary. O tym bowiem czynniku pobieżnie tylko wspomina: Twierdzenie, że gdzie panuje religijność, niema samobójstw, ma bardzo błahe podstawy. Mojem zdaniem, to twierdzenie autora ma bardzo błahe podstawy, bo przecież panowanie religijności w jakiemś społeczeństwie, nie wyklucza zupełnie istnienia w tem społeczeństwie jednostek wcale niereligijnych, a do tych należą na pewne samobójcy. Autor sam zresztą podziela powszechne przekonanie, że człowiek, posiadający równowagę umysłową i spokój ducha, nie popełnia samobójstwa; a cóż może doskonalszą równowagę umysłu i większy spokój ducha zapewnić, jeśli nie wiara? Ponieważ tedy wiara jest środkiem przeciw samobójstwu, więc tem samem niewiara musi być jedną z koniecznych jego przyczyn.

W części statystycznej poświęca autor cały rozdział statystyce samobójców ze względu na religię, nie uwzględniając tego, że u samobójców o żadnej wogóle religii mowy być nie może, a z tego, że samobójca według tego lub owego obrządku był ochrzczonym, nie można żadnych w tym kierunku wniosków wyprowadzać. Większa lub mniejsza ilość samobójstw, między członkami tego lub owego wyznania, zależy czysto od przypadku.

Autor pomija jeden z najważniejszych powodów samobójstwa materyalnej natury, a tym jest nędza.

Część druga, z wyjątkiem wzmiankowanego wyżej ustępu o religii, jest więcej zajmująca. Zawiera ona statystykę samobójstw ze względu na płeć, stan, wiek, zawód, pory roku, praktyczne motywa samobójstwa, przyczem autor rozróżnia samobójstwa chroniczne, tj. takie które się dłużej przygotowują, i ostre, których powód powstaje bezpośrednio przed ich spełnieniem, a wkońcu ze względu na sposoby odbierania sobie życia.

Przekład polski dość słaby.

W. J. Struszkiewicz.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Apologie des Christenthums. Von *Fr. Albert Maria Weiss O. Pr.* Dritte Auflage. Erster Band. 1894. Freiburg. Herder.

Pomnikowego iście dzieła, którego sława świat już obiegła, wychodzi nowe, a trzecie z rzędu wydanie. Mamy przed sobą właśnie

tom I., a lubo *Przegląd Powszechny* przy rozbiorze drugiego tomu dawniejszego wydania potrącił był już i o treść pierwszego tomu: to przecież teraz najstosowniejsza jest pora do zdania zeń sprawy, albo raczej do uzasadnienia oryginalnych a niezwykłych dróg, jakie sobie autor obrał do celu.

Wychodzi on z tego założenia, że od czasów pierwszych apologetów takich, jak św. Justyn, św. Arystydes lub Tertulian, a nawet i od czasów późniejszego św. Tomasza z Akwinu, rola katolickiego apologety zmieniła się nie do poznania. I ma słuszność. Choć walka toczy się bez przerwy, a nawet wre na całej linii, to przecież niepodobna stawać do niej li tylko w dawnym rynsztunku: bo jeśli dawne owe walki o dogmat i zasady chrześcijańskie przypominają walki olbrzymów z wojny trojańskiej albo Nibelungów, to razem i to jest pewnikiem, że przy obecnem spopularyzowaniu a nawet zdemokratyzowaniu wiedzy, duchowy zapaśnik dawnych czasów, chcący iść na przebój przez hufce nowoczesnych wrogów, przypominałby, co najwięcej, Boyarda lub Dugueschin'a, co ze spuszczoną a choćby i otwartą przyłbicą wyzywa wodzów na walkę orężną. Ależ oni nie od dzisiaj już zarzucili i dawne zbroje i dawne oręże, a do tego zmienili i plan boju i całą strategię. Wpierw można ich było wybornie ostrzeliwać i atak na nich przypuszczać z wyżyn dogmatu i metafizyki: dziś, gdy oni pokopali sobie kryte szańce w ziemi i w niej się zupełnie schowawszy, kopią miny pod nami: konieczną jest rzeczą zstąpić bodaj po części w te same ku nim niziny i sypać podobne szańce i kopać odpowiedne kontrminy.

Rzeczywiście, wszystko sprowadza się teraz do wspólnego mianownika — człowiek i ludzkość, i wszystkiemu każą obracać się koło tej osi, a kto nie przychodzi z tem „hasłem", z tym ani mówić nie chcą. Antropologię i biologię z rozlicznemi doświadczalnemi sztuczkami podstawiono pod dawną metafizykę, a ową koronę nauk, teologię, wyrzucono między stare rupiecie. Za to darzą nas magnetyzmem, spirytyzmem, okkultyzmem i hypnotyzmem — choćby przy tem posługiwać się trzeba tysiącznemi szalbierstwy. „Materyalizuje się" wszystko, nawet duszę człowieka, chce się odgadywać myśli jego przez dotknięcie jego czoła ręką... Etykę sprowadza się do subjektywnych, a więc dowolnych zapatrywań, które się kończyć mają — „zdrową", tj. z wszelkich wyższych reguł wyzutą moralnością. Literaturę, sztukę i ścisłe umiejętności wprzężono w ten sam rydwan nieubłaganego Molocha, materyi — który ma przynieść nieogra-

niczony postęp ludzkości, podczas gdy tenże, jak Moloch starożytności, przy bębnach i muzyce swych kapłanów ludzkość hańbi, dręczy i pożera... I to ma być apoteozą „człowieka“ i podstawieniem go, jako nowego boga ludzkości, w miejsce dawnego Boga.

Wszystko to wskazuje apologecie chrześcijańskiemu drogę, jaką ma trafić do przekonania tych zbłąkanych i błądzących; musi on gonić za nimi po tych ścieżkach, jakiemi oni od Boga uciekają... Autor tedy, idąc do tego samego celu, który dawnym apologetom przyświecał, obiera inną drogę, odpowiednią chwili obecnej, i staje do walki z dzisiejszemi błędami, z ich bronią i na ich arenie. Omawiając „człowieka“ i „ludzkość“ ze wszech miar i z podziwienia godnym talentem, zmusza przeciwników *in funiculis Adae* do wstępowania szczebel po szczeblu po tej drabinie, u której szczytu czeka na nich Bóg-Stwórca...

Ks. Władysław Czencz.

Institutiones theologicae dogmaticae specialis. *R-mi P. Alberti a Bulsano,* recognitae... a *P. Gottfried a Grann Ord. Cap.* T. I. De Deo in se spectato, de Deo Creatore et Redemptore. Oeniponte 1893. Libr. Catholica Societatis. P. 869 (5 złr. 50 cent.).

Ks. Albert Knoll, którego także i ks. Bulsano wspomina, wydał w latach 1853—1859 swoje *Institutiones theol. dogm.* w 6 tomach; w ostatnich zaś czasach wyszła *Fundamental-Theologie*, przerobiona i zastosowana do dzisiejszych nauk przez ks. Norberta Tux. Podobnego zadania podjął się tenże sam towarzysz zakonny księdza Bulsano i co do „Teologii moralnej szczegółowej“; czuć bowiem było we wzmiankowanem dziele, że ks. Bulsano traktował tutaj zbyt pobieżnie t. zw. spekulatywną czyli teoretyczną stronę, a za to zbyt wiele miejsca poświęcił stronie praktycznej. Dzieło teologiczne powinno być koniecznie czemś więcej, niż szeroko rozprowadzonym katechizmem. Nowe to wydanie jest zupełnem przerobieniem dzieła dawnego wedle wskazanych wymagań i może śmiało uważanem być za dzieło nowe.

Wszędzie spotykamy się tutaj ze scholastyczną spekulatywną metodą. Wydawca nie podaje wprawdzie w tej mierze rzeczy nowych w dziedzinie teologii, ale dobrze umiał z nowszych autorów dobrać to wszystko, co teologiczne zasady, pod względem ich istoty, określa i wyjaśnia. Nie zaniedbał też wydawca uwydatnić różnicy zdań mnogich teologów, co wielką wartość nadaje dziełu, a zarazem i polemiczna część, tak potrzebna do walki z rozmaitemi nowszemi błędami, przeprowadzona jest staranniej, aniżeli w dawnem dziele. Przy tem wszystkiem

objętość dzieła nadaje się bardzo do prywatnego studyum kapłana. Młodym teologom przydadzą się wielce dowody wzięte z Ojców świętych, które wtajemniczają czytelnika w ducha pierwszych stuleci. Za to lepiejby było, gdyby autor nie był do tekstu łacińskiego domieszywał wyrazów i zdań niemieckich, które niemile tutaj rażą. Krytyka pojedyńczych zasad teologicznych należy, naszem zdaniem, nietyle do *Przeglądu Powszechnego*. ile raczej do czasopisma ściśle teologicznego.

Ks. Augustyn Arndt.

Le Rosaire médité d'après le texte de l'évangile et les enseignements de Léon XIII. Par *L.-J. Lalien*, Docteur en théologie et Licencié en Droit Canon. Société de St.-Augustin. Bruges 1894.

Powiadają o św. Alfonsie Rodryguezie, że podczas odmawiania Różańca miał widzieć w objawieniu, jak aniołowie zanosili w niebo Najśw. Pannie każde jego Zdrowaś Marya w postaci białej róży, a każde Ojcze nasz w postaci róży czerwonej. Ślicznie to odpowiada nietylko nazwie, ale i treści tej modlitwy tak ulubionej przez Matkę Najświętszą. Co atoli temu różanemu wiankowi nadaje woń czarującą i urok osobny, to — rozmyślanie tajemnic życia, męki, śmierci i chwały Boga-Zbawiciela i Najświętszej Panny. Bez tego Różaniec traci nie wartość modlitwy, ale nieocenione korzyści połączonego tutaj z nią rozmyślania, które przeszło od siedmiu wieków stały się w Kościele katolickim źródłem łask i pociech.

Od czasów tedy św. Dominika Kościół nie przestaje zwoływać swych dzieci do tych czystych, bożych zdrojów Zbawicielowych, ale ponad wszystkich, którzy aż dotąd mówili i pisali o Różańcu, może najwymowniej cudowną jego moc i zalety opisał w swoich encyklikach „różańcowych“ Leon XIII. W tej mierze, jak i w wielu innych, nikt mu nie sprosta, a wszyscy mamy w świeżej jeszcze pamięci encyklikę ostatnią z bogactwem jej myśli i tą zwykłą Leonowi XIII. głębokością poglądów. Już tyle lat słyszymy te porywające słowa zachęty do gorliwego odmawiania Różańca, a zawsze odnajdujemy w nich coś nowego: bo też istotnie w Różańcu — jako nieprzebranym skarbcu — zawiera się taka obfita treść rozmyślań, tyle wzniosłych i najzbawienniejszych nauk, że całe życie można o nich mówić i rozmyślać, a nigdy się nie przebiorą ani nie przejedzą i zawsze będą nas krzepiły, podnosiły ku Bogu, odrywały od ziemi i jednoczyły z Jezusem i Maryą.

Cały sekret i sztuka polega w sposobie odmawiania Różańca, który w pełnem słowa znaczeniu możnaby nazwać „kapitałem leżącym“;

od nas zależy umieć go użyć i umiejętnie wyzyskać. Dlatego to Leon XIII. niewyczerpany jest w podawaniu najtrafniejszych sposobów odmawiania Różańca, by przez to Różaniec stał się nietylko zwykłą chrześcijanina modlitwą i uczczeniem Matki Najświętszej, ale także, by się stał nierozłączną bronią, pociechą, księgą mądrości, dźwignią codzienną i środkiem, któryby i jednostki i rodziny katolickie i całe społeczeństwa zawsze życiem Jezusowem ożywiał i odradzał.

Ks. Lalieu — trzeba to przyznać — poszedł w swem dziełku, o którem mówimy, ślad w ślad i za przykładem i za słowami Ojca świętego. Na jego encyklikach i na Piśmie św. oparty, podaje nam sposób odmawiania Różańca w duchu Leona XIII. A nie sądźmy, że zadawalnia się zastosowaniem tych rozmyślań do jednego Różańca; chociaż i w takim już razie praca jego byłaby i piękną i zbawienną, on, wiedząc, jak rozmaitość i orzeźwia i ułatwia takie rozmyślania, zastosował je aż do trzydziestu koronek: a wszystko to nader praktycznie, jasno i bez przesady, a więc pociągająco przeprowadzone... Jest to prawdziwe bogactwo materyi dla kapłanów do nauk o Różańcu i pomoc wielka dla wszystkich wiernych do pożytecznego odmawiania Różańca... Życzyć tylko pozostaje, by się wnet znalazł jaki zdolny a pobożny tłumacz, któryby to słodkie źródło bożych natchnień i szerszej publiczności naszej polskiej otworzył.

Ks. Władysław Czencz.

Bitwa pod Wisem. Napisał i ułożył *Piotr Kunčić*. Zagrzeb. (**Viški boj.** Napisao i priredio *Petar Kunčić*. Zagreb).

Trzydzieści lat wkrótce upłynie od chwili, w której na falach Adryatyku w pobliżu wyspy Wisu (Lissa), zwanej z powodu najeżonych skał adryatyckim Gibraltarem, stoczyła się jedna z najbardziej krwawych, zaciętych, a nawet do pewnego stopnia heroicznych walk. Była to sławna bitwa morska w r. 1866, pomiędzy flotą włoską pod dowództwem Persana, i austryacką, dowodzoną dzielnie przez wiceadmirała Wilhelma Tegetthoffa, a której załoga składała się przeważnie z nieustraszonych dalmatyńskich marynarzy. Na cześć chorwackich bohaterów, poległych w tej potyczce, wzniesiono kilka wspaniałych pomników w rozmaitych zakątkach monarchii, wielu chorwackich poetów uczciło ich swemi wierszami, w ostatnich zaś czasach jeden z mieszkańców Wisu, p. Piotr Kunčić, poświęcił ich pamięci piękną swą pracę, którą obecnie mamy przed sobą.

Po krótkim, lecz malowniczym opisie obecnego stanu uroczej tej

wyspy, „na której się zielenią mirty i laury, rumienią winogrona i złocą cytryny“, autor kreśli dość wyczerpująco jej historyę od chwili przybycia tam Pelazgów w IV. wieku przed Chrystusem, aż do najnowszej doby. Nader burzliwe i awanturnicze to dzieje, gdyż Wis (starożytna Issa) zmieniał ciągle swych władców, którzy go sobie wydzierali nawzajem, jako jeden z najważniejszych strategicznych posterunków na Adryatyku. Widzimy go więc najprzód w posiadaniu Greków, później Rzymian, następnie Chorwatów i Wenecyan, a wreszcie, chociaż na czas krótki, w ręku Francuzów, Rosyan i Anglików. Najważniejszą atoli chwilą w dziejach tej wyspy jest bitwa z dnia 19 i 20 sierpnia 1866 r., którą p. Kunič ić opisuje nader szczegółowo i sumiennie z historycznego a nawet strategicznego punktu widzenia. Nie przeszkadza to jednak wcale, że praca jego tętni życiem, przykuwając do siebie całą uwagę czytelnika, który z mimowolnem wzruszeniem śledzi przebieg strasznego tego dramatu i losy dzielnych marynarzy, jacy wówczas imię Chorwacyi nieśmiertelną okryli sławą. Nawiasem dodać należy, że pomiędzy nimi znajdujemy również i paru Polaków, a mianowicie Klużewskiego i Pawła Ziemiańskiego z Galicyi, którzy walcząc na pokładzie *Kaisera*, przypłacili życiem swoją odwagę.

Jakby za ramy do obrazu tej walki, pełnego rembrandtowskich świateł i cieni, niekiedy zaś wstrząsającego swą grozą, służy obszerna wzmianka o wszystkich dowodach uznania, złożonych wówczas dla Tegetthoffa i jego podwładnych, tudzież opis rozmaitych uroczystych obchodów, urządzonych na pamiątkę odniesionego przez nich zwycięstwa. Wreszcie książkę pod tytułem *Viški boj* zamyka szereg okolicznościowych, mniej lub więcej udatnych wierszy Buzolića, Cetinskiego, Trenskiego, Zanchiego, Peričića, Martinovića, Kunič ića, Zoricy, jak również dwóch ludowych pieśniarzy z Wisu: Ante Radišića i Šime Šugara, otoczonego w Dalmacyi sławą ślepego narodowego gęślarza. Wiązanka tych utworów wraz z licznemi i dość ładnemi ilustracyami, przedstawiającemi widoki Wisu, portrety uczestników pamiętnej bitwy i rozmaite jej epizody, stanowi prawdziwą ozdobę książki p. Kunič ića, który podając swym rodakom, a zwłaszcza młodemu pokoleniu: staranną monografię jednej z najsławniejszych kart w ojczystych swych dziejach, nic pod względem stylu i układu nie pozostawiającą do życzenia, niemałą względem niego położył zasługę.

Tytus Sopodźko.

Z pism czasowych.

Świat kobiecy z dodatkiem **Gospodyni.** Czasopismo redagowane przez kobiety dla pań i panien. Redaktorka *Teodora G. Noewa.* Rocznik II. Warna 1894. (Женский Свѣтъ съ притурка „Домакиня", периодическо списаше, редактирано отъ жени за госпожи и госпожици. Директорка Теодора Г. Ноева. Година II. Варна 1894).

Od dawna już i powszechnie niemal stwierdzono doniosły wpływ, wywierany przez kobiety na społeczeństwo za pośrednictwem rodziny, a który ks. biskup warmiński tak dowcipnie, chociaż zbyt może dosadnie scharakteryzował, mówiąc:

Pomimo wszystkie płci naszej zalety,
My rządzim światem a nami kobiety.

W miarę cywilizowania się ludzkości, wpływ ten coraz bardziej się rozkrzewia, potęguje i wzrasta, naturalnie jeżeli kobiety ulegają również w odpowiednim stopniu ogólnemu prądowi oświaty. Dlatego więc chcąc się przekonać o poziomie cywilizacyi jakiegoś narodu, należy też zbadać, czy niewiasty z tego narodu umieją jasno zdać sobie sprawę ze swych obowiązków jako żony, matki i obywatelki kraju, czy pojmują należycie swe stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, oraz odpowiedzialność, jaka na nich ciąży wobec Boga i ludzkości.

Najbardziej przybliżone o tem pojęcie dać mogą czasopisma wyłącznie dla kobiet poświęcone, widać z nich bowiem jak na dłoni, na jak wysokim szczeblu moralności i oświaty stoi ogół niewiast, jakie zakreśla sobie cele i jakiemi drogami dąży do ich osiągnięcia. W całej też Europie niema już bodaj kraju, w którymby czasopisma takie nie istniały. Nawet tak młoda w dziejach cywilizacyi kraina, jaką jest Bułgarya, zdobyła się w roku ubiegłym na wydawnictwo w tym kierunku, pod nazwą *Żenskij swiet,* które kiedyś na szali wykształcenia tamtejszych matek rodzin wiele zaważyć może. Sądzimy też, że czytelnicy *Przeglądu* nie wezmą nam za złe, jeżeli przez chwilę zatrzymamy ich uwagę na tym pierwszym objawie umysłowego życia wśród córek pobratymczego nam narodu.

Wszystkie *pia desideria* tego czasopisma dają się streścić w dwóch słowach: „Więcej światła!" I nie dziw, że najwybitniejsze w danej chwili przedstawicielki bułgarskiego społeczeństwa tego jedynie dla swych siostrzyc się domagają. Aby zrozumieć całą potęgę, a zarazem całą boleść zawartą w tym okrzyku, który tam dźwięczy na każdej niemal szpalcie, należy wiedzieć, jak dalece upośledzoną warstwę lu-

dności stanowiły niemal aż do dzisiejszej doby kobiety w Bułgaryi. Podczas pięciowiekowej tureckiej niewoli, z wyjątkiem nielicznych zresztą jednostek, cały naród bułgarski pogrążony był w szarej mgle umysłowej ciemnoty. Ulegając mimowoli muzułmańskiemu wpływowi, ubożsi Bułgarzy uważali swe żony i córki za niewolnice, zdolne tylko do ślepego, bezwarunkowego posłuszeństwa. Bogatsi zaś zasmakowawszy za przykładem Turków w życiu haremowem, tak poniżającem dla kobiety, poczytywali ją za piękną zabawkę, której wartość podług zewnętrznych jedynie szacowano powabów. Po odzyskaniu niepodległości swej ojczyzny, męska część bułgarskiego społeczeństwa rzuciła się z zapałem do nauki, czerpiąc wiedzę z obcych źródeł, gdy własne nie wystarczały. Nie rychło jednak zaczęto się troszczyć o wykształcenie kobiet. Naturalnie wynikiem takiego stanu rzeczy jest to, że znaczna część Bułgarek, ze średniej warstwy społeczeństwa, którym nie dano zakosztować dobroczynnych owoców oświaty i nie skierowano myśli ku poważniejszym celom, grzeszy próżnością, zalotnością i lekkomyślnością, zbierając, że się tak wyrazimy, same tylko szumowiny nowożytnej cywilizacyi. Nieraz się też zdarza, że młody Bułgar, wykształcony za granicą, za powrotem do kraju nie może sobie znaleść żony wpośród swych rodaczek, stojących daleko niżej od niego pod względem umysłowym, i nakoniec żeni się z cudzoziemką, nie zawsze trafny robiąc wybór. Zbytecznem byłoby mówić o ubogich domach mieszczańskich i wieśniaczych bułgarskich chatach, gdzie dotąd jeszcze ciemna opona nieświadomości, zabobonów i przesądów niemal wszechwładnie się rozpościera. Malując przeto tak posępnemi barwami obecny stan żeńskiej połowy swego społeczeństwa, dwutygodnik powyższy domaga się dla niej racyonalnego, praktycznego, a zarazem wysoce moralnego wykształcenia, zastosowanego do wymagań obecnej doby. Nie chodzi mu jednak o zupełną emancypacyę kobiet, czyli t. zw. feminizm dość modny w danej chwili, nie pragnie on widzieć bułgarskich niewiast na profesorskich katedrach, lub przed kratkami sądowemi jako adwokatki, ale żąda podniesienia oświaty dlatego, aby mogły one zająć należne sobie stanowisko w rodzinie i stać się już nie niewolnicami lub igraszkami, ale towarzyszkami i przyjaciółkami swych mężów, nie piastunkami jedynie, lecz umiejętnemi wychowawczyniami dzieci. Ponieważ zaś nie wszystkie dziewczęta mogą wyjść zamąż i wiele z nich musi w dalszem życiu na własnych opierać się siłach, dlatego też *Ženskij svìet* oprócz encyklopedycznego wykształcenia, wymaga dla nich również pewnego fachowego uzdolnienia w krawieczyźnie, kwiaciar-

stwie, malarstwie, koronkarstwie i innych gałęziach domowego lub artystycznego przemysłu, dotąd jeszcze w Bułgaryi leżących odłogiem.

Oto główniejsze dążności tego czasopisma, przebijające się w rozmaity sposób we wszystkich niemal jego artykułach, a zwłaszcza w następujących: „Dajcie nam wykształcenie, jeżeli chcecie, abyśmy były dobremi matkami i wzorowemi gospodyniami“ (Дайте ни образование, ако искате, да сме добри майки и примѣрни домакини), „Wykształcona żona“ (Учена-та жена), „O wychowaniu kobiety w Bułgaryi“ (За образование-то на жена-та въ България), „Małżeństwo“ (Женидба-та) i t. p. Najciekawszym z pomiędzy tych artykułów jest obszerna praca samej redaktorki: „Społeczno-literackie prądy w kwestyi kobiecej u nas“ (Обществено-литературно течение на женския въпросъ у насъ). Zeszkicowawszy tam sumiennie dawne i dzisiejsze położenie Bułgarek i rozmaite zewnętrzne oraz wewnętrzne wpływy, jakie się na niem odbiły. autorka zdaje sprawę z licznych, mniej lub więcej poważnych głosów prasy bułgarskiej, poświęconych tej kwestyi.

Nie zapomina też *Żenskij swiet* o wychowaniu dzieci, owszem silny kladzie na nie nacisk, jako na najpiękniejsze zadanie kobiety. Słusznie bowiem twierdzi jedna ze współpracowniczek, że skoro pod kierunkiem matki skrystalizuje się dusza jej syna, wówczas żadne obce, nieprzyjazne wpływy nie zdołają zmienić kształtów tego kryształu.

Do rozrywki czytelniczek służy parę nowelek, przeważnie tłumaczonych, oraz liczne „Rozmaitości“ (Разни), umieszczane w każdym numerze. Nadto znajdujemy tam kilka życiorysów kobiecych, jak naprzykład p. de Staël i Maryi Baszkircewej, artystki-malarki rosyjskiego pochodzenia, zmarłej przed kilkoma laty w Paryżu, oraz osobną rubrykę biograficzną pod nazwą „Słowiańskie kobiety“ (Славянски жени). Polki reprezentuje w tej rubryce postać Henryki Listewskiej, zaczerpnięta, niestety, z powieści Sacher-Masocha, który wbrew swemu zwyczajowi spotwarzania Polaków, dodatnie nadał jej cechy. Miejmy jednak nadzieję, że współpracowniczki *Żenskiego swieta* zechcą nadal z lepszych nieco źródeł czerpać wiadomości o znakomitych Polkach.

W dodatku do tego czasopisma, wychodzącym co miesiąc pod tytułem „Gospodyni“ *(Domakinia)*, a redagowanym przez pannę Helenę Manową, mieszczą się przeważnie rady z zakresu gospodarstwa i robót kobiecych. Prawdziwą jego ozdobę stanowią wzory do haftów, nie zaczerpnięte z zagranicznych żurnali, jak to u nas zwykle się zdarza, ale oryginalne i dające nader korzystne wyobrażenie o dobrym smaku Bułgarek. Natomiast niema tam wcale t. zw. „mód“, *Żenskij swiet* bo-

wiem karci surowo ślepe hołdowanie modzie i niejednokrotnie zaznacza, że najpiękniejszą ozdobą kobiety jest wyraz dobroci, skromności, inteligencyi i szlachetnej powagi, rozlany na jej obliczu.

Najbardziej atoli dodatnią stronę tego wydawnictwa stanowi silna wiara i pobożność, która jak nić złota jaśnieje tam w każdym artykule, a zwłaszcza w pięknej pracy pod tytułem „Rodzina i religia“ (Семейство и религия). Autor tego artykułu w poważny i pełen namaszczenia sposób charakteryzuje rolę, jaką religia odgrywać powinna w życiu rodziny, od kolebki aż do grobu każdego jej członka, mówiąc, iż ona uszczęśliwia ojców, tworzy wzorowe matki i kształci synów na pożytecznych obywateli kraju. Wzniosły ten nastrój cechuje nawet ściśle naukowe prace, jak naprzykład notatki z astronomii, skreślone podług Flammarion'a, których autorka, ukrywająca się pod pseudonimem „miłośniczki astronomii z Sofii“, w następujący odzywa się sposób:

„Wznieście się myślą do rozmaitych punktów niezmierzonej przestrzeni, do gwiazd krążących w tej próżni, coraz dalej, coraz wyżej. *Excelsior!* Wreszcie dosięgnąwszy takich wyżyn, przed któremi się cofa najśmielsza nawet wyobraźnia, zatrzymajcie się trochę i zastanówcie nad stworzeniem wszechświata. Wyobraźcie sobie miliony, biliony światów, gwiazd, słońc, rozsianych w niezmierzonej przestrzeni, a potem przenieście się duchem do stóp Istoty, która to wszystko stworzyła z niczego... Jakie słowa zdołają wyrazić Jej mądrość, wielkość i potęgę? Czy psalm Dawida lub pieśń Izajasza? O nie! Bóg sam na usta swych stworzeń włożył słowa, jakie pragnie od nas słyszeć: ‚Ojcze nasz, któryś jest w niebie‘“.

Powyższy ustęp rzuca najbardziej wyraźne światło na to, jaki duch owiewa to czasopismo i rozkrzewia się wśród jego czytelniczek. Po dokładnym zaś obrachunku wrażeń, które po sobie *Żenskij swiet* pozostawia, mimowoli nasuwa się na myśl porównanie go z naszemi czasopismami, również przeznaczonemi dla kobiet. Jeżeli zechcemy być bezstronni, wówczas porównanie to, niestety, niezbyt korzystnie dla nas wypadnie. Bardzo bowiem starannie redagowany *Żenskij swiet* przewyższa pod wielu względami zarówno poczciwy wprawdzie, ale nudny warszawski *Bluszcz* lub *Tygodnik mód*, zdradzający brak umiejętnej dłoni, jak i lwowski *Przedświt*, którego każdy numer, pomimo szlachetnej tendencyi, nosi na sobie cechy gorączkowego pośpiechu i braku wykończenia.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Konferencye wschodnie. — Apostolskie konstytucye o obrządkach wschodnich. — Centrum a książę Hohenlohe. — Po sankcyi antykościelnych praw węgierskich. — Portugalskie Centrum.

KONFERENCYE WSCHODNIE. Otwarta od tylu wieków rana bolesnego rozdziału między Kościołem zachodnim a Wschodem ściągała zawsze na siebie baczną uwagę papieży; każdy — śmiało powiedzieć można — każdy, któremu Opatrzność pozwoliła nieco dłużej zasiadać na Stolicy Piotrowej, nie szczędził usiłowań, aby przyczynić się do zasklepienia tej rany. Nie zawsze usiłowaniom skutek odpowiadał; raz po raz mozolnie nawiązywana tkanina, znów rozlatywała się w strzępy; ludzka ambicya, to znów ludzka indolencya ograniczała śmiałe plany, ogarniające cały Wschód, do jednego kraju, jednej prowincyi. Papieże boleli nad tem, ale zanadto dobrze zawsze rozumieli, jakie posłannictwo Bóg im poruczył; zanadto silnie ufali w ostateczne spełnienie się zostawionych Kościołowi przez Chrystusa obietnic, aby niepowodzeniami mogli się zniechęcić. I oto dziś znowu ośmdziesięcioletni Papież z budzącą podziw świeżością umysłu, niezłomną siłą woli, podejmuje dawne tradycye, pyta, roztrząsa, jakiemi dziś drogami Wschód w jedności wiary z Zachodem zespolić, powrót do pożądanej jedności wszelkiemi sposobami ułatwia. Ułatwienia te,

względy dla marnotrawnych dzieci, niedość jeszcze, niestety, rozumiejących potrzebę powrotu do ojcowskiego domu, idą tak daleko, jak tylko iść mogły; niektórzy, małoduszniejsi, pytają się nawet z pewną trwogą: „Czy nie poszły za daleko?“ — czy owe względy nie będą z pewną ujmą dla innych dzieci, które nigdy rodzicielskiego domu nie opuściły? Jedna na to odpowiedź — ta sama, którą starszy syn otrzymał od ojca w ewangelicznej przypowieści.

Zebrana w Watykanie pod osobistem przewodnictwem Ojca św. konferencya wschodnich dostojników kościelnych wszystkich obrządków, miała na celu poinformowanie Papieża o trudnościach stojących wielkiemu temu dziełu na przeszkodzie, o środkach, któremiby je zwyciężyć i do upragnionego celu dojść można. Uczucia, nadzieje, ożywiające konferencyę, streścił maronicki arcybiskup Huayek, w mowie wypowiedzianej 8 listopada, w której w imieniu wszystkich swych towarzyszów żegnał Papieża i dziękował mu za podjęte trudy.

„Szczególna, ojcowska troskliwość, jaką W. Świątobliwość Wschód otacza, napełnia nas nadzieją lepszej przyszłości dla wschodnich Kościołów, założonych przez Apostołów, użyźnionych krwią pierwszych Męczenników, słynnych długim szeregiem Ojców, Doktorów, Wyznawców. Już eucharystyczny kongres jerozolimski, zaszczycony opieką Twą i błogosławieństwem, utorował drogę do zbawienia, dając wszystkim do poznania, że Kościół rzymski jest istotnie i prawdziwie Kościołem katolickim, w którego łonie zjednoczyć się mogą wszyscy chrześcijanie wszystkich obrządków... Na obecne konferencye W. Świątobliwość zwołać raczyłeś katolickich patryarchów wschodnich, aby naradzić się z nimi nad najodpowiedniejszemi środkami, mogącemi ułatwić tyle pożądaną unię; trudno w tem nie uznać nowego dowodu szczególnej opieki Ducha Przenajświętszego, obiecanego przez Chrystusa Pana Piotrowi i jego następcom, rzymskim Papieżom. Nadzwyczajny to fakt — a faktem tym złożyłeś nowy niezaprzeczalny dowód wysokiej czci, najgłębszej miłości, jaką w wielkiem swem ojcowskiem sercu żywisz dla Wschodu;

otworzyłeś odszczepieńcom, znajdującym się w dobrej wierze, drogę do powrotu na łono wspólnej matki“...

KONSTYTUCYA APOSTOLSKA. Pierwszym, a w sobie samym niezmiernie już ważnym wynikiem „wschodniej konferencyi“, jest ogłoszona pod datą 30 listopada „Apostolska konstytucya J. Świątobliwości Leona XIII. o zachowaniu i obronie obrządków wschodnich“.

„Kościołom wschodnim — streszcza Papież dotychczasowe własne swe prace i starania w tym kierunku — mogliśmy już nieraz przybyć ze zbawienną pomocą. W mieście tem naszem założyliśmy kolegium dla ormiańskich i maronickich kleryków; w Filipopolu i Adryanopolu założyliśmy kolegia dla Bułgarów; w Atenach postaraliśmy się o założenie kolegium Leonińskiego; baczną uwagę zwracamy na budujące się w Jerozolimie grecko-melchickie seminaryum. Nadto zamiarem naszym jest pomnożyć liczbę Syryjczyków uczących się w kolegium Urbanowem i powołać napowrót do życia kolegium Atanazyjskie dla Greków, ufundowane wspaniałomyślnie przez Grzegorza XIII., z którego wyszło tylu sławnych mężów“...

Dla przyprowadzenia zamiarów naszych do skutku — pisze dalej Ojciec św. — dla pozyskania Wschodu dla Kościoła i usunięcia wszelkiego nieporozumienia i nieufności, uważamy za rzecz bardzo ważną, ścisłe zachowanie istniejących w różnych narodach różnych wschodnich obrządków. Czcigodna starożytność, która obrządki te opromienia, jest wielką chwałą dla całego Kościoła i stwierdza boski początek katolickiej wiary. Składają one świadectwo apostolskiemu początkowi głównych wschodnich Kościołów i stwierdzają dobitnie ścisłą ich jedność z Rzymem od pierwszych początków chrześcijaństwa. Dlatego obowiązkiem naszym jest czuwać, aby słudzy Ewangelii, których chrześcijańska żarliwość prowadzi z Zachodu na Wschód, strzegli się jak najpilniej każdego mniej roztropnego kroku. Zasadą fundamentalną być tu winno, że jeżeli Stolica Apostolska wysyła w te kraje księży obrządku łacińskiego, to wyłącznie w tym celu, aby dopomagali i ułatwiali pracę miejscowym biskupom i patryarchom; a nigdy — broń Boże — nadużywając poruczonej sobie

władzy, nie mieszali się do ich rządów, lub nie starali się przeciągać podległych im wiernych na swój obrządek.

Z tej fundamentalnej zasady wyprowadza Papież cały szereg praktycznych rozporządzeń. Treść ich jest następująca:

Każdy misyonarz obrz. łacińskiego z kleru świeckiego czy zakonnego, któryby się starał nakłonić katolika należącego do jednego z obrządków wschodnich, do przyjęcia obrządku łacińskiego, popada *ipso facto* w kary kościelne i urząd swój traci. W takich miejscowościach, w których nie przebywa ksiądz pewnego obrządku, lub w których wiernym, z powodu znacznej odległości od Kościoła, trudno przystępować do Stołu Pańskiego wedle własnego obrządku, wolno przyjmować Komunię św. wedle obrządku obcego, co zupełnie na zmianę obrządku wpływu nie wywiera. Zakony łacińskie na Wschodzie, zajmujące się wychowaniem młodzieży, starać się winny, aby wychowańcy należący do obrządku wschodniego, pobierali naukę religii w języku ojczystym i uczestniczyli w nabożeństwach odprawianych przez kapłanów swego obrządku. Żadnemu zakonowi łacińskiemu nie wolno odtąd zakładać nowych szkół lub klasztorów na Wschodzie bez osobnego upoważnienia Stolicy Apostolskiej. Katolikom, którzy dawniej należeli do jednego z obrządków wschodnich, a następnie przeszli na łaciński, wolno każdego czasu, po poprzedniem porozumieniu się ze Stolicą Apostolską, powrócić do dawniejszego obrządku. — W małżeństwach między członkami różnych obrządków, wolno żonie przejść każdego czasu na obrządek męża, czy wschodni, czy łaciński; po owdowieniu wolno jej powrócić do obrządku, w którym chrzest przyjęła. Sprawy duchowne i małżeńskie, które wymagają apelacyi do Stolicy Apostolskiej, mają być odtąd rozstrzygane nie przez miejscowych delegatów, ale przez Kongregacyę Propagandy.

W końcowych ustępach „Konstytucyi apostolskiej“ zachęca Ojciec św. do zakładania na Wschodzie, jak najliczniejszych i najlepiej uposażonych, szkół i seminaryów. „Plan ten — zaręcza — mieści w sobie dla Kościoła nieoszacowane nadzieje lepszej przyszłości: duszpasterstwo księży-rodaków, którzy z potrzebami swego kraju lepiej są obznajomieni i od miejscowej ludności lepiej wi-

dziani, niż księża przybywający z zagranicy, bogatszem, da Bóg, będzie w błogie owoce... Wolą naszą jest i rozkazem, aby to wszystko, wszyscy, których się to dotyczy, najściślej zachowywali, i aby przepisów tych nie krytykowali pod żadnym pozorem, na żadne dawniejsze przywileje się nie odwołując"...

CENTRUM A KSIĄŻĘ HOHENLOHE.

Pierwsza — bardzo cichym głosem wypowiedziana, w liczne ogólniki bogata — mowa nowego kanclerza niemieckiej Rzeszy, księcia Hohenlohego-Schillingsfürsta, nie daje dość jasnego wyobrażenia, jakim będzie stosunek nowego rządu do praw, do słusznych żądań katolików. Kanclerz zastrzegł się wprawdzie, aby nie wydawano o nim sądu wedle postępowania z przed lat trzydziestu, bo „czasy się zmieniły, bo dziś koniecznem jest przyjazne, pełne wzajemnej wyrozumiałości współdziałanie władzy państwowej i kościelnej"; zaręczył z przyciskiem: „na nowem mem stanowisku usilnie dążyć będę do zachowania pokoju między państwem a Kościołem"; całe pytanie w tem, jak ów pokój nowy kanclerz sobie wyobraża, jakie granice obopólnemu „przyjaznemu współdziałaniu" zakreśla? Znany z ciętości w parlamentarnych wystąpieniach poseł Richter, spróbował sprowadzić dyskusyę z abstrakcyjnych wyżyn na ściśle praktyczne pole:

„Kanclerz uważał za niezbędne pokłonić się stronnictwu Centrum i złożyć mu pewne uspakajające oświadczenia. Zważywszy na pierwszorzędne stanowisko, jakie Centrum u nas zajmuje, był to z pewnością taktycznie zręczny krok. Tylko co właściwie kanclerz miał na myśli? Wogóle mówiąc, jedna tylko kościelno-polityczna kwestya jest na porządku dziennym: kwestya jezuicka, a właśnie kanclerz tej kwestyi ani słowem nie dotknął. Ukłonił się pięknie przed Centrum, grzeczne Centrum ukłon mu oddało — czy na tem będzie koniec?"...

Na razie kanclerz udał, że pytania nie słyszy. Właściwą odpowiedź dać będzie musiał przy rozprawach nad wnioskiem domagającym się powrotu Jezuitów, który Centrum, bynajmniej nie zrażone ponowną przegraną w „Radzie Związkowej", złożyło znowu do marszałkowskiej laski. Czy i tym razem parlament ba-

nicyę rzuconą na Jezuitów zniesie, „Rada Związkowa“ odmówi potwierdzenia uchwały parlamentu: jak długo jeszcze przeciągnie się ta nudna już trochę gra? Jakiś „znakomity prawnik“, pisujący do monachijskiej *Allgemeine Zeitung*, zastanawia się nad tem pytaniem i choć sam z duszy, z serca Jezuitów nie lubi, radzi, aby zmienić obowiązujące dziś prawo: znieść zakaz, zabraniający pojedyńczym członkom zakonu pobytu w Niemczech, a natomiast utrzymać w całej pełni przepisy, odnoszące się do zakładania jezuickich klasztorów.

„Jezuici — pisze w oryginalnym, charakterystycznym wywodzie monachijski prawnik — są najniebezpieczniejszym wrogiem państwa niemieckiego, stokroć niebezpieczniejszym od Francyi; są zakonem niesłychanie potężnym, czemu nikt nie zaprzeczy, kto wie, w jak znacznej części przyczynili się do wybuchnięcia ostatniej francusko-niemieckiej wojny. Takim ludziom udzielić prawa wspólnego posiadania i zarobkowania, byłoby poprostu samobójczym zamachem na ‚paritetyczne‘ państwo. Inaczej rzecz się ma odnośnie do przepisów, zakazujących pojedyńczym członkom zakonu pobytu w pewnych prowincyach, miejscowościach. Przepisy te nie znajdują już od dłuższego czasu zastosowania, a dostarczają przewódcom ultramontańskim arcypożądanej broni do walki z wrzekomo nietoleranckiem, prześladującem katolicyzm państwem. Zresztą, na czem zależy istota Jezuity? Czy na długiej sutannie, na wielkim, okrągłym kapeluszu? Z pewnością nie. Zależy ona na wyznawaniu zasad zakonu, na całem usposobieniu. Otóż do tych zasad — nie wesoła to rzecz, ale trudno jej zaprzeczyć — przyznaje się znaczna część niemieckich deputowanych, przyznają się wszyscy ultramontani; p. Lieber lub hr. Ballestrem są dla państwa niemieckiego równie niebezpieczni, lub jeszcze niebezpieczniejsi, niż nieznany jakiś Jezuita. Ultramontanizmu nie zwalczą policyjne przepisy; z jezuityzmem nie damy sobie rady, nie pozwalając żadnemu Jezuicie przekroczyć granic państwa niemieckiego, lub granic pewnego policyjnego okręgu. Zakonowi odebrać trzeba zewnętrzne środki do walki; w r. 1872 należało mu bez dalszych ceremonij wszystkie posiadane majątki skonfiskować; teraz lud

niemiecki zwalczać musi ducha jezuickiego duchownym orężem, bronią prawdziwego chrześcijaństwa... Gdyby z Rady Związkowej wyszedł wniosek, domagający się częściowej zmiany jezuickiego prawa, mógłby być pewnym przyjęcia; może właśnie wojujący katolicy odrzuciliby go w tej formie, okazując tem samem, że dla nas nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa"...

A więc i najzaciętsi, najbardziej uprzedzeni, domagają się zmiany jezuickiego prawa; jest to bez wątpienia postęp, ale z drugiej strony Centrum ani może, ani myśli za tę misę soczewicy od najsłuszniejszych swych żądań odstąpić. Katolickie organa dały to wcale nie dwuznacznie do zrozumienia „znakomitemu prawnikowi"; i trudno przypuszczać, aby książę Hohenlohe chciał pójść za jego radą, a tak narazić się na najpewniejsze i najkompletniejsze *fiasco*.

PO SANKCYI ANTYKOŚCIELNYCH PRAW WĘGIERSKICH.

Co znaczy dobrze zorganizowana klika, jaki strach wokoło siebie siać może i najlepiej nawet myślącym wyperswadować: za mną stoi opinia całego narodu — o tem pouczyła nas niejednokrotnie historya, zwłaszcza historya ostatnich kilkudziesięciu lat. Historya przeprowadzenia i zatwierdzenia antykościelnych praw węgierskich jest najlepszą w tym względzie, w oczy bijącą ilustracyą. Przeciw prawom tym protestował kraj cały; wiadomą było rzeczą, że arystokracya węgierska w najznaczniejszej części stanowczo jest im przeciwna; nie mogło podlegać wątpliwości, że w Wiedniu, na cesarskim zamku, bardzo niechętnem okiem na nie patrzano. Ale dwaj inicyatorzy nowego porządku rzeczy: Wekerle i Szilagyi, są niezaprzeczenie ludźmi śmiałymi i rzutkimi; tak głośno krzyczeli, tak zwłaszcza głośno krzyczeć kazali najętym przez siebie popularnym mówcom, dziennikarzom, posłom: „Całe Węgry łakną i pragną antykościelnych praw"; tak często i na wszystkie tony ostrzegali: „Jeśli nie zawotujecie, nie podpiszecie wymyślonych przez nas uchwał, to nie ręczymy, czy jutro w Węgrzech nie wybuchnie rewolucya" — aż wreszcie im uwierzono. Izba posłów — od dawna ślepe narzędzie liberalnego rządu — zawotowała, jak rząd wotować kazał; Izba magnatów, śmiesznie

nieraz co prawda drobną większością, raz idąc naprzód, to znów się cofając, poszła wskazanemi sobie śladami; wreszcie i z Wiednia, po kilkutygodniowych wahaniach i namysłach, nadeszła z niepokojem oczekiwana sankcya. Na razie Wekerle stanowczo zwyciężył; w chwili, w której słowa te piszemy, zdaje się nawet, że zwycięstwa tego nie przypłaci — jak dotąd powszechnie przewidywano — utratą ministeryalnego fotelu, nie przypłaci przynajmniej w najbliższych kilku tygodniach.

Inna kwestya, jakie głębsze i dalsze skutki przyniesie Pirrhusowe to zwycięstwo dla całych Węgier, jaki wpływ wywrze na dalsze losy korony św. Szczepana? Czy głębokie niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy, sięgające do najniższych warstw społecznych, obecnie jeszcze sztucznie rozbudzone, zniknie po sankcyonowaniu trzech, przez Izbę magnatów już przeprowadzonych antykościelnych ustaw?... Czy szalona agitacya, nieopatrznie w ruch puszczona, zechce teraz umilknąć, zadowolni się osiągniętemi rezultatami? Czy Węgry doczekają się raz wreszcie choć chwilowego spokoju, do którego osiągnięcia ostateczne zatwierdzenie kossuthowsko-wekerlowskiego prawodawstwa miało wrzekomo zaprowadzić?—W Węgrzech nikt sobie takich illuzyj nie robi. Z jednej strony rząd i sprzymierzona z nim kossuthowska klika, posuwać się musi wciąż naprzód po pochyłości, pchana fatalizmem przyjętych przez siebie rewolucyjnych zasad; z drugiej strony uciśnięci katolicy, zacisnąwszy węzły istniejącego już przymierza z uciśniętemi narodowościami: saską, rumuńską, słowacką, bronić muszą, bronić wszelkiemi siłami swych praw, swych ideałów. Wielki katolicki wiec w Białogrodzie (Stuhlweissenburg) postanowił w zasadzie uformowanie osobnej politycznej partyi katolicko-ludowej. Natychmiast po ogłoszeniu cesarskiej sankcyi, w chwili gdy peszteńscy studenci urządzali iluminacyę Wekerlemu i wznosili gromkie *Elien!* na cześć Kossutha, prezydenci wiecu: hr. Ferd. Zichy i Maurycy Esterhazy ogłosili w organie swym *Fejermegyei Naplo*, szczegółowy „program węgierskiego katolickiego stronnictwa ludowego“. Pierwszem zadaniem nowego stronnictwa ma być dążenie do gruntownej rewizyi obowiązujących praw kościelnych, przedewszystkiem

świeżo sankcyonowanych praw. Nie spoczniemy, póki nie dojdziemy do tego celu — zaręczają organizatorzy nowego stronnictwa, jakiego dziwić się trzeba, że tak długo Węgrom brakowało. Oby to stronnictwo, powstające w podobnych okolicznościach, warunkach, jak niegdyś Centrum niemieckie, podobną rozwinęło energię, a tem samem zapisać niezadługo mogło w swych rocznikach podobne tryumfy!

PORTUGALSKIE CENTRUM.

W Izbie wyższej portugalskiego parlamentu zawiązało się w ostatnich tygodniach ściśle katolickie stronnictwo, mające na celu obronę religijnych i społecznych interesów portugalskiego ludu. Czterech mówców: hr. de Casal Ribeiro, p. Barros, biskup z Coimbry i arcybiskup z Ewory, wyłuszczyli zasady nowej partyi, a przedstawiciele rządu wyrazili dla przedłożonego programu gorące sympatye i obiecali ze swej strony wszelkie możliwe poparcie.

Ks. Jan Badeni.

Najświętsza Marya Panna z Guadalupe w Meksyku.

(Nuestra Señora de Guadalupe).

Środek to zimy roku Pańskiego 1531. W gruzy rozsypało się już wspaniałe państwo Azteków, a w gruzach pochowaną została stara ich cywilizacya i stara ich wiara razem z łagodnemi i bezkrwawemi obrzędy. Postąć jakaś o cerze miedzianej, jakoby posąg z brązu ciemnego odlany, czarnowłosa i czarnooka, zwolna zstępuje z pochyłości kamienistego i żarem słońca spieczonego wzgórza. Wieśniak to, Indyanin.

Monarcha jego obalony przez najezdniki o twarzach bladych, przybywające od morza i w zbroje hartowne odziane, zbroje, których przebić nie zdołała ani strzała Azteków, ani też dziryt o ostrzu szklistym obsydyanu. Straszliwy grzmot broni ognistej, ciskającej pioruny, rozproszył zwarte Anahuaków szeregi, stratowane następnie kopytami potworów olbrzymich *conquistadora;* królewskie niewiasty pohańbione, świątynie zniszczone, ołtarze obalone.

Na cóż się zda stać przy dawnym rzeczy porządku, który nie miał siły ostać się wobec napadu, albo też ofiary składać bóstwom,

niezdolnym ochronić od ruiny wspaniałych świątyń. Lepiej nagiąć karku, poddać się losowi i czekać cierpliwie co przyszłość przyniesie. Tak rozumował syn ludu prostego, który jęcząc dawniej pod jarzmem Montezumy, uznał panowanie nowej potęgi, która przy pomocy mistycznego obrzędu przypuszczała go do ścisłego braterstwa, dając mu nawet w miejsce dawnego imienia, imię nowe Juan Diego (Jana-Jakóba), a żona jego i krewni podobnie nowy rzeczy porządek przyjęli. Skromna postawa i łagodność w obcowaniu nowych nauczycieli z długiemi brodami, odzianych w długie brunatne habity, odbijała korzystnie od postępowania gwałtownych muszkieterów, więc pragnienie wzrastało w piersi wieśniaka, by poznać temci dokładniej nową naukę. Dlatego to spieszy on o rychłej godzinie tego poranka grudniowego, aby usłyszeć słowa nauki, głoszone w pobliżu. Wieśniak zatrzymał się na chwilę, aby oko nacieszyć prześlicznym widokiem, jaki z tego otwierał się miejsca. Na milę ku południowi rozciągało się nowe miasto, na gruzach zburzonego wzniesione Tenochtitlanu: na prawo ciągnął się łańcuch modrych, sosną porosłych wzgórz, podczas gdy ku wschodowi olbrzymie, śniegiem pokryte wulkany, wspaniałe tworzyły tło dla błyszczących wód jeziora Tezcoco. Na gładkiej wód powierzchni przesuwały się z jednej sztuki pnia wyciosane łodzie rybackie, a ciemne stada kaczek dzikich żerowały spokojnie na srebrzystych toniach w pobliżu brzegów, nie bacząc na to, że co chwila giną z ich środka towarzyszki, wciągane pod wodę zdradziecko przez wprawnych nurków azteckich. I mimowoli cofnął się myślą do Tonantziu, Junony swego narodu, czczonej poprzednio na tymże samym pagórku, pośród obrzędów łagodnych i bezkrwawych.

Wtem, gdy tak myślą zawrócił do przeszłości niedalekiej i do jej bogów, słyszeć się nagle dają cudowne dźwięki muzyki, słodyczą melodyi niebiańskiej przewyższające wszystko, co tylko w życiu był słyszał, a pośród krzewów nopalu (rodzaj kaktusu) ukazuje się cudowne zjawisko, w postaci pięknej, skromnie w strój ludowy ubranej księżniczki.

Zdumiony Indyanin rzuca się na kolana, a Najświętsza Panna w słowach łagodnych wyraża mu swe życzenie, aby na tem miejscu właśnie wzniesiono na Jej cześć świątynię, i rozkazuje następnie, aby uwiadomił o tem Jej życzeniu biskupa. W głębokiej pokorze wysłuchał wieśniak słów cudownego zjawiska i przyobiecał rozkaz wypełnić. Ale zadanie to nie było dla niego wcale tak łatwe do wykonania, jakby to zdawać się mogło; gdy wkońcu dzięki swej azteckiej iście wytrwa-

ności z polecenia się wywiązał, w nagrodę za trud podjęty spotkały go tylko śmiechy i szyderstwa; patrzano na niego jako na częściowo tylko nawróconego poganina, pogrążonego jeszcze w dawnych zabobonach i gusłach, któremu pogańska wyobraźnia dostarcza wizyi na tle dawnych nawyknień i obyczajów.

Wywiązawszy się z danego sobie polecenia, Indyanin powraca na ów pagórek, gdzie zastaje Najświętszą Pannę, która przyobiecawszy mu, że go wnet znowu zobaczy, poleciła mu pójść do domu do Tolpetlac, gdzie z żoną swą Łucyą-Maryą zastanawiał się nad tem, coby to wszystko znaczyć miało. Następnego dnia była niedziela i Indyanin udał się znowu na wzgórze. Pani Nieba powtórzyła mu znowu pierwotny swój rozkaz, z którym Juan Diego po raz wtóry do dostojnika kościelnego pospieszył. Wtedy to biskup Don Juan Zumárraga zażądał znaku na dowód i odprawił z tem Indyanina, który wnet na pagórku znikł z oczu wysłanników biskupa, śledzących sekretnie jego kroki. Juan Diego spotkał znowu Najśw. Pannę Maryę, która dowiedziawszy się z ust jego o żądaniu biskupa, nakazała mu, aby następnego dnia się stawił.

Tymczasem powróciwszy do domu zastaje wuja swego złożonego ciężką niemocą, w stanie bardzo febrycznym, więc chodząc koło niego zaniedbał pójść na pagórek, jak mu było nakazano. A gdy drugiego dnia choroba do tego wzmogła się stopnia, że zagrażała życiu chorego, Juan udał się w drogę do Tlaltelolco, aby do chorego sprowadzić jednego z tamże osiadłych OO. Franciszkanów, by umierającego na drogę wieczności przygotował. Przejęty tą misyą, zbacza ze zwykłej drogi, która prowadziła przez górę, gdzie mógł spotkać zjawisko, i tym sposobem na opóźnienie się narazić, więc trzymał się w tej drodze bliżej jeziora Tezcoco. Ale słaby ten podstęp na nic się mu nie zdał, gdyż i tu Najświętsza Panna drogę mu zastąpiła, a pocieszywszy strapionego słowy, że wuj jego już do zdrowia zupełnego powrócił, poleciła mu, aby zerwał kwiaty, które znajdzie rosnące na szczycie góry i zaniósł takowe na znak biskupowi. Obecnie pełno kwiatów napotkać można w ogrodach miasta Meksyku o każdej roku porze, ale podówczas było to rzeczą niesłychaną, aby róże kwitnąć mogły w miesiącu grudniu na górze skalistej, pośród kaktusów i innych dzikich krzewów.

Indyanin zerwawszy kwiaty na miejscu wskazanem, włożył je do *tilma*, płachty używanej w miejsce okrycia (*tilma* jest to sztuka wełnianej lub bawełnianej tkaniny, głowa przechodzi przez otwór w środku wykrojony, a tkanina zwiesza się z przodu i z tyłu jak podwójny far-

tuch), i zaniósł do biskupiej rezydencyi, czekając cierpliwie nadejścia biskupa. Jeśli już kwiaty same zadziwiły nieco biskupa, jakież dopiero zdumienie musiało go ogarnąć, gdy ujrzał piękny obraz Niebios Królowej, prześlicznie wymalowany w kolorach jasnych na sukni robotnika, w której niósł róży kwiecie. Z czcią wielką na kolanach przyjął biskup ten niebios podarek i w otoczeniu kapłanów zaniósł go i umieścił w prywatnej swej kaplicy.

Indyanin udał się następnie w towarzystwie dwóch zaufanych biskupa z powrotem do domu, gdzie zastał wuja rzeczywiście przy dobrem zdrowiu, a godzina jego uzdrowienia przypadła właśnie na chwilę, gdy Najświętsza Panna ukazała się jego siostrzeńcowi. Głęboko wzruszeni temi dowodami łaski niebios, oboje poświęcili swe życie czci Najświętszej Maryi Panny i zamieszkali odtąd w pobliżu kaplicy, którą w kilka tygodni później biskup wybudował na przyjęcie świętego obrazu. Juan Diego i żona jego Marya-Łucya budowali wszystkich przez resztę życia swą pobożnością i zmarli śmiercią sprawiedliwych.

Zdeptana i pogardzana rasa krajowców miała teraz własną swą patronkę, i Najświętsza Marya Panna pod postacią księżniczki meksykańskiej odbierała cześć na pagórku bogini Tonantzin, starej bogów matki. Stąd więc poszło, że kult ten miał zawsze narodowy, specyalnie indyański charakter, a nawrócenie ludności, idące z początku opornie, postępowało teraz szybko naprzód. Uznanie cudu przez Ojca św. kazało długo na się czekać, i dopiero w połowie zeszłego stulecia Kongregacya Obrzędów pieczęcią swą potwierdziła wypadki co dopiero opowiedziane i ogłosiła Najświętszą Pannę z Guadalupe Patronką Nowej Hiszpanii. Miejscowe jednak władze, tak świeckie jak kościelne, uprzedziły wyrok Rzymu w tej sprawie i cześć dla „Nuestra Señora de Guadalupe“ głębokie korzenie w kraju zapuściła. Tak zazdrosnym był lud meksykański o swą Patronkę i tak ścierpieć nie mógł mieszania się obcych w sprawy odnoszące się do Patronki Nowej Hiszpanii, że pewien pobożny Włoch, szczególny czciciel Najświętszej Maryi Panny z Guadalupe, który starał się o zebranie funduszów na upiększenie Jej kaplicy, został na jakiś czas za to do więzienia wtrącony, jego majątek skonfiskowany, a sam ostatecznie z kraju wypędzony. Gdy powstanie przeciw Hiszpanom wybuchło, „Nuestra Señora de Guadalupe“ stała się hasłem partyi ludowej; była Ona tem dla Meksyku, czem św. Grzegorz dawniej był dla Anglii, św. Dyonizy dla Francyi, św. Jakub dla Hiszpanii, a Matka Boska Częstochowska dla naszej ukochanej ojczyzny Polski. Na sztandarach powstania przeciw Hi-

szpanii, powstania, któremu dowodził kapłan katolicki Hidalgo, jaśniał ten obraz Boga-Rodzicy Dziewicy; cześć więc jego wynika z politycznych i religijnych pobudek. Ktokolwiek dłuższy czas przepędził w Meksyku, temu obraz ten na zawsze utkwił w pamięci. Podobnie czczonym przez wszystkich i na każdem miejscu, jest chyba obraz naszej Matki Boskiej Częstochowskiej w Polsce i „Najświętszej Maryi Panny, co z Ostrej świeci Bramy“ na Litwie. W każdym domu napotkać go można, samo się przez się rozumie, że i w każdym kościele; znajdziesz ten wizerunek na pudełkach od zapałek, na paczkach papierosów, w bydłobójniach, piekarniach, sklepach. Obraz sam przedstawia się bardzo wdzięcznie, wyobrażając młodą niewiastę, której wzrok opuszczony na ziemię, a ręce do pobożnej złożone modlitwy; włos czarny, rozdzielony w pośrodku, pokrywa głowę, którą zdobi korona; niebieski płaszcz tkany gwiazdami, klamrą spięty jest u szyi, a z pod płaszcza wygląda różowa suknia; postać Najświętszej Boga-Rodzicy stoi na księżycu, unoszonym przez młodziutkiego anioła. Od obrazu na wsze strony złote biją blaski. Powiadają, że malowidło to znajduje się na obu stronach tkaniny, i że komisya, złożona z artystów i rzeczoznawców, zbadawszy obraz, nie była w stanie orzec, za pomocą jakiego procesu został wykonany.

Okoliczność ta gniewa niewierzących, a tych sporo tu dostarcza kolonia cudzoziemców. Pięć kościołów powstało w różnych czasach w Guadalupe. Kolegiata, kościół parafialny i kaplice starego klasztoru na wierzchołku wzgórza i przy źródle. Z kościołów najwspanialszą i najważniejszą jest kolegiata, a że wznosi się u podnóża góry, pierwsza też w oko wpada przybywającemu tu ze stolicy. Na wierzchołek góry dwoje schodów prowadzi kamiennych, i tam na tarasie, otoczonym murem kamiennym, wznosi się kaplica, zbudowana na tem samem miejscu, na którem Indyanin zrywał róże. Miejsce to zdobił z początku krzyż tylko; następnie, po upływie blizko stu lat, wzniesiono tam kaplicę, tę zaś zastąpiła dzisiejsza świątynia, wzniesiona na początku zeszłego stulecia, ozdobiona odpowiedniemi obrazami i zawierająca kilka ciekawych pomników.

Z tarasu wspaniały się widok otwiera — wieżyce i kopuły stolicy kąpią się w ustawicznym słońca blasku, na lewo błyszczą wody jeziora Tezcoco, podczas gdy poza niem szczyty dwóch siostrzanych wulkanów jasnością, bijącą od śnieżnych ich czepców, oko patrzącego olśniewają. Poza górą znajduje się jeden z najciekawszych cmentarzy tego kraju, ubrany w kwiaty, szmaragdowe kobierce trawy i pięknie

utrzymane ścieżki. Niektóre pomniki są prawdziwemi dziełami sztuki, wykonane z marmuru, wapienia albo pięknego onyksu z Puebla. Znajdziesz na kamieniach wyryte imiona wojowników i mężów stanu, poetów i prezydentów, a niemało z tych, których ciała tu już dawno w proch się rozsypały, światową sławę posiada. Jednym z najciekawszych jest grób, w którym spoczywa Santa Aña, błyszczący meteor wojny, polityki i ambicyi, który zajaśniawszy na chwilę, zgasł prędzej jeszcze w zapomnieniu. Schodząc z góry na dół schodami od wschodu, spotkasz się z wysokim kamiennym pomnikiem, wyobrażającym maszty, reje i żagle. Podanie niesie, że załoga pewnego statku, spotkawszy się na wodach meksykańskich z huraganem straszliwym, widząc zgubę nieuchronną w czarnych rozszalałych bałwanach, w ostatniej już chwili o pomoc się udaje do Najświętszej Panny z Guadalupe, ślubując, że jeśli cało do brzegów dobije, zaniesie maszty z owego statku do Guadalupe i tam je jako ofiarę dziękczynną złoży; z której to obietnicy, szczęśliwie do Vera Cruz przybiwszy, wiernie się wywiązała, zamknąwszy maszty i reje w chroniącą muru pokrywę.

U stóp tych schodów okrągła wznosi się kaplica, nakrywająca źródło, które trysło na miejscu, na którem Najświętsza Panna z Indyaninem mówiła. Kopuła budynku, pokryta dachówką emaliowaną na niebiesko, biało i żółto, ślicznie wygląda, gdy skąpana jasnemi promieniami słońca, na wsze strony blaski sieje, jakby od drogich kamieni. Do źródła, które ma posiadać cudowne, uzdrawiające własności i kratami żelaznemi jest ubezpieczone, kamienna prowadzi kolumnada. Wiele osób miejsce to zwiedza, a w czasie uroczystości i dni świątecznych trudno się tu dostać z powodu wielkiego napływu Indyan, przybywających ze wszech stron, aby nabrać wody świętej do butelek i zanieść ją do swych dalekich domostw.

Niedawno temu odnowiono na wewnątrz kaplicę z wielkim smakiem i upiększono obrazami, wyobrażającemi rozmaite fazy objawienia. Statua Juan'a Diego podpiera ambonę, a w zakrystyi oglądać można jego oryginalny portret. Przybytek ten Pański, nie starszy nad lat sto, dziełem jest pobożności architektów i robotników, którzy bezpłatnie pracę swą ofiarowali. Tak wielki panował zapał podczas stawiania tej świątyni, że murarzom i innym robotnikom pozwolono pracować w niedziele i święta, jako w jedyny wolny czas, jakim rozporządzać mogli, a panie, mieszając się z kobietami z tłumu, donosiły im materyał do budowy potrzebny we fartuchach i fałdach sukien. Poza kolumnadą, tuż przy wejściu na schody, na filarze umocowany jest obraz Matki

hiszkiej, oznaczający miejsce pierwotnego Jej objawienia się. Kościół parafialny nie zawiera w sobie nic ciekawego, z wyjątkiem chyba zakrystyi, która była drugim budynkiem, wzniesionym dla pomieszczenia cudownego obrazu. Wznosi się on na północnej stronie małego skweru (plaza), ubranego w drzewa i kwiaty i opatrzonego w wygodne ławki. Tuż obok znajduje się szereg budynków, użytych obecnie na cele szkolne i municypalne; budynki te były pierwotnie klasztorem Ubogich Klarysek, założonym na krótko przed wybudowaniem kaplicy nad źródłem, a sekularyzowanym następnie razem z podobnemi fundacyami po upadku cesarstwa Maksymiliana. Usiłowania, kilka razy w rozmaitych podejmowane czasach, celem wzniesienia klasztoru w Guadalupe, nie udawały się, a to wskutek wpływu władz, uważających istniejące instytucye religijne za dostateczne dla kraju; dopiero nabożna i energiczna bardzo, choć uboga zupełnie zakonnica, siostra Marya Anna, przedłożywszy, z wiedzą arcybiskupa, prośbę swą o zbudowanie klasztoru monarsze hiszpańskiemu, uzyskała pozwolenie do zbierania składek. Zapał jej drugim się udzielił i wnet zebrano na ten cel kilkaset tysięcy dolarów i wybudowano kościół wraz z klasztorem tuż obok kolegiaty. W czasie ostatnich kilku lat, gdy kolegiatę odrestaurowywano, obraz święty w kościele Klarysek był przechowywany.

Guadalupe jest małą osadą, liczącą zaledwie 3000 mieszkańców. Śmiertelność pomiędzy ludnością panuje tu wielka, a to z powodu kanałów, cuchnącej wody, charakteryzujących tę miejscowość. Posąg księdza Hidalgo, Waszyngtona Meksyku, stoi w pobliżu rynku, a miasteczko samo, ku uczczeniu pamięci męża tego, nosi teraz nazwę Guadalupe-Hidalgo. Tu też podpisano traktat tego samego imienia, mocą którego Meksyk odstąpił Stanom Zjednoczonym północnej Ameryki połowę swych ziem. Na drodze ku stolicy znachodzimy kilka mineralnych zakładów kąpielowych. Droga ta wznosi się ponad bagnistem pastwiskiem, po którego grząskich moczarach bydło smutnie brodzi. Muły brzęcząc dzwonkami leniwie ciągną wozy tramwaju, za pomocą którego miejscowość ta ze stolicą jest połączona. Równolegle do tej drogi ciągnie się dawna grobla pątników z piętnastu pięknemi ołtarzami z kamienia, wyobrażającemi tajemnice św. Różańca. Ale pielgrzymi, których teraz na tej spotkasz grobli, nie mają ani czasu, ani też ochoty, aby zatrzymywać się u progu tych rozsypujących się kaplic i odmówić koronkę, przebywają tę drogę bez zwrócenia nawet uwagi na te święte pamiątki przeszłości... z szybkością błyskawicy, przy muzyce świszczącej lokomotywy — bo grobla ta jest obecnie w posiadaniu kolei żelaznej Vera

Cruz. Tak to duch nowoczesny bezwzględnie wypiera idee starodawne w Meksyku, jak i gdzieindziej, ale mimo to, Guadalupe pozostało jeszcze palladyum Meksyku i otoczone jest czcią całego narodu. Gdy cześć ta upadnie, to kraj ten zamieszka inna rasa, a Aztekowie znikną bez śladu.

Na obrazie czytamy napis następujący: *Non fecit taliter omni nationi.*

Przed obrabowaniem kościoła katolickiego w Meksyku, którego dokonał Indyanin czystej krwi, prezydent Juarez, ten sam Juarez, który podpisał wyrok śmierci na katolickiego, rycerskiego ale tak nieszczęśliwego Maksymiliana, kaplica, w której umieszczony był cudowny obraz Nuestra Señora de Guadalupe, była najbogatszą na świecie. Oprawę obrazu stanowiło mnóstwo szmaragdów, brylantów i pereł nieoszacowanej wartości, a ponad obrazem osadzona była olbrzymia figura Madonny z ciężkiego srebra; kraty, świeczniki, postumenta pod świeczniki i stoły tej kaplicy, składały się również ze szlachetnego białego kruszcu. Gdzież się te skarby podziały!? Cóż z niemi uczyniła świętokradzka ręka, ta sama ręka, która rozkradła i roztrwoniła marnie olbrzymie dobra kościelne w Meksyku?! Ależ nie dziwić się Juarezowi, że w chwili pogromu Maksymiliana rzucił się na jego sprzymierzeńca, Kościół katolicki, gdy w starej Europie koronowane głowy Kościół, ową naturalną tronu podporę, dla celów osobistych obdzierały.

Dzień 12-go grudnia jest dniem największej uroczystości w Meksyku, bo na ten dzień przypada święto Patronki Meksyku, Nuestra Señora de Guadalupe. Każda dziesiąta niewiasta w Meksyku ma na imię Guadalupe, a nietylko w Meksyku, ale w całej centralnej i południowej Ameryce, bo stąd cześć dla tego świętego obrazu na wsze rozeszła się strony. W ziemiach dawniej do Meksyku przynależnych, a więc w Nowym Meksyku, w Texas, Aryzonie, Kalifornii, wszędzie się spotkać można z kościołami pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny z Guadalupe, a i w San Francisco, metropolii Kalifornii, kościół hiszpański ostatniemi czasy prześlicznie odnowiony jest także pod wezwaniem i opieką Patronki Nowej Hiszpanii. Wkońcu i ten szczegół zajmie może szanownych czytelników, że Maksymilian, latorośl pobożnego rodu Habsburgów, za przybyciem do Meksyku odprawił boso blizko dwumilową pielgrzymkę do cudownego obrazu w Guadalupe.

Pisałem w San Francisco w Kalifornii, byłej prowincyi Nowej Hiszpanii.

Modest Maryański.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Dokończenie).

Sydney, 18 stycznia 1892.

Sam już nie wiem, kiedy ostatni raz do was pisałem; dawno temu być musi, kiedy tyle najrozmaitszych zmian się stało!... sam też nie wiem, od czego zacząć. Dwa najgłówniejsze fakta zaszłe są następujące: 1) moje ożenienie, 2) rozwiązanie spółki z Buhrow'em, 3) zaczęcie nowego interesu pod firmą własną, jak dawniej. Dość mi łatwo przyszło tym razem się osiedlić, bo winnica moja dochód przynosić poczęła, nim zatem coś z Europy się dostanie, jest czem handlować.

Powodem rozejścia się mego z Buhrow'em było to, że on zanadto ryzykował i przez to mieliśmy dużo złych kredytorów, całkiem wbrew naszym umowom; to samo było też z obstalunkami z Europy, w których się w niczem do umówionych ilości i gatunków stosować nie chciał, przez co interes cierpiał, bośmy miewali towary długo leżące, zamiast takich, które natychmiast łatwo można obrócić. Widząc to wszystko, prędko się zdecydowałem i 1 grudnia oświadczyłem B., że firmę albo zlikwiduję całkiem, lub też niech on ją obejmie na siebie, co też się i stało.

Trudno mi nadzwyczaj z Grodnem coś począć, tj. z częścią jego nieuprawną. Strejki, posuchy i t. p. tak chwilowo grunta zdeprecyowały, że niema sposobu sprzedać bez straty; trzymam zatem i dalej się staram, od tego jednak przyjazd mój do Europy zależy, bez pieniędzy bowiem niema po co jechac. Zbiór w Grodnie, jeśli się nie popsuje, będzie w tym roku dość ładny. Tymczasem kupuję wina gdzie mogę, mam dobre piwnice, w których wino sklaryfikowane się butelkuje i w handel idzie, a są to jedynie gatunki wyborowe. Do win staram się dołączyć i artykuły inne, wszystko zaś będę sprzedawał *en gros*, detalistą być nie chcę.

Sydney, 26 czerwca 1892.

Ot, inaczej Pan Bóg zrządził — pomimo najusilniejszych starań wyjechać do Europy nie mogłem, bo trzeba było dopilnować tego, na co przez siedm lat blizko tutaj pracuję. Depresya w Sydney tak była wielką, że ani sposobu cokolwiek rozpocząć, a rozpocząwszy, do dobrego rezultatu doprowadzić. Rozszedłszy się z Buhrow'em, rozpocząłem

interes winny; dziś i ten zamknąć musiałem dla braku klientów, a zamknąłem ze znaczną stratą oczywiście.

Obecnie jestem właścicielem jedynej tu francuskiej gazety: może choć to się uda, odwagi ani nadziei nie tracę. Gazeta moja nosi nazwę: *Courrier Australien*. Wysyłam ją wszędzie, między innemi do wuja K. do Krakowa; może się i tam ktoś znajdzie, co zechce mieć nowiny zamorskie i za nie zapłacić. Początek mały, bo i trudno bez wielkiego kapitału od razu dużą gazetę wydawać, lecz z czasem można będzie powiększyć, gdy — jak mam nadzieję — rząd francuski da mi na nią subsydyum roczne. Kollaboratorami moimi są, jak na teraz, pp.: Terinty, redaktor; Renard, zajmujący się księgami i korespondencyą; Marin la Méslé pisze *Etude commerciale sur l'Australie;* dr. Lore wziął na siebie muzykę i sztuki piękne; Henryk Kowalski (z ojca Polaka, matki Francuzki, sam Francuz) *Voyage d'un pianiste en N-elle Zélande;* sławny pianista i kompozytor, Harold Tilley, pisze artykuły polityczne: Mégrin zbiera podpisy i pieniądze; dwóch małych chłopaczków gazetę roznosi; ja zaś ogólną mam dyrekcyę, wszystko czytam nim do druku pójdzie, sam *revue Commerciale* piszę i, co grunt, o pieniądze się staram czem i jak mogę. Zapominam d-ra Thibault'a, pisze on kurs języka francuskiego dla Anglików. Z tych wszystkich płatni są: Terinty, Renard, dr. Thibault i roznosiciele, reszta pisze dla honoru i przyjemności; są to zresztą ludzie z dobremi pozycyami i nawet majętni, jak np. dr. Lore.

Sydney, 12 września 1892.

Powiem wam dziś nowinę. Urodził się nam dwa dni temu synek. Oby tylko dał Bóg zdrowo i dobrze go wychować!...

Żebyż to interesa jakoś już poszły! bo tu od pewnego czasu źle się dzieje. Gruntu swego sprzedać nie mogę, choćby nawet ze stratą, a inne interesa... ani mowy o nich być nie może, gdyż tu tak ogólna bezgroszowitość panuje, iż nikt a nikt nie płaci, a pieniędzy do życia trzeba koniecznie!...

Wiecie już, że zostałem „skrybą"; piszę do gazetki od rana do wieczora, to znaczy: piszę, przepisuję lub poprawiam artykuły nadesłane. Gazetka zaczyna się opłacać, co po czterech miesiącach istnienia jest świetne. Mam około tysiąca prenumeratorów; jeśli dojdę w ciągu roku do czterech lub pięciu tysięcy, wtedy mi to stanowić będzie co najmniej 1000 ff. dochodu czystego. Gazeciarstwo tutaj popłaca; konkurencyi się nie boję, bo na dwa dzienniki francuskie miejsca tu niema.

Sydney, 10 października 1892.

... Wskutek kryzy finansowej, przez którą tak Europa, jak Australia, jak zresztą świat cały przechodzi, tak mi dziś ciężko!... mam jednak nadzieję, że nie zawsze tak trwać będzie...

Wiesz, iż mi się chłopak urodził. „Czy członkowie mojej rodzinki, synowie Polaka, nosić będą w piersiach swych uczucie miłości dla kraju ich ojca, czy też obojętni będą dla sprawy i ojczyzny naszej“, przewidziećbym i ja chciał, lecz doprawdy nie mogę także; w każdym razie, jeśli mię na to stanie, to ich wychowam u was w Europie, a potem sami już będą musieli wnioski robić, z czem im będzie lepiej; ja swoje zrobię: postaram się im dać wychowanie zdrowe i uczciwe.

Kochany mój Bracie! pojęcia nasze i uczucia w gruncie są te same, w jednem tylko zachodzi różnica: ty, widzę, kochasz Polskę — tę starą, ciasną, w której się nosiło żupan i karabelę przy boku, gdzie „pan hrabia“, „książę pan“ i t. p. są wielkiemi figurami; tobie, zdaje się, wystarcza:

Mała chatka przy dolinie,
W której strumyk płynie.

I ja to z przyjemnością wspominam, lecz tylko wspominam, mnie tego nie dosyć. Tobie się zdaje, iż Polska zginie, gdy z niej Polacy wychodzić poczną: według mnie, mylisz się; Polska i imię polskie i Polski wtedy dopiero jaśnieć będzie i jaśnieć nie przestanie, gdy Polacy, jak mrówki, po świecie rozłazić się poczną, i jak rój pszczół inne roje wysyłać, które to tu, to ówdzie osiedliwszy się i zaaklimatyzowawszy w pracy uczciwej i pożytecznej, tej matce swej, temu staremu ulowi, chwałę przyniosą. Do tej pory od nas, czyli od was z Polski, kto emigruje? Człowiek ciemny, waryat, lub ten, któremu dla jednego lub drugiego powodu w domu za ciasno, a bardzo tylko mało takich, którzy za granicami Europy widzą pole do spożytkowania swej wiedzy lub energii. Tego nie dosyć, z tego mało, lub żadnego pożytku niema dla tych, co w kraju pozostają, bo jedni giną — moralnie lub materyalnie wynaradawiając się mimowoli, drudzy umyślnie, a zaledwie maleńka liczba jaśnieje i bądź co bądź — błyszczy. Czy ci się zdaje, że nazwisko polskie, czczone poza Polską, nie przynosi pożytku i chwały ojczyźnie tego nazwiska? Czyż nie lepiej byłoby, gdyby tylu, co w kraju ledwie żyć mogą, za granicą pracując i dorabiając się, nietylko sobie, lecz i drugim ulgę przynieśli? Nie chcę An-

glików za przykład dawać, bo ci są narodem, że się tak wyrażę, morskim; lecz weźmy sąsiadów naszych, Niemców, ci są jak i Polacy narodem lądowym. Przejdź świat cały i zobacz, co Niemcy dziś znaczą, jaką Niemcy są potęgą, jak z Niemcami nawet Anglik rachować się musi. Co tego jest przyczyną? czy to, że Niemiec ma swój rząd niezależny?! Bynajmniej! — oto, że Niemiec jak i Anglik wszędzie idzie, osiedla się, pracuje i dorobiwszy się, wraca; oto dlatego, że gdzie pójdziesz, tam Schultza lub Schwarza znajdziesz, który ci sam powie, że jest Niemcem z tej lub owej prowincyi; jeśli jest kupcem, sprowadza towary niemieckie; jeśli jest konsumentem, spożywa, o ile się da, towary kupione u innego Niemca, towary niemieckie; jeśli jest producentem, to próbuje produkta swe do kraju swojego wysyłać.

Ja, gdy mi się kto pyta, jakiej jestem narodowości, zawsze mówię, iż jestem Polakiem, i nigdy, gdziekolwiek byłem poza granicami kraju, wstydu narodowi swemu nie przyniosłem, lecz przeciwnie... Czy ci się nie zdaje, że lepiejby było, gdyby więcej takich jednostek po świecie było rozsianych, nie mówię: takich jednostek, jak ja, lecz lepszych, takich, jakich tam u was setki w nędzy ginie; jednostek z uczuciem godności własnej i narodowej i samodzielnych; nie takich, co jeśli pracy łatwej i przyjemnej na razie znaleść nie mogą, cudzej pomocy żebrzą; lecz takich, co gdy na chleb z masłem głową zarobić na razie nie są w stanie, ręczną pracą na chleb suchy, ale miły, bo swój własny, zawsze zarobić potrafią, aż im się co lepszego nadarzy. Takich ludzi niech Polska po świecie rozsyła, niech ich w domu nie marynuje, a potęga jej, tak moralna, jak i materyalna, prędko się wzmoże i ostatecznie spotęguje na równi z innemi narodami, a wtedy garstka was, w kraju pozostałych, będziecie mogli o niezależności, o chwale przeszłości i przyszłości narodowej mówić, i wtedy was z powagą słuchać będą.

Gdy list ten przeczytasz, mam nadzieję, iż mię nie okrzyczysz zniemczałym lub zangliczałym. Ani jednej ani drugiej strony nie trzymam, lecz zdrowo tylko, stosownie do mych zdolności umysłowych, zapatrywać się staram na świat i jego stosunki obecne. Przychodzi mi właśnie na myśl coś, co mi jedną z największych przyjemności sprawiło, od kiedy z Europy wyjechałem. Kilka miesięcy temu, byłem zaproszony na publiczny obiad, dany Max O'Rell'owi (autor *John Bull et son Ile*). Otóż, w czasie tego obiadu, Max O'Rell w mowie, jaką wypowiedział, zwrócił uwagę na rzecz, bardzo dla was tam w kraju godną uwagi, iż przy stole było trzech współbiesiadników Polaków:

jeden reprezentował sztukę (Kowalski, pianista), drugi Wolski, inżynier, urodzony w Anglii, choć źle po polsku mówiący, zawsze Polak, reprezentował wiedzę (najlepszy tutejszy inżynier, przysłany z Anglii do budowy fortów, lat 35, pułkownik); trzeci, *the last, but not the least*, twój sługa, reprezentujący żurnalizm, postęp. Przytem opowiedział kilka wypadków ze swego życia wojennego, w którem się zszedł był z Polakami. Takie i tym podobne zdarzenia przecie honor krajowi przynoszą, zwłaszcza, gdy — jak w tym wypadku — wypowiedziane są bez prowokacyi i powtórzone we wszystkich dziennikach kraju!

Ale dość o tem, bo ani czas, ani pora na podobne dysertacye. Com napisał, napisałem: pod uczuciem niesprawiedliwości, jaką wy, mieszkający w kraju naszym, mimowolnie czynicie każdemu Polakowi, który za granicą się osiedla; pod wrażeniem listu twego i ustępu w nim o mojej rodzince, i pomny zawsze na *motto* wielu z was: „Siedź w domu i służ krajowi". Służmy krajowi, jak kto może i potrafi, Pana Boga chwaląc przytem, a dalej: *advienne que pourra!*

Do widzenia kiedyś — tu, czy w Europie!...

Sydney, 31 grudnia 1892.

Dawno już nic o mnie nie wiecie, lecz w ciągłej pogoni za chlebem powszednim ani sposobu nie było znaleść chwilę swobodną na napisanie listu, bo w biurze praca, w domu zaś długa bardzo choroba żony cały czas mi zabierały...

Interesa zaczynają się polepszać; gazeta coraz bardziej się rozchodzi i jest nadzieja, że przynosić będzie ładny grosik. Sam będąc redaktorem i właścicielem, podpisuję: *printed and published by C. W. for the proprietors*, by zadośćuczynić wymaganiom prawa, które chce znać nazwisko redaktora, lecz nie właściciela. — Grodna sprzedać jeszcze nie mogłem, gdyż ceny ziem tak spadły, iżbym nie dostał nawet połowy tego, co mię ono kosztowało. Sprzedać jednak muszę wkrótce, bo dochodu mi nie daje żadnego, owszem, coraz to więcej kosztuje. Rzadko tam bywać teraz mogę, z powodu ciągłej pracy redaktorskiej, spuszczać się więc muszę na uczciwość ludzką, której niewiele na świecie; to też, co z jednej strony zarobię, tam tracę, a opuścić całkiem nie mogę, bo winnica się zniszczy.

Dziękuję wam za starania o konsulat. Mówiąc prawdę, jeśli mi o to chodziło, to tylko o tyle, o ile komu chodzić może o „za krótką drabinę", po której może dopiąć będzie mógł wyższego celu.

Sydney, 6 maja 1893.

Co przez lat ośm pobytu mego w Australii byłem pracą ciężką, bardzo ciężką zdobył, dziś stracone!... Z *Kuryera* mego dowiedzieliście się o ciężkich klęskach, jakie Australię dotknęły; ruina tu ogólna; cały gmach ludzkiej pracy się wali; być może, iż kiedyś powstanie silniejszy, lepszy i trwalszy, lecz tymczasem, iluż tu dziś takich, którzy pod jego gruzami pochłonięci zostali...

Krach ten przeczuwałem już od dawna, lecz mimo usilnych starań, wyminąć go nie potrafiłem. Oto powód mego milczenia.

Pozostał mi jeszcze *Courrier*, lecz jak długo i czy wogóle go utrzymać potrafię to Bogu jedynie wiadomo, bo stagnacya w interesach czyni anonsy coraz rzadszemi i tańszemi, a ogłoszenia są główną podporą każdej tutejszej gazety; wreszcie, zapłatę za te, które dostać mogę, czyni niepewną i powolną. Zacząłem przed dwoma miesiącami wydawać drugą gazetę; jest to gazeta niemiecka, pod tytułem: *Deutsch-Australische Post*. Niemców tu bardzo dużo, może zatem się uda. Redaktora mam Niemca, p. Oskara Schultze; porządny to człowiek. Francuską gazetę, że niewiele mam czasu, bo obie muszę dyrygować, redaguje za mnie W. Puget, główne jednak artykuły ja zwykle piszę. Do redakcyi gazety niemieckiej nie mieszam się wcale, prócz, że wszystko przed oddaniem do druku czytam. Drukuje się w *Foreign publishing Office*, który do mnie należy. Posyłam wam i tę gazetę co tydzień, może się na nią abonenci znajdą...

Druk ukończony 24 grudnia 1894 r.

DZIEDZICZNOŚĆ I EWOLUCYA.

Γεννᾷ γὰρ ὁ ἄνθρωπος ἄνθρωπον.
Arystoteles.

Co to jest dziedziczność? — Kiedy wczesną, pełną powagi a zadumy jesienią rolnik rzuca w fijołkowy, aromatyczny czarnoziem ziarno pszenicy lub żyta, to spodziewa się, jest pewny, że z tych nasion zbierze po następnej życiodajnej wiośnie stokrotny plon pszenicy lub żyta, nie zaś sterty chwastów, zielska i bodiaków. Kiedy sportmen jaki chowa i pielęgnuje czysto-rasową stadninę, to jest przekonany, że otrzymywać z niej będzie potomstwo rasowe, a nie nikłe szkapy góralskie, osły długouche lub muły. Podobne przekonanie żywi w sobie każdy ogrodnik, każda wiejska gosposia — my wszyscy spostrzegamy codziennie i na każdym kroku, że z jaja kury, kaczki lub gęsi nie wykluwa się jaszczurka, żmija, ani nawet struś afrykański, jeno kura, kaczka lub gęś zwyczajna, że owca rodzi owcę, pies psa, kot kota, małpa małpę, człowiek człowieka. I tak w całem nieprzebranem pasmie żywin oko nam pokazuje a rozum nasz widzi pewną w tej mierze prawidłowość, jakąś dziwną tajemnicę a właściwość ustrojów, ogólne prawo jakieś, którego ryzy a szranki sprawiają, że każde przychodzące na świat jestestwo żyjące, przynosi z sobą jakby w posagu a spuściznie i typ i rodzinę i rodzaj i gatunek i rasę, a nawet do pewnego stopnia cechy indywidualne rodziców swoich. To prawo, charakteryzujące i władnące całą żyjącą przyrodą, zowiemy dziedzicznością. Nie jest to więc

nic innego, jak uogólnienie najbanalniejszego faktu w obrębie zjawisk biologicznych — a przecież jest to jedno z prawdziwie wielkich praw życiowych.

Dziwna to rzecz a jednak prawdziwa, że takie fakty banalne są zazwyczaj najtrudniejsze do wytłumaczenia, a jednocześnie najbardziej brzemienne w pełne doniosłości następstwa. Rzeczy oczywiste, bardzo proste i bardzo trudne, mają w tej mierze coś z sobą wspólnego. Cóż np. powszedniejszego, jak spadanie kamienia z góry na dół, owoców z drzewa na ziemię? żadnego to człowieka ni dziwi ni uderza; a jednak Newton widząc jabłko spadające z jabłoni powiedział sobie: jak to jabłko, tak samo księżyc musi spadać na ziemię; i w pamiętnej onej chwili odkrył znane dziś prawo grawitacyi powszechnej.

Nie inaczej rzecz się ma z dziedzicznością. Odkąd żywiny istnieć na ziemi poczęły, zachowywały owo prawo życiowe ściśle i sumiennie; pierwszy człowiek i jego potomkowie spotykali się z tem prawem i w lesie i nad rzekami i na błoniach pierwotnych — trzeba było jednak dużo czasu, siła pragnień i uniesień, niemało wysiłków i trudów wiekowych, trzeba było ludzi, co całe życie swoje poświęcili trzeźwej obserwacyi i krytyce przyrody żyjącej, by prawo to uchwycić dokładniej i zaznaczyć, by przynajmniej pierwsze o niem pytanie postawić.

Co to jest ewolucya? — Na pierwszy rzut oka jest to przeciwieństwo dziedziczności. Co dziedziczność afirmuje, temu ewolucya zdaje się zaprzeczać. Kiedy dziedziczność jest jakby przeniesieniem i zastosowaniem zasady przyczynowości w sferze biologii, to ewolucya zdaje się być negacyą tego zasadniczego prawa. Koniecznym warunkiem, pierwszą zasadą a postulatem ewolucyi jest, by z czegoś, co jest niedoskonałem albo mniej doskonałem, powstało coś, co jest doskonałem albo bardziej doskonałem, aby skutek przewyższał w doskonałości przyczynę. Czy to możliwe, czy to nie jest sprzeczne? Lecz mniejsza o to. Czy spotykamy się z czemś podobnem w szeregu ustrojów żyjących? Zobaczmy. Przybył nowy obywatel ziemi, dziecko jak mnóstwo innych na świecie; oczy jego nie rzucają jeszcze mądrych spojrzeń na otoczenie, czoło nie zdradza również wybi-

tnych zdolności, a i rozum wcale się jeszcze na zewnątrz nie ujawnia; i z tego niemowlęcia po jakich dwudziestu, trzydziestu latach wyrasta dojrzały mężczyzna, geniusz-artysta, poeta, filozof, mąż stanu. — Jajo zapłodnione mrówki, żaby, orła, człowieka — to jedna komórka żyjąca; a w kilka dni, tygodni, miesięcy wyjdą z niej miliony najrozmaitszych komórek, co wytworzą przedziwne tkanki i narządy, ustrój tak wysoce skomplikowany, jaki oczom i umysłowi przyrodnika przedstawia mrówka, żaba, orzeł, człowiek. Gdzie tylko jest życie widoczne, tam znajdujemy rozwój osobnikowy, ontogenetyczny, tam jest ewolucya, bo życie to nic innego jeno ewolucya.

Atoli nam naprawdę nie o tę ewolucyę idzie. Otóż, czy widzimy w istotach żywotnych także ewolucyę szczepową, filogenetyczną? A gdybyśmy nie widzieli, czy moglibyśmy śmiało twierdzić, że jej niema wcale? Coby mogła jednodniówka, żyjąca zazwyczaj ledwie kilka godzin wieczornych, powiedzieć o człowieku, obok którego przelatuje? Że jest to olbrzym, lubiący spacerować wieczorem, ale zresztą niezmieniający się wcale. A przecież życie człowieka, życie ludzkości całej, to nie życie jętki, to sekunda, to jedna chwilka w porównaniu z życiem kosmosu lub życiem okresów geologicznych na naszej ziemi.

Próbujmy więc iść dalej. Czy z tego co się dzieje i roztacza przed oczyma naszemi, nie możemy wnosić o istnieniu ewolucyi? Czy ludzkość cała zachowywa się inaczej jak życie osobnika? Porównajmy wiek XVIII. z naszym, lub nawet początek XIX. z obecną porą — czy nie trzeba być w wysokim stopniu krótkowidzącym, by nie uznać na wszystkich polach postępu, rozwoju, ewolucyi? Sięgnijmy w głębszą przeszłość, bo pamięć ludzka, jakkolwiek prędko i łatwo się zaciera, więcej przecież objąć potrafi, niż jedno stulecie. Czy my Polacy z tą samą łatwością potrafimy czytać „Psałterz floryański“, co „Pana Tadeusza“ lub „Ogniem i mieczem“? Niemcy dzisiejsi, przyzwyczajeni do języka Szylerów i Getych, jeszcze mniej od nas rozumieją swoich romantycznych przodków w sławnych eposach *Nibelungenlied* i *Gudrun*. I tak w każdym języku widzimy naocznie jakiś rozwój spontaneiczny, ewolucyę w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Cóż dopiero za wspaniały obraz ewolucyi przedstawi nam, wcześniej może niż się spodziewamy, dzisiejsza filologia porównawcza, wykazująca na każdym kroku rzeczowe pokrewieństwo między najrozmaitszemi językami. Nie do innych wyników dochodzi etnologia spółczesna, co śledzi spółrzędnie z językoznawstwem, rozwój zamierzchłych kultur starożytnych i pierwotnych. A rasy ludzkie, uważane w pierwszej połowie bieżącego wieku przez wielu przyrodników za osobne gatunki, czyż to nie dowód oczywisty za ewolucyą? I biała i żółta i czarna rasa odziedzicza się, i stale się odziedzicza, a przecież każdy dzisiaj przyzna, iż to nie są formy pierwotne, tylko odmiany utrwalone, które z czasem dopiero z jakiejś formy wspólnej rozwinęły się. Nikt też pono twierdzić nie będzie, że dzisiejsze rasy czy gatunki psów, odznaczające się bardzo wybitnemi i ogromnemi różnicami, były zawsze takiemi; wszyscy się chętnie zgodzą, że ewolucyjnie powstały. A nasze gołębie, konie, najrozmaitsze zwierzęta domowe, nasze łany z najróżnorodniejszemi zbożami, nasze sady z drzewami i krzewami owocowemi, nasze ogrody z całym legionem warzyw swoich, nasze cieplarnie, podwórka i ogródki z różnobarwnemi i różnowonnemi kwiatkami — czyż to wszystko nie stwierdza wyraźnie ewolucyi w przyrodzie żyjącej? I nie myślmy, że to tylko przyroda, ujarzmiona i otroczona przez człowieka, potrafi się przekształcić w tyle ras i odmian; istoty żyjące poza jasyrem człowieka tak w państwie roślinnem jak zwierzęcem, wykazują często jeszcze więcej odmian i rozmaitości, tylko że nie każde oko jest w stanie dojrzeć je i uchwycić, bo nie każde chce, nie każde umie podpatrywać tajniki i kształty przyrody.

Nie sądzę, by zagony ewolucyi miały się tylko ciągnąć przez krótkie stajanie jednego gatunku a nie mogły się tak daleko wydłużać, jak daleko sięga teren jednej np. rodziny; nie myślę również stawiać nieruchomych słupów granicznych łańcuchowi ewolucyjnemu, kiedy, jak to już dzisiaj głosy różnych obozów zaczynają podnosić, nic jeszcze stanowczego i niezbicie uzasadnionego w tej mierze nie mamy: — na jedną rzecz tylko chciałbym zwrócić baczniejszą uwagę. Oto, czy ktoś dzisiaj przyjmie, że ewolucya nie przekracza wcale szranków gatunkowych,

a z rozwojem nauki będzie tylko rozszerzał praktyczną aplikacyę pojęcia gatunku, czy też suponować będzie może takiem samem prawem, że wszystkie żywiny wywodzą się od jednej lub kilku form pierwotnych — jeden i drugi chcąc zdać sobie sprawę choćby z najprostszych i najbanalniejszych zjawisk życiowych, potrzebować będzie tak dziedziczności jak ewolucyi, i z niemi koniecznie liczyć się będzie musiał.

Dziedziczność i ewolucya — to jakby dwie owe zasady myślicieli starożytnych: *eadem sunt omnia semper* Lukrecyusza i πάντα ῥεῖ Heraklita, to dwie potężne dźwignie życia na ziemi, dwa słowa, z któremi się dzisiaj nietylko w literaturze naukowej, ale i w beletrystycznej często spotkać można.

I rzeczywiście. Niezbadana i niewyjaśniona wcale dotychczas przez przyrodników, ciemna zupełnie dla lekarzy, weszła już dziedziczność mimo to do naszych nowel, powieści, romansów. Dość wspomnieć o dwu powszechnie znanych powieściopisarzach francuskich, Zoli i Bourgecie. Zola w swoim cyklu Rougon-Macquart'ów chciał zrobić dziedziczność fizyologiczną podstawą dzieła. Wszystkie niespodzianki, albo raczej bardzo jaskrawe sprzeczności psychiczne i logiczne, wszystkie *deus ex machina* miały spaść na karb dziedziczności i w niej znaleść proste a oczywiste wytłumaczenie. Niestety, ilość tych niespodzianek przeszła skromną miarę licencyi powieściopisarskiej, i Sienkiewicz mógł słusznie powiedzieć o Zolowskiej dziedziczności, iż „jest to taka dziedziczność, której niema". Inaczej rzecz tę pojął Bourget, nieporównanie wyższy i głębszy psycholog-analityk od Zoli, w swojej klasycznej powieści *Cosmopolis*. I on postanowił w całem opowiadaniu uchwycić jedną myśl, jedno prawo *la permanence de la race*: ale ta „specyalna siła dziedziczności" uwydatniona jest i odmalowana psychicznie i artystycznie, ona nie występuje w filozofowaniach samego autora, jeno przebija się raz po raz w czynach i postępkach tej dziwnie prawdziwej *Cosmopolis*.

W literaturze naukowej spotykamy się z omawianiem dziedziczności właściwie dopiero w ostatnim lat dziesiątku. Wprawdzie Spencer i Darwin już przedtem wypowiedzieli swe zapatrywanie na to prawo życiowe, nikt zdaje się atoli nie brał tego

na seryo, ani nie traktował jako zdobyczy dzisiejszej nauki. Dopiero kiedy od lat piętnastu badania komórkowe powszechną i prawie wyłączną zwróciły na siebie uwagę nieznużonych przyrodników, a wyrósłszy olbrzymem w górę, wydobyły wiele punktów, dotyczących zwłaszcza istoty zapłodnienia, z głębokiej tajemniczej pomroki — kwestyę dziedziczności podjęto z wielu stron na nowo i zaczęto przedewszystkiem szukać anatomicznego podłoża tej dziwnie prostej i niezmiernie zawikłanej właściwości ustrojów. Znaleziono wreszcie, albo raczej powiedziano sobie że znaleziono, pożądany punkt zaczepienia. Nie wszystkich jednak drogi zaprowadziły na to samo miejsce. Stąd już na tym punkcie niezgoda i spory, co prawda zajmujące i pouczające niemało, ale mające zawsze to do siebie, że trochę sceptycznie nastrajają człowieka. Nie dosyć na tem. Ci nawet, co się na ten sam punkt wyjścia zgodzili, kiedy przyszło do startowania, zaczęli się różnić między sobą. Zrozumieć to łatwo; wszak nie był to punkt matematyczny: materyą dziedziczności miało być jądro jaja zapłodnionego, ciało o wysoce skomplikowanej strukturze. Nowa więc przyczyna rozmaitości zdań. Krom tego pewna część myślicieli-biologów wyrabiała sobie poglądy na dziedziczność, opierając się na niektórych postulatach bardziej apryorycznej natury albo też na doświadczeniach robionych w innym zupełnie kierunku. Rzecz oczywista, że rezultat ich niekoniecznie musiał się zejść z wynikami poprzednich badaczów.

Dla uzupełnienia konturów obrazu jeszcze jedno słówko. Każda teorya dziedziczności suponuje obecnie z natury swojej albo wytwarza sobie specyalny pogląd na ewolucyę. Nie zdziwi już nas, jeśli i na tem polu spotkamy się nie z mniejszą rozmaitością zapatrywań i opinij, tem bardziej, że fanatyczne oszołomienie ewolucyonistyczne opuszcza dzisiaj po większej części umysły przyrodników, a zaczyna brać górę zimna i trzeźwa rozwaga.

Spółczesny zatem ruch ewolucyonistyczny jest i silny i różnorodny. Jakie oscylacye, falowania piętrzące się i prawie równocześnie gubiące się w niedościgłej toni, co za niezliczone interferencye, prądy i wiry w tym chaosie czy oceanie wrzeć i ko-

dować muszą, tego się każdy dorozumie. Przez te Scylle i Charybdy trzeba się koniecznie przerznąć, o wiele oscylacyj trzeba po drodze zawadzić, zahaczyć, żadnego ważniejszego prądu nie trzeba pominąć.

Przedewszystkiem więc wypadnie nam przebiedz *a vol d'oiseau* pracownie botaników, zoologów, anatomów, rozsiane jak świat długi i szeroki, i zobaczyć jaki jest dorobek tych zmudnych i cierpliwych badań komórkowych. Będzie to, jak mi się zdaje, jednocześnie i najlepszem wprowadzeniem w dzisiejszy świat przyrodniczy i możliwie najprostszem wyjaśnieniem kwestyi o substracie dziedziczności. Następnie, starać się będziemy pochwycić najsilniejsze i główne prądy ruchu spółczesnego, o ile takowe wiążą się ściśle z poglądami na dziedziczność i ewolucyę. Tym sposobem zapoznamy się dokładnie z całym weismannizmem czyli neodarwinizmem, z jego teoryą dziedziczności i ewolucyi, z jego licznymi antagonistami i przeciwnikami tak niemieckimi jak angielskimi, nadto z niemniej silnym prądem neolamarkizmu, nurtującym we Francyi i zwłaszcza w szkole amerykańskiej. Weismann, Spencer, Haacke, O. Hertwig, Roux, Romanes, Cope, Ryder, Osborn, Orr — to główniejsi wodzowie tych kampanij ewolucyonistycznych, najgorętsi bohaterowie turniejów nowożytnych; na przedstawienie licznej świty przybocznej, jakoteż wielu znakomitych jenerałów występujących tylko sporadycznie na polu walki, znajdzie się sposobniejsza chwila w ciągu naszego przeglądu.

Obowiązkiem jednak moim jest już na wstępie przestrzedz czytelnika i przygotować na to, co go w dalszej części tej pracy czeka. Zetkniemy się wprawdzie z wielu faktami i szczegółami bardzo zajmującemi, co stanowi niewątpliwie wielką zaletę i dodatnią stronę dzisiejszego ruchu, przedewszystkiem jednak zmuszeni będziemy zapoznać się nieraz z wielu niejasnościami, wątpliwościami, niewiadomością; bo trudno o jasność, gdzie jeszcze grube mlaki jądro rzeczy osłaniają, niełatwo o pewność, gdzie natura sama powątpiewać każe, niemożliwa wiedza, gdzie echo rozpaczliwego *ignoramus* wciąż się rozlega. Na jednej tylko rzeczy zbywać nam nie będzie, rozmaitości mieć będziemy dosyć,

a varietas delectat. Zresztą psychiczna natura nasza jest ogromnie ciekawa; o rzeczach zasadniczych, zawikłanych, niewyjaśnionych, ona woli coś choćby niepewnego wiedzieć niż nic, ona wzdraga się przed ciemnością i nicości otchłanią, a dąży z całym pędem do słońca, do światła, ona naprawdę *horret vacuum*, mimo że doświadczenia Torricelli'ego wykazały fałsz tej zasady w znaczeniu średniowiecznem.

Komórka i zapłodnienie.

> An organic being is a microcosm, a little universe, formed of a host of self-propagating organisms, inconceivably minute and numerous as the stars in heaven. *Darwin.*

Któż dzisiaj nie wie, że wszystkie ustroje zwierzęce i roślinne składają się ostatecznie z bardzo drobnych składników, tak zwanych komórek? A jednak nie zawsze tak było. Był czas jeszcze i na początku naszego wieku, kiedy nietylko profani, ludzie zdala stojący od nauk przyrodniczych, ale nawet fachowi przyrodnicy byli do tego stopnia zacofani, że im miliardy komórek, budujące ciało człowieka, konia lub lipy, ani przez głowę nie przeszły. Teorya komórkowa datuje się właściwie od r. 1838. Z drobnych, niepokaźnych zawiązków wyrosła ta teorya olbrzymem, rozwinęła się bujnie i wspaniale, a i dziś jeszcze nietylko zapuszcza zagony swoje w coraz szersze warstwy społeczeństwa z prędkością myśli ludzkiej jedynie właściwą, ale nadto podbija i opanowywa całkowicie coraz dalsze dziedziny naukowe i staje się ich panią a główną podstawą.

Już pod koniec XVII. stulecia Malpighi i Grew odsłonili pierwszy rąbek kotary zakrywającej szczelnie wewnętrzną strukturę roślin, i poczęli przy pomocy słabych szkieł wyróżniać małe komórkowate pęcherzyki płynem wypełnione, obok wydłużonych rur przerzynających w najrozmaitszy sposób ciało rośliny. Badania jednak i obserwacye tych prawdziwych pionierów anatomii komórkowej, nie odbiły się wcale głośnem i rozległem

echem w spółczesnej nauce. Dopiero na przełomie XVIII. i XIX. w. kwestyę komórki posunięto o mały krok naprzód. Zauważono mianowicie, że owe rurki w roślinach powstają właśnie z komórkowatych pęcherzyków, przez co dwie te rzeczy związano genetycznie razem. Przyczynili się do wyświetlenia tej kwestyi Wolff, Oken, Treviranus i Mohl, a botanik Meyen mógł już w r. 1830 określić komórkę jako pewną odrębną całostkę.

Bardzo ważną erę w rozwoju badań komórkowych stanowi rok 1833, w którym angielski botanik R. Brown odkrył u storczyków jądro komórkowe. Odkrycie to spowodowało w pięć lat później (1838) wystąpienie Schleidena z swoją teoryą komórkową, którego poglądy przeniósł Schwann i uzasadnił w dziedzinie zoologicznej następnego roku. I odtąd teorya komórkowa zapuszcza silne korzenie i przejawia się we wszystkich badaniach i teoryach przyrodniczych. Jest zaś komórka w teoryi Schleiden'a i Schwann'a małym pęcherzykiem błoniastym, co zawiera w swojem wnętrzu treść płynną czyli sok komórkowy. Oczywista z tego, że najważniejszy składnik komórki, to błona komórkowa, zupełnie tak samo jak cztery ściany stanowią główną cechę każdego pokoju.

Takie pojęcie komórki, w gruncie rzeczy całkowicie błędne, nie mogło się długo utrzymać — poczęło też przechodzić w inne fazy rozwoju. Już Schleiden zauważył w soku komórki roślinnej odmienną nieco masę, miękką, przejrzystą, o wyglądzie ziarnistym, którą nazwał śluzem roślinnym. W r. 1846 Mohl nadał tej substancyi pamiętną nazwę protoplazmy. Trochę później Kölliker i Bischoff zwrócili uwagę na to, że wiele komórek zwierzęcych nie posiada wcale błony zewnętrznej, a jeszcze większa ilość badaczów spostrzegła także w komórkach zwierzęcych zasadniczą masę ziarnistą, na którą Remak przeniósł nazwę daną przez Mohla śluzowi roślinnemu Schleidena. Równocześnie badania niższych ustrojów, jak roznóżek, ameb i śluzowców, rzuciły światło na tę rzecz z innej strony. Jeszcze w r. 1835 zajmował się temi tworami Dujardin i nazwał ich substancyę galaretowatą, która mu się wydała zupełnie bezkształtną i jednorodną, sarkodą; zaś nieco później Max Schultze i de Bary wy-

kazali, że protoplazma roślin i zwierząt jest identyczną z sarkodą najniższych organizmów.

Tym sposobem coraz większy zastęp badaczy zaczyna przywiązywać mniejszą wagę do błony komórkowej, aż po roku 1860 występuje Max Schultze, poddaje ostrej krytyce teoryę komórkową Schleidena-Schwanna i wprowadza na jej miejsce swoją teoryę protoplazmy. Komórka nie jest już teraz pęcherzykiem, ale jest to grudka protoplazmy życiem obdarzona. Niektórzy pojęli to określenie całkiem fałszywie i poczęli je naciągać do swoich monistycznych zachcianek; ci z swoim przewódcą Haecklem na czele upatrywali w komórce tylko jakieś połączenie węgla, grudkę materyi białkowatej. Założyciele jednak teoryi plazmatycznej Max Schultze i Ernest Brücke widzieli w tej grudce budowę nader skomplikowaną; ostatni nawet wnioskował już w r. 1861 z objawów życia komórkowego, że do ich wytłumaczenia nie wystarczy zawiła budowa molekularna, ale konieczną jest złożona struktura wyższa — organizacya.

Atoli przypuszczenia znanego fizyologa wiedeńskiego były to tylko trzeźwe przeczucia zdrowo myślącego przyrodnika. Wykazanie rzeczywistości ich i całkowitej prawdziwości, przeznaczone było następnej fazie badań komórkowych. Rozpoczyna się ta faza na dobre, zakłada się na prawdziwie szeroką skalę dopiero po roku 1875. Główni jej inicyatorowie i koryfeusze, to skrzętni i zasłużeni badacze na tej niwie dziewiczej, jak van Beneden, Boveri, Bütschli, ks. kanonik Carnoy, Flemming, Fol, Guignard, Hermann, obaj bracia Hertwig'owie, Mayzel (z Warszawy), Platner, Rabl, Strasburger (rodem z Warszawy) i wielu innych. W tej fazie pojęcie komórki rozszerza się i wyjaśnia, komórka występuje teraz jako bryłka protoplazmy, substancyi wysoce uorganizowanej, co w swojem łonie ukrywa wyosobniony składnik szczególniejszej budowy, jądro na zewnątrz zaś jest po większej części, zwłaszcza u roślin, otoczona błoną. Już nie sama protoplazma, ale protoplazma i jądro stanowią istotne części komórki. Co więcej, zaznaczyć tutaj wypada, jako znamieniem właściwem a cechą nowszych badań jest, iż zajmują się głównie jądrem, jego składem i jego zmianami, protoplazmę

zaś, która ciałem swojem jądro zewsząd otula, po największej części na uboczu zostawiają. Skąd to pochodzi? Przecież badając żywą komórkę, prawie zawsze protoplazmę tylko spostrzegamy, jądro zaś w niektórych tylko pomyślniejszych przypadkach. Atoli my zazwyczaj żywej komórki nie badamy; pod naszemi mikroskopami, we wszystkich naszych trwałych preparatach mamy jeno trupy komórkowe. Prawda, że te trupy ładne, pięknie zabarwione, dokładnie zabalsamowane — mimo to najważniejszej rzeczy im brak, one życia nie mają. Jest więc coś zepsutego w tych trupach, jakaś główna sprężynka jest nietylko zatrzymana, ale zdruzgotana — to wszystko prawda. Lecz i to prawda, że w tych trupach jest przecież coś, jest dużo rzeczy, co nie są zepsute. Gdybyśmy takie same preparaty zrobili z jakiejkolwiek umarłej żywiny, otrzymalibyśmy inne zupełnie obrazy. Dlaczego? Nasze trupy są utrwalone i odpowiednio zabarwione.

Wszystkie jednak nasze rozliczne metody utrwalania i barwienia dotyczą prawie wyłącznie jądra; my naprawdę nie wiemy jeszcze, czy strukturę protoplazmy utrwalić potrafimy; nie umiemy również tak barwić plazmy, byśmy jej budowę jako-tako połapać mogli. To nam tłumaczy dostatecznie, czemu jądro występuje na pierwszy plan w badaniach dzisiejszych, czemu ono w porównaniu z protoplazmą jest już bardzo dobrze poznane.

Zacznijmy więc od jądra, jako od rzeczy lepiej znanej.

Dawniej nie umiano dobrze poznawać jąder, w bardzo wielu komórkach nie widziano ich wcale, stąd odróżniano za Haecklem cytody (komórki bezjądrowe) i cyty czyli komórki właściwe (z jądrami). Dzisiaj rzeczy inaczej stoją. Nie wiem, czy można obecnie spotkać przyrodnika, coby utrzymywał, że istnieją gdziekolwiek komórki bezjądrowe. U pierwoszczaków, śluzowców, glonów, grzybów znaleziono jądra, i to nieraz w wysokim stopniu wyróżnione. Do niedawna przyjmowano jeszcze, że drożdża, bakterye, sinice, nie posiadają jąder. Ale podług najnowszych badań pogląd ten ostać się nie może. Poszukiwania Strasburger'a, Zimmermann'a, Zacharias'a, Zalewskiego, Möllera, Janssens'a i innych, wykazały niewątpliwie występowanie jąder w komórkach

drożdżowych. Co się tyczy sinic, to właściwie nie wiemy tylko, co w nich jest jądrem, nadto Bütschli i Zacharias widzą w nich kule substancyj jądrowych. Wreszcie, zdaniem niektórych przyrodników, znajdują się i w bakteryach pewne analoga jąder; co więcej, z niedawnej pracy rosyjskiego badacza Mitrofanowa, ozdobionej pięknemi kolorowemi tablicami, wynikałoby dość jasno, że i sinice i bakterye posiadają jądra, tylko nie tak bardzo morfologicznie wyróżnione jak jądra wyższych ustrojów. Komuby zaś badania powyższe nie wystarczały, dla tego słuszną będzie uwaga O. Hertwig'a, iż w tych bardzo drobnych mikroorganizmach możnaby tak samo przyjąć, że całe składają się przeważnie z jądra jak z samej protoplazmy, zwłaszcza, że ich nadzwyczajna skłonność do chłonienia barwików raczejby za naturą jądra przemawiała. — Są jednak faktycznie komórki bezjądrowe. Czerwone ciałka krwi u ptaków i niższych kręgowców posiadają wyraźne jądro, u ssaków i człowieka jądra w żaden sposób wykryć nie można. Atoli ciałka te nie są normalnemi komórkami. W pewnem stadyum zarodkowem posiadają i one jądro, ale je wkrótce wydalają, jak to już dawniej Rindfleisch zauważył a świeżo M. Heidenhain potwierdził.

Tak więc można dzisiaj bezpiecznie uważać za fakt naukowo stwierdzony, że każda komórka normalna wyposażona jest jądrem.

A ile też jąder jest w każdej komórce? Normalnie napotkamy zawsze i w tkankach zwierzęcych i roślinnych jedno tylko jądro. Nie brak jednak wyjątków od tej reguły. U zwierząt komórki wątrobowe mają często po dwa jądra, t. zw. komórki olbrzymie szpiku kostnego posiadają nieraz po kilkadziesiąt do stu jąder, podobnie komórki niektórych nowotworów złośliwych; wielojądrowe są również niektóre wymoczki i otwornice (*opalina, loxodes, actinosphaerium* i t. d.). Częstszą jest wielojądrowość u roślin, zwłaszcza u stojących na niższym stopniu organizacyi. Więcej jąder, a nieraz bardzo dużo, posiadają całe rodziny glonów zielonych, jak: *hydrodictyaceae* i *siphoneae* (gronianka, woszerya), nadto niektóre grzyby; inna zaś grupa zielenic, *cladophoraceae*, wykazuje nieraz 150—200 jąder w jednej komórce. U ramienic *(characeae)*

w młodych komórkach znajdujemy tylko po jednem jądrze, podczas gdy starsze komórki posiadają najczęściej jądra liczniejsze.

Mimo te nieliczne zresztą wyjątki, mamy więc najczęściej jedno jądro w komórce. Leży ono zazwyczaj mniej więcej w środku komórki, lub nieco ekscentrycznie. W teoryi Schleidena-Schwanna jądro *(nucleus)* stanowiło mały pęcherzyk *(cytoblast)*, zawieszony w większym komórkowym pęcherzyku. Kto widział jądro utrwalone i zabarwione pod silniejszem powiększeniem, nie zgodzi się wcale na to określenie. Jądro przedstawia się nam dzisiaj jako zbiór substancyj, od protoplazmy wyróżnionych i do pewnego stopnia odosobnionych, które w różnych stadyach jądra w różnych występują formach.

Typowy kształt jądra, tak w komórkach roślinnych jak zwierzęcych, jest kulisty lub owalny. Taki też kształt spotykamy w komórkach młodych, zarodkowych. Ze wzrostem i zmianą kształtu komórki może też i jądro zmieniać swą postać w bardzo rozmaity sposób. Dlatego prócz pospolitych jąder typowych trafiają się jądra bardzo urozmaicone tak w państwie roślinnem, jak zwierzęcem. I tak mogą być jądra wydłużone i zgięte półksiężycowo, jak to np. zauważono w komórkach szparkowych *Phaius grandifolius*, nitkowato wyciągnięte, jak np. w komórkach włoskowych pokrzywy żegawki; Schorler znalazł w promieniach drzennych jodły jądra laseczkowate, robaczkowate, zgięte w kształcie litery *U*, nieregularnie klapowane; Elfving opisał jądra gwiazdkowate w pyłku z *tradescantia*, jądra o kształtach całkiem nieforemnych widział Johow u ramienicy *(chara foetida)*; wreszcie niedawno Haberlandt zauważył w naskórku *ornithogalum umbellatum* jądra z wypustkami spiczastemi, zaś bardzo długie wypustki we włosach liści *pelargonium*. Podobną rozmaitość można odnaleść i w jądrach komórek zwierzęcych. Jądra mogą być podkowiaste, wstęgowate, różańcowate u wymoczków rzęsatych *(stentor, vorticella)*, mogą być najrozmaiciej i nieregularnie rozgałęzione u wymoczków sysadlaczkowatych *(podophrya)*, jakoteż w rozmaitych gruczołach owadów; wreszcie w leukocytach trafiają się najczęściej jądra rogalkowate, a czasem nawet pierścieniowate.

Wielkość jądra zależy normalnie od wielkości komórki. Stosunkowo bardzo ogromne jądra posiadają jaja niektórych zwierząt, jak ryb, gadów i ptaków; u roślin dość duże jądra mają nagonasienne i jednoliścienne; za to wiele grzybów i niektóre glony posiadają nadzwyczaj małe jądra.

Przejdźmy już do rozpatrzenia samej budowy, a złożenia jądra. Jeśli oglądać będziemy jakiś preparat z tkanki roślinnej lub zwierzęcej histologicznie przygotowany, to przedewszystkiem wpadną nam w oczy kuliste mniej więcej ciała, silniej od reszty zabarwione, jądra. Pod silniejszem powiększeniem dostrzeżemy od razu, że nie są to ciała jednolitej budowy, ale złożone z liczniejszych składników. Naprzód uderzy nas rodzaj splotu bardzo skomplikowanego, jakby sieć jaka nieregularna i powikłana, t. zw. zrąb jądrowy *(Kerngerüst)*. Pośród tej sieci, zwyczajnie najsilniej zabarwionej, wyróżnimy bardzo łatwo jedno lub kilka ciałek prawie dokładnie kulistych, t. zw. jąderka *(nucleoli, Kernkörperchen)*; w samych znowu oczkach zrębu jądrowego zobaczymy zazwyczaj wolne, albo raczej niezabarwione przestrzenie, które za życia są z pewnością wypełnione jakąś substancyą. Flemming nazwał początkowo tę masę obojętnem słówkiem: *Zwischensubstanz;* później jednak przyjęła się powszechnie niezbyt szczęśliwa nazwa R. Hertwiga: *Kernsaft* — sok jądrowy. Wszystkie te substancye jądrowe odgranicza od protoplazmy delikatna ścianka, tj. błona jądrowa *(Kernmembran)*.

Idźmy już teraz śmiało naprzód i, mając wzgląd na ważność rzeczy, zatrzymajmy się chwilkę nad każdym z tych składników z osobna. Zacznijmy od rzeczy najważniejszej, przynajmniej za taką pospolicie uważanej, od zrębu jądrowego. Dawniej wyobrażano sobie, że cały ten splot stanowi jedna jedyna nitka, najrozmaiciej powikłana. Tak jednak zdaje się nie jest. W dziwnem rusztowaniu tem możemy wyróżnić najpierw pnie grubsze, silnie się barwiące zwłaszcza barwikami o odcieniu niebieskim — składniki chromatynowe, zwane też w ostatnim czasie po Auerbachu cyanofilnemi. Prócz tych podstawowych belek spotykamy również bardzo delikatne przepierzenia, więc najrozmaitsze beleczki, sznureczki, niteczki, które chłoną barwiki z trudnością

i to jedynie czerwone, skąd też zowią się składnikami achromatycznemi, a zaliczają się do składników erytrofilnych. Pfitzner nazwał substancyę ich parachromatyną; bardziej atoli przyjęła się inna nazwa, dana przez F. Schwarz'a: linina.

Jaką strukturę posiadają te misterne sploty? Trzy są właściwie w tym względzie szkoły i trzy teorye. Szkoła Flemminga widzi w zrębie jądrowym budowę przeważnie siatkowatą, nitkowatą; chromatyna albo raczej ciałka i kule chromatynowe wchodzą w skład tej tkaniny. Bütschli utrzymuje, że zrąb, przedstawiający się nam siatkowato, nie jest wcale siecią z nitek utkaną, ale posiada strukturę piankowatą, której przekrój w jakimkolwiek kierunku da nam zawsze obraz siatki misternej. Wreszcie Altmann, który po swojemu utrwala i po swojemu barwi tak protoplazmę jak jądro, widzi prawie wyłącznie swoje granula, czyli ziarnka, w strukturze jądrowej. Najpowszechniej przyjmuje się i prawie we wszystkich najnowszych podręcznikach suponuje teorya flemmingowska, chociaż w kilku ostatnich latach odzywają się coraz liczniejsze głosy za ziarnistą strukturą splotu chromatynowego. Tak prócz szkoły altmannowskiej utrzymuje również Auerbach, że struktura jądra żyjącego jest ziarnistą; z botaników Krasser i po części Zimmermann upatrują w jądrze granulacyjną budowę. Teorya piankowata nie utrzyma się najprawdopodobniej, bo jakkolwiek prawdą jest, że piana w przekroju da mi zawsze siatkę, to jednak również jest prawdą, że pod mikroskopem najczęściej można błonę od nitki rozpoznać. Kwestyi tej wogóle jednem słowem rozstrzygnąć nie można; zdaje mi się jednak, że i tutaj prawda będzie w pośrodku. Zrąb chromatynowy może być zbudowany jednocześnie z nitek i ziaren. W taki też sposób, jeśli się nie mylę, rzecz tę pojmuje M. Heidenhain w swojej najnowszej pracy o centrosomach. Heidenhain widzi w jądrze twory nitkowate i siatkowate; te składają się z masy zasadniczej lininy, która wysadzona jest drobnemi perełkami, mikrosomatami chromatyny i lantaniny. Mielibyśmy zatem nitki i granula. Granula chromatyny odpowiadają zwykłym składnikom cyanofilnym, barwią się bardzo łatwo i chciwie w zasadowych anilinach, np. zieleni metylowej, zaś

granula lantaniny (λανθάνω = ukrywam się) barwią się trudno i w anilinach kwaśnych, np. kwaśnej fuksynie. Stąd też Heidenhain nazywa pierwszą substancyę bazychromatyną, drugą oksychromatyną. Łatwo być może, że chromatyna i lantanina nie są dwie całkiem odmienne substancye chemiczne, ale są nukleinami, różniącemi się tylko bogactwem fosforu, bo, jak Zacharias i Malfatti zauważyli, nukleina barwi się bardziej niebiesko, czyli jest cyanofilną, jeśli zawiera więcej fosforu; jest zaś erytrofilną, jeżeli jest w fosfor uboższą lub nie posiada go wcale. Najbardziej pokojowe i godzące stanowisko wobec struktury jądra zajmuje w świeżo ogłoszonych studyach Reinke, który widzi w jądrze i nitki i granula i nawet rusztowanie piankowate!

Jąderko, to drugi składnik morfologiczny, występujący wyraźnie prawie we wszystkich jądrach. Składnik ten jest silnie erytrofilny; stąd barwiąc preparaty kolejno barwikami niebieskiemi i czerwonemi lub też odpowiedniemi mieszaninami, otrzymamy ładnie uwydatnione czerwone jąderka pośród niebieskiego zrębu chromatynowego. Przed kilku laty jeszcze toczono spór o to, czy jąderka nie są tylko grubszemi węzłami splotu chromatynowego. Dzisiaj zgodzą się prawdopodobnie wszyscy na to, że prócz owych zgrubień i węzłów znajdują się w jądrze wyosobnione ciała, różniące się od chromatyny. — Wielkość i ilość jąderek jest różna. Zazwyczaj spotykamy w jądrze jedno duże jąderko, a obok tego kilka lub nawet więcej drobniejszych. Zimmermann uważa wszystkie ciałka, nawet najdrobniejsze, jeśli tylko są erytrofilne, za jąderka. Prawie zawsze są to ciałka kuliste lub owalne, ale trafiają się nieraz i znaczne wyjątki: rozgałęzione obserwował Johow i Zacharias, wstęgowate opisał Schottländer. Rzecz godna uwagi, że wielu badaczy, zwłaszcza Flemming, Bütschli, Haecker i Rosen zauważyli wodniczki, to jest bańki cieczą wypełnione w jąderkach. Struktury zresztą w dzisiejszych badaniach nie wykazują jąderka żadnej, zazwyczaj wyglądają jednolicie i jednorodnie. Wprawdzie Krasser w jąderkach cebuli widział strukturę ziarnistą, ale Zimmermann, powtarzając jego badania, nie mógł tej rzeczy skonstatować. Sub-

stancyę jąderka nazywają niektórzy paranukleiną, częściej jednak za Schwarzem pireniną.

Prócz powyższych substancyj cyanofilnych i erytrofilnych jest jeszcze w jądrze coś, co się pospolicie sokiem jądrowym nazywa. Jest to właściwie masa zasadnicza jądra, w której inne składniki są pogrążone i zawieszone. Masę tę Pfitzner nazwał parachromatyną, Zacharias i Schwarz paralininą, a główną jej cechą jest, że podczas zwykłych metod barwienia nie barwi się prawie wcale. Do niedawna uważano sok jądrowy za masę bezpostaciową, pozbawioną wszelkiej wewnętrznej struktury; nawet Hertwig, w swojej prawdziwie klasycznej książce o komórce, zaznacza tylko, że w soku komórkowym rozpuszczone są najrozmaitsze materyały. Najnowsze badania jednak, zwłaszcza Altmann'a, Reinke'go i po części Heidenhain'a, wykazują z wielkiem prawdopodobieństwem, że sok jądrowy jest substancyą o bardzo wyróżnionej strukturze, co zresztą już dawniej Carnoy do pewnego stopnia zauważył. Podług Altmanna mielibyśmy zwyczajnie w naszych badaniach obraz negatywny jądra, obraz dodatni stanowiłyby dopiero granula, które on widzi w soku jądrowym. Pogląd Altmanna bardzo łatwo być może jednostronnym. Nie tak przesadzone a bardzo ciekawe są w tej mierze najnowsze obserwacye Reinke'go. Reinke używa do badań struktury jądra znanego antyseptyku lyzolu. Lyzol ma szczególnie uwydatniać błonę jądra, jąderka i granula soku jądrowego. Wynik tych badań jest następujący. Linina tworzy w jądrze siatkę bardzo delikatną, na niej zawieszone są ziarnka chromatyny. W oczkach zaś tej sieci misternej znajdują się ugrupowane ziarnka soku jądrowego, czyli ojdematyny. Ojdematyną (οἴδημα = to co napęczniało) nazywa Reinke substancyę soku jądrowego, a to dlatego, że ona pęcznieje o wiele bardziej, niż inne składniki jądra. Zdaje się, że obserwacye Reinke'go nie mijają się z prawdą, bo w ostatnich miesiącach G. Schloter, postępując całkiem inną drogą, odnajduje w jądrze również nietylko granula chromatyny i lantaniny, lecz także ojdematyny.

Pod działaniem lyzolu występuje też wybitnie błona jądrowa, bo staje się grubszą i wyraźniejszą. Reinke utrzymuje,

że jądro sprzężone jest ściśle z protoplazmą, owszem, że linina nie jest niczem innem, jeno plazmą jądra; dlatego w pierwszej części swoich studyów komórkowych upatrywał w błonie jądrowej bardzo gęste i delikatne pory, przez któreby nitki lininy przechodziły z jądra do protoplazmy, w drugiej jednak części zmienia zapatrywanie, żadnych przedziurawień w błonie nie widzi — ale za to błona jądrowa, jego zdaniem, byłaby właśnie tylko zbitym zrębem lininowym. Z podobnem zapatrywaniem wystąpił już przed trzema laty C. Schneider. Zresztą i dane nasze, dotyczące błony jądrowej, której substancyę nazywa się za Schwarzem i Zachariasem amfipireniną, są jeszcze bardzo skąpe i dziurawe. W niektórych razach wykazano istnienie błony zdaje się z wszelką pewnością; w innych (niektóre badania Flemminga i O. Hertwiga) zdaje się niema jej wcale. Auerbach odróżnia aż dwie błony wokoło jądra, jedną pochodzenia protoplazmatycznego („cytogene“, *Membran*), drugą jądrowego („karyogene“). Ostatnia ma być cyanofilną. Czasem znajdował tylko jedną z nich. Również Schottländer w wielu jądrach obserwował błonę erytrofilną, u innych nie.

Tak się przedstawia morfologiczna budowa jądra podług badań dzisiejszych. O składzie chemicznym jądra to tylko da się powiedzieć wogóle, że najważniejszą rolę odgrywają różne nukleiny w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. O rozległych badaniach Schwarza w tej mierze wyrażają się dosyć sceptycznie Meyer, Zacharias i Zimmermann. Jedną tylko rzecz, zdaje się wielce charakterystyczną, wypada tu nadmienić, że, podług badań Zaleskiego, Schneidera i Macallum'a, jądro miałoby być głównem siedliskiem żelaza.

To jednak, cośmy dotąd powiedzieli, odnosi się wyłącznie do jądra „w stanie spoczynku“, tj. do jądra nie będącego w stadyum podziału, ani gotującego się bezpośrednio do niego. Podział jądra wyświeci nam jeszcze dosadniej skomplikowanie ustroju komórkowego, bo pokaże nam wszystko z innej strony, pod kątem widzenia nowożytnym, genetycznym, *im Werden*. Zatrzymajmy się więc nieco nad tym wielce ciekawym a niemniej doniosłym procesem.

Skąd się biorą nowe jądra, nowe komórki? — Przed 50 laty Schleiden i Schwann wystawiali sobie, że nowe komórki powstają spontaneicznie z treści starych komórek lub nawet z substancyi międzykomórkowej, w sposób nie różniący się właściwie od krystalizacyi ciał bezustrojowych. Były to oczywiście bardzo grube błędy — ale taką już jest dola i droga nasza, iż przez ciemności i błędy musimy docierać do światła i prawdy, a po trupach trzeba kroczyć do zwycięstwa tryumfów. Niedługo też panowały owe błędy w nauce. Wykazano wkrótce, że komórki powstają jedynie przez podział z innych komórek, i Virchow mógł postawić często odtąd powtarzaną zasadę: *omnis cellula e cellula.* Ale o jądrze nie wiedziano jeszcze nic pewnego; jedni utrzymywali, że się rozpuszcza i znika, a dopiero w komórkach potomnych na nowo się wytwarza, drudzy, że jądro bierze czynny udział w podziale, że się najpierw wydłuża, a następnie przełamuje na dwie połowy [1]. Rozstrzygnięcie i dokładne wyświecenie tej kwestyi zawdzięczamy ostatniej fazie badań komórkowych, które wykazały najdobitniej, że jądro odgrywa rzeczywiście pierwszorzędną rolę podczas podziału komórki, że nadto, podobnie jak cała komórka, nie może powstać przez samorództwo, ale jedynie przez pochodzenie od jądra macierzystego. Zasadę Virchowa uzupełnił teraz ważny dodatek Flemminga: *omnis nucleus e nucleo.*

Podział jądra, jak go nam przedstawiają badania mniej więcej od r. 1880 aż do obecnej chwili, nie jest bardzo prosty, owszem jest bardzo skomplikowany. Dla lepszego zrozumienia użyję tu krótkiego porównania. Gdyby nam ktoś dał słupek kredy zwyczajnej, żeby masę jej rozdzielić na dwie połowy, tobyśmy uczynili to po prostu, przełamując słupek w samym środku; fizyk wziąłby do pomocy wagę analityczną i powie-

[1] Po odkryciu karyokinezy zarzucono zupełnie podział jądra przez taką fragmentacyę. W najnowszym jednak czasie liczni badacze, jak La Valette St. George, M. Nussbaum, Sabatier, Carnoy, Gilson, Arnold, Johnson, Blochmann, Platner, vom Rath, Flemming, Göppert, Meves i inni przekonali się, że i fragmentacya właściwa ma w pewnych razach miejsce. Taki podział jądra nazywają często bezpośrednim lub amitozą. Amitoza u roślin, jak dotychczas rzeczy stoją, byłaby dosyć rzadką i wyjątkową.

działby nam, o ile tysięcznych lub milionowych części grama obie połówki się różnią; chemik wiedząc, że kreda nie jest jednolitem ciałem chemicznem ale agregatem, oddzieliłby najpierw różne składniki chemiczne, a te dopiero podzieliłby na równe części; wreszcie przyrodnik dzisiejszej daty rozebrałby ostrożnie i delikatnie cały słupek pod mikroskopem, odosobniłby różne szkielety otwornic i innych żyjątek, i wtedy dopiero zabrałby się do przepołowienia. W ostatnim podziale waga wykazywałaby zapewne jakieś nieduże różnice, mimo to sam podział byłby, zdaje się, najodpowiedniejszy i najdokładniejszy. Ostatniego też sposobu używa natura podczas podziału jądra.

W czasie podziału zmienia się jądro do niepoznania i przechodzi najrozmaitsze stadya, które pod mikroskopem dają nam charakterystyczne, mniej więcej nitkowate figury. Dlatego Schleicher wprowadził na całe to zjawisko nazwę karyokinezy (τὸ κάρυον = orzech, jądro, i κινέω = ruszam), Flemming zaś trochę później nazwał to karyomitozą lub mitozą (ὁ μίτος = nitka). Obiedwie nazwy są dosyć powszechnie używane, chociaż ostatnia głównie w szkole flemmingowskiej. Figury karyokinetyczne widzieli już faktycznie: Henle (1865), A. Kowalewski (1869) i W. Krause (1870); badacze ci jednak nie zaznaczyli tego, bo nie podejrzywali nawet, co za ogromne znaczenie mogą mieć te dziwolągi w żyjącej przyrodzie. Dlatego odkrył karyokinezę właściwie dopiero A. Schneider 1873 roku, i nieco później, choć niezależnie, Bütschli i Fol. Wykształcili naukę o karyokinezie i w całej ją pełni rozwinęli wszyscy wybitniejsi badacze ostatniej fazy.

Główne zarysy przemian jądrowych można studyować i na żywych komórkach, jak to np. Strasburger uczynił na młodych włoskach pręcikowych z *Tradescantia;* dokładnie jednak badań tych przeprowadzić nie można, bo składniki jądra, jakkolwiek różne, jednakowo mniej więcej załamują światło. Trzeba się więc uciec do preparatów trwałych, zabarwionych, więc już nieżywych. Jest w tem niewątpliwie pewna niewygoda, gdyż każde jądro utrwalone daje nam obraz jednej tylko chwili, nie zaś historyę swoją, która się w czasie ciągłym odbywa; ale zaradza się temu w ten sposób, że się dobiera jądra z najrozmaitszych

stadyów i grupuje tak, jak one w przyrodzie po sobie następują. Jedynie tego rodzaju badania, nadzwyczaj zmudne i uciążliwe, doprowadziły naszą znajomość komórki do dzisiejszej doskonałości.

Ponieważ obraz całej karyokinezy jest bardzo duży, choć mikroskopijny, oglądać go będziemy częściami i grupami. Zacznijmy od grupy, która w obrazie naszym na pierwszy plan występuje, najbardziej w oko uderza. Cóż to jest? Przekształcenia splotu chromatynowego. Zaczynamy więc od nich, czyli od t. zw. figury chromatycznej.

Jądro zabierające się do podziału poznajemy od razu po zmienionym wyglądzie. Chromatyna, równomiernie przedtem w jądrze rozmieszczona, gromadzi się zwolna i skupia w długie wstęgi lub nitki, nabierające wyraźnych konturów i barwiące się bardzo silnie. Stadyum to nazywamy za Flemmingiem kłębkiem (*Spirem, Knäuel*). Z początku kłębek ten jest zbity; nie można stanowczo powiedzieć, czy chromatyna tworzy jedną nitkę, czy też więcej niepołączonych odcinków. Wnet atoli jądro się powiększa, beleczki chromatyny kurczą się i grubieją — powstaje t. zw. kłębek luźny, w którym możemy zazwyczaj wyróżnić kilka, kilkanaście, nawet kilkadziesiąt odcinków chromatyny. Odcinki te mogą przybierać bardzo rozmaite formy: laseczkowate, kuliste, owalne; najczęściej może występują w postaci pętelek podkowiastych, lub raczej stromych krokiewek. Z tego powodu nazywano je początkowo pętlami chromatynowemi (*Chromatinschleifen*); ponieważ jednak nazwa ta okazała się w wielu przypadkach zupełnie nieodpowiednią, zaproponował przed kilku laty Waldeyer nazywać te ciała chromosomami. Nazwa ta przyjęła się obecnie we wszystkich prawie językach, i może O. Hertwig niepotrzebnie wprowadza na jej miejsce nowy termin *Kernsegmente*. Jedną tu rzecz jeszcze zaznaczyć, a nawet grubo podkreślić muszę. W dotychczasowych badaniach zauważono zawsze, że ilość tych chromosomów dla danego gatunku i dla wszystkich komórek jednego osobnika jest stałą i niezmienną. Pewne zboczenia od tej stałości zauważono nieraz, zdaje się atoli, że owe wahania są po większej części tylko pozorne i rzekome, za

czem przynajmniej przemawiają najnowsze spostrzeżenia vom Rath'a i Haecker'a — w każdym razie w obrębie komórek generatywnych nie obserwowano dotąd ani w łańcuchu ustrojów roślinnym ani zwierzęcym żadnego wyjątku od tego prawa. Prawo to spowodowało Rabla do postawienia teoryi o morfologicznej indywidualności chromosomów. Podług teoryi Rabla, już w kłębku zbitym a nawet w jądrze spoczywającem znajduje się stała

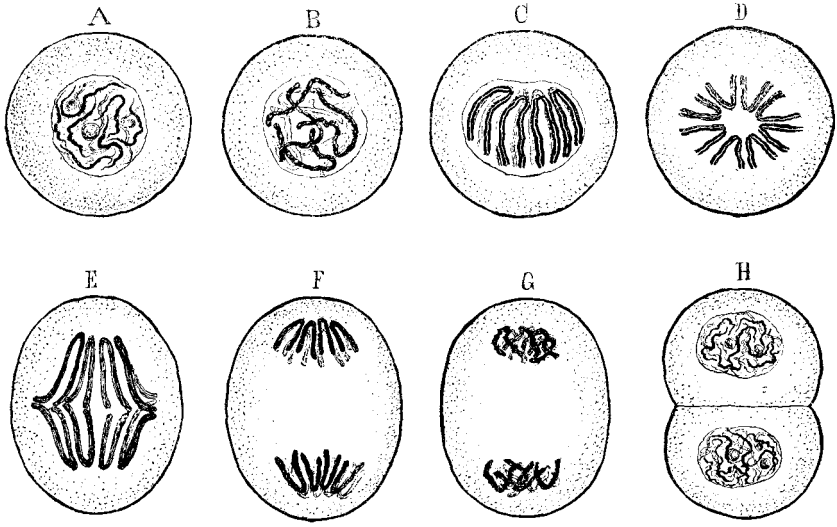


Fig. 1. Schemat figury chromatycznej. — *A.* Komórka otoczona na zewnątrz błoną; wewnątrz niej duże jądro, będące w stadyum kłębka; pośród chromatyny widać trzy kuleczki, czyli jąderka; między błoną komórkową a jądrem znajduje się protoplazma. — *B.* Dalsze stadyum kłębkowe, chromosomy dokładnie już wyróżnione. — *C.* Końcowe stadyum kłębka, chromosomy rozszczepane. — *D.* Stadyum gwiazdy macierzystej. — *E.* Metakineza. — *F.* Stadyum gwiazd potomnych. — *G.* Stadyum kłębków potomnych. — *H.* Podział ukończony, dwie siostrzane komórki gotowe.

liczba wyosobnionych chromosomów, nie można ich tylko rozpoznać dlatego, że tworzą w tych stadyach bardzo liczne między sobą anastomozy i nie są jednakowo grube na całej długości. Pogląd ten pociągnął za sobą bardzo wielu przyrodników; nawet Strasburger, który przedtem utrzymywał, że chromatyna w jądrze tworzy początkowo jedną nitkę, uległ mu chwilowo; dzisiaj też jeszcze znaczna część badaczów trzyma się tego zdania;

chociaż badania z kilku lat ostatnich Guignarda, Strasburgera, O. Hertwiga, Brauera i innych, zdają się przemawiać dość stanowczo przeciwko tej teoryi.

Ze stadyum kłębka przechodzi chromatyna w stadyum, które z powodu jego kształtu nazywają gwiazdą macierzystą (Aster, Monastroid Flemminga, *Mutterstern*). Podczas podziału cała komórka i jądro wydłużają się nieco, i możemy oba końce komórki uważać za dwa przeciwległe bieguny, płaszczyznę zaś symetryi, prostopadłą do osi łączącej oba bieguny, za równik. Otóż w stadyum gwiazdy macierzystej wszystkie chromosomy układają się w płaszczyźnie równika i to w ten sposób, że końce ich wystają ku obwodowi a zgięcia ku środkowi komórki. Najpóźniej w tym okresie, podług Waldeyera, Flemminga, Brauera i innych, już w stadyum kłębka, nieraz bardzo wczesnego, następuje rozłupanie czyli rozszczepienie chromosomów, tak iż każdy przedstawia się nam złożony z dwu ciał równoległych i równych. Rozszczepienie to jest zjawiskiem ogólnem przynajmniej u wszystkich wyższych ustrojów, bo u grzybów np. nikt dotychczas tego nie zauważył.

To są fazy przygotowawcze podziału, zwane przez Strasburgera profazami — teraz jądro wstępuje we właściwe stadyum podziału, w t. zw. metakinezę Flemminga lub metafazy Strasburgera. Mianowicie każdy chromosom podwójny albo raczej rozszczepany dzieli się na dwa chromosomy, na dwie połówki, z tych jedna zwraca się do jednego bieguna, druga do drugiego. Ciekawe to zjawisko, które pierwsi obserwowali Beneden i Heuser, odbywa się w ten sposób, że rozstępują się najpierw zgięcia pętli, czyli wierzchołki krokiewek, poczem rozdział posuwa się zwolna dalej aż do końców samych, chociaż może być i tak, zwłaszcza u roślin, że rozstąpienie zaczyna się od jednego końca chromosomów i postępuje ku drugiemu. Tym sposobem otrzymujemy po obu stronach równika taką samą ilość chromosomów, jaką zauważyliśmy w końcowem stadyum kłębka macierzystego. Oba wianuszki zdążają ku swoim biegunom i przedstawiają nam teraz dwie gwiazdy potomne (*Tochtersterne*, Dyaster, Dyastroid),

podobne do gwiazdy macierzystej, tylko nieco mniejsze. Jest to początek metafaz Strasburgera.

Chromosomy przyszedłszy na miejsce przeznaczenia, tj. na bieguny, zaczynają się zmieniać, grubieją, kurczą się, stają się nieregularne i łączą się wypustkami z sobą — tworzą zatem znowu kłębek, najpierw luźny, potem zbity, czyli t. zw. stadyum kłębków potomnych *(Dispirem)*. Niedługo potem mamy dwa jądra nowe w spoczynku, nie różniące się od innych jąder.

Tak się przedstawia podczas karyokinezy figura chromatyczna, która z pewnością powstaje ze składników jądra cyanofilnych, chociaż sama, podług badań Flemminga i Hermanna u zwierząt, Zimmermanna i innych u roślin, może być, począwszy od stadyum gwiazdy macierzystej aż do stadyum gwiazd potomnych włącznie, erytrofilną.

Atoli jest to część dopiero, jedna grupa obrazu karyokinetycznego. W jądrze jest nietylko chromatyna, ale są jeszcze substancye achromatyczne i inne składniki. Otóż i w karyokinezie mamy t. zw. figury achromatyczne. Jakkolwiek spostrzeżono je częściowo prawie jednocześnie z figurą chromatyczną, to dokładne przedstawienie i jakie-takie zrozumienie rzeczy stało się możliwem w ostatnich dopiero kilku latach, po odkryciu drobnych punkcików w komórce, centrosomami zwanych.

Dla lepszego zrozumienia figur achromatycznych w karyokinezie zróbmy małą dygresyę do tych ciekawych punktów, nad szukaniem których wielu przyrodników traci teraz całe dni, miesiące, nawet lata całe.

W pewnych przypadkach, jeśli materyał dobrze się utrwali i zmudnemi metodami zabarwi, można w protoplazmie tuż obok jądra, będącego bezpośrednio po podziale lub gotującego się do podziału, niekiedy nawet obok jądra spoczywającego, dostrzedz jeden lub dwa małe punkty, silniej uwydatnione, otoczone jaśniejszą obwódką jakby aureolą i plazmą zdaje się szczególniejszej budowy. Owe drobne punkciki, stojące niemal na granicy dostrzegalnych jeszcze za pomocą najsilniejszych szkieł naszych ziarenek, zowiemy obecnie centrosomami.

Naprawdę pierwszy spostrzegł to, co centrosomy otacza i do pewnego stopnia istnienie ich zdradza, Kupffer jeszcze w r. 1875, i nazwał to masą centralną *(Centralmasse)*. Ostateczne jednak i właściwe odkrycie tych rzeczy należy przypisać van Beneden'owi, Boveri'emu i Vejdovsky'emu. Zasłużony bardzo na tem polu badacz belgijski Beneden już w r. 1883, a dokładniej jeszcze w cztery lata później obserwował i opisał te rzeczy, nazywając owe drobne ciałka *corpuscules polaires*, obwódkę zaś jasną z dalszą częścią plazmy promienistej *sphère attractive*, przyczem z swoich obserwacyj wyciągnął wniosek, na owe lata niewątpliwie za śmiały, że owo ciałko biegunowe jest stałym składnikiem komórki podobnie jak jądro. Z terminologii Benedena przeniosły się do Niemiec nazwy *Polkörperchen* i *Attractionssphäre*. Równocześnie, ale niezależnie od Benedena, zauważył te same rzeczy monachijski przyrodnik Boveri i nazwał ciałko biegunowe wraz z obwódką centrosomem, zaś dalszą część archoplazmą. Ci dwaj tędzy badacze założyli pierwsze podwaliny do studyów nad centrosomami i ich otoczeniem. Teraz już cały zastęp badaczy, uzbrojony w nowe metody barwienia i w nowe szkła apochromatami zwane, wybiera się w drogę za centrosomami. Wytrawny badacz i wódz doświadczony w studyach komórkowych, Flemming, nie zostaje w tyle, wyprzedza innych i znajduje w różnych tkankach już nietylko jedno, ale dwa takie drobne ciałka, które nazywa *Centralkörper*, a całe ich otoczenie *Sphäre*. W ostatnich paru latach najrozmaitsi badacze, jak Rabl, Platner, O. Hertwig, Solger, Hermann, Fol, Bütschli, Bambeke, Hansemann, van der Stricht, Bürger, Kostanecki, Meves, Metzner, Moore, Ishikawa (Japończyk), Brauer, Haecker i inni, znaleźli centrosomy w różnych tkankach zwierzęcych, i to z grup najrozmaitszych — od pierwoszczaków do człowieka.

W roślinach pierwszy odkrył centrosomy w r. 1891 Guignard, sławny botanik francuski, i nazwał je wraz z otoczeniem *sphères directrices*. Znajdował je głównie w komórkach rozrodczych roślin jawnokwiatowych, ale udawało mu się uwydatnić je i w komórkach rostowych, np. włoskach pręcikowych z *Tradescantia*. W komórkach spoczywających widywał zawsze po dwa centro-

somy stojące w plazmie tuż przy błonie jądrowej. Po Guignardzie udało się jeszcze kilku batanikom odnaleść centrosomy: Wildemann'owi u glonów i skrzypów, Schottländerowi w młodych plemniach i jajach różnych roślin, Strasburgerowi u glonów *Sphacelaria* i *Cladophora*. Strasburger wprowadza znowu zmienioną nomenklaturę; zatrzymuje na ciałko środkowe nazwę centrosom, zamiast *Attractionssphäre* proponuje *Astrosphäre*, a na całość *Centrosphäre*, nadto wyróżnia protoplazmę otaczającą centrosomy i tworzącą koło nich promieniowanie od reszty ciała komórkowego i nazywa ją kinoplazmą.

Najobszerniejsze i najważniejsze może studyum o centrosomach stanowi praca z ostatniego roku Marcina Heidenhaina. Szkoda, jak mi się zdaje, że ogranicza się prawie wyłącznie do leukocytów i komórek pokrewnych, przez co wnioski ostateczne może są za jednostronne. Ciekawa rzecz, że Heidenhain widzi w komórce już nie dwa, jak Flemming, ale często trzy nierównej wielkości centrosomy, nadto że nowe centrosomy powstają nie przez podział ścisły, ale przez pączkowanie, które może się odbywać i podczas spokoju i podczas podziału komórki. Centrosom, podług Heidenhaina, jest to ciałko stałe, morfologicznie niezłożone, posiadające zdolność asymilacyi, wzrostu i rozmnażania się przez pączkowanie. Wbrew dość powszechnemu zapatrywaniu Heidenhain utrzymuje, że sfery nie są żadnym organem ani stałą własnością komórek, że archoplazma również nie jest specyficzną substancyą, jeno ma coś właściwego w swojej oryentacyi. Mimo to, *salvo meliori iudicio*, zdaje mi się, że jakiś rodzaj archoplazmy, albo jeśli ktoś woli kinoplazmy, trzeba wyróżnić i przyjąć, przynajmniej jak długo nie okaże się mylnem zapatrywanie Platnera, Hermanna i innych, jako opisany już nieraz t. zw. *Nebenkern* w wielu komórkach jest archoplazmą. Nie zgadzają się też z dotychczasowemi spostrzeżeniami zeszłoroczne obserwacye Moore'a, który badając spermatogenezę ssaków widzi często archoplazmę w innem miejscu jak centrosomy i dochodzi do wniosku, że centrosomy nie potrzebują być zawsze złączone z archoplazmą i że archoplazma nie jest stałym i niezmiennym składnikiem komórki. Oryginalne i zupełnie niespodziewane są też wyniki naj-

nowszych badań Mevesa nad spermatogenezą salamandry. Archoplazma albo sfera, bo do pewnego stopnia można je identyfikować, jest w spermatogoniach ostro zarysowana i odgraniczona od protoplazmy, dopiero pod koniec lata rozpada się na drobne kawałki, a te rozłażą się i wytwarzają kulę wydrążoną, która w swojem wnętrzu mieści jądro komórki. Nastaje zastój jesienny i zimowy, aż na wiosnę rozpoczyna się odbudowa sfery. Owa kula wydrążona ściąga się na jedną stronę, rozłamuje się na drobne kuleczki, które się zbierają w jednym punkcie i tworzą nową sferę.

Tak więc, zdaje się, że prócz centrosomów, tj. owych punkcików maleńkich, trzeba przyjąć na razie w komórce, przynajmniej w wielu przypadkach, jakąś sferę, względnie archoplazmę; krom tego, że zapatrywanie Benedena o powszechności centrosomów nie jest tak wielce nieprawdopodobne. Uważa się dziś centrosomy najczęściej za jakieś kierujące centra dynamiczne, zwłaszcza podczas procesów mitozy. Czy tak jest niewątpliwie, powiedzieć nie można; w każdym razie podług poszukiwań obecnych trzeba przyznać, że odgrywają w tem pewną rolę. Zobaczmy jaką, czyli wróćmy do naszej karyokinezy.

Kiedy w jądrze zaczynają się pierwsze przygotowania do podziału, wtedy można zauważyć obok jądra jeden lub dwa centrosomy najczęściej z swemi obwódkami jasnemi. Podług Guignarda, u roślin są zawsze już oba gotowe, u zwierząt często w tym okresie dopiero ma miejsce podział centrosomu. Następnie zaczynają się dwa te ciałka od siebie oddalać, aż staną na przeciwległych biegunach jądra. Między centrosomami widać u zwierząt zazwyczaj małe wrzecionko, zbudowane z delikatnych włókienek, którem zajmowali się specyalnie Hermann, Flemming i Kostanecki. Wrzecionko to wydłuża się w miarę tego, jak się centrosomy oddalają, i pozostaje podczas całej karyokinezy. Równocześnie wychodzą od centrosomów pęki promieni na wszystkie strony, z tych zaś najdłuższe i najliczniejsze skierowane są w stronę chromosomów jądra. Tym sposobem kiedy chromosomy układają się w równiku komórki, centrosomy stoją na biegunach sprzężone swojem wrzecionkiem środkowem *(Centralspindel)*.

a prócz tego wysyłają inne promienie na równik do chromosomów, tak iż tworzą drugie wrzeciono albo raczej dwa półwrzeciona stożkowate *(Halbspindeln)*, pokrywające wrzecionko środkowe. I tę rzecz, co zazwyczaj słabo się barwi, nazywamy pospolicie figurą achromatyczną. U roślin, podług Guignarda i Strasburgera, niema tego rodzaju wrzecionka środkowego, niema nawet właściwie owych półwrzecion stożkowatych. Kiedy bowiem chromosomy ułożyły się w równiku a centrosomy rozeszły się na bieguny, widzimy między niemi jedno tylko wrzeciono jednolite, na włóknach którego zawieszone są chromosomy. Nadto kiedy

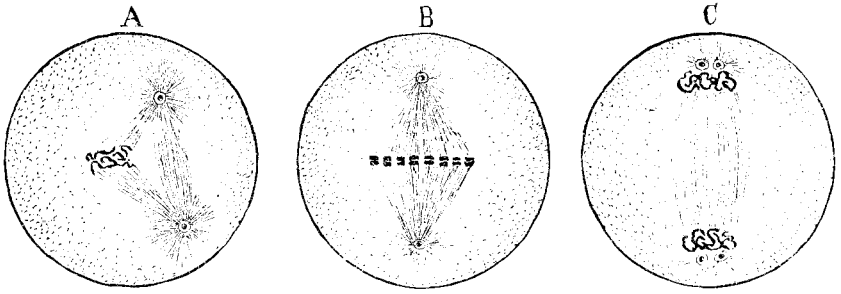


Fig. 2. Schemat figury achromatycznej. — *A*. Dwa punkty otoczone siercą promienistą, przedstawiają centrosomy, między niemi delikatne wrzecionko środkowe, nadto od nich wychodzą dwa stożki włókien czyli półwrzecionka do zaznaczonych tylko w środku komórki chromosomów. — *B*. Figura achromatyczna w stadyum gwiazdy macierzystej. — *C*. Stadyum kłębków potomnych: na biegunach widać już po parze centrosomów, między kłębkami zaś włókna wrzecionka środkowego czyli *Verbindungsfäden*.

u zwierząt za Rablem prawie wszyscy z małemi wyjątkami widzą bardzo liczne włókienka, idące od centrosomów do chromosomów — u roślin Strasburger i Guignard widzą we wrzecionie tyle tylko włókien, ile jest chromosomów pierwotnych, jakkolwiek Guignard w ostatniej swej pracy o zapłodnieniu przyznaje, że te włókna powstały z wielu delikatniejszych.

W stadyum metakinezy chromosomy oddzielają się i przesuwają się po nitkach wrzeciona ku biegunom, gdzie przechodzą zwolna w stadya gwiazd i kłębków potomnych. Jak się to odbywa, nie wiadomo. U zwierząt, zdaje się, owe półwrzeciona podczas tego posuwania kurczą się tak, iż między gwiazdami

potomnemi zostaje już tylko samo wrzecionko środkowe, w której to fazie znane już było dawniej jako *Verbindungsfäden*. U roślin, gdzie, o ile dotąd wiadomo, niema podwójnego wrzeciona, niema też kurczenia się włókienek; i podług Strasburgera wrzeciono achromatyczne byłoby tu tylko rusztowaniem, po którem chromosomy ślizgając się, dochodzą do swego celu. — Na początku metakinezy zauważono jeszcze często, zwłaszcza u roślin, że centrosomy stojące na biegunach dzielą się tak, iż następnie kłębkowi potomnemu towarzyszy już para sprzężonych w jakiś sposób centrosomów. Co się dzieje następnie z wrzecionkiem środkowem? Losami jego zajął się niedawno bardzo troskliwie Kostanecki. W stadyum gwiazd potomnych zauważył profesor krakowski na nitkach tego wrzecionka drobne ciałka, zmierzające ku równikowi, które rozdzieliwszy się tam równomiernie na całym obwodzie wrzeciona, przypominają tworzącą sie w tem samem miejscu u roślin blaszkę komórkwą. Kiedy ciało komórki po utworzeniu się kłębków potomnych zaczyna się na równiku przewężać, to przewężenie to ścieśnia i wrzeciono; wtenczas podług Kostaneckiego ziarnka cofają się ku biegunom, a zostaje tylko jedno lub dwa ciałka, nazwane przez Flemminga *Zwischenkörper*. Skoro następnie komórki potomne rozdzielają się, dzieli się też ciałko flemmingowskie i wrzecionko, a każda połówka wraca do swojej komórki potomnej, lub raczej do swojej archoplazmy.

Jest jeszcze jedna kwestya dotycząca figury achromatycznej, żywo dyskutowana w spółczesnych kołach naukowych — skąd pochodzą włókna wrzecionek. Jedni, jak Strasburger i Hermann, utrzymują, że wywodzą swe pochodzenie wyłącznie lub przeważnie z protoplazmy; inni, jak Flemming, Bütschli, Carnoy, Rabl, Pfitzner, Zacharias, O. Hertwig, Brauer, van der Stricht, Reinke — że linina jądra dostarcza głównego materyału na włókna figury achromatycznej. Rozumie się, że zależy to po części i od tego, jakie kto terytoryum wyznaczy centrosomom. Ale ta właśnie rzecz mimo swą ważność i doniosłość nie jest jeszcze dokładnie wyjaśniona, owszem staje się obecnie coraz ciemniejszą. Nie idzie tu w pierwszym rzędzie o plazmatyczne lub jądrowe

pochodzenie centrosomów, gdyż zdaje się prawdopodobną rzeczą, że centrosom jest składnikiem komórki morfologicznym, równorzędnym do pewnego stopnia z jądrem, chodzi więc głównie o przynależność terytoryalną. Pospolicie dziś się przyjmuje, że centrosomy należą do terytoryum plazmy, nie jądra. Mimo to O. Hertwig, Weismann i Brauer z niewielu innymi utrzymują, że centrosomy podczas stadyum spoczynkowego przechodzą do jądra i wychodzą do protoplazmy tylko podczas karyokinezy. Hertwig powoływa się na to, że podczas spoczynku bardzo rzadko się widzi w plazmie centrosomy, że z początkiem podziału centrosomy natrafiamy tuż obok jądra, że po pojawieniu się centrosomów błona jądrowa w pobliżu nich jest często zapadła, jakby tam trochę soku jądrowego wyszło, że wreszcie niekiedy wystąpienie centrosomów schodzi się czasowo ze znikaniem jąderek. Racye te, jak słusznie uważa Heidenhain i jak zresztą każdy widzi, nie są ściśle przekonywające, i one same nie zdołałyby obalić tak licznych spostrzeżeń przeciwnych. W ostatnich jednak dwu latach można zaznaczyć kilka obserwacyj, coby przemawiały za zdaniem Hertwiga, a przeciwko opinii powszechnej. I tak Brauer, który zajął się po wielu innych na nowo spermatogenezą glisty końskiej *(ascaris megalocephala)*, obserwował u odmiany nazwanej przez Hertwiga *univalens*, najwyraźniej bardzo duży centrosom w jądrze, który się tam z nadejściem karyokinezy dzieli i dopiero potem do plazmy wychodzi. Drugi fakt taki jest podobne spostrzeżenie Hansemanna w komórkach nabłonkowych z podbródka salamandry. — Za poglądem Hertwiga przemawiałyby również zadziwiające spostrzeżenia Karstena. Botanik ten podaje, jako w jądrach zarodni egzotycznej rośliny *Psilotum* jąderka występują z początkiem karyokinezy do plazmy, rozchodzą się na dwa bieguny, dzielą się i tu wykonywają zupełnie tę samą rolę, jaką się centrosomom przypisuje. Po uskutecznionym podziale, przechodzą owe centrosomy jako jąderka do kłębków potomnych. Przeciwko Karstenowi wystąpił niedawno Humphrey, który uważa centrosomy wogóle za twory pozajądrowe i dodaje, że u *Psilotum* centrosomy zupełnie inaczej wyglądają jak opisane przez Karstena. Humphrey'owi potakuje świeżo Gui-

guard w sprawozdaniach Akademii paryskiej. Za to za Karstenem przynajmniej w części przemawiałaby nowa praca Zimmermanna o jąderkach. Na korzyść Hertwiga można przytoczyć jeszcze dwu badaczów belgijskich, van der Stricht'a i Julin'a, zdaniem których centrosomy byłyby cząsteczkami substancyi chromatynowej i wraz z wrzecionkami zawdzięczałyby swój początek masom jądrowym. Wreszcie rosyjski przyrodnik Mitrofanow utrzymuje również, że centrosomy są często granulami chromosomów, a częściej jeszcze zbitemi tylko węzłami nitek. Widzimy zatem, że na pogląd Hertwiga o przynależności centrosomów do jądra nie mamy jeszcze ściśle przekonywających dowodów; jakkolwiek nie można również kategorycznie powiedzieć, by zapatrywanie przeciwne, jakoby centrosomy znajdowały się zawsze w plazmie, mogło się cieszyć mianem prawa ogólnego. Być może, że centrosomy są nietylko twory oryginalne w komórce, ale nadto terytoryalnie niezwiązane ściśle ni z plazmą ni z jądrem, że więc w różnych przypadkach mogą należeć albo do jednego albo do drugiego. A niejedno takie „być może" znalazłoby się jeszcze. I tak, gdyby mi kto z czytelników powiedział, że owe drobne centrosomy i owe delikatne wrzecionka mogą być bardzo łatwo suggestyonowane illuzye badaczów komórkowych, to nie mógłbym zbyć tego samym tylko uśmiechem. Przecież warszawski przyrodnik Eismond, który od lat kilku siedzi nad komórką, w swojej najświeższej pracy o sferach i centrosomach, mało co inaczej wyraża się o tych rzeczach. Zdaniem Eismonda sfery i centrosomy nie są stałemi właściwościami komórki, ale są to utwory przypadkowe i w niektórych tylko występujące komórkach — owszem naprawdę niema w komórce ani centrosomów, ani sfer, ani nitek achromatycznych, wszystkie te rzeczy to konfiguracye piankowatej struktury plazmatycznej. Czy autor nie jest również trochę suggestyonowany przez teoryę Bütschli'ego? — Nie myślę potępiać rozumnego sceptycyzmu w tłumaczeniu obrazów mikroskopijnych, sam jestem również w wysokim stopniu niewiernym Tomaszem w spostrzeżeniach przyrodniczych; zdaje mi się jednak, że figurę achromatyczną i przynajmniej w pewnych razach centrosomy z otoczeniem można

przyjąć w komórce bez zadania gwałtu oczom i naturze. Utwierdza mnie w tem przekonaniu następująca racya, słaba objektywnie ale subjektywnie mająca dla mnie niemałe znaczenie. Kiedy od czasu do czasu przeglądam swe preparaty zwierzęce i roślinne z karyokinezami, przychodzą do mnie moi przyjaciele, poświęcający się najrozmaitszym zawodom naukowym, jak: filozofii, filologii, literaturze, którzy z mikroskopem a przynajmniej z badaniami mikroskopijnemi nigdy do czynienia nie mieli, i nastają natarczywie na mnie: „co masz ładnego“? Zapraszam ich do patrzenia przez mikroskop, nic im nie mówiąc. Pytam się następnie, co widzą. Otrzymuję w odpowiedzi nie najgorszy opis figur achromatycznych (o chromatycznej nie mówię, bo tej nikt nie widzieć nie może). Nie dowierzając trochę, podaję kawałek papieru i ołówek, i proszę o naszkicowanie widzianego obrazu. Siadam następnie do mikroskopu i przekonywam się, że obserwacya była nadzwyczaj dokładna. Zdaje się, że tu suggestya jest zupełnie wykluczona.

W dotychczasowym szkicu karyokinezy nie uwzględniliśmy jeszcze jąderek i błony jądrowej. Co się z niemi stało? Wszyscy konstatują fakt, że jąderka w pierwszych stadyach karyokinezy znikają, a pojawiają się dopiero na nowo w kłębkach potomnych. O ich losach podczas tej przerwy najrozmaiciej opowiadają. Wielu przyjmuje, jak i Hertwig w swojej książce, że się rozpadają na drobne cząsteczki i że je chromosomy pochłaniają, zwłaszcza odkąd Went u roślin, a Flemming i Hermann u zwierząt zwrócili uwagę na to, że chromosomy zmieniają swą zdolność chłonienia barwików i stają się po zniknięciu jąderek erytrofilnemi. Strasburger jednak twierdzi, że dwa te zjawiska nie schodzą się zawsze co do czasu, że jąderka rozpuszczają się w soku jądrowym. Ani jeden ani drugi pogląd nie jest dostatecznie uzasadniony. W ostatnim jednak czasie mamy kilka bardzo ciekawych obserwacyj, rzucających pewne światło na tę kwestyę niejasną. Farmer i Zimmermann zauważyli w komórkach roślinnych, że jąderka rozpadają się i w postaci drobnych ciałek albo nawet w postaci pierwotnej wychodzą z jądra a idą do plazmy. Zimmer-

mann widzi je w plazmie przez cały przeciąg mitozy; dopiero kiedy w kłębkach potomnych występują znowu wyraźne jąderka, żadnych tego rodzaju ciałek wykryć w plazmie nie można. Częściowe wywędrowanie jąderek do plazmy obserwował również świeżo Metzner w komórkach zwierzęcych. Nie potrzeba dodawać, że po tych zwłaszcza zimmermannowskich spostrzeżeniach staje się bardzo prawdopodobną nowa zasada: *omnis nucleolus e nucleolo.*

Co się tyczy błony jądrowej, to zgadzają się wszyscy, że znika albo raczej rozpuszcza się pod koniec stadyum kłębkowego zazwyczaj, a dopiero w stadyum kłębków potomnych wytwarza się na nowo. Wprawdzie Pfitzner utrzymywał, że u zwierząt pozostaje błona jądrowa w ciągu całej karyokinezy, atoli dowody jego zbił dostatecznie Tangl, i zresztą obecnie nikt błony podczas mitozy nie widzi.

Tak się nam przedstawia dzisiaj zadziwiająca struktura i dziwniejszy jeszcze podział jądra. Czy ono w istocie swej nie jest jeszcze bardziej skomplikowane i czy badania jutrzejsze nie wykażą nam tego — któż się wyrokować odważy?

Wypada teraz choćby słówkiem potrącić o właściwe środowisko jądra, o protoplazmę, i zaznaczyć o niej, jeśli już nie, co wiemy, to przynajmniej, że nic nie wiemy. Wnosimy wprawdzie, że i chemicznie i morfologicznie musi być bardzo skomplikowana — ale jakie są jej składniki, jaka jej struktura, tego dzisiaj naprawdę nie wiemy. I zapatrywania w tym względzie rozchodzą się w różne strony, powiedzmy dokładniej — w trzech głównie kierunkach. Są to trzy teorye, któreśmy po części poznali przy jądrze.

Najwięcej zwolenników liczy teorya nitkowata, której twórcą i głową właściwą jest Flemming. Podług tej teoryi protoplazma składa się z nitek, włókien, sznurów, beleczek stanowiących jakiś rodzaj siatki, rusztowania czy zrębu, którego wolne przestrzenie wypełnione są inną substancyą. Tym sposobem, cała ta szkoła wyróżnia w plazmie masę nitkowatą t. zw. *Filarmasse* albo *Mitom* i masę śródzrębową zwaną *Interfilarmasse* albo *Paramitom.* Nie

będę wyliczał wszystkich autorów należących do tej szkoły, z tej prostej przyczyny, że jest ich za dużo. Największa część dzisiejszych badaczy posługuje się metodami Flemminga, otrzymuje podobne rezultaty w badaniach swoich; cóż dziwnego, że tych samych mniej więcej trzyma się poglądów. Stanowisko krańcowe w tej szkole zajmuje C. Schneider, który przyjmuje, że cała protoplazma i jądro składa się z jednej nitki ciągłej, jeno powikłanej. Ciekawem jest również zapatrywanie Heidenhaina, który opierając się na swoich leukocytach wyobraża sobie, że plazma składa się z nitek organicznych, których *centrum* i *punctum insertionis* stanowi centrosom *resp.* centrosomy, a które rozchodzą się wokoło do obwodu komórki. — Z budową nitkowatą plazmy spotkać się można zresztą w każdym podręczniku, jak i w najnowszych Hertwiga i Bergh'a. Lwowski profesor Kadyi uważa nawet włóknistą budowę ciała komórkowego za wynik badań dotychczasowych.

Druga teorya piankowata Bütschli'ego nie znalazła dotychczas szerszego przyjęcia. Podług niej plazma zbudowana jest z blaszek na sposób delikatnej piany ułożonych, między któremi są wolne przestrzenie wypełnione płynem zwanym *enchylema.*

Trzecia teorya granulacyjna wiąże się głównie z imieniem Altmanna. Altmann i jego szkoła utrwala tkanki przeważnie w mieszaninie kwasu osmowego (2% albo 1%), i dwuchromianu potasowego (2½ albo 5%); skrawki bardzo cienkie, wynoszące 1—2 mikronów tj. tysięcznych milimetra, barwi kwaśną fuksyną, a zabarwienie wyróżnia w roztworze alkoholowym kwasu pikrynowego. Tym sposobem w protoplazmie występują wyraźnie fuksynofilne granula, któremi całe ciało plazmy jest wytkane i naszpikowane. Te granula mają mieć zdaniem Altmanna ważniejsze znaczenie; co więcej, one mają przedstawiać wogóle żyjącą plazmę, mają to być ustroje elementarne, jednostki morfologiczne wszelkiej uorganizowanej materyi — i dlatego zowią się bioblastami. Dla nich ważną jest zasada: *omne granulum e granulo.* Komórka, podług Altmanna, jest to wielka kolonia bioblastów, które wydzielając z siebie substancyę mniej lub więcej galaretowatą, trzymają się w niej razem bądź w kupach nieregular-

nych, bądźteż w formach wydłużonych i nitkowatych. Substancyą żyjącą jest granulina, której składu zupełnie nie znamy. Wiemy o niej, że może wytwarzać białka, węglowodany i tłuszcze, atoli czy je sama również zawiera, na to odpowiedzi dotychczas nie mamy.

W ostatnich latach wielu badaczy zajmuje się granulami altmannowskiemi i stwierdza je po większej części, jak Lukianow, Steinhaus, Metzner, Raum, Seiller, bracia L. i R. Zoja, Dannahl, Mislawski, Smirnow, Schloter, Przesmycki, z botaników Zimmermann. Więcej jednak teorya Altmanna ma nieprzyjaciół niż zwolenników — a i ci po większej części nie zgadzają się z swoim wodzem w przyznawaniu owym granulom znaczenia bioblastów. Bracia Zojowie nazywają owe granula plastydułami, idąc w tem za swoim profesorem Maggi'm, który nazywa w ten sposób granulacye plazmy już od r. 1868 i utrzymuje, że one są tem w komórce, czem komórka jest w organizmie. — Za teoryą granulacyjną przemawiałoby w wysokim stopniu to, że żywa plazma przedstawia się prawie zawsze raczej niewyraźnie ziarnistą aniżeli włóknistą. Nie zawadzi jednak wspomnieć tu o dowcipnych i ciekawych doświadczeniach Fischera. A. Fischer bierze po prostu roztwory ciał białkowatych w różnych rozcieńczeniach i utrwala je sposobami, jakich używamy do utrwalania tkanek zwierzęcych lub roślinnych. W takim razie otrzymuje najczęściej albo natychmiast albo w przeciągu jednego dnia, rozmaite osady i strąty, które następnie wymywa i barwi również używanemi metodami. Otóż wiele ciał białkowatych strąca się w postaci ziaren czyli granulacyj, które metodą Altmanna barwią się żywo i ładnie, tak, iż od granulów altmannowskich nie można ich odróżnić. By się jeszcze lepiej o dokładności swoich spostrzeżeń przekonać, Fischer nastrzykiwał roztworem peptonowym kawałki rdzenia bzu zwykłego, utrwalał je w mieszaninie Altmanna, następnie skrawki barwił. Tym sposobem otrzymywał bardzo instruktywne preparaty. Granula zabarwione wypełniały wnętrze pustych komórek rdzenia bzowego, lecz nie bez pewnego uszykowania; w środku komórki znajdowało się ciałko większe, od tego zaś rozchodziły się na wszystkie strony nitki złożone z zia-

ren różnej wielkości, które dochodziły aż do ścian, a między sobą tworzyły anastomozy. Przypomina to całkiem obraz komórki roślinnej, w której środku mamy jądro zawieszone na strugach protoplazmy.

Z granulami Altmanna łączą się po części różne poglądy, bardziej teoretycznej natury. Wielu autorów widząc, że czynności choćby najmniejszej komórki żyjącej, są nadzwyczaj skomplikowane, że nadto badania nowsze wykrywają ustawicznie coś jeszcze w komórce, czegośmy dotychczas nie widzieli, przypuszcza, że można przyjąć pewne ostateczne składniki substancyi żyjącej, ale składniki same jeszcze żyjące, tj. posiadające zdolność asymilacyi, wzrostu i dzielenia się, składniki, które z natury swojej uorganizowane są w ten sposób, że razem z innemi mogą stanowić różne części komórki, pod mikroskopem widoczne. Najtrzeźwiej i najgłębiej może rzecz tę przeprowadził Wiesner i nazwał swoje proste składniki plasomami. Podobne znaczenie miałyby jednostki fizyologiczne Spencera, pangeny Vriesa, idioblasty Hertwiga, biofory Weismanna.

Zbliżamy się do mety. Oto już gąszcze rzednieją, już widnieje brzeg dziewiczego lasu. Odpocznijmy chwilkę i uprzytomnijmy sobie kręte niedostępne ścieżki, któremiśmy się przedzierać musieli.

Poznaliśmy mniej więcej najważniejsze szczegóły z morfologii komórki. Pęcherzyk Schleidena-Schwann'a, goła izdebka, owa istna celka ubogiego eremity, zmieniła się w ciągu połowy stulecia w olbrzymi pałac maurytański, w mityczny niemal labirynt Dedala. A dziwna ta metamorfoza odbywała się w oczach naszych, przez co stała się dla nas uchwytniejszą i zrozumialszą. Więc zapomnieliśmy najpierw o zewnętrznych ściankach izdebki, a całą uwagę przykuliśmy do jej zawartości śluzowatej, ziarnistej — poznaliśmy protoplazmę, zasadnicze podłoże życia, właściwą materyę żyjącą. Wnet w łonie plazmy dostrzegliśmy małe ciało wyosobnione, o którem ulepszone mikroskopy i metody badania wykazały nam, że to las formalny, nietknięta stopą ni myślą ludzką gęstwina. I poznaliśmy naprzód, jak jądro zwyczajnie,

w spoczynku wygląda; podziwialiśmy sploty jego i koronki misterne, utkane z chromatyny, lininy i może lantaniny; nie uszły naszej baczności ładnie wytoczone jąderka, ni zagadkowy i zamknięty w sobie sok jądrowy z ojdematyną Reinkego. Nie zadowoliło nas to. Staraliśmy się wytropić kroki i drogi prywatnego życia jądrowego, chcieliśmy zbadać najskrytsze tajniki jego, tajemnicę rodzenia i powstawania. I nie zawiodła nas nadzieja, opłacił się trud. Mogliśmy się przyglądnąć całej karyokinezie: jak się tworzy stała ilość chromosomów, jak się te krokiewki rozłupują, jak następnie utworzywszy gwiazdę macierzystą rozstępują się w ciągu metakinezy, tak iż każda połówka wędruje w przeciwną stronę, aż powstaną stadya gwiazd i kłębków potomnych. Udało się nam nawet uchwycić i uwydatnić owe niezmiernie drobne punkciki, centrosomy, i wyśledzić ich koleje wraz z wrzecionkami achromatycznemi. Pod koniec wróciliśmy do protoplazmy i przekonaliśmy się, że prawdopodobnie składają się na nią pewnego rodzaju elementa żywe, które czynią ją substancyą nietylko chemicznie ale i morfologicznie wysoce skomplikowaną. — Czyż po tem wszystkiem nie można słusznie i prawdziwie powiedzieć za Darwinem: każda istota żyjąca jest to cały światek, małe uniwersum, na które się składa mnóstwo rozmnażających się ustrojów, niepojęcie małych a tak licznych, jak gwiazdy na niebie? *Natura maxime miranda in minimis.*

Tak się przedstawia pojęcie komórki ongi i dzisiaj. Pojęcie samo zmieniło się ogromnie, ale nazwa została. Nie dziw, że komórka naprawdę wcale nie odpowiada temu, co oznacza. Atoli czy można, czy warto nazwę tę wyrugować? Niedawno próbował Sachs wprowadzić nazwę „energidy“ na oznaczenie całości złożonej z jądra i opanowanej przezeń protoplazmy. Ale wznowienie to jakkolwiek racyonalne, za mało się dotychczas przyjęło i kto wie, czy uzyska kiedy powszechne prawo obywatelstwa. Zanadtośmy się przyzwyczaili i zżyli z komórką.

(Dok. nast.).

J. Nuckowski.

PIĄTY WIECZÓR NAD LEMANEM.

MISS WILSON.

Pewnie się panom coś ładnego śniło po wczorajszej rozmowie naszej.

LEROY.

Otóż kiedyśmy się rozeszli wczoraj wieczór, z projektem rozprawiania dzisiaj o osobie Chrystusa, wziąłem się do czytania Ewangelii, którą znalazłem w swoim pokoju — i czytałem aż do rana.

DEVILLE.

Taki jest obyczaj w tym kantonie, że nawet po pokojach hotelowych są zwykle Biblie.

LEROY.

Czytałem po literacku, usiłując zrobić sobie jak najwierniejsze wyobrażenie o charakterze bohatera tej dziwnej książki.

MISS WILSON.

I cóż? Pewnieś pan odczuł, że nic piękniejszego nie da się pomyśleć, jak charakter Chrystusa?

LEROY.

Może panią zadziwię, gdy powiem, że to, co mię z punktu tej literackiej obserwacyi najwięcej uderzyło, to jest, że Jezus Chrystus nie ma charakteru.

MISS WILSON.

Jakto?

LEROY.

Tak jest; a przynajmniej jest w nim coś, czego inaczej określić nie mogę. Każdy człowiek — my, którzy portretujemy ludzi, wiemy o tem doskonale — ma jakieś znamię indywidualne, znamię zależące na tem, że pewne siły, energie czy przymioty ludzkie wysuwają się naprzód, a inne przez to samo cofają się w głąb. Ta różnica wypukłości i wklęsłości, świateł i cieniów, na tle ogólno-ludzkiej natury, stanowi psychiczną fizyognomię pojedyńczych ludzi. A czy jest coś takiego u Chrystusa? Czy można powiedzieć, że u niego rozum np. górował nad uczuciem, albo że uczucie górowało nad rozumem? Czy energia przewyższała roztropność, albo roztropność energię? Czy rzewność i melancholia go cechuje, czy odwrotnie, swoboda myśli? Czy on jest, jak się dziś mówi, „intelektualnym", czy człowiekiem czynu? Z którejkolwiek strony mu się przypatrujemy, zaraz mamy ochotę tę stronę uznać za najwybitniejsze jego znamię; ale oglądając go i przysłuchując mu się dalej, spostrzegamy niebawem, że wszystkie inne strony do tego samego stopnia wypukłości dochodzą. Nawet znamion specyficznych rasy i czasu w nim nie odnajduję.

Czy to można temu przypisać, że zbyt mało wiemy o Chrystusie? Gdzież tam! cztery Ewangelie tak są nabite szczegółami o nim i słowami jego, że ledwo który jest w historyi wielki człowiek, o którymbyśmy więcej wiedzieli. — Jest to coś, czego sobie nie mogę wytłumaczyć, lecz co wyraźnie konstatuję. A przypomina mi to podobne spostrzeżenie, które z innej znów strony, z punktu mianowicie malarstwa, zrobił La Sizeranne w ciekawym artykule „o anachronizmie w sztuce", przed rokiem drukowanym w *Revue des deux mondes*. Tym właśnie brakiem cechy górującej nad innemi, tłumaczy on niesłychaną trudność, z jaką walczą malarze, kiedy chcą Chrystusa szkicować: albo uwydatniają pewne rysy, nieugiętość woli np. przez wystającą szczękę, przenikliwość przez małe, z pod grubych powiek bystro patrzące oczy — jak uczynił Munkaczy w swoim Chrystusie przed Piłatem —

a wtedy w rażącą wpadają sprzeczność z Ewangelią; albo, uchyliwszy wszelkie takie znamiona, wpadają w ogólnikowy szablon człowieka, bez ciepła i życia — a wtedy jeszcze więcej od typu ewangelicznego odchodzą, bo cóż bardziej żywego, bardziej pociągającego, jak postać Chrystusa? I dlatego to, mówi Sizeranne, drżała ręka Leonarda, gdy twarz Chrystusa malował: nietylko lęk religijny go przejmował, ale też obawa nieoddania tego typu, żywego a żadnym szczegółem nie określonego, jaki miał dać Chrystusowi.

BIELSKI.

Jakże pan możesz mówić, że Chrystus nie miał cechy swej rasy? Przecież każde jego przemówienie nacechowane jest wyraźnie żydowszczyzną.

LEROY.

Nie, panie; zwroty i figury mowy semickiej, których używa Chrystus, są tylko rzeczą formalną. My samibyśmy tak mówili, gdyby nam wypadło do owych ludzi przemawiać. Ale w charakterze, w poglądach, w sposobie czucia i myślenia Chrystusa nic specyficznie żydowskiego niema. — Sokrates, w opisach swych uczniów, jest nawskróś Grekiem, pod kątem greckim widzi świat. Cycero jest Rzymianinem, i to Rzymianinem swego czasu; sfera jego pojęć i uczuć jest ni większa ni inna, niż owe warunki pozwalają. Żyd ówczesny jeszcze bardziej musiał mieć zacieśniony widnokrąg myśli i uczuć swym ciasnym a silnym nacyonalizmem. W Jezusie przeciwnie, wszystko zdaje się ogólno-ludzkie, jakby ponad miejscem i czasem, wszystko równo blizkie każdemu czasowi i narodowi. Ot, jest nas tu przypadkiem prawie tyle narodowości, ile osób; czy kto z nas, czytając Ewangelię, ma wrażenie, że ten człowiek jest mu obcy?

BIELSKI.

A jednak Renan w Życiu Jezusa wykazał, że to wszystko co w nim było, rozwinęło się z pierwiastków świeżości Galilei z domieszką uczoności jerozolimskiej.

HAINBERG.

Niech nam pan nie mówi o Życiu Jezusa Renanowskiem. To romans! romans niehistoryczny, bo z fantazyi autora wysnuty, i nawet nieliteracki, bo postać Chrystusa, jaką sklecił Renan, egzystować nie może, jest chodzącą kontradykcyą. Między owym „naiwnym ignorantem“, który chodzi po ucztach nad brzegami Tyberyadzkiego jeziora i składa wdzięczne dla biesiadników przypowieści, a owym „ponurym olbrzymem“, który ni stąd ni zowąd podejmuje w Jerozolimie rolę Mesyasza, dwuznacznemi popiera ją środkami, a „rozjątrzony oporem, unosić się daje złym humorem aż do czynów niewytłumaczalnych“ — niema żadnego możliwego przejścia. W jednej z tych postaci niema nawet materyału na drugą. A te udawane cuda, to podszywanie się pod ród Dawida, ta akceptacya apoteozy za życia, którą Renan Chrystusowi przypisuje, jakżeż się mogą zgodzić z tą absolutną czystością charakteru, którą tenże Renan w nim podziwia, z tą miłością sprawiedliwości i prawdy, dla której on żyje i umiera. Nieszczęsne usiłowania autora, aby złagodzić i przysłonić te sprzeczności, jeszcze więcej uwydatniają niepokonalne ich przeciwieństwo. Jednem słowem, postać, jaką chciał stworzyć Renan — choć z największą względem tekstów i źródeł tworzył dowolnością — zupełnie mu się nie udała.

LEROY.

Myślę, że i Renan, starszy i doświadczeńszy, nie byłby na nowo podpisał tego dzieła Renana początkującego. A może też był kontent, że się pozbył zawczasu tej niewykonalnej części swego zadania.

HAINBERG.

Dobrze pan nazywasz to zadanie niewykonalnem. Dużo sobie zadałem pracy, swego czasu, ażeby zbadać, czy jest coś w Ewangelii z tej ewolucyi, którą Renan Chrystusowi przypisuje; i ze zdziwieniem skonstatowałem, że ani tej, ani żadnej wogóle ewolucyi, żadnego postępu w Chrystusie nie znać.

Młody człowiek podejmuje od razu olbrzymie dzieło du-

chowe, — o jakiem żaden człowiek nie marzył — które nazywa królestwem bożem na świecie; a które w zupełnem stoi przeciwieństwie do panującej podówczas w tym kraju idei mesyańskiej, politycznej i wyłącznie nacyonalnej. Więc jedynie trudności i przeszkody spotkać mogą to dzieło ze strony środowiska i otoczenia. Tymczasem ten młody człowiek, podejmując to dzieło, zdaje się mieć od razu pełną świadomość jego wielkości i, co więcej, pewność powodzenia. Nie znać w nim żadnego wahania, żadnego macania w początkach — jak to znać np. wyraźnie u Mahometa. Pierwszego zaraz dnia mówi do Natanaela, że będzie widział niebo nad nim otwarte i aniołów zstępujących, i daje się nazwać Synem Boga i królem Izraela. Raz po raz zapowiada, że Ewangelia jego opowiadana będzie po wszystkiej ziemi, że i owce poza owczarnią będące do niej zgromadzi. I kiedy wkońcu mówi do uczniów te zdumiewające słowa: „Idąc, nauczajcie wszystkie narody; a oto ja jestem z wami aż do skończenia świata" — to nic w nich niema, coby nie licowało z początkiem. Sokrates, jakkolwiek nie grzeszył zbytkiem skromności, ciągle mówił, że nic nie wie; Chrystus wciąż mówi, że wie, że od Ojca swą naukę ma. W nauce tej występuje wszędzie i zawsze ta sama etyczna doskonałość, te same dogmaty transcendentalne. Niema w niej żadnego śladu postępu i rozwoju.

Jest to dla mnie z punktu filozoficznego i psychologicznego niewytłumaczalne zjawisko. Wiem, iż można zawsze przypuścić, że i w nim jakaś ewolucya być musiała; ale przypuszczenia tego w żaden sposób na źródłach czyli na Ewangelii uzasadnić nie można.

SIEMIONOW.

Wybornie! Doszliśmy dotąd do samych konstatowań niemożliwości. Jeden konstatuje, że nie można Chrystusa po literacku sportretować; drugi, że nie można go wymalować; trzeci, że nie można go z punktu psychologii pojąć. Renan z całym swoim artyzmem próbował go „restytuować" — i nie udało mu się. Dodać można, że Straussowi z całą uczonością niemiecką zarówno się nie udało. Wreszcie świeżo filozof Renouvier spróbował w ostatniej *Année philosophique* wytłumaczyć Chrystusa za

pomocą wszystkich zasobów dzisiejszego krytycznego myślenia. Czytałem go chciwie, ale przyznać muszę, że zawiódł mię zupełnie. Nauki moralnej Chrystusa, tej nauki, którą świat żyje od dwudziestu wieków, nie może on inaczej pojąć, jak tylko w przypuszczeniu, że Chrystus uważał koniec świata za bardzo blizki i nauczał, nie etyki życia, ale etyki szczęśliwej śmierci ludzkości! A ile przytem niezgodności i dysharmonii w swego Chrystusa wstawił, tego ani policzę.

I cóż to takiego? Czy Chrystus jest może chodzącą sprzecznością?

DEVILLE.

Rzecz jest prosta: wpada się w same sprzeczności i zadania niewykonalne, kiedy się chce Chrystusa pojąć, skreślić, opisać, wytłumaczyć, jak prostego człowieka. Ale kiedy się tego założenia z góry nie stawia, i próbuje się brać Chrystusa, w myśl chrystyanizmu, za wcielenie Bóstwa, za doskonałość absolutną, objawiającą się w zdrobniałej postaci człowieka — wtedy żadnej niema antynomii i wszystko się jasno i racyonalnie tłumaczy. Wszystkie uwagi i spostrzeżenia panów do tego wniosku logicznie prowadzą. Ograniczenie jest nieodzownem piętnem stworzenia. Każdy człowiek w pewnej tylko części, w pewnym kierunku zdoła potencyonalność natury ludzkiej urzeczywistnić. Każdy więc człowiek musi mieć pewne duchowe rysy wysunięte, inne cofnięte — i to stanowi, jak dobrze powiedział p. Leroy, znamię jego indywidualności. Każdy człowiek musi być człowiekiem swej epoki, swego narodu: bo jego indywidualność nie bierze się z niczego, ale z warunków miejsca i czasu; pod wpływem tych warunków wypełnia się jego umysł, kształci się jego serce. Żaden zatem człowiek nie może być uniwersalnym ideałem ludzkości: bo musiałby być w takim razie, nie czemś mniej, ale czemś więcej niż jednostką ludzkości. — Wszelako jeśli Bóg, doskonałość absolutna, wciela się i objawia w postaci ludzkiej, to łatwo zrozumiemy, że w tym człowieku okazać się musi wszelka doskonałość, jakiej natura ludzka absolutnie jest zdolna, i że ten człowiek musi być wszechstronnym i wieczystym ludzkości ideałem. Temu czło-

wiekowi, z którejkolwiek strony się przypatrzymy — jak pięknie p. Leroy zaobserwował — zawsze nam się wyda, że to jest jego najwybitniejsza strona: bo on właśnie wszechstronnym musi być ideałem. Ten człowiek nie może mieć istotnej ewolucyi ni postępu — co uderzyło pana Hainberga — bo on pełnię swej wiedzy z góry od Bóstwa przynosi, nie czerpie jej z otoczenia. I dlatego też nie ma w swej umysłowości, w swych uczuciach, ograniczeń znamionujących narody i epoki. I dlatego też ludziom wszech czasów i wszech narodów jest równie blizki; każdy w nim widzi i czuje swój ideał. Jest on uniwersalny, nie w oderwanem znaczeniu, jakoby pusty szablon, ale uniwersalny jako pełnia wszech przymiotów, które ludzkość częściami posiada.

I stąd to biedna sztuka ludzka, i pendzel, i pióro, przywykłe charakteryzować indywidualności ludzkie przez ich ograniczenia, przez cząstki ideału, które się w nich odbijają, są zdekoncertowane i bez środków wobec Ideału samego — „w którym, jak energicznie wyraża się Paweł, mieszka wszystka pełność Bóstwa cieleśnie".

MISS WILSON.

Prześlicznie, panie Deville! Boskość Chrystusa rozsadza istotnie formy ludzkie i w każdym szczególe Ewangelii przebija.

BIELSKI.

Ewangeliści, widać, chcieli go zrobić bogiem — i zrobili.

DEVILLE.

Jest to wybieg, panie, który nic nie tłumaczy. Znane o tem zdanie Roussa do dziś dnia jest prawdziwe: że jeszcze trudniej jest pomyśleć, aby czterech zmówiło się na skomponowanie takiej książki jak Ewangelia, aniżeli przypuścić, że jeden był rzeczywistym jej bohaterem. I owszem, dziś, wskutek głębszego zbadania Ewangelii, jest to jeszcze oczywistszem niż było kiedykolwiek.

HAINBERG.

Gdyby ewangeliści byli się porozumieli, aby swego bohatera skomponować, to byliby się porozumieli dokładniej; nie by-

liby wpadli w te setki drobnych różnic i niezgodności, które Strauss im zawzięcie wytyka — i które są zapewnie torturą dla egzegetów — ale historykowi i myślicielowi bynajmniej nie przeszkadzają widzieć jednej postaci u czterech pisarzy, doskonale naszkicowanej, nietylko w głównych faktach zgodnie opowiedzianych, ale we wszystkich rysach, które jej każdy z nich przypisuje. Nie wiem np. jak można pogodzić szczegóły, które Mateusz, Łukasz i Jan podają o poranku zmartwychwstania, — i to mię bardzo mało obchodzi — ale wiem, że żadnego rysu ani słowa Mateusz nie przypisuje swemu Chrystusowi, któreby nie przystawało do osobistości Chrystusa, jaką kreślą Łukasz i Jan, jakkolwiek każdy z nich ma swą indywidualność autorską i każdy się inną stroną swego przedmiotu szczególniej interesuje. Ta wyższa formalna zgodność idei, przy niezgodności materyalnej, albo przynajmniej pozorze takowej, w żaden sposób nie mogła być wynikiem porozumienia — tem mniej dowolnego układania.

KSIĄDZ.

Są przecież ścisłe, krytyczne dowody autentyczności Ewangelij, obfitsze niż jakiegokolwiek innego historycznego źródła, i te dowody codzień pod ręką dzisiejszej nauki rosną...

LEROY.

Darujemy Księdzu te dowody. I bez nich oczywistem jest, że ewangelicznego Chrystusa nie skomponowali ewangeliści. Oni są wszyscy Żydami; widać to wyraźnie w ich stylu, nawet w ich sposobie myślenia. Gdyby mieli podług własnego rozumu wymyślać Chrystusa, nieuchronnie byliby z niego zrobili, albo przywódcę Żydów, gromiącego pogan, — albo, gdyby tamto wobec historyi się nie dało, to typowego rabina. Czem mógł być rabin żydowski w owych czasach, wiemy dość dokładnie; mamy w Talmudzie sylwetki Hillela, Gamaliela, R. Samuela. Każdy jest kłótliwym i formalistycznym rozprawiaczem, zawziętym szermierzem wyłączności swego narodu, każdy w drobiazgach Zakonu widzi oś wszechświata. Otóż te przymioty byliby ewange-

liści spotęgowali jeszcze i wyrafinowali do najwyższego stopnia. i w nie byliby Chrystusa własnej kompozycyi ubrali. — Do tego zaś Chrystusa, którego faktycznie opisali, który się stawia ponad szabatem, który z Samarytanką rozmawia, mówi że poganie ze Wschodu i Zachodu wyprzedzą w królestwie synów Abrahamowych, słowem do tego Chrystusa, który ma najszersze w świecie serce i najszerszy rozum, a skrajną jest antytezą żydowskiego rabina, ci ludzie zgoła materyału w sferze swych myśli i aspiracyj nie mieli. Kompozycya taka jest z punktu krytyki literackiej niepodobieństwem.

SIEMIONOW.

Gdyby ewangeliści byli Chrystusa skomponowali, to byliby oprócz tego zrobili z niego stoika. Byliby przypisali swemu bohaterowi, zwłaszcza jeżeli go chcieli pasować na Boga, stateczność nieugiętą, męstwo, panowanie nad sobą aż do niewzruszoności głazu. To są przymioty, których dodatniość przeciętni ludzie ocenić mogą: *Justum et tenacem propositi... impavidum ferient ruinae.* Ale, że obok tego możliwa jest i nieskończenie piękna jest czułość, współbolejąca z cierpieniami ludzkości — że ten Chrystus, bez spadnięcia ze swej wysokości, może płakać nad przewidzianą zgubą miasta, zapłakać nawet nad grobem przyjaciela — że może tulić i całować dzieci — zasiadać do uczty z celnikami — pozwalać Magdalenie zraszać sobie nogi łzami, i rozgrzeszać ją „dlatego, iż wielce umiłowała“ — że może nogi umywać uczniom i czule się rozrzewniać w wilię rozstania się z nimi — tego żadną miarą, w żaden sposób zmyślić, ani nawet pomyślić nie mogli ewangeliści!

A oni dalej się posuwają; opowiadają bez wahania o jego straceniu na szubienicy ówczesnej! Może kto powie, że zmuszała ich do tego notoryczność tego głównego faktu; ale co ich zmuszało do opowiadania, że był przez niewolnika policzkowany i t. d. i t. d.? Ze strony uczniów, apoteozujących swego mistrza, jest to doprawdy nie do pojęcia. — Lecz oni jeszcze dalej idą: opowiadają bez zająknięcia się, że ten bohater przed męką się smucił, że wypraszał się u Ojca, że tęsknił sobie — że się bał!! —

Wobec tego, panowie, wątpić o objektywności ewangelistów, zdaje mi się absurdem. Opowiedzenie takich rzeczy wydawać się musiało niewytłumaczalnem starym chrześcijanom, wywoływało dotkliwe szyderstwa i zarzuty gnostyków; i w istocie niczem się tłumaczyć nie może, tylko prawdziwością faktu i niewolniczą szczerością piszących świadków.

Swoją drogą taki Chrystus, wszechstronnie ludzki, olbrzymi w słabości, w czułości majestatyczny, jest nieskończenie wyższy od bezsercowego stoika. My to dziś rozumiemy, czujemy raczej. Ale takiego Chrystusa się nie wymyśla!

MISS WILSON.

A skądżeby tacy ludzie byli wymyślili taki niedościgniony ideał miłości, do którego żadnego wzoru, żadnej treści w starożytności nie mieli? Miłość w starożytności nie sięgnęła nigdy dalej, jak do murów ojczystego miasta, i jeszcze ta miłość ojczyzny u nich podszyta była pychą, egoizmem i nienawiścią obcych. Otóż Chrystus od razu jawi w świecie serce nieskończenie szerokie: kochające Ojca, żyjące jego chwałą — a w Ojcu kochające ludzi wszystkich, blizkich i dalekich, dobrych i złych, uczniów i wrogów swoich. A jak serdecznie kocha! jak czynnie i ofiarnie, jak wszechstronnie: opatrując wszelakie biedy i potrzeby ludzkie, fizyczne i duszne — któż to potrafi wypowiedzieć, chyba powtarzając całą Ewangelię, całe życie Syna człowieczego, które jest jednem pasmem dobrodziejstw świadczonych ludziom, dniami i nocami, z trudem i o głodzie, bez kąta gdzieby głowę skłonić, aż do końcowej ofiary życia. Kiedy czytam, że się modlił na krzyżu za tych, którzy go zabijali — i równocześnie, że matkę powierzył opiece ucznia — to doprawdy nie wiem, co z dwojga bardziej zachwyca: jedno stawia mi ten wzór niebotycznie wysoko nade mną, a drugie sprawia mi wrażenie, że jest blizko mnie, że się go dotykam. Jest to najidealniejszy i razem najnaturalniejszy pierwowzór, niewytłumaczalna jednia ideału z naturalnością.

I ten ideał miłości swojej przedstawia Chrystus ludzkości, żądając aby się miłowali nawzajem „tak, jak on ich umiłował".

A żądania na tym punkcie stawia nadzwyczaj wysokie: każe kochać Samarytanina tak samo jak rodaka, każe tak dalece o sobie zapominać, żebyśmy raczej krzywdę znosili, niż bliźniemu przykrymi się stali, każe miłować nieprzyjaciół i dobrze im czynić. I żebyśmy w tych wszystkich, choćby najnędzniejszych i najgorszych istotach mieli co miłować, prześliczną wymyśliwa substytucyę: „Cobyściekolwiek jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili; mnieście nakarmili i odziali, ilekroć nakarmiliście głodnych i odziali nagich". Przedziwna sztuka miłości — która, co jeszcze dziwniejsza, udała się i ogromnie płodną była w historyi, jak mówiliście panowie wczoraj.

I takie cudo miałoby czterech pismaków żydowskich wymyślić?!

KSIĄDZ.

Łatwoby pokazać, że jak się rzecz ma z miłością Chrystusa, tak samo się ma z jego mądrością, zdumiewającą uczniów i wrogów, i żadnego nie zdradzającą z tych ograniczeń, które każda mądrość ludzka zdradza; tak samo się rzecz ma z jego moralną świętością, w której najmniejszego nie można dostrzedz braku ani cienia — i kiedy wszyscy ludzie są grzesznymi, a zwłaszcza najświętsi kornie się do tego przyznają, kiedy wszyscy przepraszają Boga za grzechy swoje, ten jeden, najpokorniejszy z ludzi, nigdy za nic Boga nie przeprasza, a ludzi śmiało wyzywa: „kto z was dowiedzie na mnie grzechu?" Tak samo się rzecz ma z każdym innym przymiotem, jaki zechcemy w Chrystusie ewangelicznym badać. Wszędzie jest coś niedościgłego, nigdzie nie widać granic; słowem, wszędzie przeziera absolut. I dlatego nie mogli ewangeliści tej postaci stworzyć, bo byli ludźmi — a ona jest boską.

HAINBERG.

Niezaprzeczenie, przymioty, jakie występują w Chrystusie, są zdumiewające; jednakże chyba w bardzo względnem znaczeniu można je nazwać nieograniczonemi; zawsze są to przecież

przymioty ludzkie: ludzka dobroć, cierpliwość, świętość; żadną miarą przymioty bezwzględne, absolutowi właściwe. O tem, zdaje mi się, ani wątpić nie można.

KSIĄDZ.

Potrąca pan bardzo trudną kwestyę, bo samą tajemnicę Wcielenia, czyli dwoistości natur w jedności osoby. Bez dalszych jednak tłumaczeń odpowiadam w dwóch słowach na zakwestyonowany punkt. Do postaci ludzkiej Chrystusa należą oczywiście przymioty ludzkie, nie ściśle absolutne. Jednak i te przymioty w takiej występują pełni, w takiej doskonałości bez cienia, że, jak się pokazało w naszej dyskusyi, wykluczają przypuszczenie, jakoby ta postać była prostą ludzką jednostką; tłumaczą się zaś doskonale, jak powiedział p. Deville, dogmatem chrześcijańskim: że sam Stwórca przywłaszczył sobie tę postać ludzką, stał się jej rzeczywistym podmiotem, i stąd odblask jego doskonałości w tejże postaci się odbija, o ile to jest w ludzkiej naturze możliwem. Wszelako, prócz tych przedziwnych ludzkich przymiotów, przezierają także przez tę postać absolutnie boskie doskonałości, w których się boski podmiot wprost odsłania: przez te ludzkie usta przemawia raz po raz boska wszechwiedza. przez te ręce boska wszechmoc czyni co chwila cuda.

LEROY.

Daj Ksiądz pokój cudom. One mi psują Chrystusa. Bez nich, on mi się wydaje większy i piękniejszy, zwłaszcza zrozumialszy.

KSIĄDZ.

Cuda panu psują Chrystusa? A dlaczego? — Łatwa odpowiedź: dlatego, że pojmujesz pan Chrystusa jako człowieka ze wszech miar wyższego, do którego ani łudzenie się, ani omamianie drugich udanemi cudami w żaden sposób nie przystaje — a nie pojmujesz go pan jako Boga wszechmocnego. — Zgoda, że się panu tak pojęty Chrystus może podobać. Ale skąd wziąć tego Chrystusa bez cudów? gdzie go szukać? czy w Ewangelii?

LEROY.

Wyeliminować co jest w Ewangelii nadprzyrodzonego — i zostanie taki Chrystus.

KSIĄDZ.

Ba! nic nie zostanie, oprócz najdowolniejszych fikcyj wyobraźni.

MISS WILSON.

Ma Ksiądz racyę; nic z ewangelicznego Chrystusa nie zostanie.

KSIĄDZ.

Proszę zważyć, że cuda składają całą kanwę życia Chrystusa w Ewangelii: przyjście jego na świat jest cudowne; działalność nauczycielska, oparta na cudach; na nie się ciągle Chrystus powołuje, żądając wiary dla swej nauki. A cudów tych czyni, według ewangelistów, setki, tysiące. „Obchodził — mówi św. Mateusz — wszystkie miasta i miasteczka, opowiadając Ewangelię królestwa i uzdrawiając wszelką chorobę i wszelką niemoc". A cała Ewangelia Marka jest tylko opisem tego pochodu cudotwórcy, do którego zbiegają się, tłoczą się wszelkiego rodzaju nędze, aż mu chwili spocząć i posilić się nie dają — a na jego słowo pierzchają choroby, chleby się mnożą, wichry i bałwany cichną, umarli wstają. „Przechodził — jak mówi ślicznie św. Łukasz — dobrze czyniąc i uzdrawiając wszystkie". Idąc wreszcie na śmierć, zapowiada wyraźnie, że trzeciego dnia zmartwychwstanie: a po śmierci, okazuje się w żywem ciele i dotykać się pozwala. — Cuda wplatają się najściślej we wszystkie wybitne rysy i czyny tej przedziwnej postaci. Paneś tyle pięknych rzeczy powiedział o charakterze Chrystusa; przyszedłeś pan z nami do konkluzyi, że ewangeliści tej postaci skomponować nie mogli; otóż uważ pan, że to wszystko, co pana i nas w Chrystusie zachwyca, wiąże się z cudami. Lituje się on nad tłumem — ale mnożąc cudownie chleby; dobrze czyni wszystkim, co się do niego zbliżają — ale cudami zdrowie szafując; odpuszcza cudzołożnicy — ale czytając w duszy oskarżycieli ich grzechy i wy-

pisując je na piasku; wielkoduszny jest przed sądem Kaifasza — ale grożąc swem przyjściem na obłokach w dniu ostatecznym. Słowem, wyrwij pan z kartek ewangelicznych cuda, a wszystko się rozerwie, i nic panu w rękach nie zostanie, tylko strzępy nie trzymające się kupy.

Szkodaby była dla świata, nieprawdaż? Ale nietylko szkoda, lecz niemożliwość. Jeżeli ewangeliści skomponowali cuda, to skomponowali całego nam znanego Chrystusa. Jakim zaś był poza tem, i czy był prawdziwy Chrystus, tego ani w przybliżeniu odgadnąć nie można. I wrócilibyśmy do owego już odrzuconego absurdu, trudniejszego do przyjęcia od wszelkich cudów: że ewangeliści są twórcami Chrystusa.

DEVILLE.

I czemubyśmy się wzbraniali, panie Leroy, uznać cuda Chrystusowe? Czy one pod jakimkolwiek względem nas odpychają? Dla rozumu, który uznał ponad światem Boga, cud nie przedstawia niemożliwości — o tem, sądzę, jużeśmy się przekonali; a dla serca, dla uczucia, dla zmysłu moralnego, dla estetycznego nawet, dla całej duszy, czy cuda Chrystusa nie są owszem pociągające?

Cuda, o których czytamy w wrzekomych księgach świętych innych religij, są to cudactwa bezsensowne, bez możliwego związku z światem rzeczywistości; przytem są często groźne, okrutne, zgnębiają zwykle przeciwników materyalnie. Znane są hinduskie „awatary“ Wisznu i Siwy, jako typ nieokiełzanej fantazyi i okrucieństwa. O poważnym Zoroastrze czytamy, że zasadził cyprys, który w kilka dni do takich wyrósł rozmiarów, iż król Wistaspa wybudował sobie na jego koronie wspaniały pałac. Mądry Budda utworzyć miał pięćset okrętów z ognia. Tenże smoka płomieniem ziejącego zamknął w swej żebraczej kalecie... Takie dziwolągi płodzi wyobraźnia ludzka, gdy grunt rzeczywistości porzuciwszy, puszcza się w krainę cudowności. — Chrystusowe cuda tymczasem wszystkie są racyonalne, piękne, miłe; wszystkie bez wyjątku są dobroczynne, nigdy nie zmierzają do materyalnej korzyści cudotwórcy, ale zawsze do ulgi cierpiącej ludzkości; przeciwników moralnie tylko pokonują.

Cuda, które ludzie udają — i te nawet, które zmyśliwają na rachunek ubóstwianych bohaterów, mają zawsze, w czynie czy w opisie, jakąś dozę szarlataneryi, inscenowania: wszystkie warunki otaczające ustawiają się jak kulisy, mowy się mówią jak do parteru; wszystko świadomie czy instynktowo do tego zdąża, żeby jak najkorzystniej oświetlić cudowność zjawiska. Otóż biorę za świadka pana, który jest literatem i świeżo odczytał Ewangelię: czy jest w cudach Chrystusowych choćby odrobina szarlataneryi?

LEROY.

No nie, szarlataneryi niema.

DEVILLE.

Chrystus jest tak skromny, że aż zdaje się ukrywać ze swemi cudami; zakazuje uczniom o nich mówić, oddala świadków niepotrzebnych, umniejsza cuda, które ma zrobić. Sprowadzony do zwłok córki Jaira, zastaje izbę pełną płaczących. „Nie płaczcie, mówi, albowiem nie umarła dzieweczka, ala śpi. I śmieli się z niego (dodaje ewangelista) wiedząc, że umarła". A kazawszy wszystkich prócz rodziców oddalić, „wszedł do izby, ujął rękę dzieweczki, i dzieweczka wstała". Czy tak się popisuje szarlatan?

A właściwie mówiąc, Chrystus ani ukrywa swych cudów, ani się niemi nie popisuje; tylko z taką je czyni prostotą, z taką spokojną pewnością siebie, jak gdyby to były czyny najpowszedniejsze. Jednem słowem, Chrystus czyni największe cuda n a j n a t u r a l n i e j w świecie; daje wzrok ślepym, życie umarłym, tak jak my dajemy gruszkę dziecku — co pokazuje, że ta moc nadprzyrodzona jest mu własna, w nim immanentna, jak w nas natura nasza. A ta naturalność w cudowności, ani się udać nie da w życiu, jak każdy czuje, ani przyśnićby się nie mogła takim pisarzom jak ewangeliści — gdyby na nią nie patrzyli — jak sam pan Leroy poświadczy.

LEROY.

Ja nie taję, że stoję wobec nierozwiązalnej dla siebie zagadki.

MISS WILSON.

Panie Leroy! jeżeli ta moc cudotwórcza Chrystusa razi pana swym ogromem, to przypatrzmy się jej z odwrotnej strony: o ile ona jest ograniczoną i bezsilną. Mnie to bardzo uderzyło, kiedym coś o tem przeczytała w jakiejś bezimiennej angielskiej książce. Chrystus okazuje potęgę nadprzyrodzoną, rozkazuje chorobom i żywiołom — a ludzie nie uciekają od niego, nie boją się do niego się cisnąć, uprzykrzać mu się, ważą się nawet nastawać na jego życie! Jakże to być może? Może i bali się go z początku, jak ci Gerazeńczycy, którzy na widok cudu prosili aby się od ich wybrzeży oddalił. Ale wnet się przekonali, że ta moc, tak potężna dla dobra drugich, jest jakby bezbronna i bezsilna dla siebie. Ten cudotwórca, który paralitykom moc chodzenia daje, sam siada z utrudzenia nad studnią Jakubową; ten, który chleby rozmnaża, sam bywa głodny i posyła uczniów kupować żywność w mieście. Nigdy się nie broni, nigdy nie karze swą cudowną mocą — choć i prorocy i nawet apostołowie to nieraz czynili. Raz tylko pokazuje, że i moc uśmierzania posiada; ale wybiera na to — jak na delikatność jego serca przystało — istotę bez czucia, figowe drzewo, które uschło na jego rozkaz. Jest to więc potęga bez granic, straszliwa, którą jednak jej własna dobroć wiąże i rozbraja — i w ręce ludzi oddaje.

I to jest coś, co bezwarunkowo miarę człowieka przewyższa — jeżeli nie największy, to pewnie najpiękniejszy z cudów.

KSIĄDZ.

Tak jest; to scharakteryzowanie cudów Chrystusowych przez panią i przez pana Deville jest bardzo trafne i znaczące. Zupełnie inaczej wygląda moc nadprzyrodzona, którą sobie ludzie obłudnie przypisują, inaczej ta, którą Bóg świętym ludziom niekiedy użycza, a jeszcze inaczej ta, którą Bóg wcielony posiada jako własną. U pierwszych, jakeście panowie dobrze powiedzieli, czuć pozę; u drugich znać pokorną niepewność siebie, wysilenie modlitwy, aby Boga przychylić, troskliwe oddawanie Bogu całej chwały. Piotr, mając wskrzesić Tabitę, modli się przy ciele na klęczkach; Paweł leży krzyżem na ciele młodziana, który się

zabił spadając z okna w Troadzie. Chrystus żadnego, ani fizycznego ani moralnego nie okazuje wysiłku; zwyczajnie nawet nie wzywa Ojca; kiedy zaś to czyni, jak przy wskrzeszeniu Łazarza, to modlitwa jego jest tylko dziękczynieniem. Cuda swoje nazywa on sprawami Ojca, żeby zaznaczyć ich boskość, ale zarówno i jeszcze częściej nazywa je sprawami swojemi. Czyni je czasem za dotknięciem, żeby objawić życiodajną moc swego ciała; ale najczęściej czyni je jednem słowem, rozkazem: rozkazuje chorobom, rozkazuje wiatrom i morzu, rozkazuje śmierci — co żywcem przypomina styl Stworzyciela: „Niech się stanie światło — niech się stanie firmament — niech zrodzi ziemia — i stało się tak“. Rozkaz jest najwłaściwszym w ludzkim języku wyrazem czynu twórczego, który jest aktem woli wszechmocnej; otóż cuda Chrystusa są z tym czynem równorzędne.

HAINBERG.

Ksiądz więc sądzisz, że cuda Chrystusa ściśle dowodzą jego Bóstwa?

KSIĄDZ.

Sądzę, że sposób, jakim Chrystus cuda czyni, tylko boskiej osobie może być właściwy. W każdym zaś razie są one boską gwarancyą dla jego nauki.

MISS WILSON.

Mnie się zdaje, że — pomijając nawet jego cuda — każde niemal jego słowo z Ewangelii z osobna wzięte, promienieje boskością, a zupełnie niemożliwe jest na ustach prostego śmiertelnika. Jakiż, proszę, człowiek mógłby powiedzieć, co Chrystus np. mówi do Marty, płaczącej nad grobem brata: „Ja jestem zmartwychwstanie i życie; kto wierzy we mnie, chociażby umarłym był, żyć będzie“...? Przez jakie usta ludzkie, przez czyją myśl mogłyby przejść słowa: „Ja, światłość, przyszedłem na świat, aby każdy, który wierzy we mnie, nie chodził w ciemnościach“...? Albo te cudowne błogosławieństwa, dla stanów duszy, których świat przedtem ani z imienia nie znał? — albo ta niezrozumiała

i po ludzku niedorzeczna przepowiednia, dana uczniom na pożegnanie: Będziecie mieli ucisk na świecie, będziecie wyłączeni z bóżnic, bici, zabijani — „ale ufajcie, ja zwyciężyłem świat“...? Nie umiem ja dosyć wysłowić tego co czuję, ale świadomą jestem, że jest w tych słowach jakaś nieskończona mądrość, piękność, moc, majestat, który przechodzi wszystko co ludzkie, co stworzone.

DEVILLE.

Tak jest; w takich słowach Chrystusowych tkwi pierwiastek nieskończoności. Ale nie każdy do tego doszedł, żeby to bezpośrednio widział; a temu co nie widzi, wytłumaczyć tego nie można — bo lepszych słów na to nie mamy. Każdy jednak, przynajmniej w dziejowych skutkach tych słów sprawdzić może, że w nich coś boskiego tkwiło. Co za skuteczność miały słowa największych myślicieli ludzkości? Były to ogniki na moczarach, które błysnęły na chwilę, nic nie ogrzały, żadnego życia nie tchnęły. Każde zaś słowo Chrystusowe było płodne i życiodajne. Możemy po szlakach historyi obserwować kiełkowanie i owocowanie każdego. Z tego słowa zrodzili się męczennicy, z owego dziewice, z trzeciego dobroczynne instytucye; z innego wyłoniła się w swoim czasie zasadnicza konstytucya ludzkości, odróżniająca co cesarzowi od tego, co się Bogu należy; z innego znów dziś kiełkuje przynajmniej myśl wszechbraterstwa ludzi. A jak wiele jeszcze takiego kwiecia i owocu w ludzkości z tego nasienia się wykluje, któż powiedzieć zdoła?

MISS WILSON.

Bardzo dobrze; ale jeszcze nie daję za wygraną, żeby słowa Chrystusowe nie były, dla każdego, co je zechce rozważyć, oczywiście boskiemi. Czy nie jest to, proszę pana, słowem oczywiście boskiem: kazać siebie miłować nade wszystko? Ludzie każą żeby ich słuchano, zmuszają do tego, żeby się ich bano, tęsknią czasem za tem, żeby ich kochano — ale czy każą? Czyby miał jaki sens taki rozkaz? A cóż dopiero powiedzieć o żądaniu dla siebie od wszystkich ludzi miłości nade wszystko? To jest nietylko bluźnierstwo, ale szaleństwo, które do głowy żadnemu człowiekowi przyjść nie

może. — Otóż absolutnie takiej miłości żąda Chrystus: „Kto miłuje ojca albo matkę więcej jak mnie, nie jest mnie godzien; a kto miłuje syna albo córkę więcej jak mnie, nie jest mnie godzien". A jeszcze energiczniej u drugiego ewangelisty każe, aby wszystkie miłości naturalne były niemiłością, jakby nienawiścią, wobec najwyższej miłości jemu należnej.

KSIĄDZ.

Ja trzymam z panią; i przypuszczam, że im więcejby się kto wmyślił w Ewangelię, tem więcejby takich słów Chrystusa, absolutnie boskich, spostrzegł. Do nich zaliczę także, co może panów zdziwi, afirmacyę własnej boskości. Trzeba wiedzieć, że jest nieskończona różnica między taką afirmacyą wobec pogan, a takąż wobec monoteistów. Wśród pogaństwa zdarzali się odurzeni wszechwładztwem monarchowie, którzy sobie bóstwo przywłaszczali. Było to bluźnierstwem i szaleństwem, ale jeszcze jakoś wypowiedzieć się dawało, bo być bogiem w pojęciu pogan, znaczyło tylko być jednym z wielu bogów, trochę wyższym od ludzi. Ale wobec Żydów, którzy byli monoteistami, którzy pojmowali Boga tak samo jak my, jako Stwórcę nieskończenie doskonałego, nauczać, że się jest Bogiem, żądać dla siebie czci boskiej — jest to coś tak zawrotnego, tak nieskończenie wielkiego, że pomyśleć, iżby prosty człowiek na to się odważył... miał tak olbrzymią pychę... tak nadludzką czelność... w żaden sposób się nie da. Aż mrowie przechodzi o czemś tak przepaścistem myśląc!

SIEMIONOW.

Przepraszam, że na tym punkcie zakładam protest. Czem był Chrystus, tego nie wiem. To jedno mi pewna, że nie był istotą naszej miary. Nie wątpię też, że posiadał jakąś moc nadprzyrodzoną, której dla dobra ludzkości używał. Z tem wszystkiem jednak nie twierdził o sobie, że jest Bogiem.

KSIĄDZ.

Otóż tak wy czytacie Ewangelię, panowie neo-chrześcijanie, Tołstoiści *et consortes!* Wyczytujecie w niej nauki moralne,

które mają przywilej wam się podobać; a dogmatu, który w niej stoi jako fundament całej budowli, jako ustrój kostny tego organizmu, jakoś umiecie nie spostrzegać wcale. Chrystus często naucza o miłości, prawda; ale jeszcze częściej wymaga wiary i o niej poucza. O swojem Bóstwie w szczególności mówi Chrystus na każdej niemal karcie Ewangelii, do uczniów, do tłumu, do faryzeuszów. A jak im mówi? — sposobem najzrozumialszym, jaki być może. Chcielibyśmy może, żeby im powiedział: Ja jestem Bogiem? Ale pomyślmy, coby się działo, gdyby zaczął od takiego powiedzenia. Byłoby to słowo miażdżące, olśniewające, jak blask południowego słońca prosto w słabe oczy bijący: a każdy z słuchaczów musiałby je źle zrozumieć. Poganie, którzy też czasem przysłuchiwali się mowom Chrystusa, musieliby rozumieć, że się uważa za jednego z wielu bogów; Żydzi zaś, monoteiści, jak powiedziałem, zrozumiećby musieli, że ten człowiek zaprzecza jedności Bóstwa, lub szalenie uwłacza Najwyższej Istocie, która króluje w niebie.

Otóż Chrystus z niezrównaną mądrością przekłada tę prawdę stopniowo i jakby po kawałku, określając w taki sposób swój stosunek do znanego już słuchaczom Ojca Niebieskiego, żeby zrozumieli, iż on, nie drugie sobie przypisuje Bóstwo, tylko to samo, które ma Ojciec i które jemu odwiecznem rodzeniem udziela. Więc najprzód nazywa się ciągle Synem tego Ojca, Synem Boga. Ta nazwa mogła z początku nie być głębiej rozumianą, gdyż wogóle sprawiedliwi w Piśmie dziećmi bożemi się zowią; ale wnet spostrzedz się musiano, że on nie w tem moralnem znaczeniu, ale w jakiemś innem, sobie własnem, realnem znaczeniu mieni się Synem Boga. Najprzód, niesłychaną dla Żydów było rzeczą (niema na to jednego przykładu w całem Piśmie) żeby pojedyńcza osoba, inna niż Chrystus, nazwaną była Synem Boga: co innego, kiedy się używa ta nazwa w liczbie mnogiej, to już przestrzega monoteistów, że znaczenie jest przenośnem. Potem Chrystus, jakkolwiek często mówi o swojem synowstwie i często o naszem, jednak nigdy swego i naszego stosunku do Ojca pod jedną wspólną nazwę nie podciąga: mówi często „Ojciec mój“, mówi też „Ojciec wasz“ — nigdy: Ojciec nasz: mówi: „bądźcie synami

Ojca waszego", nigdy: jesteśmy synami — bo w zupełnie innem znaczeniu bierze te dwa synowstwa.

MISS WILSON.

Mówi jednak w pacierzu: „Ojcze nasz".

KSIĄDZ.

Nie mówi tego wspólnie z nami, tylko nam mówić każe: „Wy zaś tak się modlić będziecie: Ojcze nasz..." Dosyć, że sposób, jakim Chrystus wyróżniał i charakteryzował swoje synowstwo boże, musiał być bardzo dobitny, kiedy czytamy w Ewangelii, że „dlatego szukali Żydowie go zabić, iż Boga powiadał być Ojcem swoim, czyniąc się równym Bogu".

LEROY.

Mogło to być nieporozumienie.

KSIĄDZ.

Chrystus, jak widać z wielu miejsc Ewangelii, nieporozumienia w rzeczach ważniejszych prostował; a to, które najgwałtowniej sprostowania wymagało, jeżeli nieporozumieniem było, coraz więcej potęgował. Jak się zachował np. wobec sławnego wyznania Piotra, które temuż zjednało godność opoki Kościoła? Na zapytanie Chrystusa: kim go być mienią ludzie, odpowiadają apostołowie, że go mają za jednego z proroków — więc sług bożych, dzieci bożych w moralnem znaczeniu; na pytanie zaś, co oni sami o nim trzymają, Piotr odpowiada: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego". A co na to Chrystus? — czy co prostuje w tych słowach? Owszem, sankcyonuje je uroczyście, świadcząc, że to wyznanie nie skądinąd, tylko z natchnienia Ojca Niebieskiego pochodzi, i nagradzając Piotra wyjątkowemi darami.

SIEMIONOW.

Przyznaję, że to synowstwo boże, które sobie Chrystus przypisuje, jest czemś wyjątkowem, co go od ludzi zupełnie

wyróżnia; ale dlaczegóż ma koniecznie być, jak wy teologowie chcecie, jednością w Bóstwie, boskością?

KSIĄDZ.

Dlatego, że Chrystus bliżej to synowstwo swoje określa, przypisując sobie najistotniejsze atrybuty boskie jedne po drugich i tłumacząc, jak mówiłem, że je ma od Ojca i razem z Ojcem. I tak, wieczność przypisuje sobie, kiedy mówi Żydom: „Pierwej niż Abraham się stał, jam jest“ — o co go też kamienować chcieli jako bluźniercę; — albo gdy przed śmiercią mówi do Ojca: „Wsław mię chwałą, którą miałem u Ciebie pierwej niźli świat był“. Przypisuje sobie wszechmoc, kiedy mówi: „Jako Ojciec wskrzesza umarłe i ożywia, tak i Syn ożywia, które chce“. Tłumaczy zaś szczegółowo, jak wspomniałem, że on, Syn, nie ma odrębnego działania od Ojca; bo wiedza, moc i wszelki czyn od Ojca jest w Synie. Czy niema tu jakiej Biblii pod ręką żebyśmy to mogli w samym tekście zobaczyć?

DEVILLE.

Ot, tu właśnie jest Biblia.

KSIĄDZ.

Otwórzmy np. piąty rozdział św. Jana. Chrystus uzdrowił chorego nad sadzawką Betsaida, w szabat, i kazał mu ponieść łoże swoje. Żydzi gorszą się tym czynem, który uważają za naruszenie szabatu. Chrystus mówi im na to: „Ojciec mój dotąd działa i ja działam“. — W tych słowach Żydzi tak wyraźnie rozumieją, że Chrystus identyfikuje swoje działanie z boskiem, że zaraz dalej czytamy, co przed chwilą przytoczyłem: „Dlatego tedy więcej szukali Żydowie zabić go, iż nietylko gwałcił szabat, ale też Boga powiadał być Ojcem swoim, czyniąc się równym Bogu“. — Odpowiada im na to Chrystus, że krytykując jego czyny, krytykują Boga, którego czcicielami się mienią; a to dlatego, że on, Syn, nie ma i nie może mieć odrębnego działania od Ojca: „Zaprawdę mówię wam: nie może Syn sam od siebie nic czynić, jedno co ujrzy Ojca czyniącego; albowiem cokolwiek

On czyni, to i Syn także czyni". — I stąd dalej mówi, że: „wszystek sąd Ojciec dał Synowi, aby wszyscy czcili Syna tak, jak czczą Ojca". — I dalej, że: „umarli usłyszą głos Syna Bożego i usłyszawszy ożyją; albowiem jako Ojciec ma żywot sam w sobie, tak dał i Synowi, aby miał żywot w sobie". Innemi słowy: Syn umarłych wskrzesza: bo boski atrybut: być źródłem i dawcą życia, od Ojca przechodzi w Syna.

Czy to nie jest jeszcze dość dobitne wyrażenie identyczności swojej z Bogiem Ojcem? Czy chcemy, żeby nam Chrystus wyraźnie powiedział, że jest jedno z Ojcem; że jest w Ojcu a Ojciec w nim? Otóż to wszystko słowo w słowo znajdziemy, przewróciwszy parę kartek, w dziesiątym rozdziale. Naucza tu Chrystus o dobrym Pasterzu i kończy takim wnioskiem: Nikt mi nie wydrze mych owiec z ręki mojej, bo nikt nie może ich wydrzeć z ręki Ojca mego, Boga, a „ja i Ojciec jedno jesteśmy". Na to znowu Żydzi porywają się do kamieni — „dla bluźnierstwa, jak mówią, a iż ty, będąc człowiekiem, czynisz się sam Bogiem". — Chrystus zaś temu nie przeczy, tylko pokazuje im najpierw *a minori*, że nierozważnie się unieśli; a potem wraca do afirmacyi: „Ojciec jest we mnie a ja w Ojcu". Co słysząc Żydzi, jeszcze raz chcą go pojmać — aż on niepostrzeżenie „uchodzi z ręku ich".

Ale przejdźmy już do tej niezrównanie pięknej mowy pożegnalnej przy ostatniej wieczerzy, kiedy i apostołowie mieli to wrażenie, i my je mamy, że Chrystus już mówi wszystko jasno, bez podobieństw i figur. Daje on wtedy wzniosłe nauki o miłości, ale i wiary nie pomija i o swojej jedności w Bóstwie z Ojcem nie zamilcza. „Wierzycie w Boga, mówi na początku czternastego rozdziału, i we mnie wierzcie". Tylko Bóg ma prawo kazać wierzyć w siebie, bo tylko Bóg jest przedmiotem wiary religijnej; Chrystus więc przywłaszcza tu sobie prawa boskie, kiedy każe wierzyć w siebie. Sto razy już to czynił; przed każdem niemal uzdrowieniem pytał: „czy wierzysz?", „czy wierzysz w Syna Bożego?" Tu nadto wyraźnie łączy wiarę, jakiej żąda dla siebie, z wiarą w Boga. — Równorzędne z tem żądaniem wiary

jest żądanie miłości nadewszystko, o którem miss Wilson mówiła; i to drugie jest zarówno dowodem, że Chrystus sobie Bóstwo przypisuje.

DEVILLE.

Pozwolę sobie wtrącić, że niemniej wyłącznem prawem Boga jest odbierać pokłon adoracyi. Najświętsi ludzie ze zgrozą go odpychali: jak Paweł i Barnabasz w Listrach, podobnież Anioł u Daniela i w Apokalipsie. Otóż Chrystus ten pokłon wiele razy, według Ewangelii, przyjmuje, pochwala go. A w słowach, które przed chwilą Ksiądz czytał: „aby wszyscy czcili Syna tak, jak czczą Ojca“, wyraźnie tłumaczy, że ma prawo do identycznej z Bogiem Ojcem adoracyi.

MISS WILSON.

Nie jestem teologiem, ale zdaje mi się, że jest rzeczą zarówno Bogu własną grzechy odpuszczać, dawać żywot wieczny, mieszkać w duszy sprawiedliwego. A to wszystko Chrystus sobie przywłaszcza. Grzechy odpuszcza samowładnie, nawet nieproszony, paralitykowi, Magdalenie. O wybranych swych owieczkach mówi: „A ja żywot wieczny daję im“. Mieszkanie w duszach, łącznie z Ojcem, przypisuje sobie właśnie przy tej ostatniej wieczerzy. „Jeśli kto mię miłuje, będzie chował mowę moją, i Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy, a mieszkanie u niego uczynimy“.

HAINBERG.

To wyrażenie: „będzie chował mowę moją“, mnie, prawnikowi, przypomina, że Chrystus niezaprzeczalnie stawia się jako prawodawca stojący ponad prawem Mojżeszowem, które powszechnie u Żydów za boskie prawo uchodziło. Proszę uważać ton, jakim mówi w swojej nauce na górze: „Słyszeliście, iż powiedziano starym... a ja powiadam wam...“ Niby on tylko uzupełnia to prawo, jednak nie jest to wcale interpretacya podwładnego, lecz samego prawodawcy. Wreszcie, kiedy mu

razu jednego naprzykrzali się faryzeusze z przepisami szabatu, powiedział im niedwuznacznie: „Panem jest Syn człowieczy nawet szabatu“.

KSIĄDZ.

Jednem słowem, przypisuje sobie Chrystus wszelakie prawa boskie; jakżeż tu wątpić, że sobie Bóstwo przypisuje? Ale wróćmy jeszcze do naszego rozdziału z ostatniej Wieczerzy. Po owem żądaniu wiary, Filip go interpeluje: „Panie, ukaż nam Ojca, a dosyć nam“ — Chrystus odpowiada: „Przez tak długi czas jestem z wami, a (jeszcze) nie poznaliście mię! Filipie, kto mię widzi, widzi i Ojca; jakoż ty (więc) mówisz: ukaż nam Ojca? Nie wierzycie, że ja w Ojcu a Ojciec jest we mnie? Słowa, które ja do was mówię, nie od siebie samego mówię; lecz Ojciec we mnie mieszkający, on czyni uczynki (tj. cuda, dowodzące prawdy słów moich). Nie wierzycie, iżem ja w Ojcu a Ojciec we mnie jest? wżdy dla samych uczynków (boskich) wierzcie“.— W końcu, mówiąc o Duchu Św., który ma pocieszać uczniów po jego odejściu, tłumaczy, że ten Pocieszyciel od Ojca pochodzi, a przez to i od niego bierze; a to dlatego, mówi, że „wszystko co ma Ojciec, to moje jest“. — Czy może być wyrazistsze sformułowanie jedności w Bóstwie, jak jest w tych słowach?

Po takiem określeniu przez Chrystusa, wszelkiemi sposobami, aż do oczywistości, znaczenia, w jakiem mienił się Synem Bożym, zrozumiały jest wielki dramat, który się odegrał przed trybunałem Kaifasza. Chrystus stał oskarżony przed sanhedrynem, najwyższą podówczas władzą narodu. Arcykapłan zapytał go z urzędu: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abyś nam powiedział, jeśliś ty jest Chrystus, Syn Boga błogosławionego?“ — A Jezus mu rzekł: „Jam jest“ — i zaraz dodał, że tego samego Syna człowieczego, którego dziś sądzą, „ujrzą siedzącego na prawicy mocy Boskiej“, gdy świat sądzić przyjdzie.

Wątpliwości być nie mogło o znaczeniu tego zeznania; trzeba było, albo upaść na kolana, albo rozedrzeć swe szaty z oburzenia na ohydne bluźnierstwo, i skazać wedle Zakonu bluźniercę na śmierć. Najwyższy trybunał żydowski obiera to osta-

tnie — i Jezus idzie na śmierć za to właśnie, że się czyni Synem Bożym, Bogiem z Boga. To jest i formalnie prawna i rzeczywista przyczyna jego śmierci. Ta afirmacya, powtarzana w ciągu jego życia, wytworzyła, jakeśmy widzieli, tę irytacyę starszyzny żydowskiej, która przygotowała ostatni zamach, i ta sama afirmacya uroczyście powtórzona przed sanhedrynem, sprowadziła wyrok śmierci. — I nikt nie ma więcej prawa wątpić o tem, czy Chrystus afirmował swoje Bóstwo, kiedy za tę afirmacyę umarł.

SIEMIONOW.

To cóż ja teraz biedny pocznę z tym Chrystusem — kiedy nie można go oczyścić od pretensyi do Bóstwa?!... Czciłem go i kochałem jako cudo ludzkości — a teraz wyrywacie mi go z serca, z duszy!...

LEROY.

Ja o tem samem myślę od kwadransa — i zaczynam teraz rozumieć rozpaczliwą próbę niektórych, żeby całą egzystencyę Chrystusa między mity włożyć — i mieć z nią spokój. Ale i to się nie da — wiem o tem.

KSIĄDZ.

Nie, panowie, nie robimy wam krzywdy. Wyrywamy wam z serca bożka, własnej kreacyi, a oddajemy wam Boga, który da wam więcej niż spokój, bo szczęście. Tylko nie stawajcie uporczywie w pół drogi.

Spółcześni Chrystusa podzielili się na trzy zdania o nim: krewni jego i blizcy z Nazaretu przypuszczali, w początkach jego nauczania, że jest waryatem, i chcieli go związać. Starszyzna żydowska osądziła, że jest człowiekiem przewrotnym, który przeciw Bogu z złym duchem trzyma. Uczniowie wreszcie padli mu do nóg wyznając: „Pan mój i Bóg mój“. Każde z tych trzech zdań ma swoją logikę i jaki taki sens. Czwarte, dziś wymyślone, że Chrystus udawał a był święty, oszukiwał a zbawiał — żadnego, jakeśmy widzieli, sensu nie ma, i jest zgoła niemożliwe. Trzeba więc wybierać między trzema pierwszemi. Otóż pierwszego, dziś,

po wszystkiem co Chrystus zrobił, chyba waryatby się trzymał. Drugiego, wierzajcie mi panowie, po dziś dzień więcej ludzi się trzyma niżby się mogło zdawać. Nie mogąc kochać Chrystusa, nienawidzą go piekielnie, jak gdyby był inkarnacyą zła. Jednakowoż to zdanie jest tak potworne, że ci ludzie ani sami przed sobą przyznać się do niego nie ważą. — Nic więc nie zostaje tylko z uczniami Chrystusa wyznać mu, że jest Panem naszym i Bogiem naszym.

DEVILLE.

Bardzo słusznie; trzeba się zdecydować: wobec innych wypadków historycznych, wobec odkryć naukowych, możemy jak chcemy zachować się obojętnie, możemy sobie powiedzieć: nie wchodzę w to, czy jest to prawda, czy nieprawda, niech się o to inni troszczą! Wobec Chrystusa tylko tak długo możemy to stanowisko obojętne zachować, póki nic albo prawie nic o nim nie wiemy. Skoro raz spotkał się człowiek z jego wpływem w historyi, skoro choćby raz przeczytał dobrze Ewangelię — to już musi iść dalej, musi odpowiedzieć na pytanie, które Chrystus stawia ludzkości: „Wy kim mię być powiadacie?“ Usunąć tego ogromnego zjawiska, jakkolwiekby nam zawadzało, nie można: bo nie można pomyśleć, jakeśmy widzieli, żeby go ewangeliści z niczego stworzyli. Przekręcić tego zjawiska również nie można: bo jak przekręcić? przypuścić, że Chrystus był zręcznym szalbierzem — niepodobna! przypuścić, że był szlachetnym i świętym, ale bez cudów i bez Bóstwa — także niepodobna, kiedy cudotworstwo i afirmacya własnego Bóstwa są nierozdzielne od danej w Ewangelii postaci. Przypuścić wreszcie w jakiejkolwiek formie, że był prostym człowiekiem, a resztę dokomponowali uczniowie — jest to wrócić do najniemożliwszej hipotezy: kreacyi przez ewangelistów Chrystusa ewangelicznego, czyli tego wszystkiego co w tej postaci nas zdumiewa, jako przechodzące wszelki pomysł ludzki. — Tej oto małej książki uprzątnąć z drogi nie możecie! Ona jest — i niema żadnego innego wyjścia, tylko uwierzyć i paść na kolana.

MISS WILSON.

Tak! uwierzyć i paść na kolana przed Nim. Czy niedosyć boskich piękności widzieliśmy dzisiaj? — A jak wiele ich opuściliśmy, które cisną się do myśli! Jakże dobrze rozumiem w tej chwili ten rozpaczliwy, a śliczny wykrzyknik św. Jana, który napisawszy swą Ewangelię (najpiękniejszą książkę na świecie) i zapewnie odczytawszy ją, znalazł ją tak niedostateczną wobec przedmiotu, który miał w duszy — iż wyrwało mu się z serca zdanie: że gdyby się miało wszystko o Jezusie napisać, toby chyba świat tych ksiąg nie pomieścił!

SIEMIONOW.

Cóż więc teraz począć?

KSIĄDZ.

Pójść i pomodlić się do Niego.

SIEMIONOW.

Tak... chyba to jedno... pomodlić się do Niego.

LEROY.

A ja przynajmniej odmówię modlitwę, której nas nauczył.

Ks. Maryan Morawski.

NOWE ODKRYCIA W KATAKUMBIE ŚW. PRYSCYLLI.

Historya cmentarza. — Najważniejsze jego epitafy. — Krypta Madonny. — Hipogeum Glabryonów. — Kaplica grecka. — Msza w katakumbach. — Nagrobek Liberyusza.

Chcąc zapoznać publiczność naszą z cennemi odkryciami, świeżo dokonanemi w katakumbie św. Pryscylli, musimy najprzód dać wyobrażenie o całości tej katakumby.

Po lewej stronie drogi Salaryjskiej Nowej, blizko trzeciego słupa milowego[1] od miasta, rozciąga się pod winnicą, będącą dziś własnością hr. Telfenera, jeden z największych i najważniejszych dla historyi Kościoła, dogmatu i sztuki, cmentarzy chrześcijańskich. Listy ogłoszone pod imieniem Pastora i Tymoteusza, kompilatorzy historycznych martyrologiów, zapiski pielgrzymów z VII. wieku i następnych, umieszczały tu groby senatora Pudensa, jego matki Pryscylli i córek: Pudencyany i Praksedy, męczenniczki Pryski, św. Filipa i Feliksa, synów św. Felicyty, umęczonych w r. 162, kapłana Symetryusza i wielu innych męczenników z czasów Antonina Pobożnego, świętego Krescencyona ślepego, towarzysza męczeństwa św. Wawrzyńca dyakona; wreszcie groby papieży: Marcelina i Marcelusa, z czasów Dyoklecyana. Po zwycięstwie Konstantyna W., papież Sylwester poświęcił nad tym cmentarzem obszerny kościół, który z czasem od jego imienia otrzymał nazwę stacyi „u św. Sylwestra“. Tu też grób sobie obrał ten papież, rozpoczynający nową epokę Kościoła, a po

[1] Mila włoska odpowiada mniej więcej kilometrowi.

nim spoczęli w bazylice, jego następcy na stolicy Piotrowej: Liberyusz, Syrycyusz, Celestyn i Wigiliusz. Od IV. wieku i przez czasy następne, podziemia św. Pryscylli są jednem z najbardziej przez czcicieli męczenników odwiedzanych sanktuaryów rzymskich.

W wieku VI. nawiedziła te podziemia straszna katastrofa, której pamięć przechowała się w *Liber Pontificalis* [1] i na kamieniu umieszczonym w cmentarzu przez papieża Wigiliusza, ku uwiecznieniu tego smutnego zdarzenia. Czytamy na tym kamieniu, że żołnierze Witigesa, szukający po grobach skarbów ukrytych, wdarli się do cmentarza, rozbili sarkofagi i epitafy, nie oszczędzając nawet zwłok męczenników. Kiedy burza minęła, Wigiliusz zebrał rozrzucone święte kości, zrestaurował groby i z pozostałych fragmentów dawnych epigramów, któremi papież Damazy ozdobił był miejsce spoczynku znakomitszych Świętych, zrobił kopie, w części do dziś dnia zachowane [2]. Niemniej strasznego spustoszenia dokonali tu w r. 755 Longobardowie pod dowództwem króla Aistulfa, który jako zdobycz wojenną uniósł z sobą mnóstwo ciał Świętych. Po napadzie Longobardów przenoszą papieże z obawy nowych profanacyj resztki relikwij do bazylik miejskich, przez co od IX. w. począwszy, słynne to niegdyś *Campo Santo* zupełnie idzie w zapomnienie. W XV. wieku zwiedził je ze swymi akademikami słynny Pomponiusz Laetus — *Pontifex Maximus regnans*, papież kościoła neopogańskiego, jak się sam nazwał na

[1] *Lib. Pontificalis:* In Silverio, § 5.

[2] Kładę tu w całości ciekawy ten dokument historyczny, ryty z rozkazu Wigiliusza na marmurze, a zachowany w części na trzeciej tablicy zbioru napisów w portyku pałacu lateraneńskiego:

CUM PERITURA GETAE POSUISSENT CASTRA SUB URBEM
MOVERUNT SANCTIS BELLA NEFANDA PRIUS
ISTAQUE SACRILEGO VERTERUNT CORDE SEPULCRA
MARTYRIBUS QUONDAM RITE SACRATA PIIS.
QUOS MONSTRANTE DEO DAMASUS SIBI PAPA PROBATOS
AFFIXO MONUIT CARMINE IURE COLI.
SED PERIIT TITULUS CONFRACTO MARMORE SANCTUS
NEC TAMEN HIS ITERUM POSSE PERINE FUIT
DIRUTA VIGILIUS NAM MOX HAEC PAPA GEMISCENS
HOSTIBUS EXPULSIS OMNE NOVAVIT OPUS.

napisie, który zostawił w katakumbach [1]. Ale właściwa jej historya nowoczesna zaczyna się dopiero w ostatnim dziesiątku XVI. wieku. Pierwszy zdejmował tu kopie obrazów w r. 1590 Flamandczyk Filip de Winghe. Cztery lata później, bo w październiku r. 1594, rozpoczął w naszym cmentarzu poszukiwania Antoni Bozyusz, właściwy twórca metodycznych badań katakumbowych. „Od tego dnia — pisze on w swej *Roma Sotterranea* — powracałem tu po niezliczone razy, aż wszystko dokładnie zbadałem... Smutek napełnia jednak duszę na widok tego spustoszenia, jakiego ślady zostawili wszędzie Longobardowie i inne ludy barbarzyńskie, a w znaczniejszej jeszcze części poszukiwacze *pozzolana*'y". Dalszego dzieła zniszczenia dokonał w początkach XVIII. wieku archeolog Boldetti ze swymi fossorami, tak że katakumba ta opuszczona zatraciła z końcem zeszłego stulecia nawet swe imię pierwotne, otrzymawszy od poblizkiej kaplicy Ukrzyżowanego nazwę *Cimitero del Crocifisso* [2]. Pod tą nazwą publikował też z niej w początkach naszego wieku kilka fresków francuski malarz i badacz starożytności, Seroux d'Agincourt. Systematyczne i prawdziwie umiejętne zbadanie cmentarza zawdzięczamy dopiero komandorowi de Rossi'emu, który tu rozpoczął swoje prace w r. 1851. Od tego czasu odtworzył on jego imię, topografię i historyę, a równocześnie odkrył i objaśnił fundamenta starej bazyliki św. Sylwestra, wystawionej koło r. 330 nad cmentarzem [3].

Takie są krótkie dzieje tego podziemia. Przypatrzmy się teraz, jakie w niem po wszystkich opisanych katastrofach ocalały pamiątki starochrześcijańskie, i czy dokonane w naszych czasach odkrycia potwierdziły stare owe tradycye, wedle których założyły je i spoczęły w niem osoby nawrócone jeszcze przez samych Apostołów? Niepodobna dać w krótkim szkicu szczegółowego

[1] Zob. o nim i jego akademii, która zbierała się w cieniu katakumb: Rossi, *Roma Sotterranea*, t. I, str. 38; t. III, str. 254 sq.; *Inscriptiones christianae*, t. II, cz. I, str. 402.

[2] *Roma Sotterranea*. str. 533.

[3] Plan tej świątyni i jego opis daje de Rossi w *Bulletino di archeologia cristiana* z r. 1890, str. 97 i nast. a tabl. VI—VII.

opisu wszystkich jego skarbów: zwrócę tedy uwagę naszych czytelników przynajmniej na najważniejsze jego epitafy, malowidła i kaplice. Dłuższy nieco ustęp poświęcę freskowi, odkrytemu w początkach ubiegłego roku, a przedstawiającemu Mszę św.

Napisy są częścią malowane miniową farbą na cegłach, częścią rzeźbione w marmurze. Wielka ich liczba — to prawdziwe perły, rzucające całe strugi nowego światła, nietylko na historyę cmentarza, lecz na początki chrześcijaństwa rzymskiego wogóle. Ale niech same za siebie mówią!

Na pierwszem miejscu kładę napis św. Filumeny wymalowany na trzech cegłach:

Kotwica LVMENA Kotwica	PAX TE Kotwica	Kotwica CVM FI Kotwica

Palma

Przy wmurowaniu go w otwór grobowy, fossor, nie umiejący czytać, pomieszał cegły i przez pomyłkę umieścił trzecią na miejscu pierwszej. Cały epitaf opiewa: *Pax tecum Filumena* — pokój z tobą Filumeno! Kotwica, najstarszy symbol chrześcijański i hieroglif nadziei, przychodzi aż pięć razy.

Drugi napis wymalowany na czterech cegłach czerwoną farbą, a przeniesiony z czasem do biblioteki watykańskiej, opiewa:

Gałązka palmowa SEP	TIMI IN PACE	US · MA Kotwica	XIMUS Kotwica

Tu w kotwicy na epitafie oryginalnym najwidoczniej jest ukryty krzyż.

Prześlicznemi, głębokiemi literami wyrzeźbiony jest na tablicy z terrakoty następujący napis:

EUCARPE IN DEO Kotwica	*Eucarpe in Deo* — Eukarpusie, żyj w Bogu!

Pięknością liter i wiekiem przewyższa on cenny napis, znajdujący się w muzeum miejskiem w Marsylii, gdzie jest mowa

o męczennikach Eutychecie i Fortunacie z r. 177, którzy najprawdopodobniej zostali spaleni — *qui vim ignis passi sunt.* Tu i tam kotwica stoi na epitafie pionowo [1].

Następny napis należał najprawdopodobniej do wyzwoleńca cesarskiej rodziny Flawiuszów, albo jego najbliższego potomka:

TITUS FLA
VIUS FE
LICISSIMUS
POSITUS EST

Potwierdzają to piękne i regularne litery, typu używanego w Rzymie w początkach drugiego wieku, starorzymski system trzech imion — Tytus Flawiusz Felicissimus — i klasyczna formuła *positus* (pochowany), zamiast specyficznie chrześcijańskiej: *depositus.*

Z tychże czasów są też epitafy ryte na marmurze:

IUL · TARSAHEC
G · SECUNDINAE COIUGI
DULCISSIME PAX

Juliusz Tarsahec Gaji Sekundynie żonie najsłodszej — pokój!

AURELI · VARRO
DULCISSIME · ET
DESIDERANTIS
SIME · COIUX · PAX
TIBI · BENE · DICTE

Aureliuszu Warronie, najsłodszy i najukochańszy małżonku — Pokój tobie, Błogosławiony!

Nazwa Tarsahec zdaje się być omyłką kamieniarza; prawdopodobnie jest ona urobiona z nazwy ojczyzny św. Pawła: Ταρσεύς albo Τάρσιος. Przymiotnik *benedictus,* błogosławiony, znaczył w słowniku starych chrześcijan tyle co *electus* i *sanctus:* wybrany, święty [2]. Lakoniczna aklamacya apostolska: pokój! — i nieco pełniejsza: pokój tobie! — obok niezwykle pięknej formy liter — pewnem jest kryteryum, że oba napisy są bardzo stare.

[1] Zob. dokładną reprodukcyę napisu Eucarpa w Rossi'ego *Bull. di arch.* 1886, tabl. I.

[2] Mat. XXV, 34. Św. Ignacy Ant. w listach swoich daje ten tytuł εὐλογημένῃ kościołom Efezu i Magnezów.

Ważne dla odtworzenia historyi cmentarza są następujące epitafy:

RATIAE
AQUI
T

Jest to fragment napisu znalezionego w r. 1864, położonego zaś przez jakiegoś Akwilę żonie, matce lub siostrze.

Równie stary jest napis, na którym ojciec skarży się, że zmarły syn zawiódł jego nadzieje, wyprzedziwszy rodzica do grobu:

ALLIUS METHIUS PAter de
CEPTUS AB ALLIO AQUILa fi
LIO Q·V·AN XXXV·M·VIII d..

Alliusz Mecyusz ojciec został zawiedziony przez syna Alliusza Akwilę, który żył lat 35, miesięcy 8, dni..[1]

Klasyczna dykcya napisu, stare *gentilicium* Allius, spotykane rzadko po I. wieku, dowodzą, że musi pochodzić z pierwszej połowy II. wieku. Po raz wtóry spotykamy się już tutaj z imieniem Akwili czy Akwilina.

Jedyny w swoim rodzaju jest duży epitaf, który zamykał grób familijny *(polyandrium)* jakiegoś wyzwoleńca cesarskiego, przełożonego rzemieślników, wyrabiających namioty dla dworu[2]:

.....AUG·LIB·PRAEPOSITUS·TABERNACULOrum
fecit sibi et chrysiDI SORORI BENEMERENTI QUAE VIXIT·ANnis
et.....SORORI·QUAE VIXIT·ANNIS·XVII·SERAPloni avO(?)
qui vixit annis.....XXXV·CHRYSOMALLO·PATRI QUI VIXIT ANnis...
F.....I·FRATRI·QUI VIXIT·ANNIS·XXII·NICENi filiaE
quae vixit.....eX VOLUNTATE·EIUSDEM·CHRYSIDIS

Dowiadujemy się tedy, że ten naczelnik tkaczów cesarskich położył kamień sobie, dwom siostrom, ojcu, bratu, i jak się zdaje, dziadkowi. Szkoda niezmierna, że napis nie jest cały, i że w nim brak właśnie imienia fundatora grobowca, bo dowiedzielibyśmy się zeń, którego to cesarza on był wyzwoleńcem. Klasyczny typ liter rzeźbionych w marmurze i napuszczonych czer-

[1] Części drukowane małym alfabetem są uzupełnieniem Rossi'ego.

[2] Dokładną kopię kamienia podaje Rossi w *Bull. di arch.* r. 1880, tabl. II, nr. 1.

woną farbą, uprawnia nas jednak do przypuszczenia, że między tym *praepositus tabernaculorum*, a tkaczem namiotów i przyjacielem św. Pawła Akwilą, którego imię spotkaliśmy na napisach, istniał jakiś związek. I sam św. Paweł, jak wiemy z Pisma św., wyrabiał namioty. Odkrycie to jest jeszcze tem ciekawsze, że właśnie w cmentarzu św. Pryscylli, matki Pudensa, znachodzimy napisy osób, noszących imię żony Akwili. Tak np. czytamy na fragmentach epitafu:

AUr · PRISCILLAE · SORori . . . . E CONIuGI
. . . . . apRONIAnus

Aurelii Pryscylli siostrze .... żonie .... położył nagrobek Apronianus.

Typ liter jednak jest tu gorszy od poprzednich i wskazuje na wiek III. Później spotkamy się jeszcze z tem imieniem na innym, starszym epitafie.

Z pierwszej połowy II. wieku, zdaje się być nagrobek:

DEO BOLENTE
FELIX
AMPLIATUS

Słowo *Felix* jest tu prawdopodobnie epitetem a nie imieniem; przez co napis znaczyłby tyle co: *quamdiu Deus volet, sanus, salvus Ampliatus (sibi posuit);* czyli: Ampliatus położył sobie kamień grobowy, kiedy z woli bożej był jeszcze przy zdrowiu.

Jeszcze starszy jest grecki epitaf sześcioletniego dziecka Tytusa Flawiusza Onezyfora, syna Tytusa Flawiusza Onezyma:

ONHCIMOC
ΤΙΤΩ · ΦΛΑΒΙΩ
ΟΝΗ-ΙCΙΦΟΡΩ · ΤΕΚΝΩ
ΓΛΥΚΥΤΑΤΩ · ΖΗ
ΕΤΗ-Ι · C

Onezymus położył napis Tytusowi Flawiuszowi Onezyforowi, dziecku najsłodszemu. Żył lat 6.

Prawda, że i w II. wieku zjawiają się takie imiona; ale jeśli zważymy starorzymski system trzech imion, jakoteż że napis znajduje się w najstarszej części cmentarza, to przypuścimy,

że mamy przed sobą osoby z epoki Flawiuszów. Imiona Ampliata, Onezyma, Onezyfora spotykamy w listach św. Pawła [1]. W pobliżu grobu Onezyma czytamy na wapnie grafit Onezyfora, należącego widocznie do tej samej rodziny [2].

Z drugiego znów wieku jest napis:

PRISCUS
ULPIAE HELIADI
COIUG · KARIS
SIMAE · ET AMA
N · TIS · SIME
BENE · MERENTI

Pryskus położył nagrobek Ulpii Heliadzie, żonie najdroższej i najukochańszej, dobrze zasłużonej.

Specyalnością tego cmentarza jest kilka bardzo starych nagrobków z imieniem Piotra. I tak znaleziono w pierwotnej części cmentarza napis wyryty pięknemi literami na marmurze [3]:

ΠΕΤΡΟC

Dwa następne odnosi de Rossi do epoki Antoninów:

ΠΕΤΡΟC ΕΖΗ
CEN ETHEI H
MEPAC NA

Piotr żył lat...

aVREL · PETRO FILio
DULCISSIMO · QUI Vixit...
MENS VII · VIRGO · AVR · M....
AEL · DONATA PARENtes
PELAGIORUM

Aureliuszowi Piotrowi, najdroższemu synowi, który żył... [4]

Rossi zauważa, że imienia Piotra wcale niema w nomenklaturze grecko-rzymskiej, ale że jest ono pochodzenia czysto chrześcijańskiego. Jeśliby się zaś znalazło na jakimś grobie pogan, to byliby to potomkowie chrześcijańskich przodków.

Ostatnie słowo *Pelagiorum* jest imieniem kolegialnem. Nasz

[1] Zob. list do Rzym. XVI, 8; do Filemona I, 10; do Koloss. IV, 9; II do Tymot. IV, 19.

[2] Tamże, tj. do Tym.

[3] Zob. kopię w Rossi'ego *Bull. di arch.* 1886. Supplemento, tabl. IV, nr. 1.

[4] Zob. *Bull.* l. c. tabl. IV, nr. 4.

Aureliusz Piotr był widocznie członkiem bractwa pogrzebowego, które nosiło nazwę kolektywną Pelagiuszów, *Pelagii*, i grzebało się u św. Pryscylli.

Pomijam resztę napisów z imieniem Piotra i zaznaczam tylko, że uwagi godną jest ta okoliczność, iż właśnie w najstarszej części cmentarza św. Pryscylli spotykamy 5 czy 6 razy imię księcia Apostołów, podczas gdy we wszystkich innych katakumbach razem wziętych znajdujemy je zaledwie kilka razy, i to dopiero na grobach III. i IV. wieku. Niemałe to chyba poparcie owej starej tradycyi, wedle której św. Piotr zostawał w blizkich stosunkach z domem Pudensa i członkami jego domowego kościoła.

W ostatnich latach znalazł Rossi następujące cenne napisy miniowe na cegłach, należące do nietkniętych jeszcze grobów męczenników [1]:



W imię Werikunda, wykreślone na dwóch cegłach, wsunięte jest *siglum* M, także czerwoną farbą wymalowane, ale na wapnie łączącem obie cegły. Jest to najwidoczniej skrócenie słowa Μάρτυρ. Monogram ☧, umieszczany na innych kamieniach w środku imienia zmarłego, oznacza, że tenże był wyznawcą Chrystusa — *fidelis Christi* albo *Christianus:* nasze *siglum* kwalifikuje Werikunda jako męczennika.

Rossi nie waha się także w drugim napisie czytać: Μάρτυρ Ἰουστῖνος — męczennik Justyn [2]:



[1] Zob. je u Rossi'ego, *Bull. di archeol.* 1886. Supplemento tab. XII, nr. 1.

[2] *Bull.* l. c. tabl. XII, nr. 4. Może to i grób słynnego filozofa i apologety Justyna?

Dotychczas przytoczone epitafy mają więcej interes historyczny. Godzi się nam teraz poznać choć kilka kamieni dogmatycznych tego cmentarza. Z końca II. w. albo początków III. jest napis ryty na marmurze w literach regularnych i stojący jeszcze na swojem miejscu pierwotnem:

ΟΠΑΤΗΡΤΩΝΠΑΝΤΩΝ ⁘ ΟΫCΕΠΟΙΗCΗC ⁘ Κ ⁘
ΠΑΡΕΛΑΒΗC ⁘ ΕΙΡΗΝΗΝ ⁘ ΖΟΗΝ ⁘ Κ ⁘ ΜΑΡΚΕΛΛΟΝ
CΟΙΔΟΞΑ ⁘ ΕΝ ⁘ ☧ ⁘ Kotwica

Co znaczy: Ὁ πατὴρ τῶν πάντων οὓς ἐποιήσης, καὶ παρελάβης Εἰρήμεν, Ζόην καὶ Μαρκέλλον. Δόξα σοι ἐν Χριστῷ. — Ojcze wszystkich, których stworzyłeś i do siebie przyjąłeś, (przyjmij też do siebie) Irenę, Zoę i Marcella. Chwała ci w Chrystusie!

Modlitwa ta przypomina słowa psalmu LXIV.: *Beatus quem elegisti et assumpsisti, habitabit in tabernaculis tuis* [1]. W pierwszym wierszu formy: ἐποιήσης i παρελάβης są prostemi omyłkami kamieniarza, zamiast: ἐποίησας i παρέλαβες. Już nie mówiąc o doksologii, jest ten kamień i z tego względu bardzo ciekawy, że w nim spotykamy o cały wiek przed Konstantynem monogram Chrystusa ☧, z tą różnicą, że tu jest użyty jako *compendium* czyli skrócenie pisma, tam jako znak tryumfu.

W muzeum lateraneńskiem jest napis, prawdopodobnie pochodzący także z najstarszej części katakumb św. Pryscylli:

FILUMENUS · VARRONIAE
FOTINE · FILIAE · SUAE
Kotwica FECIT
ΔΟΥ ⊞ ☧ ΛΗ

Filumenus położył kamień córce swojej Warronii Fotynie.

Nad siglami Chrystusa: ⊞ ☧ (Ἰησοῦ Χριστοῦ) leży kotwica tak, że stąd powstaje jakby kryptogram znaczący, że: Warronia sługa (δούλη) Jezusa, pokładała całą swą nadzieję (kotwica) w Chrystusie Zbawicielu [2].

[1] *Błogosławiony, któregoś obrał i przyjął: będzie mieszkał w sieniach twoich.* Nasz napis pochodzi z hipogeum Glabryonów, o którem później więcej się powie.

[2] Zob. *Bull. di arch.* 1888—1889, str. 35.

Z pierwotnego jądra katakumb jest kamień typu staropryscylliańskiego, pochodzący więc z II. wieku:



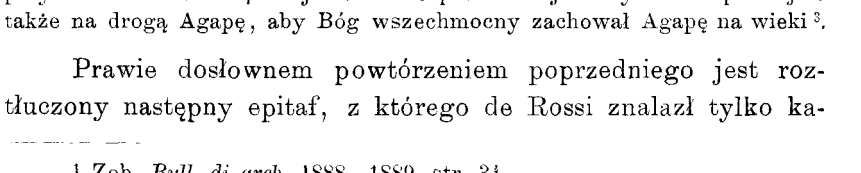
(Ἐν) Ἰησοῦ Χριστῷ Κάρπος δοῦλος θεοῦ: W Jezusie Chrystusie spoczywa Karpos, sługa Boży [1].

Na dwóch cegłach z III. wieku mamy wymalowany czerwoną farbą monogram ☧.

Na innych dwóch cegłach, które zamykały grób w galeryi, czytamy imię Feliksa, a dalej tak zwany krzyż monogramatyczny ☧ [2]:



Ważne, jako świadectwa wiary w istnienie czyśca i skuteczność modlitwy za umarłych, są następujące napisy wierszowane:



Eucharys jest moją matką, Pius ojcem. Was błagam, o bracia, ile razy tu przychodzicie i we wspólnej modlitwie prosicie Ojca i Syna — wspomnijcie także na drogą Agapę, aby Bóg wszechmocny zachował Agapę na wieki [3].

Prawie dosłownem powtórzeniem poprzedniego jest roztłuczony następny epitaf, z którego de Rossi znalazł tylko ka-

[1] Zob. *Bull. di arch.* 1888—1889, str. 34.

[2] Monogram ten w rozmaitych znaczeniach był już używany u pogan, tak w języku łacińskim jak greckim, zanim chrześcijanie użyli go na oznaczenie imienia Chrystusowego. Między innemi oznaczał u pogan cyfrę, to znowu słowa „per", „pedes" i t. d.

Obie cegły znaleziono w pobliżu hipogeum Glabryonów.

[3] Zob. dokładną reprodukcyę w Rossi'ego *Bull. di arch.* 1886. Supplemento, tabl. IX, nr. 1. Ciekawa jest także druga tablica, która również mieściła się na grobie Agapy:

Dixit et hoc Pater omnipotens cum (pelleret Adam)
De terra sumptus terrae traderis hu(mandus).
Sic nobis sita filia est Agape Christ(umque secuta?)

walki, które tu kładę dużym alfabetem. Reszta jest uzupełnieniem z nagrobku Agapy:

. . . . . DVLcESSI . . .
. . . . vos precor o fratres oRARE HVC QVAndo
venitis et precibus totis patrem natumque rOGATIS SIt vestrae
menTIS SA[nctae animae] meMINIssE VT Deus
omnipoteNS . . . . . mARCIAlN saeCVLA SErvet

Słowa Agapy: „o bracia, ile razy się tu schodzicie na wspólne modlitwy", dowodzą, że w tych katakumbach odbywały się liturgiczne zgromadzenia wiernych — *ecclesiae fratrum.*

Czwarty i piąty wiersz przypominają modlitwy kanonu Mszy św. za umarłych, rozpoczynające się od słów: *Memento Domine* — Μνήσθητι Κύριε: pamiętaj Panie! — Kamień ten jest z II. w.

Jeszcze w piękniejszych literach niż napis Agapy jest wyryty epitaf Marcyi. Na kilku fragmentach napisu, jak się zdaje, z III. wieku, zmarła zwraca się również do całego Kościoła z prośbą:

Petatis... aeternum ut vivat in aevum: módlcie się... aby żyła na wieki [1].

W jednej z krypt została na wapnie, które zamykało grób, aklamacya wypisana czerwoną farbą [2]:

Spiritus tuus Requescat

in deo . . .

Imię zmarłego było zapewne wypisane w środku na cegle albo marmurze.

Bis denos septemque annos emensa resurget:
Haec illi per Christum fuerat sic (plena senectus).

Tu rodzice zmarłej Agapy zwracają się do przychodnia słowy: Powiedział i to Ojciec Wszechmocny, kiedy Adama pędził (z raju); z ziemi wzięty, ziemi zostaniesz oddany na pochowanie. Stosownie do tego prawa leży tu nasza córka Agape, uczennica Chrystusa, przeżywszy lat 34, przeznaczonych jej przez Chrystusa.

[1] Zob. *Bull. di arch.* 1886, str. 52.

[2] Zob. tamże str. 58, nr. 50.

Jeszcze w r. 1864 znalazł de Rossi u św. Pryscylli taki napis:

LEONTIP
AX A FRA
TRIBVS
VALE

Tu wszyscy wierni życzą Leoncyuszowi pokoju! A słowo *pax* nie jest prostem pozdrowieniem, jeno znowu modlitwą za jego duszę, i znaczy tyle, co: *Leonti pacem tibi a Deo fratres postulant* — Leoncyuszu, o wieczny pokój proszą dla ciebie bracia. Formułę: *vale*, spotykamy nadzwyczaj rzadko w epigrafice chrześcijańskiej. Paleografia napisu każe go odnieść raczej do III. niż II. wieku [1].

Z tychże czasów zdaje się także być kamień:

Κλ(αύδιος) Φιλωτᾶ γλυκυτάτῳ
Ἀδελφῷ Θεοδώρῳ. Ζῶμεν
ἐν Θεῷ. Ryba wyrzeźbiona

Klaudyusz Filota położył napis najlepszemu bratu Teodorowi. Żyjmy w Bogu Chrystusie.

Ryba — *Ichthys* — w łączności z aklamacyą, znaczy: Żyjmy w Bogu Jezusie Chrystusie, albo też w Bogu i w Jezusie Chrystusie... Klaudyusz spowiada się z uczuć swego serca, i wyznaje, że sam spragniony jest tego życia, którego bratu życzy [2].

Również starszy nad IV. wiek jest drugi napis grecki, znajdujący się jeszcze na pierwotnem miejscu, tylko część została odtłuczona. W nim pozostali r o d z i c e p o l e c a j ą s i ę m o d l i t w o m swego zmarłego dziecka:

. . . . . τοῦ ἰδίῳ υἱῷ Φιλήμονι
(φήσαντι κα)λῶς ἔτη δύο μετὰ
(τῶν σῶν γ)ονέων. εὔχου ὑπὲρ ἡ-
(μῶν μετὰ τ)ῶν ἁγίων.

Własnemu synowi Filemonowi, który dobrze żył dwa lata ze swymi rodzicami. Módl się za nami razem ze Świętymi!

W pierwszej linii brakuje imion rodziców, które odtłuczone zostały. Na napisie oryginalnym, w literę Φ, zaczynającą imię

[1] Zob. *Bull. di arch.* 1864, str. 12.
[2] Zob. tamże r. 1890, str. 142, nr. 4.

zmarłego, jest wpleciona litera grecka P odwrócona w lewą stronę, w czem widoczna jest aluzya do monogramu imienia Chrystusa [1].

Następny napis z III. w. jest podzielony jakby na dwie stronice:

MARINEIM ·	ET
MENTEM	MA
NOS	CRIA
HABETO	NE · F · C
DUOBUS	

Na pierwszej czytamy: *Marine in mentem nos habeto* — Marinusie, pamiętaj o nas w modlitwach; na drugiej: *Macriane filiae carissimae* — Makryanie, córce najdroższej.

Na kawałku wreszcie epitafu z końca II. albo początków III. w. czytamy [2]:

AEMILIAE F . . . .
MATRI . . .
IULIA . . . . FECIT
IN REFRIGERIUM ET IN
PACEM

Emilii . . . . matce, położyła kamień Julia. Niech ci Bóg da ochłodę i pokój!

Mógłbym przytoczyć jeszcze cały szereg ciekawych kamieni z II. i III. wieku [3], ale czas już poznać przynajmniej najgłówniejsze historyczne krypty naszego cmentarza i ukryte w nich najstarsze pomniki starochrześcijańskiej sztuki.

Zaczynam od krypty, której *par excellence* należy się nazwa kaplicy Madonny.

Niewiasta z welonem na głowie, ubrana w tunikę o krótkich rękawach i płaszcz, siedzi pochylona lekko przed siebie i trzyma u piersi nagie dziecko, które główkę zwraca przez ramię ku widzowi. Obok tej grupy stoi młody mężczyzna z rzadkim, ledwie dostrzegalnym pod brodą zarostem ubrany tylko w pallium w ten sposób, że prawa ręka i ramię są całkiem nagie. W ręce lewej trzyma on zwój, z którego jednak zaledwie ślady się zachowały, podczas gdy prawą wskazuje na niewiastę i gwiazdę,

[1] Słowa umieszczone w nawiasie są uzupełnieniem Rossi'ego.

[2] Zob. *Bull.* 1886, str. 128, nr. 212.

[3] De Rossi nagromadził ich całe setki w rocznikach swego Buletynu archeologicznego.

unoszącą się nad dzieciątkiem i matką [1]. Twarz niewiasty jest nieco owalna, na ustach igra lekki uśmiech; rysy ma regularne i szlachetne; oko, oprawione w piękne brwi, jest duże i myślące [2]. Nietrudno się domyśleć, kto ona. Rossi, a za nim wszyscy widzą w tym obrazie Madonnę z Dzieciątkiem Bożem. Rozchodzą się za to zdania archeologów co do znaczenia mężczyzny, stojącego obok Madonny. Garrucci uważał go zrazu za wieszczka Balaama, przepowiadającego „wyjście gwiazdy z Jakóba“ [3], ale później cofnął to zdanie [4], i razem z większością archeologów uznał w nim proroka Izajasza. Zwrócony do Madonny z Dziecięciem, zdaje się prorokować, że: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna“... [5] i znowu: „Maluczki narodził się nam, i Syn jest nam dany“... [6]. Widział on także w duchu jasność tej gwiazdy [7], unoszącej się nad Maryą, a będącej symbolem Dziecięcia, które trzyma na łonie. Z protestantów jedni godzą się na to samo tłumaczenie [8], inni, jak np. Wiktor Schultze [9], są zdania, że na fresku naszym przedstawione jest ciche i szczęśliwe życie świętej Rodziny betleemskiej, i że przeto mężczyzną jest nie kto inny, jeno św. Józef. Nie mówię już o innych błędach i sprzecznościach, jakie popełnił Schultze w opisie obrazu; ale dość powiedzieć, że św. Józef w starochrześcijańskiej sztuce nie zjawia się nigdy ze zwojem pisma w ręce; a z drugiej strony zwój ze spisanem proroctwem o Dziewiczej Matce i wielkiej jasności, która ukazać się miała nad Izraelem, w sam raz przystaje do osoby Izajasza.

---

[1] Niektórzy podawali w wątpliwość istnienie gwiazdy: ja za każdym pobytem w tej krypcie widziałem ją najdokładniej.

[2] Na podstawie tablicy Rossi'ego w jego *Immagini scelte della Beata Virgine Maria tratte dalle catacombe Romane*, Roma 1863, tabl. VI, publikowano ten obraz po niezliczone razy. Zob. też moją „Archeologię chrześcijańską“. Kraków 1890, tabl. II, nr. 1.

[3] *Numeri* XXIV, 17.

[4] Garrucci, *Storia dell' arte cristiana*, t. I, str. 360, t. II, str. 81.

[5] Izaj. VII, 14.

[6] Izaj. IX, 6.

[7] Izaj. LX, 1 i nast.

[8] Becker Ferd., *Rom's altchristliche Coemeterien*. Düsseldorf 1874, str. 106.

[9] Schultze Vict., *Archäologische Studien*. Wien 1880, str. 187, 191, 194.

Co do czasu powstania naszego obrazu powtórzę tu, co o nim powiedział Rossi w swym *Bulletino di archeologia cristiana* z r. 1880 (str. 21), a jeszcze dawniej w monografii: *Immagini scelte della Beata Virgine Maria* z r. 1863. „Fresk ten, pisze on, nosi na sobie cechy tak kwitnącej epoki w dziejach sztuk pięknych, że kiedy się weń wpatrzyłem, miałem wrażenie, iż widzę jeden z najstarszych obrazów chrześcijańskich, jakie się znajdują w naszych cmentarzach. Na moje zaproszenie zbadał go mój mistrz O. Józef Marchi, razem z profesorem (i znakomitym znawcą sztuki starożytnej) Minardi'm, i obaj uznali w nim perłę pierwotnej sztuki chrześcijańskiej. A po nich wszyscy znawcy sztuki grecko-rzymskiej, którzy obraz nasz poddali dokładnej analizie, są zdania, że nie jest on późniejszy nad czasy pierwszych Antoninów, a może i znacznie starszy“ [1]. Do tego wniosku doszedł Rossi przez porównanie naszego fresku z malowidłami i dekoracyami rzymskiemi, zachowanemi w domu złotym Nerona, w ruinach Palatynu i grobach pogańskich, odkrytych w r. 1858 przy drodze latyńskiej; dalej z freskami chrześcijańskiemi na ścianach najstarszych krypt cmentarzy św. Domitylli, Kaliksta i Pretekstata, a od których ten zdaje się być jeszcze starszy; wreszcie na podstawie najdokładniejszej analizy miejsca znalezienia, jego historyi, architektury, dekoracyi stiukowej i napisów.

Protestanci, aby osłabić doniosłość tego obrazu dla apologetyki katolickiej, powoływali się często na podrzędność danego mu miejsca, umieszczono go bowiem w kącie krypty, nad łukiem grobu (arkosolu), i to w znacznej wysokości od ziemi, tak że trzeba wysoko patrzyć i jeszcze dobrze obraz oświecić, aby go zobaczyć. Tymczasem i ta pociecha z czasem odpadła, bo roboty ziemne i murarskie, wykonane tu przez Rossi'ego w r. 1886, celem wzmocnienia ścian w pobliżu cennego fresku, dostarczyły

[1] Zob. też Liell, *Die Darstell. der allersel. Jungfrau auf den Kunstdenkmälern der Katak.* Freiburg i. Br. 1887, str. 336. — Lehner, *Die Marienverehrung in den ersten Jahrhunderten.* Stuttgart 1886, II. Aufl. — Becker l. c., str. 107 pisze: „Es gehört ein geringes Mass von Kunstkenntniss dazu, um in unserer Freske ein bewundernswerthes Kleinod der durchaus ältesten christlichen Kunst zu erkennen“.

dowodu, że poziom dzisiejszy krypty i sąsiednich galeryj nie jest pierwotnym poziomem, lecz powstał, w odległej jeszcze przeszłości, ale już po wymalowaniu obrazu Madonny, a to przez obniżenie pierwotnej podłogi, w celu umieszczenia nowych grobów u spodu ścian pod grobami starszemi.

Wytłumaczona więc jest zagadka, dlaczego dziś z pewną trudnością widzi się ten obraz umieszczony u góry ściany: inaczej rzecz się miała w chwili budowy kaplicy i malowania fresku. Odkrycie to rzuca także nowe światło na czas powstania kompozycyi. Wiele bowiem grobów zbudowanych u dołu ścian naszej krypty i w galeryach sąsiednich ma epitafy jeszcze nietknięte; inne leżały w ziemi. Otóż te napisy należą do najstarszej familii epitafów pryscylliańskich. Jak poprzednio omówione, tak i one są częścią wymalowane czerwoną farbą na cegłach, częścią rzeźbione w klasycznych literach na marmurze. Stąd dowód, że obniżenia podłogi dokonano jeszcze w pierwszych dziesiątkach II. stulecia, a tem samem nasza Madonna sięga jeszcze czasów apostolskich. Podaję tu choć kilka z tych napisów.

Na dwóch cegłach, zamykających grób w samej krypcie, czytamy:

CAECILIANO	. . . .

Trzeciej cegły brakuje. Na trzech cegłach, wmurowanych w nietknięty dotychczas grób, jest napis:

Kotwica	PAX TE CUM	VALERIA	Kotwica Gałązka palmowa

Pokój z tobą Waleryo, któraś całą nadzieję pokładała w Bogu (kotwica) i odniosła zwycięstwo nad nieprzyjaciołmi duszy (palma).

	IULIA	. . . .
VIRGO ANNIMA ΣIMP(lex)		

Julia, dziewica, dusza pełna prostoty.



Pokój z tobą!



Pokój tobie duszo, któraś ufała Bogu!

Wszystkie te napisy pochodzą z grobów sąsiadujących z naszym obrazem. Na innych tamże spotykamy jeszcze *gentilicia:* Octavius, Aurelia, Octavia.

Nie potrzebuję dodawać, że nasza *Madonna lactans* jest kompozycyą oryginalną i samodzielną, czysto chrześcijańską kreacyą. Daremnie zresztą byłby się tu artysta oglądał za wzorem w sztuce grecko-rzymskiej; starożytność, pogańska nawet nie przeczuwała możliwości skojarzenia w jednej osobie niepokalanego dziewictwa z prawdziwem macierzyństwem.

Szkoda, że nie znamy imienia twórcy pierwszej Madonny — wymienialibyśmy je z czcią, jako poprzednika Fra Angelika i Rafaela.

(Dok. nast.).

Ks. dr. Józef Bilczewski.

WALKA O TRON KRAKOWSKI

w roku 1228.

3) Możnowładztwo krakowskie i jego wpływ na obsadzanie tronu wielkoksiążęcego.

Jeszcze jeden czynnik wchodzi tu w grę, bodaj czy nie najważniejszy, który objęcie opieki nad Leszkowicem i rządów nad ziemią krakowską przez Konrada stanowczo od pierwszej chwili wyklucza. Jest nim możnowładztwo krakowskie. Możnowładztwo to już w drugiej połowie XII. wieku, a jeszcze więcej w początkach XIII. w. bez względu na obowiązujący seniorat, bez względu na potwierdzenie praw najmłodszej linii Piastowskiej do tronu krakowskiego przez Aleksandra III., bez względu na wznowienie senioratu przez Innocentego III., w gruncie rzeczy rozstrzyga o stolicy wielkoksiążęcej, dowolnie, wedle upodobania niedogodnych sobie książąt strącając, a miłych sobie na krakowskim sadowiąc stolcu. Dla uwidocznienia tego dominującego wpływu możnowładztwa przypatrzmy się procedurze obejmowania rządów w ziemi krakowskiej w ciągu drugiej połowy XII. wieku i w początkach następnego: Testament Bolesława Krzywoustego wedle najautentyczniejszej wersyi, przechowanej nam w bulli Innocentego III. z dnia 9 czerwca r. 1210[1], opiewał: *Ut semper, qui esset de ipsius genere prior natu, civitatem teneret eandem* (tj. Kraków), *ita, quod si maior decederet, vel cederet iuri*

[1] K. Mp. I, n. 12.

suo, qui post eum de toto genere maior, ipsius civitatis possessionem intraret [1]. Wedle więc tego rozporządzenia prawo obsadzania tronu krakowskiego wyłącznie książęcemu przysługuje rodowi. Godność wielkoksiążęca ma spoczywać w rękach każdorazowego seniora, chyba że on ciężaru tego przyjąć nie chce, w takim razie najbliższy wiekiem zasiada na tronie krakowskim. Mieszkańcy ziemi krakowskiej nie mają żadnego głosu przy zmianie rządów; jak ziemia krakowska, tak i jej mieszkańcy są posesyą seniora. Tak brzmiało rozporządzenie absolutnego władcy dzierżaw polskich w r. 1138.

Ustawa ta jednak, ściśle biorąc, upada w siedm lat po śmierci ustawodawcy, kiedy, dzięki poparciu możnowładztwa, absolutystyczne dążności Władysława pod murami Poznania doznały zupełnego pogromu. Rozterki w rodzinie książęcej dają możnowładztwu coraz większe wpływy na rządy, a przedewszystkiem decyzyę w sprawie obsadzania tronu wielkoksiążęcego. Już wcześnie bardzo widzimy panów krakowskich, wyzyskujących nową sytuacyę, a jakkolwiek spisek Jaksy z Miechowa i Świętosława z innymi wielmożami krakowskimi przeciw Bolesławowi Kędzierzawemu rozbija się jeszcze o solidarność rodową Piastowiczów [2], to od rewolucyi z roku 1177, od czasu wypędzenia Mieszka Starego, faktycznie możnowładztwo rozporządza tronem krakowskim. Powołujemy się przytem na świadka naocznego tych wypadków i najlepszego znawcę tych stosunków, tj. Mistrza Wincentego, który, jak mówi jeden z kopistów jego kroniki: *haec vidit, et scimus quia verum est eius testimonium* [3]. Jeżeli tedy przy Bolesławie i Mieszku powiada Wincenty, iż obejmują tron krakowski wedle prawa starszeństwa [4], to już przy Kazimierzu

[1] Mniej jasna jest wersya przez Mistrza Wincentego podana: „Ut penes maiorem natu et Cracoviensis provinciae principatus et auctoritas resideret principandi. De quo si quid humanitus obtigisset, semper aetatis maioritas et primogeniturae ratio litem succesionis decideret". *M. P. H.* II, str. 363/4.

[2] Mistrz Wincenty. *M. P. H.* II. 394.

[3] Tamże, str. 419, przyp. 1.

[4] Boleslaus frater et successor Vladislai. Tenże, str. 370; Boleslaus tanquam secundus natu Vladislao successit. Dopełniacz Mierzwy *M. P. H.*

wyraźnie mówi o elekcyi. Wobec gwałtów Mieszka Starego *primi provincialium et consulares viri secreta secum deliberatione disceptant*[1], szukając środka zaradczego przeciw uciskowi. Ratunek widzą w Kazimierzu, którego cnoty, łagodność i sprawiedliwość zdają się być gwarancyą lżejszych rządów. Udają się więc malkontenci krakowscy po drugi raz do Kazimierza z tem samem wezwaniem, aby objął rządy w Krakowie. Po długich prośbach dopiero zdecydował się książę sandomirski na zamach przeciw bratu i przeciw ustawie ojcowskiej; udaje się do Krakowa umyślnie z drobną drużyną, *cavens ne violenta magis ipsius occupatio videatur, quam ultronea civium electio*[2]. Że zaś w tym wypadku chodzi o rzeczywistą elekcyę księcia przez poddanych, że przynajmniej współcześni tak tę rzecz pojmowali, poświadcza werdykt Fryderyka Barbarosy, który skarżącemu się przed nim Mieszkowi o pogwałcenie praw pierworodztwa, dokonane na nim przez brata i poddanych, oświadcza, że „Polakom nie może być odjęta swoboda obierania księcia, albowiem żadnej niema różnicy, czy mają nieużytecznego księcia, czyli też nie mają żadnego“[3]. — Mimo wyroku cesarskiego jednak pierwsza ta elekcya w stosunkach polskich ówczesnych była uzurpacyą, raz ze strony Kazimierza, głównie zaś ze strony wielmożów krakowskich. Dlatego też na tak wątłej podstawie oparta władza nie dawała Kazimierzowi żadnych rękojmi. Stąd też pierwszą i główną jego troską jest ubezpieczenie swego tronu. Na zjeździe łęczyckim nietylko chodzi Kazimierzowi o zniesienie zasady senioratu, jak chce Abraham[4], chce on także z pomocą duchowieństwa, które

II, str. 370. — Defuncto itaque Boleslao successit frater eius tertius, Mesco, qui sicut erat natu fratri proximus, sic non interpellata regni successione continuus. *M. P. H.* II. 378.

[1] Tenże, str. 385.

[2] Tenże, str. 394.

[3] Imperatorius apex sententiavit: „Nec Polonis eligendi principem posse adimi potestatem; quia nihil interest inutilem habeant an nullum; neque Casimirum scla virtutum invidia, debere defungi principatu“. Tenże, str. 404.

[4] Zjazd łęczycki, str. 403—405. *Kwartalnik historyczny* 1889, cfr. Mistrz Wincenty, str. 398—401.

głównie na tym zjeździe jest reprezentowane i wyłącznie prawie otrzymuje przywileje, usunąć tak niebezpieczny dla władzy książęcej antecedens elekcyi i zamienić tron krakowski na dziedziczny. Odtąd też duchowieństwo ustawicznie broni dziedziczności tronu krakowskiego w linii Kazimierzowej, a jak Kazimierz tak i syn i wnuk jego w duchowieństwie znajduje główną podporę swej władzy. Świeccy wielmoże woleliby elekcyę i raz po raz robią zamachy przeciw panującym, podsycane antagonizmem między Piastowiczami, zamachy nieudałe wobec dynastycznego stanowiska duchowieństwa [1], a przedewszystkiem biskupa Pełki i jego następców. Śmierć jednakowoż nagła Kazimierza i małoletność jego synów daje mimo to możnowładztwu sposobność rozstrzygania o obsadzeniu tronu. Latem roku 1194 odbywa się w Krakowie, po pogrzebie Kazimierza, formalna elekcya, pod niejednym względem podobna nawet do późniejszych elekcyj królów polskich [2]. Inicyatywę daje — jak później prymas — biskup krakowski, naradza się najpierw *cum primatibus* (senatorami) *de regia successione*, a potem zwołuje wszystkich oczywiście szlachtę) na „sejm“ [3]. Na sejmie tym wyraźnie dwie

[1] Mistrz Wincenty. *M. P. H.* II. 415/16.

[2] Zaznaczamy z naciskiem „pod niejednym tylko względem“, gdyż identyfikowanie elekcyi z XII. lub XIII. w. z elekcyami XVII. np. wieku, byłoby takim samym anachronizmem, jak np. identyfikowanie przywilejów Wielkiej karty z Konstytucyą angielską po wypędzeniu Stuartów. Przedewszystkiem elekcya ta średniowieczna jest ograniczona do rodu Piastowskiego, jest oświadczeniem kategorycznem poddanych, kogo wśród rodziny książęcej za najodpowiedniejszego do rządów uważają. Mimo to jednak, jak nie można zaprzeczyć przyczynowego związku między *Magna charta* a Konstytucyą angielską z XVII. wieku, tak też i w owych sporach o tron krakowski z końca XII. wieku, upatrujemy zarodki owej elekcyjno-dziedzicznej formy rządu, jaką Polska miała za Jagiellonów, a następnie elekcyjno-republikańskiej w ostatnich wiekach swego bytu politycznego. Wyrażamy tę hipotezę tem śmielej, że tak zasłużony na polu historyczno-prawniczem badacz, jakim jest Piekosiński, podobne oświadcza przekonanie, upatrując między innemi w dokumencie Władysława Starego w Cieni z r. 1228 pierwszy przykład paktów konwentów w Polsce. K. Kat. Krak. I, n. 19, przyp. 2, str. 27.

[3] „Fulco Cracoviensium antistes primo cum primatibus de regia successione tractatu habito, in concionem omnes convocat. Mistrz Wincenty, l. c. str. 424. — Że zjazdy szlachty, duchowieństwa i książąt, t. zw. w do-

zasady: elekcyjności i dziedziczności, ścierają się z sobą; pierwszej broni jeden ze stronników Mieszka, drugiej gorącym przedstawicielem jest Pełka. Gdy biskup, powołując się, wedle relacyi Wincentego, na różne przykłady z dziedziny przyrody i historyi, wykazuje konieczność natychmiastowego wyboru, i radzi na małoletniego Leszka „przelać godność ojcowską", wtedy przeciwnik jego polityczny, przyznając zupełną racyę biskupowi, iż „nie należy z wyborem księcia ani na chwilę zwlekać", „co do osoby proponowanej" odmiennego jest zdania, albowiem „biada ziemi, której królem jest dziecię". Nie zbity jednak z tropu wywodem przeciwnika biskup, wiedząc, iż dlatego tylko tak rozumuje, aby Mieszko Stary lub jego synowiec, Mieszko młodszy Raciborski, księciem był ustanowiony, odpowiada: „Coś powiedział, jako mądry człowiek, wcale do rzeczyżeś powiedział, jednakże w obecnym wypadku wywody twe nie są na miejscu, gdyż tu nie chodzi o wybór księcia, lecz o prawo dziedziczne". Także i zasadę senioratu na tym sejmie wspomina biskup, lecz nad nią, jako nad dawno zniesioną, przechodzi szybko do porządku dziennego. Zasada dziedziczności zwycięża jednak głównie dlatego, że rozstrzygającym czynnikom, wojewodzie Mikołajowi i Pełce biskupowi, uśmiecha się rejencya. „Dzieciaka księciem wybrali — jak mówił Mieszko — w zamiarze, aby sami samymi książętami rządzili" [1]. To też nie dziw, że księżnej wdowie nie bardzo się podoba gospodarka owych „potęg administracyjnych", przez które książęta, zdaniem biskupa, „rządzą rzecząpo-

kumentach „colloquia", zwały się sejmami, potwierdza to kronika wołyńska, podając pod r. 6734: „Leszko, Wielki Książe Lachów zabity był na sojmie". Ponieważ wyraz sejm nie jest ruskiego pochodzenia, usłyszeć mógł go kronikarz ruski od samych Polaków, którzy już w XIII. w. zjazdy swe sejmami nazywali. Uwagę tę zawdzięczam ustnej wzmiance prof. Wojciechowskiego, na jednem z posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie.

[1] „Nec impedit avita constitutio, qua cautum erat ut penes maiorem natu semper sit principandi autoritas, quia per Papam Alexandrum et per Fredericum imperatorem, qui ius habent et condendi et abrogandi iura prorsus est abrogata, quando ab utroque, superstite seniore, scilicet Mescone, in eodem est principatu Casimirus et constitutus et confirmatus", Mistrz Wincenty, l. c., str. 430 i 431.

spolitą“ [1], nie dziw, że więcej sprzyja zdaniu, zbijanemu przez biskupa, i woli zrzec się na razie księstwa na rzecz stryja i opiekuna, byle tylko po śmierci jego *per se* [2] rządził syn jej swą ojcowizną, że woli zrzucić ze skroni swej „skorupę glinianą“ władzy, przez krakowskich „garncarzy“ ulepioną, byle syn jej z łaski stryja „złoty odebrał dyadem książęcy“ [3]. Lecz właśnie ta dążność reakcyjna księżnej wdowy zniechęca Mikołaja, naczelnika oligarchów krakowskich, że ich tak nazwiemy, i każe mu przejść na stronę Mieszka, który w ten sposób na czas krótki po czwarty i ostatni raz zasiada na tronie wielkoksiążęcym. Szermierz despotycznej instytucyi senioratu tryumfuje, tryumfuje jednak pozornie, bo istota senioratu dawno się ulotniła wskutek dominującego wpływu możnowładztwa. Zasiada Mieszko na tronie dlatego tylko, że uznał przysięgą dziedziczne prawa Kazimierzowej linii do tronu wielkoksiążęcego, czuje się zaś bezpiecznym na nim, odkąd pozyskał dla siebie głównego przedstawiciela oligarchii, wojewodę Mikołaja [4]. Niebawem jednak umiera Mieszko, a tronem krakowskim rozporządza znowu możnowładztwo, przywłaszczając sobie wyłącznie prawo obioru księcia, dyktując Piastowiczom warunki, jak szlachta późniejsza swym elektom *pacta conventa*. „Posyłają tedy wielmoże krakowscy posłów do Leszka, ofiarując mu wierne swe usługi i godność wielkoksiążęcą, pod warunkiem atoli, że oddali od boku swego i wypędzi sandomirskiego wojewodę i przyjaciela, Goworka [5]. Nie chciał bowiem wojewoda Mikołaj, aby ziemianie sandomirscy ‚zajechali‘ panów krakowskich i objęli ich urzędy, albowiem gdy nowy książę na tron wstępował, wpływy i główne urzędy dostawały się w ręce zaufańców, zwykle ziemian, z ojczystej jego dzielnicy pochodzących [6]. Gdy Leszek nie chciał przyjąć warunku tego, który mu z rąk wytrącał najdzielniejszy środek utrzymania powagi wobec możnowładców i oświadczył, ‚że Krakowianie mają sobie innego księcia poszukać, któryby się na ich warunki zgodził‘,

[1] Tenże, str. 432. [2] Tenże, str. 431. [3] Tenże, str. 442.
[4] L. c., str. 442/43. [5] L. c., str. 444.
[6] Łaguna. Dwie elekcye. *Ateneum* 1884. Tom III, str. 336.

wtedy możnowładcy krakowscy, jak gdyby dotąd żadnej nie odbyli narady o wyborze kogokolwiek, ofiarują tron Władysławowi Mieszkowicowi, oświadczając, iż mu się prawnie po ojcu należy i dlatego co do jego osoby niema racyi elekcya, gdyż wierność obiecaną ojcu, winni są także dochować synowi [1]. Mimo tych zapewnień wie dobrze syn Mieszka, jak się rzeczy mają, wie, że tylko woli wszechwładnego stronnictwa Mikołajowego powołanie swe na tron zawdzięcza. Obawia się słusznie rokoszów i zazdrości, i aby uniknąć tych burz i szkopułów, szuka porozumienia z Leszkiem. W liście do niego wystosowanym wyraźnie oświadcza: *Quoniam Cracoviensium vos respuisse principatum, certo certius agnovimus, omnium in nos vota super eo noveritis concurrere*" [2]. To powoływanie się na życzenia panów krakowskich, nadto uległość wobec Leszka, którego prawa do Krakowa uznaje, któremu każdej chwili tron ten odstąpić obiecuje, jest, zdaniem naszem, zupełną abdykacyą Mieszkowica z praw starszeństwa, jest formalnem uznaniem elekcyjności tronu krakowskiego. Z drugiej strony i Leszek, godząc się na objęcie władzy w Krakowie przez Władysława, uznaje tem samem elekcyjność tronu krakowskiego wbrew woli biskupów i wielmożów, wbrew woli brata swego, Konrada. Całkiem słusznie zarzucają mu z żalem jego doradcy, „że w ten sposób zasadę dziedziczności obala, że słusznym prawom swego rodu szkodzi" [3]. Z początkiem więc XIII. w. w Księstwie Krakowskiem elekcyjność tryumfuje, nietylko przeprowadzili ją faktycznie wielmoże krakowscy, ale nawet uznali ją przedstawiciele dwóch młodszych linij Piastowskich. „Osadzenie tedy Władysława na tronie krakowskim odbywa się w oczach całej Polski za zgodą książąt, wielmożów i całego rycerstwa, *viritim*, od drobnego szlachcica, aż do najwyższego" [4].

Jak więc w Pradze już w początku XII. w., tak i w Krakowie w początku XIII. w. seniorat ustąpić musiał elekcyi z po-

[1] L. c., str. 445. [2] L. c., str. 446.
[3] L. c., str. 447. [4] L. c., str. 447.

wodu osłabnięcia władzy monarszej, z powodu wzrostu wpływów możnowładztwa świeckiego i duchownego.

Raz jeszcze wprawdzie zapokutuje, jakby upiór, w początku XIII. w. senioratu instytucya. Przedstawiciel usuniętej od tronu krakowskiego linii szląskiej, najstarszy z żyjących wówczas Piastowiczów, syn Władysława, Mieszko Laskonogi lub Plątonogi, na tej przestarzałej zasadzie, kusi się o tron krakowski. Apeluje do papieża Innocentego III. i znajduje w nim sprzymierzeńca, kiedy tenże swą bullą z dnia 9 czerwca r. 1210 potwierdza testament Krzywoustego i episkopatowi polskiemu w życie go wprowadzić rozkazuje[1]. Czytamy też pod r. 1206 (*recte* 1211[2]) w Roczniku Górnoszląskim, że Mieszko *Dux Raceburgensis tenendo Cracoviam obiit.* Być może tedy, że bulla papieska pożądany dla niego wywarła skutek, być może, co prawdopodobniejszem się nam wydaje, iż stronnictwo niechętne Leszkowi ułatwiło Mieszkowi nagły zamach na stolicę wielkoksiążęcą. Ponieważ jednak już 16 maja r. 1211 książę raciborski umiera[3], a Leszek jeszcze r. 1210 umiał przywilejami borzykowskiemi pozyskać duchowieństwo dla siebie, sprawa senioratu wraz z Mieszkiem Plątonogim raz na zawsze upadła. — Leszek już w r. 1202, jak to dowiódł prof. Balzer, po śmierci Mikołaja i wypędzeniu Władysława Starego, „zaproszony przez panów krakowskich z biskupem Pełką na czele“[4], jest raczej księciem elekcyjnym niż dziedzicznym, a jakkolwiek za takiego się uważa i przez Władysława Starego jest uznany, nie bardzo pewny czuł się w Krakowie, skoro i w roku 1211 Mieszko Laskonogi owładnął tronem, a 1225 roku Henryk Brodaty kusił się o Kraków[5].

Ostatni fakt jest nazbyt wyborną ilustracyą stosunków krakowskich, aby go tu w całości nie przytoczyć. Podaje go Dłu-

[1] K. Mp. I. nr. 6.

[2] *M. P. H.* III. 715. Cfr. Balzer, „Walka o tron krakowski“, str. 28—58.

[3] Nekr. klaszoru św. Wincentego; *M. P. H.* V. 692, cfr. Balzer, l. c. str. 50/51.

[4] Kronika Baszka, § 53. *M. P. H.* II. 552.

[5] Długosz, *Historiae Polonicae*, libri XII., t. II, str. 217.

gosz, a jakkolwiek Grünhagen, a za nim Smolka[1] podejrzywają go o zmyślenie podanych wiadomości, to całkiem słusznie odpiera tę insynuacyę za Zeissbergiem Semkowicz, twierdząc, iż zbyt wiele nagromadzonych jest w tym ustępie wiadomości pozytywnych, aby nie widzieć w nim ekscerptu z jakiegoś zaginionego źródła. Otóż powiada pod r. 1225 Długosz co następuje: „Henryk, książę szląski, uważając to za krzywdę swoją, że Leszek Biały objął monarchię i Księstwo Krakowskie, które jemu, jako książęciu starszemu laty i urodzeniem należeć miały, zebrał znaczne siły i ruszył ku Krakowowi w zamiarze strącenia Leszka z stolicy zwierzchniej, do czego wiodły go szczególnie namowy Marka, wojewody krakowskiego, i innych rycerzy, jego stronników. Wrzały już bowiem poprzednio zawiści między Iwonem, biskupem krakowskim, Ostazym i innymi Odrowążami z jednej, a Markiem, wojewodą krakowskim, mistrzem Andrzejem, synem Klimunta i ich pokrewnymi Gryfitami z drugiej strony, a to z tej przyczyny, iż Leszek rycerza Jana, brata rzeczonego mistrza Andrzeja, kanonika krakowskiego i innych jego pokrewnych pozsadzał był z urzędów i godności. Była to zaś kara z rady Iwona na nich wymierzona za to, że gdy w Mazowszu postanowieni byli na straży wraz z Dzierzkiem, synem Abrahama, i Budzisławem, synem Krzesława, dla obrony kraju, a Prusacy na on kraj napadli, krewni rzeczonego Marka wojewody pierzchnęli z bitwy i ucieczką ratując życie, Dzierzka, Budzisława i innych wielu, w obronie kraju walczących, narazili na zgubę. Widząc zatem, że do zaszczytów postradanych wrócić nie mogli. uknowali spisek na usunięcie Leszka, książęcia z Krakowa, a osadzenie na państwie Henryka, księcia wrocławskiego. W tym celu Marek, wojew. krak., z swymi krewnymi i towarzyszami wyniósł się z kraju i przystał do tegoż książęcia Henryka, który, zebrawszy wojsko, poszedł pod Kraków i przez dni ośm stał w blizkości obozem. Ale nie tajny był Leszkowi jego zamiar: ściągnął więc ze swoich państw przeciw książęciu Henrykowi

[1] Grünhagen, *Regesten*, i. 151; Smolka, H. Br. str. 34, p. 27. „Krytyczny rozbiór dziejów J. Długosza pod r. 1225“, str. 218.

liczne zastępy rycerstwa, a dla odgromienia napaści, wezwał na pomoc brata swego, Konrada. Już był Henryk Brodaty posunął się ku rzece Dłubni nieopodal od miasta Krakowa, gdy obaj Kazimierzowicze wyszli z hufcami na jego spotkanie. Ale Henryk, człowiek z przyrodzenia cichy i spokojny, często przytem upominany od żony swej Jadwigi, aby przestał na swojej stolicy wrocławskiej, a sięganiem po onę władzę zwierzchnią siebie i swoich nie narażał na niebezpieczeństwo, zważywszy, że Leszek i Konrad siły swemi znacznie go przewyższali, był gotów do zgody. Na co gdy książęta Leszek i Konrad przystali, za pośrednictwem Iwona i innych panów polskich przyszło do ugody, mocą której Henryk zrzekł się wszelakiego prawa do rządów i zwierzchnictwa nad Polską i prawo to w zupełności na Leszka przelał. Zawarli nadto książęta osobiste między sobą przymierze, przysięgą zobopólną utwierdzone, którem zastrzeżono, iż jeden drugiego sławy i dobra miał przestrzegać, a nie kusić się wzajem o ziemie i księstwa, które otrzymali w podziale".

Nie wchodząc w krytyczny rozbiór rzeczonego ustępu, nie wchodząc w motywa wyprawy Henryka pod Kraków w r. 1225, skądinąd źródłami potwierdzonej [1], mniejsza, czy ambicya Henryka do monarchii, czy też sprawa kolonistów niemieckich była źródłem niesnasek [2], to pewna, iż bez zachęty Gryfitów ze strony możnowładztwa, Henryk nie byłby się pod Kraków wyprawiał; zważywszy to wszystko, sądzimy, iż i po śmierci Leszka możnowładztwo, a zwłaszcza Gryfici, decydują o Księstwie Krakowskiem. *Pacta conventa,* przywileje dla baronów i Kościoła, dane

[1] Rocz. kapit. *M. P. H.* II. 802: „1225 Henricus dux Slesie stetit in Cracovia octo diebus cum suo exercitu et recessit". Nieobecność Marka, znanego już od r. 1217 jako wojewody krakowskiego, w latach 1225—1227, potwierdzają źródła dokumentalne. Ostatni raz wspominany 22, IX. 1224 (K. Mp. II, n. 389) jako wojewoda, występuje w tym urzędzie dopiero w III. r. 1228 (K. Mp. I, n. 11. Kod. Pol. I, n. 19). Dnia 6 grudnia 1227, godność wojewody krakowskiego wraz z palacyą sandomirską, piastuje syn Lasoty, Pakosław (K. Mp. II, n. 393). Stosunki, jakie nawiązał na wygnaniu w Opolu z Władysławem Starym, przywróciły go zdaje się na dawny urząd. Ob. *Przegląd Powszechny* t. XXXV. str. 254.

[2] Grünbagen, *Regesten,* I. 304. Smolka, H. Br. str. 34, przyp. 11.

przez Władysława Starego w Cieni, są tego wymownym dowodem. Że w sprawie tej prócz Iwona i Pakosława Starego głównie Gryfici są czynni, świadczą imiona świadków na przywilejach w Cieni [1]. Jest tam Marek wojewoda, jest i mistrz Andrzej, brat zniesławionego na Mazowszu Janka, jest gorliwy sprzymierzeniec Gryfitów, jak to później obaczym, Rudolf, kantor krakowski [2], kto wie czy i ów Jan, archidyakon sandomirski, parę razy z mistrzem Andrzejem w dokumentach występujący [3], nie należy do parenteli lub przynajmniej klienteli Gryfitów. Jeżeli zaś zważymy, że na Mazowszu spotkał srom taki i obelga Gryfitów [4], że piastując na Mazowszu jeszcze w roku 1223 wysokie godności, nagle potem stąd znikają, że niewątpliwie Konrada to głównie za sprawcę swego upośledzenia uważać musieli, nie dziw, że obecnie wybitną rolę wśród możnowładztwa krakowskiego odgrywający Gryfici, i to właśnie urażeni na Konrada Gryfici, wszelkiemi siłami jego opiece nad Leszkowicem, jego rządom w Krakowskiem się opierają. Marek wojewoda nietylko w r. 1230 nie pogodził się z Konradem, jak twierdzi błędnie Semkowicz [5], lecz, jak właśnie w grudniu r. 1230 mimo tryumfów Konrada, tytułował się *miseratione Divina sub duce Wlodislao Cracoviensi palatinus existens,* tak i niechybnie po powrocie z wygnania, tuż

[1] Kt. kat. kr. I, n. 19 i 20.

[2] Katalog bisk. krak. IV. *M. P. H.* III. 357.

[3] K. Mp. II. n. 391, 392, 396. K. kat. krak. n. 15.

[4] Gryfici, prawdopodobnie Teodor i Klemens, piastowali czas pewien na Mazowszu wysokie godności, w r. 1223 pierwszy był kasztelanem kruszwickim, drugi Klemens kasztelanem płockim (K. Mog., n. 3). Sądzimy, iż pierwszy jest identyczny z późniejszym Czadrem, wojewodą krakowskim od r. 1230—1238, założycielem klasztoru Cystersów w Ludzimierzu, drugi zaś z fundatorem klasztoru staniąteckiego, lub może jego ojcem, który się również Klemensem nazywa. Zniknięcie Gryfitów ze służby Mazowieckiej, dowodzi również o niesnaskach między zuchwałym rodem a gwałtownym księciem.

[5] „Zbrodnia Gąsawska", 1886, III, str. 348 i „Krytyczny rozbiór dziejów polskich", str. 227, gdzie powołując się na Nakielskiego „Miechowię", str. 152, i Helcla „O klasztorze jędrzej.", str. 204, widocznie identyfikuje Marka, kasztelana radomskiego, z Markiem, wojewodą krakowskim. (K. Mp. II, n. 401). Marek, wojewoda krakowski, nigdzie razem w r. 1230 z Wojciechem, wojewodą sandomirskim, w dokumentach nie występują.

po śmierci Leszka, najenergiczniej przeciwdziałał opiece Konradowej, i księcia Mazowieckiego do rządów w Krakowie nie dopuścił.

§ III. Objęcie opieki nad Bolesławem przez Władysława Starego.

Opiekę nad Leszkowicem objął najpierw Władysław Stary, jak to z dokumentów, w Cieni wydanych przez księcia Wielkopolskiego, wynika. Ponieważ dokumenty te są bez daty dnia, nadto nie posiadamy żadnego aktu książęcego z czasów rządów Mieszkowica w Krakowie, nasuwa się kwestya trudna do rozstrzygnięcia, kiedy się odbył zjazd ów wielmożów małopolskich z wielkopolskim księciem około Kalisza w Cieni, kiedy, innemi słowy, Władysław objął rządy w Krakowie i jak długo je dzierżył. Szkaradek przypuszcza, że zjazd ten miał miejsce dopiero w maju lub czerwcu, Perlbach zaś, że już w początku r. 1228 Władysław objął rządy opiekuńcze. Ostatnie przypuszczenie więcej jest prawdopodobne, bo więcej odpowiada naturalnemu przebiegowi wypadków. Traktat spadkowy, między Leszkiem a Władysławem Starym zapewne w r. 1226 „zaprzysiężony", brzmi, wedle jedynej wersyi, przechowanej nam w dokumencie Władysława z Cieni[1]: *Si quis nostrum habens prolem decederet, superstes prolem illam in propriam adoptaret et sibi totaliter substitueret in heredem, si propriam non haberet. Similiter e converso et hoc cuiuslibet iure conservato.* — Osnowa więc traktatu każe pozostałej przy życiu stronie syna zmarłego natychmiast po śmierci rodzica wziąć w opiekę. Ponieważ zaś bezdzietny książę, obiecujący jeszcze własne ziemie przelać na pupila, dla Grzymisławy był najpożądańszym opiekunem, a stary i zniedołężniały władca najdogodniejszym księciem dla rozpanoszonych Małopolan, nie zwlekano zapewne w Krakowie z elekcyą i zawezwaniem księcia do objęcia opieki i rządów. Pośpiech był potrzebny tem bardziej, że Konrad, mający do opieki najbliższe prawa, gwałtem się mógł o nie upomnieć. Nie bez słusznych powodów przysięga wielmożom, do Wielkopolski wysłanym, Władysław, że od za-

[1] K. Wp. n. 122.

przysiężonych zobowiązań „nigdy nie odstąpi“, „że ziemi Leszkowica, po ojcu na niego spadłej, wedle możności bronić będzie przeciw każdemu“. — Już to samo zatem, że sprawa była nagląca, przemawia za najspieszniejszem jej załatwieniem.

Czy jednak Władysław Stary, zagrożony we własnej ziemi przez Odonicza, któremu na pomoc przyjść właśnie w listopadzie zeszłego roku musieli jego sprzymierzeńcy, Henryk i Leszko, po katastrofie gąsawskiej zdołał stawić czoło koalicyi Odonicza i szwagra jego, dzielnego Świętopełka? Czy nie musiał może uchodzić z wielkopolskiej ziemi przed przemocą, jak mu to za rok przyjdzie uczynić? Czy zatem książę wygnaniec lub ostatkami goniący kwalifikuje się wielce na opiekuna i obrońcę sieroty przed zamachami potężnych sąsiadów i stryjów? Zdaje się nam, że słowa przywileju w Cieni wykluczają możność, iżby Władysław był zagrożony w swem księstwie. Książę wyzuty z ziemi i tułacz nie może mówić: *Filium fratris mei in bonis meis omnibus, mobilibus et immobilibus totaliter mihi heredem substituo,* nie może przysięgać: *terram vero, quae ad ipsum ex paterna successione devenit in tutelam suscipio et contra omnem hominem toto posse meo defendam tam per me quam meos et suos milites.* Tak mówić może wobec poselstwa, znającego sytuacyę, tylko książę, który rzeczywiście posiada ruchomy i nieruchomy majątek, który ma na zawołanie zastępy swoich rycerzy. Że Władysław Stary w r. 1228 był w rzeczy samej panem sytuacyi w Wielkopolsce, poświadcza to Kronika Baszka, co do spraw wielkopolskich wcale dobrze poinformowana, opowiadając pod r. 1228 co następuje: *Wladislaus Magnus cum Wladislao Odonis nepote suo congressi campestri bello invicem bellaverunt. In quo congressu Wladislaus Magnus victor existens nepotem suum ducem Wladislaum Odonis incaptivavit*[1]. Wiadomość ta, gdybyśmy Kronice Baszka nie mieli dać wiary, znajduje potwierdzenie w Roczniku Krótkim[2]. Zapiskę tę w rocznikach krakowskich o księciu wielkopolskim uważamy za współ-

[1] *M. P. H.* II, 557. § 63.

[2] „Dux Wladislaus Odonis captus est a sene Wladislao in bello“ brzmi tamże zapiska. Rocz. kap. krakowskiej również ją posiada, tylko błędnie, pod r. 1229. *M. P. H.* II, 803.

czesną. Fakt zwycięstwa, odniesionego nad Odoniczem, mordercą Leszka, przez Władysława Starego, był wypadkiem ważnym i doniosłym dla rocznikarza krakowskiego i dlatego znalazł miejsce w jego roczniku. Jesteśmy bowiem przekonani, że zwycięstwo Władysława Starego stoi w związku z objęciem opieki nad Leszkowicem przez niego, że to ostatnie jest następstwem, nagrodą pierwszego. Inaczej trudno pomyśleć, aby biskup poznański mógł brać udział w akcie wydziedziczającym Odonicza — a takim był pierwszy dokument w Cieni [1], jeżeli tenże Odonicz władał w Poznaniu. Inaczej jednak ma się sprawa, jeżeli zabójca Leszka znajduje się w ręku stryja. Trudno wszakże wytłumaczyć, skąd nagle Władysław Stary stał się tak potężny, iż mógł w otwartem polu zmierzyć się z przeciwnikiem, pokonać go i wziąć do niewoli, ten sam Władysław, który niedawno do obcej pomocy zmuszony się widział odwołać. Sądzimy, iż niezbyt śmiałą będzie hipoteza, że część przynajmniej rycerstwa małopolskiego, a może i szląskiego, po katastrofie swych książąt pozostała przy Władysławie Starym, aby pomścić na zdrajcy śmierć jednego, a rany drugiego. Ponieważ zaś w owych czasach kampanie niezbyt długo trwać mogły, sądzimy, że rycerstwo, od listopada już stojące w polu, nie później jak w pierwszych miesiącach roku następnego pod Władysławem Starym odniosło nad Odoniczem owe walne zwycięstwo i tak pomściło zdradę gąsawską, oddając zdrajcę w ręce stryja. Przez to staje się Władysław Stary znowu panem sytuacyi, czy jednak także panem całego kraju? Niewątpliwie stronnicy Odonicza i jego rodzina znalazła w powinowatym księciu pomorskim i wspólniku zamachu gąsawskiego pomoc, i dlatego Władysław Stary wielkopolskich spraw nie może z oka spuścić i dlatego o rządach jego w małopolskiej ziemi nic prawie nie słychać, i dlatego księżna Grzymisława do maja tego roku wykonywa swobodnie i niepodzielnie władzę książęcą w krakowskiej i sandomirskiej ziemi.

Jakkolwiek jednak o rządach Władysława Mieszkowica w Małopolsce po śmierci Leszka Białego nie znajdujemy żadnej

[1] K. Kat. Krak. I, n. 19.

wzmianki ani w rocznikach ani w kronikach, jak to słusznie podnosi Semkowicz, zachowały się nam przecież ślady jego rządów w dokumentach. W późniejszym wprawdzie dokumencie z roku 1254 Bolesława Wstydliwego, w którym tenże potwierdza posiadłości klasztoru staniąteckiego, czytamy o darowiźnie dwóch dziedzin w Nieszkowicach, miejscowości leżącej około Bochni w Księstwie Krakowskiem, uczynionej *per Wladislaum olim ducem Cracoviae* [1]. Ponieważ klasztor Benedyktynek w Staniątkach fundował się r. 1228, jak to trafnie dowiódł Ulanowski [2], zatem po śmierci Leszka Białego miała darowizna miejsce i jest dowodem rządów Władysława Starego w Księstwie Krakowskiem. Nawet Konrad Mazowiecki tytułuje księcia Władysława księciem krakowskim w dokumencie z dnia 12 kwietnia r. 1232, mówiąc, iż potwierdza *ad petitionem fratri nostri Vladislai, ducis Cracovie et Polonie, donationem eiusdem ducis W., quam fecit domino Virbete conferendo ei ad Magnum Salem korito, quod dicitur sosthe et villam Dudaczewo et Radogościce aput Latconem... jure hereditario possidendum* [3]. Jednakże powyższe wzmianki potwierdzają te rządy Władysława, nominalne raczej niż rzeczywiste, jak się wyraża wydawca Kodeksu Małopolskiego [4], tylko ogólnikowo. Nie ulega kwestyi, że po śmierci Leszka Białego, między r. 1228 a 1231, Władysław jako książę krakowski uczynił wspomniane darowizny, kwestyą zawsze pozostanie, czy w roku 1228, i to w pierwszej połowie, wykonywał jakie prawa książęce w Krakowie. Otóż w dokumencie Kazimierza Opolskiego z dnia 1 sierpnia r. 1228 [5] znajdujemy dowód, iż rzeczywiście przed sierpniem tegoż roku dzierżył władzę w Krakowie książę wielkopolski. W dokumencie tym Kazimierz, książę opolski, nadaje swemu wojewodzie Klemensowi, Gryficie, bratu mistrza Andrzeja i owego

[1] K. Pol. III, n. 28.

[2] „O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach", str. 65.

[3] K. Mp. II, n. 402. Co do autentyczności dokumentu, bronionej przez wydawcę, a zakwestyonowanej przez Ulanowskiego, l. c., str. 15—20 cfr. recenzyą tejże pracy. *Przegląd Powszechny*, t. XXXV, str. 258/9.

[4] K. Mp. II, str. 48.

[5] K. Pol. III, n. 11. cfr. dodatek II.

zniesławionego przy wyprawie pruskiej Janka, między innemi posiadłości książęce w ziemi krakowskiej, jakie, według trafnego spostrzeżenia Ulanowskiego, otrzymał od nikogo innego, jak od Władysława Starego [1]. Z domem opolskim łączyły Władysława najbliższe stosunki. Na ziemi opolskiej znajduje wygnany r. 1229 syn Mieszka Starego schronienie, tu też zakończył r. 1231 w Raciborzu skołatany swój żywot [2]. Niezaprzeczona darowizna Władysława Starego na rzecz Kazimierza Opolskiego z posiadłości książęcych, jakimi są naroczniki, tj. ludzie uprawiający grunta książęce, częściowo przeznaczone jako wyposażenie dla urzędników dworskich, nasuwa nam wniosek, iż Władysław mianował swego przyjaciela Opolczyka, którego dzierżawy sięgały po sam prawie Kraków, swym zastępcą i wykonawcą w ziemi krakowskiej, nie mogąc się jej zarządem wskutek zaburzeń w Wielkopolsce bardzo zajmować.

Stosunki przyjazne Władysława Starego z Kazimierzem Opolskim również nam w części tłumaczą, dlaczego to Gryfici, księcia wielkopolskiego *con amore* wspierają. Po nieudałej wyprawie Henryka Brodatego na Kraków, gdy przyszło do pokoju między Leszkiem a Henrykiem [3], utracili Gryfici niechybnie w Henryku, przyjacielu Leszka, punkt oparcia. Obietnice, jakiemi zapewne zachęcili Henryka do wyprawy, okazały się płonne, Henryka wyprawa zrobiła kompletne *fiasco*, a tego fiaska przyczyną byli buńczuczni panowie Gryfici. Nie dziw więc, że na dworze Henrykowym nie mieli wichrzyciele krakowscy miru i poszukali sobie gdzieindziej, na dworze opolskim, schronienia. Tu Klemens, brat Janka i mistrza Andrzeja, skoligacił się nawet z kasztelanem opolskim, Zbrożkiem, biorąc jego córkę, Racławę, za małżonkę [4]. Przyjaciel księcia opolskiego, dobroczyńcy Gry-

[1] L. c., str. 13.

[2] Kr. Baszka, § 63 i 64. *M. P. H.* II, 557, cfr. Grünhagen, *Reg.*, str. 185.

[3] Że taka ugoda przyszła do skutku, świadczy choćby wspólna wyprawa obu książąt do Wielkopolski w roku 1227. Smolka, „Henryk Brodaty", str. 34.

[4] Małecki, „Studya heraldyczne", II, str. 51; godzi się na to również Ulanowski, l. c., str. 61, przyp. 164. Grünhagen, *Reg.*, n. 468 i 482.

fitów, musiał być miłym tymże do tronu kandydatem, tem więcej, że zajęty sprawami wielkopolskiemi, gotów był, zdaje się, z góry ciężar zarządu i obrony ziemi krakowskiej podzielić z sąsiadem tejże ziemi, księciem Kazimierzem. O ile na to wpłynęli Gryfici, źródła milczą; że wpłynąć musieli, każą nam wnioskować i godność wojewodzińska, jaką 1 sierpnia 1228 r. w księstwie Opolskiem piastuje zięć kasztelana Zbrożka, Klemens, jaką jeszcze przed marcem r. 1228 przywrócono Markowi Gryficie w Księstwie Krakowskiem, każą wnioskować hojne darowizny na rzecz nowego wojewody opolskiego, nietylko w ziemi opolskiej, ale i krakowskiej.

(Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

Doloras i Dolores — Campoamor i Ballart.

Z literatury hiszpańskiej.

(Dokończenie).

II.

Jeżeli Campoamor jest rzekomo wynalazcą nowego rodzaju poezyi, Fryderyk Ballart jest po prostu lirykiem, zabłądzającym niekiedy w dziedziny filozofii, ale zawsze lirykiem „czystej krwi". Z dziejów jego osobistych wiemy tyle, wiele o nich uzbierać można wiadomości rozrzuconych po kartach jego utworów. Dowiadujemy się z nich, że się ożenił dość późno, z miłości, po jakichś nieznanych nam przygodach, o których wspomina z żalem i niejakim wyrzutem sumienia, że po krótkiem pożyciu odumarła go żona, „cicha, dobra i słodka", zostawiając mu synka — dziecię żałoby, o które nawet nie dbał zrazu, ale nad którem później z litością wyrzekał, że jak kwiat bez słońca w cieniu jego własnego smutku wyrasta. Stosunki majątkowe Ballarta muszą lub przynajmniej musiały być bardzo skromne, skoro nam się zwierza, iż tylko konieczność zmusiła go do wydania swoich poezyj, z łez jedynie powstałych — przed śmiercią żony bowiem nigdy wierszy nie pisał.

Podczas gdy utwory Campoamora przesiąkłe są grasującym obecnie po świecie *Weltschmerz*'em — u Ballarta przeciwnie *Selbstschmerz* panuje na całej linii, od pierwszych stron gdzie nam opowiada jak własnemi rękami swoją niebogę ubierał do trumny,

aż tam gdzie w kilkanaście lat po jej zgonie pisze przyjacielowi dotkniętemu podobnem nieszczęściem, aby się nie łudził, że czas ranę jego zagoi. Jest tam więc wszędzie boleść — ale gdzież jej niema na świecie? A ta przynajmniej tak jest prosta, rzewna i szczera, tak po większej części zdrowa i pozbawiona goryczy, tak w końcu prowadząca do Boga, że niejedna dusza cierpiąca zdoła w niej dla własnych bólów znaleźć ukojenie, a choćby i wyraz dla dławiących ją uczuć, co samo nieraz bywa ulgą nielada. Wiersz u Ballarta jest płynniejszy, a co najmniej równiejszy niż u Campoamora, który sobie pozwala za każdym niemal zmieniać liczbę sylab, zachowując tylko pewien rytm, niemożliwy do uzyskania w innym jak w hiszpańskim języku. Więcej u niego poczucia natury, więcej ideału w pojęciach i wzniosłości w losie — może nawet i potęgi w obrazach; za to mniej sprytnych a niespodziewanych zwrotów, mniej ciętości i charakterystyki słabości ludzkich, a przez tos amo większa jednostajność i — co za główną wadę autorowi poczytać można — niejednokrotne powtarzanie się w obrębie jednego tomu. Druga rzecz, którą nasz wschodni gust zarzucić tu może — to lubowanie się w okropnościach grobowych, właściwe jednak nie Ballartowi samemu, ale stanowiące jeden z rysów charakterystycznych hiszpańskiej sztuki. Dowodem tego są dawne i nowożytne obrazy hiszpańskich mistrzów; dowodem sam fakt, że zdobiący kruchty naszych kościołów tradycyonalny t a n i e c ś m i e r c i urodził się na iberyjskiej ziemi, skoro francuską jego nazwę *danse macabre* uczeni wywodzą od arabskiego wyrazu *magbarah,* tj. cmentarz. Ludy Europy różnie zachowują się wobec śmierci: Polak patrzy na nią ze łzą w oku i modlitwą na ustach, patrzy jako na rzecz smutną, ale prostą, której widoku unikać byłoby dziecinną słabością; Anglik i Niemiec z powagą i odwagą, ale stokroć smutniej, gdyż najczęściej bez wiary w modlitwę: u mniej wykształconych *ein schönes Begräbniss* staje się szczytem marzenia dla siebie, a nieraz zupełną pociechą po zgonie swoich. Francuz — tak dzielny na polu bitwy, tak bohaterski nawet na rusztowaniu, w życiu codziennem lęka się śmierci i wszelkich jej przyborów: obyczaj nie dozwala żonie iść za trumną męża, ani córce oddać ojcu ostatniej posługi. Włoch

przeciwnie, ściele na swe mogiły tyle białych marmurów, tyle róż i zieleni, tak się upaja ozłacającem je słońcem, iż wkrótce wśród tego blasku i woni już tylko o tem pamięta, że mu na świecie żyć słodko. Hiszpan zaś, uczucia swoje tak jak i bogactwa zwykle noszący na zewnątrz, trumny artystycznie ugrupowane wystawia po sklepach, z pogrzebu czyni widowisko, a w malowidłach i wierszach rozkopuje cmentarze, aby ich zawartością nakarmić wzrok czytelnika lub widza. Dlatego na tym punkcie nawet nie będziemy z Ballartem się kłócić. Najlepiej jednak zostawić o nim sąd czytelnikowi, prosząc go, jak poprzednio, aby niejedną usterkę, którą spostrzedz może, kładł na karb przekładu a nie samego autora:

Cyprys i wierzba płacząca.

(Wiersz pisany do przyjaciela po śmierci tegoż syna r. 1884).

Tak mi gorzko na duszy, że dzisiaj daremnie
Pociech i ukojenia żądałbyś ode mnie.
Przyszedłem tu zapłakać nad twoją żałobą,
Lecz tem, czego sam nie mam — jak dzielić się z tobą?
Gdy już komu śmierć kirem zasępiła duszę,
Temu, póki trwa życie, trwać będą katusze.
Trzeba ci przyjąć twoje w ciszy i pokorze:
Ludzie nań zasługują a Bóg je rozsyła;
Każda kara jest dobra, choć nas boleć może:
Gdyby nam była miłą, karąby nie była.
Ja, co krzyż mój w głąb serca milczącego grzebię,
Wszelkie ludzkie pociechy odrzucam od siebie;
Noszę go bez oporu i skroń pod nim chylę,
Jemu poświęcam każdą życia mego chwilę,
I nie dałbym tej gorzkiej, głębokiej żałości
Za wszystką rozkosz świata, za wszystkie radości.

Wieczorem, gdy dokoła pada zmierzch ponury,
Idę nad grób. Tu między cmentarnemi mury
Wieczna cisza: tu do mnie smutne i milczące
Przemawiają cyprysy i wierzby płaczące.
Wierzba, która ku ziemi łzy wieczyste leje,
I cyprys, który szczytem wskazuje niebiosy,
Cicho, tajemniczemi mówią do mnie głosy:
Wierzba powiada: Zapłacz! — Cyprys: Miej nadzieję!

Wierzba mówi: W tę ziemię twardą i zmarzniętą
Wszystko coś tutaj kochał na wieki zamknięto.

Owa słodka istota, co ci światem była,
Z prochu niegdyś stworzona — dzisiaj w proch wróciła.
Już ci jej głos najmilszy nigdy nie zadzwoni,
Już jej dłoń twej zbolałej nie ochłodzi skroni,
Nie odezwie się bicie jej wiernego łona,
Nie wyciągną ku tobie najdroższe ramiona.
Jej źrenica — spojrzeniem czystem a głębokiem,
Nigdy z twem zatęsknionem nie spotka się okiem:
Dzisiaj jej białe ręce śmierć pod ziemią toczy,
Oniemiały jej usta i zagasły oczy;
Z prochu była stworzona i dziś w proch wróciła:
Więc płacz! płacz! — radość twoja snem przelotnym była!

Cyprys mówi: O! nie chyl ku ziemi spojrzenia,
Ale wzrokiem i myślą leć w niebios sklepienia!
Marną tylko powłokę ta mogiła kryje,
A duch jasny i wolny w wiecznej chwale żyje.
Żyje i cichy świadek twych czynów — w pomroku
Długich nocy bezsennych czuwa przy twym boku.
Kiedy wir namiętności twą duszę unosi,
Rzuca się do stóp Boga i za tobą prosi,
A gdy w niej siła cnoty odnieść tryumf zdoła,
Wnet nad twem łożem skrzydła roztacza złociste,
I krążąc lekko nakształt dobrego anioła,
Nasuwa dobre myśli, oddala nieczyste,
Zwolna skroń twą spowija w obłok zapomnienia
I snu twojego strzeże i chwil przebudzenia.
O człowiecze, patrz w niebo! Stamtąd blask widnieje
Dla tych co zwyciężają! — Wierz i miej nadzieję! —

Tak o zmroku, gdy w górze gwiazdy wschodzą drżące.
Owe drzewa grobowe smutne i milczące,
Tajemniczemi do mnie przemawiają głosy:
Cyprys, który swym szczytem wskazuje niebiosy,
I wierzba, co ku ziemi łzy wieczyste leje.
Ta mówi: Płacz! — Ów głosi nadziei zaranie...
Więc ja, co Twe wyroki uwielbiam, o Panie!
Pokorny cicho płaczę — ale mam nadzieję!
. . . . . .

Utwór ten — jeden z najbardziej typowych z pomiędzy utworów Ballarta — mógłby sam jeden starczyć, aby dać o nim wyobrażenie; byłoby jednak szkoda na nim poprzestać. Inny, mniej osobisty a bardziej zbliżony do poezyj Campoamora, brzmi jak następuje:

Dzwony.

W naszej dzwonnicy okna w cztery patrzą strony,
A w oknach zawieszone cztery dźwięczą dzwony
I mówią — czasem lekko, a czasem poważnie,
Bez słów, a tak wymownie! I kiedy uważnie
Słucham, mogę rozróżnić według brzmienia dzwonu,
Czyli zwiastują radość, czy żałobę zgonu.
Mniejsze nucą: Hosanna! Dziś ziemię znikomą
Opuściła duszyczka w archaniołów pieniu! —
Dwa wielkie mówią: Dzisiaj w trwodze i milczeniu
Odeszła biedna dusza... Dokąd? — Nie wiadomo!...
I tak w zmiennej kolei, różnem brzmieniem tonu,
Głoszą wesele niebios albo żałość zgonu.
Wiem, że czy będę blizki czyli oddalony,
Wszędzie mnie głosem swoim dolecą te dzwony.
Lecz skoro tak są zmienne, któż naprzód odgadnie,
Jaka następna kolej w dzwonnicy wypadnie?
Ja sam myślę, lecz nigdy nie wiem, czy głos dzwonu
Przyniesie mi Hosanna, czyli jęki zgonu.
Lecz cóż stąd? Wszak lecący w błękitu sklepienia,
Dźwięk ten zawsze jest echem jakiegoś cierpienia:
Głosi światu, iż ziemską powłokę człowieka
Prędzej-później lecz pewno los jednaki czeka,
Gdyż poważne czy lekkie zawsze bicie dzwonu,
Nawet gdy brzmi radośnie — niesie wieści zgonu.
. . . . . .

Trudno jest oddać w przekładzie jednostajność melodyjnego rytmu, stanowiącego główny wdzięk powyższej poezyi; widać z niej jednak, że w istocie „czy jest blizki czy też oddalony“, zawsze głos żałobnego dzwonu dźwięczy w duszy autora, że jest jednym z tych ludzi, — mniej rzadkich niżby się zdawało — którzy dotknięci nieszczęściem mają wrażenie, że utracili swoje miejsce pod słońcem, i — nie przypuszczeni jeszcze do grona umarłych — nie mają się już prawa zaliczać do żywych. Wiersz pod tytułem *Humildad* jest jednym z rzadkich pod tym względem wyjątków, coś jakoby krajobraz Salwatora Rosa bez białego konia:

Pokora.

O myśli! co w gwiaździste wylatujesz szczyty,
Zważ, byś się nie zbłąkała pomiędzy błękity;

Trzeba ci zwinąć skrzydła i lot zniżyć trzeba,
O myśli! co tak dumnie wzlatujesz do nieba!
Strzeż się rozumów ziemskich, co szalonym czynią,
Niech ci roztropność będzie światłem i mistrzynią.
Zapytaj tych, co w górę zbyt lotnemi pióry
Wzbili się ponad wichry, pioruny i chmury,
A ujrzysz że znaleźli — zwykłe, smutne dzieje!
Zawód, co łamie skrzydła i mrozi nadzieje.

Są w górze strefy zimne, martwe, kędy skrycie
Śmierć sama jedna czuwa czyhając na życie.
Im wyżej człek się wznosi, tem za sobą dalej
Zostawia źródło życia. W nadpowietrznej fali
Wielkich przestworzach pusto; tam próżno wokoło,
Piersi szukają tchnienia, światła żebrzą oczy.
Krople krwawego potu blade noszą czoło,
Straszliwy zawrót myśli zamąca i mroczy,
Wkońcu zsiniałe członki mróz ogarnia zdradnie:
Wśród próżni, ciszy, mroku, śmierć samotna władnie.

Podobny los i dumę człowieczą spotyka,
Gdy zuchwałem spojrzeniem w rzeczy boskie wnika.
Gdy w nadziemskich tajemnic badanie się ciska,
Im wyżej chce dosięgnąć, tem mniej światła zyska.
Im śmielej swą czczą wiedzą rozum walczy hardy,
Tem niżej wszechmoc bożej spycha go pogardy.
O myśli! co tak dumnie wzlatujesz do nieba,
Trzeba ci zwinąć skrzydła i lot zniżyć trzeba,
Wiedz, że najwyżej sięgniesz pokorą do Pana:
Że człowiek jest największym, gdy padł na kolana!
. . . . . .

Ostatnie zdania zawsze piękne, chociaż nie nowe, więc nie możemy mieć za złe poecie, że je powtórzył; za to można w całym utworze dostrzedz pewną sztywność, która znika zupełnie, kiedy pisze mniej z głowy a więcej z serca. Posłuchajmy np. rzewnej skargi, umieszczonej pod nazwą *Aspiracion* niemal przy końcu książki:

Miałem nadzieję, że Bóg mnie zostawi
Przy tobie, cichą cieszyć się starością,
I że ją słońce twej zimy zaprawi
Spokojem, ciepłem i serca światłością.
Miałem nadzieję, że prawica Boża
Da nam wśród gwaru zgiełkliwego świata

Przejść ręka w ręce przez życia bezdroża
Jakoby siostrze przy ramieniu brata.
Miałem nadzieję, że oba strumienie
Naszego życia tak wspólnie przepłyną,
Jak dwa gołębie co pod lasu cienie
Skrzydło przy skrzydle wlatują i giną.
Nadzieja pusta! Sen marny, zdradliwy...
Jakże odmienny zapadł wyrok boski!
Przeżyłem młodość w płochości burzliwej —
Starość mam przeżyć wśród znoju i troski.
Zbyt późno owoc miłości dojrzewa:
Za młodum wyssał wszystek kwas i gorycz,
A dziś zaledwiem jął kosztować słodycz,
Już wonny owoc opada mi z drzewa!
Dolores! żono! drużko moja miła,
Pociecho, w którą duch strapiony wierzył!
Stracić twą miłość, co mi życiem była,
Jest stracić wszystko, com na świecie przeżył.
Dlatego w żalu próżno szukam ciebie,
Wołam twe imię i w niebo spoglądam,
Dlatego ludzi odpycham od siebie
I tylko śmierci, śmierci, śmierci żądam!

Oni mi mówią, że to rzecz szalona
Miłować tyle i sercem tak stałem,
Że taka boleść, gdy nieutulona,
Jest nie żałobą, lecz czemś czczem, zuchwałem.
Że każde ciało ludzkie chwastem, senną chwilką
Jest każde życie, a radość złudzeniem,
Każda nadzieja ludzka jest mgłą tylko,
Którą najlżejszem wiatr rozwieje tchnieniem.
Że jest bluźniercą człowiek, który czoła
Pod wyrok niebios natychmiast nie skłania,
Że cześć tej woli najwyższej jest zgoła
Pierwszą podstawą ludzkiego zadania...
A ja ich słucham milczący, zbolały,
Surowe sądy przyjmuję w pokorze,
Ach! oni znają teologię może —
Ja umiem kochać, to mój rozum cały.
Umiem rzec tylko, że długo nie mogę
Znosić bez skargi tak głębokiej rany,
I że jest smutno w twardą życia drogę
Iść tak samotny i taki znękany.
Wy powiadacie, że czas mnie ukoi
I że ucichną mego żalu echa?
Ależ tem bardziej śmierć mi się uśmiecha,
Gdyż umierając chciałbym myśleć o niej!

O! jakże mało ten co mi tak prawi
Zna tego Boga, choć moc Jego wzywa!
Dobrego Boga, co choć serce krwawi,
Wnet je miłością i łzami zalewa.
O! jakże mało zna ów mędrzec pusty,
Tego co ludzkiej chcąc ulżyć żałości,
Żółć gorzką przyjął odważnemi usty,
I dał nam życie na dowód miłości.
Co nam krwi Serca swego nie żałuje
I wieczny ogień roznieciwszy z siebie,
Rzekł nam: Miłujcie się jak was miłuje
Wieczysty Ojciec wasz, który jest w niebie.
Co daje w zamian miłości straconej
Boskich miłości ogrom niepojęty,
I sam na drzewie krzyżowem rozpięty,
Z wyciągniętemi czeka nas ramiony.
Czyliż Ty żądasz, Boże, tej ofiary,
By serce nasze, gdy je boleść zwarzy,
Zaprzysiężonej wyrzekło się wiary,
Wiary stwierdzonej u stóp Twych ołtarzy?
Toć jest w twej księdze, kędy przechowano
Balsam dla wszystkich serc zalanych łzami,
Rzewny a wzniosły śpiew, który nazwano
Po wszystkie wieki: „Pieśnią nad pieśniami".
A ta Idylla, co w swych kartach snuje
Cudowne dzieje świętej tajemnicy,
Toć miłość Boga do duszy maluje,
Jak oblubieńca do oblubienicy!
Kto miłość moją takiem uroczystem
Czci porównaniem — czyż ją ganić może?
I czyż pogardzisz uczuciem tak czystem,
Ty, coś miłością samą, dobry Boże!
Znam twoją łaskę bez granic, bez cienia,
Wiem, że jej nigdy nie wzywam daremnie;
Szepcząc twe Imię, już czuję, że we mnie
Całe się niebo szczęścia rozpromienia.
Twa miłość, źródło przeczystej słodkości,
Życie rozlewa po ziemi i niebie,
Kto Cię nie poznał, nie wie o miłości:
Bo któż ją na świat przyniósł okrom Ciebie?
Jasny jak światła dziennego promienie,
Jej żar we wszystko bezustannie wnika.
O wietrze! gaju! morze! Wasze tchnienie
Wszak to nie pusta i bez słów muzyka!
W was wszystko mówi i jedno wyraża
Wspólną modlitwą, co z wszechświata płynie:

„Kocham!“ płaz szemrze w przepaści głębinie,
„Ach, kocham!“ anioł w niebiosach powtarza.
I gwiazdy, księżyc i złoty krąg słońca,
Łącząc się z pieśnią cierpieniem wezbraną,
Ziemi i morza — śpiewają bez końca
Tę upragnioną miłość — już im daną!
. . . . . .

Luba! gdy serce, co dziś w bólu tonie,
Do snu nareszcie śmierć utuli cicha,
Kiedy ten oddech, co za tobą wzdycha,
Na zawsze w biednem ukoi się łonie,
Kiedy to ciało zbolałe głęboko
Legnie zasnute pod grobu zielenie
I w wieczną ciemność otworzy swe oko,
A słuch na wieczne otworzy milczenie,
Kiedy na nędzne te szczątki zgubione
Wśród cieni wielkiej cmentarza kostnicy,
Całun, stróż wierny grobu tajemnicy,
Swych sztywnych fałdów ułoży zasłonę —
O! wtedy duch mój uleci w niebiosy,
Tem jaśniejący nad czem dziś boleje:
Wszak i łzy, które noc posępna leje,
Na skroniach zorzy lśnią kroplami rosy.
Wtedy w niebiańskie przestworza wzniesiony,
Kędy jęk skargi zamiera na progu,
Mój umysł ziemski bez ziemskiej obsłony
Oglądać będzie nieskończoność w Bogu.
I ciebie ujrzę!... Lecz kiedyż zadnieje
Ta radość? — Kiedy! Czyż pytać przystało?
Ten, który posiadł wiarę i nadzieję,
Ten może czekać choćby wieczność całą!
. . . . . .

Przepyszny jest polot ostatniej części tej pieśni, piękny zwłaszcza musi być duch poety, który wśród potoku własnych łez dostrzega wielki, acz „cierpieniem wezbrany“ hymn miłości bożej, w owej harmonii natury, kędy pesymiści naszego wieku nauczyli nas słyszeć tylko zgrzyt wiecznej walki i skargi. Zna on ich jednak dobrze, tych pesymistów — zna wszystkie górnobrzmiące teorye o „wieczności materyi“, o przechodzeniu ducha ludzkiego przez różne stopnie, z jednego ciała w drugie — snać próbował sam lub próbowano uciszyć niemi jego nieszczęściem wzburzoną wyobraźnię; do jakiego stopnia jednak cała jego

prosta i prawa natura stanęła dębem przeciw owym uczonym mrzonkom, świadczy jego poemat *Ultra*, raczej filozoficzny już niż liryczny, a którego dla braku miejsca możemy podać tylko wyjątki, a i te z obawą, że czytelnikowi wydadzą się zbyt długie. Cały poemat grzeszy nieco długością swoich rozmiarów, wśród nich znajdują się bardzo wzniosłe ustępy, które bez wątpienia występowałyby silniej, gdyby je autor oczyścił z niepotrzebnych a nieco nużących dodatków. Odnajdujemy tu w prologu drogie autorowi drzewa cmentarne:

Ultra.

To die... to sleep... To sleep?... Perhaps to dream!
Shakespeare.

I.

Zbudź się, o serce moje! już przyszła godzina!
Już na wieczorną schadzkę czeka z upragnieniem
Twa towarzyszka jedyna,
Samotna tam i biedna pod cyprysów cieniem.
Zbudź się, zbudź! Już się zwęża wzdłuż niebios przestworzy
Wstęga zmroku podobna jasnej wstędze zorzy:
Lecz nie — tak dziwnie odmienna!
Ta słońca światłość promienna,
Co zwolna wielkie nieba sklepienie przepływa,
Jakże wstaje u wschodu radosna i żywa!
Jak smutna na zachód wraca...
Tam zorza wdzięcznie się śmieje,
I rosą dnia nowego kolebkę ozłaca,
Tu — zmrok nad jego łożem śmiertelnem łzy leje —
Tu się konanie zaczyna,
Zbudź się, o serce moje! już przyszła godzina!

Godzina ciszy świętej, ciszy uroczystej;
Ptak do swojego gniazda powraca w milczeniu.
I z kościelnej wieżycy kędyś w oddaleniu
Płynie wieczornej skargi dźwięk smętny i czysty.
Noc już swych kirów ciemność po ziemi rozsiewa.
A szelestem tak lekkim, że go żaden wkoło
Nawet wietrzyk nie chwyta — mdłe grobowe drzewa
Swój czar posępny leją na me blade czoło.

One mnie dobrze znają, te drzewa cmentarzy!
Widzą me łzy i boleść i za swego liczą;
W moje ucho, jakby przyjaciele starzy,
Ciche zwierzenia swoje szepczą tajemniczo:

A że do nich należę, tak wszystkie są pewne.
I że nie mam mieszkania oprócz tej mogiły —
Że gdy wśród ciemnej nocy znękan i bez siły
Wstaję, by się oddalić z cmentarnego szlaku,
Szumią wołając za mną zdziwione a rzewne:
„Dokądże idziesz? dokąd, umarły biedaku?“

Tutaj duch się podnosi, lecz i żalem pała,
Patrząc w marną znikomość ziemskiego żywota:
Czem jest człowiek? Niestety, źdźbłem, którem wiatr miota!
Kłamstwem jest jego wiedza, dymem jego chwała.
Nic w nim morderczej śmierci nie ujdzie potędze,
Kto raz zginął z przed oczu, i z pamięci ginie.
Nawet wdzięczność i miłość wraz z latami spłynie...
Czytam to w tym cmentarzu jak w otwartej księdze:
W tych ścieżkach, kędy trawa porasta swobodnie,
W tych opuszczonych grobach, gdzie jakby z litości
Styczeń ściele zasłonę śnieżystej białości,
Lub całun bladych liści ślą wiatry zachodnie.
Tam zaś w głąb — nawet wiatru poświst nie doleci,
Tam otchłań, kędy żadna gwiazda nie zaświeci,
Ni się ciepło słoneczne promieniem dostanie:
Tam wkoło tylko pustka, samotność, milczenie...
Lecz jeśli grób jest głębszym nad wszelkie otchłanie,
Nad grób jest jeszcze większa otchłań — zapomnienie!

O! jakże wszystko marne! Jakiż cel dosięga
Każde dobro człowiecze? Sława, młodość ginie,
Ginie talent i piękność, bogactwo, potęga —
Cóż tedy jest pewnego w życiu? — śmierć jedynie!

Lecz poza nią — co dalej? Ciemność niezbadana,
Przepaść nieskończoności czarna i nieznana,
Tajemnica!
Tu falą mdlejącą bez siły
Życie ludzkie dopływa aż do wrót mogiły,
I gaśnie, kiedy dopływa.
A za mogiłą cóż leży?
Przystań szczęśliwa —
Czy nowe morze bez dna ni wybrzeży?

Gdziekolwiek ludzkie zwłoki oglądam zastygłe,
Staję przerażon, niemy i wstrzymuję tchnienie:
Ta sztywność nieruchoma, zimna i milcząca,
Jestże to sen, bezwładność, spokój czy cierpienie?
Ciemne zadanie, ludzkiej wiedzy niedościgłe,
Przepaść, kędy myśl tonie wśród wirów bez końca!

I w te wiry zapuszcza się autor śmiało, ważąc na szali rozsądku i uczucia teorye materyalizmu wobec śmierci, poczem nie przypuszczając powrotu do nicości, pisze dalej:

Zaiste, smutna prawda ale oczywista:
Jeżeli Bóg istnieje, jest i sprawiedliwość,
A złość zbrodni i cnoty zasługę wytrwałą
Musi kiedyś wyrównać zapłata wieczysta
Straszną męczarnią piekieł albo niebios chwałą.
Jeśli Bóg nie istnieje, lub jego potęga
Na zewnątrz poza Jego istotę nie sięga,
Jeśli światów z nicości nie wydobył łona,
Wtedy — natura jest wieczną:
Wieczną bowiem być musi, gdy jest niestworzona.
I jeśli się w jej głębi żaden duch nie mieści,
Jeśli się sama rządzi i kieruje sobą,
Musi też cała cierpieć w wieczystej boleści,
Wtedy — świat będąc wiecznym, a wieczność żałobą,
W miejsce kary piekielnej ze zgrozą ujrzymy
Gorsze piekło — bo żywot wieczysty na ziemi.

Jedno życie po drugiem? — Okropne widziadła!
Mara konania bez końca!
Po ciemnościach grobowca ma zimna, wybladła
Wstać zorza nowego słońca —
Nieubłaganej, wiecznej, okrutnej potęgi?
Za otchłanią znów góra! — Znów otchłań po szczycie!
Za kołem widnokręgu nowe widnokręgi,
Inne i znowu inne... wciąż dalej i dalej!...
Niedoszły płód mogiły — każde ziemskie życie,
Gdy słaby jego ogień na wiatr się wypali,
Kończy się wśród katuszy nowego konania,
By z śmierci zrodzić męki nowego zarania!
Walka wre bezustanna, zaciekła, milcząca.
Na tę zamarzłą ziemię, którą dziś szalony
Wiatr jesieni odziera z zielonej obsłony,
Wiosna potężna i lśniąca
Swoich złocistych skarbów roztoczy purpury.
Matka ziemia, co dotąd w miłości bezwiednej
Tuliła na swem łonie każdy szczątek biedny
Tego co niegdyś było — użyzniona z góry
Rozgrzewającą falą wiosennych promieni,
W zaród życia i siły młodzieńczej zamieni
Tych szczątków martwo w pyle drzemiącą zgniliznę.
Wciągnięte w głąb spragnionych, roślinnych korzeni
Ślepe roje atomów, dzisiaj rozproszone,

Pod żarem słońca w soki obrócą się żyzne,
Z nich czerpiąc woń i barwy, gałązki zielone
Przyobleką się w kwiaty. Kwiat słodkich owocy
Świeżą dań człowiekowi pod nogi położy,
Dań, co do źródeł jego żywota i mocy
Nowych sił lejąc zdroje — rzędy nieskończone
Nowych pokoleń wiecznej ludzkości przysporzy.
O grobie! w ciemnicy twojej,
Którą śmierć czernią żałoby powleka,
Chmara robactwa się roi,
I zgłodniała bój toczy o szczątki człowieka.
A ludzie — tłum niespokojny,
Wylękły, zgiełkliwy, rojny,
Są podobnie robactwem, które w innym grobie,
Inną, równie ohydną pożera zgniliznę.
Dziwna zaiste biesiada:
Ćma jednych istot inne istoty wyjada,
I nienasycona a wściekła,
Codzień odnawia wszystkie okropności piekła!
I nic tej niemej, dzikiej walki nie przerywa.
Życie się karmi śmiercią a śmierć karmi życiem,
I — tajemnica straszliwa!
Pod cichem ziemi pokryciem
Dumna istota ludzka na proch się zamienia,
A proch marny w istotę ludzką rozpromienia.

. . . . . .

Gdym przeto jest na życie skazan i cierpienie,
W czemże zdoła mi ulżyć lub ująć żałości
Głuche przebytych kędyś bólów zapomnienie,
Lub ciemna nieświadomość bolesnej przyszłości?
Myśl niespokojna szarpie się i miota,
By poprzedniego mojego żywota
Lub następnego tajne zgadnąć dzieje —
Próżno! — Tu pamięć gęsta mgła zakrywa,
A tam się nagle złota nić urywa
Z przędzy, skąd snułem przyszłości nadzieje!
Jeśli nawet w obecnym żywocie znikomym
Ślad radości i smutków w myśli się zaciera,
I czas je w locie zabiera,
Jak ślady ludzkiej pracy na piasku ruchomym —
Tem bardziej zapomniane albo nieprzeczute
Chwile słodyczy i chwile cierpienia
Przeszłego i przyszłego naszego istnienia,
Muszą pozostać chmurą tajemnic zasnute.
To też zawarte w kole spiętrzonych ciemności,
To życie pełne nudów, łez i trosk jest tylko

Jedyną znaną nam chwilką
Wśród dwóch nieznanych wieczności.
. . . . . .

Blady, drżący, bez celu, bez myśli, bez głosu,
Człowiek wpatrzon w szczeliny ściany nieprzebytej,
Za którą dlań świat przeszły i przyszły zakryty,
Chyli się nad zagadką ciemną swego losu,
Jakoby nad przepaścią. Trudno kark wygina,
Nic nie widzi, nic nie wie. Lecz jeśli posłucha,
Wrzawa dalekiej walki doleci go głucha —
Skarga, od której dźwięku krew w żyłach się ścina.

Żyj więc w dzikiej ciemności, duszo niecierpliwa!
Jedna tylko jest pewność jasna, niewątpliwa:
To jest obecne cierpienie,
Cierpienie, gdzie z wrażeniem minionych boleści,
Następnych bólów groźna zapowiedź się mieści.
Każde żyjątko świata — to jeniec bezwiedny;
Czarną czeluścią każda z gwiazd lśniących na niebie,
A gdy duch przerażony patrząc wkoło siebie,
Pyta, gdzie koniec męki, w której żyje biedny —
Natura odpowiada w jeden głos złączona:
Nigdy! —
O! ta wszechświata harmonia sławiona —
Wieczny jęk wiecznej żałości!
O! krynica istnienia czarna i bezdenna!
O! ta praca ludzkości bezpłodna, niezmienna!
Nieskończoność przelewać do nieskończoności!...

I toż jest czara wesela,
Jaką mi w tem śmiertelnem udręczeniu ducha
Zimny ateizm udziela?
Ciemności i rozpacz głucha!
Gdy drżącą ręką księgę żywota otworzę,
Wszędzie, wszędzie cię widzę nieznana wieczności;
Myśl sili się, by czytać na karcie przyszłości,
I wierzy w zło, gdy w dobro już wierzyć nie może.
. . . . . .

Kędyż jest nicość? — Mówcie! Kędyż się zawiera
Spokój, za którym dusza szaleje stęskniona!
O! nie w tym martwym świecie, gdyż wśród jego łona
Żar bratobójczej walki nigdy nie zamiera:
Bez Boga, bez pojęcia o wszechmocy bożej,
Ogrom natury przygnębia i trwoży.

II.

Lecz patrzcie! Nagle między zgęszczonemi chmury
Słaby płomyk nadziei wsuwa się i błyska,
Zwolna sumienia obszar ogarnia ponury,
Aż pod żarem promieni, które z siebie ciska
Stujęzyczna bezbożność, dumna z swej przemocy,
Wraz milknie osłupiała, jak ten, coby w nocy
Wpośród zamierzchłych cieni ujrzał niespodzianie
Białego ranka świtanie.

. . . . . .

Istnieje Bóg! Istnieje — i ja wierzę w Niego!
Nie jest marną ułudą mojego pragnienia:
Im dalej wzrok od światła odwracam ziemskiego,
Tem dokładniej Go widzę w jasnościach sumienia.
Ci, co istnienie Jego niepotrzebnem sądzą,
Choć się rzekomo szczycą ze swojej niewiary,
Chcąc swym wywodom prawdy nadać podobieństwo,
Przyznają, iż świat nasz stary
Poddan jest pewnym prawom, co nim stale rządzą:
Prawo bez prawodawcy? — Marzenie! szaleństwo!

Wszelako ten najwyższy Bóg, ten wszechmogący,
Jestże On zdrojem szczęścia wieczystym a żywym,
Czy źródłem nędzy, wiecznie ku niebu bijącej?
Jestże mściwym, łaskawym, czy też sprawiedliwym?
Czemże jest dla człowieka? Ojcem — czy tyranem? —
Czasem, gdy w dziełach Jego poznać Go pożądam,
Choć u stóp boskich sercem korzę się poddanem,
Uznaję w Nim tyrana — ojca nie oglądam...
Jeśli z prawicy Jego wszystkie wyszły twory,
Jeśli we wszystkich świeci blask Jego mądrości —
Przebóg! któż straszliwemi zaludnił potwory
Świata naszego ciemności?
Kto w całej ziemi posiał ból i szał i trwogę?
Kto ostrzy dzikich zwierząt zęby i pazury,
Kto ściele cierń zdradliwy pod nędzarza nogę,
Kto w niewinne rośliny wlał zatrute soki,
Kto dał jad żądłu węża? Kto spokojnie z góry
Patrzy na płatnych sędziów niesłuszne wyroki? —
Jeśliś jest Stwórcą dobrym i silnym, o Panie!
Kędyż jest źródło złego? — Okropne pytanie!...

Boże mój! Któż bez drżenia śmie zapuścić oko
W tajemnicę tak straszną i taką głęboką!
Jednak gdy mi twe światło w głębie duszy płynie,
Czuję ufność — ni boleść, ni zło mnie nie trwoży;

Zło nie jest dziełem twojem: jest próżnią jedynie,
Która tam gdzie Cię braknie na świecie się tworzy.
. . . . . .

Przebudź się, duszo strwożona!
Jeżeli wezwiesz Boga — to złociste wrota.
Strzegące wstępu jasnej krainy żywota,
Nigdy przed twem błaganiem nie staną zawarte:
Patrz tylko! — Są rozwarte, naoścież rozwarte!
Zaś czarnych otchłań bram
Bóg nie otwiera — człowiek otwiera je sam.

I czyż jest głębsza otchłań, jak twa myśl zamglona?...
Jak skazaniec, co dźwiga swych kajdan ciężary
Owite wkoło pasa, przykute do nogi,
Tak każdy grzech w sumienia katordze złowrogiej
Musi włóczyć za sobą ciężar swojej kary.
Próżno, próżno, nieszczęsny! duch twój się spodziewa,
Że zdoła kiedyś zrzucić losu swego brzemię:
Jeśli czasami ludzka sprawiedliwość drzemie,
Jest inna sprawiedliwość, najwyższa, straszliwa,
Co wiecznie czujne w tobie podnieca zgryzoty.
Darmo uciekasz — kara doścignie cię wszędzie;
Własnyś jest oskarżyciel i świadek swój własny,
I póki życia trwać będzie,
Póty samego siebie musisz dźwigać z sobą —
W samotności, wśród tłumu, wszędy, każdą dobą,
Zawsze — aż do śmierci proga!
Gdy wkoło ciebie wściekłe ryczą huragany,
Gdy rozszalałe wyjąc piętrzą się bałwany,
W każdej sile natury z drżeniem widzisz wroga.
Gdy znów wśród nocnej ciszy w ciemnym błądzisz borze.
I wzrok w gwiaździste niebios podnosisz przestworze,
Zimnym dreszczem głęboka przejmuje cię trwoga
W blasku tych ócz bez twarzy, których miliony
W głąb twojej duszy patrzą z pod cieniów zasłony.
. . . . . .
Boć sumienie grzesznika jest jaskinią czarną,
Kędy, rzekłbyś, nocnego ptactwa rój nieczysty,
Głuche żale i troski gnieżdżą się i garną —
I żyją pogrążone wśród nocy wieczystej.

Lecz ledwie się do Boga zwróci pełen wiary,
Już Bóg go niebieskiemi obsypuje dary,
I kąpie go w jasności i gorycz w nim koi,
I w cierpieniu oczyszcza, co grzechem skażone,

Gdyż cierpienie złem nie jest: jest to rozpalone
Żelazo, którem Stwórca serc naszych zepsucie
Wypala i zamarłe budząc w nich uczucie,
Wraz je uświęca i goi.

Biedne, zbolałe serce! O dobroci bożej
Nie powątpiewaj nigdy w chwilach twej niemocy;
Mów! Za kogóż masz Boga i co cię w Nim trwoży?
Przecież istota Jego jest doskonałością,
A dobroć Jego pewnością,
Moc Jego nieskończona — mądrości ogromy
Jak błyskawice i gromy!
A przed pięknością Jego każdy wdzięk więdnieje,
Każdy blask mrze i ciemnieje...
Dla Jego boskiej woli wszystko jest podobne,
W Jego boskiem pojęciu wszystko zda się drobne;
On bytu i niebytu Pan i Mistrz wszechwładny,
Zamienia w rzeczywistość to co niepojęte,
A to co oczywiste w sen marny i zdradny.
Biednych ludzkich próżności jakże nędzne losy,
Z wieku do wieku przejęte,
Wczorajsze cienie dzisiaj świecą pod niebiosy:
Stare błędy są prawdą, błędem prawdy stare...
Tylko twój rozum, Boże, pewną wzbudza wiarę!
W twem świetle — nieraz drżąca dłoń wiedzy przekreśli
Treść karty, którą spisała;
Nieskończoność się cała zanurza w twej myśli,
Wieczność w twojem obliczu kurczy się struchlała.
Odblaskiem twej piękności lśnią niebios sklepienia,
Wobec twojego najsłodszego tchnienia
Śmierci wyziewem zda się woń, jaką mdlejąca
Róża rozsiewa dokoła,
A grzejący promień złocistego słońca
Przed niepojętą światłością,
Bijącą wiecznie z twego najświętszego czoła,
Drży, szepcząc: Jestem ciemnością!

. . . . . .

Ta miłość, co ku Bogu wznosi się płomienna,
Wszelkiej doskonałości i wszechpiękna chciwa,
Owa nadzieja niezmienna,
Tem bardziej ufna i żywa,
Im więcej boleść w duszę gromadzi żałoby,
Ta wiara, co cień zwątpień rozprasza ponury —
Oto, co naszym sercom głoszą zmarłych groby,
Zwarte między cmentarza milczącemi mury.
Dlatego z myślą jeszcze mętną i niezdrową,
Ale z sumieniem zbudzonem,

Dlatego z sercem życia ciężkością znużonem,
Lecz z duszą w dalszą życia pielgrzymkę gotową,
Wierny do końca Bogu, a wierny i żonie,
Co uśpiona mnie czeka w twardem ziemi łonie —
Szukam cię, o samotna mogiło milcząca;
Wiem, że tu skarg mych echo nie powtórzy czule,
A jednak codzień stale, gdy gaśnie krąg słońca,
Bez trwogi i z miłością do twych wrót się tulę.

Na tem kończy się poemat, o którym luźne, podane tu ułamki mogą tylko niedokładne dać wyobrażenie. Ustęp ostatni zda nam się nieco słaby; ton podniesiony aż do niebiańskich zachwytów, zbyt raptownie się zniża. Jest to jednak zwykły los wszelkich zachwytów ludzkich — dusza chwilę porwana w górę, musi ze smutkiem powrócić na ziemię: gdyby było inaczej, ziemia byłaby niebem. Innych zalet lub wad już nie będziemy podnosić, wady bowiem uwydatniają się aż do zbytku w przekładzie, zasłaniającym niejedną zaletę i piękność. Jedno tylko dodać musimy: to, że jeżeli boleść zdolna jest ze zwykłego człowieka takiego zrobić poetę, a tego poetę wynieść na takie wyżyny miłości i wiary, to i nam wraz z nim uznać należy, że każde cierpienie jest darem mądrej a dobrotliwej ręki, i prosić o siłę, abyśmy ten dar na równi z nim dobrze użyć umieli.

T. W.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wydawnictwa „Nowej Biblioteki Uniwersalnej".

Jakób Burckhardt: „Kultura odrodzenia we Włoszech". Tom I. — Wł. Zagórski: „Nowele". Serya I, II, III. — Ks. Jan Piotrowski: „Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków". Wydał A. Czuczyński. — Ks. W. Kalinka: „Sejm Czteroletni". — St. Tarnowski: „Studya do historyi literatury polskiej". Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania. — José Echegaray: „Galeotto". Dramat w trzech aktach z prologiem. Przełożył Jan Kleczyński. — Abgar-Sołtan: „Z wiejskiego dworu".

Spory i poważny dorobek, którym poszczycić się może „Nowa Biblioteka Uniwersalna" w ostatnich kilkunastu miesiącach; samo w nagłówku umieszczone wyliczenie tytułów książek, któremi prenumeratorów swych obdarzyła, starczyć może za długie omówienia i pochwały. Autorzy, jak: Kalinka, Tarnowski, zanadto znani, a dzieła ich zanadto doniosłego znaczenia, aby nad zaletami ich w kilkunastowierszowej wzmiance się rozwodzić; co ważne i co wspomnieć należy, to że dzieła te znane dotąd częściej ze słyszenia, niż z widzenia, mogą obecnie dzięki „Bibliotece" dostać się do szerokich, jeśli jeszcze nie najszerszych, warstw społeczeństwa. Równie głośni zagraniczni pisarze: Burckhardt i Echegaray. Dramat tego ostatniego, „Galeotto", pełen głębszych myśli, różniący się tak korzystnie od królujących na naszych scenach niesmacznych francuskich fars, robionych na obstalunek niemieckich dramatów, obudza mimowoli chęć zapoznania się z innemi utworami

znakomitego hiszpańskiego poety: prawda, że, aby „Galeotta“ ocenić, nie dość czytać czy patrzeć — trzeba jeszcze myśleć.

Stosunkowo najsłabiej przedstawia się dział oryginalnych powieści polskich; co prawda, niełatwo o powieściopisarzy, którzyby geniuszem zupełnie dostroić się mogli do historyków, jak Kalinka; dramaturgów, jak Echegaray. Zresztą równie o nowelach p. Zagórskiego, jak Abgara-Sołtana pragniemy jeszcze osobno i obszerniej na innem miejscu pomówić. Tu zaznaczymy tylko, co niejednokrotnie o uszy nam się obiło, że lepiejby było dla „Biblioteki“ i bardziej odpowiadałoby ściśle dotąd przez nią chowanym tradycyom, gdyby parę z tych nowelek, traktujących nieco drażliwie o nieco drażliwych przedmiotach, gdzieindziej poszukało gościnności.

Na przyszły rok zapowiada „Biblioteka“ szereg interesujących prac. Dotkliwą lukę w polskiej literaturze wypełnić ma dzieło p. E. Lipnickiego: „Anarchizm w teoryi i w czynie“; sądząc po innych pracach tegoż autora, będzie to książka nietylko bardzo na czasie, ale i sumiennie obrobiona, gruntowna. Nie wiemy, czy prof. K. Morawski zamierza w „Szkicach ze świata klasycznego“ zebrać tylko razem i na szerszą widownię wyprowadzić wydrukowane już dawniej w paru miesięcznikach swe rozprawy; czy też nieznanemi, niewydanemi nas uraczy: pierwsze dobre i pożyteczne, drugie jeszcze lepszemby było. Z zapowiedzianych oryginalnych powieści i nowel winszujemy szczerze obiecanej przez Sewera: „Na szerokim świecie“; nie możemy się obronić przed pewną bojaźnią, wyczytując nazwisko Rodziewiczównej. Minęły, minęły, niestety! te czasy, kiedy autorka „Dewajtisa“ ciągnęła ku sobie ciekawość czytających, pieniądz kupujących; przyszły „One“, przyszły „Kwiaty lotusu“ i t. d. i t. d. — aż i ci, co naprawdę wierzyli w talent autorki i innym tłumaczyli, że to tylko chwilowa, zbyt przyspieszoną pracą spowodowana drzemka, obawiać się poczęli, czy ta ciągła drzemka nie jest znakiem zupełnego wycieńczenia sił... A może, może nowele, czy powieść „Z głuszy“, przerwie złowrogą głuszę, która zajmować zaczęła miejsce dawnego, aż zbyt hucznego rozgłosu.

Jak wiadomo, „Nowa Biblioteka“ zmieniła się od pewnego czasu z miesięcznika w dwutygodnik. Daje on rocznie swym czytelnikom, za istotnie nadzwyczaj nizką cenę 6 złr., 180 arkuszy druku, czyli 3000 stron. Nadto całoroczni prenumeratorowie mają sobie obiecaną „cenną premię“... Niechże treść bogata, cena nizka, premia cenna, zwabia „Bibliotece“ tysiące prenumeratorów, a tysiące i tysiące pilnych czytelników.

Z najnowszych powieści polskich [1].

Siostry. Przez *Zofię Kowerską.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894.

Poważny warszawski krytyk, którego nietrudno poznać po inicyałach *Ch.*, pisze w dłuższej ocenie „Sióstr", umieszczonej przed kilku miesiącami w lwowskim *Przeglądzie:* „Do oceny powieści pani Kowerskiej krytyk zabiera się z pewnem z góry powziętem zaufaniem;... wie, że mu dała utwór zdrowy, szczery, głęboko pomyślany". Kto sobie przypomina umieszczone na tem miejscu sprawozdania z innych, dawniejszych książek utalentowanej powieściopisarki, ten wie, że odzywaliśmy się o nich w tych samych niemal wyrazach. Tem nam przykrzej, że właśnie mówiąc o „Siostrach", nie możemy bez pewnych zastrzeżeń pochwał tych powtórzyć. Oczywiście w porównaniu do wielu, bardzo wielu innych powieści, romansów, opowiadań licznych kolegów i koleżanek po piórze, zawsze powiedzieć można, że utwór to i zdrowy i głębiej pomyślany; ale p. Kowerska sama słusznie czućby się mogła obrażoną, gdybyśmy przykładać do niej mieli tę samą miarę, co do gęstego, szarego tłumu wyrastających, jak grzyby po deszczu, fejletonistów.

Główne tło „Sióstr" nie nowe. Starsza siostra Józefa ma wszystkie przymioty duszy, serce najszlachetniejsze, siłę charakteru; ale ma, niestety! męża do niczego, głupiego blagiera, który nagle umierając, zostawia żonę bez kawałka chleba. Młodsza, Mania, istota zimna, samolubna, płytka, zdobywa sobie piękną twarzyczkę idealnego męża, Zygmunta Belmońskiego, ale ani małżeńskie, ani nawet później macierzyńskie obowiązki, nie wyleczają jej z zamiłowania zabaw ponad wszystko, z karygodnej lekkomyślności, która nieraz tak daleko się posuwa, że właściwie na inne już mianoby zasługiwała. Józefa, znalazłszy się nagle zupełnie osamotnioną, znajduje z natury rzeczy przytułek w domu siostry, i tu od razu, z równą energią jak miłością, bierze w rękę wychowanie zupełnie przez matkę zaniedbanego Jasia. Doszedłszy do tego punktu, powiada sobie czytelnik, choćby z natury nie był obdarzony zbytnią domyślnością i choćby nie miał na sumieniu przeczytania zbyt wielu powieści: „Teraz idealna para: Zygmunt i Józefa, na śmierć się w sobie zakocha". Autorka nie chce domyślnemu czytelnikowi sprawić zawodu: Zygmunt i Józefa rozkochują się w sobie, coraz bardziej, coraz silniej — jeszcze jeden krok, a idealna para

[1] Por. *Przegląd Powszechny:* sierpień 1890; kwiecień 1892; maj 1893; styczeń 1894.

idealnąby być przestała. Na szczęście w ostatniej chwili, nagły pożar w fabryce, jęki nieszczęśliwych, widok ran, boleści strasznych, przywołuje do przytomności oszołomioną kobietę: wyrywa się całą siłą woli z niebezpieczeństwa i ucieka do Szarytek. „Głośny jęk niedoli — szepcze na drodze do Warszawy — ocalił mię od największego nieszczęścia, od pogardy dla samej siebie, więc pocieszeniu niedoli oddam resztę życia“...

Już z krótkiego tego streszczenia przebijają główne zalety i wady powieści: ślizkie nieraz ścieżki, po których kroczy, zbyt wielka rola, udzielana przypadkowi, za często w mnogich innych powieściach spotykane sytuacye, charaktery, zawikłania. Zakończenie samo w sobie piękne, ale tylu powieściopisarzy, w ostatnich latach i miesiącach, wprowadza nas na ostatnich stronicach swej nie zawsze budującej fabuły, do klasztoru Szarytek, że stało się banalnem: prócz ślubnego kobierca, strzelenia sobie w łeb i białej celi Szarytki, możnaby może jeszcze czwartą jaką receptę na ostatni rozdział wymyśleć! Kornet Szarytki — mniej to widoczne w „Siostrach“, niż w innych powieściach, ale i do „Sióstr“ się odnosi — zakryć ma i uniewinnić wszystkie drażliwe szczegóły, ślizkie sytuacye poprzednich rozdziałów; nadać całej powieści piętno moralnej, odpowiedniej dla każdego wieku i stanu. Tymczasem nawet w „Siostrach“, choć widocznie w bardzo poczciwej myśli pisanych, „kornetowy“ paszport nie wystarcza, wystarczyć nie powinien do otworzenia wszystkich bez wyjątku bram, drzwi, drzwiczek: cóż dopiero o innych powieściach powiedzieć!

Polubowna ugoda. Przez *Abgar-Sołtana.* Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.
Nie ma metryki. Obrazek z życia podolskiego. Przez *Abgar-Sołtana.* Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.
Z wiejskiego dworu. Nowele. Przez *Abgar-Sołtana.* W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895.

Młody Aleksander, dziedzic woydałowskich włości, zamieszkałych przez czynszową szlachtę, nudzi się we wspaniałym swym zamku; próbuje dręczącą nudę, zwiększający się niesmak odegnać pijaństwem, hulanką w gronie łaszących mu się pieczeniarzów — ale nuda ustąpić nie chce. Nuda, rozpusta, podszepty podłych służalców, pchają go od awantury do awantury, od szaleństwa do szaleństwa; popchnęły i do ciemiężenia osiadłej od wieku w jego majątkach szlachty, do niemożliwego podwyższania czynszów, do kłótni, do ciągnących się bez końca procesów. Napróżno kuzyn Aleksandra, wielki a zasłużony mir między szlachtą mający Kazimierz, usiłuje z jednej strony wpłynąć na swego krewnego, aby odstąpił od nieuprawnionych żądań; z drugiej mityguje

czynszowników, odsłania brudne intrygi kilku podżegaczów, którzy dla własnego interesu z zamkiem ich pragną poróżnić, do włóczenia się po sądach namawiają, rozszerzają niestworzone bajki o zbliżającym się „słusznym czasie“, w którym cesarz panom ziemię odbierze, a ludziom pracowitym darmo rozda. Napróżno! bo szlachetnym tym usiłowaniom stają w poprzek zausznicy woydałowskiego dziedzica, którzy w mętnej wodzie wywołanych przez siebie waśni łowią sowite zyski. Dopiero pięknej Hannie, niegdyś biednej sierocie, wychowanej przez matkę Aleksandra, dziś nieszczęśliwej żonie jednego z głównych jego wrogów, udaje się namówić wyidealizowanego swego „panicza“ do polubownej ugody; udaje się — ale za zbyt wielką cenę własnej godności i cnoty.

To właściwa treść powieści „Polubowna ugoda“; nie powiemy, aby zbyt oryginalna i głębszą myślą się odznaczająca. Następujący pożar zamku, zamordowanie Hanny przez mściwego męża, opamiętanie się Aleksandra i znacznej części z hulaszczej jego drużyny — są pewnego rodzaju domówieniem, przypominającem w modzie dawniej będący ostatni, krótki rozdzialik, w którym autor zaznajamiał rozciekawionych czytelników z dalszemi losami wszystkich bez wyjątku bohaterów i bohaterek. I nie z tego tylko jednego punktu „Polubowna ugoda“ nasuwa na myśl dawne owe opowiadania, pełne dziwnych przygód, w tajemniczych zamkach, w niedostępnych jarach. Schadzka w pustyni, orgia w zamku i późniejsza baltazarowa uczta, przenosi mimowoli wyobraźnię w inne, dalekie kraje, inne, dalekie czasy. Czytelnik pyta: „Czy to w Polsce, czy w Azyi głębokiej, w dziewiętnastym, czy w czternastym wieku te sceny się odgrywają?“; a jakąkolwiek da sobie odpowiedź, zawsze już nie dobrze, że takie pytanie mu się podsunęło.

Cudzoziemcowi podsunęłoby się niezawodnie to pytanie i po przejrzeniu obrazka z życia ludu podolskiego: „Nie ma metryki“. Polak, lepiej znający tajemnice życia duchownych czy świeckich czynowników, nasłanych dla cywilizowania polskiego i ruskiego ludu, przyzna, że to obrazek z rzeczywistości namalowany. Prawda, że obrazek bardzo wstrętny, strasznie bolesny. Sceny, wyprawiane na probostwie prawosławnego ojca Nikodema, godne pióra francuskich „naturalistów“ czy „realistów“; — trochę mniej „realizmu“ nie zaszkodziłoby im może, tem bardziej, że przecież i popi, tacy jak Nikodem, i „panny“, jak Anastazya, muszą nawet na Podolu do wyjątków należeć.

O wiele milsze są, skrajnym, trochę *à la* Zola realizmem nie zaczernione, cztery nowele, zebrane pod wspólnym tytułem: „Z wiejskiego dworu“. Nie mają one pretensyi sięgać do najgłębszych kry-

jówek serca ludzkiego, brać pod mikroskop przepływających przez nie uczuć i myśli; proste to opowiadania, jak proste, dobrze znane, a jednak miłe i często tak kochane wiejskie nasze dwory i dworki. Najsłabsza wprawdzie z czterech opowiadań „Miss Jane“ jest także nieco starożytnego pokroju; cała fabuła, wszystkie intrygi i nieporozumienia obracają się koło nazwy, danej koniowi, co trudno nazwać najszczęśliwszym pomysłem. Za to w „Kwaśnych winogronach“ znajdujemy kilka scen, kilka postaci bardzo miłych i prawdziwych, a „Żałobna noc“ tak jest rzewna i wprost do serca trafia, że o żadnej krytyce myśleć tu niepodobna. Założyćby się można, że to noc istotnie przeżyta, głęboko, bardzo głęboko w pamięci zapisana.

Nowele. Przez *Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika)*. Serya I., II., III. W Krakowie. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1894.

„Chochlik“ — humorysta, ustaloną miał i ma sławę; Włodzimierz Zagórski — powieściopisarz, nowelista (bo o krytyku nie tu miejsce wspominać), stara się z „Chochlikiem“ rywalizować, i choć czuć czasem, że w sercu nie wesoło, choć smętny temat pod oko i pióro mu się wciska, humorem zaprawia opowiadanie: śmieje się, bo wie z doświadczenia, że liczniejsi i chętniejsi czytelnicy przyjdą śmiechu, niż płaczu posłuchać. Ale za tym śmiechem kryją się głębokie pytania, trudne a ważne zagadnienia; stawają z wielkim znakiem zapytania tajemnice serca i życia ludzkiego, na które autor czasem odpowiedź dać próbuje, czasem porusza je tylko, to na tę, to na tamtą stronę obraca — aż wreszcie, zrezygnowawszy z dojścia do pozytywnego jakiegoś rezultatu, na bok je odkłada i jakby pytał i prosił czytelnika: „Może wiesz co więcej, to powiedz, wyjaśnij!“ — Wyjaśnij, jak i czemu senne majaczenia spełniają się później czasami na jawie; jaki związek mają z rzeczywistością? Czem jest hypnotyzm, tak mało jeszcze znany nietylko w swej istocie, przyczynach, ale nawet w zewnętrznych objawach? Wyjaśnij, spróbuj zajrzeć w sam głąb duszy artysty: co się w niej dzieje, skąd, jaką drogą natchnienie do niej spływa, jakiemi ścieżkami na zewnątrz się wylewa; jaki wpływ na artystyczną duszę wywierają inne ludzkie uczucia, jakie walki w niej toczą, i to wprowadzają na niebotyczne wyżyny, to na samo dno przepaści sprowadzają? Ale czyż tylko dusza artysty, dusza wielkiego uczonego do odcyfrowania trudna? Powiedz, co się gnieździ w sercu podlotka z pensyonatu; zanalizuj te sprzeczne uczucia, dziwne jakieś podrywy, wytłumacz, jak się w niem łączy dziecinna naiwność z przebiegłą, taką

wytrawną, obmyślaną — że aż niemiło — zalotnością? A czemże jest to, co ludzie pięknością nazywają, jaką w sądzie o niej normą się powodują; jakie czynniki składają się na panujące dziś estetyczne poglądy, co w nich złożyć trzeba na karb mody, na karb głupstwa, a co w istocie rzeczy ma podstawę?

Wszak ważne i ciekawe pytania? — wszak warto się nad niemi zastanowić? Ale im pytania ciekawsze, im poruszone — powtarzamy, poruszone zazwyczaj, nie wyczerpane, bywa że zaledwie dotknięte — kwestye bardziej do zastanowienia pobudzają, tem słuszniejszy żal czuć musimy do autora, że nie wyrzucił z tego zbioru paru opowiadań, kilku przynajmniej stanowczo za ślizkich, za drażliwych ustępów. Powtarzać nie chcemy bardzo surowych sądów, które o kilku nowelach, z tego właśnie punktu widzenia, słyszeliśmy; inni wyrażali zdanie, że sądy to może za surowe, za bezwzględne, choć nie przeczyli, że poniekąd usprawiedliwione ze względu na poważne i tak dotąd bez skazy pismo, w którem „Nowele“ się ukazały, ze względu na używającą tak wyjątkowej sławy księgarnię, która je ogłosiła; — na co wszyscy się zgadzali, to, że lepiejby było, o wiele lepiej, gdyby zamiast, dajmy na to, trzech tomów „Nowel“, dwa tylko się ukazały. Możnaby je wtedy polecić wszystkie i wszystkim.

Z nad Wisły. Szkice i Obrazki. Przez *Reginę Pniowerównę*. Poznań. Druk i nakład Jarosława Leitgebra. 1894.

Mamy przed sobą następną galeryę szkiców i obrazków:

1) Gałgan panicz uwiódł biedną Władkę i wygnał jak psa. Władka się truje. Panicz, dowiedziawszy się o tem, oblał sobie przy pierwszem wzruszeniu ręce herbatą i postanowił pójść do bogatej profesorowej, mającej córkę na wydaniu.

2) W nieutalentowaną Winię wpychają rodzice gwałtem potrzebne i niepotrzebne nauki. To ją zabija. Rodzice sprawili suty pogrzeb; w głębi duszy pocieszają się, że starsza córka dostanie podwójny posag i będzie można sprawić sobie utytułowanego zięcia.

3) Romantyczną Wilunię przymuszają wyjść za bogatego starca. Wilunia, sama nieszczęśliwa, jest idealną, nie macochą, lecz matką dla swej pasierbicy. Ale wpływu na nią nie wywiera; od zguby uratować jej nie może, bo pasierbica wietrzy zdradę, i ani myśli słuchać — macochy.

4) Córka płacze przy trupie ojca; przed oknem gromada łobuzów, wracająca z pohulanki, urządza serenadę. Z nieba piorun bije; na dole śmiech się odzywa.

5) Rózia piękne śni ideały i marzy o Zygmuncie. Zygmunt marzy o 50.000 posagu i oświadcza się Amalii. Stara Fanny przynosi Rózi na pocieszenie szklankę herbaty z cytryną.

6) Młodzieniec-poeta czyta Zosi w altance Słowackiego. Zosia musiała się w ogrodzie nabiegać, może w kuchni napracować, bo — zasnęła. Poeta gorzko się uśmiecha i na palcach wychodzi z altanki. Mówiąc nawiasowo, bardzo rozumnie zrobił, choć i Zosia nie zasługuje na bezwzględne potępienie, zwłaszcza jeśli dzień był skwarny, a poeta czytał monotonnie.

Taka krótka treść sześciu obrazków: wszystkich jest dwanaście: sześć następnych ani gorsze, ani lepsze. Najciekawszym i najcharakterystyczniejszym z całego tego zbioru jest, służący za przedmowę, list p. Bałuckiego, w którym podziwia „obserwacyjny talent i głębsze pojmowanie życia“ autorki.

W kniei i wśród ludzi. Przez *Juliusza Starkla*. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.

Dla kogoś, co z pieskiem i fuzyjką lubi sobie błądzić po łąkach, po lasach, miło będzie zapewne w nudne zimowe wieczory odczytywać sobie ciekawe przygody to z zabawnych, to z awanturniczych, to z pełnych grozy wypraw na wilki i niedźwiedzie, kaczki, słomki i wszelkie inne wodne i niewodne ptactwo; czasem i na wróble, na sroki. Dla profana mniejsza już pociecha. Ale i on serdecznie się uśmieje z pana komisarza Heliodora, który do nieszczęśliwych szpaków strzelając, w krowę trafia, za skowronkami ugania, a na kaczki się wybrawszy, w błoto z zasady się nie zapuszcza, aby nie zniszczyć swego myśliwskiego garnituru do błota; z ciekawością i sympatyą przypatrzy się „Czarnemu Sobkowi“, którego „do lasu ciągnie i ciągnie“, w którym każda kropla krwi „tętni chucią polowania“; pożałuje biednego rotmistrza, który strasznym wypadkiem własnego syna, miasto dzika, trupem położył; — i „z pamiętników szaraka“ niejedną dla samego siebie naukę wyciągnie. Obok zwierząt, ludzie-zwierzęta przed autorem pozują: istotnie nieludzka — czy aż nie za czarna, nie zanadto nieludzka — „kawka“, co raczej niż na „kawki“, zasługuje na nazwę hyeny, lub tygrysicy; dziki „odyniec“, postacią, postępowaniem do odyńca podobny; — zarysowują się kilku liniami od niechcenia naszkicowane „napuszone jemiołuszki, olśniewające swojem barwnem, jedwabistem pierzem, sarenki płowe, patrzące na świat zdziwionemi oczami, lubieżne wróble, drygające lekko po lśniących parkietach, znudzone życiem wędrownem żórawie“... Tak! trudno auto-

rowi-myśliwcowi nie przyznać, że „salon, to także knieja swojego rodzaju“, że i „między ludźmi mamy całą rozmaitość form i usposobień życia zwierzęcego“.

Przedpiekle. Przez *Gabryelę Zapolską*. Dwa tomy. Warszawa. Wydawnictwo *Przeglądu Tygodniowego*. 1895.

„Matkom — dla przestrogi — poświęca Autorka“ — czytamy na pierwszej kartce. Dziwne to trochę, jak p. Zapolska, gorąca amatorka zolowskich brudów, śmie matkom przestróg udzielać; ale jeśli przestrogi to choć w części prawdziwe i praktyczne, zapomnijmy na chwilę, z jakich ust płyną. To pewna, że dotykają jednej z najważniejszych kwestyj: fizycznego i moralnego wychowania dziewcząt; że odsłaniają rany bardzo bolesne, a choć odsłaniają aż do obrzydliwości brutalnie, trudno, dlatego że takie wstrętne, zaprzeczyć ich istnienia. Na co, mniej lub bardziej głośno, uskarżają się od dawna lekarze, myśliciele, filantropi, ojcowie rodzin; to p. Zapolska odmalowała grubym swym i stąd tak często nieprawdziwym pendzlem. Odmalowała stosunkowo nieźle jedną chorobę, na której się zna; chciała odmalować i drugą, ale ponieważ zna ją tylko ze słyszenia i nawet dokładnie zrozumieć jej, określić, rozróżnić w tym kierunku zdrowia od choroby nie jest w stanie, nie dziw, że oko i pióro ją zawiodło; lekarstwa prawdziwego podać nie była w stanie, bo go w aptece swej nie posiada. A jednak mimo wszystkich tych niedostatków, mimo równie zabawnego jak obrzydliwego pozowania na „naturalistkę“, w którem autorka ciągle chwały swej szuka, poruszona przez nią kwestya, tak jest, powtarzamy, niezmiernie ważna, tak aktualna, że nieomal nie powiedzielibyśmy: dobrze, iż ktoś ją wreszcie i w powieści poruszył, choć tym „kimś“ jest na nieszczęście p. Zapolska.

Śmierć matki, zmysłowość ojca, wypędza ośmioletnią Stasię z rodzicielskiego domu i rzuca ją na pensyę. Co tu znajduje, kto, w jaki sposób ukształci nietylko rozum jej, ale i serce; kto, jakie wpływy zrobią z tego dziecka przyszłą żonę i matkę? Przełożona, pani Gierczykiewiczowa, nie ma czasu zajmować się swemi elewkami, bo, „cała skąpana w falach poezyi“, pisuje artykuły i książki o „ukochanym swym Słowackim“; kiedy do dziewcząt przemawia, to na to, aby w górnolotnych frazesach odsłaniać im ideały czystego romantycyzmu. Główna jej pomocniczka i właściwa zarządczyni pensyi, p. Melania, skwaszona, niecierpiana, zadaje pokuty, z których dziewczyny w oczy się śmieją, prawi morały bez treści, które bezczelnie wyszydzają. Inne nauczycielki

zachowują się biernie; przychodzą do klasy, kiedy przyjść muszą; napominają, gdy która z elewek za hałaśliwie się zachowuje; ale zresztą ani im w głowie je sobie narażać; — spieszą się do przerwanego romansu w książce, lub życiu. Katecheta — jest wprost niemożliwy; za ten typ cała odpowiedzialność spaść już musi na fantazyę autorki. Podskakuje przy wypuszczonem „i“ w pacierzu; mówi w potocznej rozmowie oratorskiemi frazesami, a jednocześnie toleruje skandaliczne żywe obrazy, denerwujące teatralne przedstawienia, nie wie, nie widzi, jak panienki w biały dzień, na zabój, romansują ze studentami, z oficerami, z każdym, kto pod oko im się podsunie. Najczęściej podsuwają się nauczyciele, więc też oni pierwsi padają ofiarami tych pocisków; co prawda, nie bardzo im się bronią, owszem, podniecają sami ogień, niszczący przedwcześnie i ciało i duszę.

Kilka lat pobytu w pensyi, w takiem otoczeniu i pod taką opieką, przynosi naturalnie swe owoce. Stasia z niewinnego dziecka rozwinęła się w prześliczne dziewczę, ale ze skalaną fantazyą codziennemi szeptami z „bardziej uświadomionemi“ koleżankami, ze zdrowiem nadwątlonem brakiem ruchu, powietrza, dostatecznego pożywienia, nadwątlonem atmosferą, w której żyć musi, przesyconą miazmatami zepsucia i chorobliwej ciekawości. Gotowa to kandydatka na histeryczkę, jak takiemi kandydatkami są prawie wszystkie jej koleżanki, zirytowane bębnieniem po fortepianie, wpychaniem do umysłu konjugacyj i deklinacyj kilku naraz języków, ciągle nerwowo rozdrażnione, męczące się w „przedpieklu“, jak między sobą pensyę nazywają.

„Jak wy wychowujecie matki i żony? — pyta z oburzeniem lekarz Gwozdecki, przez którego usta widocznie sama autorka przemawia i teorye swe rozwija. — Według pani, dziewczyny te są zdrowe, bo kaszlą i plują tylko po kątach, bo trzęsą się jak galarety, bo ich organa karłowacieją, zamiast się rozwijać, bo blednica zgniliznę w ich ciało wprowadza?... Kładziesz im w głowę całe fury najniepotrzebniejszych dat, cyfr, kombinacyj, które do niczego im w życiu nie służąc, ogłupiają je w najdoskonalszy sposób... Dajecie im gromadę nauczycieli, do których lgną te dziewczyny, histerycznym pędzone szałem... I te dziewczyny wiedzą o wszystkiem, wiedzą jak papugi po łebkach, wstrętne w swej zarozumiałości, głupie w swej wszechwiedzy... Lecz to, o czem każda kobieta wiedzieć pod grozą śmierci powinna, o tem do czego stworzona, co jest głównym celem jej życia — o tem nie mówicie jej wcale, bo... skromność nie pozwala. Lecz ona... taka dziewczyna dowie się o wszystkiem bez waszej pomocy, dowie się od

sług, od koleżanek... czy ja wiem wreszcie od kogo! Lecz jakaż z tego korzyść? Oto — gdyby ustami waszemi usłyszała o swem wielkiem, szczytnem posłannictwie; gdybyście, szanując niewinność dziewczęcą, same, z macierzyńską czułością wtajemniczały je w akt tworzenia i rodzenia dziecka!... zamiast pokątnych szeptów, podbudzających wyobraźnię i sprowadzających często straszne, opłakane następstwa — jasny, przystępny wykład, opromieniony urokiem i pewnym wdziękiem, obudziłby w tych dziewczętach nie chucie zmysłowe, lecz dumę i chęć odpowiedzenia godnie swemu powołaniu"...

— Co czynić? — pyta szeptem przełożona pensyi.

„Ograniczyć liczbę godzin klasowych, pozbyć się połowy uczennic, lub powiększyć lokal; wynająć mieszkanie za miastem, w otoczeniu pól i lasów, zaprowadzić gimnastykę, kąpiele, ruch, lecz nie tańce i denerwujące zabawy. Oddalić nauczycieli, natomiast przyjąć system po klasztorach zaprowadzony — wykładów kobiecych. Zwrócić uwagę na rozwój fizyczny dziewczyn... nie rozmarzać im umysłów foliałami poetycznych bredni, nie denerwować muzyką, śpiewem, dozwolić rosnąć, rozwijać się"...

Wychowanie poetyczno-zmysłowe, którego poruczonym swej pieczy panienkom udziela p. Gierczykiewiczowa i jej pomocnice, doprowadza do śmierci jednej z uczennic, największej psotnicy, Józi. Śmierć ta, której winę musi przełożona pensyi, rada nierada, wziąć na swe barki, wstrząsa nią do głębi, a złączywszy się z innemi okolicznościami, pobudza do fundamentalnej zmiany systemu. Stosownie do teoryi, którą p. Zapolska w opowiadaniu swem chce udowodnić, zmiana polega na przerzuceniu się z jednej ostateczności w drugą. Miejsce eleganckiego, patrzącego na wszystko z półuśmiechem katechety, zajmuje surowy, fanatyczny Karmelita, który wnet cały ster rządów chwyta w twarde ręce; pensyę zmienia w jakiś klasztor, czy erem. Było źle przedtem, źle jest i musi być i teraz; przychodziło do skandalicznych wybryków dawniej, przychodzi i teraz, choć z innej racyi i z innej natury. Miejsce dawnej, cisnącej się wszystkiemi porami zmysłowości, zajęła obłuda, bezmyślne klepanie pacierzy, kamienna jakaś niewyrozumiałość. Próżno zatem, konkluduje p. Zapolska, szukać lekarstwa w religii; niemądrze robią matki, nauczycielki, przełożone pensyi, które, wiedząc o niebezpieczeństwach, jakie grożą sercu i ciału swych wychowanek, usiłują je zwalczyć wpływem religii, modlitwy, opromienianiem życia wyższemi, bożemi ideałami. Nie religii trzeba, nie modlitwy, ale ruchu, kąpieli, rozumnego pielęgnowania zdrowia, wolnego wtajemniczania w przyszłe powołanie żony i matki.

Taka wyraźna teza, takie dowody: teza i dowody, o których z Getem powtórzyć można, że w różnobarwnych obrazach mało w nich jasności, wiele błędów i iskierka prawdy. W pierwszej części, opowiadającej dzieje pensyi przed reformą zaprowadzoną przez żarliwego Karmelitę, autorka porusza się dość swobodnie, czuć, że znajduje się na dobrze, za dobrze sobie znanym terenie; natomiast w drugiej, wchodzi w kraj absolutnie sobie nieznany, z kartki na kartkę coraz gęstsze otaczają ją ciemności, i z kartki na kartkę coraz zabawniejsze plecie banialuki. Wierna uczennica Zoli, zapragnęła w ślady mistrza pokazać, że świat duszy, świat religijnych uczuć nie jest dla niej obcy; i rzecz prosta, musiała w ślady mistrza dojść do zupełnego *fiasco*, tem zupełniejszego, im mniej od niego ma talentu i spostrzegawczego daru. Niemożliwym i nieprawdziwym jest elegancki katecheta z pierwszej części; niemożliwszym jeszcze ksiądz Marek z drugiej, przez którego usta nie przechodzi nigdy: „Bóg jest miłosierny“, ale zawsze i wyłącznie: „Bóg jest sprawiedliwy“: który gwałtem, brutalnie usiłuje wepchnąć biedną, niezdrową dziewczynę do klasztoru. Niemożliwe te modlitwy, te religijne obrzędy, te, jak autorka szydersko się wyraża, „uwielbienia Maryi“, raczej nie modlitwy, nie pobożne obrzędy, ale ich karykatury. Lecz jakże żądać od ślepego, aby ze zrozumieniem rzeczy o kolorach pisał: jak żądać od kobiety, której specyalnością grzebanie w śmietnikach — aby zrozumiała rzeczy boże: piękność dziewictwa, wspaniałość modlitwy?

A jednak, jednak szkoda, że w tym brudnym potoku tonie i niknie iskierka prawdy, która matkom mogłaby być istotnie zdrową przestrogą!...

Styl, obrazowanie p. Zapolskiej jest, jak w innych tak w tej powieści, ściśle naturalistyczne. Naturalizm ten, jak wiadomo, zasadza się głównie na tem, że mniej więcej co trzy stronice zachodzi słowo „biodro“, co pięć „bestya“ — a co sześć, siedm, inne, równie estetyczne i mile brzmiące. Prawda! zachodzą czasem i inne słowa i frazesy, ale tych już w piśmie, które ma do tego pretensyę, aby ludzie przyzwoici czytać go mogli, powtarzać nie wypada. Niechże ostatnia ta uwaga będzie także „matkom dla przestrogi“.

Fotografie bez retuszu. *Gamastona.* Kijów i Odessa 1894.

Lamparcie życie. Opowiadanie ze wspomnień studenckich. Przez *Gamastona.* Petersburg 1894.

Czytając rozmaite oceny, jakie pojawiły się o powieściach Gamastona, dobroduszny czytelnik wierzyć zaczyna, że „zdobyły one sobie szturmem uznanie u czytającej publiczności“, co zawdzięczają „za-

maszystemu, rzeźwemu, pełnemu werwy nieporównanej malowaniu życia“: że „szkice to wyborne i dosadne“ — i nie dziw, bo „autor zna życie doskonale i patrzeć umie“. Zaciekawiony cieszysz się, że nowy geniusz, nowy Sienkiewicz na horyzoncie się pojawił, kiedy biorąc do ręki najnowszą, dajmy na to, krytyczną pracę p. Henryka Glińskiego [1], dowiadujesz się ku niemałemu swemu zdziwieniu i przerażeniu, że ów tyle zachwalany powieściopisarz jest „amatorem najczystszej wody, który wlazł do literatury, jak Piłat w *Credo*“; a utwór jego „Lamparcie życie“ jest po prostu jedną wielką obrazą już nietylko dobrego smaku, ale zdrowego rozsądku“...

Kogo tu słuchać i komu wierzyć? Chciałoby się wierzyć pierwszym; ale już po odczytaniu kilkudziesięciu stronic z jednego, kilkunastu z drugiego tomu, wszelkie złudzenia rozbijają się, niestety! w puch. Możnaby zapewne bardzo dosadną ocenę p. Glińskiego sformułować nieco grzeczniej; możnaby jej nadać mniej zgryźliwą, bardziej salonową formę: — wiele więcej sam p. Gamaston żądaćby nie powinien już nie od człowieka obojętnego, nie od surowego krytyka, ale i od przyjaciela, byle chcącego mu nagą prawdę powiedzieć. Autor zna nie — życie, nie głębie ludzkiego serca, ale kilkanaście studenckich i niestudenckich knajp, kilkunastu wcale nieciekawych „facetów“ i „facetek“; wyobraża sobie, że wiernie kopiuje życie, kiedy co parę kartek powtarza te same niedowcipne dowcipy, jakie zdarzyło mu się w jednej z tych knajpek posłyszeć; że jest co najmniej polskim Zolą, ponieważ nigdy objaśnić nie zapomina, kto i co, w której porze i w jaki sposób jadł i pił. Wogóle jedzenie i picie, zwłaszcza picie wybitną rolę odgrywa w opowiadaniach p. Gamastona. Gdyby tak np. w „Lamparciem życiu“ wyrzucić opisy wszystkich bib i bibek — *notabene* podobnych do siebie jak dwie krople wody — książka do połowy co najmniejby zmalała. Gdyby wyrzucić jeszcze wszystkie niesmaczne, zdarza się że bardzo niesmaczne, na podpite, studenckie towarzystwo obrachowane koncepty, gdyby przynajmniej w kilkudziesięciu równobrzmiących edycyach ich nie podawać, — i z tej ocalonej połowy niewieleby zostało;— zostałoby kilka zaledwie ostatnich kartek, nadspodziewanie wyższem jakiemś i szczerszem uczuciem się odznaczających. Lepiejby to było dla autora, dla jego sławy, jeśli nie dla kieszeni; w każdym razie lepiej dla czytelników.

[1] „Zrzędzenia“. Wiązanka pierwsza. Petersburg 1894.

Powieści na tle życia mieszczańskiego. Przez *Anielę Milewską*. Poznań. Drukiem i nakładem Jarosława Leitgebra. 1894.

Same już tytuły trzech opowiadań, składających się na tomik „Powieści na tle życia mieszczańskiego“: „Ukarana duma pani Maciejowej“, „Swarliwa niewiasta, dach kapiący“, „Nigdy za późno, aby się poprawić“, — wykazują poczciwą ich tendencyę i służyć mogą za pewnego rodzaju drogoskaz, dla kogo i jak są pisane. Pani Maciejowa, córka sekretarza magistratu z małego miasteczka, siostra pana doktora i pana adwokata, pogodzić się nie mogła z myślą, że sama jest sobie tylko prostą siodlarzową; o to więc przynajmniej wszystkiemi drogami i środkami się starała, aby ukochanego gagatka Mateuszka wyprowadzić z rzemieślniczej sfery. Wyprowadziła, ale na własny swój kłopot i biedę, a na większą jeszcze biedę Mateuszka, który do pracy nieprzyzwyczajony, wyuczony czerpać bez miary i rachunku z woreczka nieroztropnej matki, prędko przehulał i przepił, co miał. — W drugiem opowiadaniu przedstawia nam autorka swarliwą Marynkę, która wprowadza piekło do mężowskiego domu; ciągłemi kłótniami i przekleństwami zmusza niejako poczciwego i porządnego dotychczas męża do szukania pociechy w kieliszku; a tak sprowadza na siebie, na całą rodzinę, i fizyczną i moralną nędzę. Do czego Marynka doszła swarliwością, do tego dochodzi Rózia, bohaterka trzeciej powieści, lekkomyślną zalotnością. Na szczęście, w głębokim swym upadku znalazła pomocną rękę dawnego przyjaciela swej rodziny, cierpienie rozdmuchało w jej sercu gasnącą już iskierkę wiary; wzięła się szczerze do pracy, i nietylko sama zwróciła się stanowczo z błędnej drogi, ale i inne od niej chroni, przytulając, dostarczając zarobku w założonej przez siebie szwalni licznemu gronu biednych dziewcząt.

Zbytnią oryginalnością, artystycznym układem powiastki te się zapewne nie odznaczają; ale nie o to autorce chodziło. Chciała dać w rękę małomiejskiej zwłaszcza młodzieży pożyteczną a zajmującą książkę, któraby wytrąciła z jej rąk krążące tłumaczenia, zawsze prawie obałamucających, nierozumnych, bardzo często złych i wstrętnych romansów; chciała napisać książkę, któraby w każdej rodzinie, w każdej miejskiej biblioteczce mogła się znajdować i zdrowe myśli, chrześcijańskie zasady wokoło szerzyć. Piękna to, powiedzieć można bez zastrzeżeń, misyonarska praca; niechże p. Milewska w niej nie ustaje!

Przez barwne szkiełka. Szkice i obrazki *Romualda Theodorowicza*. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.

Przez parę, nie pamiętam dokładnie, lutowych czy marcowych tygodni r. z., mogłeś śmiało się zakładać, że otworzywszy nadeszłą pocztę, znajdziesz w jednym przynajmniej, czasem i w paru dziennikach bardzo barwną, z możliwie najpochlebniejszych słówek uwitą ocenę „Szkiców i obrazków“ p. Theodorowicza. Skąd ten tak zgodny chór pochwał; czy autor — niezwykłym dziwem wśród dziennikarskiej rzeszy — samych tylko wszędzie liczy przyjaciół; czy jego książka nawet u mniej chętnych, u nie żywiących dlań żadnej osobistej sympatyi, wymusza uznanie? Pierwsza z tych hipotez zanadto oczywiście leży w krainie nieprawdopodobieństwa; nie zostaje więc innego wyjścia, jak chyba na drugą się zgodzić.

I rzeczywiście, szkiełka, których lwowski nowelista używa, choć w ścisłem znaczeniu „szkiełkami“ są tylko, i to bardzo nawet małemi, miniaturowemi; są za to również, nie w przenośnem tylko znaczeniu, nietylko z mocy samowolnie nadanej nazwy, szkiełkami barwnemi. Coraz nowe typy w nich się odbijają, typy prawdą tchnące, znane, widziane, czasem aż do przesytu w prozie życia widziane; ale tu witane z chęcią, bo poezya ze szczerym humorem w sojusz się związawszy, rzuciła na nie swój płaszcz różnobarwny. Po karnawałowych typach, po uroczych królowach balu, starszych i młodszych „epuzerach“ i genialnych „aranżerach“; suną się poważne postacie „z ery pokarnawałowej, ciągnie się pochód złożony z wielkopostnego śledzia, z mieniących się we wszystkie kolory tęczy biletów na dobroczynne koncerty, z figlów płatanych skąpym mężom przez złośliwą influenzę. Przepłynęły zimowe zawieruchy; nadeszła wiosna, nadchodzi lato; z wiosną wyścigi, z latem kąpiele, z jesienią wystawy obrazów. Gogowie od pór roku niezależni. Gogo-obywatel pędzi latem jak zimą równie regularne życie, wypełnione „mozajką kart, bukietów, weksli, szampanów, rautów“, doszłemi i niedoszłemi pojedynkami; ruski gogo nosi kołpak z niebieskiem denkiem i krawatkę czerwoną, bawi zimą na ślizgawce, a latem w jezuickim ogrodzie; żydowski gogo uczęszcza do eleganckich lokalów, w których się jednak bynajmniej nie rujnuje, delektuje się utworami Kocka i Zoli, a nad wszystkie stare tradycye i zwyczaje przenosi kawałek macy przy kieliszku madery, lub uczestnictwo w „purimbalu“. Koło różnorodnych tych „gogów“, to w bezpośredniem, nieco w dalszem ich towarzystwie rozsiadują się i pozują przed fotograficznym aparatem p. Theodorowicza, równie różnorodni: bohaterzy, pionierzy

idei i fagasi, Lwowianie (z tymi ostatnimi autor obszedł się aż zanadto po macoszemu) i Lwowianki, karyerowicze, lordowie, mecenasi i t. d. i t. d.

Gęsty to tłum: wybierając wśród niego i rzucając okiem to na tę, to na tamtą fizyognomię, mówisz mimowoli — nie najmniejsza to dla fotografa pochwała: „Ja już gdzieś podobnych panów i panie widziałem“. Bez kwestyi widziałeś i codzień oglądasz, tylko teraz, przyjrzawszy się galeryi szkiców, nakreślonych biegłą ręką humorysty-filozofa, zaczynasz sam dokładniej w przesuwające się postacie wpatrywać; dziwisz się może i gniewasz na siebie, żeś dawniej tak powierzchownie na nie spoglądał i nie umiał sobie nudnej rozmowy, przenudnych „herbat“, „wieczorów“ i „wieczorków“ baczną obserwacyą skracać.

Krańcowy. Przez *Adolfa Dygasińskiego*. Warszawa.

Może to uprzedzenie, ale szczerze mówiąc, nie zdaje nam się, aby ostatni zbiór nowel Dygasińskiego, zebranych pod wspólnym tytułem „Krańcowy“, przyczynić się miał do rozgłosu — o prawdziwej sławie z innych już przyczyn nie wspominając — swego autora. Historya, „Autobiografia“ (jak p. Dygasiński wierzyć nam każe) osła i dzieje niepoczciwej matki-kukułki, wchodzą ściśle w zakres opowiadań ze świata zwierzęcego, którym nasz powieściopisarz bodaj najwięcej laurów zawdzięcza. Dawniej kreślił historyę psów: Brylantów i Brysiów, gołębi i jastrzębi; dziś osłom i kukułkom pióro swe poświęcił: znał i bez wątpienia pilnie obserwował pierwszych, starał się poznać i drugich, ale kiedy dawniejsze nowelki-bajeczki nęciły świeżością pomysłu, to dzisiejsze, krasy tej pozbawione, ledwie że nieledwie nie podsuwają do ucha złowieszczego wyrazu: „maniera!“ — A jaki dopiero wymanierowany, stylem nienaturalny, treścią niezrozumiały, na samem czele stojący obrazek: „Krańcowy“. Jaś Łyska ma to być niby mazowiecki Don Quijote: niby typ błędnego polskiego rycerza, co dąży — niekoniecznie przy zdrowych zmysłach — do jakichś idealnych, nieokreślonych celów, a po drodze gubi majątek i cześć i zdrowie. Typy, z daleka do Łyski podobne, istnieją — przynajmniej istniały; obraz polskiego błędnego rycerza-awanturnika wiele nastręczyćby mógł ciekawych i charakterystycznych rysów: tylko do wymalowania go trzebaby polskiego Cervantesa, a p. Dygasiński bądź co bądź Cervantesem nie jest, i stąd, mimo najlepszej zapewne woli, stwierdził tylko na sobie znane francuskie przysłowie: o niewielkiej przestrzeni, oddzielającej wzniosłość od śmieszności. Do realistycznej struny, na której autor

z taką pozą przygrywać lubi, dostrajają się o wiele lepiej wspomnienia szkolnych rózg, szkolnych trzcin, szkolnych batów, które z pewną rzewnością, ale zarazem z niezrównaną dokładnością we wszystkich formach i postaciach fotografuje.

Z dalekich lądów. Nowele i opowiadania. Przez *Hajotę*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Niebezpieczna to rzecz, z humorystą — z takim oczywiście, któremu Pan Bóg zupełnie dowcipu nie odmówił — być na bakier. Nie wiem, czy i co p. Hajota p. Bartoszewiczowi zawiniła; nie wiem, dlaczego specyalnie przed paru latami w jednym z niedługo żyjących „polskich“ czy „krakowskich“ Kuryerów nad nią się znęcał; ale to wiem dobrze, że w przedsięwziętej za autorką podróży wśród dalekich afrykańskich lądów, w przesuwaniu się za nią „nad przepaściami“, ciągle wspomnienie owych żartów i dowcipów wrażenie psuło, i w najtragiczniejszych momentach, zamiast do zamierzonego lęku, do zgrozy — którą autorka pragnęła wszelkiemi sposobami opisem swym obudzić — do śmiechu tylko pobudzało. Co prawda, opis wdarcia się na szczyt Clarence Peak'u nie jest wolny od afektacyi; nieświadomy rzeczy sądzićby mógł, że to nowy Kolumb nową Amerykę odkrył, kiedy nasza powieściopisarka w gruncie rzeczy nic nie odkryła, kiedy nawet, mówiąc naprawdę, nie doświadczyła żadnych ciekawszych przygód: i to prawda, że parę doznanych, ani ważnych, ani ciekawych przygód wyśrubowane tu są do jakichś herkulesowych rozmiarów; — ale jednak, kto wie, czy gdyby nie niegodziwy humorysta, pompatyczny ten obraz przedstawiałby się tak zabawnie? Przejdźmy więc lepiej nad nim do porządku dziennego; opuśćmy, słusznie czy niezupełnie słusznie ośmieszone „przepaście“: zapomnijmy o nich, aby nie mąciły bezstronnego zdania o innych wędrówkach po nieznanych, afrykańskich lądach.

Lądy to tak nieznane i dalekie, że odgłosy, dochodzące o nich, a spisane w dodatku przez polskie pióro, pod polskim kątem widzenia, nie mogą nie interesować. Portret sztywnej, zaschłej misyonarki angielskiej, Miss Lilian, musiał z natury być skopiowany; choćby sama autorka o tem nie zapewniała, przekonywałyby dostatecznie czytelnika nagromadzone, charakterystyczne szczegóły. Bardzo niemiła jest ta nudna i nudząca wszystkich mumia; mniej jeszcze miłym wiecznie się nudzący Don Chrisostomo, który z nudów sam się rozpija i na śmierć zapija innych. Do tych głównych bohaterów, dających arcyniepochlebne świadectwo o europejskiem towarzystwie i jego obyczajach na Fer-

nando Poó, dostrajają się harmonijnie otaczający ich doktorzy i urzędnicy, panowie i słudzy, mężczyźni i kobiety; mówiąc bez ogródek — podła, rozleniwiona, rozpita gromada. Korzystnie wyróżniają się jedni jedyni kubańscy wygnańcy, skazani przez rząd hiszpański na deportacyę z rodzinnej swej wyspy za bunt podniesiony w obronie wolności i niezależności ukochanej ojczyzny. Losy, marzenia, usiłowania tych nieszczęśliwych maluje nam autorka w osobnym obrazku: „Ładunek palmowego oleju“. Opowiadanie to, choć nie powiemy, aby bardzo misternie ułożone, porusza w duszy polskiego czytelnika różne tęskne i bolesne struny, i ze względu na myśl swą przewodnią uratować może na dłuższy czas cały zbiorek z „przepaści“ zapomnienia.

Ks. Jan Badeni.

Socyalizm w Galicyi. Przedruk z *Gazety Kościelnej*. Lwów 1894.

Autor doskonale obeznany z początkiem i postępem socyalizmu w Galicyi, jasno też i dobitnie rzecz swoją przedstawia. Na szczególną uwagę zasługuje, co autor mówi o przedzierzgnięciu się partyi socyalno-demokratycznej z ekonomicznej w polityczną: póki chciała być ekonomiczną i głównie podnosiła potrzebę naprawy stosunków warstw uboższych, żyjących z dnia na dzień z pracy swojej ciężkiej, licho płatnej, a w dodatku i niepewnej, było można sympatyzować, nie z środkami i drogami przez nią obieranemi, ani z wywodami jej właściwemi, ale przynajmniej z niektóremi jej postulatami. Polityczna partya oparta, tak jak socyalna demokracya, na błędnych przesłankach, musi wcześniej lub później stać się narzędziem w ręku swoich przewódców do ambitnych ich celów, a im jest radykalniejszą, tem więcej sprowadzi klęsk na całe społeczeństwo, a najprzód i najwięcej na tych, co partyę taką popierają.

Widać to już aż zbyt jasno z dotychczasowej historyi socyalizmu w Galicyi, jak ją nam autor maluje, dokładnie a przedmiotowo, bo opierając się głównie na źródłach dostarczanych przez samychże socyalistów: na wydawanych przez nich gazetkach, broszurach, na wygłoszonych mowach. Program partyi, uchwalony na pierwszym kongresie socyalno-demokratycznym we Lwowie, w pierwszych miesiącach r. 1892, nie pozostawia w tym względzie najmniejszej wątpliwości. „Wszystko, — słusznie powiada autor — co zrobiono dla stanu rzemieślniczego na polu ekonomicznem, całe ustawodawstwo przemysłowe, zabezpieczenie robotników od wypadków, kasy chorych i t. p., jest

niczem w oczach kongresu; polepszenie bytu zapewni robotnikom tylko swoboda koalicyi! Czyż potrzeba lepszego dowodu, że socyalnej demokracyi nie chodzi o byt robotnika, lecz o walkę polityczną, a robotnik ma być tylko narzędziem do tej walki?“

Przewódcom chodzi o walkę polityczną, o dopięcie własnych, ambitnych celów. Tu znowu wybornej ilustracyi dostarczają walki w łonie samejże partyi o wpływ, o główne dowództwo: walki między Danilukiem, między „socyalistami niezawisłymi“, a socyalistami „międzynarodowymi“, którym wreszcie udało się rządy niepodzielnie w ręce swe zagarnąć. Dziś zresztą partya bynajmniej nie tai, że jest i chce być partyą polityczną; każdy numer *Naprzodu* lub *Nowego Robotnika*, każde zebranie socyalistyczne, wystarczające o tem daje świadectwo. Barwny opis takiego zebrania, który autor podaje nam „z naocznego przeświadczenia“, lepiej od długich wywodów pokazuje, w jaki sposób sprytni przewódcy agitacyę prowadzą, do czego jawnie, do czego skrycie za jej pomocą dążą.

Żałowaćby można, że autor nie miał dość sposobności, aby szczegółowo poinformować siebie, a następnie i swych czytelników z robotą socyalistów między ludem wiejskim i wśród małomieszczan. Obznajomienie się z krążącym już prądem socyalistycznym pomiędzy temi warstwami ludności, jest rzeczą tem potrzebniejszą, że ostatni kongres socyalistów, odbyty w Frankfurcie, wydał hasło, i co więcej znaczy, wcale zręcznie obmyślany program żywszej agitacyi pomiędzy zagrodnikami i ludnością bezrolną — a chyba niema co wątpić, że socyaliści nasi, trzymający się prawie niewolniczo wskazówek przysyłanych sobie z zagranicy „międzynarodowej“, niebawem rozpoczną żywszą akcyę na prowincyi.

Chociaż więc, zdaniem mojem, praca autora potrzebowałaby jeszcze uzupełnienia, przecież bardzo jest przydatną, i nie mogę, jak tylko zalecić przeczytanie jej wszystkim, co chcą i mogą oddziaływać przeciw temu, nad czem Krasiński płacze:

Lecz narodu duch zatruty,
To dopiero bólów ból...

przedewszystkiem księżom naszym, którzy na pierwszem miejscu mają obowiązek, żeby lud sobie powierzony ustrzedz od grożącego mu nowego niebezpieczeństwa.

Ks. H. J.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Les Pères de l'Église des trois premiers siècles. Portraits et notices, extraits du cours d'éloquence Sacrée de *Mgr. Freppel.* Paris. Retaux et Comp. 1894.

Nieodżałowanej pamięci biskup Freppel zostawił nam po sobie piękną spuściznę nietylko wzniosłego swego przykładu, ale i swego ducha. Między innemi pismami znajdujemy 11 tomów, omawiających tak jasno a tak porywająco i z takiem zastosowaniem do naszych czasów, wszystkich Ojców Kościoła i ich pisma z pierwszych trzech jego wieków. Każdego muszą one zachwycić i pouczyć, ale nie każdemu czas i inne warunki na to pozwalają, by korzystać z tak obszernego oryginału.

Bezimienny autor niniejszego dzieła wielką tedy oddał przysługę dobrej sprawie streszczeniem tej Freppelowskiej „Biblioteki Ojców św."; trzeba zaś przyznać, że streszczenie to jest wyborne. W szczupłych ramach, bo od trzech aż do trzydziestu stronic, podaje zawsze nietylko główne zarysy życia i pism Ojców, ale umie wnikać w ich ducha i w myśl i poglądy ks. Freppela. Jakby niedość sobie zasłużył na naszą wdzięczność tą pracą, przydał jeszcze „dodatek" ze stron czterdziestu, gdzie między innemi spotykamy traktat „o mistycyzmie chrześcijańskim", oparty na Bossuecie.

Ks. Władysław Czencz.

Institutiones Propaedeuticae ad Sacram Theologiam. Auctore *Christiano Pesch S. J.* Friburgi Brisgoviae. Herder. 1894. (P. 403, 8^0).

Profesor teologii dogmatycznej w kolegium OO. Jezuitów w Dit ton-Hall. Chrystyan Pesch, zaraz w przedmowie do czytelników tak się wyraża o swojem dziele: *Hae praelectiones inde ab a. 1885 autographice descriptae multorum manibus versabantur. Visum est autem eas typis mandare, ut earum usus esset facilior et communior. Memineris igitur, quaeso, quicunque his libris uteris, eos primum conscriptos esse eorum commodo, qui finito triennali cursu philosophiae scholasticae per quatuor annos studio theologiae operam dant.* Z tych słów każdy już wywnioskować może, że skoro od r. 1885 dzieło to całe (mające obejmować ośm tomów) w manuskrypcie znane było, a obecnie pierwszy tom jego się ukazał, pod każdym względem będzie wykończone i odpowiadające celowi swemu. I rzeczywiście jest ono takiem. Tom I. obejmuje trzy części: I. *de Christo legato divino;* II. *de Ecclesia Christi;* III. *de locis theologicis.*

Pierwszą część, traktującą o Chrystusie, jako pośle boskim, wy-

przedzają wiadomości wstępne, jakoto: o określeniu, podmiocie, przedmiocie i podziale teologii, a wreszcie o jej historyi. Po nich przechodzi autor do traktatu o Chrystusie Panu. Tutaj podaje nasamprzód wyczerpująco naukę o prawdziwości i wiarogodności czterech Ewangelij; następnie przywodzi różne dowody na stwierdzenie założonego tematu, że Chrystus jest posłem boskim. Na pierwszem miejscu podaje świadectwo samego Chrystusa Pana o sobie wypowiedziane, wplatając zręcznie i stosownie naukę o objawieniu wogóle i o objawieniu tajemnic. Następnie przytacza cuda zdziałane przez Chrystusa Pana na potwierdzenie tych słów, że jest posłem Boga; później proroctwa Jego i oraz w Starym Zakonie ogłoszone przez Boga, a odnoszące się do Mesyasza, czyli do Chrystusa Pana, bo w Nim „spełniło się wszystko, co było przepowiedzianem przez Proroków“. Autor zgromadził tutaj jeszcze inne dowody, a mianowicie: dowód wzięty z cudownego rozszerzenia się wiary świętej po całym świecie, i dowód zaczerpnięty ze znaków wewnętrznych, po których można poznać, że nauka Chrystusa jest boską, jakiemi są: brak wszystkiego tego w niej, coby było niegodnem Boga, i obecność tego wszystkiego, czego domagać się może rozum od religii, której twórcą jest Bóg. Nauka bowiem Chrystusowa jest tak wzniosłą, tak wspaniałą, tak szczytną, iż przewyższa wszystko to, co najwięksi myśliciele i najgłębsi filozofowie podają o Bogu; a nadto nauka ta rodzi przecudne owoce w duszy prawdziwego wyznawcy, mianowicie: ów spokój ducha niczem niezamącony, owo zamiłowanie cnoty, ową odrazę do rzeczy ziemskich a tęsknotę za niebieskiemi; słowem, musi ona pochodzić od Boga.

Część druga prawi o Kościele. Tutaj znowu autor mówi o ustanowieniu Kościoła przez Chrystusa Pana, o naturze i własnościach Kościoła, o znakach, po których go możemy poznać i odróżnić od fałszywych kościołów, o biskupach, prawowitych następcach Apostołów, o ich potrójnej władzy, a szczególnie o ich władzy nauczania, dodając kiedy są nieomylnymi w jej wykonywaniu. W osobnym rozdziale podaje naukę o rzymskim papieżu, następcy św. Piotra na katedrze rzymskiej, o jego władzy prymasowskiej i o jego nieomylności, jeżeli przemawia jako pasterz i nauczyciel całego Kościoła w rzeczach wiary i moralności, a wreszcie zakończa tę część rozdziałem o przedmiocie, czyli o rzeczach, do których się odnosi ta nieomylność.

Część trzecia zajmuje się źródłami teologicznemi, tj. tradycyą i Pismem św. W niej podaje autor krótko naukę o Ojcach i teologach, i jaka jest ich powaga, a następnie o natchnieniu Pisma św.

Oto treść nowego dzieła. Książka tedy ta obejmuje prawie wszystko to, co autorowie umieszczać zwykli w teologii „fundamentalnej“, z wyjątkiem traktatu o stosunku wzajemnym, jaki zachodzi między rozumem a wiarą. Treść piękna i podzielona ślicznie. Propozycye krótkie i jasne, obok nich podane określenia, gdzie tego potrzeba; udowodnienie zwięzłe, zawierające najpotrzebniejsze argumenta, uwzględniające wszędzie zarzuty przeciwników. Teorye Straussa, Baura, Renana, Pfleiderera i innych racyonalistów gruntownie zbite. Dodajmy do tego wierność w cytowaniu źródeł, styl potoczysty, druk i papier piękny, a każdy łatwo osądzi, że z przyjemnością tę książkę bierze się do ręki. Gdyby jeszcze niektóre tezy pominięte, znajdujące się zazwyczaj w podręcznikach teologii fundamentalnej, w tej książce przy drugiem wydaniu umieszczono, mogłaby ona być nietylko dla tych, których autor miał na celu (to jest, którzy trzy lata filozofii scholastycznej ukończyli), ale i dla innych teologów znakomitym podręcznikiem.

X...

Three lectures on the Vedânta philosophy, by *F. Max Müller*. London. Longmanns and Comp. 1894.

Szczęśliwy badacz językoznawstwa wystąpił z nowem dziełem, któremu dał tytuł „trzech odczytów o filozofii Wed“. Czy szczęśliwszym był tym razem, niż w smutnej pamięci dziele o „filozofii religii“, która u wszystkich wierzących chrześcijan niemiłe o jej autorze zostawiła wspomnienie? Autor i tym razem puszcza się śmiało na te same wody, na których był doświadczył niefortunnego rozbicia; ostatnia atoli praca — choć mija się, jak dawniej, z zasadami objawienia, mniej może rażących takich usterek religijnych przedstawia. O ile w ramach Wed się ogranicza, świetnym jest przyczynkiem do ich badania i „zimną wodą“ dla nowożytnych buddystów Europy. Przedewszystkiem zbija wygórowane pojęcia o „mistycyzmie“ Wed i sprowadza je niemal do *minimum* w tej mierze.

Trzy są części obecnego dzieła. W pierwszej omawia p. Müller same początki wedyzmu; w drugiej bada wedle ich systemu pojęcia o duszy i o Bogu, a w trzeciej zastanawia się (porównawczo znowu!) nad podobieństwem i różnicami pojęć filozoficznych Indyj i Europy. Jeżeli pierwsze dwie części wiele ciekawych zawierają poglądów i niejedno nowe przynieść mogą światło, to przed trzecią częścią wypada nam ostrzedz łatwowiernych. *Latet anguis in herba!*

Ks. Władysław Czenez.

Pod jarzmem. Powieść z życia Bułgarów w przededniu oswobodzenia. Przez *Jana Wazowa*. Z 25 ilustracyami w tekscie, wykonanemi przez Piotrowskiego, Oberbauera i Mrkwiczka. Sofia 1894. (Подъ Иго-то, романъ изъ живота на Българи-тѣ. въ прѣдвечерие-то на освобождение-то. Отъ Ивана Вазовъ Съ 25 иллюстрацийи въ текста изработени отъ Пиотровски, Обербауера и Мърквичка. Софиа 1894).

Słusznie powiada francuskie przysłowie: *On n'est jamais prophète dans son pays*. Codziennie niemal widzimy w życiu potwierdzenie tego przysłowia, nikt jednak może nie przekonał się tak dobrze o jego trafności, jak znany bułgarski poeta i powieściopisarz, pan Wazow. Przed pięciu laty, bo w roku 1889 w odcinku wydawnictwa bułgarskiego ministeryum oświaty pod tytułem: *Sbornik za narodnitie umotworenia, nauka i knižnina*, ukazała się powieść tego autora, wymieniona przez nas w tytule. Ogół bułgarski przyjął ją obojętnie, sam nawet autor niewielką do niej widocznie przywiązywał wagę, gdyż dla swego literackiego talentu inny obrał kierunek, kreśląc poezye, nowele i szkice. Biedna więc powieść znikłaby może na zawsze w przepaści zapomnienia, nie pozostawiwszy po sobie śladu w bułgarskiej literaturze, gdyby jej nie wydobył z ukrycia niejaki p. Gosse i nie przetłumaczył na język angielski. Dopiero w Albionie powyższy utwór bułgarski należytego doczekał się uznania, gdyż nawet tak poważne wydawnictwa, jak *The Academy, The Review of Review, United Ireland, Athenaeum* i inne powitały go jako jedną z najcelniejszych powieści współczesnych. To dopiero zwróciło uwagę Bułgarów na nieznane dotąd prawie, a raczej nieuznane arcydzieło ojczystego piśmiennictwa, i dzięki temu *Pod Igoto* wyszło obecnie w drugiem wydaniu, ozdobionem licznemi rycinami.

Za tło do tej powieści służy partyzanckie powstanie bułgarskie z r. 1876, które poprzedziło wojnę *en règle*, wytoczoną później w celu wywalczenia niepodległości tej krainy. Pod wielu względami powstanie to przypomina nasz rok 1863, uczestników bowiem jak jednego, tak drugiego, cechuje tenżesam szlachetny, patryotyczny, niekiedy nawet bohaterski, ale nieszczęśliwy zapał, każący „mierzyć siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“. Pomiędzy temi dwiema walkami o niepodległość ta jedynie zachodzi różnica, że gdy nam, pozostawionym o własnych siłach, przyniosła ona tylko żałobę, kajdany, pożary i zgliszcza, dla Bułgaryi, dzięki korzystniejszym warunkom politycznym, stała się jakby krwawą wprawdzie, lecz pełną nadziei jutrzenką lepszej przyszłości.

Na historycznej tej kanwie snuje się cały szereg wybornie scharakteryzowanych typów i zręcznie naszkicowanych obrazów, w których

zwłaszcza opisy majestatycznej bałkańskiej przyrody odznaczają się plastyką i pięknością. Sam bohater, Bojczo Ognianow, to postać niezmiernie szlachetna, odważna i przesiąkła głęboką wiarą w świętość swojej sprawy. Obok niego jako organizatora powstania w Sopotach i Klisurze, grupuje się całe grono bułgarskich patryotów najrozmaitszego stanu i najróżnorodniejszych przekonań, dalej zaś nieco jakby dla kontrastu kilku zdrajców, których nigdy i nigdzie w tak doniosłych chwilach, niestety, nie braknie, a wreszcie mnóstwo podrzędnych postaci, odgrywających w tej powieści rolę teatralnych statystów, lecz z których każda ma w niej swoją racyę bytu. Wszystko to są typy ani wyidealizowane zanadto, ani też zbyt realistycznie traktowane i doprowadzone do karykatury, ale pełne życia i prawdy, nietylko ogólnej psychologicznej, lecz także i lokalnej, że się tak wyrazimy, bo nie pozbawione pewnej naiwności, prostoty, a nawet nieokrzesania, które muszą poniekąd cechować tak młode jeszcze w dziejach cywilizacyi społeczeństwa, jakiem jest bułgarskie. Jako uczestnik bułgarskiego powstania 1876 roku i naoczny świadek wielu opisywanych przez siebie wypadków, p. Wazow odmalował je wiernie, dokładnie i właściwy nadał im koloryt: jako zaś utalentowany pisarz, potrafił w swoich opisach zadowolnić artystyczne wymagania. W całym ciągu jego pracy akcya toczy się żywo, barwnie, trzymając uwagę czytelnika w ciągłem natężeniu, a jednak bynajmniej jej nie nużąc, tak, że niemal niepostrzeżenie dobiega się do końca ciekawej tej książki. Mnóstwo epizodów, to tchnących urokiem prostoty i spokoju, jak obrazy miejskiego, wiejskiego lub góralskiego życia, to nacechowanych okropnością i grozą, jak naprzykład zdobycie Klisury i śmierć Ognianowa, to wreszcie humorystycznych, składa się w całość tak imponującą i tak dalece pozwalającą sięgnąć okiem we wszystkie szczegóły bułgarskiego życia z uwzględnieniem warunków danej chwili, że Bułgarzy słusznie uważać ją mogą za swoją narodową epopeę w prozie. Nawiasem dodać możemy, że ze wszech miar ciekawa i zajmująca ta powieść ukaże się niebawem w polskim przekładzie. Szkoda tylko, że niektóre ryciny, nakreślone ołówkiem aż trzech artystów, pomiędzy którymi spotykamy naszego rodaka Piotrowskiego, zostały tak niedbale wykonane w cynkotypii, że raczej szpecą, niż zdobią to dzieło.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wiedeńskie rozprawy o spoczynku niedzielnym. — Po ustąpieniu Wekerlego. — List węgierskich biskupów. — Katolicy a ewangelicy na Szląsku austryackim.

WIEDEŃSKIE ROZPRAWY O SPOCZYNKU NIEDZIELNYM.

Wiedeńskie rozprawy o zmianie obowiązującego do ostatnich czasów prawa o spoczynku niedzielnym, wykazały nie po pierwszy zresztą raz, jak to równie niechrześcijańskie, jak wprost nieludzkie prawo wszystkim, bez wyjątku, do żywego dokuczyło. Nie znalazł się mówca, któryby śmiał wziąć w obronę nieudały ów, karykaturalny utwór liberalnych ludzi, liberalnych prądów; rząd wyparł go się samem swem przedłożeniem, a ci, co zwalczali w teoryi, choć nie w praktyce, w mowach, choć nie przy głosowaniu, przedłożone przez rząd projekty, oświadczali z naciskiem, że czynią to jedynie dlatego, ponieważ proponowane zmiany nie są dość radykalne, za mało odpowiadają najbardziej usprawiedliwionym życzeniom całej ludności. W tym punkcie podali sobie ręce najczerwieńsi młodoczesi i najczarniejsi konserwatyści.

„Spoczynek niedzielny — mówił słusznie młodoczech Adamek — jest jednym z najważniejszych środków do duchownego podniesienia robotników, do zapobieżenia fizycznej ruinie, rozpościerającej się coraz bardziej wśród warstw fizycznie pracujących.

Ale aby rezultaty te zostały osiągnięte, należy jak najbardziej ograniczyć wyjątki i dyspenzy, dozwalające w pewnych wypadkach i zatrudnieniach na pracę niedzielną; w szczególności stronnictwo nasze oświadcza się z całą stanowczością przeciw wszelkim tego rodzaju wyjątkom, odnoszącym się do pracy kobiet i dzieci. W pierszym szeregu powinien sam rząd wszędzie, gdzie występuje jako przedsiębiorca, jak np. w trafikach, kolekturach loteryjnych i t. p., przyświecać przedsiębiorcom prywatnym dobrym przykładem. Podobnież należy się odpoczynek niedzielny urzędnikom i sługom przy pocztach i kolejach; należy się zastanowić, w jakich granicach strzeżonym być może i powinien w wojsku".

„Obecne przedłożenie — zastrzegał się opat Treunfels — nie odpowiada wszystkim naszym pragnieniom, nie zawsze szczęśliwie jest zredagowanem; ale bądź co bądź, zważając na całość, nie na odrębne szczegóły, jest znacznym postępem ku lepszemu, krokiem naprzód na drodze pracy społecznej. Jeśli gdzie, to w kwestyi niedzielnej widać najwyraźniej, jak państwo i Kościół nie powinny i nie mogą chodzić osobnemi, nigdzie nie stykającemi się z sobą ścieżkami, ale wspólnie mają pracować, wzajemnie sobie pomagać. Należyte rozwiązanie kwestyi niedzielnej przyczyni się niemało, bez najmniejszego wątpienia, do szczęśliwego rozwiązania całej t. zw. kwestyi socyalnej. Prawda, i tego milczeniem pominąć tu nie mogę, że prawna obrona niedzielnego spoczynku stanowi tylko jedną, raczej negatywną część tego rozwiązania; co ważniejsza, to jak wygląda jego pozytywna strona, innemi słowami, na co ów dzień odpoczynku ma być i bywa użytym. Dla państwa nie może być rzeczą obojętną, czy robotnik spędza niedzielę w szynku, przepija tam całotygodniowy zarobek i bierze udział aż do późnej nocy w podburzających zgromadzeniach, a następnie wraca, w najlepszym razie, w poniedziałek do roboty z sercem rozgoryczonem, z głową przepełnioną fałszywemi teoryami; czy przeciwnie, oddał w niedzielę Bogu, co się należy Bogu, podniósł myśl i serce ponad biedę tego świata, a później w rodzinnem kole uczył się, kształcił, zażywał rozumnej rozrywki, odpowiadającej swemu poło-

żeniu. A czy może być dla państwa rzeczą obojętną, czy jego urzędnicy wypełniają czy nie wypełniają swych religijnych obowiązków; czy mają sposobność i możność je wypełnić? Zwłaszcza po wsiach, po małych miasteczkach niezmiernie rośnie powaga urzędników i ufność ludności względem nich się wzmaga, kiedy katolicki urzędnik okazuje się i w praktycznem życiu katolikiem. Nie żądam, aby urzędników urzędowo do kościoła odkomenderowywać; żądam, aby im przypominać, że własnym przykładem powinni raczej prowadzić, niż odprowadzać od kościoła; żądam co najmniej, i z wszelką słusznością mamy się wszyscy tego prawo domagać, aby urzędnik miał czas i możność wypełnić chrześcijańskie swe obowiązki, aby z powodu wiernego ich wypełniania nie był narażony ze strony swych przełożonych na uszczypliwe docinki, jak to, niestety, czasami się zdarzało!"...

Sądząc po gorącej mowie ministra handlu, hr. Wurmbranda, podobne, ubolewania godne wypadki, zdarzaćby się już na przyszłość nie powinny. „Praca, to rzecz najmoralniejsza na świecie, ale i praca może działać demoralizująco, gdy przechodząc z góry określone granice, zbyt człowieka obciąża, a tak rodzi choroby i ducha i ciała; nieszczęściem, niezdrowe to przeciążenie coraz częściej i gęściej ma miejsce w społecznem naszem życiu. I ciało i dusza sprostać już nie mogą gorączkowej, nieprzerwanej pracy. Widzimy to na naszej robotniczej ludności, widzimy na ludziach zatrudnionych przy rozmaitych rzemiosłach, a jeżeli mamy być szczerymi, widzimy i po części na sobie samych... Pragnąłbym gorąco, abyście panowie mogli przedłożone obecnie prawo przywieźć ze sobą już na gwiazdkę oczekującej go ludności; jakoż w rzeczy samej mieści ono w sobie jedną z pięknych chrześcijańskich zasad, które święta Bożego Narodzenia nam przypominają: chodzi w niem o odpoczynek, stojący w tak w ścisłej harmonii z myślą o pokoju. Potrzebujemy pokoju, aby obok zewnętrznego pokoju, który roztropna polityka od lat 30 nam zapewnia, dojść do pokoju i w wewnętrznych stosunkach; a odpoczynek jest jednym z warunków tego pokoju, bo prowadzi do poznania, na czem polega znaczna część ludzkiego szczęścia".

Stosownie do życzenia, objawionego przez ministra, mogli istotnie posłowie przywieźć swym wyborcom na gwiazdkę nowe prawo, przyjęte przeważającą większością przez Izbę niższą, potwierdzone jednomyślnie przez Izbę wyższą. Punkt widzenia i dalsze nadzieje szczerych katolików odnośnie do tego prawa, uwidocznił sprawozdawca, dr. Ebenhoch, w przemowie, zamykającej ogólną rozprawę:

„Przedłożona nam ustawa jest dalszym prawodawczym krokiem na drodze obrony robotnika; jest dalszym krokiem, a wcale nie ideałem, do którego osiągnięcia konserwatyści zdążają... Oświadczam się jasno, bez żadnych ograniczeń, za zupełnem święceniem niedziel i świąt, ale rozumiem, że strzedz się należy gwałtownego skoku w nowe stosunki, które za jednym zamachem pokierowałyby produkcyę i konsumcyę na nieznane tory... Nie podlega wątpliwości, że nagłe wprowadzenie bezwzględnego, nie znającego żadnych wyjątków odpoczynku niedzielnego i świątecznego, zalałoby niejednego z tych, którzy niespodzianie musieliby do wody wskoczyć. Stosunki, panujące w różnych krajach koronnych, w różnych okolicach w jednym kraju, tak są nieraz odmienne, że było czystem niepodobieństwem zamknąć wszystko w ustawie jasno i krótko, co zamknąćby należało...; jeśli gdzie, to tu do pożądanego celu może na pierwszem miejscu doprowadzić pewna wzajemna ufność między władzą a ludnością... Ale i ta ufność sama nie pomoże, jeżeli wszyscy nie zdecydują się na złożenie pewnych społecznych ofiar. Złożyć je muszą warstwy robotnicze, bo nie otrzymają naraz wszystkiego, do czego sądzą że mają usprawiedliwione prawo; samoistni producenci, bo przynajmniej w początkach narażeni będą na pewne straty; złożyć muszą i konsumenci, żegnając się z pewnemi dawnemi, drogiemi sercu przyzwyczajeniami, witając się w interesie społeczeństwa z drobnemi, wprowadzonemi przez nową ustawę, utrudnieniami. Na to niema sposobu; nikt zupełnie kontent nie będzie, ale ostatecznie każdy musi przyznać, że nowe prawo niedzielne odda całemu społeczeństwu walną usługę“...

PO USTĄPIENIU WEKERLEGO.

Po mozolnych kombinacyach i pertraktacyach znalazł się wreszcie następca Wekerlego w osobie dotychczasowego prezesa Izby poselskiej, br. Dezyderego Banffego. Powoływany już dawniej, po pierwszem niepomyślnem dla rządu wotum Izby magnatów, do utworzenia nowego ministeryum, ban chorwacki, hr. Khuen-Hedervary, nie zdołał i tym razem z zadania się wywiązać; Koloman Szell wymówił się roztropnie od ciężkiego zaszczytu, na lepsze czasy się rezerwując; aż wreszcie przyszła kolej na Banffego. Długiego życia nowemu ministeryum nikt nie rokuje; prawda, że i rząd Wekerlego uważano powszechnie z początku za tymczasowy. Ważniejsze pytanie, czy kalwin Banffy zechce pójść wiernie śladami wrzekomo katolickiego swego poprzednika; czy może — jak dość powszechnie w Węgrzech się spodziewają — właśnie dlatego, że jest kalwinem, nie okaże się względniejszym dla katolickiego Kościoła? Charakterystyczne to nadzieje, smutny, bardzo smutny cień rzucające na węgierskie stosunki!

Dokąd Wekerle królował na prezydyalnym fotelu, węgierskie dziennikarstwo biło przed nim, z nader nielicznemi wyjątkami, chińskie pokłony. Wekerle fotel swój opuścił i dzienniki w jednem mgnieniu oka inne nastroiły miny; niekończące się *Eljen!* dla kościelnych reform i genialnego ich twórcy nagle ucichło, a tu i ówdzie, z grona najserdeczniejszych przyjaciół, odezwały się głośne sykania. *Pester Lloyd* przyznał, — szkoda, że poniewczasie i wbrew dawniejszym wywodom — że Wekerle znajduje się w niełasce u Korony nie od dziś, nie od wczoraj, ale niemal od pierwszej chwili swych rządów. Subwencyonowany przez ministeryum *Neue Pester Journal* wyrzuca upadłemu ministrowi, że brak mu było wybitnego zmysłu do rządzenia, a brak ten zastępował środkami nie bardzo licującemi z ścisłą lojalnością dla monarchy. „Czemuż — pyta *Pesti Hirlap* z udanem współczuciem — nie chwycił się Wekerle zręczniejszej taktyki, czemuż z większą ostrożnością krok za krokiem nie postępował? Nieostrożność jego jest przyczyną, że cały dotychczasowy gabinet musi ustąpić dla naprawienia zamąconej harmonii i uregulowania naprężonych stosunków z królem“. Na-

wet kossuthowski *Egyetertes* uznał za stosowne rzucić odchodzącym komplement o „długim łańcuchu popełnionych przez nich błędów i przewinień". Tylko kilka najczerwieńszych, skrajnemu radykalizmowi otwarcie hołdujących dzienników, skruszyło kopię za swym ulubieńcem; słaba to i kompromitująca przysługa.

LIST BISKUPÓW WĘGIERSKICH. Biskupi węgierscy wydali „na progu Nowego Roku" wspólny list pasterski, w którym protestują przeciw zaprowadzeniu ślubów cywilnych, pocieszają i umacniają wiernych „pośród tylu bólów i nieszczęść, które nas wszystkich w tych trudnych czasach cisną", i wzywają do dalszej wytrwałej walki w obronie w najświętszych swych prawach zagrożonego Kościoła.

„Wiecie, że ustawa o t. zw. ślubach cywilnych ogłoszoną została dnia 18 grudnia r. z. Wiecie, że pamiętni odpowiedzialności, włożonej na nas przez Boga, nie pominęliśmy żadnego starania, nie ulękliśmy się żadnego trudu, aby odwrócić wielkie to nieszczęście od poruczonej nam trzody, od naszej ojczyzny. Wiecie, że wręczyliśmy Apostolskiemu Królowi najpoddańszą prośbę, w której przedłożyliśmy, jak bardzo zamierzona ustawa sprzeciwia się katolickiej wierze, narusza prawa Kościoła, szkodliwą jest dla tronu i ojczyzny. Wystosowaliśmy również do królewskiego rządu pismo podobnej treści...

„Niestety! wszystkie podjęte przez nas starania pozostały bez pożądanego skutku. Teraz więc obowiązkiem naszym jest ‚podnieść upadek narodu naszego'. Nie upadajcie na duchu!... Od Namiestnika Chrystusowego na ziemi otrzymali biskupi węgierscy następne napomnienie: ‚Co się tyczy spraw, które w ostatnich czasach umysły wszystkich poruszyły, apostolski nasz urząd domaga się, abyśmy was i duchowieństwo wam podległe zachęcili do silniejszej jeszcze wytrwałości, jednomyślności i gorliwości w pouczaniu i napominaniu ludu poruczonego pasterskiej waszej opiece'. Ogłaszajcie przeto stanowczo i jednomyślnie wiernemu ludowi naukę Chrystusową, którą Kościół katolicki wyznaje, i napominajcie go, aby szczególnie w tych trudnych okolicznościach usilnie Boga prosił: ‚Pomnóż w nas wiarę!'...

„Pamiętając, że zadaniem i obowiązkiem waszym jest służba przy ołtarzach Chrystusowych, a nie przypodobanie się ludziom, głoście wiarę Kościoła, bez względu na ludzi, bez obawy przed trudnościami, i pouczajcie lud pasterskiej waszej pieczy poruczony, co zgadza się z wiarą i przykazaniami Kościoła, a co im się sprzeciwia; napominajcie go, aby wśród wszelkich zmian i przygód, wśród najcięższych nawet okoliczności, wyznawał nieustraszenie swą wiarę tak, jak przystoi chrześcijanom, aby całem swem życiem wiarę tę swierdzał... Wy zwłaszcza sami musicie z całego serca, odważnie zająć się interesami świętej naszej religii i bronić ich tak w prywatnem życiu, jak i w publicznem... Wespół z nami, których Bóg za przewodników wam wyznaczył, róbcie wszystko, na co tylko dozwala boskie i ludzkie prawo, aby chrześcijańskiemu małżeństwu wróconą i zagwarantowaną została należna mu cześć, aby prawa naszego świętego Kościoła i świętej naszej wiary szwanku nie poniosły“...

KATOLICY A EWANGELICY NA SZLĄSKU AUSTRYACKIM.

Gazeta Narodowa ogłosiła szereg bardzo ciekawych artykułów pod ogólnym tytułem „Ze spraw szląskich“, skreślonych przez wybornie widocznie o tych sprawach poinformowanego pisarza, który się podpisuje „Warszawiakiem“. Ważne to artykuły, bo autor wykazuje w nich śmiało i stanowczo właściwą wartość błąkającej się po liberalnych naszych pismach legendy, która czasem i w konserwatywnych pismach i domach pokutuje, o patryotycznych ewangelikach, podtrzymujących polskiego ducha na austryackim Szląsku, i niepatryotycznym ludzie i klerze katolickim, zaprzedanym Niemcom. W rzeczywistości, zaręcza „Warszawiak“, rzecz przedstawia się wręcz, ale to wręcz odmiennie.

Pierwszy, który podniósł polski sztandar na Szląsku, znany Stalmach, nawrócił się wprawdzie do katolickiej wiary dopiero przed śmiercią, ale całe życie tak działał i pisał w swej *Cieszyńskiej Gwiazdce*, jak gdyby był katolikiem. Dopiero nowi, „ewangelicko-liberalni działacze“, zmienić usiłowali kierunek narodowej pracy i nadać jej jeśli już nie wyłącznie ewangelicki charakter, to przynajmniej cechę supremacyi ewangelicko-libe-

ralnej. Nadać usiłowali, głosili na prawo, na lewo o swych trudach, zasługach, a w gruncie rzeczy i naprawdę cóż zrobili? Przy Stalmachu stał katolicki lud i duchowieństwo; ewangelickich odbiorców nie miała *Gwiazdka* nigdy więcej nad stu. Obecnie robi się niewiele, ale co się robi, to wszystko praca katolicka. Czytelnie w Skoczowie, Jabłonkowie, Karwinej, Łazach i t. d. prowadzą katolicy; tylko jedna czytelnia cieszyńska, raczej kasyno inteligencyi miejscowej, jest w rękach ewangelicko-liberalnych. „Kółka rolnicze“ w większej połowie są katolickie i przez księży prowadzone. Najliczniejsze, bo przeszło 1000 członków liczące i najskuteczniej w polskim duchu pracujące towarzystwo, to „Związek szląskich katolików“. Przy wyborach ewangelicy głosują raz po raz za Niemcami lub zniemczonymi Polakami; przy wyborze ks. Świeżego do Rady Państwa, dali na niego, wbrew poprzedniej umowie, zaledwie coś więcej nad 30 głosów. Gdzież tu ów okrzyczany, za wzór stawiany patryotyzm?

Przechodzę — pisze ciągle „Warszawiak“ w *Gazecie Narodowej* — do sprawy najdrażliwszej, do zarzutów czynionych duchowieństwu katolickiemu i ks. kardyn. Koppowi, który ma być „najzaciętszym wrogiem i szkodnikiem narodowości polskiej na Szląsku“.

Więc najpierw co do duchowieństwa samego. Wszak język polski wygnany z urzędu, szkoły i życia społecznego stanów inteligentnych, przechował się tu przez wieki tylko w kościele. Duchowieństwo więc jedno trzymało narodowość. A to pominąwszy, jeżeli się dziś coś robi na Szląsku, to przecie wszędzie w tej pracy jest ręka duchownych katolickich. Z msgr. Świeżym na czele idzie cały szereg nazwisk samych księży, jak: Dziekan, Duś, Paździora, Londzin, Matulski, Karwarski, Figwer, Firle i t. d. Ci dają grosz, pióro, słowo do każdej poczciwej pracy...

Duchowieństwo, powiadają, nie chce należeć do dyecezyi krakowskiej? Możnaż mu to brać za złe, wysłuchawszy jego słusznych powodów? a kto zapewni, że to przyłączenie przyniosłoby rzeczywistą korzyść?

Duchowieństwo, mówią dalej, zbytnio posługuje się niemczyzną? To już wytknęliśmy — ale czy ewangelicy tak samo nie robią?

Co się zaś tyczy ks. kardynała Koppa, trzeba być sprawiedli-

wym i mieć przed oczyma, co i od kogo żądać można... Od biskupa narodowości niemieckiej, a do tego może niewłaściwie informowanego, a może i za często drażnionego, czego żądać się ma prawo? Jużci tego, aby wprost nie szkodził narodowości, aby nie występował wobec niej wrogo. Wcale zaś tego żądać nie można, aby popierał odrodzenie narodowe Szląska, boć przecie o to mu chodzić nie może. Już zaś kard. Koppowi „szkodzenia“ narodowości i „wrogiego“ dla niej usposobienia, bez mijania się z prawdą, zarzucić nie można. Nigdy i nigdzie on ze słowem, nieprzyjaźń jakąś zdradzającem, się nie odezwał, nigdy nic „wrogiego“ nie uczynił...

Przeciwnie — ks. kardynał Kopp popiera, i to hojnie budowę kościołów i dzieła o wybitnie katolickim charakterze. Zliczywszy sumy, które dotychczas dał na same kościoły, dojdzie ona może kwoty, jaką dziś „Macierz szkolna“ posiada na polskie gimnazyum, a pewnie nie będzie mniejszą od 40 tysięcy złr. Już zaś, gdy jest rzeczą pewną, że kościoły w odległych wioskach polskich, lub taki nowy kościół Serca Pana Jezusa w Cieszynie, są bez wątpienia najskuteczniejszą obroną i prawdziwą fortecą narodowości polskiej, oddać należy kardynałowi Koppowi tę słuszność, że dla narodowości polskiej dał na samym Szląsku cieszyńskim największe sumy ze wszystkich ofiarodawców, jacy na sprawę szląską dotychczas w Polsce dawali.

A że tam, gdzie tego od niego żądają w sposób właściwy, i gdzie to z obowiązku swego uczynić może, także wprost o prawa polskiej ludności się upomina, tego dowodem, iż gdy na Górnym Szląsku na ręce jego wniesiono adres ze 100 tysiącami podpisów o naukę religii w szkołach ludowych po polsku, kardynał przedstawił ją i poparł w ministerstwie berlińskiem. W końcu zapewniali posłowie-rodacy szląscy, że kard. Kopp, będąc po nominacyi na zastępcę marszałka w sejmie opawskim, był dla nich uprzejmym, i przyrzekł, że każde ich słuszne żądanie popierać będzie.

To wszystko razem dowodzi, o ile przesadzone są zarzuty, przeciw kardynałowi podnoszone, może dla odwrócenia uwagi od innych szkodników na Szląsku...

Dalej zwraca „Warszawiak“ uwagę na zewnętrzne walki, toczone na Szląsku między katolikami a ewangelikami, i tak je opisuje i krytykuje:

O ile ani w *Gwiazdce Cieszyńskiej*, ani w żadnem innem tu piśmie przez katolików wydawanem, nie bywa z zasady mowy o ewan-

gelikach, tak znowu ze strony ewangelików wychodzą dwa tygodniki: *Nowy Czas* i *Przyjaciel ludu*, które w żadnym numerze nie pominą sposobności przyczepienia łatki katolikom, a często drażnią tak dotkliwie uczucia i przekonania katolickie, że to nietylko całą ludność katolicką oburzać musi, ale też czasem już i prokuratoryę do obrony katolików, przez zarządzenie konfiskaty tych napaści, powodowało. Zatem „co tydzień", a to z dwu stron padają przeciw katolickiej polskiej ludności wyostrzone strzały, które dotykając religijnych wierzeń, trafiają w samo serce. Niesie to z sobą z jednej strony istota luteranizmu, który, jak wiadomo, wszędzie żyć może tylko negacyą katolicyzmu i zohydzaniem tego, co katolickie, tu zaś na Szląsku, wśród ludności polskiej, poniekąd ta potrzeba atakowania katolicyzmu się wzmaga.

Wśród ewangelików tutejszych, acz liczbą tak szczupłych, istnieją dwa prądy i dwa stronnictwa. Jedno t. zw. „haasowskie", od osławionego swego superintendenta d-ra Haasego, jest wprost wszelkiej polskości wrogie i wychodzi z zasady, że „polskość, to katolicyzm", więc wszystkie siły wytęża w tym kierunku, aby w ewangelikach swoich wystudzić nietylko wszelkie uczucia narodowe, ale też choćby wszelki ślad sympatyi dla Polski. Tej idei trzyma się *Nowy Czas*, a zważywszy, że ma on pomiędzy tutejszymi ewangelikami polskimi liczne grono czytelników i zwolenników, można za rzecz pewną przyjąć, że większość ewangelików polskich, stojąca tu przy tem piśmie i z d-rem Haasem, jest stanowczo dla narodowych uczuć i dążności nieprzystępną, a nawet im wrogą. (Takiej grupy wśród katolików polskich tu wcale niema).

Drugi prąd i drugie, daleko mniejsze stronnictwo ewangelików polskich, idzie za *Przyjacielem ludu*, redagowanym przez pastora Michejdę. Maleńkie to grono usiłuje przekonać świat, że jest narodowem i pragnie, wprawdzie, broń Boże, nie religijnej, ale społeczno-politycznej łączności z resztą Polski. W tym celu afiszuje głośno swój patryotyzm, zwłaszcza poza granicami Szląska, ale tu w domu wszystko tak robi, że rozwój sprawy narodowej jest co najmniej zatamowany. Społeczną i polityczną działalność tego grona przedstawimy niżej, tu tylko zaznaczamy, że przedstawia się ono rodakom poza Szląskiem w barwach całkiem fałszywych. Najpierw nie przyznaje się do tego, że jest ich bardzo mało, a powtóre starannie pokrywa to, że ludność katolicka ani duchowieństwo katolickie na ich pasku nie idzie, bo pójść nie może. Nie może zaś pójść dlatego, bo sam najruchliwszy

pastor Michejda (innych pastorów zdeklarowanych „narodowców“ prawie tu nie znajdzie) dwa razy w miesiącu poniewiera, jak wspomniano, katolicyzm w swoim *Przyjacielu ludu*. Dla podtrzymywania zaś „powagi luteranizmu“ starają się w piśmie i słowie wprowadzić na Szląsku obyczaj nazywania pastorów „księżami“, a pastor Michejda stale na swoich pismach podpisuje się dla bałamucenia ludności katolickiej: „Ks. Michejda!“

Nietylko w polskim, ale w każdym języku europejskim słudzy religii każdego wyznania mają swe nazwy „własne“: „Ksiądz, pop, pastor, rabin, derwisz“ i t. d. Z teologicznego stanowiska, kto nie uznaje Sakramentu kapłaństwa, już wcale, wedle swych zasad, unikaćby miał mieszania pojęć, jeżeli się zaś to robi, aby pod firmą „księdza“ puścić w świat polski i lud katolicki swoje postrzały, to wygląda to na coś podobnego, jak gdy t. zw. „rycerze industryi“ ubierają się w suknię katolickiego kapłana, aby ułatwić sobie przystęp do ludzi...

Dysputy religijne w domu, fabryce rozdrażniają ludność. — A największa wina za to spada właśnie na pisma Haasego i Michejdy. Dostarczając co tydzień sporo materyału do religijnych sporów, podtrzymują te dysputy i wprowadzają do nich wiele ognia i zawziętości. Gdziekolwiek się obrócisz, przyniosą ci wnet *Nowy Czas* lub *Przyjaciela ludu* ze skargą: „Oto, co na nas piszą!“ do której często przyłącza się druga: „Czemu nas *Gwiazdka* nie broni!?“...

Najzaciętszym wrogiem polskości jest tu bez wątpienia superintendent Haase... „Patryotyczni ewangelicy“ zaś wcale Haasemu nie oponują, a tylko, aby oczy świata od niego odwrócić, biją w ks. kardynała Koppa. Lecz gdzież tu możliwe jakie porównanie? Ks. kardynał, jak to wykazaliśmy, trzyma się w niektórych sprawach co najwyżej w rezerwie, ale niczemu nie przeszkadza, nigdzie nie szkodzi, a w sprawach religijnych hojnie pomaga; zaś Haase nie tai swej nienawiści dla polskości, głośno się z tem odzywa, protestuje przeciw wszelkiemu wymiarowi sprawiedliwości na Szląsku, grosza na nic nie da, chyba na *Nowy Czas*, którego dążności dla nas zgubne już napiętnowaliśmy...

Cieszyńska „Czytelnia ludowa“, to kasyno, i to wyłącznie kółka ewangelicko-liberalnego. „Księży tu niema, ani katolików“, mówią ci, gdy tam przyjdziesz. No i fakt — najczęściej ich tam niema. Ale nikt ci nie doda, że księża i katolicy mają swój dom katolicki osobny na „starym targu“, i że gdy w tym domu jest zebranie np. katolików

szląskich, to jest tam „prawdziwych“ chłopów szląskich tyle, ile ich jeszcze „Czytelnia ludowa“ nigdy nie miała, ani nie widziała!

Kto na Szląsk przybywa, chcąc poznać szląskie stosunki z jednej lub kilku wizyt w „Czytelni ludowej“, ten ulegnie tylko złudzeniu. Ulegnie złudzeniu, bo usłyszy wiele, „coby trzeba zrobić“, a nie pokażą mu nic, co się zrobiło, i naslucha się żalów na brak poparcia, rozpraw na temat o trudności pracy narodowej. Ulegnie złudzeniu, bo mu nie powiedzą, że w tej samej Czytelni, gdzieś w nieprzystępnym składzie, butwieje około 10 tysięcy książek polskich, które Polacy zarządowi Czytelni powierzyli, a on ich od lat niepamiętnych ani nie uporządkował, ani do publicznego użytku nie oddał. Nie powiedzą mu, że brak poparcia nie sprawy narodowej, ale ich kółka, stąd pochodzi, ponieważ utracili oni sami zaufanie przez złe dotychczas gospodarstwo bazarowe, oraz przez to, że chcą w trójkę czy piątkę dzierżyć monopol i ster spraw narodowych, a pragną oni, „liberalni ewangelicy“, mieć hegemonię nad duchowieństwem katolickiem i większością, złożoną z ludu katolickiego.

Wreszcie nie powiedzą, o ile to możliwe, że lud katolicki i duchowieństwo ma inne ognisko, że lud sam się broni i dźwiga, jak może, a co się dobrego na Szląsku robi, to się robi bez nich i poza nimi przez lud katolicki i duchowieństwo...

Może teraz po tym wyczerpującym obrazie, rzucającym tak nowe a jaskrawe światło na stosunki na Szląsku austryackim i na tamtejszych „narodowych przewodników“, niektóre pisma nasze będą ostrożniejsze w przyjmowaniu za dobrą monetę wszystkich nadsyłanych sobie z Cieszyna wiadomości, podejrzeń, oskarżeń!

Ks. Jan Badeni.

Z przechadzek po Wiedniu.

Wiedeńskie kościoły. — Polskie pamiątki.

Duch czasu usuwa często dawne pamiątki, pozwala im zniszczeć, nie zastępując ich należycie, co gorsza zastępując źle. Na miejsce poznoszonych klasztorów lub usuniętych kościołów powstają często nowe, lecz nie mające tego powabu, tej wygody, jaką miały budynki średnio-

wieczne. To też często tu słyszeć można: uczęszczamy do starych kościołów, bo w nich lepiej i spokojniej modlić się można niż w nowych, zapełnionych filarami, z światłem rażącem, różnobarwnem. To samo można powiedzieć i o domach nowożytnych, raczej koszarach o pięciu lub sześciu piętrach, bez podworców, ogrodów i przedsionków. Patrząc od lat kilkunastu na te zmiany w milionowem mieście, mimowoli nasuwa się pytanie: *quousque tandem*, jak będą wyglądać stolice po latach kilkunastu, i co pozostanie z zabytków pierwotnych?

Na pochwałę religijnego ducha stolicy zanotować można, że w ostatnich latach powstało kilka nowych kościołów i oratoryów publicznych, jakoteż i kongregacyj zakonnych. Niektóre ze starożytnych kościołów, które były pełne pyłu i ciemności, odrestaurowano szczęśliwie, jak np. kościół u Szkotów w Hernals i t. d.; inne, jak np. u św. Rocha, odrestaurowano, mimo uchwał komisyj, szablonowo: pozbijano dawne sztukatury barokowe i zastąpiono lichem malowidłem. Lecz nie tyle chodzi mi tu o skreślenie krytyki restauracyj, jak raczej o zastanowienie się, ile w niektórych kościołach po puryfikacyi jeszcze zabytków przeszłości pozostało, zabytków drogich każdemu Polakowi.

Kroki polskiego pielgrzyma kierowaćby się powinny, kierują się zwyczajnie do tumu św. Szczepana. Tu, obok innych dzieł sztuki, znajduje się z polskiego, czarnego marmuru główny ołtarz z obrazem „Kamienowanie św. Szczepana", malowany na srebrnej blasze przez Tobiasza Bocka. Nad ołtarzem rozpoznać łatwo duże figury z naszego marmuru, przedstawiające św. Stanisława i św. Wojciecha. Na zewnętrznej stronie tumu św. Szczepana od strony pałacu arcybiskupiego, znajduje się gotycka ambona, z której św. Jan Kapistran, pogromca duchowy Turków i Tatarów a znany z apostolstwa swego na Węgrzech i w Polsce, krucyatę przeciw poganom rozpoczął. Pod niebotyczną, słynną wieżą tegoż tumu, w zachodniej bramie przechodniej, nowoczesny, najświeższy pomnik odsieczy wiedeńskiej przez Hellmera. Pomnik ten, dzieło kilkunastoletniej pracy, wart widzenia, choć stoi w najniedogodniejszem miejscu i pył na nim osiadł. Największe wrażenie sprawia koń, na którym Starrhemberg się unosi. Reszta figur historycznych, jak Sobieskiego i syna jego, wygląda z powodu wysokości pomnika jak małe lalki. Wewnątrz kościoła przedstawia się imponująco odnowiona świeżo gotycka ambona. Wspominam o niej dlatego, że z niej musiał głosić ów kaznodzieja (którego imię mimo poszukiwań dotąd nieznane) mowę pochwalną i dziękczynną, w której sławił króla pol-

skiego, oswobodziciela chrześcijaństwa, słowami: *Fuit homo missus a Deo cui nomen erat Johannes.*

Od tumu św. Szczepana, w którego ściany wmurowane widnieją kule z wojen tureckich, niedaleka droga do kaplicy św. Stanisława Kostki, dawnego mieszkania tego świętego młodzieniaszka, w domu zamieszkałym przez duchowieństwo świeckie probostwa *Am Hof* i przez osoby prywatne. Ustronie to opisał przed kilku latami ks. Jan Badeni w *Przeglądzie Powszechnym*. Co się kiedyś z budynkiem już i tak starym, wobec manii budownictwa nowoczesnego, stanie, Bóg wiedzieć raczy, zwłaszcza, że stoi on obok samego kościoła w wązkiej uliczce. Szkoda też wielka, iż ta urocza kaplica, oblegana przez tłumy przez całą oktawę św. Stanisława, w inne dnie roku ciągle jest zamknięta, lubo dochód z niej wystarczyłby z pewnością na utrzymanie stróża.

Opuszczając kapliczkę z życzeniem, by w jak najdłuższe lata pobożnych ku sobie ściągała, przejdźmy przez plac obok nuncyatury apostolskiej, do kościoła Benedyktynów czyli t. zw. „Szkotów“, albowiem ze Szkocyi tu kiedyś przybyli. Kościół ten i opactwo założył Babenberg, książę Henryk Jasomirgott, w r. 1158. Zbudowany w stylu późnego renesansu, o dwóch wieżach, dotąd nieskończonych, mieści w sobie mnóstwo drogocennych pomników. Przed kilku laty mistrz Ferstel, a głównie architekt polski Julian Niedzielski odnowili wewnątrz ten kościół wspaniale i bogato. Jedyna to restauracya ołtarzy i malowideł ściennych, która się wszystkim podoba, a osobną uczoną rozprawę możnaby o niej napisać. Ołtarz główny olbrzymi, zbudowany jest na nowo z różnobarwnych zagranicznych (belgijskich, szwedzkich, afrykańskich) marmurów przez rzeźbiarza Gasser'a. W nim mieści się obraz Matki Najświętszej z Dzieciątkiem Jezus, przed którymi klęczy Henryk Jasomirgott i św. Benedykt. Mozajka ta wyszła z pracowni insbruckiej.

Udajmy się teraz na prawo, a wkrótce zajdziemy do dwóch kościołów, drogich sercu Polaka, tj. do kościoła *St. Maria am Gestade* i do kościoła św. Ruprechta. Pierwszy, zbudowany w XIV. wieku przez Michała Weinwurma, ukryty między budynkami, zwraca uwagę jedyną wieżą w kształcie korony; należy do niezmordowanych w pracy a dawniej tak wyszydzanych Ojców Redemptorystów. Znajduje się tu w prezbiteryum prześliczny grobowiec błog. Klemensa Hofbauera, który przez swe prace misyjne znany był tak dobrze w Polsce a szczególnie w Warszawie, tylu nawrócił tam grzeszników. Kościół św. Ruprechta jest najstarszym w Wiedniu, bo datuje z VIII. wieku; dzisiejsza

budowa tegoż pochodzi z r. 1436. Znajduje on się w bardzo niemiłem i brudnem otoczeniu „kazimierzowskiem“ — aby wziąć porównanie z krakowskich stosunków — i jest oddany tutejszym Polakom, którzy niezbyt gorliwie do niego się gromadzą na nabożeństwo polskie. Usiłowania Polaków, by inny kościołek uzyskać, nie zostały uwieńczone upragnionym skutkiem, gdyż mimo gorliwości polskich duszpasterzy i książąt Kościoła, nic uzyskać się nie dało. Jedynym punktem wyjścia byłoby wybudowanie kościołka własnego w miejscu otwartem i przystępnem, pod wezwaniem np. św. Stanisława Kostki. W ten sposób rosłaby i chwała Boża i imienia polskiego. Dałby Bóg, by myśl ta kiedyś doczekała się urzeczywistnienia!

Wracając do ciemnego kościołka św. Ruprechta, w którym dwóch duszpasterzy, Polak i Niemiec, naprzemian z trudem pastorują, pomódlmy się tu chwilę przed jedynym w Wiedniu ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wejdźmy teraz do kościołów dworskich, bo i tu coś interesującego Polaka znaleść można. I tak w kościele Augustyanów *(Augustiner Hofkirche)*, pochodzącym z XIV. wieku, znajduje się kaplica loretańska. Tu przed cudownym obrazem zawiesił Sobieski jeden z wieńców, jakiemi go po zwycięstwie obsypano. Ponieważ w tej kaplicy przechowane są w srebrnych urnach serca zmarłych członków domu panującego i rodziny cesarskiej, jest ona zwykle zamknięta. Raz na tydzień otwierają ją dla sodalisów Maryi, odbywających tu swe posiedzenia. W *Votivkirche*, budowanym przez Ferstla a ukończonym w r. 1879, oprócz herbów Galicyi i Lodomeryi, księstw Oświęcima i Zatora, znajdziesz w prezbiteryum obraz malowany przez Trenkwalda, a przedstawiający świętego Jacka, unoszącego najśw. Sakrament i statuę Matki Boskiej z palącego się klasztoru i przechodzącego po rozpostartym płaszczu przez wezbraną rzekę. Motyw ten wzięty z klasztoru OO. Dominikanów we Lwowie. W tym samym kościele widzimy również prześliczny witraż z wyobrażeniem św. Michała Archanioła i męczeństwa Stanisława biskupa krakowskiego. Okazały to dar arcyksięcia Albrechta.

Wracając z tej krótkiej przechadzki, wstąpmy do wspaniałego kościoła OO. Jezuitów, tak licznie zwiedzanego a pochodzącego z XVII. wieku, z słynnemi freskami przez Fra Andrea dal Pozzo. Jest tu również ołtarz św. Stanisława Kostki, wielce czczony. W ten sposób powracamy znowu do kościoła św. Rocha, od którego piszący wędrówkę tę rozpoczął. Kończymy ją wzmianką, że kościół ten posiada obraz Matki

Boskiej Dobrej Rady, przed którym cesarzowa Marya Teresa rokrocznie z całym dworem modliła się. Jest i słynny obraz Krannacha *Ecce Homo*, który byłby uległ sprzedaży na restauracyę kościoła, gdyby piszący te słowa, należący wówczas do kościelnego komitetu, nie był się temu oparł. Z dawnych zabytków pozostały jeszcze dwa potężne lichtarze, ulane z armat tureckich, które cesarz Leopold I. po obronie Wiednia kościołowi darował.

Ks. K. Rychlik.

„Warszawskie, prawosławne bractwo Św. Trójcy".

Pod tym tytułem wydano w Petersburgu r. z. broszurkę, czyli odbitkę z *Russkiego Pątnika*, która nam odsłania jeden ze sposobów propagandy prawosławia między katolikami.

Czytając przed rokiem w gazetach o madjaryzowaniu słowackich sierot, wzdrygaliśmy się na takie okrucieństwo. Tym sierotom odbierano narodowość; polskim sierotom, które miały nieszczęście mieć matkę lub ojca z unitów, bractwo Św. Trójcy odbiera i wiarę.

Autor po ogólnych uwagach o usługach, jakie bractwa schyzmatyckie oddały prawosławiu w walce z „łacino-polskim duchem i Jezuitami", czyli z unią, mówi: „Taka to była, że tak powiemy, pokojowa, ale całkowicie osiągająca swój cel walka bractw o prawosławie i rosyjską narodowość w okresie panowania unii; i te bractwa, ochraniane stauropigialnemi przywilejami, poddającemi je pod wyłączną władzę patryarchów, spełniły świetnie swoje zadanie: tak dalece, że dwa wieki podstępów dworu rzymskiego, prześladowań polskiego rządu, ucisku polskich panów i fanatyzmu łacińskiego duchowieństwa, nie mogły przeprowadzić unii na łacinizm [1]. Przeszło wiele lat. Unia kościelna 1596 r., która wywołała ruch religijny we wszystkich warstwach prawosławnej, zachodnio-ruskiej i południowo-ruskiej ludności, i która się napiętnowała okrutnemi wojnami małoruskich Kozaków z Polakami i przyłączeniem Małorosyi do państwa Moskiewskiego, po 279 latach chorobliwego istnienia, podtrzymywanego wszelkiemi sztucznemi środkami, jako dzieło rąk ludzkich, upadła, przestała istnieć, pozostawiwszy po sobie

[1] Cudzysłów z artykułu A. Tołstoja, zamieszczonego w *Czasopiśmie Ministerstwa oświaty* 1869 r. Nr. VII, str. 80, p. t.: „Józef, metropolita litewski, i przywrócenie unitów do jedności z cerkwią prawosławną w r. 1839".

w naszych czasach tylko tych, w rzeczywistości bardzo nielicznych ‚upierających się', którzy jako politowania godne ofiary nierozwagi, ciągle jeszcze są przykładem oderwanych przemocą i fałszem a nie przywróconych do jedności miłością i prawdą w latach 1839 i 1875".

Bractwo Św. Trójcy było założone w r. 1887 przy warszawskiej cerkwi (kościół popijarski), na pamiątkę 50-letniego istnienia tejże cerkwi, pierwszej w „Przywiślańskim kraju". Pierwotnie miało ono cel potrójny: 1) rozszerzać między prawosławnymi książki i przedmioty religijne; 2) starać się wszelkiemi sposobami strzedz prawosławnych, będących w mieszanych małżeństwach, od łacińsko-polskiej propagandy, a zwłaszcza troszczyć się o dzieci z takich małżeństw, zostających po śmierci ojca przy matce innej wiary, albo w zupełnem sieroctwie; 3) okazywać pomoc materyalną w pieniądzach biednym parafianom. Następnie w r. 1892 chełmsko-warszawski archirej Flawian zredukował prawie całą jego działalność do „popierania i rozszerzania prawosławia wśród ludności kraju Przywiślańskiego i walczenia z łacińsko-polską propagandą".

Widać sami prawosławni, lepiej myślący, nie uznawali potrzeby bractwa z takim celem, bo autor z pewnego rodzaju gorzką ironią rzuca pytania: „Czy potrzebny jest ten okręt? — tj. bractwo tak wyżej nazwane i postawione ‚na wzdętych bałwanach ponurego polsko-łacińskiego morza' — czy nie zbyteczne jego uzbrojenie i zaopatrzenie? Gdzie środki do dalszego jego istnienia? Czy nie egoistyczne cele wyprawienia go na życiowe morze? Czy na czasie odwrócenie sił od istniejących w kraju Przywiślańskim różnego rodzaju zakładów dobroczynnych, i czy potrzebne jest to odrębne bractwo?" Charakterystyczną jest odpowiedź na te pytania. Odpowiedzią jest, że założyciel bractwa nie dał na nie odpowiedzi; „on tylko bolał w duszy, widząc niezrozumienie tego, co dlań było jasne, słysząc próżne pytania i różnego rodzaju zarzuty nieusprawiedliwione rzeczywistem położeniem rzeczy":

... „Bractwo nie zapominało nigdy, że jego zadanie nietylko jest religijno-dobroczynne, ale też cywilizacyjne i państwowe". Dla spełnienia tego zadania ma ono przedewszystkiem troszczyć się „o dzieci osierociałe, pochodzące z małżeństw mieszanych, a o takie, którym grozi odpadnięcie od prawosławia, czyli od bogobojności, według Apostoła, albo niewiara i strata swojej russkiej narodowości". Bractwo więc temu jednemu zadaniu się teraz poświęca.

Żeby zaś wzruszyć serca prawosławne do współdziałania z bractwem, autor przywodzi kilka przykładów „tych nieszczęśliwych sierot, chroniących się przy innowierczych rodzinach". I tak, „pewna szwaczka

prawosławna z urodzenia i ochrzczona w prawosławnej cerkwi i do dziś dnia wyznająca katolicką religię, odpowiedziała w następujący sposób świaszczennikowi, który ją namawiał aby się wróciła na łono prawosławnej cerkwi: ‚Być może, że ksiądz masz racyę, ale w mojem gorzkiem dzieciństwie prawosławni nie przyszli mi z pomocą; przygarnęli mię i wychowali katolicy. Za nic w świecie nie przeniewierzę się pamięci moich dobroczyńców'. Oto — woła autor — do jakich następstw prowadzi brak powinnej troskliwości o sieroty z małżeństw mieszanych!"

I tak zachwycając się jeszcze na kilku stronicach działalnością bractwa i jego funduszami (20.000 rubli), jakoteż dostojnymi jego członkami: Hurką i Apuchtinem, autor w te słowa kończy: „Współczucie z tą świętą sprawą okazuje się tem więcej koniecznem, że jednocześnie z wzrostem i rozwojem Warsz. Prawosławnego Święto-Troickiego Bractwa, wzmagają się i nieżyczliwe dlań elementy, po pierwsze ze strony polskiej prasy zagranicznej, powtóre ze strony tych ludzi z miejscowego społeczeństwa, których zapatrywania i dążności nie schodzą się... z zapatrywaniami Bractwa, jako religijno-państwowej instytucyi, która w swej działalności kieruje się prawosławno-rosyjskiemi zasadami i pobudkami".

Dixi et meam animam levavi.

Zdaje się, że to komentarza nie potrzebuje.

Ks. H. P.

Korespondencya Redakcyi.

Emilowi z nad Bystrzycy. „Mrzonki" drukować nie będziemy.

Druk ukończony 29 stycznia 1895 r.

SZKOLNICTWO LUDOWE NA ŻMUDZI.

Każdemu, po raz pierwszy zwiedzającemu ziemię żmudzką, rzuca się w oczy ta okoliczność, że znacznie większa część włościan modli się w kościele z książki, a na pograniczu kurlandzkiem — prawie wszyscy; spisy parafialne wskazują, że wśród katolików liczba analfabetów waha się w granicach 15%—50%, wynosząc przecięciowo około 40. Wśród naszych kalwinów umiejętność czytania jest powszechną; analfabeci stanowią tylko bardzo rzadkie wyjątki. Ten stan rzeczy osiągnięto powoli, bez nadzwyczajnych wysiłków, wyłącznie drogą inicyatywy prywatnej, zwłaszcza duchowieństwa katolickiego, które zasadziło płonkę oświaty ludowej, pielęgnowało ją długo i powoli, zaszczepiło to przekonanie wśród ludu, że wstyd nie umieć modlić się z książki: „wzgardy powszechnej stałby się ofiarą ten wieśniak, któregoby ujrzano w kościele bez książki do nabożeństwa“ — pisał Ludwik z Pokiewia przed pół wiekiem przeszło w „Wspomnieniach ze Żmudzi“. I dziś ten stan rzeczy mało się zmienił; wytłumaczyć go można tylko historycznie, przeto muszę zrobić krótki a bardzo pobieżny przegląd przeszłości szkolnictwa żmudzkiego.

Trudno zgodzić się na to, by w ciągu 90 lat po przyjęciu katolicyzmu nie było na Żmudzi ani jednej szkoły; prawdopodobnie istniały one przy katedrze w Miednikach, oraz główniejszych kościołach parafialnych, wszakże ślady ich nie zachowały się. Pierwszą wzmiankę, doszłą do nas, o założeniu szkoły znajdu-

jemy w akcie erekcyi kościoła i probostwa w Taurogach z r. 1507; założono ją z funduszów Jana Bartoszyna z zastrzeżeniem, że nauczyciel winien posiadać język ludowy *(vulgaris)*; uczono w niej w języku litewskim łaciny i języka cerkiewno-słowiańskiego, rachunków i śpiewu kościelnego. Od daty jej założenia, aż do epoki reformacyi, o powstaniu nowych szkół niema wzmianki.

Wiadomo dobrze, jak reforma religijna ciężko zaważyła na losach Litwy i Żmudzi, przyspieszając głównie proces polonizowania się, co zadało cios śmiertelny wszechwładnej dotąd białoruszczyźnie. Mimo to, język litewski pozostał i nadal tylko mową gminu, chociaż znaleźli się ludzie, pragnący go podnieść do godności języka literackiego i wyzyskać w celach propagandy religijnej. Z pobudek wyznaniowych Albert, książę pruski, kazał wydrukować pierwszą książkę litewską; było to tłumaczenie małego katechizmu d-ra Marcina Lutra, wyszłe z druku w Królewcu w r. 1545 czy też 1547. Luterstwo stawało u progów Litwy w szacie swojskiej, poniekąd rodzinnej, ale mimo to nie znalazło miru, prawdopodobnie z powodu swego charakteru niemieckiego, który w gruncie rzeczy zachowuje dotąd. Natomiast kalwinizm, choć w szacie polskiej, wówczas jeszcze w znacznym stopniu obcej, rozpowszechnił się bardzo szeroko, ogarniając wyższe i średnie warstwy szlacheckie, oraz poniekąd mieszczaństwo zamożniejsze; tylko lud na Żmudzi, jeszcze niemal na poły pogański, statecznie trzymał się wiary ojców. Czem była u nas reformacya, opisuje Jaroszewicz: „plebani albo byli rugowani z kościołów i posiadłości, albo ożeniwszy się sami zamieniali je na kalwińskie zbory. Pustoszały klasztorne mury... Wywracano ołtarze, niszczono obrazy, znieważano miejsca święte i groby przodków; krew nawet zbryzgała niektóre kościoły. Siedmset parafij rzymsko-katolickich liczono na Litwie przed reformą, a około roku 1566 zaledwie 6 księży zostało na Żmudzi, w innych zaś powiatach tylko może tysiączny uniknął reformy“ (Obrazy Litwy II. 36). Obok kalwinizmu bujnie krzewił się aryanizm, a w miastach wśród ludności niemieckiej pleniło się luterstwo; nie brakowało i innych sekt. Ten ruch religijny w gruncie rzeczy był bardzo płytki i powierzchowny; do mas ludowych nie przeniknął on nigdy w takim stopniu, jak katolicyzm

potem: lud tylko pozornie przyjmował kalwinizm, zmuszony do tego przez szlachtę. Wogóle kalwinizm pozostał zawsze religią znacznej mniejszości, acz najbardziej ucywilizowanej i wpływowej... nawet w dobie rozkwitu. Tu nie zawadzi dodać, iż nigdzie nie spotkałem śladów, by duchowieństwo kalwińskie starało się w czemś ulżyć ciężkiej doli chłopa litewskiego.

Rychło też nastąpił upadek protestantyzmu, gwałtowna reakcya katolicka, powtórne niemal nawrócenie Żmudzi i t. d. Nim się to jednak stało, w parze z tym ruchem religijnym — a poniekąd za jego podnietą — szedł silny ruch umysłowy, którego narzędziem był język polski. Wówczas to z fundacyi książąt Radziwiłłów powstały szkoły protestanckie, które długo utrzymały się na poziomie ówczesnej pedagogii; w nich to po raz pierwszy w byłem W. Ks. Litewskiem zaczęto uczyć języka polskiego, rugując cerkiewnosłowiański. Mikołaj Czarny ks. Radziwiłł, prawdziwy apostoł kalwinizmu, hojnie wspierał uczonych i uczących się; w celu przygotowania zdolnych nauczycieli, ustanowił przy wszechnicach w Królewcu i Oksfordzie stypendya; w swych dobrach zakładał zbory, a przy każdym parafialnym natychmiast powstawała szkoła. W obrębie dzisiejszej gub. kowieńskiej, z Łukaszewiczem w ręku naliczyłem przeszło 50 zborów, z których około 40 było parafialnych; istniało więc prawdopodobnie tyleż szkół. W nich uczono dziatwę obojga płci czytać, pisać i rachować, tudzież zasad wiary niezbędnych do konfirmacyi; język liturgiczny zboru, przy którym istniała szkoła, był językiem wykładowym, przeto większa część była litewska. Te okoliczności zmusiły do drukowania w tym języku dzieł treści liturgicznej i religijnej, wszakże na bardzo małą skalę; drukowano je w Prusiech i Wilnie — od roku zaś 1650 w ciągu lat kilkudziesięciu w Kiejdanach, a litewski przekład Biblii (t. zw. Biblia Chylińskiego) — nawet w Londynie. Były to przeważnie tłumaczenia z polskiego; tak np. Zofia Poszuszweńska, Ciwunowa Retowska, kazała przetłumaczyć i wydrukować własnym kosztem Postyllę Reja p. t.: *Postilla Lietuwiszka Tatay est Iżguldimas prastos Ewangelin ant kożnos Nedelios ir Szwentes per wisus mecus kurios pagalbuda sena Bożniczoy Diewa est Skojtomos... Nokłodu Jos Mili Ponios Zophios Paszuszwes... Metouse*

Diewa 1600; tłumaczenie to wraz z t. zw. Kancyonałem kiejdańskim [1] długo było używane w ludowych szkołach kalwińskich, przeto wspominam o tych dziełach. Istniało też i parę szkół litewskich przy zborach luterskich.

Szkoły protestanckie kwitły bardzo krótko, ale one głównie zmusiły duchowieństwo katolickie do czynnego wystąpienia na polu oświaty ludowej w duchu religijnym. Walkę tę rozpoczął już Melchior, książę Gedrojć, biskup żmudzki, w drugiej połowie XVI. wieku, nakazując nauczać lud wiary, oraz umiejętności czytania i pisania; w roku 1595 wyszedł z druku katechizm Daukszy, pierwsza bodaj katolicka książka w języku litewskim. Nastała epoka powtórnego nawracania Żmudzi, w czem Jezuici odegrali rolę przeważną. Zakon zwrócił się do ludu w mowie macierzystej i śmiało wystąpił w jego obronie przeciwko szlachcie kalwińskiej; tępiąc kalwinizm i pozostałości pogaństwa, gorliwie nauczano prawd wiary i moralności. „Niewiele znalazło się osób — mówi Jaroszewicz — a i tych dostarczył nam szczególniej zakon księży Jezuitów w XVI. i XVII. wiekach, chcących doskonalić i krzewić ojczystą mowę“ (Obrazy Litwy II. 125). Tu dość wymienić dwa nazwiska: Jana Jachniewicza (1609—1668), prawdziwego apostoła ludu, który wydał modlitewnik, ewangelie i mowy katechizmowe, oraz Konstantego Szyrwida (1598—1631), aż nadto dobrze znanego praojca słownikarzy i gramatyków litewskich. Wogóle zakon, przyczyniając się do rozwoju literatury ludowej, położył pośrednio pewne zasługi na polu oświaty, chociaż nauczaniem początkowem Jezuici nie zajmowali się prawie wcale; wyręczało ich w tem duchowieństwo innych reguł i świeckie. Nie wiadomo, ile było szkół, wszakże niewątpliwie istniały one w miasteczkach parafialnych, przy główniejszych kościołach i klasztorach; tak np. panny zakonne utrzymywały w Krożach i Krokach szkoły dla dziewcząt. W początkach wieku XVII. z inicyatywy prywatnej założono 13 szkół parafialnych, jak mówi Jaroszewicz. Wogóle w tych szkołach uczono, oprócz religii,

[1] *Kniga Nabożnistes krikscioniszkos Antgarbos Dziewoy Troycey... Ant wartoima Bażnicioms Didas kunigasistas Lietuwos. Kiedaynise 1653.*

czytać i pisać po litewsku, oraz początków rachunku; niekiedy dodawano naukę języka polskiego i łaciny, tudzież śpiewu kościelnego. Celem nauczania było lepsze ugruntowanie w wierze. W niektórych szkołach dziewczęta uczyły się razem z chłopcami. Nauczycielem zwykle był zakrystyan, tylko religię wykładał proboszcz lub wikary.

Najazd szwedzki i wojna domowa zniszczyły i spustoszyły cały kraj, znaczna część szkół katolickich upadła, a kalwińskie znikły niemal doszczętnie; gdy atoli zawierucha uspokoiła się nieco, wogóle tylko duchowieństwo protestanckie zakrzątnęło się koło sprawy szkolnej, katolickie zaś zachowało się dziwnie obojętnie, co się tłumaczy osłabieniem głównego bodźca — kalwinizmu, który zmuszał je do usiłowań w tym kierunku. W tym czasie dla szkół kalwińskich wiele dobrego zrobił osławiony książę Bogusław Radziwiłł; dzięki jemu, dźwignęły się one trochę, chociaż gimnazyum w Birżach zeszło do poziomu szkoły parafialnej wyższej, a kiejdańskie — straciło sławę uprzednią. Córka księcia Bogusława, Ludwika, jeszcze gorliwiej opiekowała się sprawą oświaty ludowej: tak ustanowiła ona fundusz dla 12 młodzieńców, kształcących się za granicą na nauczycieli, kazała drukować i bezpłatnie rozdawać ludowi ewangelie, katechizmy, modlitewniki i inne dziełka religijne w języku litewskim, opatrywała hojnie szkoły — słowem, robiła co można było zrobić za Jana III. Gdy w Bejnarowie, wsi dzisiejszego powiatu poniewiezkiego, wykryto prawdziwych pogan, księżna pisała do proboszcza parafii reformowanej w Nowem Mieście: „chciej W-pan egzemplarzów (katechizmu) ubóstwu udzielać ile potrzeba, a jeśliby ich nie dostawało, każe ich dać więcej wydrukować i uczynić to, co mi należy i można będzie... byleście W-ni panowie tam będący... tylko oznajmili, czegoby ku temu trzeba było“ [1]; prace te atoli przerwał rychły zgon księżnej w 28 roku życia (1695 r.). Wojna domowa, zakończona morderczą bitwą pod Olkienikami, najazdy

[1] „Dzieje kościołów wyznania helweckiego w Litwie“, Łukaszewicza I. 285.

obce, zaraza morowa i głód, zamieniły kraj w pustki; szkoły upadły.

Gdy po roku 1717, Żmudź powoli zaczęła dźwigać się z pogromu, już nikt nie troszczył się o oświatę ludową; tylko gdzieniegdzie z łaski księży proboszczów dźwignęły się szkółki katolickie, kalwińskie zaś w tym czasie prawie znikły z powodu braku bezpieczeństwa publicznego. Wszakże Żmudź nie doszła nigdy do takiego stopnia zubożenia, bezładu i ogłupienia, jak Litwa, która niemal zdziczała tak dalece, że nie była w stanie pomyśleć o polepszeniu gorzkiej doli swojej — jak to słusznie zauważył Jaroszewicz. Złożyło się na to wiele przyczyn, których tu nie będę wymieniał. W każdym razie iskierki oświaty ludowej zachowały się; lepsza dola zaświtała już od połowy wieku XVIII.

Duchowieństwo katolickie znowu zaczyna krzątać się około zakładania szkół parafialnych. Ustanowienie i reformy Komisyi edukacyjnej tylko w bardzo słabym stopniu dotknęły szkoły ludowe; poruczyła je ona pieczy duchownych katolickich, wszakże rozciągając nad niemi w zasadzie swój dozór zwierzchni. Jej starania natrafiły jednak na grunt dobry: światły człowiek, a gorliwy obywatel, ks. Jan Łopaciński, biskup żmudzki, nakazał, żeby z funduszów kościelnych w każdem miasteczku parafialnem była założona szkoła, w której księża po litewsku winni byli uczyć dziatwę nauki religii, czytania, pisania, rachunków i śpiewu kościelnego, oraz — w niektórych ważniejszych — języka polskiego i łaciny; uchwałę tę wykonano tem łacniej, że ruchliwy biskup corocznie, wizytując kościoły, zwiedzał szkoły, egzaminował dzieci, zachęcał do nauki, a i sam uczył je w szkole w Wirżuwianach, swej zwykłej rezydencyi. Rozumie się, że przykład podobny znalazł naśladowców; tak np. Karp założył szkołę, opatrzywszy ją sowicie, „dla chłopców włości johaniszkielskiej; istnieje ona dotąd, nosząc nazwę funduszowej"; fundowali też szkoły w swych dobrach Załuscy, a w królewszczyznach — podskarbi Tyzenhaus. Ścisłe wykonanie tej uchwały nie zawsze było przestrzegane pilnie; oczywiście

zależało to od „widzimisię“ wyższej władzy duchownej i gorliwości księży proboszczów, ale w zapomnienie nie poszła ona nigdy.

Tu należy dodać, że wskutek konstytucyi sejmowej z r. 1768, zabezpieczającej tolerancyę dysydentom, dźwignęły się znowu szkoły kalwińskie, acz nie wróciły już do dawnej świetności.

Polityczne zmiany i upadek kraju mało pogorszyły u nas stan szkolnictwa ludowego, a wkrótce nawet — za świetnych czasów wszechnicy wileńskiej — podniosło się ono i okrzepło. Wówczas to po raz pierwszy literatura ludowa zaczyna traktować i o przedmiotach świeckich [1], nie zaś wyłącznie o duchownych lub moralnych: Strażdelis, Iwiński, Staniewicz [2] i inni z powodzeniem piszą po litewsku dla ludu. Liczne, a dostępne szkoły średnie, spora ilość stypendyów i konwiktów dla ubogiej młodzieży, znakomicie ułatwiają kształcenie się dzieci chłopskich, które wtedy łatwo dostawały się nawet do uniwersytetu w Wilnie. Niedługo to jednak trwało, bo już ukaz z roku 1827 zabronił chłopom wstępu do gimnazyów, dozwalając co najwyżej kończyć szkoły powiatowe. Potem po wypadkach 1831 r. stopniowo zniesiono wszystkie szkoły zakonne i dużo świeckich, a pozostałe zaś zorganizowano wedle wzoru ogólnego, wprowadzając do wykładów język rosyjski; ucierpiały też i katolickie szkółki parafialne... tu i ówdzie, atoli większa część ostała się; nikt nie troszczył się o nie. Osoby prywatne w tym czasie popierały niekiedy bardzo energicznie usiłowania duchowieństwa; dość tu przytoczyć nazwisko księcia Ireneusza Ogińskiego i hr. Jana Tyszkiewicza, ordynata birżańskiego. W tym okresie czasu Ludwik z Pokiewia pisał: „zaprowadzony zwyczaj od dawna uczenia dzieci wiejskich czytania, pisania i rachunków, utrzymuje się i dzisiaj“. Wówczas to życie wyłoniło typ nauczyciela wędrownego czyli t. zw. dyrektora, który chodzi od wsi do wsi, ucząc dziatwę.

Tradycye nie były nawet osłabione, gdy czcigodnej pa-

[1] Poematy Duonelajtisa z w. XVIII. nie należą do literatury ludowej.
[2] Bohater ludowy z 1831 roku.

mięci ks. Maciej Wołłonczewski, gorliwy pracownik na niwie oświaty i literatury ludowej, został biskupem żmudzkim, poszedł on w ślady swego sławnego poprzednika Łopacińskiego. Wielkie zalety umysłu i charakteru, nieskazitelne życie i postępowanie pełne godności i taktu [1], jednały mu szacunek powszechny i znaczenie. Dużo zyskała oświata ludowa, gdy taki człowiek poparł ją swym wpływem potężnym, tem bardziej, że okoliczności zmieniły się od roku 1856 na lepsze. Jakoż około roku 1859 prawie nie było parafii, nie posiadającej szkółki, w której uczono po polsku lub po litewsku — stosownie do okoliczności miejscowych — czytać, pisać i rachować, oraz religii; gubernator ówczesny, Stanisław Chomiński, popierał o ile mógł usiłowania duchowieństwa. W jesieni 1861 r. rzucono się na gwałt do zakładania ochronek dziecinnych, oraz szkół dla dziatwy i dorosłych (szkoły niedzielne); w rok potem liczono ich około 500.

Rychło atoli zerwała się straszna zawierucha rewolucyjna, a gdy uspokoiło się nieco, stan rzeczy zmienił się do niepoznania; po roku 1863 wszystkie bez wyjątku prywatne szkółki ludowe upadły, a z parafialnych ostały się tylko posiadające własne fundusze, które zresztą rząd zabrał. Od tego to czasu nastały szkoły rosyjskie... nawet dla ludu, chociaż próby rusyfikacyi przy pomocy szkoły niższej datują się od okresu o wiele wcześniejszego. Już 22 lipca st. st. 1842 r. carski ukaz orzekł, by w dobrach państwowych były założone szkoły ludowe w celu rozpowszechnienia oświaty (ściślej znajomości języka urzędowego), oraz przygotowania niższych oficyalistów gminnych; wyjaśniając ten ukaz carski, minister dóbr państwa 20 marca st. st. 1843 r. zatwierdził ustawę o szkołach w dobrach skarbowych. Wedle niej, nauczycielem miał być duchowny prawosławny lub dyakon, a pomocnikiem jego—djak lub psałterzysta; etat szkoły

[1] Dobrze znaną jest publiczna odprawa, dana jenerał-gubernatorowi w r. 1866 na dworcu kolejowym w Kownie: *Znájetie li Wasze Preoświaszczenstwo, czto mnowo katòlikow prynimajet prawosławie?* spytał Kaufman. *Tiem łutsze Wasze Wysoko-Prewoschodítielstwo* — odparł biskup — *parszywaja owcá wsio stado portit.*

miał wynosić 250 rub., a mianowicie: wynagrodzenie nauczyciela 85 rub., jego pomocnika 75 rub., stróża 17 rub. 50 kop., lokal, opał i światło 45 rub., tudzież na wydatki szkolne 27 rub. 50 kop. Na utrzymanie tych szkół nałożono na chłopów skarbowych podatek osobny. „Ale w praktyce rozkaz hr. Kisielewa — mówi księga jubileuszowa p. t.: „Gubernia kowieńska za okres czasu od 1843 do 1893“ — w gub. kowieńskiej nie mógł być wykonany. Naznaczać nauczycieli z pośród duchownych prawosławnych okazało się bardzo niezręcznie, bo wszystkie dzieci wyznawały katolicyzm“. Zaczęto więc mianować nauczycielami ludzi świeckich, ale nie mających nic wspólnego z pedagogiką; zwykle byli to wyrzutki inteligencyi lub biurokracyi. W tym też czasie wydano pierwsze elementarze rosyjsko-żmudzkie, „żeby ułatwić trudne zadanie nauczenia Litwinów i Żmudzinów języka rosyjskiego“. Około tego czasu w powiatach telszewskim, szawelskim i rosieńskim, ministerstwo oświaty założyło 8 szkół parafialnych w myśl ustawy z r. 1828; „zakładając te szkoły, rząd pragnął osłabić wpływ szkół kościelnych, w których nietylko nie uczono języka rosyjskiego, ale go nawet zupełnie ignorowano, opierając wykształcenie na językach polskim lub litewskim“ — mówi księga jubileuszowa. W szkołach tych uczono po rosyjsku, ale z konieczności przy wykładach posługiwano się językami miejscowemi, jako pomocniczemi; religię wykładano w języku macierzystym uczących się. Żeńskich szkół rządowych nie było wcale. Szkołami zawiadywały oddzielne gałęzie administracyi; jednolitości nie było ani śladu. W roku 1864 szkół ludowych, zależnych od ministerstwa dóbr państwa, było oficyalnie 35 wraz z 1432 uczniami, wniesionymi na listę uczniowską; w rzeczywistości zaś nie było ani jednego ucznia. W tym to czasie rozpoczyna się gorączkowa działalność administracyi w celu zakładania szkół rosyjskich, które miały w lat 20 zrusyfikować cały kraj. Ale nieco przedtem, bo już 23 marca st. st. 1863 r., cesarz zatwierdził czasową ustawę dla szkół ludowych północno-zachodniego kraju, która w zarysach ogólnych określała przedmioty wykładowe, tudzież dozór i organizacyę szkolną; wedle niej językiem wykładowym miał być rosyjski. Prawo to jednak w gub. kowieńskiej

można było zastosować dopiero w końcu 1864 r., tj. po zupełnym upadku powstania; jakoż 24 listopada st. st. 1864 r. otwarto w Poniewieżu dyrekcyę szkół ludowych, którą 6 kwietnia st. st. 1865 r. przeniesiono do Kowna. Była to instytucya, kierująca szkołami ludowemi. W chwili jej założenia, kwestye wykładów języków polskiego i litewskiego oraz religii były już rozstrzygnięte: polski język usunięto bezwarunkowo, litewski pozostawiono jako pomocniczy, nim dziatwa nie posiędzie w stopniu dostatecznym języka państwowego; w tym języku prowadzone są początkowe wykłady religii, nim też posługują się, ucząc czytać po rosyjsku.

Na wniosek niecnej pamięci Mikuckiego, zmarłego w r. 1890 profesora uniwersytetu warszawskiego, wprowadzono do języka litewskiego alfabet rosyjski, zakazując na przyszłość wszelkich druków litewskich czcionkami łacińskiemi, co wywołało zanik legalnej literatury ludowej. Duchowieństwo katolickie zostało stanowczo usunięte od nauczania; pozostawiono mu tylko wykłady religii. Sprawę oświaty ludowej rząd ujął wyłącznie w swe dłonie. Ówczesny wielkorządca litewski Murawiew uznał, że w gub. kowieńskiej nie należy zakładać szkół ludowych na koszt państwa, bo chłopi są zamożniejsi i bogatsi niźli chłopi innych gubernij litewskich; wskutek tego komisarze do spraw włościańskich zaczęli skłaniać (przy pomocy policyi i wojska) gminy do zakładania szkół ludowych. Sprawa w takich okolicznościach poszła raźno: gromada milczała, a w jej imieniu pisano uchwałę o założeniu szkoły, uważając milczenie za przyzwolenie. Już w roku 1865 istniało szkół parafialnych 22, ludowych (oprócz 35, należących do ministerstwa dóbr państwa) — 76, oraz kościelnych (protestanckich) — 16; razem liczono w nich około $3^1/_2$ tys. uczących się. „Peryod czasu od roku 1864 do r. 1868 trzeba nazwać peryodem gorączkowej działalności w zakładaniu szkół ludowych; w r. 1868 liczono już w gub. 186 szkółek z 6000 uczących się. W ich zakładaniu brały żywy udział nietylko władze szkolne, ale i administracya; zwłaszcza stosuje się to do komisarzy do spraw włościańskich, znajdujących się w tak blizkich stosunkach z włościanami. Jeżeli szkoła ludowa w gub.

kowieńskiej w niektórych miejscowościach mniej więcej materyalnie jest zabezpieczoną, to przyczyny tego należy szukać przeważnie w rozumnej działalności komisarzy do spraw włościańskich, tudzież w prawidłowem zrozumieniu potrzeb ludowej szkoły, której celem jest zaszczepienie wśród nierozwiniętych i sfanatyzowanych Żmudzinów podstaw ruskiej kultury i narodowości" — pisał b. nauczyciel ludowy [1]. Niechże ten sam pan nauczyciel będzie naszym przewodnikiem w sprawie zakładania szkółek w tym czasie.

Oto jest opis założenia szkoły we wsi K., zaczerpnięty z jego pamiętników: „pragnąc czem prędzej zobaczyć szkołę, nie spostrzegłem, że zrównaliśmy się z prostą chatą chłopską, na której dachu widzieć można było skrzywiony komin. Przez otwarte wrota wyszedł z podwórka chłop w szarej siermiędze, z blachą urzędową na piersiach; był to wójt (starszyna) włości K. Łamanym językiem rosyjskim oświadczył on nam, że w tej chacie włość wynajęła pomieszczenie dla założonej szkoły... Ponieważ w dzień naszego przyjazdu było naznaczone jej otwarrcie, przeto zastaliśmy wyczekujących: komisarza do spraw włościańskich i ks. proboszcza, którzy spotkali nas na podwórku. W szkółce było zebranych około 10 chłopców, moich przyszłych uczniów, oraz kilku chłopów, ich rodziców. Ani stołu, ani krzesła, ani tablicy, ani tego, coby choć z lekka przypominało szkołę, nie można było zauważyć. Włościanie i ich dzieci jakoś bardzo podejrzliwie rozglądali się dokoła. Spróbowałem rozmówić się z niektórymi, ale bezskutecznie: nikt z pośród nich nie umiał ani słówka po rosyjsku... nawet ksiądz odpowiadał na nasze pytania stanowczo z wielką trudnością. Swoją drogą żaden z nas — ani komisarz do spraw włościańskich, ani dyrektor szkół ludowych, ani ja — nie umiał ani słówka po żmudzku. Wypadło uciec się do mimiki i znaków.

„Po poświęceniu szkoły ksiądz po litewsku powiedział chłopom mówkę, w której — jakem się dowiedział, gdy przetłuma-

[1] „Kow. Wiad. gubernialne" 1889 r., nr. 91.

czono ją na język rosyjski — przekonywał ich, że powinni posyłać dzieci do szkoły, a dzieci — że mają uczyć się pilnie. Dyrektor zarekomendował mię chłopom obecnym i zażądał od nich obietnicy akuratnego posyłania dzieci do szkoły; zapytani milczeli, ale za nich tę obietnicę dał komisarz do spraw włościańskich. Nigdy jednak nie miałem więcej jak 12 uczniów i literalnie ani jednej uczennicy; zresztą nigdy nie odwiedzali oni akuratnie szkoły". Tyle pisze b. nauczyciel. Warto jednak rozejrzeć się nieco bliżej w kwestyi zakładania szkół ludowych. Na Żmudzi ten obowiązek włożono na chłopów, ale pomimo całej grozy ówczesnej, chłopi nie bardzo chętnie wznosili budynki szkolne, tłumacząc się brakiem materyałów; przeto 17 stycznia st. st. 1866 r. zapadła uchwała, na zasadzie której wydawano bezpłatnie drzewo z lasów skarbowych, a gminy zmuszano tylko do robocizny. Zresztą wówczas zdarzało się często, że komisarz wprost dyktował uchwałę o założeniu szkoły, wydając ją nibyto za gminną; nie takie to były czasy, by można było dochodzić sprawiedliwości. W tych warunkach zakładanie szkół szło raźno: od roku 1864—1868 założono 119; szkół nawet w r. 1868, roku ciężkiego nieurodzaju, niemal głodu, otwarto 3 szkoły. Niebawem jednak gorączka szkolna zaczęła obniżać się: od r. 1868—1872 otwarto 12 szkół, a od 1872—1882 już tylko 5; od lat 13 nie założono ani jednej szkoły ludowej rządowej. Ważna była bardzo kwestya nauczycieli... Rozstrzygnięto ją, zapraszając wychowańców duchownych seminaryów prawosławnych, ale tylko z głębokiej Rosyi.

Starano się, o ile można, zapewnić im byt materyalny. W tym celu wielkorządca wileński, rozporządzeniem z dn. a 10 kwietnia st. st. 1864 r. za nr. 251 postanowił, żeby nauczycielom ludowym oprócz wynagrodzenia wyznaczonego, wydawano z wiejskich magazynów zbożowych po 18 pudów zboża oraz odpowiednią ilość kaszy; toż samo rozporządzenie zobowiązało gminy dawać nauczycielom mieszkanie z opałem i oświetleniem, oraz 4 rub. miesięcznie na strawę; potwierdzono je 25 maja st. st. 1866 r. za nr. 73, a w dniu 10 grudnia st. st. 1871 r. rozciągnięto je i do

nauczycieli ludowych [1]. Krom tego ministerstwo spraw wewnętrznych 4 grudnia st. st. 1878 r. za nr. 181 orzekło, że przedewszystkiem najpierw winna być wypłacana gaża nauczycielska w terminach miesięcznych, potem już można zaspakajać inne wydatki. Skorzystano z lustracyi, by obdarzyć szkoły ogrodami; jakoż § 72 Instrukcyi lustracyjnej z dnia 6 (18) lutego 1868 r. orzeka, że każda szkoła winna otrzymać 1 diesiatynę ziemi, ale to postanowienie w praktyce nie udało się urzeczywistnić: wszakże szkoły ludowe otrzymały 14 diesiatyn i 2229 sążni kw. ziemi. Oprócz wymienionych, nadano nauczycielom ludowym dużo innych przywilejów służbowych, np. emeryturę skróconą do lat 15; rozumie się, że wszystko to stosowało się do Rosyan prawdziwych, pochodzących z głębi Moskwy. Zwabiona licznemi przywilejami, a jeszcze większemi obietnicami, chmara wyrzutków inteligencyi rzuciła się na nowe pole zarobku. Byli wprawdzie wśród nich ludzie, którzy nauczycielstwo na Żmudzi uważali za rodzaj kapłaństwa cywilizacyjnego, ale takich było bardzo niewielu; tem chyba trzeba tłumaczyć tę okoliczność, że wśród nauczycieli ludowych znalazło się dwóch, którzy ukończyli z odznaczeniem uniwersytet. Wogóle w 1868 r. wśród nauczycieli znalazło się 3 geometrów, wychowaniec akademii lekarskiej i t. d. „Główny zaś kontyngens—mówi wspomniany nauczyciel ludowy — stanowili wychowańcy twerskiego seminaryum duchownego, bez różnicy czy ukończyli w niem nauki czy nie".

Wszakże już wówczas uznawano konieczność założenia osobnego seminaryum nauczycielskiego w celu dostarczania nauczycieli ludowych szkołom gubernii kowieńskiej, tudzież litewskim powiatom wileńskiej, choć cokolwiek obeznanych z mową ludu: jenerał-gubernatorowie w sprawozdaniach, składanych cesarzowi w latach 1868—1871, wykazywali tę konieczność. Rzeczywiście 14 (26) listopada 1872 r. w Poniewieżu otwarto seminaryum w gmachu pozostałym po zniesionem w roku 1864 gimnazyum. Ustawa tego seminaryum jest ogólna, ale wyróżnia się ono od innych tem, że język litewski jest w niem przedmiotem obo-

[1] Te rozporządzenia jenerał-gubernatorskie senat w roku 1884 uznał za bezprawne i zniósł.

wiązkowym; wykłady te objął p. Lackij, z wykształcenia inżynier wojskowy, z urzędu — kasyer powiatowy, a z amatorstwa — niefortunny, acz bardzo pomysłowy meteorolog i lingwista. Rozumie się — do seminaryum są przyjmowani tylko prawosławni. Stopniowo wychowańcy tego zakładu naukowego zajęli większą część posad nauczycielskich, np. w r. 1893 aż 87%.

W roku 1864, gdy wyrzucono ze szkół zupełnie język polski, pozostawiono z konieczności litewski, jako pomocniczy przy nauczaniu rosyjskiego wedle osobnego rosyjsko-żmudzkiego podręcznika. Wykłady religii, poruczone duchownym, prowadzą się po litewsku, nim uczący się nie posiędą dostatecznie języka urzędowego... Oto co mówi o nauczaniu w szkołach ludowych książka jubileuszowa, o której wspominałem:

„Wstępujący do szkoły mały chłopiec litewski jest nadzwyczajnie zamknięty w sobie; kilka dni milczy on uporczywie i patrzy w ziemię; na najprostsze pytania po litewsku nie odpowiada ani słówka; to też kilka dni nauczyciel o nie go ani pyta; a tylko daje się mu możność rozejrzeć się w nowem otoczeniu i choć nieco przywyknąć doń. Nareszcie bardzo powoli, jakby niechcąc, uczeń nazywa po litewsku części ciała i przedmioty, znajdujące się w klasie; nauczyciel natychmiast tłumaczy te wyrazy, wzbogacając w ten sposób codziennie pamięć ucznia nowym zapasem wyrazów rosyjskich. Jeżeli nauczyciel nie może przetłumaczyć lub wyjaśnić jakiego wyrazu rosyjskiego po litewsku, to w tym wypadku pomagają mu lepsi uczniowie starszych grup. Gdy pierwsze lody przełamano i uczeń zaczyna choć nieco mówić, wówczas nauczyciel natychmiast uczy go poznawać litery rosyjskie. Metoda dźwiękowa oraz ruchome litery stosowane są w każdej szkole; nauczanie czytania i pisania odbywa się jednocześnie. W ten sposób uczniowie w końcu pierwszej zimy zaczynają czytać po rosyjsku, chociaż bardzo powoli, według dwóch tekstów — rosyjskiego i litewskiego (ostatni drukuje się graždanką)[1]. W grupach średnich postępy uczniów w języku rosyjskim stają się więk-

[1] „Pri takom spósobie wiedienja dieła, uczenikí w piérwuju zimú naczynajut czytat' po ruski, chotia dowolno miédlenno, po dwum tiekstam — ruskomu i litówskomu (posliednij w ruskom szryftie)".

sze; tu ćwiczenia w czytaniu odbywają się wyłącznie po rosyjsku; powoli dzieci przyzwyczajają się do opowiadania niewielkich artykułów własnemi słowy; wówczas też zaczyna się doświadczalne nauczanie arytmetyki przy pomocy kamyków, patyków, bobów i t. d. W znacznej części szkół w średnich grupach znajdują się uczniowie, którzy dość dobrze czytają po rosyjsku, deklamują bajki i wyjaśniają pojedyńcze słowa i całe zdania z przeczytanego. Starsze grupy składają się z uczniów, którzy przebyli w szkole dwie, trzy, a czasem nawet cztery zimy. Uczniowie czytają po rosyjsku, chociaż nie bardzo prędko, ale swobodnie, myląc się czasami w akcencie. Zresztą niemożliwem jest i wymagać, by dzieci chłopów litewskich, które słyszą język rosyjski tylko w szkole w ciągu pięciu miesięcy w roku, mogły zachować zupełną ścisłość w oddaniu akcentu, tak trudnego w języku rosyjskim.

„Czytanie objaśniające praktykuje się we wszystkich szkołach; uczniowie uczą się na pamięć kilka bajek Kryłowa oraz innych wierszyków. We wszystkich szkołach uczniowie piszą dyktand rosyjski, jedni z niewielkiemi pomyłkami, inni zaś bez pomyłek; jednocześnie też układają oni małe opowiadania, rachunki, listy, opisy i t. d. Oprócz nauki czytania i pisma, uczniom starszych grup na lekcyach języka rosyjskiego udziela się też nieco koniecznych wiadomości z ojczystej (rosyjskiej) historyi i geografii, które w szkołach ludowych nie są wykładane oddzielnie.

„Rosyjski śpiew choralny, posiadający wogóle ważne znaczenie, stanowi w tutejszych szkołach ludowych przedmiot nauki obowiązkowej. Śpiewu uczą nauczyciele miejscowi; jeżeli zaś nauczyciel nie może go nauczać, to dyrekcya przysyła osobnego nauczyciela śpiewu, który wedle jej uznania odwiedza szkoły, ucząc swojej sztuki“.

Oprócz tego w szkołach ludowych od paru lat obowiązkowo zaprowadzone są ćwiczenia gimnastyczne; na nauczenie gimnastyki nauczycieli, gminy asygnowały przed trzema laty 4000 rub.

Rozumie się — opowiadanie przytoczone, jako oficyalne, jest bardzo dalekie od prawdy, bo pominięto w niem tendencye wychowawcze: taki nauczyciel ludowy zawsze bardzo gorliwie stara

się zohydzić w oczach dziecka przeszłość i katolicyzm, zaszczepić nienawiść ku polskości i klasom wyższym, nie gardząc niczem, nawet najohydniejszemi kłamstwami i oszczerstwami; stara się też gorliwie wzbudzić nieufność do duchownych i nawet bogatszych chłopów, którzy zwykle są bardzo niedostępni podszeptom wschodnim. Nauczyciele religii, którą wykłada się zaledwie w trzeciej części szkół ludowych, starają się oddziaływać w innym kierunku, ale z powodu wielu okoliczności oddziaływanie to jest bardzo słabe; natomiast twarde warunki życia i prawda rzeczowa powodują, że ślady wpływów szkolnych ulatniają się nader rychło.

Rozumie się, że przy szkołach istnieją rozmaite środki pomocnicze; zakładając szkoły obiecywano chłopom, że książki i inne szkolne przedmioty będą wydawane darmo, ale obietnicy tej nie dotrzymano: potem zmuszono gminy corocznie wydawać na ten cel 10—20 rub. Ogółem gminy wydały na zakup szkolnych środków pomocniczych od 1870—1893 roku 40.072 rub. czyli przeciętnie po 1742·34 rub.

Przy szkołach też od samego początku istniały już małe biblioteczki, złożone z podręczników i książek dziecinnych. Początek zrobił księgarz moskiewski Syczew, który w r. 1865 ofiarował na ten cel różnych stosownych książek na 1650 rub.; później zmuszano gminy, by na ich powiększenie dawały rocznie po 10 rub. Wedle spisu winno było być w tych bibliotekach około 150.000 tomów różnych podręczników i książek, ale faktycznie w roku zeszłym okazało się, iż brakuje ich prawie zupełnie. Muszę tu nadmienić, że kurator okręgu naukowego wileńskiego przysłał do tych bibliotek 2000 egzemplarzy „Książki do czytania w szkołach ludowych“, oraz 500 egzemplarzy „Pszczoły“, 1000 egzemplarzy *Polskoj krywdy i ruskoj prawdy,* oraz dużo innych książeczek podobnych.

By ułatwić nabywanie dziełek rosyjskich, a pisanych w kierunku rusyfikacyjnym, w r. 1865 założono 9 składów książek, do których kurator okręgu naukowego oraz Towarzystwo ekonomiczne w Petersburgu przysłali książek na sumę 995 rubli; w roku 1867 założono jeszcze 8 składów. Oto co o sprzedaży

książek mówi oficyalne sprawozdanie za rok 1886: „sprzedaż książek ze składów odbywa się niesłychanie powoli; nikt ich nie chce kupować. Nawet rodzice, przekonywani przez nauczycieli, by kupowali dla dzieci książki stosowne, odmawiali; zarządy gminne jak najobojętniej patrzyły na zupełny brak książek i podręczników w szkołach ludowych, chociaż były i takie co nie posiadały ani jednego elementarza". Wogóle w ciągu lat 20, tj. od r. 1870—1890, z tych składów sprzedano książek tylko za 14.389 rubli; w czasach ostatnich roczna sprzedaż nie sięga nawet 500 rubli. Przy niektórych szkołach ludowych w ostatnich czasach założono ogrody owocowe i warzywne, w których uczniów praktycznie uczą sadownictwa i ogrodownictwa; w tym celu rok w rok po kilku nauczycieli posyła się latem do niższej szkoły rolniczej w Piotrowiczach (gub. mińska); koszta ponosi skarb, bo dotąd ani jedna gmina nic na to nie asygnowała. Nauczanie rzemiosł znajduje się w zarodku; dotąd istnieją tylko dwie szkoły, w których uczą stolarstwa i tokarstwa. Prawda, że w chwili obecnej dyrekcya zakrzątnęła się w sprawie zaprowadzenia nauki zręczności w ważniejszych szkołach ludowych, ale brak środków stoi na przeszkodzie; prawdopodobnie ani gminy, ani miasta pieniędzy nie dadzą i cała sprawa spełznie na niczem.

Rozumie się, że uczniowie prawosławni są wyróżniani, chociaż zdawałoby się, że takie postępowanie nie licuje z celami szkoły ludowej: na zasadzie prawa z dnia 13 (25) czerwca 1888 roku, z sum opłat ziemskich gub. kowieńskiej asygnuje się corocznie 400 rubli na utrzymanie 5 prawosławnych uczniów w szkole rolniczej w Piotrowiczach, oraz oprócz tego jenerał-gubernator wypłaca corocznie 4050 rub. na utrzymanie 7 burs, w których mieści się 120 chłopców, synów t. zw. ruskich osiedleńców. Coś podobnego istnieje dla uczniów, dzieci zwykłych śmiertelników; są to t. zw. „ogólne stancye uczniowskie", których liczą w chwili obecnej 60. Uczniowie otrzymują w nich tylko mieszkanie, a odzież i pożywienie muszą mieć własne; powstały one z rozporządzenia jenerał-gubernatora w roku 1872. Dziś atoli przeważnie istnieją stancye uczniowskie „na papierze".

Dotąd ani słówkiem nie wspomniałem o szkołach żeńskich

ludowych; istnieje ich tylko 7, a założone one zostały niemal wyłącznie dla córek osiedleńców rosyjskich; wszakże w zasadzie szkoła ludowa jest dostępną dla dzieci obu płci, ale faktycznie dziewczynek uczy się niesłychanie mało, np. w powiecie poniewiezkim w r. 1892 uczyło się tylko 17 dziewczynek. Tu dodać należy, że w szkołach żeńskich wykładać się winny zwykłe roboty kobiece, co jednak nie praktykuje się. Szkoły zborowe, które utrzymywały się przy zborach kalwińskich, zostały zniesione w roku 1889, z luterskich zaś utrzymały się tylko 2, w Kownie i Kiejdanach.

Ale oprócz szkół ściśle ludowych, których mamy 162, istnieją jeszcze inne, zaliczane do niższych, a podległe dyrekcyi naukowej; są niemi: szkoły miejskie dwuklasowe 3, powiatowa 1, parafialnych 22, oraz 2 luterskie, 7 żydowskich, kilka prywatnych i t. d., słowem 236 szkół niższych. Koszta ogólne utrzymania szkół niższych w roku 1892 wynosiły 160.923·61 rub.; na tę sumę złożyły się pozycye następne: skarb państwa 31.625 rub. 19 kop.; zarząd okręgu naukowego wileńskiego 563 rub.; miasta 3173 rub. 57 kop.; gminy wiejskie 73.321 rub.; czesne 8810 rub. 50 kop.; procenta z kapitałów funduszowych 5951 rub. 62 kop.; kościół luterski 520 rub.; osoby prywatne 4139 rub. 84 kop.; wyznaniowe gminy żydowskie (kahały) 32.542 rub. 89 kop., oraz ze sprzedaży robót uczniowskich 276 rub. Warto zauważyć, że dopłaty skarbu ciągle wzrastają, dopłaty gmin w porównaniu z rokiem 1888 zniżyły się o 3466 rub.; czesne w ciągu ostatnich 5 lat zniżyło się o 5190 rub., wskutek zmniejszenia się ilości uczniów. Rozumie się, że najgłówniejszą pozycyę w wydatkach — 59.878 rub. 33 kop. — stanowi wynagrodzenie nauczycieli; wynagrodzenia te grupują się tak: od 100 do 150 rub. otrzymuje 3 nauczycieli, od 150 do 200 rub.—17, od 200 do 250 rub.—28, od 250 do 300 rub. — 61, od 300 do 350 rub. — 44, od 350 do 400 rub. — 35, oraz przeszło 400 rub. — 10. „Nauczyciele religii rzymsko-katolickiej w wiejskich szkołach ludowych, oprócz bardzo nielicznych wyjątków, nie otrzymują wynagrodzenia za swe wykłady“ — mówi sprawozdanie oficyalne. Wogóle utrzymanie szkoły ludowej kosztuje przeciętnie 453 rub. 68 kop., wahając się w gra-

nicach 531 rub. (pow. poniewiezki) i 375 (pow. kowieński); koszta nauczania ucznia przeciętnego wynoszą 8 rub. 75 kop., *maximum* 10 rub. 53 kop. (pow. rosieński), *minimum* zaś 7 rub. 66 kop. (pow. szawelski).

Teraz pozostaje mi skreślić kilka słów o uczących się, korzystając z danych oficyalnej statystyki szkolnej. Oto podaję tablicę odnośną za lata 1884—1892:

225	szkół	niższych	11.103	chłopców	1171	dziewcząt	= 12.274
225	„	„	11.271	„	1186	„	= 12.457
227	„	„	11.374	„	1197	„	= 12.571
227	„	„	11.368	„	1233	„	= 12.601
230	„	„	10.973	„	1353	„	= 12.226
232	„	„	10.513	„	1374	„	= 11.878
233	„	„	10.325	„	1450	„	= 11.775
235	„	„	9.684	„	1523	„	= 11.387
236	„	„	10.342	„	1830	„	= 12.472

Liczba więc uczących się w ciągu 9 lat zwiększyła się o 1,14%, chociaż przyrost ludności w tym czasie wynosił 9,42%; ale dokładne znaczenie tego faktu dopiero wykryje się potem. Sprawozdania urzędowe dzielą uczącą się dziatwę wedle stanów i wyznań; skorzystam z podziału pierwszego, bo w naszych warunkach jest niemal identyczny z podziałem wedle wyznań. Otóż w latach krańcowych 1884—1892, uczyło się w szkołach niższych 2912 i 4375 dzieci obojga płci, należących do narodowości obcych, tj. do Rosyan, Niemców i Żydów. Inaczej jednak dzieje się wśród katolików, ale w tem warto rozejrzeć się nieco szczegółowiej. Otóż dzieci katolickich uczyło się:

w roku	1884	9023	chłopców	339	dziewcząt	= 9362
„	1885	9163	„	321	„	= 9484
„	1886	8800	„	286	„	= 9086
„	1887	8696	„	344	„	= 9040
„	1888	8326	„	347	„	= 8673
„	1889	7893	„	307	„	= 8200
„	1890	6978	„	325	„	= 7303
„	1891	6988	„	270	„	= 7258
„	1892	7634	„	463	„	= 8097

czyli innemi słowy liczba uczących się dzieci katolickich zmalała o 13,5%, pomimo znacznego przyrostu ludności i wysiłków

administracyjnych! Następna tabliczka w odsetkach przedstawia ilość uczącej się dziatwy wedle narodowości w latach 1884 i 1892:

polsko-litewskiej	76,28—64,90
rosyjskiej	7,12— 8,90
niemieckiej	5,72— 6,55
żydowskiej	11,88—19,65

Tablica ta udowadnia, że ilość uczącej się dziatwy katolickiej zmniejszyła się stosunkowo i bezwzględnie. Wśród ludności katolickiej dziewczęta prawie że nie uczęszczają do szkół ludowych. Wogóle władza szkolna uważa, że dziatwa w wieku odpowiednim stanowi 12% ogółu ludności; jeżeli tę normę zastosujemy do ludności katolickiej, to otrzymamy przeszło 140.000 dzieci, które winne uczyć się w szkołach publicznych; ponieważ zaś oficyalnie uczy się 8097, przeto śmiało rzec można, że zaledwie około $^1/_{17}$ części dzieci w wieku szkolnym pobiera naukę, przystosowaną do widoków rządowych! Jest to *maximum*, bo oficyalne cyfry uczących się są zawsze wyższe od rzeczywistych. Wogóle na 100 mieszkańców wypada uczących się w pojedyńczych powiatach:

poniewiezkim	138
szawelskim	145
wiłkomierskim	177
nowo-aleksandrowskim	180
kowieńskim	200
rosieńskim	150
telszewskim	225

Widzimy więc, że szkoła rządowa nie cieszy się sympatyą i powodzeniem wśród ludu; niewątpliwie, gdyby było można, gminy nie dałyby na nią ani grosza złamanego, bo nawet dziś, pomimo całego nacisku z góry, korzystają one z każdej sposobności, by obciąć wydatki szkolne, co poniekąd powiodło się. Warto jednak skreślić coś-niecoś o rezultatach nauczania: wedle książki jubileuszowej w ciągu 30 lat uczyło się w szkole ludowej około 75.000 dzieci; ukończyło zaś ją 19.000 chłopców i 1500 dziewczynek. Celem szkół rosyjskich jest, jak wiadomo, rozpowszechnienie języka państwowego, oraz „kultury rosyjskiej wśród dzikich, sfanatyzowanych Żmudzinów“; o ile osięga ona ten cel,

niech odpowiadają fakta, oficyalnie stwierdzone a poniżej przytoczone. Otóż z 10.654 popisowych, wziętych do wojska w latach 1885, 1887 i 1888, tylko 333 skorzystało z ulgi 4-go stopnia, tj. ukończyło szkołę ludową, co stanowi zaledwo 3,12% liczby ogólnej, chociaż procent umiejących czytać (po polsku lub po rosyjsku) wynosił odpowiednio 18,6—20—20, a w r. 1889, nawet 26; dodać tu należy, że umiejętność czytania druków litewskich czcionkami łacińskiemi w rachubę nie bierze się. O zebranych w Telszach na ćwiczenia wojskowe członkach pospolitego ruszenia *(opołczeńja)* z całego powiatu pisano: „komendant zgromadził dziesiętników pospolitego ruszenia, wyjaśnił im przyczynę nabożeństwa, opowiedziawszy o cudownym wypadku z dnia 29 października n. st. 1888 r., oraz rozkazał przetłumaczyć to dziesiątkom po żmudzku, ponieważ wśród pospolitego ruszenia nie więcej jak 25 ludzi posiadało język rosyjski“ [1]. W powiecie wiłkomierskim, który uważa się za najbardziej zrusyfikowany ze wszystkich innych, ponieważ posiada aż 3,16% kolonistów rosyjskich, przed trzema laty badano kwestyę rozpowszechnienia się znajomości języka urzędowego. Oto co o tem pisze oficyalny „Pamiętnik gub. kowieńskiej na 1891 rok“ na str. 84: „Litwin tutejszy jest żywszy i śmielszy niż Żmudzin, nie tak skryty i podejrzliwy oraz mniej zabobonny. Mieszkając bliżej Białej-Rusi, uległ on wcześniejszym i głębszym wpływom ruskim; mowa słowiańska więcej mu jest znana niźli Żmudzinom. Mimo to jednak, podług obliczenia dokonanego w r. 1890, okazało się, iż tylko 6659 osób tj. 4% umie czytać po russku, a 18.130 osób czyli 13% włada (rozumie) językiem państwowym“. W pow. kowieńskim umiało czytać po rosyjsku 5,5% ogółu ludności, gdy — dodaje źródło oficyalne — umiejących czytać po litewsku w każdej włości narachowano setki; w gminie srednickiej okazało się, że aż 35% ogółu ludności umie czytać po polsku. Dodano też, mówiąc nawiasem, że umiejętność czytania po polsku „niestety“ jest bardzo rozpowszechnioną w pow. kowieńskim. Urzędowy Pamiętnik gub. kowieńskiej na 1893 rok mówi, że chłopi pow.

[1] „Kowieńskie Wiadomości gubernialne“, 1891 rok, nr. 85. Dodatek.

rosieńskiego bardzo łatwo i chętnie uczą się po polsku, gdy natomiast wszelkie usiłowania rozpowszechnienia języka państwowego dały rezultaty następne: w r. 1890 okazało się, że tylko 531-sze dziecko młodsze nad lat 12 umiało czytać po rosyjsku, a osób starszych ponad ten wiek 4474, czyli razem około 5000 osób, tj. 3,5% ogółu ludności włościańskiej; rozumiało zaś język urzędowy około 19.000 osób czyli prawie 13%. Uczących się w tym powiecie było 1427 chłopców i 230 dziewcząt, ale z tej liczby do stanu włościańskiego należało 937 chłopców i 63 dziewcząt; „jeżeli przypuścimy, że liczba uczących się dzieci stanu włościańskiego wyniesie do 1000, to kontyngens umiejących po rosyjsku chłopów winien znacznie przenosić 5000 osób, ponieważ szkoły mogły dostarczyć tę ilość piśmiennych w ciągu 5—6 lat. Oczywiście, że wiele osób, które nauczyły się po rosyjsku, wskutek różnych przyczyn wpada w recydywę niepiśmienności po rosyjsku“ — dodaje wspomniany Pamiętnik na str. 110.

By usunąć te przyczyny, choć do pewnego stopnia, z inicyatywy p. gubernatora w r. z. założono 61 bibliotek ludowych przy główniejszych szkołach. Katalog, ułożony przez dyrekcyę, obejmuje dziełka treści religijno-moralnej w duchu prawosławnym, historycznej, geograficznej i przyrodniczej, oraz życiorysy, powieści, opowiadania i bajki; na dział rolniczo-gospodarczy zwrócono pilną uwagę. Katalog ten rozesłano instytucyom włościańskim i urzędom gminnym. Jednocześnie taż dyrekcya wypracowała, a p. kurator zatwierdził, specyalny regulamin w sprawie utrzymywania tych bibliotek ludowych i korzystania. Według tego regulaminu biblioteki ludowe zakładają się „w celu rozpowszechnienia wśród ludności wiejskiej umiejętności czytania po rosyjsku“, tudzież wiadomości pożytecznych i „pojęć prawidłowych“. Źródła ich utrzymania są następujące: *a)* sumy asygnowane corocznie przez gminy na „kapitał szkolny“; *b)* remananent roczny szkół parafialnych; *c)* zapomoga — w razie potrzeby — od okręgu naukowego; oraz *d)* ofiary prywatne, wszakże książki można składać w darze tylko za pozwoleniem dyrekcyi. Dozór nad bibliotekami należy do okręgowych inspektorów szkolnych.

Wogóle rzec można, rosyjskie szkolnictwo ludowe u nas zupełnie zawiodło pokładane w niem niegdyś nadzieje: nawet sami Rosyanie przychodzą do wniosku, że ani marzyć nie wolno o zrusyfikowaniu kraju przez szkoły ludowe. W rzeczy samej widzimy dokładnie, iż od roku 1885 powoli, stopniowo traci ono grunt pod sobą, liczba uczniów wyznania katolickiego zmniejsza się stale, a natomiast niechęć ludu ku szkole rosyjskiej wzrasta stanowczo. Złożyło się na to kilka przyczyn; wymieniam główniejsze: na pierwszym planie należy postawić zupełną bezowocność i bezpłodność nauczania, bo wiadomości zaczerpnięte w szkole na nic w życiu codziennem nie przydają się, nawet rachunki, bo w szkole posługują się miarami rosyjskiemi, a u nas w użyciu powszechnem są dawne litewskie; rozumie się, że chłop, który w szkole czy wojsku nauczył się po rosyjsku, nie słysząc tego języka nigdzie, łatwo go zapomina, tem bardziej, że nie widzi przykładów. Zresztą szkoły nie cieszą się dobrą opinią wśród ludu, bo co prawda nauczyciele ludowi są zwykle ludźmi z pod ciemnej gwiazdy, pijakami i łajdakami; są wyjątki, ale nader nieliczne. Wogóle żaden porządny chłop-gospodarz dzieci nie pośle do szkoły. To powszechne przekonanie ludowe w wielu miejscach gorliwie podtrzymuje duchowieństwo i klasy wyższe, chociaż muszą działać pokryjomu; to samo przekonanie szerzy i literatura ludowa, u nas bardzo rozpowszechniona. Od r. 1865 ogniskuje się ona przeważnie w Tylży i Kłajpedzie, ale wydawnictwa ludowe, gazety, kalendarze, broszury, pisemka ulotne są bardzo szeroko rozpowszechnione: trudno, jak mówią, znaleść chatę, w którejby nie było kalendarza litewskiego. Cała ta literatura, gorliwie zachęcając do nauki i ucząc lud, radzi mu unikać szkoły rosyjskiej; widziałem kilka pisemek podobnych, np. jedno z nich tłumaczy chłopom, że dlatego nakazują im uczyć się po rosyjsku, by tem łatwiej nawrócić ich na prawosławie; inne znowu było zaopatrzone w rysunek, przedstawiający djabła, notującego nazwiska rodziców, którzy posyłają swe dzieci do szkoły. Niewątpliwie, że agitacya antyszkolna, na którą tak się uskarżały władze administracyjne, prowadzi się bardzo czynnie. Miało temu zaradzić wyjęcie spraw o rozpowszechnianie ksią-

żek litewskich z pod kompetencyi władzy sądowej, a przekazanie ich administracyi, ale rezultat zawiódł oczekiwania. To samo da się powiedzieć o sprawach utrzymywania i zakładania szkół potajemnych; sądy nie widziały w nich nic złego i skazywały winnych na kary śmiesznie małe, szykanując przytem administracyę; prawo z dnia 15 (3) kwietnia 1892 roku przekazało te sprawy administracyi... ale rezultat znowu zawiódł oczekiwania: szkoły potajemne jak istniały, tak istnieją, tylko ukryły się bardzo głęboko... zresztą policya zwykle milczy, bo w tej okoliczności znalazła nowe źródło dochodów; trzeba też przyznać, że same władze w sprawach podobnych występują tylko zmuszone koniecznością, np. zaniesioną denuncyacyą. Denuncyantów u nas mało, a zresztą przykłady s t r a s z n e j chłopskiej zemsty odstraszają... Dość, że spraw podobnych było tylko kilka, a decyzye administracyjne były też łaskawe i względne. Wogóle: znacznie więcej niż połowa ludności miejscowej umie przynajmniej czytać i stoi bez porównania wyżej kulturalnie od Biało-Rusinów, zbliżając się do Łotyszów. W poczuciu swej odrębności etnograficznej i wytrwałości dziejowej, Żmudzin hardo mówi: „ziemia i niebo przeminą, a Żemajtis zostanie!“ I niewątpliwie nie da się zrusyfikować.

Jan Witort.

WALKA O TRON KRAKOWSKI

w roku 1228.

(Dokończenie).

§ IV. Zabiegi Konrada Mazowieckiego o rządy opiekuńcze nad Małopolską.

Ponieważ, jak z przebiegu wypadków w końcu XII. wieku widzimy, inicyatywę w obsadzaniu tronu wielkoksiążęcego przywłaszczyło sobie możnowładztwo krakowskie, sądzimy, że i Konrad z tym faktem się liczył i wolał czekać na decyzyę wielmożów i rycerstwa, niż, narzucając się gwałtem, od razu wszystkich sobie zrazić. Dlatego dopiero w marcu, gdy ta decyzya wypadła na jego niekorzyść, a wielmoże we własnym interesie woleli mieć księciem dziecko, a za opiekuna niedołężnego starca, niż księcia, który ze swemi autokratycznemi zapatrywaniami od młodości się nie taił [1], zjawia się Konrad, jak ongi Mieszko Stary, w Małopolsce, by z wdową i jej doradcami na razie paktować, grozić, a gdyby i to nie pomogło, gwałtem przynależne sobie rządy opiekuńcze wywalczyć. Perlbach mniema, że Konrad przybył do Małopolski z wojskiem, na zjeździe skarzeszowskim już zmusił Grzymisławę do ważnych ustępstw na rzecz biskupa kujawskiego [2], i że w końcu kwietnia znajduje się u stóp Karpat w Bieczu i tu, w co dopiero zawojowanym przez siebie kraju, wystawia pierwszy nam znany dokument Zakonowi krzyżac-

[1] Mistrz Wincenty, *M. P. H.* II, 447.

[2] K. Pol. I, nr. 19.

kiemu [1]. Wcale dokładne objaśnienie atoli tych rzekomo wymuszonych ustępstw na rzecz biskupa kujawskiego posiadamy w dokumencie Bolesława Konradowicza, księcia sandomierskiego [2], z dnia 5 maja 1232. Już na „sejmie“ gąsawskim, wedle świadectwa Konradowego syna, prosił wobec całego episkopatu Polski Michał, biskup kujawski, księcia Leszka o restytucyę łowczych bielewickich, poddanych kościoła kujawskiego w kasztelanii wolborskiej, a zbiegłych za czasów biskupa Ogierza, do księcia Leszka. „I byłby wtedy zadość uczynił prośbom biskupa książę, gdyby nie był zamordowany“. „Tych łowczych niebawem kościołowi przywróciła wdowa po Leszku na zjeździe skarzeszowskim w obecności biskupa krakowskiego i szlachetnego pana Pakosława starszego uroczyście i publicznie *votum viri sui complens*“. Nie zmuszona więc, lecz obietnice małżonka swego spełniając, chętnie robi księżna wdowa ustępstwa na rzecz kościoła kujawskiego. Co zaś do dokumentalnej miejscowości „Beze“ [3], to upatrujemy w tejże nie Biecz, gdyż gród ten podkarpacki w dokumentach XIII. wieku nigdy w tem brzmieniu się nie znachodzi, lecz miasteczko Bejsce na granicy sandomierskiej i krakowskiej ziemi, w pobliżu lewego brzegu Wisły, między Nidą a Nidzicą. Jednakże zbyt długa, dwumiesięczna blizko obecność Konrada Mazowieckiego w ziemi sandomierskiej, od marca do 23 kwietnia, tj. od zjazdu skarzeszowskiego do wydania dokumentu Krzyżakom w Bejscach, nasuwa pewną wątpliwość co do pokojowych pertraktacyj, i za okupacyą wojenną zdaje się przemawiać. W niewyzyskanym dotąd, a publikowanym dopiero w drugim tomie Kodeksu Małopolskiego dokumencie, z dnia 11 maja 1228 [4], posiadamy źródło rozświetlające do pewnego stopnia zagadkę długiego pobytu Konrada w ziemi sandomierskiej.

Osnowa dokumentú, jak zwykle, całkiem prywatnej natury.

[1] *Preussisches Urkundenbuch*, n. 64.
[2] K. Pol. II, 1, n. 34. K. Mp. II, n. 403.
[3] *Preuss. Urkb.* n. 64.
[4] N. 395.

Jakaś Sulisława, wdowa po Marcinie, dziedziczka wsi Dzierzkówek w parafii skarzeszowskiej, aby córkom swym dać posag, sprzedaje połowę tejże wsi trzem synom Tadrzyka za 6 grzywien srebra. Sprzedaż ta jednak dokonywa się *coram domina Grimislaua ducissa Sandomiriae* i jej dworu wobec aż 49 świadków i to, jak opiewa na końcu dokument, *d. Grimislaua colloquium faciente cum filio Romani et cum subscriptis suis palatinis necnon castellanis.* Zjazd ten Grzymisławy z synem kniazia [1] Romana, prawdopodobnie starszym z braci, Danielem, 11 maja w Skarzeszowie nietylko nam tłumaczy dwumiesięczną nieobecność Konrada na Mazowszu, ale potwierdza i uzupełnia chronologicznie wiadomość Kroniki Wołyńskiej o napadzie Rusi na Kalisz. Nie ulega wątpliwości, że Konrad z licznym orszakiem dostojników duchownych i świeckich przybył do Małopolski, wątpimy jednak, czy przybył z wojskiem, a przeczymy stanowczo, żeby już w kwietniu całą Małopolskę zajął po Karpaty. Konrad najpierw zapewne na drodze pokojowej usiłował dochodzić praw swoich do

[1] Nie ulega wątpliwości, że wspomniany *filius Romani,* to nie kto inny, jak kniaź włodzimierski Daniel lub Wasylko. *Colloquia,* zjazdy, sejmy, odbywają książęta ówcześni albo z książętami albo z wysokimi dostojnikami swych dzielnic. Ponieważ wśród urzędników na początku XIII. wieku nie spotykamy żadnego Romana lub syna Romana, któryby wyższy urząd dzierżył czy to w krakowskiej, czy sandomierskiej dzielnicy, nadto ponieważ ów syn Romana wyszczególniony jest przed wojewodami i kasztelanami, nie możemy w nim upatrywać jakiegoś dostojnika; tylko księciem być może ów *filius Romani,* z którym księżna pani zjazd odbywa, i to księciem ruskim, gdyż wśród Piastowiczów żadnego Romana nie było podówczas. Wymieniony Roman, to niewątpliwie głośny kniaź włodzimierskohalicki, syn siostry Kazimierza Sprawiedliwego, sprzymierzeniec Kazimierzowej rodziny w bitwie nad Mozgawą, to hołdownik Leszka Białego, któremu zawdzięczał tron halicki, to wreszcie dumny „samodzierżca całej Rusi", który, targnąwszy się na posiadłości swego zwierzchnika, marnie ginie pod Zawichostem. Postać taka pozostała w żywej pamięci Małopolan; sława tak wielka, upadek tak nagły zrobiły imię jego niesłychanie popularnem wśród tego rycerstwa, któremu i swe wyniesienie i swój upadek zawdzięczał. To też wystarczyło pisarzowi dokumentu powiedzieć tylko: *cum filio Romani,* by najwyraźniej zaznaczyć, że księżna sejmowała z synem głośnego kniazia włodzimiersko-halickiego. Podobnie przecież i dziś używamy „Wiluś" w potocznej mowie, lub Niemcy używają *der alte Fritz,* dla oznaczenia panującego bardzo dobrze znanego.

opieki i do zarządzania, jeżeli nie całą Małopolską, to przynajmniej dzielnicą sandomierską. Zjazd skarzeszowski nie przyniósł widocznie żadnych rezultatów. Księżna Grzymisława wraz ze swą radą powołała się na załatwienie już w myśl rozporządzenia Leszka kwestyi opieki w Cieni. Konrad musiał się przekonać, że argumentami swemi nic nie wskóra, ani wobec Grzymisławy, ani wobec jej otoczenia. Trzeba było innych argumentów do przekonania hardych umysłów Małopolan, a takim była pomoc silnego sprzymierzeńca. W marcu tedy udaje się z Małopolski Konrad na Wołyń do Romanowiczów i „przyjął", jak opiewa Kronika Wołyńska, Daniłę i Wasylka we wielką miłość i prosił przez nią, aby mu przyszli na pomoc, i przyszli jemu na pomoc, na starego Władysława[1].

Ponieważ wypraw nie robi się na poczekaniu, zdaje się, że uradzono na razie w Ugrowsku, lub innym grodzie księstwa włodzimierskiego plan działania wspólnego. Daniel, jako starszy z Romanowiczów, podjął się misyi pośredniczenia w sprawie małopolskiej na rzecz księcia mazowieckiego. Konrad tedy, mając zapewnioną pomoc książąt Romanowiczów, wraca do Małopolski, by się z księżną Grzymisławą widzieć, bawiącą właśnie w Krakowie, skoro ją 5 maja[2] t. r. tamże widzimy. W drodze to do Krakowa w Bejscach, na pograniczu krakowskiej i sandomierskiej ziemi, zabiegło drogę księciu mazowieckiemu krzyżackie poselstwo, i 23 kwietnia otrzymało naprędce spisany pierwszy znany nam akt darowizny ziemi chełmińskiej[3]. Przybywszy bowiem posłowie krzyżaccy na Mazowsze, nie zastali księcia, zajętego sprawami małopolskiemi, w domu, dopomogli więc na razie księżnie Ahafii w odparciu napadu Prusaków[4]. Następnie udali się na wyszukanie księcia do Małopolski i przynieśli mu hiobowe wieści z Mazowsza. Konrad widzi się zmuszonym natychmiast powracać do zagrożonego domu. Tem się tłumaczy pośpiech,

[1] Полн. собр. русскихъ лѣтоп. t. II. Волын. лѣтоп. r. 6737.
[2] K. Mog. n. 6.
[3] Pr. *Urkdb.* n. 63.
[4] Dusburg, *Scriptores rerum Prussicarum* I, 36.

z jakim spisano ów pierwszy dokument krzyżacki [1]. Zapowiada w nim książę, że będzie potwierdzony pieczęciami braci jego, wszystkich książąt polskich i biskupów, czego następnie nie wykonano, gdyż dokument posiada tylko 3 pieczęcie; z tych napewne tylko jedną książęcą, Konrada, dwie drugie są prawdopodobnie biskupie, Michała, biskupa kujawskiego, i Guntera, elekta płockiego, wymienionych w dokumencie. Książąt zaś wonczas w Polsce było sześciu, jeżeli wliczymy Grzymisławę, a biskupów ośmiu, jeżeli wliczym Chrystyana pruskiego. Jeśli tedy Konrad zapowiada opieczętowanie przez książąt wszystkich i biskupów, których w Bejscach nie było, niepodobna przypuścić, aby poselstwu krzyżackiemu polecił wędrówkę dość mozolną od jednego księcia do drugiego, od biskupa do biskupa, lecz miał zapewne na myśli podobny „sejm“, jaki się odbył przed paru miesiącami w Gąsawie, przy współudziale książąt, biskupów i możnowładztwa, który zapewne z jego inicyatywy w niedalekim czasie miał się zebrać, w celu załatwienia sprawy małopolskiej. Niewątpliwie i kniaź włodzimierski miał w nim wziąć udział. Widocznie sejm ów planowany przez Konrada spełzł na niczem, skoro bez pieczęci Krzyżacy do mistrza swego wrócili. Konrad sam miał tyle do czynienia na Mazowszu, że go jeszcze w lipcu widzimy zajętego obroną ziemi własnej, fundacyą nowego zakonu rycerskiego Dobrzyńców [2]. Innym książętom widać nie bardzo chodziło o sejm, w interesie Konrada zebrać się mający. Tylko sprzymierzeniec ruski dotrzymuje słowa i zjawia się w Małopolsce. Od końca kwietnia do maja bawią tu także pełnomocnicy mazowieccy, jak Chrystyan, biskup pruski, i prawdopodobnie Grzegorz, podkanclerzy Konradowy, których widzimy 3 maja w Mogile pod Krakowem [3],

[1] Perlbach, l. c. str. 59.

[2] Pr. *Urkdb.* n. 67.

[3] Tamże, n. 65. Dokument Chrystyana, biskupa pruskiego, z Mogiły, gdzie tenże Krzyżakom nadaje dziesięciny w ziemi chełmińskiej, jest pisany, zdaniem Perlbacha (*Preussisch-polnische Studien*, I, 60, przyp. 1), tą samą ręką, co dokument dobrzyński z d. 4 lipca 1228 r. (Pr. *Urkdb.* n. 67), prawdopodobnie przez książęcego pisarza, bawiącego 6 maja w Krakowie. Był nim Grzegorz, podkanclerzy, którego i w Bejscach 23 kwietnia i w Płocku 4 lipca między świadkami widzimy. Towarzyszył on swemu panu w po-

dalej Bogusz z Mazowsza i Bogusław z Rawy, obecni na zjeździe drugim skarzeszowskim księżnej Grzymisławy z Romanowiczem [1]. Oni to zapewne zawiadomili z polecenia swego pana, księżnę wdowę i Małopolan o sojuszu Konrada z Romanowiczami, o gotowości księcia włodzimierskiego do pośredniczenia w sprawie małopolskiej i przybycie jego rychłe, a może i projektowany przez Konrada zjazd wszystkich książąt polskich zapowiedzieli.

Jakie wrażenie na politykach małopolskich Konradowe poselstwo zrobiło, żadne źródło nam nie mówi, jednakże musiała ta wieść niezmiernie poruszyć umysły, kiedy dnia 5 maja w Krakowie widzimy ze wszystkich ziem Leszkowych zgromadzonych dostojników, krakowskich i sandomierskich, sieradzkich i łęczyckich [2]. Co tam radzono, jak chętnie chciałoby się wiedzieć! Prawdopodobnie taki Jan, kasztelan sieradzki, Dobrogost, kasztelan spicymirski [3], lub Skarbimir, łowczy łęczycki, wogóle wszyscy ci, którzy, mieszkając w sąsiedztwie dzierżaw Konradowych, najbardziej byli wystawieni na zemstę księcia w razie odmowy, dla miłego spokoju byli za Konradem. Że jednakże większość zgromadzenia, obradującego w obszernym dworcu kantora Radulfa, wielkiego przyjaciela Gryfitów, przeciw niemu się oświadczyła, wątpić nie można z dalszego przebiegu faktów. Wobec tego, czy księżna Grzymisława nie musiała się zatrwożyć o przyszłość swoją i dziecka, czyż piękne marzenia o władzy nad całą Polską nie musiały się jej okazać złudnemi? Lecz nie przesądzajmy sprawy.

Po sejmie krakowskim udaje się księżna do Skarzeszowa, gdzie w rozległym dworcu książęcym [4] miał się odbyć zjazd za-

dróży do Małopolski i z jego polecenia do Krakowa przybył, podczas gdy kanclerz Gothard pozostał w domu i dopiero na dokumencie płockim wśród świadków występuje.

[1] K. Mp. II, n. 395.

[2] K. Mog. n. 6. Cfr. Szkaradek l. c. 31.

[3] Spicymierz, gród w ziemi sieradzkiej.

[4] Wspomniany w dokumencie (K. Mp. II, n. 395) jako świadek *Janec magister monachorum curie de Scareseu,* jest dowodem, że przy dworze książęcym istniał nawet konwent klasztorny dla obsługi duchownej księcia i jego otoczenia. Widać, że chętnie tu gościło księstwo małopolskie, co potwierdzają kilkakrotne zjazdy w tej miejscowości.

powiedziany z Romanowiczem, mniejsza o to czy z Danielem, czy z Wasylkiem. W sześć dni po obradach w Krakowie, tj. 11 maja, już się pertraktacye odbywają. Na zjazd księżnej pani z kniaziem nietylko całe sąsiedztwo się zbiegło — na kontrakcie sprzedaży Dzierzkówka aż 30 świadków z wicynii Skarzeszowa i samego Skarzeszowa się podpisało — nietylko sandomierska szlachta, nieznana nam bliżej, się zjechała, jak Tomasz z Mydłowa (20), Sulisław z Kargowa (17), Zdzisławy (10), Welisławy (12), Mikołaje (13), Jasie (14) i t. d.; są tam przedewszystkiem sandomierscy panowie, jak wojewoda Pakosław, syn Lasoty (1), ze swym dworem — na kontrakcie podpisany jest i jego siostrzeniec Tomasz (24) i jego komornik Budziwoj (15) — jest niewątpliwie Wojciech, pan lubelski, bo cóżby tu robił jego komornik, Bogusław (16), jest sandomierski cześnik Krzesław (4), który co dopiero z krajczego na tę godność się posunął [1], jest Wojciech, syn Słupoty (3), późniejszy kasztelan wiślicki, którego w deputacyi panów, przyjmujących węgierską oblubienicę Leszkowica w Wojniczu, r. 1239 obaczymy [2], jest ruchliwy i głośny kasztelan wiślicki, Mściwój (9), obecnie gorliwy stronnik Grzymisławy i księcia wielkopolskiego, niebawem jeszcze gorliwszy Konrada; są nadto krakowscy panowie Streszek (2), dawny cześnik Leszkowy i późniejszy jego syna [3], Przeclaw (5), z przydomkiem Zaja, kasztelan czchowski z braćmi Fałkiem (6) i Wojciechem (7) i synem Janem (8) [4]. Czy nie był także i Marek, wojewoda krakowski, jak nam każe przypuszczać zwrot: *colloquium faciente ducisse Grimislaua cum subscriptis suis palatinis nec castellanis*, nie przesądzamy, być może, iż *palatinis* jest hyperbola pisarza. Są nadto dwaj świadkowie z ziem Konradowych, Bogusz z Mazowsza (18) i Bogusław z Rawy (19). Sądzimy, że ów Bogusz z Mazowsza, to nie kto inny, jak późniejszy wojewoda mazowiecki, Mieczysławic, który z tym tytułem po pierwszy raz dopiero 4 lipca r. 1228, przy fundacyi zakonu Dobrzyńców wystę-

[1] 1227. 6. XII. *dapifer*. K. Mp. II, n. 393.—1232. K. Mp. II, 403.
[2] 1234. 22. XII. K. Tyn. str. 40. — K. Mp. I, 30.
[3] 1224. 22. IX. K. Mp. II, n. 389. — 1234. 22. XII. K. Pol. III, n. 13.
[4] 1230. 18. XI. K. Mp. II, 46. — K. Mp. I, 18 i 20. — 1234. K. Tyn. str. 40.

puje, a godność swą do r. 1241 piastuje [1]. Być może, że w sprawie małopolskiej dopiero tak się panu swemu przysłużył Bogusz, iż go tenże obdarzył wojewodzińską godnością. Co zaś do Bogusława z Rawy, nie znamy go bliżej — byłże może kasztelanem rawskim? Jeden i drugi znajdowali się wśród świty Konradowej w Bejscach i identyczni są z dwoma Bogusławami, wymienionymi w dokumencie bejskim, gdyż Bogusz jest tylko skróceniem nazwy Bogusław. W każdym razie obecność dwóch mazowieckich dostojników na zjeździe księżnej małopolskiej z kniaziem ruskim jest niemym dowodem, iż o mazowieckiego księcia interes tu chodzi, że w interesie Konrada Romanowicz do Skarzeszowa przybył. Niezawodnie przedstawiał serdeczny przyjaciel Konrada [2] jego słuszne prawa do opieki, niewątpliwie uspokajał Grzymisławę co do jego intencyi względem jej syna, z pewnością przedstawiał, że to chodzi o wspólny interes Kazimierzowiców, do których ziemia małopolska cała należy wedle uchwał łęczyckich i dwukrotnego potwierdzenia papieży, że nie należy wpuszczać do wspólnego dziedzictwa innych Piastowiczów wielkopolskich czy szląskich. Sądzimy, że i Grzymisławie o utrzymanie dziedzictwa małopolskiego chodziło, jednakże dla dziecka swego, nie dla Konrada. Mogła słusznie twierdzić, iż Kazimierzowy ród nietylko przez opiekę bezdzietnego Władysława niczego nie straci, lecz przeciwnie zyska jeszcze wielkopolskie ziemie, skoro tenże Leszkowego syna spadkobiercą swoim uczynił. Mogła nawet Konradowi robić widoki na opiekę po śmierci starego i skołatanego Władysława [3]. Mogła się zasłaniać życzeniami

[1] Perlbach, *Preuss.-poln. Stud.* I, 36 i 62. Pr. *Urkdb.* I, n. 67. Kod. Maz. n. 15.

[2] Szkaradek, l. c. str. 52,

[3] Że takie propozycye robiono Konradowi, to zdają się wskazywać słowa Kaliszan obleganych przez Ruś do wysłańców Konradowych: „Tak powiedzcie wielkiemu księciu Konradowi: Czyż gród ten nie jest twój? My upadli na siłach, czyż jesteśmy stronnikami innego? Nie, twoi ludzie jesteśmy, a wasi bracia. Dziś służymy twojemu bratu, a jutro będziem twoi". Co do wiarogodności ustępu tego z Kroniki wołyńskiej pod r. 6737 cfr. Szkaradek, loc. cit. str. 73. Pisany on jest przez naocznego świadka zawiera fakta i słowa żywcem uchwycone. Jeżeli nie było jakichś

możnowładztwa krakowskiego, które Konradowi nie sprzyja, a w danym razie i innego księcia gotowe sobie poszukać, a przecież z wolą wielmożów i to wielmożów krakowskich piastowscy książęta liczyć się musieli. Te i tym podobne racye mogły być rozbierane w książęcych komnatach dworca skarzeszowskiego między księżną a kniaziem. Gdzie jednak antagonizm jest tak zakorzeniony i podejrzliwość tak uzasadniona, jak w stosunkach Krakowian i Grzymisławy do Konrada, tam o polubownem załatwieniu sprawy mowy być nie mogło, tam koniecznie miecz rozstrzygnąć musiał.

§ V. Skutki zaczepnego przymierza Konrada z Romanowiczami.

Ponieważ pośrednictwo pokojowe Romanowicza się nie powiodło, ruski miecz miał rozstrzygnąć sprawy polskie. Konrad jednakże wpierw musi swe ziemie, za jakąbądź cenę, od Prusaków i Litwy zabezpieczyć. Tem się tłumaczy dziwna bądź co bądź erekcya zakonu rycerzy Chrystusowych w ziemi dobrzyńskiej, w dziesięć tygodni po nadaniu ziemi chełmińskiej zakonowi teutońskiemu[1]. Do początku lipca nie mógł książę mazowiecki wyruszyć do boju, a i po czwartym lipca upłynęło parę tygodni niezawodnie, zanim nowy zakon rycerski mógł objąć niebezpieczny posterunek stróża granic mazowieckich. Przed sierpniem zatem do rozprawy wojennej zapewne nie przyszło.

Wobec nieuniknionej walki przypatrzmy się siłom, jakiemi rozporządzają przeciwnicy Konrada. Wśród obrońców Grzymisławy i jej dziecka widzimy Władysława Starego jego przyjaciela i sprzymierzeńca, Kazimierza Opolskiego, a przedewszystkiem decydujące sfery wśród możnowładztwa małopolskiego. Na pozór koalicya dość potężna, aby nawet siłom rusko-mazowiec-

propozycyj i obietnic ze strony Władysława Starego, uczynionych Konradowi, czy mogli ludzie jego mówić: „Dziś służymy twojemu bratu, a jutro będziemy twoi?“ Przecież najbliższym spadkobiercą bezdzietnego księcia był jego bratanek Władysław Odonicz? Widać, że zagrożony Władysław Stary obietnic i Konradowi nie skąpił tak samo, jak swoją spuścizną łudził Leszka Białego, Henryka Brodatego i niezawodnie także Kazimierza Opolskiego.

[1] Pr. *Urkdb.* n. 67, 66.

kim sprostać, kwestya tylko, czy skora do walki i ofiar w sprawie wdowy i sieroty.

W pierwszej linii do obrony i walki zobowiązany jest Władysław Stary, jako opiekun i książę krakowski. Przecież przed paru miesiącami tak sierdziście na pargaminie w Cieni zapowiedział, iż „ziem pupila swego osobiście z pomocą tak wielkopolskiego jak i małopolskiego rycerstwa przeciw komukolwiek bronić będzie, i to ze wszystkiemi siłami, jakie mu dopiszą". Niestety, te siły rzadko kiedy Władysławowi Staremu dopisywały. To też zdaje się, iż ani Grzymisława ani wielmoże krakowscy zbytnio na takowe nie liczyli, lub rychło na nie liczyć przestali, tem więcej, że stary i niedołężny pan wielkopolski we własnem księstwie rady sobie dać nie mógł, skoro, jak się dowiadujemy z kroniki Baszka, Odonicz zbiegł wkrótce z niewoli i niebawem, wprawdzie następnego dopiero roku, całkiem stryja z Wielkopolski wypędził[1]. Taki obrońca pomocy dostatecznej przeciw Konradowym zastępom i ruskiej drużynie dać nie mógł.

Lecz mniejsza o Władysława; dla księżnej wdowy ważniejszą jest postawa, jaką wobec sojuszu rusko-mazowieckiego zajmie możnowładztwo i rycerstwo małopolskie. Czy zechce, jak przed 30 coś laty, stanąć do walki i krwią bronić praw księżnej i sieroty? Sytuacya o tyle zmieniona, że nie było obecnie tak zdolnego i wpływowego męża wśród Małopolan, jak ongi Mikołaj wojewoda, któryby opozycyą zorganizował i do walki poprowadził. Ani Pakosław, sandomierski wojewoda, ani Marek, krakowski, bynajmniej mu nie dorośli, nadto żaden z nich nie zechciałby ulegać drugiemu, a zgodne działanie było pierwszym warunkiem powodzenia. Nadto położenie Małopolan o tyle było krytyczne, iż za Mikołaja czasów Ruś była ich sprzymierzeńcem, obecnie zaczepnie właśnie występuje. Kwestya więc, czy zagrożeni z dwóch stron Małopolanie zechcą podjąć się walki tak niebezpiecznej w interesie cudzym, a choćby i własnym. Wątpimy, czy Grzymisława miała wielu takich przyjaciół wśród możnowładztwa, jak biskupa Iwona, który, jako prawdziwy sługa Chry-

[1] *M. H. P.* II, 557, § 63. Szkaradek l. c. 62.

stusowy, w sprawie uciśnionych widzi sprawę własną i gotów jest do największych poświęceń i ofiar, ba, nawet na wygnanie w tej sprawie się narazi. Za Iwonem, jako głową rodziny, pójdzie, aczkolwiek może niechętnie, potężny ród Odrowążów. Również i przywrócony do łaski ród Świebodziców albo Gryfitów nie ugnie się przed Konradem, motywem jednakże dla Klemensów, Janków i Andrzejów nie jest wierność dla księżnej wdowy, lecz nienawiść do Konrada, dlatego gotowi sprawę Leszkowica poświęcić każdej chwili i innego Piastowicza uznać swym księciem, byleby ich tenże od Konrada wybawił [1].

Krakowianie jednakże mniej byli zagrożeni ze strony Rusi włodzimierskiej, niebezpieczeństwo głównie groziło Sandomierzanom. Toć przecie pamiętali dobrze, iż w walkach z Romanowiczami ponosili jeszcze za Leszka same klęski, jak w r. 1216 lub 1219 [2]. To też kwestya wielka, czy Pakosław i jego przyjaciele polityczni, jak Mściwój i inni, zechcą, w dwa ognie wzięci, wrogom nastawić czoła i krwią swą bronić wątpliwych praw do opieki i rządów księcia wielkopolskiego, a właściwie księżnej wdowy.

Tuszymy, a mamy podstawę do tego, iż wojewoda sandomierski wraz z innymi dostojnikami tejże ziemi nie mieli najmniejszej ochoty w interesie wdowy i sieroty narażać siebie, narażać stanowiska, mienia, a może i życia. Zresztą Pakosława z dawien dawna najściślejsze łączą stosunki z Romanowiczami; nie darmo mówi Kronika Wołyńska, iż „był przyjacielem Romanowej i jej dzieci“ [3]. Za jego to radą oddał był Leszek Danielowi księstwo włodzimierskie r. 1215 [4]. Wprawdzie nieraz, jak r. 1224, wyprawiał się Pakosław na czele wojsk Leszkowych na Halicz przeciw interesom Romanowiczów, lecz częściej jesz-

[1] Szkaradek l. c. 40, 46.

[2] Kron. Wołyńska, str. 160—162. Rocznik Krasińskich, *M. P. H.* III, 132. Cfr. Droba, „Stosunki Leszka Białego z Rusią i Węgrami“, str. 51, 54, 57.

[3] Полн. собр. II, 160.

[4] Tamże, ob. Droba, l. c. 47, i Matijów, *Der polnisch-ungarische Streit um Galizien und Lodomerien* (*Jahresbericht des II. Obergymn. in Lemberg*, 1886, str. 11.

cze jako ich sprzymierzeniec, jak w r. 1219; przed dwoma zaś dopiero laty, tj. r. 1226, wojewoda sandomierski na czele polskich posiłków z Romanowiczami aż na Kijów pognał przeciw wielkiemu kniaziowi, Włodzimierzowi Rurykowiczowi [1]. Swoją drogą dwulicowość i niestałość syna Lasoty w tych walkach jaskrawo się uwydatnia; raz za Romanowiczami przemawia, to znowu kokietuje z Andrzejem węgierskim. Nie dziw więc, że ta giętka i awanturnicza natura wojewody i obecnie wobec rusko-mazowieckiego przymierza w tę stronę zwraca chorągiewkę, nie dziw, że go znajdziemy niebawem w szeregach ruskich i Konradowych pod Kaliszem, w walce z Władysławem, którego przed paru miesiącami swym księciem był uznał. Podobnie postąpi Mszczug, kasztelan wiślicki, i większa część sandomierskich, łęczyckich i sieradzkich dostojników i szlachty. Nie bardzo to wprawdzie szczerzy sprzymierzeńcy; nie dowierza im Konrad, bić się nie chcą z Kaliszanami, w każdym razie uznali zwierzchność Konrada może niechętnie, ale uznali, i Grzymisławy sprawę opuścili [2]. Sądzimy jednak, że wśród możnowładztwa małopolskiego i szlachty było wielu takich, którzy rzeczywiście sprzyjali Konradowi. Taki Wojciech, pan lubelski, który pod Bolesławem Konradowiczem piastuje wojewodzińską godność w Sandomierzu, niezawodnie za usługi, księciu mazowieckiemu oddane, wyniesiony jest na najwyższy urząd, który odebrano niepewnemu Lasocicowi [3]. Miał Konrad i w Krakowskiem gorliwych stronników w rodzie Starżów czyli Toporczykow, w braciach Sułkowiczach, Andrzeju i Gołuchu [4], tychże stryjecznych braciach Żegocie [5] i Andrzeju z Morawicy [6]. Sułkowicze znajdują się w orszaku Konradowym w Bejscach wraz z innymi Toporczykami, braćmi Stefanem [7] i Sieciechem [8]. Ostatni znajduje się w służbie

[1] Kronika Wołyńska, 167 pod r. 6736.
[2] Kronika Wołyńska p. r. 6737, str. 167. Szkaradek l. c. 56—61.
[3] K. Mp. II, n. 401.
[4] 1228. Pr. *Urkdb.* n. 64. — 1234. K. Tyn. 40. 1238. K. Mp. I, 28.
[5] 1229. K. Tyn. 14. — 1238. K. Mp. I, 28.
[6] 1234. K. Tyn. 40. — 1238. K. Mp. I, 28.
[7] 1228. Pr. *Urkdb.* n. 64. — 1232. K. Mp. II, n. 404.
[8] 1228. Pr. *Urkdb.* n. 64 i 67. 1232. K. Mp. II, n. 404.

mazowieckiej, piastując urząd nadwornego sędziego u Konrada, jakkolwiek kilka lat temu wstecz znajdował się w otoczeniu Leszka [1]. Ogółem jednak biorąc, stronnictwo mazowieckie w Małopolsce nie było, jak z przebiegu walki wynika, ani zbyt liczne ani bardzo wpływowe. Mimo to, zdaje się, już zjazd skarzeszowski Grzymisławy z Romanowiczem rozwiał dumne marzenia księżnej wdowy. Zdaje się, iż doznała zupełnego rozczarowania, widząc chwiejność sandomierskich panów i przekonała się o niemożebności utrzymania całego dziedzictwa Leszkowego. Zdaje się, iż w Krakowie wielmoże krakowscy oświadczyli, iż tylko Władysława Starego trzymać się będą bez względu na prawa dziedziczne małego Bolesława, w Skarzeszowie zaś pod grozą ruską uznano Konrada opiekunem książęcej sieroty i panem Sandomierza. To też już nie „z bożej łaski księżną całej Polski", lecz tylko *ducissa Sandomirie* się tytułuje na kontrakcie sprzedaży Dzierzkówka. Jej rola księżnej panującej rzeczywiście skończona, i odtąd nie spotykamy się z nią w dokumentach jako z „księżną Polski lub Krakowa", lecz tylko jako z „księżną" bez ziemi, lub jako ze skromną „wdową po Leszku" i to dwa razy tylko w ciągu dwóch lat następnych [2].

I w ziemi opolskiej robiono przygotowania wojenne. W Rybniku odbywa się 1 sierpnia walny „sejm" całej szlachty i wielmożów tejże dzielnicy celem narady nad obwarowaniem silniejszem grodu stołecznego. W dokumencie, na sejmie tym wydanym [3], oświadcza książę Kazimierz, iż za zgodą wielmożów i rycerstwa swego i na ich wezwanie zaczął gród swój Opole wyższym murem obwarowywać. Zgodził się poprzednio ze swym wo-

[1] 1221 i 1224. K. Pol. I, n. 12. K. K. Krak. I, n. 13 i 14. Cfr. Szkaradek, l. c. 30. Tenże w dodatku IV, 78, mylnie Mirosława, wspomnianego w Kronice Wołyńskiej pod r. 6737, identyfikuje z kasztelanem połanieckim Mirosławem r. 1228 (K. Mp. I, n. 11), r. 1229 zaś małogoskim (K. Mp. I, 12). Mirosław z Kroniki Wołyńskiej jest dowódcą sił ruskich i wysokim dostojnikiem Romanowiczów, skoro po wyprawie kaliskiej z Wasylkiem do Suzdala na wesele w. kniazia Jerzego jedzie. (Kronika Wołyńska, wydanie petersb. str. 505).

[2] K. Mp. I, n. 12 i II, n. 401.

[3] K. Pol. III, n. 11.

jewodą, Klemensem Gryfitą, iż połowę grodu tenże wybuduje na własny koszt, połowę zaś sam książę. Jakoż wojewoda przedstawił księciu, jako kierownika robót fortyfikacyjnych, swego rodzonego brata Benedyktyna Wierzbiętę i wydał już na to dzieło 500 grzywien srebra. Za to więc wiernemu Klemensowi za zgodą wielmożów nadaje Kazimierz cały szereg włości, grunta, bory i t. d. częścią w ziemi opolskiej, przeważnie zaś w ziemi krakowskiej, jak Czeladź w powiecie olkuskim; 20 łanów wielkich dobrej ziemi z książęcych gruntów około Krakowa, uprawianych przez ludzi księcia opolskiego *(per homines meos)*, t. zw. naroczników, we wsiach Łętowicach (w powiecie miechowskim), należących do stolnika krakowskiego, w Makocicach (w powiecie krakowskim) i Gościradnicach, należących do trybuna krakowskiego, w Dziewięczycach (w powiecie skalmierskim), należących do koniuszego krakowskiego i t. d. i t. d. Upomina dalej książę „synów swych, Mieszka i Władysława, i wszystkich wielmożów, z których porady to uczynił, w razie gdyby ktoś jednę z darowanych wsi miał, co nie daj Boże, podstępem lub chytrością wydrzeć, aby wiernemu panu Klemensowi wieś Zalesie [1], ustąpioną dobrowolnie przez niego księciu opolskiemu, ze wszystkiem zwrócili". Akt ten potwierdza aż siedmiu kasztelanów ziemi opolskiej na tym sejmie obecnych.

Jeżeli tedy Kazimierz rozporządza włościami księstwa krakowskiego, jeżeli naroczników nazywa *homines meos*, widać że musi być panem tychże, innemi słowy, że sprawa Władysława Starego w krakowskiej ziemi dnia 1 sierpnia jeszcze nie upadła, że on tu jeszcze panem, kiedy jego zastępca tu gospodarzy. Że jednak nie bardzo pewne i bezpieczne są czasy, świadczy to szybkie podwyższanie murów grodu stołecznego, na które wojewoda Klemens 500 grzywien był wydał, świadczy przedewszystkiem ów sejm wielmożów i całej szlachty opolskiej, do Raciborza właśnie w celu ubezpieczenia grodu książęcego zwołany. Zdaje się więc, że i w Raciborzu obradowano, jak się za-

[1] Ulanowski, „O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach", 12, 77, 82, 95, 120.

bezpieczyć przed Konradem i Rusią; że jednak nie o obronę krakowskiej ziemi opolskiej szlachcie i księciu chodzi, dowodzi wspomniany cel zjazdu. Prawdziwym bowiem darem Danaów była obecnie ziemia krakowska; kto ją chciał wziąć w posiadanie, musiał się czuć na siłach wobec sojuszu rusko-mazowieckiego, musiał być gotów do walki zaciętej i długiej z zapalczywym księciem Mazowsza. Do takiej walki opiekun Władysław Stary był za słaby, nie miał ochoty i jego zastępca Kazimierz Opolski, tem więcej, że walczyłby nie tyle dla siebie, ile dla przyjaciela i Grzymisławy. Zresztą i książę opolski nie był tak potężny, by sprostał Konradowi i Rusi. Tak niebezpiecznego zadania mógł się podjąć tylko energiczny i dzielny książę szląski, Henryk Brodaty.

§ VI. Objęcie rządów w Krakowie i opieki nad Leszkowicem przez Henryka Brodatego.

Książę szląski przez swe stosunki z Niemcami i Czechami, mając obce i wyćwiczone więcej rycerstwo do dyspozycyi, mógł spokojnie zmierzyć się z Konradem i Rusią i gotów był podjąć się tego zadania, nie bezinteresownie atoli. „Ile razy bowiem Henryk mieszał się w sprawy książąt sąsiednich, nigdy z próżnemi nie wracał do swej stolicy rękoma“ [1]. Za cenę tylko wielkoksiążęcego stolca gotów był dać pomoc wdowie i sierocie. O tem wiedziała Grzymisława i dlatego w ostatniej chwili dopiero, gdy się okazało, że na dotychczasowych sprzymierzeńców i opiekunów liczyć nie można, „lękając się tyrańskiwa Konrada“, za wspólnem zapewne porozumieniem się z Władysławem Starym, „za radą i zgodą wielmożów, z nią trzymających, powołała Henryka Brodatego, oddając mu siebie i swe dzieci w opiekę i zrzekła się na jego korzyść krakowskiej stolicy i wielkoksiążęcej godności“, byleby resztę dziedzictwa Leszkowego dla syna uratować [2].

Zachodzi teraz kwestya, czy Henryk Brodaty dopiero wskutek rezygnacyi Grzymisławy i prawdopodobnie Władysława Sta-

[1] Semkowicz, „Zbrodnia Gąsawska“, 350.
[2] Kronika Polska, *M. P. H.* III, 648.

rego, jak chce jedyne w tej mierze, a wcale poważne źródło, Kronika Polska, objął monarchię, tj. książęcą godność w Krakowie, czyli też, jak przypuszcza Semkowicz, na zasadzie testamentu Krzywoustego [1]. Książę szląski bowiem, będąc zdaniem autora „Zbrodni Gąsawskiej“ seniorem, miał najbliższe prawa do monarchii i tylko wskutek ciężkich ran, zadanych mu w Marcinkowie, nie mógł się zaraz po śmierci Leszka z orężem w ręku o swe prawa upomnieć. Że książę Henryk nie uznawał dziedzicznych praw Kazimierzowiców do Krakowa i od dawna tęsknem okiem ku Wiśle spoglądał, jeszcze za życia Leszka, świadczy, zdaniem Semkowicza i Szkaradka, bulla Innocentego III., potwierdzająca na prośby księcia szląskiego testament Krzywoustego. Księciem tym szląskim jednak, jakeśmy to już wyżej wspomnieli, był nie Henryk, lecz Mieszko Raciborski Plątonogi. Gdy zaś r. 1225 nadarzyła się Henrykowi sposobność, twierdzi dalej Semkowicz, chciał nawet z bronią w ręku wywalczyć sobie to księstwo. Trudno atoli stwierdzić, jakeśmy wyżej wspomnieli, czy ambicya Henryka była powodem wyprawy podjętej z inicyatywy zbiegłych Gryfitów, czyli też sprawa kolonistów, jak chce Smolka. Dowodem zaś dla Semkowicza, że Henryk rzeczywiście po śmierci Leszka był seniorem, nie zaś Władysław Stary, jest dokument z Cieni, gdzie książę wielkopolski nie występuje z pretensyą do władzy zwierzchniczej i do ziemi krakowskiej, lecz tylko jako opiekun Bolesława, jako obrońca praw Kazimierzowego rodu. Pominięcie więc milczeniem praw, jakie mógł mieć Mieszkowic do tronu krakowskiego na podstawie testamentu Krzywoustego, każe przypuścić, iż tych praw wogóle nie posiadał, iż seniorem zatem był Henryk Brodaty. Że Władysław już r. 1202 uznawał, jak jego ojciec, dziedziczne prawa Kazimierzowej linii do Krakowa, że zawdzięczał tron krakowski elekcyi i na nią się w liście do Leszka powołuje, stwierdziliśmy powyżej, jednakże wtedy w każdym razie nie był seniorem, obecnie atoli, jeżeli był seniorem, czyż mógł wobec możnowładztwa krakowskiego, dyktującego mu „pakta konwenta“, powoływać się na przestarzałe

[1] „Zbrodnia Gąsawska“, 344.

prawa, przez siebie raz, a tyle razy przez to możnowładztwo pogwałcone i przez nie nieuznawane? Czy mógł, biorąc pod opiekę Leszkowica, powoływać się na prawo, które sierotę od tronu krakowskiego wykluczało, nie wykluczało jednak Konrada Mazowieckiego od rządów w księstwie sandomierskiem? Sądzimy, że Władysław Stary umyślnie wobec niezaprzeczonych praw Konrada do opieki nad synowcem i do rządów w dziedzicznem jego księstwie sandomierskiem powołuje się na niepraktykowany dotąd akt traktatu spadkowego, by wolą Leszkową zaszachować silne pretensye Konrada. Władysław zresztą, robiąc traktat spadkowy z Leszkiem, tem samem uznawał dziedziczność tronu krakowskiego w linii Kazimierzowej. Jeżeli więc nie powołuje się na swe prawa starszeństwa, nie mające wtedy już żadnego znaczenia, tem samem nie świadczy bynajmniej, iż tych praw nie posiada.

Kto był po śmierci Leszka seniorem, rozstrzygnąć przy obecnym stanie źródeł niepodobna. O Władysławie Mieszkowicu wiemy na pewne tylko, że w r. 1186, występując jako świadek w dokumentach pomorskich [1], bawi jako gość u męża swej siostry, Anastazyi, Bogusława I., księcia zachodniego Pomorza; co do wieku Henryka Brodatego żadnej pewnej daty nie posiadamy, daty urodzin jego dzieci bowiem dopiero późniejsza tradycya ustaliła, dlatego żadną miarą, ściśle rzecz biorąc, na nie powoływać się nie można [2]. Wobec tego nie dziw, że, podczas gdy Semkowicz [3] robi Władysława młodszym od Henryka, Perlbach równocześnie [4], a niedawno i Balzer [5] dochodzą do przekonania więcej prawdopodobnego, iż był starszy od Henryka.

Na niepewnych więc podstawach, powołując się i na Długosza [6], autor „Zbrodni Gąsawskiej“, zrobiwszy Henryka senio-

[1] Klempin, *Pommersches Urkundenbuch* I, 80, 81.

[2] Grünhagen, *Reg.* str. 50 pod r. 1186 i str. 54 pod r. 1191.

[3] „Krytyczny rozbiór“ etc. 225.

[4] *Preussisch-poln. Studien* I, 9, 58.

[5] „Walka o tron krakowski w latach 1202 i 1210/11“, str. 51, przyp. 3.

[6] Dowodu najlepszego dostarcza sam autor, robiąc przy omówieniu stosunków r. 1225 Władysława starcem 60-letnim, kilka zaś stronic dalej twierdząc na podstawie Długosza, że w r. 1227 nie liczył więcej niż lat 59

rem w r. 1228, twierdzi, iż tylko wskutek ran ciężkich, otrzymanych w Marcinkowie, nie mógł się zaraz po śmierci Leszka z orężem w ręku o swe prawa upomnieć. Lecz przecież w czerwcu roku tegoż jest już zdrowy książę szląski, kiedy bierze udział w uroczystości poświęcenia ołtarzy w Henrykowie przez biskupów Wawrzyńca i Pawła, kiedy tamże wraz z synem potwierdza dokumentem z dnia 6 czerwca darowiznę swego notaryusza Mikołaja, na rzecz klasztoru rzeczonego uczynioną. Dlaczego w tym dokumencie i kilku jeszcze tego roku bez daty dnia tylko *dux Slesiae* się tytułuje, podczas gdy w następnych latach, jakkolwiek nie był wcale w posiadaniu Krakowa, a tem mniej Wielkopolski, jak r. 1230, jako *dux Slesiae Poloniae et Cracoviae* w niepodejrzanych dokumentach figuruje?[1] Dlatego niewątpliwie, że jeszcze go nie powołali na tron krakowski możnowładcy i Grzymisława, dlatego, że niewątpliwie Henryk szanował prawa Władysława Starego, swego sprzymierzeńca. Że Henryk patrzał tęsknem okiem ku Wiśle, tego nie przeczymy, niedarmo był przedstawicielem najstarszej linii Piastowskiej, która praw swego praszczura do Krakowa nie zapomni przez cały wiek XIII., lecz błędem jest, iż w r. 1228 na podstawie przeżytej już ustawy o tron się ubiega. Henryk znał dobrze stosunki krakowskie, wiedział wybornie z doświadczenia, że tron krakowski od woli możnowładztwa zależy, zajął dlatego zrazu wyczekujące stanowisko i dopiero wezwany, za cenę księstwa krakowskiego podjął się niebezpiecznej opieki nad synem Leszka i obrony jego dziedzictwa sandomierskiego przed Konradem, jakiej Władysław dać nie mógł.

Kiedy to nastąpiło, dokładnie wobec braku źródeł nie da się skonstatować. Możemy wszakże na podstawie wskazówek,

---

(„Zbrodnia Gąsawska“ 337 i 344), a przecież Długosz, zdaniem jego, o stosunkach familijnych Mieszka Starego podaje całkiem bałamutne wiadomości. („Krytyczny rozbiór“, str. 185, pod r. 1168).

[1] Grünhagen, *Regesten,* n. 325, 328, 329, 336, 351, 353a, 364. Błędnem zatem jest zdanie Balzera (l. c. 52), że w ówczesnej tytulaturze książąt polskich nie było jeszcze zwyczaju przybierać tytułów odpowiednio do pretensyj jeszcze nie ziszczonych. — Cfr. także ciekawy dokument Konrada z r. 1238 z tytułem *dux Cracoviae et Masoviae. Script. rer. Polon.* XII, 374/5.

w źródłach zawartych, czas w przybliżeniu oznaczyć. Grzymisława zawezwała Henryka na pomoc pod grozą napadu ruskomazowieckiego. Objęcie więc opieki przez Henryka jest prawie współczesne z napadem Konrada i Romanowiczów na Wielkopolskę. Ponieważ zaś, jak się z Kroniki Wołyńskiej dowiadujemy, ruska drużyna nietylko Kalisz oblega, nietylko ubiega znienacka Starygród wielkopolski [1], lecz także i nadgraniczny gród szląski Milicz [2], zatem Henryk musiał już poprzednio w porozumieniu z Władysławem, jako rywal do opieki nad Władysławem, wystąpić, a tem samem ściągnął i na swoje dzierżawy najazd Konrada i jego sprzymierzeńców. *Terminus a quo* jest 1 sierpień, w którym to czasie Kazimierz Opolski jeszcze włościami krakowskiemi rozporządza. *Terminus ad quem* jest w każdym razie zima tegoż roku, skoro Daniel, uczestnik wyprawy na Kalisz, powróciwszy do swego grodu Ugrowska, zawezwany przez Haliczan przeciw Andrzejowi węgierskiemu, zdobył miasto r. 1228 [3], przy zamarzniętym Dnieprze [4]. Jednakże termin ten zbyt jest wysunięty, skoro Henryk, zajmując ziemię krakowską r. 1228, miał czas zbudować dwa a może i 3 grody, Przeginię [5], Skałę [6] i Międzybórz w ziemi sandomierskiej, skoro następnie odniósł dwa zwycięstwa nad Konradem pod Skałą i Międzyborzem [7].

---

[1] Dzisiaj wieś w W. Ks. Poznańskiem, pow. krotoszyński, 8 km. na połud. zach. od Krotoszyna.

[2] 24 km. na połud. zach. od Krotoszyna. W r. 1224 Henryk nadaje klasztorowi w Trzebnicy 60 donic miodu i 50 fur siana z dochodów książęcych w Miliczu. Grünhagen, *Reg.*, n. 278.

[3] Matijów l. c. 13. Droba l. c. 64.

[4] Kronika Wołyńska p. r. 6737, wydanie petersburskie, 506.

[5] Roczniki Kap. Krak. pod r. 1229. *M. P. H.* II, 803. Rocz. Krasińskich pod r. 1228, *M. P. H.* III, 132.

[6] Kronika Polska, *M. P. H.* III, 641. Cfr. Szkaradek l. c. 81/82.

[7] Wydawca Kroniki Polskiej szuka Międzyborza na Szląsku w powiecie sycowskim *(Polnisch Wartenberg)*. Ponieważ jednak kronikarz wspomina o wzgórzach i lasach, w których niedobitki Konrada szukają schronienia przed zwycięskiem wojskiem Henryka, nie może być mowy o miejscowości szląskiej, leżącej w równinie, tem więcej, że teren szląski nie byłby Szlązaków odstraszył od pogoni. Miejscowości tej trzeba nam szukać w Małopolsce i to dlatego, że bitwa pod Międzyborzem była ostatnią

Musiał więc Henryk daleko wcześniej, przynajmniej w sierpniu, przyjąć wezwanie Grzymisławy, co zdaje się potwierdzać dokument Henryka dla probostwa polśnickiego z dnia 30 sierpnia, w którym tenże *dux Slesie, Cracovie et Polonie* się tytułuje. Dokument ten wedle Grünhagena jest wprawdzie podejrzany [1], zawiera on zdaniem naszem autentyczne wiadomości i mógł tylko na podstawie autentycznego dokumentu być sporządzony, skąd niewątpliwie protokół cały przejęto zwyczajem ówczesnych interpolatorów niezmieniony [2]. W sierpniu zatem r. 1228 ofiarowano Henrykowi tron krakowski, w sierpniu też, lub w pierwszych dniach września miał miejsce napad Konrada na Kalisz i Milicz, którego dalszym ciągiem jest walka o Kraków, na terytoryum małopolskiem.

Naprędce wzniesionemi grodami od północy i północnego wschodu stara się Henryk zasłonić zagrożoną ze strony Mazowsza stolicę nowo nabytego księstwa. Konrad usiłuje najpierw od północy podstąpić pod Kraków, ponosi jednak klęskę pod Skałą w ziemi krakowskiej, a kiedy ponowił napad od strony północno-wschodniej, rozgromion jest do szczętu pod Międzyborzem i Wrocieryżem, w ziemi sandomierskiej [3]. Dwukrotne zwycięstwo w ostatnich miesiącach roku 1228 robi księcia szląskiego nietylko tytularnym, lecz rzeczywistym panem całej Małopolski, skoro czując się całkiem bezpieczny, odsyła Henryk

w kampanii r. 1228 i że po niej z Małopolski odsyła Henryk swe wojska cudzoziemskie pod wodzą syna swego Henryka do domu, tj. na Szląsk. Międzyborza, w kronice wspomnianego, trzeba nam szukać w ziemi sandomierskiej albo na północ od gór Świętokrzyskich, w pow. opoczyńskim, albo w nieistniejącej już dziś miejscowości około Pińczowa. Za tem ostatniem przemawia wersya przechowana u Długosza (*Hist. Pol.* t. II, 227), który opisując przebieg walki, powiada, „iż kusząc się o gród Międzybór, poniósł Konrad klęskę pod Wrocieryżem". Nazwy tej chyba Długosz nie wymyślił, a wiadomość jego musi polegać na zaginionem jakiemś źródle. Stąd mniemamy, iż w pobliżu Wrocieryża, posiadłości klasztoru miechowskiego, znajdował się ów Międzybórz Kroniki Polskiej. (Długosz, *Lib. benef.* I, 647. Nakielski, *Miechovia* 152).

[1] *Regesten*, n. 338.

[2] Ficker, *Beiträge zur Urkundenlehre*, § 10, str. 16/17.

[3] Kronika Polska, *M. P. H.* III, 641.

swe wojska ze synem do domu, skoro w pierwszym miesiącu następnego roku, nietylko Henryk wykonywa prawa książęce w Krakowie [1], ale i biskup Iwo bezpiecznie przebywa w Kielcach [2], w ziemi sandomierskiej, ten sam Iwo, który niebawem po ujęciu zdradzieckiem Henryka w Spytkowicach, „lekając się tyrańskwa Konradowego umknie z kraju“ i na wygnaniu pod włoskiem niebem swój żywot zakończy [3].

ZAKOŃCZENIE.

Streszczając nasze powyższe wywody, kreślimy następujący obraz wypadków r. 1228:

Po śmierci Leszka Białego możnowładztwo krakowskie, rozporządzające faktycznie tronem wielkoksiążęcym, uznaje opiekunem małoletniego Leszkowica i panem Krakowa nie Konrada Mazowieckiego, najwięcej do tego uprawnionego, lecz w interesie księżnej Grzymisławy i jej dzieci, mających ze strony najbliższego krewnego najwięcej powodów do obawy, dalszego ich krewnego, ks. Władysława Starego, wyznaczonego przez zamordowanego księcia na opiekuna.

Władysław, który z pomocą małopolskiego i szląskiego prawdopodobnie rycerstwa stoczył w początku r. 1228 zwycięską z Odoniczem walkę i sprawcę zbrodni gąsawskiej wziął do niewoli, przyjmuje na ziemi wielkopolskiej w Cieni około Kalisza przed marcem t. r. deputacyę możnowładztwa małopolskiego, i godząc się na przedłożone mu warunki, potwierdza je dwoma przywilejami, ogólnym dla całego możnowładztwa, specyalnym dla kościoła krakowskiego, Leszkowica zaś przyjmuje w opiekę, robiąc go zarazem w myśl traktatu spadkowego spadkobiercą dzielnicy wielkopolskiej. Ponieważ jednak sam wskutek walki ze stronnictwem Odonicza, wspieranem niewątpliwie przez Pomorzan, nie może opuścić zagrożonej Wielkopolski, zostawia rządy

[1] K. Tyn. n. 7. Cfr. Ulanowski, „O założeniu i uposażeniu“ etc. przyp. 12, i Balzer, l. c. 47.

[2] K. Mog. n. 9.

[3] Kal. bisk. krak. *M. P. H.* IV, 257.

Grzymisławie i mianuje zastępcą swym w Małopolsce sąsiada jej, a przyjaciela swego, Kazimierza Opolskiego, który w tym charakterze dobrami książęcemi w ziemi krakowskiej szafuje, obdarzając niemi potężny ród Gryfitów, nienawidzący Konrada.

Na wieść o tem przybywa Konrad z licznym pocztem duchownych i świeckich dostojników do Małopolski, gdzie w Skarzeszowie daremnie stara się Grzymisławę i Małopolan przeciągnąć na swą stronę. Nie mogąc sam sprostać przeciwnikom, udaje się do dawnych swych przyjaciół, książąt Romanowiczów, na Wołyń, prosząc ich o pokojową interwencyę, a w razie jej bezskuteczności o zbrojną pomoc. Z obietnicą pomocy ruskiej wraca Konrad do Małopolski, dążąc do Krakowa, by grozą ruskiej pomocy zastraszyć Małopolan i przywieść ich do uległości. Na granicy krakowskiej zabiegli mu drogę posłowie Mistrza krzyżackiego, z którym już w r. 1224 nawiązał stosunki celem zabezpieczenia swych dzierżaw od Prusaków za cenę ziemi chełmińskiej. W Bejscach, w ziemi sandomierskiej około Opatowca, 23 kwietnia 1228 r. wydaje Konrad posłom pierwszy nam znany akt darowizny ziemi chełmińskiej. Wieścią jednak o napadzie Prusaków na Mazowsze, przez tychże posłów przyniesioną, zmuszony jest Konrad do domu wracać, a pertraktacye z Małopolanami i Grzymisławą księciu włodzimierskiemu i swoim pełnomocnikom pozostawić.

Wieść o sojuszu Konrada z Romanowiczami sprowadziła dostojników wszystkich ziem Leszkowych do Krakowa, gdzie w pierwszych dniach maja wobec Grzymisławy i pełnomocników mazowieckich toczą się obrady nad kwestyą opieki. Niezwłocznie potem z krakowskimi i sandomierskimi panami udaje się Grzymisława do Skarzeszowa, gdzie około 11 maja odbywa się zjazd z księciem włodzimierskiem i pełnomocnikami Konrada, Boguszem mazowieckim i Bogusławem z Rawy. Sprawa nie dała się w pokojowy sposób załatwić. Interwencya jednak Romanowicza sprawiła tyle, iż większa część Leszkowych poddanych, zwłaszcza Sandomierzanie, Sieradzanie, Łęczycanie, gotowi przystać do nowego pana. Mimo to większa część Krakowian wraz z Grzymisławą wolała całość dziedzictwa Leszkowego na szwank na-

razić, niż poddać się Konradowi. Ponieważ ani Kazimierz Opolski, jakkolwiek krząta się około obwarownia grodu opolskiego, nie myśli dać pomocy, ani jej Władysław Stary, zajęty walką ze zbiegłym z niewoli Odoniczem, dać nie może, w sierpniu t. r. za radą Iwona i Gryfitów oddaje się Grzymisława z synem w opiekę Henrykowi Brodatemu, stojącemu dotąd całkiem na uboczu, by za cenę ziemi krakowskiej uratować resztę ziem Leszkowych z rąk Konrada. Tymczasem Konrad, zabezpieczywszy się od napadu Prusaków fundacyą zakonu Dobrzyńców dnia 4 lipca, łączy swe siły z ruskiemi w sandomierskiej ziemi, gdzie możnowładztwo, aczkolwiek niechętnie, przyłącza się do wyprawy na Władysława Starego i Henryka Brodatego. Ubieżono Starygród wielkopolski i Milicz, gród szląski, a gród kaliski zmuszono do złożenia okupu. Rusini z wielkim łupem i mnóstwem jeńców wracają do domu, a Konrad zajmuje Małopolskę, gdzie tylko Kraków się trzyma.

Tymczasem Henryk, przybywszy nie rychlej jak we wrześniu t. r. do ziemi krakowskiej, dla zabezpieczenia stolicy buduje naprędce kilka grodów, Przeginię, Skałę, a może i Międzybórz około Pińczowa. W oszańcowanym obozie pod Skałą odpiera Konrada, dążącego do Krakowa, a gdy Konrad, odparty od północy, usiłuje uderzyć na Kraków od wschodu, pod Międzyborzem czy Wrocieryżem koło Pińczowa zupełnego doznaje od Szlązaków pogromu. Tak więc z końcem roku 1228 Konrad musi opuścić Małopolskę, a Henryk, czując się tam zupełnie bezpiecznym, wojsko szląskie pod wodzą syna odsyła do domu, sam zaś zajmuje się urządzaniem nowo nabytej dzielnicy.

Dr. K. Krotoski.

PIERWSZA OFIARA MURAWIEWA.

Opowiadanie naocznego świadka.

— Pytacie, czy znałem Murawiewa?... I jak jeszcze! Przecież tyle razy musiałem spotykać się z nim na ulicach Wilna, i owszem tyle razy z innymi składałem mu życzenia w dni galowe.

Wtedy na jego sali recepcyjnej ustawiały się w wielki zygzak deputacye od wszystkich stanów: nasamprzód wojskowość, potem duchowieństwo, potem *dworjanie* czyli szlachta, następnie mieszczaństwo ze swą *gołową*, a wreszcie *krestianie* czyli chłopstwo.

Kiedy się Murawiew zjawiał zasiany orderami i otoczony całą czeredą jenerałów, przechodził od pierwszej deputacyi aż do ostatniej, przyjmował życzenia, a tu i ówdzie dorzucał jakie słowo czy to groźby, czy zachęty do „wiernopoddaństwa".

Był to tęgi, barczysty mężczyzna z jakiemś dzikiem i ponurem obliczem, które w całym swoim układzie przypominało mimowoli ogromnego buldoga. Głowę nosił pochyloną i oczy jakby wbite w ziemię; bał się niby ludziom w oczy patrzeć, a tymczasem strzelał wzrokiem zpodełba. Trzeba zaś mu to przyznać, że i wzrok i węch miał prawdziwie psi: od razu zwietrzył, gdzie było co do poszczucia, i zaraz poznał, kto się nadaje na jego narzędzie.

Na paradach wojskowych lub swych audyencyach wyglądał wśród swej świty jak jaki bożek indyjski, przed którym wszystko

drżało i wszystko się płaszczyło. I rzeczywiście był to straszliwy człowiek, który słusznie w dziejach nosi nazwę *wieszàtiela*.

Oto państwu przykład tego opowiem.

* * *

Już 2 lutego Ludwik Narbutt „poszedł w lasy“ — jak odtąd mawiano; atoli już na samym początku ciężki spotkał go zawód. Na umówionem stanowisku miało stanąć trzystu ochotników, a stanęło — siedmiu. Ale Narbutt nigdy nie tracił głowy ni odwagi, i ufny w dobrą sprawę a patryotyzm swoich Litwinów, w ośm strzelb rozpoczął walkę z Moskwą.

Co to był za niezrównany człowiek! Jakby stworzony na takiego partyzanta. Co chwila zjawiał się gdzieindziej. Tu napadał na śpiących Moskali, tam zabrał im trasport amunicyi lub żywności; to znów zjawia się w biały dzień w jakiej wiosce i ogłasza manifest powstańczy lub rekrutuje sobie ochotnika. Wszędzie był, tylko nie tam, gdzie go Moskale szukali, a tymczasem wozy za wozami wiozły do Wilna lub okolicznych miasteczek moskiewskich żołnierzy poległych lub rannych od kul Narbutta.

Co dziwnego zatem, że imię jego budziło wśród naszych entuzyazm, a wśród Moskali wściekłość!

Kto nie znał Narbutta, wyobrażał go sobie jako ogromnego i barczystego mężczyznę; a tymczasem ten „Ludwiś“ — jakeśmy go w szkołach nazywali — był to drobny i milutki blondynek, o niezmiernie pociągającem wejrzeniu i najsłodszy w obcowaniu z ludźmi. Ale w tem niepokaźnem ciele mieszkał duch przedsiębiorczy i nieustraszony. Zgromadził był jakich trzystu koło siebie, kiedy przez zdradę chłopa osaczyło go wojsko rosyjskie. Bił się do upadłego i zginął wraz z dwunastoma innymi, reszta potrafiła uciec. Boże drogi! Co za straszny żal nas na tę wieść ogarnął! Wszyscy uznawali, że stracili w nim najtęższego wodza... Ja dowiedziałem się o tem jeszcze tego samego dnia, a — pamiętam jak dzisiaj — było to trzynastego kwietnia, i tego samego dnia co Narbutt zginął, umarł także ksiądz arcybiskup Żyliński, i piorun strzelił w wileński kościół św. Rafała.

Otóż na kilkanaście dni przedtem wpada oddział powstańczy

jednej niedzieli do wioski Żołudek w powiecie lidzkim. Proboszcza nie było właśnie w tej chwili, tylko wikary, ksiądz Iszoro, syn obywatelski z Wileńskiego. Jemu tedy kazali przeczytać ludowi z ambony manifest powstańczy. Skoro przeczytał, powiadają mu po nabożeństwie:

— Teraz księże uciekaj z nami w lasy, bo tu już nie masz więcej co robić!

Wikary się namyślał, co począć.

— Przecież ksiądz — mówią jemu — nie będziesz tutaj czekał, aż przyjdą Moskale i zakują cię w kajdany. Uciekaj póki jeszcze masz czas, a Moskale niech potem szukają wiatru w polu.

— A parafia?

— Wszak ks. proboszcz dzisiaj wraca, a nabożeństwo już odprawione.

Wikary się rozmyślił i poszedł kapelanić powstańcom.

Tymczasem wieść gruchnęła zaraz o tem co zaszło. Ksiądz proboszcz wrócił, ale na to tylko, by w braku wikarego być natychmiast porwanym przez Moskali i osadzonym w więzieniu.

Skoro się o tem dowiedział ks. Iszoro, powiada do Narbutta:

— Muszę wracać!

— A to czemu?

— Niewinny proboszcz cierpi za mnie, a ja na to nigdy się nie zgodzę.

— Ha! — rzecze Narbutt — w tym wypadku, choć mi księdza strasznie żal, ale nie mogę go zatrzymywać, bo przyznam się, że jabym tak samo uczynił.

Jedzie tedy ksiądz Iszoro do Wilna i oddaje się w ręce władzy, opowiadając jak się cała rzecz miała i żądając, by wypuszczono niewinnego proboszcza.

— A bardzo dobrze, że ksiądz przybywa — powiadają mu Moskale z ironią — bo nam tu właśnie księdza było potrzeba.

Wypuszczają proboszcza na wolność, a księdza Iszorę biorą do śledztwa.

Był wtedy gubernatorem wileńskim jeszcze Nazimow, człowiek uczciwy, ale chcący przecie spełnić swój obowiązek. Po przeprowadzeniu śledztwa i po wszystkich formalnościach, pod-

pisał wyrok, skazujący księdza Iszorę na trzy lata wygnania do Symbirska.

Tymczasem co się dzieje? Zanim wykonano wyrok, zjeżdża Murawiew w miejsce Nazimowa, a z nim cała czereda służalców przezeń wytresowanych. Każda dykasterya miała mieć odtąd swego szpiega z pośród tego czcigodnego grona, którego zadaniem było wślizgiwać się i tropić i chwytać. Byli to już z samych nazwisk sławni, a niektórzy po dziś dzień żyjący, jak: Czartow, Czertkow, Durnowo, Chitrowo, Pałtow i Buczyłow.

Murawiew dowiaduje się o wyroku na księdza Iszorę, kasuje go i podpisuje wyrok śmierci.

* * *

Było to jakoś wieczorem dziewiątego maja. Byłem przypadkiem u księdza Niemekszy, który wtedy nie był jeszcze tym *padlecem,* jakim się stał później — a był dziekanem miasta Wilna — i rozmawiamy w najlepsze, kiedy wchodzi żandarm i wręcza księdzu Niemekszy papier jakiś od gubernatora. Dziekan czyta i widzę, jak w oczach moich blednie coraz bardziej; a wreszcie powiada do mnie tylko tyle:

— Wyrok śmierci.

— Na kogóż? — spytałem.

— Sekret.

Ciarki po mnie przeszły. Już i ja i ksiądz Niemeksza byliśmy jak powarzeni; rozmowa nam się nie chciała kleić; więc pożegnałem się i z różnemi domysłami w głowie poszedłem do domu. Ani rusz się domyśleć.

Trzeba zaś państwu wiedzieć, że rodzice księdza Iszory, dowiedziawszy się o tem, iż syn skazany na trzyletnie wygnanie, przyjechali byli, by się z nim pożegnać; gdyż spodziewano się lada dzień tego smutnego wyjazdu.

* * *

Nazajutrz rano około piątej godziny, idzie ksiądz Niemeksza do podominikańskiego gmachu, gdzie było więzienie, i za

okazaniem wczorajszego dokumentu od jenerał-gubernatora, szyldwach wpuszcza go do kaźni księdza Iszory.

Pośrodku celi więziennej stał na środku samowar, obok na pryczy siedział zgarbiony i w ciężkim smutku pogrążony ksiądz proboszcz Syrwid, staruszek siedmdziesięcioletni, skazany również na trzy lata do Symbirska; a z drugiej pryczy zrywa się młodziutki ksiądz Iszoro i podbiega ku wchodzącemu księdzu Niemekszy.

Że był przylepka i bardzo serdeczny, rzuca się na szyję księdza Niemekszy i mówi pieszcząc się nieomal:

— Księże prałacie! pociesz księdza proboszcza Syrwida, bo strasznie melancholizuje. Co ja tu nie wyprawiam, by go rozweselić, i nie daje się pocieszyć.

Dziekan się żachnął mimowoli, bo go na to wszystko zdjęła boleść okrutna, i nadrabiając miną rzecze:

— Mój kochany! zostaw ty księdza Syrwida, a myśl raczej o sobie.

— He! — zawołał figlarnie Iszoro — wielka tam rzecz wygnanie! Gdyby to jeszcze na jakich lat dwadzieścia do *katorgi*, to rozumiem: ale teraz? Nic sobie z tego nie robię. Żal mi tylko, że starzy rodzice tak się tem martwią, a zwłaszcza biedne matczysko moje.

— Ej, ej, nie żartuj, — rzecze dziekan — tylko na śmierć się gotuj.

— Jak to ksiądz prałat rozumie? — pyta Iszoro poważniejąc i badawczo patrząc w twarz dziekana.

Ksiądz Niemeksza wziął go za obie ręce i zdobywając się na tyle ciepła, ile mógł wydobyć z gwałtownie tłukącego się serca, wyszeptał pobladłemi i drżącemi usty:

— Nowy gubernator skasował dawny wyrok Nazimowa, jesteś na śmierć skazany.

Ksiądz Iszoro w pierwszej chwili drgnął, jakby obok niego piorun uderzył... króciuchno pomyślał, a potem spoglądnąwszy w niebo, dorzucił:

— Panie Jezu! bądź wola twoja!... A jak mam ginąć? Powieszenie czy rozstrzelanie?

— Nie wiem nic, tylko to wiem, że mam cię zaraz wyspowiadać.

— Więc to dzisiaj mam umierać?

— Dzisiaj, i to wcale niezadługo.

— To wszystko dobrze, ale dajcież mi chwilkę czasu na przygotowanie się. To przecież nie żarty.

— Niema ani chwili do stracenia, zaraz po ciebie przychodzą.

— A więc niechże i tak będzie — odparł ks. Iszoro. — W imię boże!

Podczas kiedy sędziwy i co dopiero zmartwiały ks. Syrwid wyprostował się i szeroko otwarł oczy, jak człowiek co z twardego snu zbudzony przypatruje się czemuś nieznanemu i sam sobie nie wierzy, czy to we śnie, czy na jawie; — ksiądz dziekan usiadł na pryczy księdza Iszory, a tenże ukląkł u jego kolan z najgłębszą pokorą i skupieniem. Rozpoczęła się rzewna a uroczysta — ostatnia spowiedź.

I ksiądz Syrwid nie mógł znieść widoku tej sceny. Dźwignął się, padł na kolana i wsparłszy się łokciami o pryczę, ukrył w dłoniach i twarz i te gorące łzy, co jedna po drugiej staczały się po niej wielkiemi perłami.

Tymczasem na korytarzach więziennych rozległ się odgłos miarowych a ciężkich kroków wmaszerowującego wojska, potem jedna i druga komenda dowódcy, łoskot spuszczonych do ziemi karabinów i — uchyliły się drzwi kaźni. W drzwiach stanął ogromny żandarm.

— *Wasze wysokoprepo...* — począł mówić, a razem salutując, rękę podnosił do czoła, kiedy ujrzał tę dziwną spowiedź. Nie dokończył słowa, tylko zmarszczywszy krzaczyste brwi, cofnął się i drzwi cicho przymknął za sobą.

Po kilku minutach znowu ta sama głowa zajrzała do kaźni, jakby w niemy ten sposób naglić chciała do pośpiechu.

Właśnie na wieży kościelnej zwolna i przeciągle wybijał zegar szóstą godzinę, kiedy nad głęboko pochyloną głową klęczącego kapłana zakreślił prałat znak krzyża świętego, wraz ze słowami sakramentalnego rozgrzeszenia.

Gorący pocałunek spoczął wnet na tej samej ręce, co krzyż ów święty zakreślała; potem odmówiono wspólnie króciuchną modlitwę, jako sakramentalną pokutę, a potem — obaj kapłani rzucili się sobie wzajemnie w objęcia, po kilkakroć ściskając się i całując.

— Będziesz w niebie szczęśliwy. Pamiętaj tam na mnie — łkając wyszlochał prałat.

— Będę... będę... będę pamiętał — powtarzał serdecznie ściskając ks. Iszoro. — Ale ksiądz prałat odprowadzi mnie na miejsce egzekucyi?

— Odprowadzę; tylko teraz zostawiam cię na chwilę sam na sam z Bogiem. Z nim teraz rozmawiaj, a kiedy trzeba będzie, to i ja się zjawię.

Już w progu był prałat, kiedy go jeszcze chwycił za rękę ks. Iszoro.

— Ale się przecież zobaczę i pożegnam z rodzicami?

— Nie wiem, czy pozwolą.

— No, no, księże prałacie! Zakręćcie się też tam koło tego.

A figlarnie znów patrząc w oczy ks. Niemekszy, dodał:

— Powiedzcież mi, rozstrzelanie czy powieszenie?

Bardzo mu o to chodziło, bo był zawołanym myśliwym.

Ze słowami prałata: „Nie wiem, ale zdaj się na wolę bożą", przymknęły się drzwi kaźni, a fatalnym wypadkiem tak się zdarzyło, że spieszący do gubernatora ksiądz Niemeksza, w samej bramie gmachu spotkał rodziców ks. Iszory. Staruszkowie nieśli ukochanemu synowi obok łez, żalów i uścisków, także i pieniądze i zapasy na daleką drogę do Symbirska.

— Księże dobrodzieju — pyta pani Iszoro nader uprzejmie — czy też nie wie ksiądz dobrodziej, kiedy nasz syn wyjeżdża?

— Dzisiaj — odparł spiesznie ksiądz Niemeksza, hamując jak mógł wzruszenie i starając się odejść.

— Dzisiaj?! — wyjęknęli oboje staruszkowie, a napół idąc z księdzem Niemekszą, napół go zatrzymując, dodał pan Iszoro:

— Proszę mi też wybaczyć, że ośmielam się zapytać, kogo to dzisiaj mają tracić, bo na Łukiszkach stawiają jakiś pal czy szubienicę?

— Kto to wie, moi państwo łaskawi... Moje uszanowanie — rzekł prędko, skłonił się i co tchu odchodził, by uniknąć bolesnego badania.

W tej samej chwili z korytarzów więziennych rozległ się odgłos bębnów, a państwo Iszoro drgnęli jakby w złowrogiem jakiemś przeczuciu, bo znali ten straszny „marsz śmiertelny", który zawsze towarzyszył skazańcom.

I ksiądz Niemeksza oprzytomniał. Przypomina sobie swój ciężki obowiązek, a tu oni gotowi odejść bez niego. Zawraca co prędzej kroki napowrót ku więzieniu, a wtem — z bramy więziennej wśród huku bębnów i żałobnej muzyki trąbek wojskowych wysuwają się pierwsze szeregi moskiewskich żołdaków z ostro nabitą bronią i błyszczącemi bagnetami.

Państwo Iszorowie usunęli się na bok, a jeżeli ciekawi byli dowiedzieć się, kogo ten smutny los spotyka, to razem pewien niepokój i szczere współczucie malowało się na ich łagodnych obliczach.

W jednostajnem tempie szereg wyłania się po szeregu. A kiedyż tam — myślą sobie — koniec temu wojsku i kiedy wreszcie ujrzą skazańca?

Pomiędzy tłumami żołdactwa mignęło coś czarnego... Patrzą uważniej... i nagle rozległ się rozdzierający krzyk kobiecy:

— Jezus, Marya! Dziecko moje!

To biedna pani Iszoro padła bez zmysłów na widok syna prowadzonego na śmierć.

Mąż rzuca się, by ratować żonę, a tu mu się serce i dusza wydziera za dzieckiem, którego już nie ma na ziemi zobaczyć.

— Panie poruczniku! — woła na obok z dobytym pałaszem maszerującego oficera, blady jak ściana p. Iszoro, klęcząc na ziemi i żonę omdlałą trzymając na rękach — panie poruczniku!

— *Nie lzia* — mruknął oficer, obejrzawszy się na niego i maszerując dalej; a zwarte szeregi szynielów nie dały synowi spostrzedz rodziców, bo przeraźliwy huk bębnów, wrzask trąb i łoskot miarowego marszu wojska zgłuszył jęk mdlejącej matki.

I lepiej może... bo straszna boleść takiego pożegnania byłaby może zamąciła spokój tej ślicznej duszy, która pod wpły-

wem miłości Boga i heroicznej zgody z jego najświętszą wolą, wyglądała teraz jak czyste i żadnym powiewem wiatru niezmarszczone zwierciadło jeziora, w którem się tylko niebo przeglądało.

* * *

Pochód zmierzał ku Łukiszkom, a z każdą chwilą rosły tłumy ciekawych. Wszystko biegło, tłoczyło się i pytało, kogo to prowadzą. I ja wybiegłem.

Zrazu nie widziałem nic, jak tylko tłumy i gdzieniegdzie ponad ich głowami świecące bagnety; ale że wszystko to szło naprzeciw mnie, stanąłem z boku na schodach jednego domu i patrzę.

Dojrzałem go... Wśród ściśniętych szeregów wojska szedł kochany mój Iszoro obok księdza Niemekszy. Niktby nie zgadł, kto kogo na śmierć odprowadza. Ks. Niemeksza szedł blady jak trup, a ks. Iszoro — tak jak on to zawsze był wesół a piękny i wysmukły blondyn — szedł tak swobodnie i wesoło, jakby na przechadzkę... Doprawdy, nie można było oczu oderwać od niego, i widać było, jak wszyscy byli zachwyceni tym widokiem. To też gdzieś spojrzał, widziałeś łzy w oczach i słyszałeś jęki między bliżej stojącymi.

Spostrzegł mnie i wesoło dwakroć mi się czapką ukłonił, a dalej — nic już widzieć nie mogłem, bo choć raz po raz ocierałem oczy, wciąż mi je łzy zapełniały. Podążyłem na Łukiszki...

Pośrodku placu stał straszny ów słup... Bogu dzięki! — pomyślałem — a więc przecie nie ta haniebna szubienica...

Wkoło wielkim kwadratem stanęły wyciągnięte szeregi wojska, za niemi tłumy ludu...

Kiedy ksiądz Iszoro stanął obok słupa, odczytano mu pośród grobowej ciszy wyrok śmierci, skazujący go na rozstrzelanie.

— Bogu dzięki! — rzekł śmiało — a wam przebaczam z całego serca.

Padł jeszcze raz na kolana, pomodlił się jeszcze przez jakie trzy lub cztery „Zdrowaś Marya“, a ucałowawszy krucyfiks z rąk księdza Niemekszy i wziąwszy od niego błogosławieństwo, prze-

żegnał się, potem z uśmiechem lud cały ręką pożegnał, a potem zawołał głośno na obok stojących oprawców:

— W imię boże! Jestem gotów!...

Natychmiast jęto wdziewać nań śmiertelną koszulę. Miała ona w miejscu kołnierza kaptur głęboko na twarz spadający z dodatkiem jakby jakiejś klapy, co zamiast przewiązki miała zasłaniać oczy; rękawy zaś tej koszuli miały po kilka metrów długości, bo służyły do tego, by niemi ofiarę przywiązać do pala.

Oprawcy, czy głowy potracili, czy pierwszy raz mieli z tem do czynienia, wsunęli mu całe te olbrzymie rękawy na ręce, i nie wiedzieli, co dalej robić. Wówczas sam ksiądz Iszoro ściągnął sobie rękawy, włożył potem ręce w zrobione na to około łokcia otwory i kazał się rękawami do pala przywiązać.

Straszny to był moment, kiedy mu ów fatalny kaptur spuszczano na oczy! Dech się w piersiach zapierał...

W tej chwili wystąpił oddział piechoty i ustawiwszy się naprzeciw księdza Iszory, gotował się do strzału.

I ja i wielu innych ze mną, nie chcąc patrzeć na tę przerażającą scenę, uklękliśmy i w rzewnej modlitwie polecaliśmy Bogu Zbawicielowi tę wybraną duszę, co teraz stanąć miała przed jego sądem.

Wtem rozległa się donośna komenda i huk dziesięciu karabinów obwieścił nam, że w tej chwili niezawodnie bramy niebios rozwarły się dla bożego sługi...

— Pierwsza ofiara — ktoś obok mnie wyjęknął.

Obejrzałem się. To stary jakiś Litwin. Ocierał łzy spadające mu jak groch na sumiasty wąs siwy i raz jeszcze obzierał się na okropny pal, od którego odwiązywano właśnie zabitego męczennika za ojczystą sprawę.

Ją się nie mogłem temu przypatrywać i co tchu odwróciłem oczy; za to podniosłem je w niebo, jakbym się spodziewał, że tam zobaczę mojego Iszorę, ale już nie podziurawionego kulami Moskali, lecz w chwale niebios i z palmą zwycięstwa...

Ks. Władysław Czencz.

NOWE ODKRYCIA W KATAKUMBIE ŚW. PRYSCYLLI.

(Dokończenie).

Na tem samem pierwszem piętrze, na którem leży krypta Madonny, odkrył de Rossi niespodzianie w r. 1888 inne stare hipogeum, które w początkach było szerokim kurytarzem, kształtu greckiej litery Γ, najzupełniej odosobnione od reszty pierwotnych krypt i galeryj cmentarza[1]. W ścianach nie masz śladu pojedyńczych grobów, jakie zwykle spotykamy w katakumbach, ale cała galerya była najwidoczniej przeznaczona na pomieszczenie wielkich sarkofagów, ustawionych w obszernych niszach po obu bokach. Dziś cała krypta przedstawia obraz jednej wielkiej ruiny. Sarkofagi leżą potłuczone w drobne kawałki, ze ścian wydrapano mozaikę, obrazy zniszczono. Chyba zwierzęta to były z ludzką twarzą, co tego zniszczenia dokonały, a nie ludzie. Z galeryi otworzono jeszcze w czasach prześladowania komunikacyę z obszerną salą, długości koło 8 m. a szeroką 4 m., służącą pierwotnie za zbiornik wody *(piscina limaria)*, dla willi, która w I. wieku stała nad cmentarzem. W sklepieniu sali znajduje się *lucernarium*, czyli duży otwór, którym dochodziło do podziemia światło i powietrze. I tutaj były ściany pierwotnie pokryte marmurem, a sklepienie wyłożone mozaiką. W głębi krypty naprzeciw wejścia znajdował się grób jakiegoś męczen-

[1] Plan całego hipogeum dał de Rossi w *Bullet. di arch. crist.* r. 1888—1889, tabl. I—II.

nika, który równocześnie służył za ołtarz, a nad nim wznosił się baldachim *(epistylium)* na czterech kanelowanych kolumnach z marmuru numidyjskiego *(giallo antico)*. Z kolumn i balas marmurowych, które niegdyś okalały ołtarz, znalazły się jeszcze ułamki; groby są wszystkie próżne. Jedyną ozdobą krypty są dziś fragmenta sarkofagów, ułożone w dużych stosach wzdłuż obu ścian bocznych.

Czyje to kiedyś było hipogeum? kto spoczywał w tych dużych sarkofagach i w owym grobie ołtarzowym? — pytał niecierpliwie sam siebie de Rossi. Wszystko przemawiało za tem, że to jedna z najstarszych arteryj cmentarza — co więcej, jedno z najbardziej czczonych sanktuaryów wieku IV. i następnych. Dowodem tego najprzód ta okoliczność, iż je kilkakrotnie dekorowano bardzo bogato; a potem grafity pobożnych pielgrzymów, znajdujące się na ścianach krypt i galeryj sąsiednich, a wzywające pomocy spoczywających tu Świętych.

Gorączkowo przeglądał de Rossi każdy odłam marmuru; a praca jego nie była daremna, bo już w kwietniu r. 1888 mógł na kongresie naukowym w Paryżu podzielić się z uczonymi wiadomością, iż udało mu się dokonać odkrycia, które ważnością przewyższa wszystkie inne z lat ostatnich, rozświecając, podobnie jak odnalezienie grobowca Flawiuszów, dzieje jednego z najznakomitszych i najszlachetniejszych rzymskich rodów z epoki cesarstwa.

Z Juwenala[1] i Dyona[2] wiedzieliśmy, że w r. 91 po Chr. cesarz Domicyan zmusił w amfiteatrze albańskim do walki ze lwem czy niedźwiedziem senatora i konsula Maniusza Acyliusza Glabryona. Konsul wyszedł z walki zwycięsko; nie rozbroił jednak gniewu cezara, który go wnet zesłał na wygnanie[3], a około roku 95 — mimo że ofiara po tych katastrofach zdawała się okazywać pewien stan ogłupienia i obojętności na sprawy publiczne — skazał na śmierć, pod zarzutem zdrady stanu *(molitor novarum*

---

[1] Juven., *Satyr.*, IV, w. 94 i nast.
[2] Dion, ΡΩΜΑΙΚΗ ΙΣΤΟΡΙΑ, *Domit.* 67, 14.
[3] Sueton., *Domit.* c. 10.

rerum), i odstępstwa od bogów ojczystych dla zwyczajów żydowskich [1]. Na podstawie tych dość ogólnikowych zarzutów, skombinowanych jednak z zapiskami Dyona Kassyusza i Swetoniusza, w których obaj ci pisarze motywują zgubę i śmierć męczeńską kilku członków z cesarskiej rodziny Flawiuszów, Baroniusz, Ruinart i kilku innych starszych i nowszych pisarzy nie wahali się uznać w Glabryonie chrześcijanina. Większość jednak historyków za Tillemontem odrzuciła ich zdanie, a to głównie dlatego, że stare martyrologia, kalendarze kościelne i zapiski pielgrzymów nic o tem męczeństwie nie wiedzą, ani nawet imienia Glabryona nie wspominają. Tymczasem kamienie grobowe przemówiły i rozstrzygnęły raz na zawsze tę kwestyę sporną. Kilka kroków od opisanej powyżej sali z ołtarzem grobowym, leżał fragment marmurowej nakrywy od sarkofagu, z napisem w pięknych literach:

. . . . ACILIO GLABRIONI
FILIO
. . . . . .

W pierwszej linii epitafu brak tylko jednej litery, mianowicie *praenomen* M' (Manio); w trzeciej linii stało wedle Rossi'ego: *Manii Acilii Glabrionis,* tak że cały napis brzmiał: *M' Acilio Glabrioni Filio M' Acilius Glabrio Pater* — Maniuszowi Acyliuszowi Glabryonowi synowi (położył napis) Maniusz Acyliusz Glabryo.

Drugi napis, rzeźbiony w formie nieco naśladującej kursywę, na grubym odłamie marmuru, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tworzył front sarkofagu, opiewa:

M'. ACILIUS V . . . .
C. V.
et PRISCILLA. C . . .
. . . . . .

Manius Acilius Verus clarissimus vir et Acilia Priscilla clarissima puella (albo *femina)*: Maniusz Acyliusz Werus senator i Acylia Pryscylla niewiasta rodu senatorskiego.

[1] Dyon Kassyusz l. c.

Uzupełnienia te bynajmniej nie są dowolne, lecz zaczerpnięte z rejestru konsulów, a więc jakby z drzewa genealogicznego Glabryonów [1]. Przy pomocy tegoż katalogu możemy odnaleść rodziców tych dwojga zmarłych. Skrócenia C. V. i C. F. (albo P.), opuszczone na pierwszym nagrobku, dowodzą, że tenże jest starszy od napisu Acyliusza Werusa i Pryscylli, ponieważ zwyczaj dodawania tych kwalifikacyj na epitafach powstał dopiero w II. wieku, a ustalił się w początkach III. wieku. Również charakter pisma na pierwszym pomniku jest starszy. Maniusz Acyliusz Glabryo, konsul z r. 186, pojął za żonę Arię Plaryę Werę Pryscyllę; otóż z tego małżeństwa pochodzą dzieci: M. Acyliusz Werus i Pryscylla, wymienieni na naszym nagrobku. Imiona *(cognomina) Verus* i *Priscilla,* otrzymali po matce [2]. Ale jeszcze przed rokiem 186 spotykamy *cognomen* Pryscylli na monumentach rodziny Acyliuszów. I tak na kamieniu z miasteczka Marino pod Rzymem, które niegdyś należało do Maniusza Acyliusza Glabryona, konsula z roku 152, wspomniana jest dziewczynka .... *Cilla Aciliana,* tj. *Priscilla Aciliana.* Wspominam dlatego o tym napisie, choć nie został znaleziony w katakumbach, ponieważ objaśnia nam łączność rodziny Acyliuszów z imieniem fundatorki cmentarza. Inny kamień, znaleziony w Tivoli, wykazał dalej, że Maniusz Acyliusz Glabryo, konsul z r. 152, używał także *gentilicium Cornelius.* Była to gałęź Acyliuszów, która zapewne po matce przejęła nazwę *Cornelii Prisci* i kwitła w początkach II. w. Mielibyśmy tedy jeden dowód, że Pryscylla, matka senatora Pudensa, od której cmentarz cały otrzymał swą nazwę, pochodziła z rodziny Acyliuszów Glabryonów.

A w jakim stosunku zostają do siebie osoby wymienione na przytoczonych obu kamieniach pryscyllińskich? Drugi napis jest z drugiej połowy II. wieku, pierwszy znacznie jest star-

---

[1] Zob. tablicę genealogiczną Glabryonów w Rossi'ego *Bullett. di arch. crist.* 1888—1889, str. 39.

[2] W drugiej połowie II. wieku spotykamy konsula *suffectum* z roku niewiadomego, który ma trzy imiona: M. Acyliusz Pryskus od własnej rodziny, a dwa: Egrilius Plarianus od A. Egriliusza Plariana, który go adoptował.

szy. Bardzo tedy jest prawdopodobnem, że Maniusz Acyliusz Glabryo, wspomniany na starszym sarkofagu, był synem Acyliusza Rufusa konsula z r. 105/106, a wnukiem męczennika Glabryona konsula z r. 91.

Oprócz dwóch wspomnianych napisów znalazł Rossi w temże hipogeum inne fragmenta. Tak czytamy na kawałku marmuru pierwsze sylaby imienia:

ΑΚΕΙΛιος albo ΑΚΕΙΛια

Dalej napotkał grecki napis dziecka Attalosa, które tu pochowali rodzice Acyliusz Kwintus i Acylia, wyzwoleńcy, jak się zdaje, albo potomkowie wyzwoleńców rodziny Glabryonów:

ΑΚΕΙΛΙΟC ΚΟΙΝτος
ΚΑΚΕΙΛΙΑ Μ . . . .
ΜΝΗΜΗC Ενεκα
ΑΤΤΑΛΩ ΤΕκνφ ὥ
ΔΕ ΑΝΕΘΗκαν
ΕΝΙΑΥΤΟΥ Ι

Ważniejszy jeszcze jest napis, który zamykał grób w galeryi, przylegającej bezpośrednio do wielkiej krypty, gdzie mieścił się grób baldachimowy. Napis ten usuwa wszelką wątpliwość, że znajdujemy się w grobowcu chrześcijańskich Glabryonów. Opiewa on:

αΚΕΙΛΙΟC ΡΟΥΦΕΙΝΟC
ζΗCΗC ΕΝ ΘΕΩ

Acyliuszu Rufinusie, żyj w Bogu.

Cognomen: Rufinus od *Rufus,* znane jest w rodzinie Acyliuszów; Acyliusz Rufus był konsulem w r. 106.

Na dwóch kawałkach nakrywy sarkofagowej znalazł Rossi napis, którego litery drobne i mało kaligraficzne przypominają wzory wieku III.:

ΚΛ
ΑΚΕΙΛΙΟΥ
ΟΥΑΛΕΡΙου
. . . . . .
. . . . ΝΙCΚΟΥ

Trzy imiona zmarłego są najlepszym dowodem, iż był patrycyuszem. Jest to zapewne syn Klaudyusza Acyliusza Kleobulesa, konsula z r. 210, którego adoptował Tyberyusz Klaudyusz Kleoboles. W ostatnim wierszu należy najprawdopodobniej uzupełnić: νεανίσκου, w przedostatnim: λαμπροτάτου — *clarissimi*, tak, że cały napis opiewał: „(Grób) Klaudyusza Acyliusza Waleryusza, młodzieńca senatorskiego rodu".

Dwa następne napisy, znalezione w pobliżu krypty Glabryonów, należały do klientów albo wyzwoleńców familii Acyliuszów [1]:

ACILius · CELIDOniUS
aCIliae? theODOTae coiuGI · FEC

Acyliusz Celidoniusz położył nagrobek żonie Acylii (?) Teodocie.

Na drugim fragmencie czytamy:

ACILIO A
MA

Należy nam jeszcze zwrócić uwagę na jedną kryptę, należącą także do hipogeum Glabryonów, w której jeszcze pod koniec zeszłego stulecia znajdował się grób w kształcie arkosolium, którego łuk i luneta były ozdobione mozaikami. W lunecie była mianowicie dość dobrze zachowana duża figura matrony, a obok niej cztery figury mniejsze, dwie po każdej stronie [2]. Po r. 1780 zniszczyli je fosorzy i idyotyczni poszukiwacze starożytności, tak że teraz można zaledwie sprawdzić kontury osób na ścianie, z której wydrapano kamyczki. Kogo przedstawiała ta mozaika? a przedewszystkiem, co zacz była ta matrona zajmująca środek obrazu? W poblizkiej galeryi, stanowiącej jakby przedsionek drugiej kaplicy leżącej także w hipogeum Glabryonów, jest na

[1] Zob. *Bullett. di arch. crist.* r. 1892, str. 100.
[2] W r. 1780 odrysował je Séroux d'Agincourt.

ścianie dłuższy grafit [1], a w nim czytamy wyraźnie słowa: *domnae Priscillae* [2]. Trzy inne wiersze trudne są do odcyfrowania. De Rossi uzupełnia dwa pierwsze w ten sposób: *cito cuncti suscipiamus vota precibus domnae Priscillae* — albo: *cito cuncti (pro quibus oramus) suscipiantur votis (et precibus) domnae Priscillae*, tj.: „Niech wszyscy, za których się modlimy, jak najprędzej będą domieszczeni do chwały niebieskiej za przyczyną świętej Pryscylli".

Nad tym grafitem Pryscylli jest inny, wzywający przyczyny świętego ślepego Krescencyona. A że aklamacye i modlitwy zanoszone w grafitach do Świętych niechybnym są w katakumbach dowodem, iż w pobliżu znajdować się muszą ich groby, odwiedzane niegdyś przez pobożnych, więc de Rossi konkluduje, że w arkosolium, gdzie była mozaika z matroną, mieścił się najprawdopodobniej grób Pryscylli, fundatorki cmentarza, tudzież że obraz przedstawiał Pryscyllę z jej dziećmi, i że w sąsiedniej kaplicy — którą *Liber Pontificalis (in Marcellino)* nazywa kryptą jasną *(cubiculum clarum)* — złożone były święte szczątki męczennika Krescencyona.

Dalej, na ścianie schodów, łączących górną bazylikę św. Sylwestra z opisanemi kryptami, obok różnych znaków i imion czcicieli katakumb z IV. wieku i czasów następnych, czytamy grafit jedyny dotychczas w swoim rodzaju, wypisany tuż obok dużego arkosolu:

In Pace... I idus febr. conss. Gratiani III et Equiti Florentinus, Fortunatus, et Felix ad calice benimus (ad calicem venimus) [3].

„Odpoczywaj w pokoju! Pierwszego idów lutego za konsulatu Gracyana III. i Ekwicyusza, przyszliśmy Florentyn, Fortunat i Feliks na kielich".

Co znaczą te słowa? Niektórzy widzą w nich dowód, że

[1] Zob. *Bullett.* 1888—1889, str. 112.

[2] Tytuł *domnus* i *domna* mają w epigrafice chrześcijańskiej w w. IV i w pierwszej połowie w. V. męczennicy i święci wyznawcy.

[3] Zob. *Bullett. di arch. crist.* r. 1888—1889, tabl. VI—VII i *Bull.* r. 1890, str. 72 i nast.

jeszcze w IV. wieku sprawowano najświętszą Ofiarę u grobów męczenników. Inne, lepiej uzasadnione tłumaczenie daje de Rossi. Wedle niego jest tu aluzya do zwyczaju, praktykowanego w IV. i V. wieku, urządzania uczt dla rodziny i biednych u grobów swoich zmarłych. Zwyczaj ten, przejęty od pogan, wyrodził się wnet w nadużycia i pijatyki, i dlatego zwalczali go biskupi wszelkiemi siłami. Z oburzeniem woła np. św. Augustyn w jednem ze swoich kazań: „Teraz pijacy kielichami prześladują męczenników, których dawniej obrzucały tłumy rozszalałe kamieniami". Otóż grafit z r. 375 opowiada nam właśnie, iż Florentyn, Fortunat i Feliks, po wychyleniu kielicha w historycznych kryptach — nazwanych tu *limina Sanctorum*, przybytkami męczenników — gdzie spoczywali, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Pryscylla i Krescencyon i papież Marcelinus, udali się potem na grób zmarłego przyjaciela, aby uczcić jego pamięć przez spełnienie takiej samej libacyi.

Poznaliśmy tedy pokrótce najważniejsze pomniki starego hypogeum Glabryonów. Ziemia, w której leży cmentarz Pryscylli, była własnością i rezydencyą letnią tejże rodziny, która najpierw eksploatowała znajdujące się pod winnicą pokłady puzzolany, a potem, po przyjęciu chrześcijaństwa, obszerną arenaryę, przez rozmaite konstrukcye przemieniła w grobowiec dla siebie i spokrewnionych sobie Pudensów, jakoteż biednych różnego rodzaju. Ważnym dowodem łączności, zachodzącej między Pudensami a Acyliuszami Korneliuszami Pryskami, jest także bronzowy dyplom honorowy, znaleziony w roku 1775[1] w ruinach starorzymskiego domu, leżącego na Awentynie, tuż obok starego kościoła św. Pryski — a ofiarowany w r. 222 po Chr. przez miasto hiszpańskie patronowi swemu Gajuszowi Mariuszowi Pudensowi Korneliuszowi.

[1] Zob. *Corp. Inscr. Lat.* t. VI, nr. 1454. De Rossi, *Bullett.* r. 1867, str. 46. Teraz znajduje się dyplom w bibliotece watykańskiej. Dyplomy takie umieszczano zwykle w atrium domu. W piątym wierszu skrócenia LEG. LEG. znaczą: *legatum legionis scilicet septimae geminae.*

IMP CAES M AVR SEVERO ALEXANDRO
COS EIDIB APRILIBVS
CONCILIVM CONVENTVS CLVNIENJ
G MARIVM PVDENTEM CORNELIA
NVM LEG LEG C V PATRONUM
SIBI LIBERIS POSTERISQUE SVIS
COOPTAVIT OB MVLTA ET EGREGIA
EIVS IN SINGVLOS VNIVERSOS
QVE MERITA PER LEGATVM
VAL MARCELLVM
CLVNIENSEM

Senator ten urodził się z *gens* Cornelia, przez adopcyę wszedł w *gens* Maria, przez co jego pierwotne imiona rodowe Korneliusz Pudens przemieniły się wedle reguł nomenklatury rzymskiej na: Gajusz Mariusz Pudens Korneliusz. Trudno chyba przypuścić, że to odkrycie w miejscu starożytnego *titulus Priscae* jest czysto przypadkowe; raczej przyjąć trzeba, że legat cesarski Pudens, który był, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, synem albo wnukiem Maniusza Acyliusza Korneliusza Glabryona, konsula z r. 152, wspomnianego na kamieniu z Tivoli, odziedziczył ten sam dom na Awentynie, który do Pudensa i Pryscylli w I. wieku należał.

Dzisiaj niepodobna jeszcze odpowiedzieć stanowczo, czy męczennik z r. 95 spoczął w cmentarzu św. Pryscylli; musimy czekać nowych odkryć i świadectw; choć bardzo jest możebnem, że rodzina przeniosła za pozwoleniem cesarza Nerwy i senatu jego zwłoki z miejsca wygnania do Rzymu i złożyła w obszernym, powyżej opisanym korytarzu, skąd je z chwilą tryumfu Kościoła wydobyto, i umieszczono we wspaniale urządzonej krypcie pod ołtarzem baldachimowym. Tyle jednak jest pewnego, że Glabryon dał życie za wiarę chrześcijańską, że ziarno ewangeliczne, krwią męczeńską podlane, rosło i krzewiło się dalej w jego rodzinie, i że jego potomstwo chrześcijańskie miało swe groby w cmentarzu, któremu wedle tradycyi dała nazwę matka

senatora Pudensa, przyjaciela i opiekuna pierwszego biskupa i papieża rzymskiego [1].

Ale przejdźmy już do opisu krypty, najważniejszej ze wszystkich, która nosi imię kaplicy greckiej — *cappella greca*. Nazwę tę nadali jej fosorzy od dwóch greckich napisów, umieszczonych w niszy jednego z arkosoliów. Jak widać z imion wypisanych węglem na ścianie, była ona przynajmniej w części dostępną z końcem przeszłego wieku. Między innemi czytamy tu dwa razy własnoręczny podpis francuskiego malarza d'Agincourt (z r. 1783 i 1786) i niejakiego Antoniego Camponeschi z datą 1784. Rossi dotarł w te strony po raz pierwszy w r. 1851, ale że krypta w znacznej części była zapełniona ziemią, która tu wpadła przez lucernarium, więc wczołgał się do niej na piersiach, jak widać jeszcze z napisu umieszczonego na ścianie prawie pod sklepieniem. Okoliczność tę, że kaplicę zasypała z czasem ziemia, nazwać trzeba prawdziwem szczęściem; bo inaczej kto wie, czyby jej malowidła były ocalały przed grabieżą pseudoarcheologów, którzy dla zdobycia fresków i przeniesienia ich do muzeów miejskich nie wahali się wykrawać ich ze ścian cmentarnych; przyczem prawie wszystkie rozsypywały się w proch i przepadały na zawsze.

Nasza krypta razem z przylegającem do niej obszernem atrium, jest w całem słowa znaczeniu małą bazyliką, która w II. wieku służyła za miejsce zebrań liturgicznych. Jej struktura przedstawia pewne nieregularności, ponieważ leży, podobnie jak krypta Madonny i hipogeum Glabryonów, w arenarium, które z końcem I. i w II. stuleciu po Chrystusie przez roboty murarskie przemieniono w cmentarz. Składa się ona z dwóch części, równie starych: jednej nieco większej, czworobocznej, i drugiej mniejszej, objętości koło 2 metrów w kwadrat, mającej tak naprzeciw ściany wejścia jak i w obu ścianach bocznych obszerne nisze, niby absydy późniejszych bazylik. W niszy po stronie prawej czytamy na ścianie następujące dwa greckie na-

[1] Zob. o tem obszerniej w mojej dyssertacyi pod tytułem: „Maniusz Acyliusz Glabryo", umieszczonej w *Kwartalniku historycznym* r. 1891, str. 465—497.

pisy z II. wieku, wymalowane czerwonemi literami, od których cała krypta wzięła swą nazwę:

ΟΒΡΙΜΟC ΠΑΛΛΑΔΙΩ
ΓΑΥΚΥΤΑΤΩ ΑΝΕΨΙΩ
CΥΝCΧΟΛΑCΤΗ ΜΝΗΜΗC
ΧΑΡΙΝ

Obrimus Palladiuszowi, najmilszemu kuzynowi, koledze ku pamięci!

ΟΒΡΙΜΟC ΝΕCΤΟΡΙΑΝΗ
ΜΑΚΑΡΙΑ ΓΑΥΚΥΤΑΤΗ
CΥΝΒΙΩ ΜΝΗΜΗC ΧΑριν

Obrimus (położył napis) Nestorianie, błogiej pamięci i najdroższej żonie — ku pamięci!

Jeszcze w r. 1886 wypowiedział de Rossi zdanie, że obie części kaplicy greckiej tworzyły pierwotnie dwie oddzielne kaplice, że większa jest starsza i ważniejsza, i że dopiero później połączono z nią drzwiami kryptę, w której znaleźliśmy napisy Obrimosa. Tymczasem ostatnie odkrycia dowiodły niezbicie, że obie są współczesne i od początku tworzyły jedną całość, że były dostępne tylko dla kleru, sprawującego funkcye religijne, podczas gdy lud wierny mieścił się w kaplicy większej czyli w atrium, jakoteż w obszernych przyległych przedsionkach, które łatwo mogą objąć kilkaset osób. W środku sklepienia mniejszej krypty znajduje się obszerne luminarium, zasypane dziś ziemią tak, że w kaplicy całkiem jest ciemno. Wzdłuż ściany lewej, licząc od wejścia, biegną pierwotne siedzenia, a tuż pod niszą znajduje się jeszcze schód marmurowy, po którym kapłan wstępował pod absydę, leżącą naprzeciw drzwi.

Freski, znajdujące się w pierwszej części krypty, były już od dawna znane i kilkakrotnie publikowane[1]. Nad wejściem do mniejszej kaplicy znajduje się scena adoracyi Magów. Jeszcze do niedawna tylko z trudnością było można dojrzeć ten obraz przez warstwę brudu, która go w ciągu wieków pokryła. Dziś, po oczyszczeniu ściany, kontury i kolory są wyraźniejsze. Madonna

[1] Zob. Garrucci, *Storia della arte cristiana,* Prato 1876, tabl. 80, nr. 12; Liell, *Die Darstellungen der allerseligsten Jungfrau und Gottesgebärerin Maria auf den Kunstdenkmälern der Katakomben.* Freiburg i. Br. 1887, tabl. II, nr. 2.

siedzi na krześle bez oparcia i trzyma na łonie obiema rękami Boże Dziecię, owinięte w pieluszki. Spiesznym krokiem zbliżają się ku nim trzej mędrcy, w zwykłym stroju wschodnim, z frygijskiemi czapkami na głowie, niosąc dary nie na talerzach, jak na innych tego rodzaju freskach, ale w rękach. Bogarodzica jest malowana *en face,* bez welonu na głowie, a cała kompozycya wykonana na pięknym białym stiuku. Nad prawą ścianą był niegdyś na sklepieniu przedstawiony paralityk, odnoszący swe łoże do domu; teraz została z niego tylko dolna połowa ciała. Nad drzwiami, prowadzącemi z atrium do presbiteryum, Mojżesz, figura św. Piotra, wodza nowego ludu wybranego, wyprowadza ze skały źródło chrzcielne, podobnie jak na cmentarzu św. Kaliksta, w izbach znanych pod imieniem kaplic sakramentów. Środek sklepienia zajmował duży obraz, zamknięty w kole, a przedstawiający sam akt chrztu. W jednem miejscu, tuż przy kole są jeszcze ślady wody: reszta obrazu przepadła na zawsze, bo stiuk opadł z sufitu. Dalej przedstawiona jest w trzech obrazach historya Zuzanny. Na pierwszym, umieszczonym tuż pod paralitykiem, dwaj starcy namawiają Zuzannę do grzechu, podczas gdy Daniel czy sam Chrystus dodaje jej odwagi do zwyciężenia pokusy. Dwa drugie umieszczone są na ścianie przeciwległej: jeden przedstawia sąd nad obwinioną, na drugim stoi Zuzanna jako orantka razem z Danielem, dziękując Bogu za ocalenie [1]. Ilustracya ta życia Zuzanny [2] stwierdza, że uczniowie apostolscy bynajmniej nie uważali XIII. rozdziału Księgi Daniela, w którym te szczegóły są opisane, za apokryf, wtrącony do *Septuaginta,* jak chcą protestanci, ale za część Pisma kanoniczną. Wreszcie jest na ścianie, naprzeciw obrazu adoracyi Magów, fresk przedstawiający trzech młodzieńców babilońskich w piecu ognistym.

---

[1] Z protestantów publikował nieźle freski Zuzanny Roller Theodor: *Les catacombes de Rome.* Paris 1881, t. I, tabl. XIII. Przed rokiem ogłosił ks. Davin o katakumbach św. Pryscylli dzieło o 800 str.; niestety, nie jest krytyczne.

[2] Zob. Daniel, r. XIII, 19 i 34.

Styl tych malowideł, klasyczna stiukowa dekoracya całej krypty, fryzura Madonny, przypominająca cesarzowe z czasów Trajana i Hadryana; dalej ta okoliczność, że nigdzie w ścianach niema śladów wykutych grobów, co w katakumbowych kubikulach znakiem jest wielkiej starożytności, dowodzą, że mamy przed sobą utwory sztuki chrześcijańskiej z pierwszej połowy II. wieku. Wedle Rossi'ego znać tu styl grecko-rzymski jeszcze lepiej niż w obrazie Madonny z Izajaszem.

Nikt jednak do ostatnich czasów nawet nie przeczuwał, jakie skarby sztuki kryją się pod brudem i stalaktytową powłoką kaplicy mniejszej. Wedle zeznania Rossi'ego, Komisya papieska, kierująca poszukiwaniami archeologicznemi w katakumbach, *(Commissione di archeologia sacra)*, już kilkakrotnie miała zamiar oczyścić te ściany, ale zawsze zaniechiwano tej pracy z obawy, aby nie zniszczyć tego, coby się przypadkiem odkryć mogło. Na usilne nalegania otrzymał wreszcie znany już naszym czytelnikom znakomity archeolog a nasz rodak, msgr. Wilpert [1], od Rossi'ego pozwolenie zrobienia próby w którymś kącie krypty, aby strata, gdyby się próba nie udała, przynajmniej nie była wielka. Po 15 dniach usilnej pracy i mycia ścian wodą, mydłem i kwasami chemicznemi, wyłoniły się cztery duże freski, malowane wszystkie na tle czerwonem nad łukami nisz. I tak, widać nad łukiem prawej absydy, dwa okrągłe budynki z kopułami, i trzeci, przypominający stylem domki szwajcarskie, a między niemi wznosi się front wspaniałego dwupiętrowego pałacu, o dwóch rzędach okien, podtrzymywany pysznym portykiem. Przed budynkiem stoi Daniel między dwoma lwami, trzymając ręce rozłożone do modlitwy. Kompleks budynków zdaje się oznaczać pałac króla,

[1] Dość przeglądnąć ostatnie roczniki Bulletynu archeologii chrześcijańskiej, aby się przekonać, jak de Rossi wysoko cenił prace Wilperta. Spotykamy się także z jego imieniem ciągle w dziełach archeologicznych niemieckich, tak katolickich jak protestanckich. Niemcy uważają go wprawdzie za swego, niemniej jest on Polakiem ze Szląska, który ogłasza swe prace archeologiczne w języku niemieckim dlatego, że włada nim lepiej niż polskim, i wie, że szersze znajdzie koło czytelników. Gotuje on teraz do druku dokładny opis kaplicy greckiej z tablicami, dającemi jej plan i wszystkie malowidła.

który Daniela kazał wrzucić do lwiej jamy; a możliwem jest bardzo, że artyście służyły tu na wzór jakieś gmachy rzymskie, mianowicie pałace Cezarów na Palatynie. W takim razie obraz nasz miałby także wielkie znaczenie dla badań nad Rzymem klasycznym. Szkoda, że scena z Danielem bardzo jest zniszczona; znać dobrze tylko ogon lwa. Na łuku lewej absydy, naprzeciw obrazu Daniela, jest ofiara Izaaka. Z Abrahama została tylko połowa figury, z Izaaka tylko głowa. Po lewej Abrahama znajduje się baran, dalej ołtarz i kilka drzew. Nad bramą, łączącą kaplicę mniejszą z większą, przedstawiona jest w dwóch obrazach historya wskrzeszenia Łazarza: na jednym fresku stoi on jeszcze jako mumia w kaplicy grobowej, owinięty w prześcieradła; na drugim jest już wskrzeszony z rękami skrzyżowanemi na piersiach i głową nakrytą chustami. Po prawej ręce Łazarza widzimy niewiastę — jest to zapewne jego siostra Marya, która jedną ręką dotyka głowy brata a drugą robi giest, wyrażający radość z jego powrotu do życia.

Jednak najpiękniejszego obrazu należało się spodziewać na miejscu najważniejszem, wystawionem na widok wszystkich, tak kleru jak i ludu, mianowicie w przedsionku, nad łukiem, leżącym naprzeciw drzwi, i pod którym w absydzie widocznie było miejsce na ołtarz. Kiedy przy oczyszczaniu ściany pierwsze kolory zaczęły przebłyskiwać, Wilpert myślał zrazu, że ma przed sobą Chrystusa z Samarytanką przy studni Jakubowej. Wnet pokazało się jednak, że odkrył fresk jedyny w swoim rodzaju — bo scenę, przedstawiającą Mszę św. I podczas gdy inne obrazy wiele ucierpiały przez wodę, ściekającą do krypty przez lucernarium, to czwarty i najważniejszy zachował się prawie w pierwotnej swej świeżości i kolorycie. Nawet stalaktyt, który trzy inne malowidła prawie zupełnie zniszczył, tutaj — ponieważ uformował się na powierzchni a nie z wnętrza ściany — stał się dla obrazu prawdziwą opatrznością, bo ocalił go przed ręką różnych wandalów, którzy pewnie nie byliby omieszkali wykroić go ze ściany.

Podobnie jak poprzednie, tak i ta kompozycya jest *alla pompeiana* wykonana na tle czerwonem. Za półkolistym stołem *(stiba-*

dium, sigma) siedzi sześć osób, pięciu mężczyzn a w środku nich niewiasta. Mężczyźni wszyscy są bez brody, kobieta ma na głowie welon. U prawego krańca stołu (a po lewej stronie widza) siedzi na niskim stołku, poważna postać brodata, odosobniona od reszty osób, i wyciągająca prosto przed siebie obie ręce, których natężenie najwidoczniejsze wskazuje, iż łamie chleb, trzymany w dłoniach. Wyraz twarzy, zwróconej profilem do widza, i całe ułożenie są dowodem, iż całą uwagę skupił w akcie, który właśnie spełnia. Przed nim stoi na stole kielich o dwóch uchach, a dalej leżą na jednym talerzu 2 ryby; a jeszcze dalej na drugim pięć chlebów. Po obu stronach ucztujących stoi za stołem 7 koszów pełnych chleba: cztery poza plecami mężczyzny brodatego, trzy po stronie przeciwnej. Osoba siedząca najbliżej postaci mężczyzny brodatego, zwraca się ku niemu oczyma pełnemi niewypowiedzianej rzewności, tęsknoty i pobożnego wzruszenia; drugi mężczyzna wzrok skierował ku trzeciemu, który wpatrzył się w rybę, leżącą na talerzu; dalej siedząca niewiasta zatopiona jest w myślach pobożnych; piąta osoba zdaje się także mieć skierowane oczy na mężczyznę brodatego, a szósta znów utonęła oczyma w rybie [1].

Co znaczy ta uczta? i co to jest za osoba siedząca, nie poza stołem, jak inni ucztujący, ale zajmująca miejsce honorowe, od reszty odosobnione, czyli, jak mówili Rzymianie, *cornua summa* stołu?

Siedm koszów pełnych chleba, zawierają najwidoczniejszą aluzyę do cudownego nakarmienia głodnej rzeszy przez Chrystusa na puszczy: wszelką wątpliwość usuwają tu te dwie rybki i pięć chlebów leżących na stole. W cudzie tym cała starożytność chrześcijańska widziała przygotowanie, figurę i proroctwo Eucharystyi, i cudownego karmienia się w N. Testamencie ciałem i krwią mistycznej Ryby, *Ichtysa*, tj. Jezusa Chrystusa Syna

[1] Dokładną reprodukcyę tej uczty podam niedługo w osobnej rozprawie, w której zestawię wszystkie ważniejsze monumenta eucharystyczne. Zaznaczam przytem, że sporządzenie dobrej fotografii jest bardzo trudne, jak kilkakrotnie robione próby wykazały, a to głównie dlatego, że tło kompozycyi jest czerwone.

Bożego i Zbawiciela. Już Jan św. uwydatnia w swojem opowiadaniu ten związek symboliczny między obiema ucztami [1]. Jasno mówi o nim Orygines w komentarzu do św. Mateusza [2], pisząc, że rzesza pożywała na puszczy τοὺς τῆς Ἰησοῦ εὐλογίας ἄρτους, czyli chleby *eulogii* Chrystusa. Słowo *eulogia* znaczy u św. Pawła to samo co chleb konsekrowany [3]. Ewangeliści używają słowa εὐλογεῖν tak przy opisie sceny rozmnożenia chleba [4], jak i przy przedstawieniu ostatniej wieczerzy, i to w tem samem znaczeniu co słowa εὐχαριστεῖν. Toż samo znaczenie ma ono na fresku z IV. w. [5], odkrytym nad ołtarzem kaplicy cmentarnej w Aleksandryi. Środek kompozycyi zajmuje tam Chrystus, któremu Piotr św. podaje chleby, a św. Andrzej dwie rybki na talerzu; u nóg zaś Zbawiciela stoi kilka koszów z chlebami. Po prawej stronie tej sceny odbywa się uczta weselna w Kanie: Matka Najświętsza jest tu w otoczeniu służebnic; nad ich głowami czytamy objaśnienie: Η ΑΓΙΑ ΜΑΡΙΑ — ΤΑ ΠΑΙΔΙΑ (Najświętsza Marya — służebnice). Scena po stronie lewej przedstawia kilka osób siedzących przy uczcie, której naturę charakteryzuje napis: ΤΑΣ ΕΥΛΟΓΙΑΣ ΤΟΥ $\overline{\text{ΧΡ}}$ ΕΣΘΙΟΝΤΕΣ — „pożywający błogosławieństwa Chrystusa". Tego samego słowa *eulogia* używa na oznaczenie Eucharystyi św. Cyryl, w którego stolicy biskupiej ten fresk się znajduje. Artysta skoncentrował tedy na jednym obrazie dwie figury Eucharystyi obok samejże Eucharystyi realnie pożywanej. A nie był to jego pomysł oryginalny i własny, jeno powtórzenie nauki Pisma św. i Ojców, którzy w cudownem nakarmieniu rzeszy na puszczy i przemianie wody w wino na godach galilejskich upatrywali, wedle wyrażenia św. Maksyma Turoneńskiego, rodzaj sakramentalnej antycypacyi czyli przedsmaku kielicha N. Testamentu.

---

[1] Jan św. rozdz. VI.

[2] Origen. In Matth. c. 14. Migne, Patr. gr. t. XIII, str. 914.

[3] Św. Paweł, 1 list do Kor. X, 16: Τὸ ποτήριον τῆς εὐλογίας ὃ εὐλογοῦμεν, οὐχὶ κοινωνία τοῦ αἵματος τοῦ Χριστοῦ ἐστίν.

[4] Mat. XIV, 19; Mar. VI, 41; Łuk. IX, 16; Jan VI, 11.

[5] Publikował go de Rossi w *Bull. di arch. crist.* r. 1865 nr. 8. Słowem *eulogia* oznaczano też czasami chleby błogosławione, które rozdawano wiernym jako obraz chleba konsekrowanego.

Jak tedy na innych freskach katakumbowych, tak i w kaplicy greckiej cud rozmnożenia chleba symbolem jest i figurą uczty eucharystycznej. Ale na naszym fresku jest jeszcze coś więcej: bo gdy na wszystkich dotychczas znanych malowidłach rzymskich i na aleksandryjskiem wierni pożywają Eucharystyę pod osłoną mistycznej Ryby, to na naszym obrazie tuż obok figury eucharystycznej, jest sama rzeczywistość, tj.: Jezus Chrystus prawdziwie i istotnie przytomny — z ciałem pod osłoną chleba i krwią w puharze pod postacią wina.

Nietrudno się już też domyśleć, kto jest ten mężczyzna prezydujący przy bankiecie eucharystycznym, i skupiający na sobie uwagę współbiesiadników? „Sakramentu Eucharystyi — powiada Tertullian — z żadnej innej nie przyjmujemy ręki, jeno z ręki przewodniczących“ [1]. Święty Justyn w swej apologii, podanej w r. 138 cesarzowi Antoninowi Pobożnemu, tak opisuje ucztę eucharystyczną starych chrześcijan: „Po wspólnych modlitwach pozdrawiają się wszyscy wierni wzajemnym pocałunkiem... potem przełożonemu braci (τῷ προεστῶτι τῶν ἀδελφῶν) przynoszą chleb i kielich z wodą i winem: które on wziąwszy, cześć i chwałę Ojcu wszech rzeczy zasyła przez imię Syna i Ducha Św., i Eucharystyę czyli dziękczynienie za te otrzymane od Niego dary długo odprawia... A gdy przewodniczący skończył modlitwy, i lud cały odpowiedział ‚Amen‘, wtedy ci, którzy u nas nazywają się dyakonami, każdemu z obecnych dają cząstkę z eucharystycznego chleba, wina i wody, a także nieobecnym zanoszą do domu“ [2]. Wcześniej jeszcze pisze do Filadelfów św. Ignacy Antyocheński: „Jedno tylko jest ciało naszego Pana Jezusa Chrystusa, jeden kielich, jeden biskup“ [3]. A współczesna prawdopodobnie św. Ignacemu Nauka

[1] Tertul., *De corona*, rozdz. III. „Eucharistiae sacramentum... nec de aliorum manu quam praesidentium sumimus“. Migne, Patr. lat. t. II, str. 79.

[2] Apolog. I, r. 65, 66. Migne, Patr. gr. t. VI, str. 428.

[3] Św. Ignacy, list do Filadelfów r. IV, edit. Migne, Patr. gr. t. V, str. 671: „Studeatis igitur sua eucharistia uti; una enim est caro Domini nostri Jesu Christi, et unus calix in unitatem sanguinis ipsius, unum altare, sicut unus episcopus, cum presbyterio et diaconis“.

12 Apostołów wymienia jako ministrów naświętszej Ofiary niedzielnej, biskupów i dyakonów [1].

Nie kim innym jest tedy ten czcigodny ofiarnik, jeno owym „biskupem“ Nauki 12 Apostołów i św. Ignacego, owym prezydentem (ὁ προεστώς) św. Justyna i Starszym, który przewodniczy *(senior, qui praesidet)*, Tertulliana. Czynność zaś, którą on spełnia, nie może być inna, jak liturgiczna *fractio panis* — akt łamania chleba, poprzedzający we Mszy św. Komunię kapłańską. Albowiem czasy apostolskie i starożytność chrześcijańska znają tylko to jedno liturgiczne łamanie chleba, które w wielu miejscach Pismo N. Z. z naciskiem podnosi, rozumiejąc pod niem całą ofiarę Mszy św. Z ewangelistów, którzy opisali ustanowienie Eucharystyi, żaden nie pominął tego ł a m a n i a chleba konsekrowanego. „A gdy oni wieczerzali — czytamy u św. Mateusza — wziął Jezus chleb, i błogosławił, i ł a m a ł, i dawał uczniom swoim i rzekł: bierzcie i jedzcie: to jest ciało moje“ [2]. To samo powiada św. Marek [3] i Łukasz [4], a św. Paweł pisze w liście do Koryntyan [5]: „Albowiem ja wziąłem od Pana, com też wam podał: iż Pan Jezus, nocy, której był wydan, wziął chleb: a dzięki uczyniwszy ł a m a ł i rzekł: bierzcie a jedzcie: to jest ciało moje, które za was będzie wydane: to czyńcie na moją pamiątkę“. A w innem miejscu tegoż listu nazywa on wyraźnie i po prostu uczestniczenie w Eucharystyi łamaniem chleba: „Kielich błogosławienia, któremu błogosławimy, izali nie jest uczestnictwem krwie Chrystusowej? i c h l e b k t ó r y ł a m i e m y, izali nie jest uczestnictwem ciała Pańskiego?“ [6].

U św. Łukasza dwaj uczniowie idący do Emaus poznają Pana przy łamaniu chleba [7]. O pierwszych wiernych w Jerozolimie opowiadają nam Dzieje apostolskie [8], iż „trwali w nauce

[1] Doctr. 12 Apost. c. XV, edit. Funk, str. 43.
[2] Mat. r. XXVI, w. 26.
[3] Mar. r. XIV, 22.
[4] Łuk. r. XXII, w. 19.
[5] 1. l. do Kor. r. XI, w. 23.
[6] 1. l. do Kor. r. X, w. 16.
[7] Łuk. r. XXIV, w. 30, 31.
[8] Dzieje apost. r. II, w. 42; r. XX, w. 7 i nast.

apostolskiej i w uczestnictwie łamania chleba"; i znowu „że codzień trwając jednomyślnie w kościele, a łamiąc chleb po domiech, pożywali pokarmu z radością i w prostocie serdecznej". Autor Didachy każe wiernym po przyjęciu Eucharystyi, taką piękną do Boga zanosić modlitwę [1]: „O Ojcze święty, składamy Ci dzięki za twoje święte Imię, które mieszka teraz w sercach naszych, za naukę, wiarę i nieśmiertelność, które nam objawiłeś przez Jezusa Syna swego: Tobie niech będzie chwała na wieki. Ty Panie Wszechmogący stworzyłeś wszystkie rzeczy na uwielbienie swego świętego Imienia, i dałeś wszystkim ludziom potrzebny pokarm i napój ku utrzymaniu życia, aby ci składali dzięki; ale nam chrześcijanom dałeś przez swego Syna pokarm i napój duchowny i życie wieczne" (πνευματικὴν τροφὴν καὶ ποτὸν καὶ ζωὴν αἰώνιον). A w rozdz. XIV. powiada: „Każdej niedzieli, która jest dniem Pańskim, zebrani razem, łamcie chleb i czyńcie dzięki (κλάσατε ἄρτον καὶ εὐχαριστήσατε), wyznawszy jednak wprzód swoje grzechy, aby ofiara wasza była czysta". W rozdziale IX. chleb konsekrowany zwie się wprost κλάσμα — ułamkiem. W tem samem miejscu znajdujemy śliczną racyę, dlaczego biskup konsekrujący trzyma w ręce tylko jeden chleb. „Albowiem jako chleb eucharystyczny — modlili się w czasie ofiary wierni — był najpierw rozproszony po wzgórzach, a potem zebrany stał się jednym, tak niech Kościół twój zgromadzi się cały od krańców ziemi w królestwie twojem" [2].

Aby łatwiej było rozłamać chleb konsekrowany na części, robili na nim wierni, jeszcze przed upieczeniem go, dwa lub trzy wcięcia krzyżujące się przez środek, z powodu czego takie chleby zwały się *tetrablomoi* albo *hexablomoi;* takiż krzyż widzimy także na chlebach pryscylliańskich [3]. Z rąk biskupa odbierali potem fragmenta usługujący do Mszy dyakoni, i rozdawali je obecnym, którzy stojąc przyjmowali je na dłonie skrzyżowane jedna nad drugą. Kielich liturgiczny u św. Pryscylli ma dwa

[1] Doctrina Apost. r. x, ed. Funk, str. 29.

[2] Didache r. ix. Funk, str. 25, 26.

[3] Zwyczaj ten przejęli chrześcijanie od pogan, a uczynili to tem chętniej, że krzyż przypominał im dzieło odkupienia.

ucha, aby go łatwiej było trzymać przy rozdzielaniu Krwi najświętszej przy komunii wiernych. Forma ta utrzymała się także w następnych wiekach. Nie wolno mi jeszcze pominąć jednego ważnego szczegółu na naszym obrazie, mianowicie, że jedyna niewiasta, uczestnicząca w bankiecie eucharystycznym, ma na głowie welon, stosownie do przepisu Apostoła, nakazującego surowo kobietom, nie inaczej jawić się przy zebraniach liturgicznych jak tylko z głową zawelonowaną[1]. Jest to nowy dowód, że na stole jest „pokarm i napój nie zwyczajny, ale duchowny i dający życie wieczne".

Nie twierdzę, że ten obraz jest we wszystkich szczegółach wierną fotografią Mszy św., jak ona wyglądała w początkach II. wieku; jednak nie ulega wątpliwości, że przedstawia on realnie i prawdziwie, tj. bez osłony symbolów, sam akt Mszy św. Obok tego realnego przedstawienia św. Ofiary, wymalował artysta (po prawej stronie widza) jej figurę i symbol, czem ucztę z chleba i wina odróżnił od zwykłych agap, a równocześnie uczynił on przez to zadość zleceniu Chrystusa, aby nie rzucać pereł przed wieprze, oraz przykazaniu Kościoła, który osłaniał swe sakramenta tak zwaną *disciplina arcani* — bo kompozycya, jaką zrobił, niezrozumiała była dla pogan, którzyby mogli wkraść się tu cichaczem albo wtargnąć zbrojną ręką. Absyda, w której znajduje się nasz obraz, nadaje się, jak już wspomniałem, najzupełniej na takąż świętą czynność liturgiczną. Po schodzie pierwotnym, który Wilpert niedawno wykopał z ziemi, wstępuje się najpierw na ławę murowaną pod lewą absydą, a stamtąd jednym krokiem zająć można miejsce pod absydą naprzeciw wejścia tak, jak to uczynił biskup celebrujący na fresku. Zdanie to potwierdza jeszcze i ta okoliczność, że przy absydzie zachował się w ścianie pierwotny okrągły otwór, przez który wprost na celebransa padało światło od drugiego lucernarium, znajdującego się w galeryi sąsiedniej, tuż za kaplicą grecką.

Uważmy teraz, czy między obrazami tych krypt nie masz jakiegoś związku, na wzór owego, jaki istnieje między freskami

[1] 1. list do Kor. r. XI, w. 5.

kaplic sakramentów u św. Kaliksta, gdzie artysta zestawił z sobą alegorye, symbole i cuda ewangeliczne, dla wyrażenia i uzmysłowienia sakramentów chrztu i Eucharystyi z ich zbawiennemi skutkami.

Obrazy Daniela między lwami zawierają historyczną aluzyę do owych epizodów z czasu prześladowania, kiedy to rozbestwione tłumy wołały: *christianos ad leones!* Lecz obok tego, Daniel jest także prorokiem Eucharystyi, przez owo cudowne nakarmienie ręką Habakuka, o którem opowiada nam Pismo święte. Wypowiadają to jasno Ojcowie Kościoła, i powtarzają sarkofagi, na których Habakuk przynosi prorokowi chleb i rybę, a więc zwykłe godła i symbole, któremi chrześcijanie w pierwszych wiekach oznaczali Eucharystyę. Także ofiara Abrahama jest figurą Eucharystyi, jako bezkrwawej ofiary Nowego Testamentu. Mielibyśmy tedy w presbiteryum trzy przedobrażenia Eucharystyi — Daniela, Abrahama i cud rozmnożenia chleba — a nadto samą ofiarę eucharystyczną.

Po obrazie Eucharystyi, widz choćby trochę obeznany ze sztuką katakumbową, ogląda się za obrazem Zmartwychwstania, bo właśnie w ciała zmartwychwstaniu koncentruje się, że się tak wyrażę, i uwydatnia najsilniej cudowna moc Eucharystyi. „Kto pożywa ciała mego, powiada Chrystus, i pije krew moją, ma żywot wieczny: a ja go wskrzeszę w ostatni dzień“ [1]. Święty Ignacy Antyocheński cieszy się z wiernymi Efezu [2], że łamią ów chleb, który jest lekiem na nieśmiertelność i *antidotum* niszczącem zarody śmierci. Także Didache, jak słyszeliśmy, łączy Eucharystyę z ciał zmartwychwstaniem, zwiąc ją pokarmem i napojem duchownym, czyli uduchowniającym ciało na sposób

[1] Jan r. VI, w. 55.

[2] List do Efezów r. XX: „Συνέρχεσθε ἐν μιᾷ πίστει... εἰς τὸ ὑπακούειν ὑμᾶς τῷ ἐπισκόπῳ καὶ τῷ πρεσβυτερίῳ ἀπερισπάστῳ διανοίᾳ, ἕνα ἄρτον κλῶντες, ὅς ἐστιν φάρμακον ἀθανασίας, ἀντίδοτος τοῦ μὴ ἀποθανεῖν, ἀλλὰ ζῆν ἐν Ἰησοῦ Χριστῷ διὰ παντός“. Migne, Patr. gr. t. V, str. 661. Porówn. też św. Ireneusz *adv. haer.* lib. IV, c. 18, n. 5. Migne, Patr. gr. t. VII, str. 1028—1029. „Quemadmodum enim qui est a terra panis, percipiens invocationem Dei, iam non communis panis est, sed eucharistia, ex duobus rebus constans, terrena et coelesti: sic et corpora nostra percipientia eucharistiam, iam non sunt corruptibilia, spem resurrectionis habentia“.

duszy, aby z nią żyło wiecznie. — Otóż nie brak i w naszej kaplicy obrazów, ilustrujących skutki, owoce i dopełnienie pożywania Eucharystyi, bo mamy aż w dwóch scenach przedstawioną historyę wskrzeszenia Łazarza. Tam przy stole eucharystycznym, mocą słów konsekracyi, odbywa się przeistoczenie chleba i wina w ciało i krew Pańską: tu w obrazach Łazarza śmierć i rozkład przemienia się w nieśmiertelność.

W kaplicach sakramentów u św. Kaliksta, ucztę eucharystyczną poprzedza sakrament chrztu, przedstawiony w trzech scenach, tj. jego alegorya w obrazie rybaka wyciągającego wędką rybę z wody, którą ze Skały Chrystusa wyprowadził Mojżesz-Piotr, szafarz łask N. Testamentu; dalej jego symbol w uzdrowieniu paralityka; a wreszcie realny akt chrztu. Jest to jakby ilustracya do słów Didachy: „Kto jest święty, niech przystępuje do Eucharystyi, a jeśli kto nie jest święty, niech czyni pokutę". I znowu: „Niech nikt nie pije i nie je z waszej Eucharystyi, jak tylko ochrzczeni w imię Pańskie, ponieważ i o tem powiedział Pan: Nie dawajcie rzeczy świętych psom" [1]. Te duchowne urodziny rybki chrześcijanina *(pisciculus secundum* I-X-Θ-Υ-N *nostrum Jesum Christum)* [2] rozpoznaliśmy także w resztkach dwóch malowideł kaplicy większej, z których jedno przedstawiało paralityka unoszącego swe łoże, a drugie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, sam akt chrztu. Wreszcie Zuzanna i trzej młodzieńcy babilońscy są obrazem Kościoła i chrześcijanina, co czyści się w ogniu prześladowania, ale ostatecznie odnosi palmę zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi zbawienia. Moc zaś do tej walki i zachętę do męczeństwa brali wierni właśnie z pożywania owej Eucharystyi, którą kapłan spełniał na obrazie ołtarzowym. „To picie krwi, Chrystusa, powiada pięknie św. Cypryan, daje też moc ofiarowania własnej krwi za Niego". I tak uczta eucharystyczna w kaplicy greckiej jest centrum, w którem zbiegają się wszystkie inne malowidła, i zarazem ich epilogiem, podobnie jak w Kościele uczta ta uważana zawsze była za serce chrześcijań-

[1] R. IX, l. c. str. 29.

[2] Tertul. O chrzcie r. I, ed. Migne, Patr. lat. t. I. str. 1198.

stwa, za ognisko wszystkich dogmatów, i słońce katolickiego kultu, za kit łączący w jedno ciało i wiernych i Chrystusa.

Zwiększa się jeszcze znaczenie i wartość tego obrazu, jeśli zważymy, że pochodzi on, podobnie jak tamte, któreśmy dawniej omawiali, z pierwszej połowy II. wieku. Nietylko rozszerzył się nim i wzbogacił ubogi dotychczas w sztuce katakumbowej cykl kompozycyj liturgicznych, lecz rzucił on także nowe światło na staro-chrześcijańską symbolikę, a zwłaszcza na znaczenie w niej hieroglifu ryby, a nadto dowiódł, że ewangelia św. Jana, która sama jedna podaje cud wskrzeszenia Łazarza, znana była w Rzymie w początkach II. wieku, kiedy tak samo jak trzy synoptyczne służyła artystom za źródło natchnienia.

Trzeba samemu zobaczyć tę kompozycyę, zachowaną nam niemal w pierwszej świeżości i kolorycie, tę żywość uczucia, akcyę i życie, jakie malują się na obliczach uczestników tej uczty, aby ocenić, aby się rozkoszować całą jej pięknością. Miałem to szczęście oglądać ją kilkakrotnie przy oświetleniu magnezyowem, i oczu od niej oderwać nie mogłem, i odchodząc jeszcze nawracałem nienasycone oczy — tyle budzi ona w duszy rzewnych i drogich sercu wspomnień! Rossi, acz złamany chorobą, kazał się znieść do podziemia, aby choć raz zobaczyć Msze św. chrześcijan II. wieku, a potem pożegnać się już na zawsze ze swemi kochanemi katakumbami, gdzie najpiękniejsze przeżył dni swego życia, zmuszając ściany i głazy cmentarne do wyjawienia mu tajemnic, jakie im pierwsi powierzyli wierni. Sąd swój o tym fresku skreślił w słowach: *è la corona di tutte le scoperte delle catacombe* — jest to korona wszystkich odkryć katakumbowych.

Ks. dr. Józef Bilczewski.

DZIEDZICZNOŚĆ I EWOLUCYA.

Komórka i zapłodnienie.

(Dokończenie).

Zapoznaliśmy się już nieco z wielu szczegółami, odnoszącemi się do topografii komórki; uważmy teraz tę samą rzecz z innej strony, postawmy sobie pytanie: jakie znaczenie w życiu komórki lub nawet całego ustroju mają owe najrozmaitsze morfologiczne składniki? Odpowiedź na to całkiem przyrodnicze pytanie, schodzące się z filozoficznem zagadnieniem celowości, rozjaśniłaby nam niewątpliwie dużo ciemnych miejsc w naszym obrazie, ale niestety odpowiedź ta jest nadzwyczajnie trudną i zapewnie w obecnym stanie nauki jeszcze niemożliwą. Wszak łączy się z nią pełno kwestyj fizyologicznych, filogenetycznych, biologicznych, a do tego na każdym kroku pęta i hamuje myśl niezgodność, niepewność, paradoksalność nawet, nietylko w tłumaczeniu, ale już w samem uważaniu zjawisk.

Dla ilustracyi dzisiejszych stosunków w tej mierze, wspomnę dwoma słowy o rozmaitych poglądach na znaczenie jąderek. I tak Haecker badając jąderka w jajach jeżowców konstatuje, że główne jąderko funkcyonuje jako osobny organ komórki, kurczący się rytmicznie, zaś inne jąderka miałyby być produktami ubocznemi, wydzielinami substancyi chromatynowej. Strasburger i Pfitzner utrzymują, że jąderka są spichrzami materyałów zapasowych, a Rhumbler twierdzi nawet, że to materyał nieżywy.

C. Schneider, Holl, Moll i po części Flemming znajdują, że jąderka biorą udział w wytworzeniu chromatyny. Inny badacz, G. Born, uważa za rzecz jedynie pewną, iż jąderka mają związek tylko z życiem indywidualnem komórki, nie zaś z jej podziałem. O. Hertwig, Karsten, Farmer, Julin chcieliby znowu wprowadzić jąderka do rodowodu centrosomów. Nie dość tej rozmaitości. Mamy jeszcze dwa poglądy całkiem odmienne a bardzo oryginalne — francuski jeden, drugi niemiecki. Podług Ch. Decagny'ego jąderka mają być ważnemi czynnikami w czasie podziału komórki. W stadyach przygotowawczych do podziału jąderka wysyłałyby do jądra, a nawet poza jądro, różne materye, z których następnie wytwarzałyby się nitki figury achromatycznej. — I Metzner przypisuje jąderkom doniosłą funkcyę podczas karyokinezy; od nich miałyby wychodzić pierwsze pobudzenia do podziału. Z jąderek występuje z początkiem mitozy mnóstwo kuleczek, które częścią wędrują do protoplazmy, częścią zaś rozłażą się po jądrze i jako ciałka wodzące *(Leitkörperchen)* powodują najpierw wytworzenie chromosomów, a następnie służą za pierwszy punkt zaczepienia dla włókien achromatycznych.

Jak z tego przykładu dostatecznie widać, nie zaszlibyśmy daleko w dzisiejszym stanie nauki, gdybyśmy w taki sposób każdy szczegół przechodzić chcieli; wypadnie nam koniecznie ścieśnić nasze pytanie i ograniczyć się do kwestyj najogólniejszych — jakie jest znaczenie i stosunek wzajemny protoplazmy i jądra w życiu komórki. Pod tym względem posiadamy ciekawe doświadczenia i spostrzeżenia wielu przyrodników, jak Brandta, Balbianiego, M. Nussbauma, Grubera, Haberlandta, Klebsa, Gerasimowa, Korschelta, Hofera, wreszcie najnowsze Verworna i Demoora. Wystarczy na tem miejscu ogólny rezultat przytoczyć. Tak protoplazma jak jądro są konieczne do normalnego życia komórki; zachodzą między niemi bardzo ścisłe związki i stosunki wewnętrzne. Godna też uwagi rzecz, że jakkolwiek części komórki bezjądrowe mogą przez pewien krótki czas wykonywać niektóre funkcye życiowe, te jednak absolutnie nie mogą ani całości ani najmniejszych cząstek odradzać; podczas gdy ułamki komórkowe z kawałkiem jądra zdolne są po największej części

do odrodzenia całej komórki. Prócz tego z doświadczeń Demoora wynikałoby jeszcze, że życie jądra jest o wiele wytrzymalsze aniżeli życie protoplazmy i że centrosomy zachowują się w tej mierze podobnie jak jądra.

Chodziłoby teraz o dokładniejsze wyjaśnienie stosunku jądra do plazmy, przedewszystkiem jaką rolę odgrywa chromatyna jądrowa. Przecież już z tego cośmy poprzednio o niej mówili, z owej szczególnej troskliwości, jaką natura chromatynę otacza, zwłaszcza w czasie jej rozdziału na jądra potomne, możemy z wielkiem prawdopodobieństwem wnosić, że to coś ważnego, że to jakiś skarb drogocenny a posag komórki. — Przypuszczenie to wyświecą nam najlepiej zjawiska zapłodnienia.

Tajemnica zapłodnienia nie od wczoraj pociąga człowieka. Wszyscy wybitniejsi filozofowie i przyrodnicy uważali ją zawsze za rzecz wielkiej doniosłości i godną mozolnych poszukiwań a dumań filozoficznych. Mimo to mrok osłaniał ciekawy ten fakt biologiczny aż do naszych czasów — i dziś, choć wiele więcej wiemy niż w przeszłych wiekach, jednak dalekimi jesteśmy od przeniknięcia tajemnicy.

W starożytności niedościgły metafizyk a jednocześnie największy może empiryk swojego czasu, Arystoteles, zebrał ogromny zasób materyału o tej rzeczy i złożył go w traktacie: *De generatione animalium*. Niektórzy z neoperypatetyków dzisiejszych, jak np. Farges, chcieliby widzieć w studyum Arystotelesa wszystko, do czego tylko dzisiejsza wiedza przyrodnicza dotrzeć zdołała. Tak jednak nie jest. Obok wielu faktów prawdziwych jest tam mnóstwo fałszów i bajek; metafizyka nawet zabiera głos bardzo rzadko i da się ostatecznie sprowadzić do tego, że w rodzeniu jedna strona dostarcza tylko substratu, materyi, zachowując się jako czynnik wyłącznie bierny, druga zaś strona jest czynnikiem aktywnym i nadaje jej formę właściwą czyli duszę. Chociażby ten pogląd czysto metafizyczny dał się do pewnego stopnia przyczepić do dzisiejszych wyników, jeszczeby nie można twierdzić, że Arystoteles już podzielał zapatrywania spółczesnych nam badaczów.

Pogląd Arystotelesa utrzymywał się z rozmaitemi popsu-

temi raczej niż ulepszonemi modyfikacyami przez cały czas wyłącznego panowania Stagiryty w dziedzinie myśli ludzkiej — tj.: do wieku XVII., kiedy Harvey odważył się zakwestyonować samorództwo Arystotelesa i postawił zasadę: *omne vivum ex ovo.* Dopomogli Harvey'owi w ciężkiej tej robocie Goedart i Redi. W tym też czasie rozplenił się inny pogląd na zagadkę rodzenia. Jaja zwierząt miały być już gotowemi organizmami *en miniature,* zarodkami w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Pogląd ten nazwano teoryą ewolucyi — jakkolwiek odpowiada mu lepiej później wprowadzona nazwa preformizmu. Preformizm jest to znana teorya szkatułkowa; podług niej niema żadnego powstawania, żadnego *Werden* na świecie — pierwszy osobnik każdej rasy otrzymał przy stworzeniu tyle embryonów gotowych, ile indywiduów w ciągu epok wiekowych miało się pojawić na skorupie ziemskiej. Można sobie wystawić, ile miliardów zawiniętych zarodków musiał pomieścić w sobie taki pierwszy wróbel lub pierwsza mucha na naszej planecie! Dziwnem nam się to wydaje, a jednak uczeni tej sławy, co Leibnitz, Swammerdam, Perrault, Buffon, Haller, nawet Cuvier, hołdowali temu poglądowi. — Atoli i w preformizmie samym wybuchła wkrótce wojna domowa. Pod koniec XVII. w. poznano w spermie liczne i bardzo drobniutkie kijanki ruchliwe, które dziś pospolicie plemnikami nazywamy. Fakt ten, odkryty przez Hamma w Leyden, wywołał niemałe zdumienie, i zaraz obwołano plemniki za zarodki preegzystujące. Wytworzyły się tym sposobem w łonie preformizmu dwa przeciwne sobie obozy: starszy owulistów, co zarodki upatrywali w jajach, i młodszy animalkulistów, dla których plemniki były embryonami.

W drugiej połowie zeszłego stulecia ostro wystąpił przeciw preformizmowi znany filozof C. F. Wolff. Podług niego substancye zarodkowe rodziców są z początku masą zupełnie nieuorganizowaną, która dopiero po zapłodnieniu zwolna się rozwija i organizuje. Od Wolffa datuje się właściwie teorya epigenezy.

Jakkolwiek zapatrywanie Wolffa nie było dostatecznie uzasadnione, ni naukowo ni filozoficznie, i w gruncie rzeczy nie we wszystkiem zgadzało się z prawdą, podkopało jednak preformizm

w wysokim stopniu, tak iż w pierwszej połowie naszego stulecia zaczęło się jego leniwe konanie na seryo; doszło nawet do tego, że zaczęto uważać plemniki za jakieś tylko pasorzyty mikroskopijne.

Dopiero era komórkowa odmieniła postać rzeczy. Zdanie Harveya sprawdzało się coraz ogólniej, odkryto zwolna jaja u wszystkich istot żyjących — a z czasem wykazano dowodnie, że tak jaja jak plemniki są prawdziwemi komórkami. Prawda ta napotkała w pierwszych początkach na silny opór ze strony wielu bardzo poważnych przyrodników, aż po roku mniej więcej 1875 została ogólnie przyjętą i uznaną za rzecz niewątpliwą.

Dzisiejsza teorya zapłodnienia schodzi się z ostatnią fazą badań komórkowych. Prawdziwym jej twórcą i właściwym założycielem jest znany nam już profesor berliński, Oskar Hertwig. Przyłącza się doń znaczny poczet znakomitych badaczów, z którymiśmy się po największej części w ciągu morfologii komórkowej poznali.

We wszystkich grupach zwierzęcych i roślinnych spotykamy dwojakiego rodzaju elementy generatywne. U niektórych niższych ustrojów spotykamy elementy jednakowe, jak np. dwie pływeczki u wielu glonów zielonych; u wyższych grup elementy te wyróżniają się: jeden bywa nieco większy, drugi mniejszy, aż wreszcie pierwszy przybiera stosunkowo ogromne rozmiary, gromadzi dużo materyałów zapasowych, zatraca ruch, i zostaje na miejscu — to jajo; drugi zachowuje tylko nieodzownie potrzebne substancye, zatrzymuje ruch, tak iż wygodnie może szukać elementu nieruchomego — to plemnik. Tak się rzecz ma u wszystkich niemal wielukomórkowych zwierząt aż do najdoskonalszych; nie inaczej w ustrojach roślinnych aż do paproci i skrzypów; a dopiero u najwyższych roślin, obie komórki rozrodcze stają się nieruchliwe.

Jajo i plemnik są zwykłemi komórkami. Jajo posiada najczęściej w swojej protoplazmie moc zapasów odżywczych, t. zw. deutoplazmę, od której rozmieszczenia i ilości zależy rozmaity kształt i wielkość jaja. Plemnik jest komórką przekształconą zazwyczaj bardzo małą, nieraz od jaja i milion razy mniejszą,

a składa się z główki, krótkiej szyjki i długiej rzęsy w kształcie ogonka. Główka przedstawia bardzo zbite jądro, oscylująca zaś rzęsa jest zmodyfikowaną protoplazmą. Zespolenie tych dwu elementów jaja, które nazywamy elementem żeńskim, i plemnika, który za element męski uważamy, stanowi fakt zapłodnienia. Obie te komórki zespolone razem tworzą jedną komórkę, pierwszą komórkę nowej żywiny, która dzieląc się teraz bardzo prędko da początek organizmowi podobnemu do ustroju rodziców. Tak jajo jak plemnik same dla siebie są normalnie komórkami niezdolnemi do rozwoju, do dalszego podziału, posiadają tylko jakąś energię potencyalną i jakby utajoną, która ujawnia się w całej pełni, skoro dwa te ustroje skojarzą się i zespolą w jedną całość. Przystąpmy już do dokładniejszego rozpatrzenia, jak się ten czyn, o który przyroda w obu królestwach świata żywotnego tyle starań i zabiegów łoży, odbywa.

Obserwacye dotyczące tej tajemnicy natrafiają na ogromne trudności. Ażeby je uskutecznić, trzeba wyszukać takie gatunki, których jajeczka zapładniają się poza organizmami, z których pochodzą, a zarazem są przezroczyste. Szczęściem łączą te warunki i znakomitego przedmiotu do tego rodzaju obserwacyj dostarczają liczne szkarłupnie w morzu żyjące. Na jajach szkarłupni udało się właśnie pierwszemu Hertwigowi dojść do szczegółowych i dokładniejszych rezultatów o tym procesie. Przypatrzmyż się więc tej rzeczy tak, jak ją nam pierwsze prace Hertwiga i Fola przedstawiają.

Wystarczy w wodzie morskiej pomieszać jaja szkarłupni, np. jakiego jeżowca, z jego plemnikami, by można pod mikroskopem śledzić poszczególne fazy zapłodnienia. Niezapłodnione jajo przedstawia się jako duża kula przejrzysta, składająca się z równomiernie ziarnistej protoplazmy, w której wnętrzu kryje się pęcherzyk jaśniejszy — jądro jaja. Na zewnątrz jajo otoczone jest miękką galaretowatą błoną. Bardzo drobne plemniki, by malutkie głowacze z długiemi ogonkami, otaczają w ogromnej ciżbie ze wszech stron jajo i zdążają do jego błony zewnętrznej. Z tych bardzo licznych plemników, pod względem których natura w obu państwach wspaniałomyślnie jest rozrzutną, jeden

tylko jest potrzebny do zapłodnienia i jeden tylko w rzeczywistości zapładnia jajo. Zadanie to spełnia ten, który pierwszy dotrze do mety, tj. do powierzchni jaja. Skoro plemnik przybliży się do galaretowej ścianki, natychmiast kora jaja tworzy małą wyniosłość, t. zw. stożek atrakcyjny *(cône d'attraction)*. W tem miejscu plemnik styka się główką z jajem, a za pomocą ruchów ogonka wwierca się w głębsze warstwy jego. Równocześnie na całej powierzchni jaja wytwarza się silniejsza błona, zamykająca szczelnie wstęp do wnętrza innym plemnikom. Jest to atoli dopiero zewnętrzne złączenie dwu komórek — zobaczmy, co się później dzieje, jak się odbywa wewnętrznie samo zapłodnienie.

Plemnik w jaju ulega teraz całemu szeregowi odmian — ogonek przestaje bić i znika powoli, główka zaś wciska się coraz głębiej w plazmę jaja i nabrzmiewa w jasne, małe ciałko sferyczne. Po jego zdolności chłonienia barwików karminowych poznajemy, że to jądro plemnika. Mamy więc obecnie wewnątrz jaja dwa jądra: jedno w samym środku *(Eikern, pronucléus femelle)*, drugie wysunięte bardziej ku obwodowi *(Spermakern, pronucléus mâle)*. Obydwa jądra przyciągają się wzajemnie i zdążają przez masy żółtkowe, pierwsze wolniej, drugie prędzej, ku sobie. Mniej więcej w środku jaja spotykają się; w miejscach zetknięcia spłaszczają się nieco, zatracają zwolna swoje odgraniczenia i tworzą jedno jądro. Teraz jajo jest zapłodnione i stanowi jedną komórkę z jednem jądrem w środku — jest to pierwsza komórka i pierwsze jądro świeżo poczętego zarodka. Dalszemu rozwojowi ontogenetycznemu już nic nie stoi na zawadzie.

Po tych spostrzeżeniach mógł słusznie Hertwig sformułować swoją teoryę zapłodnienia jako zespolenie dwu płciowo wyróżnionych jąder.

Cały zastęp badaczów, zaciekawiony temi wynikami, zabiera się teraz do podobnych poszukiwań w różnych grupach zwierzęcych, a wszystkie te prace pogłębiają tylko teoryę Hertwiga; nadto Strasburger przenosi ją wkrótce na rośliny.

W jednym tylko punkcie niektóre najnowsze spostrzeżenia zdawały się nie zgadzać z wspomnianym poglądem. Z teoryi Hertwiga wynikało, że do zapłodnienia jaja potrzebny jest i nor-

malnie użyty tylko jeden plemnik. Tymczasem obserwacye Rückerta, Oppela i innych nad zapłodnieniem zwłaszcza żarłaczy i płazów wykazały, że w tych przypadkach wchodzi do jaja nie jeden, lecz bardzo wiele plemników, że więc ma miejsce t. zw. polyspermia. Atoli sprzeczność to tylko rzekoma; polyspermia tych kręgowców potwierdza tylko zdanie Hertwiga, gdyż i tu jeden tylko plemnik uskutecznia zapłodnienie, reszta zaś rozdziela się w żółtku i służy tylko do użyznienia zapasów żółtkowych (Rückert).

Na wyjaśnienie wewnętrznego procesu zapłodnienia rzuciły najwięcej światła badania komórkowe. Ponieważ zapoznaliśmy się już dostatecznie z morfologią komórki, a zwłaszcza jądra, możemy więc bez trudności iść dalej w kwestyi zapłodnienia. W tym celu przejdziemy do najklasyczniejszego może przedmiotu w ostatnich latach dziesięciu badań zapłodnienia — do glisty końskiej. Pierwszy wpadł na ten przedmiot znakomity badacz belgijski van Beneden (1884), i otrzymał od razu świetne rezultaty, pogłębiające wysoce teoryę Hertwiga. Chodzi nam głównie o wewnętrzny proces zapłodnienia jajka, nim się więc tylko zajmiemy. Bezpośrednio przed tym aktem przedstawia nam jajo tego robaka następujący obraz. W łonie żółtka zawieszone są dwa jądra, nieco od siebie oddalone, męskie i żeńskie. Tym jądrom możemy się tutaj wygodnie a dokładnie przypatrzyć. W obu jądrach chromatyna zbiera się i przekształca w długą, zwiniętą nitkę, która następnie rozpada się na dwa pętlowate chromosomy; między niemi jedno lub kilka drobnych jąderek. Na zewnątrz oba jądra są obłonione. Ponieważ jądra same są stosunkowo duże a chromosomy nie są liczne, można wyraźnie i detalicznie obserwować dalsze ich losy. Po wytworzeniu osobnych chromosomów, oba jądra wyglądają pod każdym względem identycznie. Wkrótce stają one blizko siebie, rozpuszczają swe błonki; sok jądrowy miesza się z protoplazmą, jąderka znikają, a 4 chromosomy, dwa męskie, dwa żeńskie, zawieszone są bezpośrednio w protoplazmie. Obecnie pętle nasze ustawiają się w równiku jaja, rozłupują się znanym sposobem i przechodzą w stadyum metakinezy, skąd powstają dwie pierwsze zarodkowe

komórki, w taki sposób, że każda komórka potomna otrzymuje dwa chromosomy pochodzenia ojcowskiego, a dwa macierzystego. Nie zawadzi w tem miejscu dodać, że obserwacye Benedena potwierdził ks. Carnoy u wielu innych robaków, Boveri w innych grupach zwierzęcych, Strasburger zaś i Guignard u najrozmaitszych wyższych roślin.

Tym sposobem można za Benedenem, Boverim i Hertwigem wywnioskować zasadniczą, dla nas bardzo ważną regułę: połowa chromosomów pierwszej gwiazdy macierzystej zarodka pochodzi zawsze od ojca, a połowa od matki; nadto chromosomy męskie i żeńskie zgadzają się z sobą całkowicie tak w wyglądzie, jak też w reakcyach swoich, i nie wykazują prócz pochodzenia żadnej między sobą różnicy płciowej. I stąd wkońcu wypływa, że chromatyna, czyli substancya chromosomów, dostaje się zarodkowi w jednakowej ilości tak ze strony ojca jak ze strony matki.

Przeciwko temu prawu wystąpił niedawno niemiecki przyrodnik Auerbach. Znany i zasłużony ten badacz, posługując się barwieniami podwójnemi, zauważył w zwierzęcych komórkach rodzajnych, że chromatyna jaja barwi się czerwono, a plemnika niebiesko. Stąd wyciągnął wniosek, że jądra generatywne różnią się między sobą płciowo, mianowicie żeńskie miałyby być erytrofilne, zaś męskie cyanofilne. Spostrzeżenia Auerbacha potwierdzili Schottländer i Rosen u roślin, i przychylili się do jego poglądu. Zapatrywanie to jednak nie jest dostatecznie uzasadnione. Słusznie też występują przeciwko niemu Hertwig, Boveri, Strasburger i Raciborski. Widzieliśmy już wyżej, że chromatyna jądra, jakkolwiek należy do substancyj cyanofilnych, może być w pewnych stadyach erytrofilną. Dlatego też, kiedy się chce wykazać zasadniczą różnicę płciową między chromatyną pochodzenia męskiego a żeńskiego, trzeba je badać w jednakowych, ile możności identycznych stadyach. Tymczasem jeśli się bada osobno plemniki a osobno jaja, ma się do czynienia z komórkami płci różnej, które się znajdują w zupełnie odmiennych stadyach i posiadają całkiem różną strukturę. Za stadya do pewnego stopnia identyczne można uważać chwilę, kiedy oba jądra, męskie i żeńskie, mają się zespolić w łonie jaja. Otóż spostrzeżenia Lukjanowa,

i zwłaszcza na wielu grupach roślin umyślnie *ad hoc* przeprowadzone doświadczenia Raciborskiego, wykazują z wszelką oczywistością, że łączące się jądra męskie i żeńskie, przedewszystkiem zaś chromatyna, nietylko co do kształtu i co do ilości, ale i pod względem chromatofilii są zupełnie jednakowe. Prócz tego Raciborski widzi zawsze i w jądrach erytrofilnych bardzo delikatny zrąb cyanofilny, który tylko nie jest dość wyraźny z powodu cienkości i może częściowego pokrycia masą erytrofilną. Tak więc i modna dzisiaj chromatofilia nietylko nie narusza w niczem podstawowego prawa, ale owszem dosadniej jeszcze je stwierdza.

Wróćmy jeszcze do samego aktu zapłodnienia. Wiemy już, jak się chromatyna w tym procesie zachowuje — atoli w komórce poznaliśmy nieco więcej rzeczy. Co się z niemi dzieje? Co porabiają podczas tej ważnej sprawy drobne centrosomy, archoplazma, cała figura achromatyczna?

W rzeczy samej głębsze zbadanie tych rzeczy, datujące się od lat kilku, przyczyniło się niemało do szczegółowszego i dokładniejszego wyjaśnienia objawów zespolenia komórek płciowych. Pierwsi, prawdziwie szczęśliwi wybrańcy losu, którym udało się obserwować te dziwnie interesujące zjawiska, byli wytrawni badacze w kwestyi komórki i zapłodnienia, Fol i Guignard (1891). Pierwszy z nich oglądał te rzeczy u jeżowców, drugi u roślin, zwłaszcza u lilii. Warto przypatrzyć się tym szczegółom, uzupełniającym teoryę Hertwiga.

Już przed Folem badania Boveriego i braci Hertwigów wykazały dostatecznie, że i jajo i plemnik jeżowców mają po jednym centrosomie; dopiero jednak obserwacye Fola wyświeciły wzajemną odnośnię tych rzeczy w chwili zapłodnienia. — Centrosom plemnika towarzyszy mu w jego pochodzie ku jądru jaja, krocząc raźnie przed nim i zaznaczając swoją obecność wyraźnem promieniowaniem w protoplazmie. Centrosom żeński nie odstępuje znowu od swojego jądra. Kiedy oba jądra mają się zespolić, centrosomy ustawiają się mniej więcej w równiku jaja na przeciwnych końcach. Po akcie zespolenia jąder dzielą się oba centrosomy, tak iż widzimy po jednej i po drugiej stronie parę sprzężonych delikatną wstęgą centrosomów, z których jedna

para jest pochodzenia żeńskiego, druga męskiego. Następnie łącząca wstążeczka rozrywa się, oba ciałka jednej i drugiej pary rozchodzą się w przeciwnych kierunkach, aż opisawszy czwartą część koła, przychodzą na przeciwległe bieguny. Teraz na każdym biegunie znajduje się para ciałek, z których jedno należało przedtem do pary żeńskiej, drugie do męskiej. Na biegunach ciałka te zespalają się i tworzą całkowite centrosomy pierwszej figury achromatycznej zarodka. Oba więc pierwsze centrosomy zarodka składają się z dwu połówek, z których jedna zawdzięcza swój początek jaju, druga plemnikowi. Ciekawe te obroty połówek centrosomów musiały wprawić Fola najpierw w zdumienie, a potem w bardzo dobry humor, bo całe to zjawisko nazwał kadrylem środków *(quadrille de centres)*. Nazwa ta, jak każdy widzi, nie bardzo jest naukową, ale może właśnie dlatego ułatwia bardzo uprzytomnienie sobie i spamiętanie całego zjawiska.

W tym samym roku odkrył centrosomy w roślinach Guignard i opisał, w ślicznej swej pracy o zapłodnieniu, zachowanie się ich podczas tego procesu. Znakomite usługi wyświadczyła mu w tej mierze dzika lilia, i u nas po zapustach i gajach rosnąca *(Lilium Martagon)*, klasyczny przedmiot komórkowych badań roślinnych. Znaną jest rzecz, że u roślin jawnokwiatowych jaja znajdują się w woreczkach zalążkowych, plemniki zaś mają kształt pyłku pręcikowego. Pyłek pada na znamię szyjki, kiełkuje na niej, wysyłając małą pochewkę, t. zw. łagiewkę, aż do okienka zalążka. Na szczycie łagiewki znajduje się jedno jądro generatywne plemnikowe, a tuż przed niem postępuje para jego centrosomów. Równocześnie jądro jaja układa się mniej więcej tak, iż para jego centrosomów czeka na spotkanie. Tymczasem łagiewka ominąwszy szczęśliwie wszelkie niebezpieczne szczeliny, dociera do samego jaja, rozpuszcza się — i dwie pary centrosomów stają naprzeciwko siebie, przegradzając oba jądra rozrodcze. Następnie jeden centrosom plemnika sprzęga się z jednym centrosomem jaja, tworzą się więc nowe pary centrosomów, które się rozchodzą w przeciwnym kierunku, w prostej linii na bieguny. Teraz jądra nie mają między sobą żadnej przegrody, więc zespalają się razem. Na biegunach zespalają się również dość

ściśle skojarzone pary i tworzą pierwsze centrosomy poczętej nowej roślinki.

Ciekawe te obserwacye zdają się uzupełniać teoryę Hertwiga w ten sposób, że w zapłodnieniu wewnętrznem ma miejsce nietylko zespolenie jąder, lecz także centrosomów wraz z ich obwódkami czyli astrosferami. W taki też sposób przedstawia zapłodnienie sam Hertwig w najnowszem wydaniu swej embryologii i w swojej książce o komórce.

Z pięknego studyum Guignarda skorzystał również w rok później Strasburger, przyczem rozszerzył je teoretycznie i wzbogacił nowszemi spostrzeżeniami. Strasburger przechodzi kolejno wszystkie niemal ważniejsze grupy roślinne, od glonów zielonych począwszy, i wykazuje, że komórki generatywne, zwłaszcza plemniki, przynoszą z sobą do jaja nie samo jądro z chromatyną, lecz nadto centrosomy z sferami i jakąś małą część protoplazmy. Ową część protoplazmy, z której, zdaniem Strasburgera, powstają włókna wrzecionek i promieniowanie biegunowe, nazywa zasłużony ten botanik kinoplazmą. Tym sposobem rezultat ostateczny Strasburgera brzmi, że w czynie zapłodnienia u roślin biorą udział trzy składniki: jądro, centrosomy, kinoplazma. Jeśli kinoplazmę zostawimy na uboczu, dlatego że o niej można a nawet w pewnej mierze należy jeszcze powątpiewać, to zapatrywanie Strasburgera zejdzie się zupełnie z poglądem Hertwiga. Atoli czy i ten pogląd, który jest tylko uogólnieniem faktu opisanego przez Fola i Guignarda, jest już dowodnie niezbitym? Czy uogólnienie to nie jest jeszcze przedwczesnem? Zapewne nie można twierdzić stanowczo, że pogląd ten jest fałszywy; z Boverim atoli można jeszcze powątpiewać o jego prawdziwości, a przynajmniej o aplikacyi ogólniejszej. Przecież łatwo być może, że kadryl środków występuje tylko w pewnej grupie niższych zwierząt, np. szkarłupni. Zresztą i badań Fola nikt jeszcze nie potwierdził w innych grupach zwierzęcych, ni nawet na jeżowcach samych, a jednak pościągana nieco protoplazma w jego figurach nie bardzo wygląda na stan normalny. O ile nam wiadomo, profesor Kostanecki robi od dłuższego czasu w tym właśnie kierunku specyalne studya; znana zręczność i ścisłość obserwacyi ana-

toma krakowskiego spodziewać się każe, że praca jego wyświeci dokładnie ten punkt nie dość jasny w dzisiejszej teoryi zapłodnienia.

Skeptycyzm też Boveriego wobec kadryla Folowskiego nie iest bezpodstawnym. Z własnych jego badań nad *ascaris* (1888) i równoczesnych lecz niezależnych Vejdovskyego nad jednym z pierścieniowatych robaków *(rhynchelmis)*, wynikałoby, że centrosomy pierwszej figury achromatycznej poczętego płodu nie pochodzą od obojga przodków, jakby podług Fola być powinno, lecz wyłącznie z podziału centrosomu plemnikowego. Obaj też badacze i po ogłoszeniu pracy Fola obstają przy swoich dawniejszych spostrzeżeniach.

Dlatego też Boveri postawił własną teoryę zapłodnienia, do której skłaniają się częściowo Vejdovsky, Henking i Brauer, a która, jak zobaczymy, schodzi do pewnego stopnia praktycznie przynajmniej na pierwotną Hertwiga. Zawadźmy słówkiem o ten pogląd zajmujący niemało. Zapłodnienie u istot żyjących trzeba wyprowadzić jeśli nie filogenetycznie, to przynajmniej idealnie od połączenia dwu komórek całkiem równowartościowych tak pod względem protoplazmy, jak jądra i centrosomów. Na wyższych dopiero szczeblach nastąpiło wyspecyalizowanie na komórki jajowe i plemnikowe. Od tego wyróżnienia wolnemi zostały tylko jądra komórkowe, które i obecnie są równowartościowe we wszystkich grupach zwierzęcych i roślinnych. Wyróżnienie zatem musiało się ograniczyć na protoplazmę i centrosomy. Protoplazma gromadzi się bardzo obficie w jaju, natomiast w plemniku zanika prawie zupełnie. Przed niewielu laty utrzymywano nawet dosyć powszechnie, że plemniki zwierzęce i roślinne składają się jedynie z chromatyny jądrowej i resztek plazmatycznych, złożonych w ogonku; w ostatnich latach po odkryciu centrosomów liczne prace wykazały, że i w plemnikach jest prócz chromatyny także centrosom z jakąś cząstką protoplazmy, która, być może, odpowiada archoplazmie Boveriego. Tym sposobem plemnik, nie posiadając dostatecznej ilości protoplazmy, a więc niezbędnego środowiska, nie jest zdolny do dalszego rozwoju — do tego potrzebuje uzupełnienia ze strony

jaja, jego protoplazmy. I rzeczywiście, jak z różnych doświadczeń wynika, plemniki mogą się w plazmie jaja rozwijać czyli dzielić doskonale i bez zespolenia z jądrem żeńskiem. Atoli i jajo samo przez się nie może się dalej dzielić, chociaż posiada i jądro i zasób plazmy niemały — a więc, wnioskuje Boveri, owa niezdolność jaja, skoro nie ma swej racyi ni w jądrze ni w protoplazmie, musi ją mieć w centrosomie, który sam nie może już udzielić wystarczającego bodźca do podziału, lecz potrzebuje pomocy, uzupełnienia ze strony centrosomu plemnikowego. Centrosom zatem jaja byłby właściwie niepotrzebny w akcie zapłodnienia; i zdaje się, że najczęściej niema go już wcale, gdzie zaś jest, tam stanowi organ zanikowy, tak iż zespolenie jego z centrosomem męskim byłoby tylko, podług Boveriego, reminiscencyą filogenetyczną. Tym sposobem, podług tegoż autora, koniecznym i dostatecznym warunkiem zapłodnienia byłoby nie połączenie jąder męskiego i żeńskiego, lecz jedynie wstąpienie męskiego centrosomu na miejsce żeńskiego; zaś zespolenie jąder czyli składników chromatynowych byłoby celem zapłodnienia i pod tym kątem widzenia jego istotą.

Czy jednak studya Guignarda i Strasburgera nad zapłodnieniem roślin nie obalają stanowczo zapatrywań Boveriego? Zdaje się, że na razie tego powiedzieć nie można. Z prac ich oczywista jest, że plemniki w całem państwie roślinnem nie składają się z samej tylko chromatyny, lecz że uposażone są zawsze w centrosfery i jakąś minimalną cząstkę protoplazmy; atoli badacze ci nie wykazali jeszcze dowodnie, że centrosfery i w jaju zawsze występują, i to nie osłabione, szczątkowe, jak Boveri przypuszcza, ale z całą zdolnością wykonywania swoich funkcyj.

Do poglądu monachijskiego badacza dołączam jeszcze dwa słowa. Gdyby się za lat kilka pokazało z jednej strony, że centrosom wywodzi ród swój z jądra, co jak dzisiaj rzeczy stoją bardzo jest możliwem, a nadto z drugiej strony, że zapatrywanie Boveriego na zanikowy centrosom jaja nie mija się z prawdą, co również na razie niemożliwością nie jest — tobyśmy mogli powiedzieć i krótko i z wystarczającą dla przyrodnika ścisłością, że akt zapłodnienia polega faktycznie na zespoleniu dwu jąder

płciowo wyróżnionych, słowo w słowo to samo, co Hertwig przed 15 laty powiedział.

Jajo zapłodnione zdolne jest do dalszego rozwoju, i postawione w odpowiednich warunkach, rozwija się rzeczywiście, tj. dzieli się bardzo prędko. Rozwija się jednak, podług pewnych praw, w organizm, który jest całkiem podobny do rodzicielskiego — otrzymuje zatem przez zapłodnienie nietylko zdolność do rozwoju, ale nadto odziedzicza po swoich przodkach cechy ich i własności. — Głośny botanik Naegeli, w dziele swem o ewolucyi z r. 1884, doszedł logicznie do wniosku, że w komórkach generatywnych trzeba wyróżnić dwa rodzaje plazmy: jedną, która występuje w równych ilościach tak w komórce męskiej jak żeńskiej, drugą, która w jaju zwłaszcza jest obficie nagromadzoną i służy do odżywiania. Pierwszy rodzaj nazwał idioplazmą, drugi plazmą odżywczą. Tym sposobem Naegeli określił logiczną potrzebę przyjęcia jakiegoś materyalnego substratu dziedziczności, jakkolwiek nie oznaczył dokładnie, któraby to substancya ze znanych nam w komórce miała posiadać ten ważny przymiot. Dopiero Strasburger i O. Hertwig, następnie Kölliker i Weismann związali teoretyczne pojęcie idioplazmy z danemi nauki o zapłodnieniu i doszli jednozgodnie do rezultatu, który niżej stwierdzimy, że za substancyę dziedziczności trzeba uważać chromatynę jąder generatywnych. Niedługo potem hipoteza ta przyjętą została przez Weigerta, Benedena, Boveriego, Bütschliego, R. Hertwiga, i znalazła bardzo przychylne przyjęcie we wszystkich kołach przyrodniczych.

Że jakiś materyalny, anatomiczny substrat dziedziczności być musi, na to się dzisiaj wszyscy przyrodnicy bez trudności godzą, a i z punktu filozoficznego możeby się dało więcej za niż przeciw powiedzieć. Nie mamy więc dostatecznych racyj powątpiewać o tem. Trudniejsza sprawa, gdy idzie o namacalne pokazanie, która to część komórki jest ową prawdziwie wielmożną panią. Hipoteza atoli, która uważa chromatynę za tego rodzaju przenosicielkę własności dziedzicznych, wcale nie jest bezpodstawną. Przemawia za nią bardzo wiele i to wcale poważnych

racyj — niektóre dla niektórych przynajmniej mogą być zupełnie przekonywające. Rozważmy nasamprzód jeden dowód, polegający, jak się O. Hertwig wyraża, na równowartościowości męskiej i żeńskiej masy dziedzicznej.

Z codziennego doświadczenia na wszelkiego rodzaju żywinach wynika z wszelką oczywistością, że na ukonstytuowanie płodu i męska i żeńska strona mają wpływ jednakowy, czyli udzielają potomstwu substancyi dziedzicznej tej samej wartości. Zdarzają się wprawdzie fakty, że płód jest bardziej do jednego niż do drugiego podobny rodzica, ale te właśnie fakty, przemawiające jednakowo za jedną i za drugą stroną, stwierdzają tylko zasadniczą równowartościowość w tej mierze obojga rodziców. — Otóż w jaki sposób mogą rodzice wywrzeć tego rodzaju wpływ na swoje potomstwo? Przez posag, jaki mu sprawiają — a więc przez plemnik i jajo. Atoli wiana te nie wyglądają jednakowo; za substancyę więc dziedziczności można uważać tylko ową cząstkę posagu, która po obu stronach występuje równowartościowo. A widzieliśmy, że tem mogą być jedynie jądra, zwłaszcza chromosomy.

Przed dziesięciu laty, kiedy nie znano jeszcze centrosomów i kiedy utrzymywano powszechnie, że plemniki samą prawie tylko chromatynę zawierają, argument ten nic nie pozostawiał do życzenia, zwłaszcza gdy w r. 1889 Boveri wystąpił z nader ciekawemi doświadczeniami, które zdawały się wszelkie wątpliwości usuwać. Pozwolę sobie w streszczeniu przytoczyć owe doświadczenia.

Dwa lata przedtem bracia Hertwigowie wykazali, że można dojrzałe jaja jeżowców przez dłuższe wstrząsanie rozłupać na kilka kawałków, z których w jednym pozostaje jądro, inne zaś są bezjądrowe, że nadto takie kawałki bezjądrowe można przez wprowadzenie plemnika zapłodnić i pobudzić do dzielenia się. Następnie Boveri przekonał się, że z takich fragmentów bezjądrowych zapłodnionych wykluwają się w pomyślnych warunkach larwy podobne zupełnie do normalnych, jeno karłowate. Na tej podstawie przeprowadził następujące doświadczenie. Obrał dwa różne jeżowce: *echinus microtuberculatus* i *sphaerechinus granularis*, które mogą się mieszać wzajemnie, w swoich zaś lar-

wach wykazują bardzo znaczne różnice. Otóż jeśli się pomiesza jaja *sphaerechinus*'a z plemnikami drugiego gatunku, otrzymuje się typowe mieszańce, tj. formy stojące w pośrodku między formami normalnemi. Jeżeli natomiast wstrząśnie się wspomniane jaja przed dodaniem plemników, tak iżby prócz jaj nienaruszonych znajdowały się także fragmenty jaj z jądrami i bezjądrowe, rezultat będzie całkiem odmienny. Duże larwy wyklute z jaj nienaruszonych posiadają typową formę mieszańców; taką samą formę posiada większość larw karłowatych — mniejsza zaś część ostatnich zbudowana jest podług czystego typu plemnikowego. Wniosek był oczywisty, że plazma jaja nie ma żadnego wpływu na dziedziczność, że wyłącznem jej siedliskiem musi być jądro.

Po zapoznaniu się z centrosomami, zwłaszcza z ich zachowaniem się w kadrylu Fola, zaczęły się tu i ówdzie podnosić głosy i przeciw owemu rozumowaniu i przeciw doświadczeniom Boveriego. Stanowczo wypowiedzieli się przeciwko tej hipotezie Verworn, Bergh i Haacke. Verworn zrobił to najsłabiej, opierając się na swoich bardzo skądinąd instruktywnych doświadczeniach nad pierwoszczakami. Bergh i Haacke zgadzają się w pewnych punktach, mianowicie: centrosom należy do protoplazmy, nie jądra, i winien być także zaliczony do substancyj dziedzicznych. Racye następujące: z doświadczeń Fola wynika, że pierwsze centrosomy zarodka zawdzięczają swe pochodzenie, podobnie jak chromatyna, i plemnikowi i jaju; nadto w doświadczeniach Boveriego fragmenty bezjądrowe musiały też nie posiadać centrosomu, z drugiej zaś strony w plemnikach da się prócz chromatyny odnaleść centrosom i nieco protoplazmy. Podczas gdy jednak Bergh stawia jako substancyę dziedziczności centrosom obok jądra równorzędnie, nie włączając w to reszty protoplazmy, Haacke idzie dalej i twierdzi stanowczo, że nie chromosomy, lecz centrosom i protoplazma są głównem siedliskiem owej właściwości biologicznej. Atoli nowych dowodów Haacke nie przytacza żadnych, prócz swoich krzyżowań przeprowadzonych na tysiącach krasych i tańcujących myszy. Dowód z pewnością ciekawy, lecz może nieco za daleki.

Czy mają słuszność ci autorowie, wciągając do substancyi

dziedziczności nietylko chromatynę, lecz także centrosom i plazmę? Co się tyczy protoplazmy, to faktycznie nie mamy dotychczas żadnego powodu przypisywać jej takie znaczenie, natomiast nad centrosomami warto się zastanowić. — O. Hertwig w ostatnim rozdziale swojej książki o komórce przyjmuje, pokonany prawdopodobnie wywodami Bergha, za substancyę dziedziczności nie samą chromatynę, lecz i centrosomy; ponieważ jednak centrosomy zalicza do składników jądra, więc wyraża się ogólnie, że jądro jest substratem dziedziczności. Natomiast Boveri, R. Hertwig i wielu innych nie zgadzają się wcale na wywodzenia duńskiego badacza. Pomijając bowiem już to, że teorya zapłodnienia Boveriego nie okazała się jeszcze dowodnie fałszywą, autorowie ci podnoszą, że o ile dotychczas poznaliśmy centrosom, głównem jego zadaniem, jak to już wyżej zaznaczyliśmy jest funkcyonować jako organ środkowy podczas dzielenia się jąder, że więc nie można mu przyznawać jakiejś ważniejszej roli w dziedziczności. W taki też sposób zapatruje się na centrosomy największa część przyrodników, co się specyalnie ich badaniem zajęli. To zaś, że pewna garstka badaczów uważa centrosomy za jakieś tylko punkty mechaniczne, nie za twory *sui generis*, ni za specyalne organa komórkowe, przemawiałoby jeszcze bardziej za tem, że one nie mogą być żadną miarą siedliskiem dziedziczności.

Chociażbyśmy zatem przyjęli, że do zapłodnienia należy nieodzownie zespolenie nietylko jąder, lecz i centrosomów, jak się to dzisiaj może najczęściej robi, to jeszcze nie mamy racyi dostatecznej utrzymywać, że w posag dziedziczny właściwy wchodzi nie sama tylko chromatyna, ale i substancya centrosomów.

Za takiem pojmowaniem chromatyny przemawia jeszcze w bardzo wysokim stopniu jedna racya, którą pokrótce teraz przejdziemy. Siła tego dowodu zależy od zrozumienia wielu szczegółów, dlatego cierpliwy czytelnik raczy skupić ile możności swoją uwagę.

Każdy organizm roślinny czy zwierzęcy jest w pierwszej chwili poczęcia swego jedną komórką. Komórka ta posiada pe-

wną, stałą ilość chromosomów, a dzieląc się karyokinetycznie, przenosi tę samą ilość porcyj chromatynowych do wszystkich komórek rozwiniętego ustroju. Atoli, jak widzieliśmy wyżej, nietylko każdy organizm ma w swoich komórkach stałą ilość chromosomów; najrozmaitsze też osobniki tego samego gatunku nie różnią się między sobą w tym względzie. Kiedy dwa takie ustroje dojrzeją, dają początek nowemu organizmowi swego gatunku — a robią to przez oddanie dwu, przynajmniej pod względem chromatyny równych sobie, komórek generatywnych. Jajo zatem zapłodnione, pierwsza komórka płodu, powstawszy ze zlania dwu komórek, winnaby mieć podwójną ilość chromosomów, potomkowie tej poczwórną, i tak wielość chromosomów u osobników tego samego gatunku rosłaby geometrycznie w nieskończoność. Tymczasem nie spotykamy tego w żadnym ustroju; zdaniem wszystkich badaczów, natura przestrzega jak najstaranniej owej stałości chromosomów. Jak się to dzieje? Dojrzałe komórki generatywne wykazują zawsze tylko połowę normalnej ilości chromosomów. — Atoli komórki te pochodzą od innych komórek ustroju, pochodzą ostatecznie od pierwszej komórki zarodka, a pochodzą znaną nam drogą karyokinezy! Skąd się więc bierze w nich nagle ilość chromosomów o połowę zmniejszona? Oto zagadka bardzo ważna a wcale niełatwa do rozwiązania. Może warto wejść nieco w rzeczy nie bardzo jasne i mocno zawikłane, by sobie choć w części zdać sprawę z tak ciekawego zjawiska.

Ponieważ końcowy proces dojrzewania jaj i plemników u roślin jest, zdaje się, bardziej skomplikowany aniżeli u zwierząt — zaczynam od ostatnich. Jaja i plemniki zwierząt wytwarzają się w osobnych organach, jajnikach i jądrach. W narządach tych komórki generatywne przechodzą różne fazy swego rozwoju. Po znakomitych pracach Benedena, O. Hertwiga, Boveriego i innych, wyróżniamy zazwyczaj trzy główne stadya rozwoju komórek rozrodczych.

W pierwszem stadyum czyli okresie, komórki generatywne wyszedłszy z tkanki niewyróżnionej, dzielą się i rozmnażają licznie. Nazywamy w tem stadyum komórki męskie spermatogoniami, żeńskie owogoniami.

Po tym okresie dzielenia się następuje nieraz bardzo długi okres wzrostu, w którym komórki generatywne nie dzielą się wcale, jeno zwiększają swą masę i objętość. Zowiemy je w tej fazie rozwoju spermatocytami, *resp.* owocytami I. rzędu.

Urosłszy do odpowiedniej wielkości, przechodzą komórki w ostatnie stadyum, w okres dojrzewania, w którym odbywają się właśnie najciekawsze, nas przedewszystkiem obchodzące procesy. Na pierwszy rzut oka procesy te w spermatocytach i owocytach przebiegają całkiem odmiennie, dlatego przypatrzmy się im z osobna. Zacznijmy od komórek męskich.

Każda spermatocyta I. rzędu dzieli się karyokinetycznie na dwie komórki potomne, które za Boverim możemy nazywać spermatocytami II. rzędu. Atoli dwie te komórki siostrzane nie przechodzą, jak się to zazwyczaj dzieje, w stan spoczynku, jeno bezpośrednio po pierwszym podziale dzielą się powtórnie, wskutek czego otrzymujemy nowe komórki, które teraz zmienią tylko swój kształt zewnętrzny i będą dojrzałemi plemnikami. Z każdej zatem spermatocyty I. rzędu wytwarzają się cztery spermatydy czyli plemniki.

Nie tak prosto przedstawia się dojrzewanie owocyty I. rzędu, zwanej również często jajem niedojrzałem. Zjawiska dojrzewania jaj były przedmiotem wielu walk i sporów, aż w ostatnich latach wyświecono je prawie zupełnie. Przyczynili się do tego Bütschli, Giard, Mark, Boveri i przedewszystkiem O. Hertwig. Podług ich badań, wielokrotnie i u różnych zwierząt skonstatowanych, proces dojrzewania jaj tak się odbywa. Jądro owocyty pierwszego rzędu występuje ze środka komórki i posuwa się ku obwodowi; kiedy przyszło na sam brzeg, owocyta wypukla się nieco w tem miejscu; i następuje normalna mitoza: chromosomy rozstępują się, część zostaje w jaju, część zaś z małą cząstką protoplazmy oddziela się od owocyty, tworząc tym sposobem małą komórkę, znaną już od dłuższego czasu jako pierwsze ciałko kierunkowe. Jądro pozostałe w owocycie dzieli się znowu mitotycznie, nie przechodząc w stan spoczynku, i wydziela t. zw. drugie ciałko kierunkowe. Teraz dopiero chromosomy nie wydzielone z jaja cofają się ku środkowi, przechodzą

w stadyum spoczynkowe — i mamy jajo dojrzałe. — Pierwsze ciałko kierunkowe może się nieraz podzielić jeszcze na dwie komórki, tak iż obok dojrzałego jaja dużego możemy obserwować trzy drobniutkie kuleczki. Widzimy zatem, że proces dojrzewania jaja odpowiada zupełnie tworzeniu się plemników w ostatnim okresie. Ciałka kierunkowe są rzeczywiście komórkami, ale komórkami zanikowemi; i jeśli owogenezę zestawimy z spermatogenezą, to z punktu widzenia czy to ewolucyjnego czy nawet konsekwentnej klasyfikacyi, możemy powiedzieć, że owocyta I. rzędu dzieli się na dwie komórki, owocyty II. rzędu, te zaś dzielą się ponownie i otrzymujemy cztery jaja dojrzałe, z których jednak jedno jest tylko normalne, a trzy zanikowe. A więc pierwsze ciałko kierunkowe byłoby owocytą rzędu II., zaś jej pochodne jakoteż drugie ciałko kierunkowe byłyby szczątkowemi jajami.

Ciałka kierunkowe sławne są jeszcze z tego, iż odegrały nie tak bardzo dawno ważną rolę w teoryi zapładniania. Kiedy nie znano jeszcze natury i znaczenia tych tworów, przypisywano im najdziwaczniejsze role i na tem budowano teorye. Odnoszą się tu głównie zapatrywania Sedgwicka-Minota i Benedena, popierane częściowo przez Balfoura i Sabatiera, znane pod nazwą hermafrodytyzmu komórkowego. Podług tej hipotezy każda komórka jakiegokolwiek ustroju roślinnego czy zwierzęcego, jest hermafrodytyczną. Takiem też jest konsekwentnie i jajo niedojrzałe. Dopiero przez wytworzenie ciałek kierunkowych, jajo pozbywa się substancyj męskich a zatrzymuje masy wyłącznie żeńskie. Odwrotny proces musiałby się odbyć w czasie dojrzewania spermatyd. Przez zapłodnienie tworzyłaby się za to pierwsza komórka zarodka, zdolna do dalszego podziału, bo hermafrodytyczna. — Teorya niewątpliwie bardzo suggestywna, tylko że po wyświeceniu procesów spermatogenezy i znaczenia ciałek kierunkowych straciła wszelką racyę bytu. — Coś analogicznego utrzymywał dawniej także Weismann; upatrywał mianowicie w jednem ciałku kierunkowem wydzielenie specyalnej idioplazmy jajotwórczej, w drugiem zaś wydalenie pewnych plazm pradzia-

dowych. Dzisiaj atoli sam już w to nie wierzy. Niema więc potrzeby zajmować się tem dłużej.

Doszliśmy zatem do rezultatu, że owocyty i spermatocyty przechodzą w okresie dojrzewania te same fazy, mianowicie dwa podziały mitotyczne bezpośrednio po sobie następujące, po których otrzymujemy dojrzałe jaja i plemniki gotowe, tj. z chromatyną do połowy zredukowaną.

Weźmy teraz na uwagę same dwie mitozy ostatnie, byśmy choć trochę mogli zrozumieć zagadkowy proces redukcyi. Zajęli się tą kwestyą ogromnej doniosłości dla wszelkiej teoryi dziedziczności: Weismann, Boveri, O. Hertwig, Henking, Rückert, Brauer, uczniowie Weismanna: vom Rath, Haecker, Ishikawa i wielu innych zwłaszcza w ostatnich paru latach. Piękny i ile możności bezstronny a zaokrąglony referat o pracach najnowszych w tym względzie podał nam świeżo Rückert.

Na tem miejscu nie chodzi nam o różne teoretyczne znaczenia przypisywane redukcyi, jeno o zrozumienie samego faktu, jaki w czasie dojrzewania komórek generatywnych ma miejsce. Przez to ścieśnienie zyskamy dużo na krótkości i jasności.

Weismann i O. Hertwig pojmują redukcyę mniej więcej w sposób następujący. Komórki generatywne, co przeszły już okres wzrostu i mają odbyć przedostatnią karyokinezę przed swoją dojrzałością, nie wykazują normalnej liczby chromosomów, ale ilość zdwojoną. Ponieważ np. pewna odmiana glisty końskiej posiada normalnie 4 chromosomy, to w tem stadyum znaleźlibyśmy ich 8. Teraz następuje karyokineza. Otóż gdyby się ona normalnie odbywała, jakeśmy to w morfologii komórkowej widzieli, to 8 chromosomów winnoby się rozłupać, a komórki potomne powinnyby otrzymać znowu po 8 pętli chromatynowych. Tak jednak faktycznie nie jest. Siostrzane komórki mają tylko po 4 pętle, a więc z 8 chromosomów połowa weszła do jednej a połowa do drugiej. Po tej mitozie następuje bezpośrednio druga, ostatnia. Ale ta odbywa się podobnie jak poprzednia, tj. połowa chromosomów zdąża na jeden biegun, połowa na drugi. Oczywista rzecz, że ostatnie komórki generatywne, już dojrzałe, otrzymują tym sposobem tylko po 2 chromosomy, tj. połowę ilości

normalnej. Obiedwie karyokinezy różniłyby się od zwykłych tem, że tu chromosomy nie rozłupują się, jeno rozdzielają się na dwie części; oba podziały byłyby redukcyjnemi, jak je Weismann nazywa w przeciwstawieniu do normalnych czyli ekwacyjnych. Redukcya zatem chromatyny w komórkach generatywnych dojrzałych tłumaczyłaby się w ten sposób, że w ostatniej fazie dojrzewania ma miejsce najpierw zdwojenie chromosomów, a następnie dwa podziały redukcyjne.

Takie jednak tłumaczenie redukcyi, którego Weismann, i w swój sposób Hertwig trzymają się jeszcze i w najnowszych pracach, nie zgadza się, jak dotychczas rzeczy stoją, we wszystkich szczegółach z faktami. Już dawniej Boveri i Henking, a w ostatnich latach mnóstwo niezmordowanych badaczów konstatuje ciekawe zjawisko, że z początkiem okresu dojrzewania w komórkach generatywnych występują właściwie porcye chromatyny w ilości zredukowanej czyli wynoszącej połowę stałej, normalnej liczby chromosomów. Porcye te przedstawiają się najczęściej jako t. zw. grupy czwórkowe — tj. każda taka porcya składa się z 4 kulek, pałek, lub owalnych ciałek, połączonych razem w jedną całość. Takie grupy czwórkowe, mogące zresztą występować w najrozmaitszych formach, zauważono dotychczas prawie we wszystkich typach zwierzęcych. Przekonywamy się zatem, że już w tym punkcie, tj. jeszcze przed obu ostatniemi mitozami, mamy do czynienia z pewnego rodzaju redukcyą — że więc wytłumaczenia redukcyi nie można upatrywać w samych tylko podziałach. Trzeba zatem poznać, jak grupy czwórkowe powstają. Badając komórki generatywne w poprzednich stadyach, możemy łatwo skonstatować, że one wyposażają spermatocyty, *resp.* owocyty I. rzędu normalną ilością chromosomów. Skąd się jednak biorą później na ich miejsce zredukowane o połowę grupy czwórkowe? Kwestya to niewyjaśniona jeszcze całkowicie, i trudno o niej orzec coś stanowczego. Dotychczas mamy w tym względzie dwa zapatrywania nieomal dyametralnie przeciwne. Jeden pogląd, który się opiera prawie wyłącznie na jednym robaku, sławnej gliście końskiej, drugi ma za sobą bardzo liczne spostrzeżenia na wielu zwierzętach członkonogich i kręgowych.

Podług pierwszego, chromatyna ma występować z początkiem okresu dojrzewania w zmniejszonej o połowę liczbie chromosomów; poczem w stadyum kłębka każdy chromosom rozszczepia się tak, jak się to dzieje w każdej karyokinezie, z tą jednak różnicą, że rozszczepia się nie raz, ale dwa razy — tym sposobem mielibyśmy w istocie grupy czwórkowe i w ilości zredukowanej. Jeżeli pomyślimy sobie, że w kłębku leżą chromosomy zespolone jeden po drugim, jak *a, b, c*... to dla nitki rozszczepanej a nie podzielonej jeszcze na osobne chromosomy otrzymamy wzór *a* | *a, b* | *b, c* | *c*... zaś dla grupy czwórkowej w ten sposób powstałej, tj. chromosomu 2 razy rozszczepanego, wzór $\frac{a}{a}\,\frac{a}{a}$, $\frac{b}{b}\,\frac{b}{b}$... Łatwo teraz zrozumieć obiedwie późniejsze mitozy; będą to podziały zwyczajne czyli ekwacyjne; albowiem komórki potomne otrzymają taką samą ilość porcyj chromatynowych, tylko w grupach dwójkowych, a ostatnia generacya dostanie porcye chromatynowe niezłożone, tj. chromosomy normalne, w tej ilości, w jakiej spotkaliśmy grupy czwórkowe. Jedna tylko rzecz w obu mitozach byłaby osobliwą, że przygotowawcze rozszczepienie chromosomów odbywałoby się dla obu podziałów już na wstępie okresu dojrzewania.

Podług drugiego poglądu, prawdopodobniejszego według dotychczasowych obserwacyj, grupy czwórkowe wytwarzają się w nieco odmienny sposób. Pojawiające się również w ilości zredukowanej chromosomy rozszczepiają się najpierw podłużnie, przez co otrzymujemy zredukowaną ilość porcyj chromatynowych, lecz już dwójkowych; następnie chromosomy nasze przełamują się poprzecznie w połowie — rozumie się, że ponieważ 4 składniki, wytworzone z jednego chromosomu, zespolone są z sobą za pomocą lininy w jedną całość, w rezultacie mieć będziemy grupy czwórkowe podobnie jak w poprzednim przypadku. W gruncie rzeczy jednak różnica między temi dwoma przypadkami będzie dość znaczna. Grupa bowiem czwórkowa, powstała w drugi sposób a więc podług schematu = = = =, będzie miała wzór następujący: $\frac{a}{a}\,\frac{b}{b}$. Z czego widać również od razu, że i dwie mitozy następne nie będą mogły całkowicie odpowiadać karyokinezom w poprzednim przypadku. Podług obserwacyj Rückerta pierwszy

podział ma być ekwacyjny, tj. grupy czwórkowe rozdzielają się na dwuwartościowe w miejscu rozszczepienia, czyli na naszym wzorze w miejscu kreski poziomej; podczas gdy w karyokinezie ostatniej rozdzielą się podług kreski pionowej, tj. w miejscu przełamania, czyli będzie to podział redukcyjny.

Podług Rückerta zatem redukcya chromosomów takby się odbywała: początek jej gubi się gdzieś w okresie wzrostu komórek generatywnych i polega głównie na tem, że wypada jeden podział poprzeczny kłębka chromatynowego, wskutek czego chromosomy zostają po dwa razem sklejone; dokonywa się zaś redukcya w ostatniej mitozie z okresu dojrzewania, podczas której sklejone chromosomy rozstępują się na przeciwległe bieguny.

Fakt redukcyi skonstatowano wielokrotnie i niewątpliwie również u roślin, jakkolwiek jego geneza pozostawia wiele do życzenia. I u roślin można wyróżnić przynajmniej dwa stadya ostatnie w rozwoju komórek generatywnych — okres wzrostu i okres dojrzewania. Komórki generatywne w okresie wzrostu nazywamy tu od dawna komórkami macierzystemi. Te urósłszy do odpowiedniej, nieraz bardzo znacznej wielkości, zaczynają się dzielić. Atoli skoro chromosomy wyosobnią się pod koniec stadyum kłębkowego, widzimy je od razu w liczbie o połowę zmniejszonej, mimo że komórka macierzysta dostała w posagu od rodzicielki swojej ilość normalną pętli chromatynowych. Grup czwórkowych lub przynajmniej coś analogicznego w badaniach dotychczasowych nikt też nie zauważył. Właściwa redukcya zatem musiała się odbyć w okresie wzrostu, lecz rozleglejszych badań w tym kierunku nie posiadamy jeszcze. — Następnie i komórka macierzysta woreczka zalążkowego i pyłku dzieli się podobnie jak u zwierząt, dzieli się jednak więcej niż 2 razy, przynajmniej 3 razy; a we wszystkich tych podziałach czysto ekwacyjnych spotykamy ilość chromosomów zredukowaną. Tym sposobem z komórki macierzystej woreczka zalążkowego otrzymujemy u lilii np. 8 komórek, z których atoli jedna tylko jest właściwem jajem dojrzałem. Z jednej komórki macierzystej pyłku powstają 4 komórki pyłkowe, ostatecznie 4 jądra plemnikowe, chociaż podziałów mamy więcej niż 2. A trzeba wiedzieć, że

procesy te u wielu innych roślin, zwłaszcza nagonasiennych, są jeszcze dłuższe. Samo zatem dojrzewanie jaj i plemników u roślin jest bardziej zawikłane aniżeli u zwierząt.

Z tych kilku zaznaczonych szczegółów dosadnie się pokazuje, że jakkolwiek dotychczas nie udało się jeszcze pochwycić redukcyi we właściwem jej *Werden*, nie zdołano odsłonić wszystkich jej tajników, to sam fakt redukcyi chromatyny w komórkach generatywnych nie ulega najmniejszej wątpliwości, i to tak w państwie zwierzęcem jak roślinnem; owszem wszystkie spostrzeżenia bez wyjątku podnoszą jednomyślnie, że przyroda dokłada wszelkich starań, być może że najrozmaitszych używa środków, by fakt ten w danej chwili wszędzie uskutecznić. Zestawiając teraz logiczny postulat redukcyi mas dziedzicznych z tym powszechnym i oczywistym faktem redukcyi chromosomów, słusznie możemy wyciągnąć prawdopodobny wniosek, że właśnie chromatyna jest owym substratem dziedziczności. I w świetle tej hipotezy redukcya staje się dla nas faktem prawie dostatecznie zrozumiałym, podczas gdy bez niej fakt ten pozostałby może jeszcze na długie lata agregatem zagadek biologicznych.

I jeszcze jeden wniosek wyłania się z naszej rzeczy. Oto chociażby pogląd Fola, Guignarda, Strasburgera i innych, jako w wewnętrznym procesie zapłodnienia bierze udział nietylko chromatyna lecz i centrosomy, był w całości prawdziwy, jeszczeby z tego nie wynikało, że centrosomy muszą także należeć do substancyj dziedzicznych — albowiem centrosomy w takim razie nietylko nie redukowałyby się, ale owszem sumowałyby się podczas zapłodnienia.

A więc — i sama karyokineza, i właściwy proces zapłodnienia, i nader ciekawa redukcya chromosomów w czasie dojrzewania komórek generatywnych — przemawiają w wysokim stopniu za hipotezą, że chromatyna jest właściwym anatomicznym substratem dziedziczności. A choć ta hipoteza nie jest jeszcze właściwym pewnikiem naukowym, jest jednak już do tyla uzasadniona, że na niej obecnie dalsze badania oprzeć można i wypada.

J. Nuckowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Życie katolickie. Część II. zawierająca regulamin życia czyli ogólne zasady postępowania. Ułożyła *Cecylia Plater-Zyberkówna.* Warszawa 1894.

Książkę o życiu duchownem, napisaną przez kobietę, wielu ludzi bierze do ręki z pewnem niedowierzaniem. Obawiają się w niej znaleść pobożność więcej sentymentalną niż gruntowną, dużo czułości, dużo wykrzykników, a mało wątku myśli, mało tej treści, którą po zamknięciu książki, można ścisnąć w pamięci i do życia użyć. Otóż dowodem, że taka obawa nie zawsze jest słuszną, jest właśnie książka, którą mamy przed sobą. Przypatrzmy się jej bliżej — bo zasługuje na to.

Całe życie duchowne, ujęte pod postacią pracy, pracy którą winniśmy wysługiwać się Bogu, wyrabiać siebie samych, przysłużać się bliźnim, pracy wytężonej, w pocie czoła, ale namaszczonej łaską i nagradzanej stokrotnym plonem w tem życiu i w przyszłem — jest to pomysł bardzo szczęśliwy! Najprzód jest to wielka prawda, całkiem zgodna z duchem Ewangelii; a potem jest to trafienie w samo sedno potrzeb naszego polskiego społeczeństwa, które, przy wielu prawdziwych zaletach swoich, cierpi jednak niewątpliwie na brak wysiłku, brak szczerej pracy, i to na wszystkich społeczeństwa szczeblach, z ujemnemi oczywiście następstwami tak w duchownym jak w ekonomicznym zakresie. Wreszcie nadaje to odrazu tej książce kierunek nawskróś praktyczny. Napisana ona jest głównie dla młodych osób, panien czy młodych mężatek, stojących u progu życia, czy w zamożniej-

szym czy też w służebnym stanie. Dla nich pełna jest ta książka nader praktycznych rad, wskazówek, przestróg, zachęt i środków. Ale i dla starszych osób zawiera ona mnóstwo cennych nauk. I nawet księża, kierownicy dusz, z prawdziwym pożytkiem czytać ją będą, bo chociaż nie nauczy ich ta książka teologii, jednak zwróci ich uwagę na wiele szczegółowych potrzeb duszy, niebezpieczeństw, zaniedbywań obowiązków w życiu kobiecem, których sami nie mają sposobności podpatrzyć, i których nikt wogóle tak dobrze nie podpatrzy, jak kobieta rozumna i pobożna. Przejawia się zaś w całem tem dziele wielka znajomość świata i znajomość serca kobiecego, zrozumienie życia duchownego i pobożności głębokie a proste; nic ckliwości w tem co pisze autorka, nic przesady, nic egzaltacyi, wiele zaś miary, wiele rozsądku i taktu.

Pierwszy „dział“ tej książki[1] obejmuje prześliczną naukę o pracy w ogólności. Aż serce rośnie, kiedy się czyta, z jakim zapałem i, powiem śmiało, namaszczeniem, pobożna autorka pobudza do tej pracy w służbie bożej, jak chłoszcze niemiłosiernie lenistwo, jak zwycięsko zwalcza przeciwne przesądy, wykrywa wymówki, któremi się miłość własna osłania. Cała ta część jest pokrzepiająca i zapalająca. Mówi w niej najprzód autorka o pracy fizycznej — i tu po drodze z przenikliwością roztrząsa pięć przyczyn ubóstwa naszego kraju, mianowicie: wstydzenie się pracy, życie nad stan, tracenie czasu, nieporządek i złe życie. Dalej mówi o pracy umysłowej, i tu daje młodym osobom wiele doskonałych wskazówek co do kwestyi, czego się uczyć i jak się uczyć mają. Po trzecie rozprawia o pracy wewnętrznej, wyrabiającej ducha; daje o niej w jednym rozdziale prawdziwie piękną i pociągającą ideę; w drugim zaś mówi o „pracy duchowej biernej“ — tak nazywa cierpliwość (ażeby zostać wierną swemu hasłu pracy). Rzecz o cierpliwości dobra, ale nazwa „pracy biernej“, niefortunna; zresztą cierpliwość o ile jest pracą, wysiłkiem, o tyle nie jest bierną. Po czwarte nakoniec mówi autorka „o pracy społecznej“; i tu najprzód gruntownie i bardzo odpowiednio do potrzeb swych czytelniczek określa świat i zestawia ducha Chrystusa z duchem świata. Wreszcie mówi o solidarności i odpowiedzialności społecznej.

Drugi dział tej książki ma być jeszcze praktyczniejszy. Nosi on

---

[1] Ta książka jest drugą częścią dzieła p. t. „Życie duchowne“. Pierwsza część, zawierająca modlitwy i rozmyślania, wyszła już w r. 1891 i bardzo pochlebnie ocenioną została w różnych pismach, także w naszym *Przeglądzie* z czerwca 1892 r.

tytuł: „Regulamin życia“, i zawiera długi szereg króciutkich rozdziałików o rozmaitych obowiązkach i sposobie odbywania rozmaitych zajęć kobiecie właściwych. Są tu nietylko nauki „o rannem wstawaniu“, „o uczęszczaniu do Sakramentów“, „o walce z wadą główną“ i t. p., ale także bardzo trafne i z życia wzięte nauki o takich rzeczach, jak: „estetyka w życiu i mieszkaniu“ — „ogrodownictwo“ — „ubieranie się“ — „obowiązki towarzyskie“ — „co jest egzaltacya“ i t. d. Są osobne rozdzialiki o obowiązkach uczennicy, córki, gospodyni domu, żony, matki, nauczycielki, zarobnicy w fabryce i t. d. Jest nawet spis książek zaleconych, któremu to jedno mamy do zarzucenia, że jest dużo za mały — a tego nie można przypisać ciasnemu kątowi widzenia autorki, gdyż plan umysłowego kształcenia, w pierwszym dziale tej książki, bardzo zresztą rozumnie zakreślony, nie grzeszy bynajmniej ciasnotą, ale raczej o zbytnią objętość mógłby być pomawiany. — Nie cofnęła się też autorka przed dotykaniem w szeregu tych nauk bardzo delikatnych spraw, jak: „o emancypacyi kobiet“, „o wyborze spowiednika“, „o wyborze stanu“, „o konieczności kierunku dla serca“ — odważyła się pisać w jednej książce o powinnościach i wadach pań i służących — a wszędzie wywiązała się z trudnego zadania z doskonałym taktem i miarą, której nic zarzucić nie można.

Czyż więc ta książka jest zupełnie bez zarzutu? Tego oczywiście, w takiej materyi, ani spodziewać się nie było można. Braki jednak, jakie się w niej spotyka, dotyczą rzeczy podrzędnych, przeważnie tylko formalnych. A ponieważ książka sama jest tak dobra, tak gruntowna i praktyczna, że powinna szeroko się rozejść i niewątpliwie wiele wydań mieć będzie, dlatego na te braki, nietrudne do poprawienia, zwracam uwagę. I tak najprzód, czuć się daje w tej książce, zwłaszcza w drugim dziale, pewien brak logicznego porządku i racyonalnego podziału; podział taki, jak: „regulamin — dodatek do regulaminu — rady ogólne — wyszczególnienia obowiązków stanu“, nie jest zrozumiały. Niejedno z pierwszego działu książki, powtarza się w drugim dziale, i nawet w różnych miejscach drugiego. — Wyborna, jak już powiedziałem, jest ta książka, gdy daje praktyczne rady i wskazówki młodym osobom; ale kiedy wchodzi w doktrynę, kiedy daje określenia, tem bardziej kiedy np. z okazyi nauk przyrodniczych robi małą wycieczkę w dziedzinę filozofii, wtedy brak jej trochę ścisłości i precyzyi; nigdy jednak ten brak nie dochodzi do tego, żeby fałszywe poddawał pojęcia, lub przeszkadzał praktycznemu celowi książki dla młodych

osób napisanej. — Teksty z Pisma św. w ciągu książki przytaczane wymagają poprawek według Wujka, tem bardziej, że podane są kursywą; a czasem też wymagają sprawdzenia kontekstu (np. słowa „szatan jako lew ryczący“ i t. d. nie są Chrystusowe — str. 135 dział drugi). — Wielką zaletą tej książki jest, że nie ma długości, że nigdy nie nudzi: ale z drugiej strony *on a les défauts de ses qualités* — niejedna rzecz ważna, jest zbyt pobieżnie traktowana (np. o pokusach), niejeden z tych rozdzialików tak mało zawiera treści, że prawie lepiejby go opuścić. Wreszcie życzyćby sobie można dodania paru punktów, któreby całość tej książki odpowiednio zaokrągliły. I tak, pośród tylu wybornych nauk o świecie i jego zasadach, o niebezpieczeństwach grożących młodej osobie na progu życia, radbym widzieć przestrogę o tem bożyszczu, które dziś robią ze sztuki, przypisując jej jakieś znamiona Bogu własne: jakoby była celem sama w sobie, jakoby stała ponad wszelkiem prawem — nawet moralności. Wiele jest w tym zwodniczym kulcie bałamuctw, które, na młode zwłaszcza umysły niewieście, zgubny wpływ wywierają. Ażeby te bałamuctwa i sofizmy wywlec i zwalczyć a, nie naruszając czci, jaka się sztuce i pięknu należy, potępić jednak i obrzydzić bałwochwalstwo, zgubne jego skutki wykazać — na to niemało potrzeba przenikliwości, taktu, znajomości świata. Ale właśnie te wszystkie przymioty autorka posiada. Powiedziała ona wprawdzie w paru miejscach, że nie trzeba złych książek czytać, że nie należy na nieprzystojne widowiska chodzić; ale nie dosyć na tem: chciałoby się, żeby autorka śmiało i wprost podjęła, z punktu życia katolickiego, kwestyę sztuki i wszystkiego, co się pod sztukę podszywa — tak samo jak zaatakowała wprost kwestyę emancypacyi kobiet — i nie wątpimy, żeby się równie dobrze z tego zadania wywiązała.

Mówiąc w niejednem miejscu o wyborze stanu, o powołaniu kobiety, autorka ma zawsze przed oczyma tylko dwa stany: albo małżeństwo, albo życie zakonne — stan zaś panieński w świecie uważa jakoby za niebyły. Otóż na tym punkcie nie mogę się zgodzić z szan. autokrą, ani co do zasady, ani co do praktyczności takiego postawienia kwestyi powołania kobiecego. Obranie stanu małżeńskiego nie jest przecież wyłącznie w mocy kobiety. Oprócz jej woli, potrzebne są do tego pewne warunki od niej niezależne — które gdy się nie złożą, to winna sobie powiedzieć, że wolą bożą nad nią czyli powołaniem jej jest, aby żyła w panieństwie — boć wola boża nietylko w naszych sercach, ale i w zewnętrznych okolicznościach objawia się nam i narzuca. Otóż to przeznaczenie do stanu panieńskiego, jakiemikolwiek okolicznościami wska-

zane, nie koniecznie i nie zawsze jest powołaniem do zakonnego życia; do tego potrzeba innych jeszcze warunków, o których nie tu miejsce się rozpisywać. Więc ostatecznie te wszystkie osoby, które nie są przeznaczone ani do małżeństwa ani do zakonu — a dziś, trzeba o tem pamiętać, jest takich coraz więcej — przeznaczone są od Boga i powołane do stanu panieńskiego w świecie. — Kiedy się tę prawdę wpaja pannom w czasie ich wychowania, kiedy się je przygotowuje do tego, że i w tem może być wola boża, więc i w tem może być życie piękne i pełne — wtedy, jeśli im przyjdzie obrać stan małżeński, obiorą go z godnością i wolnością; a jeśli zostaną w panieństwie, łatwiej i piękniej potrafią spożytkować życie. Kiedy zaś przeciwnie wpajają im ciągle matki, powtarzają im wszyscy, że kobieta musi pójść za mąż, że panieństwo poza klasztorem jest wykolejeniem, upośledzeniem i t. p., wtedy nawet wybór małżeństwa jest mniej godny i mniej rokuje szczęścia, bo jest znaglony, przymusowy; a cóż dopiero powiedzieć o tych tak licznych, przymusowo zostających w stanie, który przyuczyły się uważać za bezcelowy i wykolejony?

Przypuszczam, że szan. autorka miała przed oczyma specyalne warunki społeczne w Warszawie, gdzie pod wpływem rosyjskiej idei emancypacyi kobiety, znajdują się już młode osoby, uciekające od małżeństwa li tylko z obawy obowiązków i chęci z wolności; a z drugiej strony niezliczone niebezpieczeństwa takie osoby otaczają. Takim osobom trzeba oczywiście powiedzieć, że nie idą drogą bożą. Ale ta lokalna przyczyna nie może być, sądzimy, racyą dostateczną, żeby w książce o życiu duchownem, dla kobiet całej Polski przeznaczonej, pominąć naukę, która jest prawdą i której pożytek wielu dusz wymaga.

W końcu książki, jako dodatek, umieszczone są rozmaite wyciągi z Ewangelii i z Naśladowania Chrystusowego, odnośnie do rozmaitych cnót i potrzeb duszy. Nie jestem, przyznam, zwolennikiem tego rodzaju wyciągów, i nie podzielam zapatrywania, jakoby nie należałowkładać Ewangelii w ręce każdemu. Zdaje mi się, że takie ustępy, wyjęte z kontekstu i jak się komu podoba uszykowane, wiele tracą z nadziemskiego aromatu i siły, jaką mają w właściwem swem otoczeniu i jakby na swoim gruncie. Jeżeli jednak autorka chciała dać tylko przybliżone wyobrażenie o Ewangelii i Naśladowaniu tym czytelniczkom, które ich jeszcze nie znają lub łatwo dostać nie mogą, albo jeżeli zamierzała wogóle poddać jakby tekst do rozmyślań o pewnych cnotach — nie chcąc przez to zastąpić czytania samych tych ksiąg — w takim razie nic nie mam do zarzucenia przeciwko temu dodatkowi.

Oto są wszystkie zarzuty, jakie mam do zrobienia. Są one, jak każdy widzi, bardzo małe względnie do wielkiego i trudnego przedmiotu, objętego w tej książce, są to nie błędy, tylko braki, które bez trudności, jak mówiłem, dałyby się usunąć. — A swoją drogą ta książka, taka nawet jak jest obecnie, jest prawdziwym skarbem dla naszego kraju, bo jest nieocenionym dla każdej Polki podręcznikiem gruntownej i czynnej religijności, i w rękach każdej Polki powinnaby być. Panie, przeczytawszy ją same, powinnyby nią obdarzać swoje córki, swoje służące, zakłady wychowawcze powinny ją wkładać w ręce pannom kończącym wychowanie, w czytelniach, w pracowniach kobiecych ta książka powinna się znajdować na półkach.

I nie wątpimy, że skoro wiadomość o tej książce rozszerzy się w naszem społeczeństwie, to w rzeczy samej rozchwytywać ją będą — i urośnie z niej wielki na niwie naszej plon.

Ks. M. Morawski.

Nowy Brewiarzyk Tercyarski, ułożony przez O. *L. K.* Edycya piąta powiększona. W Krakowie, u Kluczyckiego i Sp. 1894. (Mała ósemka str. 1140).

Wielka w tym brewiarzyku jest obfitość szczero-polskiego nabożeństwa nietylko dla Tercyarzy, ale wogóle dla wszystkich katolików.

Co do samego Tercyarstwa, to przytoczyć i podkreślić należy zdanie autora: „Gorliwe i praktycznie prowadzone Tercyarstwo wielki i zbawienny wpływ wywiera na chrześcijańskie rodziny“ (str. 53—4) I znów: „Trzeci Zakon według ducha Konstytucyi i Reguły pojęty i prowadzony, jest bardzo skutecznym środkiem do podniesienia ducha pobożności w parafii“.

Wiedział snać dobrze czcigodny autor, jak nie „gorliwe“ i nie „praktyczne“ i nie „według ducha Konstytucyi i Reguły prowadzone“ Tercyarstwo czyni zeń *pessimam corruptionem optimae rei*. Szkoda, że statutów Innocentego XI., obiecanych w przypisku na str. 90 — w dalszym ciągu nie znajdujemy. Bardzoby one wyjaśniły owo praktyczne prowadzenie Tercyarstwa.

Ulepszony Brewiarzyk Tercyarski, przez OO. Kapucynów wydany jest nowym dowodem szlachetnej emulacyi między zakonami pierwszej reguły św. Franciszka, o podniesienie trzeciej. O! bo ta trzecia reguła zdolna jest odrodzić nasze socyalizmem znurtowowane społeczeństwo; a Leon XIII. genialnym swym wzrokiem doskonale ocenił olbrzymią siłę ochronną w niej ukrytą. Ale i fakta konkretne, choć jeszcze dość rzad-

kie, to potwierdzają; bo gdzie tylko Kongregacya tercyarska jest prowadzona tak jak być powinna, na sposób zakonu, tam nietylko odrodzenie, ale i uświątobliwienie rodzin i całych parafij nie długo daje na siebie czekać.

Format książki zgrabny i mimo znacznej objętości wygodny.

Ks. H. P.

Studenci Polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI. i XVII. wieku. Napisał *Mathias Bersohn.* Kraków 1890. Część II. Kraków 1894.

Celem tej pracy było zapełnienie braków istniejących w wydawnictwach jubileuszowych w 800-letnią (1088—1888) rocznicę założenia włoskiej *almae matris* w Bolonii, szczególnie co do polskich jej słuchaczy, a więc przedstawienie działalności naukowej i wewnętrznego życia zgromadzenia studentów polskich w akademii bolońskiej.

W części pierwszej zebrał autor 22 nazwisk Polaków, którzy na uniwersytecie bolońskim się odznaczyli, za co zwyczajem tamtejszym wyryto ich herby i nazwiska na wewnętrznych ścianach gmachu uniwersyteckiego. Mamy tu więc reprodukcye herbów, oraz szczegóły biograficzne, odnoszące się do ich właścicieli.

Część druga, wydana w cztery lata po pierwszej, ma bez porównania większą wartość historyczną. Jest to bowiem przedruk rękopiśmiennej księgi, noszącej tytuł: *Album Polonorum per civitatem Bononiensem iter facientium ab anno 1600 ad annum 1661,* rozpoczętej przez Jana Karola Noskowskiego, wielkorządcę ziemi dobrzyńskiej konsyliarza zgromadzenia studentów polskich w Bolonii. Zawiera ona 431 nazwisk Polaków, którzy między rokiem 1600 a 1661 pobierali nauki w uniwersytecie bolońskim, a między nimi spotykamy imiona znane w historyi, jak: Mikołaja Sieniawskiego, Kazimierza Sapiehy, Samuela Zborowskiego, Ostrorogów i innych. Ciekawe są załączone obok przedruki dokumentów łacińskich, odnoszących się do wypadków zaszłych w zgromadzeniu studentów, do nominacyi bedelów, których urząd miał wówczas wielkie znaczenie, szczególnie ze względu na to, że na wielką skalę pożyczali studentom pieniędzy i t. d.

Praca ta, obecnie jeszcze nie skończona, ma, jako dopełnienie do historyi cywilizacyi polskiej, wielką doniosłość — spodziewamy się więc, że autor nie zaprzestanie swych poszukiwań, jak dotąd pomyślnym uwieńczonych rezultatem, i da nam reprodukcye całej seryi ksiąg zgromadzeń studentów polskich w Bolonii, jakie przy znanej jego pilności i staranności niewątpliwie znaleść mu się uda.

Nie możemy jednak pominąć milczeniem kilku usterek, jakie wskutek braku dokładnych, wiarogodnych podręczników heraldycznych wkradły się do części pierwszej. Jak się pokazuje, korzystał autor w tym kierunku wyłącznie z dzieła Paprockiego p. t. „Herby rycerstwa polskiego“, którego wartość naukowa wobec innych dzieł tego rodzaju jest bardzo wątpliwa. — Dowodem, że źródło to jest stanowczo niedostatecznem, są następujące pomyłki w pierwszej części prac p. Bersohna:

Str. 13, nr. 5. „Stanisław Niesiołowski herbu Nałęcz“. Autor twierdzi za Paprockim, że rodzina Niesiołowskich herbu Nałęcz nie istniała nigdy w Polsce, gdy tymczasem w „Spisie nazwisk szlachty polskiej“ hr. Jerzego Sewera Dunin Borkowskiego, będącym obecnie najobfitszym i najwiarogodniejszym zbiorem nazwisk szlacheckich, znajdujemy na str. 277 cytat z Niesieckiego: „Niesiołowski h. Nałęcz p. Gawin z Niesiołowic w Pomorskiem i Sandomierskiem“. Samo już zresztą umieszczenie nazwiska Stanisława Niesiołowskiego pod herbem Nałęcz w galeryi bolońskiej, jest już dostatecznym dowodem, że tego herbu używał, a więc, że rodzina Niesiołowskich, do tego herbu należąca, musiała istnieć.

Str. 17, nr. 13. Albert Polak. „Ponieważ nazwisko jego nie podane, szczegółów żadnych odszukać nie mogliśmy“. Imię Alberta Polaka umieszczone jest pod herbem własnym rodziny Szembeków. Jest to więc Albert Szembek, o którym jednak Niesiecki nie wspomina.

Str. 17, nr. 14. Krzysztof Balduin Ossoliński. „Nie zaś *Comes de Tenczyn Assoliński*, jak błędnie wskazuje napis na tablicy“. Że nie Assoliński, to pewna, ale dlaczego nie *Comes de Tenczyn*, kiedy według świadectwa wszystkich historyków i heraldyków polskich, pochodzą Ossolińscy i Tęczyńscy od jednych i tych samych *comesów* na Tęczynie, a obie te rodziny, dziś już wygasłe, aż do końca swego istnienia tego przydomku używały.

Str. 18, nr. 15. Jan Stamet. „Nazwisko błędnie podane, bo żadnych Stametów ani Szemetów w Polsce nie było“. Autor domyśla się wprawdzie, że ów Jan Stamet należał do rodziny Szemiotów herbu Łabędź, bo pod tym herbem umieszczone jego nazwisko, lecz twierdzenie, jakoby wyżej podane nazwiska nie istniały, niema podstawy, gdyż w różnych czasach jedna i ta sama rodzina różnych używała nazwisk, jakoto: Stamet, Szemot, Siemiot, Szemiot, Szemioth, obecnie zaś od przeszłego wieku używa nazwiska Szameit.

Str. 19, nr. 16. Jan Charbicki. „Prawdopodobnie syn Piotra

Charbickiego herbu Jastrzębiec. ... Bliższych wiadomości o Janie odnaleść nie mogliśmy". Niesiecki pisze o nim w t. III. str. 16, że był na pewne synem Piotra Charbickiego herbu Jastrzębiec, kasztelana brzezińskiego, i kanonikiem poznańskim. Musimy dodać, że herb, pod którym umieszczone jest nazwisko Jana Charbickiego (tarcza w czworo przedzielona, w dwóch częściach herb Rola, w dwóch zaś podkowa barkiem do góry zwrócona w polu niebieskiem), niczem Jastrzębca nie przypomina i rzuca pewną wątpliwość na twierdzenie Niesieckiego i przypuszczenie autora.

Str. 20, nr. 19. Abraham Meżyński. „... Ostaszewski podaje, że to prawdopodobnie Meżyński herbu Kościesza. Jednakże tego herbu podobnej rodziny nie było". Znów błędne twierdzenie zaczerpnięte z Paprockiego. Borkowski l. c. str. 244, wymienia rodzinę Mężyńskich *vel* Mężeńskich *vel* Meżeńskich herbu Kościesza, można więc na pewne tego Abrahama pod ten herb podciągnąć, gdyż tak drobna różnica, jak między nazwiskami Meżyński a Mężyński nic nie znaczy, szczególnie wobec wielorakiego brzmienia tego nazwiska.

Na zakończenie tej oceny wyrazić należy drukarni „Czasu" uznanie za staranne wydawnictwo, a szczególnie za bardzo dobre reprodukcye cynkograficzne tablic herbowych w części drugiej.

W. J. Struszkiewicz.

Nicolai Hussoviani Carmina. Edidit, praefatione instruit, adnotationibus illustravit *Joannes Pelczar*. Cracoviae. Sumpt. Acad. Litter. 1894.

Starannie wydana, jak wszystkie rzeczy Akademii Umiejętności, leży przed nami książeczka formatu ósemki, zawierająca zbiorowe wydanie pism Mikołaja z Hussowa na 109 stronach. Poprzedza je obszerny wstęp krytyczny p. J. Pelczara (str. 54), na końcu zaś dodany skorowidz imion w dziele się znajdujących.

Współczesny Pawłowi z Krosna i Janowi z Wiślicy Mikołaj z Hussowa, zwyczajem wieku z łacińska nazwany Hussovius, Ussovius. Hussovianus a nawet Hussovitanus, należał do tych łacińskich poetów naszych, w których się szuka wedle p. Wiszniewskiego dawnych zwyczajów i obyczajów. Jakoż mało czytany leżał na półkach większych bibliotek, a już w księgozbiorze Załuskich zaliczany był do takich rzadkości, że kiedy jeden z panów literatów, zbyt troskliwy o cudzą własność, za swoją go poczytał, Janocki wyraźnie z żalem notuje tę kradzież, popełnioną *a litterato quodam raptore modo astutissimo*. Teraz

dopiero cała jego spuścizna doczekała się zbiorowego wydania, a sam autor studyum o ile być może wyczerpującego.

W braku źródeł i aktów, p. Pelczar za pomocą wniosków i dzieł poety stara się nam jego życie przedstawić. Urodził się zatem prawdopodobnie między r. 1475—1485 w Hussowie, miasteczku łańcuckiego powiatu, o ile z nazwiska wnioskować można, i pierwsze lata młodości spędził na łowach wśród lasów i borów. Czem się zajmował, znowu nie wiadomo, ale znowu możebne, że był w służbie jakiegoś możnego pana i że przebywał dużo na Litwie i na Rusi, skoro znał ich język i zwyczaje. Pomijając to, gdzie i kiedy kończył uniwersytet, gdyż niczem twierdzenia poprzeć nie można, wspomnieć należy, że r. 1521 widzimy go w Rzymie w otoczeniu biskupa płockiego Erazma Ciołka, posła króla Zygmunta przy Watykanie. Biskupowi wiele zawdzięczał — kto wie, czy i nie całą literacką karyerę. Po śmierci biskupa 1522 r., gdy również i Leon X., opiekun muz, już nie żył od roku, a Hadryan VI. nie tyle przychylnie patrzał na poetów, widzimy Mikołaja w kraju. Kraków był najpewniej miejscem jego pobytu, gdzie też znalazł innego opiekuna w osobie Jana Karnkowskiego, biskupa przemyskiego, a później włocławskiego. Atoli odtąd życie jego staje się cięższem i trudniejszem. Chory nieustannie, co się w poezyi przejawia, wydaje coraz nowe poematy, do jakiego czasu — nie wiedzieć. To jednak pewna, że jeszcze żył r. 1533, wbrew twierdzeniu p. Sobieszczańskiego, znaczącego mu kres życia na rok 1525.

Tyle nam tedy przynosi nowego p. Pelczar, zajmując odrębne stanowisko od Wiszniewskiego, Janockiego, Juszyńskiego, Sobieszczańskiego, Bartoszewicza i innych, którzy powtarzali jeden za drugim hipotezy, różne od badań dzisiejszych, i nad ogólniki wznieść się nie mogli. Nie Krakowskie, lecz Łańcuckie jest miejscem jego rodzinnem — nie młodzieńcem był, wydając *De bisonte*, lecz mężem dojrzałym, a do tego przybyło nowych wiele szczegółów wyżej wspomnianych, o których dawniej milczano. O ile wnioski p. Pelczara okażą się szłuszne, przyszłość wykaże. Prawdopodobieństwami są one, lecz jak dziś rzecz stoi, bardzo możliwemi.

Dzieła pozostałe po poecie ocenia p. Pelczar naukowo i bardzo starannie. A zebrała się ich liczba spora.

De statura feritate ac venatione bisontis, oto rzecz najważniejsza, najlepsza poety, pisana w Rzymie na rozkaz biskupa Erazma dla papieża Leona X., który chciał coś wiedzieć o naszym żubrze, a nawet widzieć go wypchanego. Ma ustępy pełne życia i prawdy. Bo też poeta mało

tu kombinował. Pliniusz i Paweł Dyakon, oto źródła podobno jedyne. Arystotelesa i Alberta W. ani innych zdaje się że nawet nie znał — ale za to *quidquid erit venandi profert usus et labor ac vitae tempora dura meae.* Wyszedł po raz pierwszy w Krakowie u Wietora 1523, i tu też go poeta musiał dokończyć, gdy śmierć papieża Leona X. zastała go z pewnością przy 827 wierszu poematu, a być może, że nawet już polowanie samo było opisane.

Słabsza od niego jest *Nova et miranda victoria de Turcis mense Julio* r. 1524. Panegiryk okolicznościowy, pisany dla uświetnienia uroczystości publicznego dziękczynienia w Krakowie. U Wietora 1524.

Szedłby później poemat *de vita et gestis D. Hyacinthi,* należący do naszej kontrowersyjnej literatury, w którym cuda św. Jacka służą za tło do zbijania zarzutów luterskich. Opierał się w nim poeta na aktach procesu kanonizacyjnego, toczącego się właśnie w Krakowie od 26 marca 1523 do 6 października 1524, oraz na starym żywocie p. t.: *De vita et miraculis S. Jacchonis Ord. Fratr. Praedic. auctore Fr. Stanislao lectore Cracoviensi eiusdem ordinis.*

I to wszystko, co większego napisał. Mniejszych wierszyków jest jeszcze 11, z których ostatni wyciśnięty u Unglera 1533 r. przy Rubryceli dla dyecezyi krakowskiej na r. 1534.

Talent to miły, średni. Nie doszedł do najwyższego stopnia rozkwitu, wszelako na swoim jest często zajmujący. Ten ton opisowy np. w *De bisonte*, dygresye i styl nie pozbawiony pewnego wdzięku sprawiają, że mile się go czyta, zwłaszcza, że poeta ma cechy, sympatyę mu jednające. Ta żywa wiara i przywiązanie do religii tryskają z dzieł jego, a szczera miłość ojczyzny widna w opisach obyczajów i przedstawianiu osób. Czuć, że poeta, pisząc dla Leona X., pragnął go też wtajemniczyć w nasze sprawy, i umysł jego dla Polski i pomoc przeciw Krzyżakom zjednać. Jeżeli się zaś doda tego ducha, umiejącego w najdelikatniejsze struny uderzyć, tę prostotę a przytem powagę, nie można nie podziękować p. P., że na nie zwrócił uwagę. Można się z nim wprawdzie nie zgodzić i iść np. za p. Bartoszewiczem, odmawiającym Mikołajowi wszelkiej poezyi, wszelako rzecz to subjektywnej oceny, która wartości nie ujmie pracy autora. Wytrwała ona i mozolna, przebiega i starożytnych pisarzy, by naszego poetę ocenić. Na tych zaś porównaniach zyskuje Hussovianus to, iż więcej niż inni wyzwolił się z pod wpływu starożytnych. Mitologii i bajeczek u niego mniej niż u innych jemu współczesnych, mniej niewolniczego naśladowania Rzy-

mian, które prawie da się ograniczyć do pewnych wyrażeń i zwrotów, prócz trzech obrazów wyraźnie zapożyczonych.

Jeżeli jednak tu mu p. Pelczar zasługę przyznaje, to na innem polu błędy bezstronnie wytyka — i to gramatyczne. Z prawdziwie profesorską erudycyą wyliczył 60 w samem następstwie czasów, i to 2 w prozie, 21 w opisie żubra, 1 w Zwycięstwie, 28 w poemacie o św. Jacku i 8 w drobnych poezyach. Nawet prozodya ostać się cało nie mogła. Co do niej, wszelako nie zawszebyśmy się zgodzili, a mianowicie gdy idzie o słówko *diuturnus*. Poeta uważa *u* za krótkie, i słusznie, boć ono jest w słówku złożonem, a więc ich prawu podlega. P. Pelczar wolałby je za długie uważać prawdopodobnie dlatego, że długie jest w *diu, diutinus, diurnus*. Jakkolwiek jednak tak krytyczny słownik jak Freunda również je za długie podaje, my przecie wolelibyśmy pójść za starożytnymi, którzy w wierszu jako krótkie *diuturnus* stawiali, że wspomnę tylko Albinavanusa 1, 104, i liczne miejsca Owidyusza, jak:

Est mihi, sitque precor nostris diuturnior annis [1]
Hic qui diligitur vellem diuturnior esset [2]
Et diuturna magis sunt monimenta [3]
Haec fore morte mea non diuturna mala
Accusatque annos ut diuturna suos.

To jednak fraszka w stosunku do całej pracy. P. Pelczarowi przyznać trzeba, że rozbiera bezstronnie, sądzi objektywnie, porównywa starannie. Znać w jego wstępie sumienność i naukę, i — pewien pietyzm dla zabytków piśmiennictwa naszego.

Wł. Rejowicz.

Na schyłku wieku. Studyum. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego*. Warszawa 1894.

Schyłek wieku — *fin de siècle*, aby, choć nie po polsku, ale wyraźnie i od razu wytłumaczyć, co autor w swym tytule miał na myśli — ileż w tych paru słowach mieści się oskarżeń na dociągające do końca stulecie; ile one nasuwają na myśl wszelkiego rodzaju umysłowych i zmysłowych dziwactw, wybryków, szaleństw, obrzydliwości. Wszystkich niesposób objąć; niesposób ująć w jednym potwornym obrazie wszystkich filozoficznych, literackich, społecznych, politycznych objawów, podciąganych pod wspólną tę nazwę; niepodobna dać dokładnej fotografii „schyłku wieku“: byłaby za monstrualna, i rozmiarami i treścią. To

[1] L. fast. VI. 219. [2] Metam. III. 472. [3] L. Trist. III. 3. 77.

też nasz autor, pragnąc dać polskim czytelnikom jakby krótki podręcznik historyi „schyłku wieku“, ograniczyć się musiał i rozsądnie się ograniczył do nakreślenia głównych linij, które już później każdy, wedle woli i upodobania, może sobie wypełniać i uzupełniać; zapytał, jakie przyczyny doprowadziły do tego chaosu w pojęciach, zasadach, w życiu, w którym trudno zoryentować się, a cóż dopiero z niego wybrnąć; oświetlił kilka bardziej w oczy wpadających punktów w tym chaosie. Tak, podobnie i reszta wygląda.

Główną przyczyną zalewającego umysły zamętu są wrzekomo wielcy myśliciele. Filozoficzny pozytywizm, estetyczny krytycyzm, francuski naturalizm, angielski ewolucyonizm, niemiecki materyalizm, włoskie antropologiczne teorye, różnią się między sobą w pewnych szczegółach, ale schodzą się we wspólnej negacyi właściwej filozofii i teologii, w stawianiu ołtarzów powierzchownej obserwacyi, a lekceważeniu wszystkiego, co zakres zmysłów przekracza. Jakie źródło, taka rzeka. Sztuka, historya, literatura, wszystkie nauki zachorowały na modny pozytywizm, na ewolucyonizm, i wydały niesmaczne karykatury: naturalizm, parnaseizm, dekadentyzm. Każdemu z tych kierunków przypatruje się autor dość szczegółowo; przedstawia nam głównych jego przedstawicieli za granicą, niewolniczych i często arcyzabawnych naśladowców w Polsce. Tak np. główny wódz paryskiego realizmu, autor „Nany“, znalazł u nas najwierniejszą uczennicę w osławionej Zapolskiej. Za parnasistami, sadzącymi się na niezrozumiałe dla profanów zdania, słowa, rymy, poszło paru naszych młodszych rymotwórców; jak paryscy, tak nasi (lepiej ich nie wymieniać, bo jeszcze tak młodzi, że może się poprawią i wyjdą na porządnych, jeśli nie poetów, to ludzi) formie poświęcają treść, a do wszelakiej zgnilizny czują niepowstrzymany pociąg. I my mamy symbolistów, błaznujących z rymami i rytmami, zadawalniających się „muzyką zgłosek i głosek“, a przemawiających w gruncie rzeczy „jak dziecko, starzec lub obłąkany“. I dekadentyzm — „fosforescencya zgnilizny“ — do nas idzie, razem z elegancko oprawnemi książeczkami modlącego się do lubieżności, kokietującego na każdej stronicy z najwstrętniejszemi bluźnierstwami: Baudelaire'a, Barrèsa, Huysmansa. Mamy paru literatów — na szczęście nie z polskiemi nazwiskami, choć po polsku piszących — którzy rozkoszują się filozofią dekadentyzmu, ujętą w pewien system przez Fryd. Nietschego, i powtarzają za nim z lubością, szczęśliwi, że znaleźli „filozoficzną“ tezę, dotąd praktycznie tylko przez nich w życiu przeprowadzaną: „Chrześcijaństwo zasługuje na potępienie, bo wprowadziło kult ubóstwa, miłość dla słabych“.—Autor dosadnym, dobrze

rzecz streszczającym frazesem część tę kończy: „Gdy dwaj inteligentnicy warszawscy rozmawiają, cynizm siedzi na cynizmie i pogania cynizm“.

Przeciw rozbujałemu cynizmowi, przeciw bałwochwalczemu kultowi samej tylko formy musiała obudzić się reakcya. Część trzecia poświęcona dziejom tej reakcyi we wszystkich, nieraz bardzo oryginalnych i zbyt często bardzo niezdrowych swych kształtach i objawach. „Stare upiory“ wstają nagle z grobu, przeróżne zielska wyrastają na trupie materyalizmu: spirytyzm, neobuddaizm, okultyzm, literacki mistycyzm odprawiają swe orgie. Zła choroba, nie lepsze lekarstwo. Nie o wiele lepsze, a w każdym razie w skutkach swych nie o wiele zbawienniejsze, płaczliwe narzekanie francuskich „symbolistów“ i „reakcyonistów“, jak: Bourget'a, Rabusson'a, Daudet'a, na upadek serc i ducha, upadek, do którego niejednokrotnie własnemi swemi dziełami się przyczynili. Rosyjscy społeczno-filozoficzni marzyciele, jak Tołstoj; francuscy neochrześcijanie (Vogüé, Desjardins, Rod), paru niemieckich pisarzów, wstępujących w ślady rosyjskich i francuskich mistrzów — szukają przynajmniej ścieżki wiodącej do prawdy. Macają, szukają; do odnalezienia jej daleko jeszcze dla największej liczby wśród nich, bardzo daleko.

„Co się z tych mgławic uformuje? — pyta autor. — Trudno dziś jeszcze wyraźnie określić. Tyle tylko pewna, że człowiek-dusza i człowiek-serce obrzydzili sobie filozofię, moralność i estetykę człowieka-zwierzęcia“.

Takie są główne idee przewodnie ciekawej książki „Na schyłku wieku“. Na niejedno z wyrażonych w niej zapatrywań nie moglibyśmy się zgodzić bez pewnych zastrzeżeń; niejedno dlatego może razi lub do dyskussyi się nadaje, że nie jest dość jasno sformułowane; czasem daje się odczuć pewien brak przejrzystości; domyślać się dopiero trzeba mozolnie, dlaczego pewne ustępy, pewni autorowie (np. cały ustęp o Brandesie i „Brandesostwie“) do tego właśnie, a nie do innego rozdziału się dostali. Ale stawiając te zarzuty, nie wolno zarazem zapominać, jakie — niema w tem przesady — niezmierzone morze autor miał przed sobą; pamiętać trzeba, że pierwszy za przewoźnika, po ciekawem tem, ale mętnem, wzburzonem morzu, polskim podróżnikom się ofiarował.

Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego w latach 1893/4. I. Szkoły ludowe i seminarya. II. Szkoły średnie (Gimnazya i szkoły realne).

Jak w poprzednich, tak i w tym roku rozdano w dniu otwarcia sejmu galicyjskiego posłom sejmowym sprawozdanie z czynności c. k.

Rady szkolnej krajowej. Sprawozdanie to składa się z dwóch broszur: pierwszej treścią: szkoły ludowe i seminarya nauczycielskie, drugiej: szkoły średnie (gimnazyalne i realne).

W sprawozdaniach tych znachodzimy dokładnie zestawione zdobycze poczynione w ubiegłym roku na niwie szkolnictwa galicyjskiego.

W galicyjskich szkołach ludowych przybyło sił nauczycielskich z egzaminem dojrzałości 129, niekwalifikowanych 78; dzięki tym nowym siłom pobierało naukę w ubiegłym roku szkolnym 10.459 dzieci więcej niż w latach poprzednich. Mimo tego przyrostu sił nauczycielskich, nieczynnych szkół było jednak 412, z tych 179 z powodu braku nauczyciela, reszta dla braku budynku.

Wkrótce jednak zwiększą się zastępy nauczycieli, w roku bowiem 1892/3 złożyło egzamin dojrzałości w seminaryach nauczycielskich męskich 64 uczniów i 68 eksternistów, w r. zaś 1893/4 107 uczniów i 66 eksternistów. Rada szkolna krajowa, chcąc biednym uczniom dać możność ukończyć seminaryum, wyasygnowała w bieżącym roku szkolnym sumę 90.000 złr. na stypendya. Z początku r. 1895/6 przybędą dwa nowe seminarya nauczycielskie: polskie w Krośnie i rusko-polskie w Sokalu.

By zaradzić brakowi budynków w wielu gminach, Rada szkolna przyznała w r. 1893 pożyczki 234 gminom, a w r. 1894 84 gminom wiejskim. Kwotą 7000 złr. obdzielono 20 gmin (przeważnie miasteczek) najbardziej potrzebujących budynków szkolnych a nie mogących na ich budowę łożyć.

Ważnym był rok szkolny 1893/4, gdyż w roku tym wprowadzono nowe plany nauczania, nowe podręczniki szkolne i zaprowadzono w męskich miejskich szkołach piątą i szóstą klasę, przysposabiające młodzież do zawodu handlowego i przemysłowego.

Nowy plan nauczania miał praktyczny kierunek, przyjął się w wiejskich i małomiasteczkowych szkołach łatwo wraz z wprowadzonemi nowemi podręcznikami i usunął to, co w tych szkołach było niewłaściwe i mniej potrzebne. Przyjęto zasadę oddzielnej nauki młodszych i starszych dzieci i zasadę tę wprowadzono w czyn mimo bezmyślnych skarg, „że starsze dzieci nie pilnują młodszych w szkole“.

Autorami odpowiednich podręczników byli: dr. Benoni i Habura (książki do czytania), radca German (niemieckie wypisy), dr. Rostafiński (nauki przyrodnicze), Natanson (fizyka), prof. Pieniążek (dzieje kraju), radca Zaleski (dzieje powszechne) i prof. Kłapkowski (wzory rysunkowe).

Przysporzyły krajowi fachowo wykształconych nauczycieli kursa urządzone w zeszłym roku w Krakowie, Lwowie i Jarosławiu. Do korzystania z tych kursów przypuszczono tylko zdolnych i kwalifikowanych nauczycieli; ci złożywszy po skończeniu kursu odpowiedni (wydziałowy) egzamin, objęli natychmiast posady w zorganizowanych szkołach miejskich. W roku bieżącym Rada szkolna krajowa urządza raz jeszcze takie same kursa.

Reforma dosięgła i szkół prywatnych i tam położono kres ślepemu mechanizmowi w uczeniu się i kierowaniu nauki na reklamę, zapobieżono rozkawałkowywaniu nauki, które sprawiało, że uczono dużo i długo z małym wkońcu pożytkiem.

Sprawozdanie o stanie szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich zdobią dwie mapy Galicyi, przedstawiające frekwencyę publicznych szkół ludowych w pojedyńczych powiatach w stosunku do zaludnienia w r. 1873 i 1893. Na podstawie danych statystycznych wykonał te mapy Stanisław Majerski, prof. V-go gimnazyum lwowskiego. Gdybyśmy nawet z tekstu nie wiedzieli, że w r. 1874 było szkół ludowych w Galicyi 2362, do których uczęszczało 172.506 uczniów, uczonych przez 3266 nauczycieli, a w r. 1893 szkół 3812, uczniów 563.509 i 5875 nauczycieli, to mapy toby nam powiedziały. Przed dziesięciu laty wynosiły koszta utrzymania nauczycieli 424.271 złr., w ubiegłym roku zaś 2,986.480 złr. Cyfry te same mówią, jak wielki krok naprzód zrobiono.

W niektórych powiatach, zwłaszcza w wielkich miastach, nauczycielki przewyższają liczebnie swych kolegów nauczycieli.

Nietylko szkoły ludowe uległy reformie, dosięgła ona i szkół średnich. Z nowych podręczników zasługują na wymienienie: Ćwiczenia łacińskie Scheindlera i Steinera dla klasy II. (przerobione), nowe wydanie Historyi biblijnej ks. Tomasza Dąbrowskiego, a przedewszystkiem podręczniki do nauki języka polskiego. Wypisy polskie dla klasy IV. ułożyli w tym roku profesorowie: Jan Czubek i Roman Zawiliński. Pojawiło się również nowe wydanie pierwszego tomu Wypisów polskich Stan. hr. Tarnowskiego i Józefa Wójcika. Wydanie to zmienione i skrócone zostało, dzięki doświadczeniom poczynionym od chwili wprowadzenia tych wypisów do użytku szkolnego. Książkę tę zastosował do potrzeb szkół realnych prof. Rom. Bobin. Do nauki języka niemieckiego wyszedł ostatni tom nowego podręcznika p. t.: *Deutsches Lesebuch für die achte Classe der galiz. Gymnasien*, ułożyli dr. R. Werner i dr. K. Petelenz. Do historyi powszechnej przybyły dwa drugie

tomy Dziejów dla niższego gimnazyum d-ra Semkowicza, dla wyższego d-ra Zakrzewskiego. Dla nauki matematyki wydali podręczniki: dr. M. Baraniecki, prof. K. Brzostowicz, tudzież J. Soleski i J. Fąfara. Podręcznik fizyki ułożyli profesorowie Kawecki i dr. Tomaszewski. Dzięki znakomitej sposobności, jaką dawała wystawa, pomnożyły się znacznie środki naukowe szkół średnich galicyjskich. Przybyło sporo map i obrazów do nauki filologii klasycznej, historyi powszechnej i nauk przyrodniczych, ułożono nowe inwentarze normalnego gabinetu fizykalnego i przyrodniczego, złożono starannie zbiór modeli do nauki rysunków odręcznych.

W szkołach realnych nauka języka francuskiego stała się w roku zeszłym przedmiotem obowiązkowym od klasy IV., w tym roku przeznaczono w V. klasie realnej 4 godziny tygodniowo na naukę tego przedmiotu.

Szkół średnich w Galicyi jest obecnie 33, dyrektorów 32, katechetów 67, profesorów i nauczycieli 402, zastępców 189, razem 690.

Trudne warunki życia, oraz obszerne wymagania stawiane kandydatom stanu nauczycielskiego przy egzaminach kwalifikacyjnych, powodują znaczną (w porównaniu z innemi krajami monarchii austryacko-węgierskiej) liczbę nieegzaminowanych zastępców (suplentów), z podanej liczby 189 ma bowiem tylko 26 suplentów egzamin.

Rada Szkolna Krajowa chcąc zapobiedz temu wzmaganiu się liczby nieegzaminowanych zastępców, rokrocznie udziela kilkunastom z nich zmniejszenie liczby godzin obowiązkowej nauki, dwom zaś półrocznego urlopu. Dzięki temu, liczba nieegzaminowanych suplentów ze 166 (w r. 1893) spadła na 156 (w r. 1894).

Siedm posad rzeczywistych nie może być też obsadzonych dla braku kwalifikowanych kandydatów.

Ruch naukowy znalazł wśród profesorów szkół średnich i ich zastępców licznych pracowników. „Rada Szkolna z rozlicznych prac naukowych, dokonanych przez nauczycieli i z coraz poważniejszej treści rozpraw, umieszczonych w programach szkolnych i w czasopiśmie *Muzeum*, z zadowoleniem spostrzega, że poziom wykształcenia naukowego się podnosi“. Prac nauczycieli nie należy jednak tylko szukać w *Muzeum* i programach szkolnych, *Kwartalnik Historyczny*, *Przegląd Polski*, *Przegląd Powszechny*, *Ateneum* i *Przewodnik naukowo-literacki* przynoszą nader często rozprawy pióra nauczycieli galicyjskich.

Smutne zdarzenia tarnopolskie odbiły się nieszczęsnem echem nietylko w kraju, nietylko w innych zakładach naukowych, „okazały się

wyraźne dążności do wciągnięcia młodzieży szkolnej w tajemne knowania i organizacye". Rada Szkolna Krajowa poświęciła im również ustęp swego sprawozdania, konstatując równocześnie sporadyczność tych objawów.

W bursach znalazło w zeszłym roku szkolnym 1115 uczniów szkół średnich umieszczenie, a zarazem odpowiednią opiekę i kierunek.

M. L. Dziama.

Charitas. Księga zbiorowa, wydana na rzecz rz.-kat. Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Petersburg 1894.

Stolica rosyjska gromadzi po dziś dzień licznych katolików wszystkich narodowości — dla powodów, które nie tu miejsce wyliczać. Są tam i Polacy i Litwini nasi ubodzy, przeważnie szukający pomieszczenia i przytułku w obcej sobie ziemi. Przed dziesięciu więc laty, zawiązało się Towarzystwo Dobroczynności, a działania jego obrazem niech będą sumy na cele dobroczynne wydane, a mianowicie: rozchód 20.000 — 25.000 rs. rocznie. Dziś rozporządza ono kapitałem 140.063 rs. 61 kp. Wszelako, wobec wielkiego pola działania, Towarzystwo musi mieć przytułki dla starców, guwernantek, ochrony i dawać bądź stałe, bądź jednorazowe zapomogi uczniom katolickim i ubogim; wobec tej liczebnie wielkiej nędzy Petersburga, która stanowi wedle prof. Jansona 27% ogólnej cyfry ludności [1] — cyfra to zbyt mała, by potrzebom zadość uczynić.

Stąd Towarzystwo stara się o coraz nowe źródła dochodu, i tem również ma być wydawnictwo *Charitas*, którego myśl podał p. Walużynicz-Kościuszko.

Łączy ono w sobie piękną zaiste mozaikę artykułów społecznych, literackich i historycznych. Głosy poważne polskich biskupów odzywają się z tych kart w kwestyach społecznych. Pisze ks. Kozłowski, arcyb. mohylewski, pisze ks. biskup Symon; odzywa się biskup płocki ks. Nowodworski, i na pytanie: „Co robić?", kiedy Zola, ów słynny pornograf, mówi: „Oto ja, który walczyłem za pozytywizm, ja po 30 latach walki czuję się zachwianym w mych przekonaniach; wiara religijna byłaby niewątpliwie zaporą przeciw podobnym teoryom, ale czyż ona dziś już nie znikła — kto nam da nowy ideał"; kiedy materyalista Nordau przepowiada, że jeśli zwyrodnienie pójdzie dalej, będą się

[1] 1,033.618 osób z przedmieściami, bez nich 954.400 osób, z których katolików 36. 090 wedle spisu z $^{15}/_{12}$ 1890 r.

zawiązywać kluby samobójców, powstawać wielkie zakłady do morfinowania się, haszyszowania, eteryzowania i t. p., mężczyźni będą nosili suknie kobiece, a kobiety męskie, pójdzie w niepamięć wstydliwość i w teatrach tylko będą się podobać sceny nagiej erotyki, i „co spostrzega się u mieszkańców domu obłąkanych, stałoby się właściwością klas całych“; — kiedy to pytanie stawia wielu, a wszyscy poza ułudną pociechą znać jak w duszy myślą „kto nam da nowy ideał“: wtedy go ukazuje biskup i na pytanie: „co robić?“, powiada z apostołem, że jedynym środkiem jest „stanowczy, powszechny zwrot do Boga przez tego, który go najdoskonalej i najpełniej nam objawił, przez Jezusa Chrystusa [1].

Spotkasz tam również artykuły kapłanów: piękne klasztorne wspomnienia ks. Niedziałkowskiego, ks. Badeniego „Morawską Częstochowę“. Znajdziesz artykuły poważnych historyków: p. Korzona o Kromwelu, Karłowicza, d-ra Prochaski o poselstwie polskiem w Petersburgu (r. 1720), p. Pawińskiego. Nie ujdą twej uwagi i piękne szkice literackie p. Chmielowskiego, Tretiaka o Drużbackiej, Chlebowskiego o kołaczach Szymonowicza. Będzie i kilka poezyj, p. Pługa, Engeströma, Prusinowskiego, p. Konopnickiej; będzie i znany p. hr. Tarnowskiego Stanisława Leon XIII. Słowem, wybór trafny, piękny: 585 stron zapełnionych artykułami wcale nie banalnemi i książka nie wymaga bynajmniej miłosierdzia, aby ją kupić, choć jej dochód na miłosierne cele przeznaczony. *Charitas* dziwna i harmonia treści unosi się nad nią. Byłaby harmonia i w autorach, gdyby jej kilku nie psuło. Bo np. p. Jeżowi z „twórcą Jupajdi“ bardzo jakoś nie do twarzy w tem otoczeniu biskupów i księży, a żydek Heine,

Którego serce niby morze
Ma swe burze, wiry, fale,
I niejedna piękna perła
W jego tai się kryształe,

już byłby chyba protest podniósł na tę *Charitas*, która go w swe ramy ujęła.

Wł. R.

Na Lagunach. Przez *Stan. Bełzę*. Warszawa i Petersburg. 1895.

Szukając wytchnienia po poważnej, ściśle naukowej pracy, wyjeżdża p. Bełza od dłuższego już szeregu lat, to na północ, to na południe: do Danii, Norwegii, Szkocyi, za Apeniny, do Szląska, Holandyi i Gór

[1] I. Cor. III. 11.

Olbrzymich — i następnie otrzymanemi wrażeniami dzieli się w peryodycznie zjawiających się na księgarskich półkach eleganckich tomikach, z licznem kołem czytelników. Obecnie przyszła kolej na Wenecyę, na „Laguny". Niełatwe przedsięwzięcie! O Wenecyi tyle grubych tomów zalega biblioteki; tyle spisano tomów o jej pięknościach, obyczajach, historyi; tyle tomów o każdym niemal z jej pałaców, kościołów, o każdym z przechowywanych w nich obrazów, starożytnych zabytków; jak książki te i księgi w jednej książeczce streścić, zwłaszcza jeśli owa książeczka niema być tylko fejletonowym „dzienniczkiem z podróży", jeśli jej zadaniem: dać o ile można dokładny, wszechstronny obraz „Królowej mórz"? Wprawdzie nasz podróżnik broni się energicznie na ostatnich kartach swej pracy przed taką insynuacyą: „To tylko — zastrzega się — spowiedź z indywidualnych wrażeń w obcym świecie!"; cóż z tej obrony, kiedy każdy, kto książkę do końca doczytał, wie dobrze, że zbyt skromnego czy przezornego autora nie wolno brać mu za słowo; że szeroko rozwodzi on się o najsłynniejszych budowach, pomnikach, obrazach, najcharakterystyczniejszych dawniejszych i nowszych zwyczajach. Inaczej nawet być nie mogło, gdy napisać ktoś zamierzył o Wenecyi nie szkic, nie broszurę, nie fejleton, ale książkę. W tem, zdaniem naszem, główny błąd tej pracy, błąd, do którego sam podróżnik między liniami się przyznaje: za wielka ona na fejleton, zapisujący indywidualne wrażenia, za mała na książkę opisującą Wenecyę. Swoją drogą, kto Wenecyi nie zna, wiele ciekawych rzeczy o niej się dowie; kto ją zna, wiele ciekawych rzeczy sobie o niej przypomni.

Kilkadziesiąt ładnie wykonanych rycin zdobi książkę, czyniąc ją w ten sposób bardzo odpowiednią na gwiazdkowe i imieninowe podarunki. Szkoda, że wydawcy o spisie rzeczy zapomnieli.

Dusze w odlocie. Z pamiętnika młodego lekarza. Nowela, z ilustracyami E. Lindemana. *Maryan Gawalewicz.* Nakład Gebethnera i Sp. Druk. W. L. Anczyca.

Aż miło przeczytać taką książeczkę, gdzie tyle delikatnych strun duszy jest potrąconych, a ani jednej nie słychać fałszywej nuty! Jest to rzadkość w naszej beletrystycznej literaturze.

Młody, jeszcze bez wąsów, ale z poczciwem sercem lekarz rozpoczyna swą praktykę i spostrzeżenia swoje spisuje w pamiętniku. Pierwsi jego pacyenci należą do tych zwyczajnych typów, jakich setki znają wszyscy, co się zbliżają do chorych. Lecz autor umiał jakoś tak wydobyć na wierzch interesujące ich rysy, tak ładnie ich oświetlić, że

zrobił z nich postacie żywo nas obchodzące — jak to umieją malarze w rodzaju Van Dycka i Velasquesa, którzy z pospolitych modeli robią pyszne portrety, nic im nie ujmując z ich prawdy.

Jaki prawdziwy np. jest ten stary, osowiały Gierda, umierający w osamotnieniu, a z taką prostotą i męstwem patrzący w oczy śmierci! Z pod jego rubasznej postaci, ile serca, ile nawet tkliwości się wydobywa! Kontrastem do niego jest gasnąca na suchoty panna, otoczona dostatkiem i pieszczotami ojca; której los więcej nas rozrzewnia, że ona sama — jak to bywa — w ciągłem jest złudzeniu, i wszyscy ją w tem złudzeniu utrzymują. Ale może najpiękniejszy jest ten 15-letni chłopiec, rwący się do muzyki, do konserwatoryum, a pasujący się z ciężką chorobą; i obok niego ta stroskana matula, uboga szwaczka. Jak ślicznie i delikatnie się oboje kochają, jak kryją jedno przed drugiem co ich boli! I te wszystkie postacie, choć sobie obce, jednak w opowiadaniu autora splatają się w jeden bukiet, współczują ze sobą, i sercem wzajemnie sobie dobrze czynią. Doskonale nazwał autor swą nowelę „Dusze w odlocie", bo to są prawdziwie sylwetki dusz — i te dusze są w odlocie.

Unosi się nad tem wszystkiem, jak wymagał przedmiot, lekka mgła smutku i rzewności; ale nic ckliwego i, co ważniejsza (i rzadsza w naszej literaturze) nic rozpaczliwego. Do każdego cierpienia przymieszana jest pewna miarka pociechy — jak zresztą bywa w życiu — i anioł wiary unosi się nad niemi. W tym właśnie układzie, w tej, jak Grecy mówili, mierze, tkwi, podług mego przekonania, główna przyczyna szczególnego wdzięku tego opowiadania.

Dodać wreszcie trzeba, że i wydanie jest odpowiednie treści, miluchne. Mała, pięknemi literkami drukowana książeczka, na wzór najnowszych tego rodzaju francuskich wydawnictw, z lekkiemi ilustracyami, które do marzenia nastrajają.

Ks. M. Morawski.

Biedni ludzie. Opowiadanie z większego miasta. Napisał *Józef Hopcas.* Nakładem Komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. Lwów 1894.

Proste opowiadanie, z bardzo wyraźną tendencyą: Ubezpieczaj się na życie — a znalazłeś sposób oszczędności dostępny i zbawienny dla każdego, zabezpieczysz sobie spokojną starość, rodzinie pewne utrzymanie, pobudzisz się sam do pracy, oszczędności, stateczności. Tendencya jasna i autor bynajmniej ukrywać jej nie myśli. Przeciwnie, jak mówi o konieczności ubezpieczania się na wstępie, tak ostatni rozdział rozpoczyna słowami: „Daj Boże! żeby te karty książki choć garstkę

ludzi dobrej woli skłoniły do ubezpieczenia się na życie!“ Stosownie do tej idei przewodniej, ci co się ubezpieczyli: Ludka, Władysław, Marya Zawadzka, Rabaczkowa, żyją szczęśliwi, a w chwilowych trudnościach, niepowodzeniach mają pewny punkt oparcia; ci co się nie zabezpieczyli: szumnie niegdyś żyjący Zrębscy, Lolek, Andzia, Helena, marnują się, przepadają. Wpłynęły na to oczywiście i liczne inne przyczyny; autor w swem opowiadaniu jedną uwydatnia, bo tę jedną wbić chce w umysły czytelników, zmusić ich niejako do postanowienia: Dziś jeszcze zapewnić muszę przyszłość własną i rodziny, przejść, czy przejechać się do najbliższego ajenta (spis ich praktycznie podany na końcu) Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń.

Dobre i rozumne to postanowienie; tem samem i książeczka, która je wywołuje, dobra i pożyteczna. Nie wątpimy razem z autorem, że każdy czytelnik lub czytelniczka poczciwej tej powiastki postanowią sobie naśladować szczęśliwą parę: Władysława i Ludkę, zwrócą się do tej kopalni złota, a mniej będzie ludzkiej niedoli! — Niechże czytelników tych, zwłaszcza wśród kół, dla których p. Hopcas swą książeczkę napisał, będzie jak najwięcej!

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Das Problem des Leidens in der Moral. Eine akademische Antrittsrede von *Dr. Paul Keppler*, o. ö. Professor der Moraltheologie an der theol. Facultät in Freiburg i. B. 1894. Str. 58. Herder. Freiburg. (1 M.).

Jak sam powyższy tytuł wskazuje, jest to przedmiot, który z natury rzeczy więcej do ascetyki niż do moralnej należy. Gdy jednakże między moralną a ascetyką niema dotychczas ściśle oznaczonych granic, a ascetyka bądź co bądź na fundamencie moralnej swój gmach wznosić musi, przeto problem niniejszy tak w dzisiejszych czasach aktualny a przez moralistów zwyczajnie pobieżnie i niewyczerpująco traktowany, stanowi jedną z tych kwestyj, która na bliższe zasługując rozpatrzenie, *a priori* budzi niemałe u czytelnika zainteresowanie. Cóż bowiem dawniejszego i pospolitszego na świecie nad cierpienia i wszelakie bóle, pod których przygniatającym ciężarem ludzkość zawsze jęczała? To też historya myśli ludzkiej świadczy, że nad rozwiązaniem tej zagadki, skąd

to złe i dlaczego jest ono, nietylko biedziły się umysły głębiej myślących ludzi u wszystkich więcej lub mniej cywilizowanych narodów starożytności, ale także nie przestało być to problemem dla nowożytnej i dzisiejszej filozofii. Ślepy bowiem chyba optymizm wmawiać w siebie może, że ogrom ciężaru cierpienia u teraźniejszej ludzkości jest mniejszy, niż ongi. Cywilizacya, rozwój zewnętrznych form życia, nauka i przemysł... mogą sobie bez wytchnienia iść naprzód, jedno atoli za niemi krok w krok idzie... ból i cierpienie.

Zjawiają się wprawdzie dziś niepowołani lekarze, i to w większej liczbie niż kiedykolwiek dawniej, którzy tę wiecznie krwawiącą ranę leczyć usiłują, w dziwny zaiste sposób. Jedni z nich rozraniają jeszcze bardziej przez ustawiczne wszczepianie w organizm ludzkości gorączkowego niezadowolenia jadu; — inni znowu, przez poddawanie mu czary rozkoszy (hedonizm), chcą go — jakby narkozą — znieczulić na cierpienia i na wyciąganie z niego pożytku; wreszcie są i tacy, którzy sami bankrutami będąc w wierze i w życiu obyczajnem, szerzą wokół siebie zgubny pesymizm, pozbawiający męstwa do znoszenia cierpienia, a pchający przemocą w objęcia nirwany. Było zatem bardzo na czasie, by ze stanowiska etyki katolickiej spojrzeć w oblicze problemu cierpienia, by w wątpiące o sobie społeczeństwa wlać siłę do cierpienia, a tem samem do życia, gdy — jak wiadomo — żyć... to znaczy cierpieć. Autor wywiązał się ze swego zadania w wyborny sposób. Wprawdzie jest to praca swemi rozmiarami niewielka — jak tego zresztą ze samego napisu na tytule dorozumiewać się trzeba — ale za to tak treściwa i tak w myśli bogata — (jak Niemcy mówią: *gediegen*) — że jednego w niej nie znajdziesz zbytniego zdania.

Autor przechodzi w ogólnych zarysach, jakie rozwiązanie problemu cierpienia podawała w starożytności wiara religijna u Greków, a potem rozmaite systemy filozoficzne, od Demokryta, „śmiejącego się filozofa“ i sofistów... aż do sceptyków. Charakterystycznie odróżnia się w starożytności, od wszystkich innych, jeden naród, nietylko wiarą i życiem, ale i cierpieniem — a w historyi objawienia St. Zakonu znajdujemy pierwsze prawdziwe światła promienie, objaśniające problem cierpienia w owym nadewszystko mężu, który był typem i reprezentantem nietylko cierpiącego Izraela, ale i całej cierpiącej ludzkości — w Jobie. Wszelako St. Zakon stanowi jakby wstęp dopiero do właściwej nauki, dlaczego i jak cierpieć mamy. Ogłoszoną ona została w niepojęty sposób, na owej górze za murami Jerozolimy, tam, gdzie krzyż został zatknięty, który odtąd stał się godłem w ekonomii

zbawienia. Chrystus Pan sam, On ukrzyżowany, jest rozwiązaniem problemu cierpienia. Od onego czasu cierpienie, ten nieszczęśliwy skutek grzechu, przemieni się w najdzielniejszą broń do zwyciężenia grzechu — w pożyteczną do zbawienia rzecz (do Żyd. 12, 10) — w środek łaski (1. Piotr 1, 19) — w dar boskiej miłości (do Żyd. 12, 5 i. n.) ... słowem — cierpienie stało się istotną częścią życia chrześcijańskiego, samą jego treścią i warunkiem zbawienia, które od naśladowania Boskiego Mistrza w „królewskiej Jego drodze krzyża“ zależy (Mat. 10, 38). — Ba — co więcej! Nigdzie indziej, jeno w samem tylko chrześcijaństwie to widzimy, jak ostre dysonanse cierpienia, w piękną i czystą łączą się harmonię dziękczynienia i radości. Zamiast *de profundis* — wydobywającego się z głębi cierpiącej duszy ludzkości — słyszymy tu hymny radości na uczczenie cierpienia, jak np. w listach Pawłowych (do Rzym. 5, 3—8, 35 i t. d., 2 do Kor. 1, 5 i t. p.), w których owo Chrystusowe: „Błogosławieni, którzy cierpią“... w dziwnie pięknych rozbrzmiewa melodyach.

Πάθει μάθος (w cierpieniu nauka), oto najwyższy stopień mądrości starego świata; w cierpieniu i z cierpienia... miłość: to szlachetny owoc krzyża. I owo zupełne rozwiązanie problemu.

Te mniej więcej są główne myśli autora. Szkoda, że w ciasnych one podane są ramach, lecz więcej i piękniej powiedzieć w inauguracyjnym wykładzie... chyba niepodobna. Dodać jeszcze nawiasowo potrzeba, że barwność i pewien poetycki wdzięk języka podnosi jeszcze więcej wartość tej cennej choć niewielkiej pracy. Aby wszakże poglądów swoich nie zostawić bez dowodów, umieścił autor w osobnym dodatku, stanowiącym drugą połowę niniejszej broszury, treściwy przegląd zapatrywań greckich poetów i szkół filozoficznych na problem cierpienia, a obok i współczucia.

Ks. Dr. C. Wądolny.

Naturphilosophie. Von *Dr. Constantin Gutberlet.* Zweite sehr vermehrte und verbesserte Auflage. Münster 1894. Theissing.

Zaszczytnie znany w kołach filozoficznych redaktor *Philosophisches Jahrbuch,* prof. Gutberlet, ukończył właśnie drugie wydanie swego podręcznika filozofii. Ostatni tomik, z którego zdajemy sprawę naszym czytelnikom, zajmuje się filozofią przyrody.

Czy ktoś chce czy nie chce, filozofia przyrody winna wiązać się ściśle, a nawet opierać na naukach przyrodniczych. Sztuczne przegródki lub chociażby osobne szufladki nic na to nie poradzą. I jeśli zawsze

było to prawdą, to dziś, kiedy nauki przyrodnicze, urosłszy do niebywałej świetności i potęgi, zaczynają przenikać wszystkie tajniki duchowego życia całego ogółu i odgrywają tę samą lub nawet ważniejszą rolę co scholastyka w ciągu długiego średniowiecza, prawda ta jasnością swoją każdemu musi wpaść w oko i każdego przekonać. Niema też może obecnie filozofa, któryby w oderwaniu nie zgodził się na to w zupełności, jakkolwiek praktycznie nie wszyscy jeszcze zdobywają się na zawarcie serdecznej przyjaźni lub przynajmniej zimnego politycznego przymierza z nowoczesną nauką. Pod tym względem Gutberlet wyświadcza wielką usługę i zaszczyt przynosi niemały katolickiej szkole filozoficznej, że zabierając się do filozofowania nad przyrodą nie zdraża się ani na chwilę wkroczyć w ten istny chaos i wir dzisiejszych pojęć, teoryj, hipotez, że zależność kosmologii od nauk przyrodniczych nietylko w teoryi, nietylko w przedmowie uznaje, ale na każdym kroku praktycznie ją zaznacza, uwzględniając wszędzie najnowszy dorobek, ostatnie cegiełki, jakie chemia, fizyka i wszystkie nauki biologiczne na budowę gmachu wiedzy społecznej przygotowały. I to jest główna, ogromnej doniosłości zaleta książki Gutberleta. Czytelnik, zabierający się do niej, nie zostaje gwałtownie i nagle przeniesiony na kilka lub kilkanaście wieków wstecz, ani na inną planetę, lecz ustawicznie ma to wrażenie, że znajduje się na tej ziemi i to pod koniec XIX. stulecia, obraca się w kole znanych sobie przynajmniej w części dzisiejszych pojęć, spotyka się raz po raz z ludźmi dzisiaj filozofującymi, po naszemu mówiącymi, nie zaś z samemi martwemi nazwiskami zamierzchłej przeszłości. Z tem bardzo chwalebnem przystosowaniem do czasu i środowiska spółczesnego idzie w parze u autora pewna filozoficzna oględność w wypowiadaniu stanowczego sądu o rzeczy. Rzuca to na książkę pewien odcień sceptycyzmu i niepewności — ale bo też nic gorszego nad dogmatyzm w rzeczach niepewnych i nieudowodnionych. A cóż w filozofii mniej pewnego od kosmologii?

Trzy części składają się na całość książki: o naturze ciał w ogólności (str. 3—167), o naturze organicznej (168—262), o powstaniu porządku wszechświata (263—316). Z obfitej treści podajemy kilka szczegółów, które mogą zainteresować niejednego z naszych czytelników.

Autor zaczyna od bardzo niepewnej i dlatego może najbardziej we wszystkich sektach filozoficznych dyskutowanej kwestyi, o istocie ciał. Podaje więc cały legion hipotez i opinij, rozbiera je, a ostatecznie przyjmuje, że atomizm przyrodniczy i ze stanowiska fizyki i chemii i ze stanowiska ściśle filozoficznego może się dzisiaj całkowicie ostać,

usiłuje jednak pogodzić i połączyć atomizm z hipotezą scholastyczną o materyi i formie, jakkolwiek przyznaje, że główne racye przemawiające za tem zdaniem należą do działu psychologii. G. utrzymuje, że nie można orzec stanowczo, czy ciągłość w ścisłem tego słowa znaczeniu istnieje w przyrodzie lub nie, dlatego chociaż rozstaje się z systemem atomów metafizycznie niezłożonych, zachowuje dla nich zdaje się dużo przyjaźni i sympatyi, a z całości nawet wynika, że autor zgodziłby się chętnie na ten system, gdyby mu nie sprawiała trudności substancyalność jestestw żyjących. W rozdziale o własnościach i siłach ciał autor skłania się bardzo do mechanicznego wytłumaczenia wszystkich sił — w takim jednak razie nie widać wystarczającej racyi przyczepienia systemu perypatetycznego do atomizmu. Dobrze autor wyłuszcza i rozprowadza dwie nowożytne zasady energii i entropii. Do zwykłych rzeczy o prawach przyrody dodaje autor dwa paragrafy, w stosunku do książki zanadto obszerne, o piękności przyrody i o t. zw. złotym podziale.

Co się tyczy przyrody organicznej, to autor przyjmuje we wszystkich żywinach osobny pierwiastek życia, różniący się rzeczowo od sił materyalnych, zaznacza jednak, że dowody odnośnie do roślin nie są kategorycznie przekonywające. Wobec dzisiejszych przyrodników, przyznawających czucie roślinom, nie zajmuje autor groźnej postawy, i zgadza się chętnie na przypisanie roślinom „pewnego rodzaju czucia“, ale rozumie się nie czucia zmysłowego, ani też świadomego w pełnem tego słowa znaczeniu. Wszystkie jednak objawy wrażliwości roślin stara się mechanicznie wytłumaczyć, przez co właśnie zdaje się podkopywać swój system o osobnym pierwiastku życiowym. W następnym rozdziale o zwierzęciu, rozbiera najpierw różne kryterya, po których można rozpoznać zwierzę od rośliny, i dochodzi do rezultatu, że wszystkie przynajmniej w pewnych przypadkach są niewystarczające. Dusza zwierzęcia zdaniem autora jest ściśle niezłożona, przestaje jednak istnieć ze śmiercią zwierzęcia, a wyłania się z potencyalności materyi przez akt generatywny rodziców. I to nie bardzo łatwy orzech do zgryzienia.

W ostatniej części Gutberlet przyjmuje z pewnemi przyrodniczemi zastrzeżeniami teoryę Kanta-Laplace'a, odrzuca samorodztwo, darwinizmowi przyznaje bardzo słabe prawdopodobieństwo i wykazuje dosyć obszernie, że dowody jego nie są przekonywające. Zdaje się jednak, że polemika Gutberleta za wiele w niektórych razach dowodzi, tj. potępia nietylko sam darwinizm, ale i ewolucyę wogóle, a przecież z wielu miejsc tej książki przebija się widoczna skłonność autora do ewolucyi

żywin z przyczyn wewnętrznych. Szkoda wogóle, że autor nie rozprowadził krytycznie prócz darwinizmu innych poglądów ewolucyjnych.

Odnośnie do całej książki, zawołany i wyłączny zwolennik metafizyki mógłby zarzucić w pewnych miejscach brak sondowania metafizycznego i pomijanie subtelniejszych kwestyjek metafizycznych, fachowego przyrodnika uderzyłoby gdzieniegdzie to, że autor zna nieraz szczegółowe prace mniejszej doniosłości, a nie jest obeznany z całemi kierunkami bardzo ważnemi w niektórych gałęziach nauk przyrodniczych, jak to np. dość jaskrawo występuje w kwestyi budowy komórkowej. Z temi jednak zastrzeżeniami jest to jeden z najlepszych i obecnemu stanowi rzeczy najodpowiedniejszych podręczników.

J. Nuckowski.

Les ouvrières de l'aiguille à Paris. Par *M. Charles Benoist.* Paris. Léon Chailley. 1895.

Pod skromnym tytułem notatek do badań kwestyj społecznych, młody pisarz, który już sobie zdobył międzynarodowe znaczenie współpracownictwem w znanej z wyłączności *Revue des deux mondes*, przynosi nam szczegóły jaskrawe o położeniu szwaczek w Paryżu. Minął od dawna wiek złoty, w którym igła starczyła kobiecie za broń odporną przeciw naciskowi biedy i głodu. Nad inne ciężki to zawód, lichy zarobek, niepewny chleb, tak falowaniem pracy jak nizkością płacy. W Paryżu czy Krakowie, kwestya kobiet utrzymujących się z szycia należy do najbardziej piekących i najboleśniejszych zarazem. Możemy tedy skorzystać i z smutnych obrazów, dostarczonych przez francuskiego autora, aby i wśród nas szukać dróg wyjścia i sposobu ratunku. Oczywiście różnice stosunków są wielkie, i tylko na względne pozwalają porównanie.

P. Benoist, jako ostateczność niedostatku przywodzi list i rachunki pewnej robotnicy paryskiej, która zarabiając z trudnością 700 franków rocznie, przyznawała odważnie, że nie każdemu wolno najeść się do sytości. Wszelako z rachunków jej wypada, iż opłaciwszy mieszkanie, światło i opał, codziennie mniej więcej około franka wydawała na jedzenie, licząc w to kawałek mięsa i za dziesięć centów wina, tego niezbędnego we Francyi napoju. Cóżby p. Benoist powiedział o naszych polskich, krakowskich szwaczkach, nie mogących nieraz na miesiąc zarobić więcej nad sześć reńskich i karmiących się niemal wyłącznie czystą herbatą i chlebem! Wszakże zarobki płynące z szycia jeszcze o wiele są lichsze u nas aniżeli na Zachodzie. Opowiadano nam nie-

dawno, iż za obrąbienie prześcieradła płaci się zaledwie ośm centów! Najczęściej zaś z zarobku szyciem zapewnionego odtrącić należy użyty materyał, a więc igły i nici. Cóż zostaje wtedy czystego dochodu dla nieszczęśliwej szwaczki?

Zapewne, szwaczki stale zajęte w pierwszorzędnych zakładach krawieckich zarabiają więcej. Atoli kosztem jakichże wysileń i straty zdrowia! P. Benoist podaje tu drastyczne opisy nocnych czuwań w porze karnawału, wyścigów, lub innych okresów spotęgowania obstalunków i roboty. Przeglądając t. zw. *cahiers d'heures* główniejszych w Paryżu magazynów damskich, p. Benoist w onych regestrach sklepowych dorachował się mnóstwa trzynasto , czternasto-, a nawet szesnasto-godzinnych dniówek raz po raz, znalazł i dziewiętnasto-godzinną pracę w warsztacie strojów; nie zawsze atoli odnalazł wytchnienie niedzielne pośrodku dwóch tygodni, liczących każdy po ośmdziesiąt godzin ciężkiej roboty!

Znany mówca katolicki, hr. de Mun, podchwycił sprawę owych przeciągłych czuwań nocnych w pamiętnej mowie, którą napiętnował wyzyskiwanie nieszczęśliwych robotnic: „Około siódmej z wieczora, kierowniczka warsztatu nagle oznajmia swym podwładnym, iż wypadnie późno w noc przeciągnąć dzień pracy. Zazwyczaj następuje to bez wcześniejszego uprzedzenia szwaczek, z których niejedna już się zabierała do odejścia, nie spodziewając się zgoła zapowiedzianego nagle czuwania. Wypada się czem pokrzepić naprędce. Jedna z robotnic wybiega, kupuje trochę chleba i kiełbasek, które każda za swoje pieniądze pochłania, nie odkładając prawie z rąk roboty; za czem szyć trzeba do jedenastej, do dwunastej i dłużej. Nareszcie odejść i rozejść się wolno. Gdzie, jak, dokąd? Niejedna z nich mieszka o godzinę drogi i dalej. Wolą czasem wcale nie odchodzić, nie tłuc się po nocy — pozostać w magazynie. Myślicie, że znajdą choć na ziemi rozścielone posłanie? Bynajmniej. Wolno im przespać się na stołku, ażeby nazajutrz o tej samej co zwykle godzinie rozpoczynać dzień pracy. Jeśli która się spóźni zaledwie pięć minut, mało co więcej, bywa im darowane; inaczej — drzwi warsztatu się zamykają i pół dnia zarobku do południa przepada...“

Uchwała Izby zabroniła nocnej dla kobiet pracy, zapobiegła choć w części wyniszczającym czuwaniom. Atoli szczegół to tylko, złagodzenie rany społecznej, nie zaś usunięcie złego. Kto wie czy nie jedynym skutecznym ratunkiem—to syndykaty oparte na idei chrześcijańskiej miłości i współpracownictwie. Zaczynają się one mnożyć we Francyi, a wszakże i nasze krakowskie „Stowarzyszenie pracy kobiet“ nie jest

niczem innem jak takim syndykatem, ubezpieczającym zarobek, stałą pracę i sprawiedliwą płacę nieszczęśliwym szwaczkom, ocalając je przed wyzyskiwaniem Żydów lub pośredników, odbierających za tańsze pieniądze dokonaną robotę, aby ją ustąpić w droższej cenie magazynowi, który jeszcze większy zysk z niej wyciągnie. Plaga ta Anglii, nazwana tam *the sweating system*, wyzyskiwanie potu robotnic, wszędzie grozi i woła o szybki ratunek. Życząc powodzenia naszemu „Stowarzyszeniu pracy kobiet", jednocześnie zalecamy wszystkim, którym sprawa biednych robotnic leży na sercu, ażeby rozczytywali się w sumiennych badaniach p. Benoist, lub jeszcze w konferencyach Ojca Du Lac T. J., który od lat kilku stał się niezmordowanym rzecznikiem tych nieszczęśliwych ofiar i „niewolnic kobiecego zbytku".

*M****

Szkice z życia małego nadmorskiego miasteczka. Skreślił *J. Drażenowicz*. Seń 1893. (Crtice iz primorskoga malogradskoga života. Napisao ih J. Drażenović. Senj 1893).

Nazwisko p. Drażenowicza od dawna w chorwackiej literaturze wyrobiło sobie popularność. Już w *Iskricach* (Iskierki) jego, tj. krótkich, pełnych życia i barwy obrazkach, wydanych w r. 1887, dał się poznać czytającej chorwackiej publiczności nowy, nader wybitny talent, niemałe rokujący nadzieje. Od tego też czasu p. Drażenowicz zasila ciągle swemi utworami rozmaite chorwackie wydawnictwa, najbardziej zaś poczytne czasopismo *Vienac* zalicza go do grona stałych swych współpracowników. Kilkanaście najcelniejszych nowel tego autora, rozproszonych dotąd na szpaltach czasopism, złożyło się właśnie na książkę pod tytułem *Crtice*. Pod względem treści dają się one podzielić na dwie odrębne kategorye. Jedne z nich, nacechowane pewną rzewnością i głębokiem uczuciem, jak naprzykład „Po burzy" *(Po buri)*, „W wigilię Bożego Narodzenia" *(Na Badujak)* i „Podanie o przeszytem sercu" *(Pričicao probodenom srcu)*, malują smutne, poważne strony życia ubogiej miejskiej ludności, lecz opisując największą nawet nędzę materyalną lub moralną, nie sięgają nigdy do krańcowego realizmu i nie nurzają się w błocie, nie szukają tam *la bête humaine*. Inne natomiast odbijają w sobie jak w zwierciedle różnorodne ludzkie słabostki, mniej lub więcej niewinne i komiczne, tryskając co chwila nie ironią lub sarkazmem, lecz zdrowym, świeżym i szczerym dowcipem. Do najlepszych z pomiędzy nich należy utwór pod tytułem „Nowa era", osnuty na tle epoki, gdy miasta dalmackie, rządzone niegdyś przez komendantów

wojskowych, otrzymały cywilny samorząd gminny, puszczenie zaś na nowe tory dawnej administracyjnej machiny, wywołało mnóstwo zabawnych koteryj, ponieważ poczciwi mieszczanie, oszołomieni tą nagłą zmianą, nierychło w nieznanem sobie dotąd położeniu zoryentować się zdołali. Niespodziane zbudzenie małej mieściny z dawnej błogiej drzemki, tworzenie się rozmaitych stronnictw, zabiegi w celu zdobycia najkorzystniejszego w zarządzie gminnym stanowiska, organizowania amatorskiego teatru, mającego służyć za pierwszy dowód żywotności miejskiej inteligencyi, słowem cała sieć różnorodnych intryg pozwala autorowi skreślić nadzwyczaj zajmującą i dowcipną humoreskę, a raczej satyrę społeczną, w której przed oczyma czytelnika przesuwa się cała galerya charakterystycznych typów. Z naturalnym, dikensowskim prawdziwie humorem umie autor połączyć francuską finezyę i delikatność w wycieniowaniu postaci, jędrny zaś i potoczysty styl, mogący z nielicznemi wyjątkami zadowolnić najwybredniejsze wymagania, podnosi jeszcze urok ślicznych tych nowel. Wszędzie też, zarówno w opowiadaniach poważniejszej nieco treści, jak i w wesołych humoreskach przebija się myśl głębsza, zawsze zacna i szlachetna. Jest to więc młody wprawdzie, lecz wyrobiony już talent, świadomy swego celu i środków, jakiemi rozporządza do jego osiągnięcia, a zatem mający piękną przyszłość przed sobą.

T. Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dwa dokumenty papieskie. — Węgierska „partya ludowa“. — Wybory w Csakathurn. — Program francuskich socyalistów. — Polsko-katolicki wiec w Bochum. — Książę biskup Puzyna w Krakowie.

DWA DOKUMENTY PAPIESKIE.

Ostatnie tygodnie przyniosły nam znowu dwa pierwszorzędnej wagi dokumenty papieskie. Pierwszy z nich: *Christi nomen*, podpisany w wigilię Bożego Narodzenia, ale ogłoszony dopiero w ostatnich dniach stycznia, jest dalszym praktycznym krokiem w wielkiem dziele, podjętem z taką usilnością, niczem nie dającą się zrazić lub ustraszyć, nawrócenia Wschodu.

Z jaką szczególną troską — odzywa się Ojciec św. — zwracamy się przedewszystkiem do Wschodu i jego kościołów, które wsławiło niejedno wielkie imię, o tem przekonaliście się z naszych ostatnich listów apostolskich, które ogłosiliśmy w sprawie ochrony i utrzymania wschodniej ordynacyi kościelnej. Przekonaliście się o tem dalej z rozporządzeń, które wydaliśmy po obradach z patryarchami tych ludów ku osiągnięciu tego celu. Nie taimy sobie atoli bynajmniej wielkich trudności tego przedsięwzięcia, jakoteż naszej bezsilności w pokonaniu tychże, pokładamy atoli całem sercem naszą silną i niewzruszoną ufność w Bogu, iż nam dopomoże je zwalczyć. On bowiem, który nas natchnął tą myślą i udzielił w swej Opatrzności siły do rozpoczęcia,

udzieli nam też siły i środków do dokończenia dzieła. O to błagamy Go w gorącej modlitwie i dlatego też wzywamy serdecznie wszystkich wiernych do modlitwy. Chodzi atoli o to, aby wraz z oczekiwaną w ufności pomocą Bożą połączyć środki ludzkie, i naszem to jest zadaniem, aby, o ile to zależy od nas, nie zaniedbać niczego, by wskazać i szukać wszelkich dróg i sposobów, które prowadzą do upragnionego celu.

Wiecie dobrze, czcigodni bracia, że, aby odszczepione narody Wschodu do jednego zgromadzić Kościoła, do tego koniecznie trzeba licznego, zasobnego w naukę i pobożność duchowieństwa, któreby pożądanego ducha jedności w nie wpoiło. Dalej konieczną jest rzeczą pomnażać instytucye katolickiego życia i wiary, i to w tej mierze, aby szczególnie duchowi narodu odpowiadały. Trzeba więc wszędzie, gdzie się potrzeba okaże, zakładać seminarya dla kleryków, i mieć staranie, aby wszędzie w odpowiednim do liczby mieszkańców stosunku zakładano gimnazya, aby podać każdemu sposobność do poznania i zamiłowania swego obrządku, a przez wydawanie dobrych pism utrwalać w wiernych dostateczną znajomość zasad wiary.

Jakich zaś w tym względzie środków użyć trzeba, rozumiecie to dobrze, czcigodni bracia. Wiecie, że wschodnie kościoły własną siłą i własnemi środkami zdziałać tego nie mogą, i że i nam w tych czasach utrapienia wszystko według życzenia ziścić się nie może.

Tylko więc częściowo od wyżej wymienionych instytutów żądać możemy odpowiednich środków, gdy ich cel zasadniczy z tem, co nam najbardziej na sercu leży, jest w zgodzie i harmonii. Aby zaś misye apostolskie przez to, że część ich zasobów na inny cel obróconą będzie — szkody nie poniosły, trzeba się starać, aby dary wiernych obficiej do tych zakładów płynęły. Ta sama piecza tyczyć się powinna nader korzystnej instytucyi „Szkół wschodnich“, któreśmy także zalecali, zwłaszcza, że przewodnicy tychże obiecali jedną część z zebranej przez siebie jałmużny na ten cel obrócić.

Otóż do tego to dzieła, czcigodni bracia, błagamy was o wasze współdziałanie. Znając waszą gorliwość w sprawach religii i Kościoła, która nam zarówno na sercu leży, nie wątpimy, że gorliwość wasza i teraz wspierać nas będzie. Starajcie się więc, aby w kołach, waszej pasterskiej powierzonych pieczy, „Towarzystwo rozkrzewiania wiary“ coraz więcej się rozszerzało. Jesteśmy także przekonani, że bardzo wielu wpisałoby się do Towarzystwa i według możności składało ofiarę, gdyby byli dobrze obeznani z tem duchownem dziełem i poznali, jak

wiele dobrego sprawa Kościoła w obecnych czasach po niem spodziewać się może.

Z pewnością i to katolików do głębi poruszy, gdy się dowiedzą, że nic nam przyjemniejszego nad to uczynić nie mogą, i że dalej nic bardziej ani im ani Kościołowi na korzyść wyjść nie może, jak właśnie to przyczynienie się do naszych życzeń, przyczynienie się, aby, cośmy względem kościołów wschodnich przedsięwzięli, uwieńczone zostało pożądanym skutkiem.

W drugim dokumencie, rozpoczynającym się od słów: *Longinqua Oceani Spatia*, a ogłoszonym 28 stycznia, jednocześnie w Ameryce i Rzymie, zwraca się Papież do episkopatu amerykańskich Stanów Zjednoczonych; przypomina, jakie niespożyte zasługi Kościół w Ameryce położył; wspomina o niebezpieczeństwach, które mu dziś z różnych stron grożą; kreśli szeroki program katolickiej działalności na przyszłość. Niedawny obchód czterechsetletniej rocznicy odkrycia Nowego Świata przywodzi mimowoli na myśl przewodnią ideę, która przyprowadziła Kolumba do brzegów amerykańskich; ideę, dającą się najdalej streścić słowami pacierza: „Święć się imię Twoje! — przyjdź królestwo Twoje!“ Różne później Kościół w Ameryce przechodził koleje. Dziś niezmordowana czujność i praca biskupów, którą umożebnia sprawiedliwość amerykańskiego prawodawstwa, sprawiedliwość sądów, zagwarantowały swobodny rozwój religii i instytucyj katolickich. To Ojciec św. przyznaje poprostu i otwarcie, bo — jak charakterystycznie się wyraża — zawsze i wszędzie lubi i chce wygłaszać tylko szczerą prawdę. Wszakże z drugiej strony — niemniej otwarcie się zastrzega — błędnem byłoby chcieć z tego wyciągać wniosek, że najpomyślniejszym dla Kościoła jest właśnie stan taki, jaki istnieje w Ameryce, i że wszędzie wolno, wszędzie byłoby pożytecznie doprowadzić do rozdziału Kościoła od państwa. Religia katolicka w Ameryce otoczona jest powszechnym szacunkiem, rozwija się nawet szczęśliwie, ale przypisać to jedynie należy owej potężnej płodności Kościoła bożego, która, jeżeli nikt jej gwałtownie tamy nie kładzie, bujne zawsze przynosi owoce. Czy owoce te nie byłyby jeszcze piękniejsze i bujniejsze, gdyby Kościół miał nietylko wolność, ale

przychodziło mu nadto w pomoc i prawo i opieka władzy publicznej?

Pragnąc zachować i wzmocnić w Zjednoczonych Stanach Ameryki Północnej religię katolicką, wytężyć trzeba przedewszystkiem siły w staraniu się o rozwój zdrowej nauki. Z tej myśli powstał r. 1889 w Waszyngtonie nowy katolicki uniwersytet, pomimo że w Ameryce nie brak licznych i sławnych uniwersytetów. Waszyngtońscy profesorowie katoliccy wykładają na pierwszem miejscu teologię i filozofię, a obok tych dwóch pierwszych inne nauki, te zwłaszcza, które „ostatnie czasy wydobyły na jaw, lub doprowadziły do doskonałości". Wszelkie bowiem naukowe wykształcenie zawsze będzie niezupełnem, jeżeli złączonem nie będzie z poznaniem innych gałęzi wiedzy. W zawziętych tych wyścigach umysłów; w epoce, w której cześć dla wiedzy, sama w sobie uczciwa i chwalebna, tak jest powszechną, nie wolno katolikom zostać na szarym końcu, w pierwszych szeregach iść winni. Obowiązkiem ich zgłębiać wszystkie nauki, wszelkiemi środkami zdążać do zbadania prawdy, do zrozumienia i przeniknięcia, o ile to możliwem, praw rządzących przyrodą. Ani też wątpić na chwilę nie można, że dotychczasowa ofiarność katolików amerykańskich, której złożyli dowody, zakładając uniwersytet waszyngtoński, przyczyniając się do utworzenia kolegium amerykańskiego w Rzymie, i na przyszłość nie zawiedzie.

Z kolei zastanawia się Papież nad przebiegiem i uchwaleniem trzeciego synodu baltimorskiego. Uchwały te, energicznie i konsekwentnie przeprowadzone, wzmocnić muszą karność, dodać bodźca gorliwości duchowieństwa, zabezpieczyć religijne wychowanie młodzieży. Dla łatwiejszego przeprowadzenia tego wielkiego dzieła; dla przyłożenia niejako do baltimorskich uchwał ostatniej pieczęci, ustanowił Papież osobną delegacyę apostolską dla Stanów Zjednoczonych. Cel i zakres władzy delegata w niczem nie uszczupla ani władzy, ani wpływu biskupów; jedynie umożliwia i ułatwia ścisłą, we wszystkich sprawach, łączność zamiarów i czynów ze Stolicą Apostolską i zgodę między biskupami.

Dalszym, bardzo ważnym punktem, a na który zwłaszcza w Ameryce położyć trzeba szczególniejszy nacisk, dotyczy nie-

rozerwalności małżeństwa. „Wielu — pisze Papież — z waszych współobywateli, z tych nawet, którzy katolickiej wiary nie uznają, podziwiają i całem sercem zgadzają się na katolicką naukę o jedności i nierozerwalności małżeństwa; wiedząc i widząc, do jakiej przepaści wpycha nieokiełznana wolność rozwodów. W rzeczy samej nic niema tak niebezpiecznego dla rodziny tak głęboko podkopującego potęgę państwa, jak możliwość rozrywania wedle własnego widzimisię świętych węzłów, które sam Bóg, nieodmiennem swem prawem na całe życie, zadzierzgnął.

„Ścisłe spełnianie praw obywatelskich, branie czynnego udziału w życiu publicznem, zakładanie, szerzenie stowarzyszeń, zwłaszcza robotniczych, duchem katolickim ożywionych: oto obowiązki, od których dziś amerykańskiemu katolikowi nie wolno się usuwać. Wielkie, bardzo wielkie zadanie ma również przed sobą katolickie dziennikarstwo. Znaczna już liczba dzielnych szermierzy walczy na tej arenie, i raczej chwalić należy ich gorliwość, niż do większej pobudzać. Ale pole, na którem dziennikarstwo może rozwijać swą błogą lub zgubną działalność, tak jest niezmierne, że nigdy ustawać nie można w pracy nad powiększeniem liczby tych, którzy wywiązują się zdolnie z dziennikarskiego swego posłannictwa, wziąwszy sobie wiarę za wodza, uczciwość za wierną towarzyszkę, wzajemną miłość i zgodę za fundamentalną zasadę poczciwej pracy. Bez tej zgody, dziennikarska praca, choćby skądinąd najlepszym szła torem, mało przyniesie pożytku. Konieczną, niezbędną jest rzeczą, aby ci, którzy chcą pożytecznie służyć Kościołowi, walczyli pod jednym sztandarem, w zwartych szeregach, niby jeden hufiec. Kto przez waśnie i spory siły rozprasza, kto ośmiela się sądzić czyny i postanowienia biskupów, i o należnym im szacunku zapomina, ten nie jest obrońcą, lecz raczej wrogiem Kościoła“...

Szeroki program, będący — wedle jednomyślnego zdania całej poważnej amerykańskiej i europejskiej prasy — najlepszym dowodem, jak szerokim jest umysł dziwnego tego starca, zasiadającego na stolicy Piotrowej, który w encyklikach swych obiegł wszystkie już niemal kraje starego i nowego świata, potrzeby ich i choroby nad wiarę trafnie zbadał, odpowiednie lekarstwa po-

dał. „W ostatniej encyklice — streszcza odniesione wrażenia rzymski korespondent warszawskiego *Słowa* — odnajdujemy wszystkie zalety, jakiemi odznaczają się dokumenty wychodzące z pod pióra Leona XIII.: klasyczny język łaciński, piękny styl, subtelna ocena warunków kraju, szerokość i podniosłość myśli, demokratyczne tchnienia, idące z potrzebami wieku“...

WĘGIERSKA PARTYA LUDOWA.

Węgierskie katolickie „stronnictwo ludowe“, wywołane nieszczęsnemi, antykościelnemi prawami, ostatecznie ukonstytuowało się wbrew wszelkim prośbom i groźbom, śmiechom i lamentom; ogłosiło swój program, rozpoczęło działalność. „Celem nowego politycznego stronnictwa — czytamy w programie — jest strzeżenie chrześcijańskiego charakteru społeczeństwa, gojenie ran, zadanych w ojczyźnie naszej Kościołowi katolickiemu i wogóle chrześcijaństwu, tudzież popieranie interesów ekonomicznych i politycznych naszego kraju i ludu“. Główne punkty szczegółowego programu, o ile odnosi się do obrony zagrożonej przez państwo religii i Kościoła, są następujące:

1) Rewizya ustaw o przymusowych ślubach cywilnych i metrykach wydawanych przez państwo.

2) Walka z wszelkiego rodzaju ustawami i rozporządzeniami, które nie są zgodne z duchem chrześcijańskim lub zagrażają tak niezbędnej dla kraju zgodzie wyznań w Węgrzech uznanych.

3) Zaprowadzenie katolickiej autonomii, a tem samem usunięcie się rządu od administracyi katolickiemi funduszami i fundacyami.

4) Obrona wolności nauki, zagwarantowanej ustawami o szkolnictwie ludowem tak Kościołowi katolickiemu, jak innym wyznaniom; stopniowe rozszerzenie tej wolności na gimnazya i uniwersytety.

5) Uwzględnianie słusznych i sprawiedliwych żądań niewęgierskich narodowości, o ile żądania te nie sprzeciwiają się jedności i narodowemu charakterowi Węgier.

6) Zmiana obowiązującej ordynacyi wyborczej, która z niejednego względu ułatwia nadużycia.

WYBORY W CSAKATHURN.

Najlepszą ilustracyą do ostatniego tego punktu — formalne, dyplomatyczne i wcale nie wyłącznie dyplomatyczne walki, staczane przez rząd w sześciu okręgach, w któ-

rych świeżo do władzy powołani ministrowie poddać się musieli, stosownie do przepisów konstytucyi, powtórnemu wyborowi. Oryginalnym zwłaszcza był wybór w Csakathurn, gdzie kandydował nowy minister oświaty, dr. Juliusz Wlassics. Partya „ludowa“ zmierzyła się tu po raz pierwszy z rządzącem stronnictwem liberalnem, i ściśle z niem sprzymierzonem antydynastycznem stronnictwem Kossuthowem; sprzymierzona armia zwyciężyła, ale zwycięstwo to słusznie nazwać można pirrhusowem. Wyborców należących do stronnictwa ludowego, pilnowała żandarmerya po wsiach, jak skazanych na śmierć lub więzienie złoczyńców; całe wsie otaczano wojskiem; najniebezpieczniejszych agitatorów aresztowano za lada pretekstem, lub bez pretekstu. W czasie samej walki wyborczej, która trwała od wczesnego rana do 9 wieczorem, przychodziło raz po raz do gwałtownych bójek, uśmierzanych dopiero przez szarżującą kawaleryę. „Prócz c. kr. marynarki, — opisuje ironicznie *Budapester Tagblatt* ‚wolne‘ te wybory — która na tym terenie użytą być niestety nie mogła, wystąpiło wojsko wszelkiej broni. Imponująca ta wojskowa koncentracya wywołała myśl, czy na przyszłość nie możnaby ze względów oszczędności połączyć corocznych wielkich manewrów, z wyborami; za jednem uderzeniem dwie muchyby się ubiło: wojsko miałoby potrzebny ruch i ćwiczenie, a jednocześnie dopomogłoby rządowemu kandydatowi do zwycięstwa... Ponieważ zaś nie chodziło tu o wybór pierwszego lepszego posła, ale ministra; więc inni ministrowie powiedzieli sobie: od przybytku głowa nie boli. Teoretycznie nie ogłoszono, ale praktycznie zaprowadzono stan oblężenia. Bo i jakże inaczej nazwać i wytłumaczyć zaaresztowanie i odszupasowanie kilku księży, należących w dodatku do tej samej dyecezyi, w której leży Csakathurn; jak nazwać aresztowanie innych osób, które tem tylko zawiniły, że jawnie ośmieliły się wyznać swe sympatye dla kandydata stronnictwa ludowego, dr. Majora a mniej gorące sympatye odczuwały dla pana ministra... Cóż takiego zrobili? Czy podżegali do rewolucyi, do wojny domowej? Nie! — oni tylko ‚agitowali‘, w czem leży główna wina, to że agitowali za d-rem Ma-

jorem, nie za p. Wlassicsem. A odkądże w Węgrzech zakazanem jest agitować? To nie wolność; to terroryzm!“...

Co bardzo pocieszające dla organizującej się dopiero partyi, to ostateczny rezultat podjętej kampanii. Na Wlassicsa padło 1280 głosów, za Majorem oświadczyło się 1220 wyborców, a zatem różnica, mimo szalonej presyi wojska i żandarmów, wynosiła tylko 60 głosów. Dało to podobno niemało do myślenia peszteńskim ministrom; paru z nich — jeśli wierzyć można dziennikarskim doniesieniom — wystąpić miało ze zdaniem, że dotąd nie będzie dobrze, dopokąd kilku lub kilkunastu księży nie znajdzie się za kratkami więziennemi. Organa urzędowe i półurzędowe również malują raz po raz kraty, konfiskaty pensyi i majątków, wszelkiego rodzaju nieprzyjemności, które czekają księży, „nie umiejących ukorzyć się przed państwową ideą węgierską“. „A więc wojna religijna! — konkluduje bardzo rozumnie jedna z naszych gazet, nie mających bynajmniej pretensyi do uchodzenia za szczerze katolicką. — Niczego lepszego nie mogą sobie ostatecznie życzyć katolicy. *Kulturkampf* wszędzie się skończył lub kończy spotężnianiem katolicyzmu a sromotą jego przeciwników“...

PROGRAM FRANCUSKICH SOCYALISTÓW.

Francuscy socyaliści pod przewodnictwem głośnego Guesde'a wnieśli w parlamencie wniosek, z którego i ślepy poznać może, co sądzić o głoszonej z takim patosem socyalistycznej neutralności względem wszystkich religij. Guesde i towarzysze domagają się: zniesienia konkordatu i budżetu wyznań, skonfiskowania wszystkich majątków należących do religijnych stowarzyszeń, zakazania pracodawcom budowania kaplic, zniesienia religijnych związków robotniczych. Wszak piękna tolerancya; pouczające zastosowanie fundamentalnej socyalistycznej zasady: „Religia jest rzeczą prywatną“.

POLSKO-KATOLICKI WIEC W BOCHUM.

Polscy robotnicy, rozsypani po Saksonii i Westfalii, doczekać się nie mogą, mimo podjętych licznych starań, stałej opieki duchownej. Dla zapewnienia jej przynajmniej na przyszłe lata, przyszłym pokoleniom, postano-

wili Polacy w Westfalii zebrać fundusz na wykształcenie kilku ubogich polskich chłopców, którzy pragnęliby zostać księżmi i zobowiązali się poświęcić następnie swe trudy biednym rodakom, łaknącym słowa bożego, religijnej pociechy w ojczystym języku. Fundusz ten, nazwany „Świętojózefaciem“, wzrasta powoli; tymczasem zanim wzrośnie do potrzebnej sumy i pożądane owoce przyniesie, polscy wychodźcy próbują, czy innym, łatwiejszym sposobem nie uda im się dojść do celu. Na katolicko-polskim wiecu, obradującym w Bochum 10 lutego, a na który zebrało się przeszło 1000 wychodźców, uchwalono przedłożyć sejmowi pruskiemu następną petycyę:

W czasie, w którym walkę przeciw przewrotowi ze wzmocnionemi siłami podjęto, zatrudnieni w niemieckich okolicach polscy robotnicy katolickiego wyznania, nie myślą także pozostać w tyle i czynią wszystko możliwe, by zwolenników przewrotu utrzymać zdala od siebie, co im się też dotychczas niemal wszędzie szczęśliwie udawało. Pokusy jednak z dnia na dzień są większe, a nasze środki obrony są skromne i zostają coraz więcej uszczuplane. Wyszedłszy ze stron rodzinnych bez wystarczającej znajomości prawd religijnych, które w niezrozumiałym dla nas języku wykładano, obywać się tu musimy bez ojcowskiej opieki kapłanów, władających naszą mową ojczystą. Niektórzy więc Polacy zatracają w Niemczech wiarę św. i idą w szeregi socyalistów, utrudniając nietylko nam walkę przeciw przewrotowi, lecz nierzadko przenosząc dążności przewrotowe także w strony rodzinne.

Zapobiedz temu może jedynie ustanowienie stałych, językiem polskim władających kapłanów katolickich we wszystkich okolicach, gdzie katolicko-polscy robotnicy przebywają, jak to już uczyniono na korzyść znacznie mniejszej liczby ewangelickich Polaków, którzy w samym obwodzie rzeki Ruhry posiadają czterech znających język polski duchownych. Katolickie władze duchowne chętnieby się postarały o zaspokojenie potrzeb religijnych Polaków-katolików, lecz braknie im potrzebnych na to środków.

Wysoki sejm zechce zatem w kosztorysie ministerstwa kultu wyznaczyć odpowiednią sumę, mniej więcej 50.000 marek rocznie, które to pieniądze rozdzielone być powinny pomiędzy biskupów zachodnich, północnych i środkowych Niemiec, w których dyecezyach Polacy-katolicy mieszkają.

Rezolucye przez komitet przygotowane, a przez wiec przyjęte, brzmią:

I. Zważywszy, że bez należytej opieki duchownej Polacy-katolicy w okolicach niemieckich popaśćby musieli w niedowiarstwo i socyalizm;

zważywszy, że księży polskich brak wielki, postanawiają zgromadzeni popierać wszelkiemi siłami „Świętojózafacie“, które zdolnym młodzieńcom polskim daje możność przygotowania się do stanu duchownego.

II. Zważywszy, że coraz więcej rozpowszechnia się mylna wieść, jakoby robotnicy polscy w stronach niemieckich gromadnie popadali w socyalizm, oświadczają zgromadzeni, że socyalizm wśród Polaków-katolików w Westfalii i Nadrenii nie ma zwolenników wcale, a w sąsiednich okolicach bardzo nielicznych. Zarazem wypieramy się wszelkiej łączności z socyalistami, a rząd wzywamy, żeby dał swobodę polskim księżom, polskim towarzystwom i polskiej naszej gazecie *Wiarusowi Polskiemu*, broniącym nas skutecznie przed zakusami socyalistów.

Może przebieg bochumskiego wiecu i uchwalone przezeń rezolucye oświecą rząd berliński i przekonają go, że niema się czego lękać, ani założonego niedawno „Związku Polaków w Niemczech“, ani „Towarzystwa Funduszu Świętojózafacia“; może skłonią ministra spraw wewnętrznych do cofnięcia okólnika, w którym poleca władzom zwracać szczególną baczność na działalność obu tych związków. „Przecież — pisze *Gazeta codzienna*, a za nią bochumski *Wiarus Polski* — p. minister Koeller nie zechce na siebie ściągnąć zarzutu, że paraliżując działalność polskich, antysocyalistycznych towarzystw na obczyźnie, pcha dziesiątki tysięcy naszych rodaków na obczyźnie w objęcia socyalnej demokracyi! Jeżeli gdzie, to w Westfalii, porządek społeczny jest zupełnie podminowany, a utrzymują go tylko katolickie towarzystwa i pisma tak polskie, jak niemieckie“...

KSIĄŻĘ BISKUP PUZYNA W KRAKOWIE.

Do szczęśliwych, a sercu naszemu najbliższych wypadków życia kościelnego, zaliczyć wreszcie możemy obsadzenie osierociałej stolicy biskupów krakowskich. Nie naszą jest rzeczą, jakeśmy to nieraz powiedzieli, opisywać obchody, uroczystości przyjazdu, intronizacyi nowego Arcypa-

sterza — gazety codzienne uczyniły to daleko prędzej i obszerniej, niżby mogło pismo peryodyczne. Zwrócimy tylko uwagę na to, co wszyscy w Krakowie czują — jak skoro książę biskup stanął w naszym grodzie, wszystkie serca wszelkiego rodzaju ludzi, jak gdyby za dotknięciem rószczki czarodziejskiej zwróciły się ku niemu. Jest w tem pewnie skutek sposobu, jakim Arcypasterz bierze się do ludzi i do rzeczy; ale jest głównie dar boży, znak błogosławieństwa bożego, które spływać zaczyna na jego pasterzowanie.

Ks. Jan Badeni.

Niższa Kalifornia.

(Baja California).

Kraina odcięta od świata i zacofana. — Bogactwa jej naturalne i ich rozmaitość. — Usiłowania nieudałe około kolonizacyi tego półwyspu.

Patrząc na mapę kontynentu amerykańskiego, ma się z początku wrażenie, jakoby półwysep Niższej Kalifornii należał do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki i do Kalifornii właściwej. Morze Kalifornijskie, morzem Korteza także zwane, tak zupełnie i dokładnie oddziela tę krainę od Meksyku, że rzeczywiście łatwo można nie dojrzeć wązkiego pasa kraju w pobliżu Tia Juana, stanowiącego jedyne ogniwo łączące Niższą Kalifornię z ziemią Azteków. Hiszpańscy żeglarze odkryli ten półwysep roku 1533, ale od chwili odkrycia aż po rok 1583, w którym OO. Jezuici założyli tam wzdłuż wybrzeża cały szereg misyj, bardzo mało ludzi kraj ten zwiedziło. W r. 1757 wypędzono Jezuitów, a Dominikanie, wysłani z miasta Meksyku, wzięli w posiadanie kraj ten, o którym podówczas mniemano, że jest jedną z wysp kalifornijskich.

Półwysep kalifornijski ma 750 mil ang. długości, a od 30—150 mil szerokości. Dzikie i nagie szczyty gór Sierra Nevada, ciągnących się przez całą jego długość, podnoszą się w niektórych miejscach aż do 5000′ ponad powierzchnię morza. Ojczyzna to kaktusów, które u podnóża gór tworzą formalne lasy i składają się z drzew ogromnej objętości i znacznej wysokości. Nie należąc do Stanów Zjedn. Północnej Ameryki i będąc odciętym prawie zupełnie od ziemi macierzystej (Meksyku), półwysep ten pozostał nietknięty przez emigracyę, która z Kalifornii, należącej do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, stworzyła pań-

stwo wielkie, bogate, potężne, nie potrzebujące zazdrościć nawet najlepiej rządzonym i urządzonym krajom starego świata — nie doznał też żadnej pomocy, ani podniety do rozwoju ze strony Meksyku.

Rozmaite usiłowania, podjęte w ostatnich 20 latach, celem sprowadzenia osadników na ten półwysep, przyczyniły się niemało do lepszego jego poznania i do zawiązania stosunków z całym światem.

Prócz mglistych, z bajkami graniczących wiadomości o połowie pereł w morzu Korteza i o znachodzeniu kóz dzikich w wielkiej obfitości, przeciętny czytelnik nie wiedział więcej o Niższej Kalifornii, jak wie dzisiaj o Nowej Gwinei. Mniemano powszechnie, że Baja California jest pustynią jak Azalia albo Sahara; jej klimat i bogactwa naturalne były zupełnie światu nieznane.

Ziemia składa się przeważnie z rozkładu granitu, a gdy posiada dostateczną ilość wody, wydaje plon setny. Dolna część półwyspu, którą miałem sposobność zwiedzić przed laty niespełna pięcioma, jest krajem pół-tropikalnym, niezmiernie interesującym i żyznym, pokrytym częściowo drzewami i bujną wegetacyą. Dolina San Jose del Cabo otrzymuje potrzebną do nawodniania wodę z największej rzeki półwyspu. Malownicze góry zamykają tę dolinę, a ziemia wydaje tu bawełnę, fasolę, kukurudzę, trzcinę cukrową i t. d. Wielka tu jest rozmaitość owoców podzwrotnikowych, palm i drzew rozmaitego rodzaju, a cała dolina przedstawia się jako jedna masa bujnej niezmiernie roślinności. W dolinie San Jose del Cabo znachodzi się szczególny rodzaj drzewa topolowego, zwany *juerigo*. Nazwa jego botaniczna jest *populus monticola*. Drzewo to wysokie, proste, z jasno-zielonym liściem, ma rdzeń na różowo zabarwiony i posiada wielką wartość, jako materyał do wyrobu mebli. Wielka też jest na tym półwyspie ilość kruszców złoto- i srebrodajnych, wielkie tam pokłady soli, siarki i miedzi a wody morza Kalifornijskiego w toniach swoich kryją skarby nieprzebrane w postaci pereł, perłowej macicy i szyldkretu. Na wyspach morza Kalifornijskiego odkryto niedawnemi czasy znaczne pokłady guana, które wnet na wysoką skalę eksploatować zaczęto.

Przed kilku laty meksykańskie prawa zabraniały Amerykanom i wogóle wszystkim cudzoziemcom nabywać ziemię na własność w pasie 60-milowym od granicy Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki i w pasie trzymilowym od wybrzeża, a że półwysep ten jest bardzo wązki, przeto prawo to znaczyło tyle, co zupełne wykluczenie emigracyi. Oprócz tego indywidualny nabywca znachodził niemałą trudność w uzyskaniu tytułu posiadania i w opisaniu granic posiadłości.

W grudniu r. 1888 kongres meksykański uchwalił prawo zmieniające warunki posiadania ziemi w pobliżu granicy kraju i poczynił wszelkie możliwe ułatwienia, aby zachęcić cudzoziemców do nabywania ziemi i osiedlania się tutaj. W r. 1880 niejaki Charles Nordhoff, który życzył sobie nabyć obszar ziemi w północnej części Niższej Kalifornii, udał się za pośrednictwem bardzo wpływowego Meksykanina z prośbą do rządu meksykańskiego, aby dla niego uczyniono wyjątek i pozwolono mu nabyć tę ziemię; prośbę swą tem motywował, że wzgląd na zdrowie kilku członków jego rodziny domaga się, aby tam z rodziną zamieszkał. Prośby jego jednak nie uwzględniono z powodu, że prawo się temu sprzeciwiało. Fakt ten, jakoteż nacisk z innych stron wywierany, przyczynił się do zmiany ustawy.

Pod względem politycznym półwysep jest terytoryum a nie stanem rzeczypospolitej meksykańskiej; posiada dwie stolice: La Paz na południu i Ensenadę na północy, i dwóch gubernatorów mianowanych przez rządy federalne w taki sam sposób, w jaki bywają mianowani gubernatorowie terytoryów w Stanach Zjednoczonych Półn. Ameryki. Wielka długość półwyspu i niezmierne trudności, z jakiemi podróżowanie w tym kraju jest połączone, podział ten koniecznym uczyniły.

Baja California nie posiada ciała ustawodawczego; urzędnicy rządowi płatni są przez skarb federalny, a z wyjątkiem dochodów celnych, niema tam żadnych podatków, chyba na potrzeby miejscowe. Podczas gdy usiłowania poczynione w celu sprowadzenia osadników do Niższej Kalifornii przyczyniły się do tego, że kraj ten zawiązał bliższe stosunki ze światem, nieudałe zabiegi i usiłowania przyczyniły się do tem gorszej reputacyi półwyspu. Przyczyny tych niepowodzeń szukać należy przedewszystkiem w tem, że usiłowania podjęte około kolonizacyi półwyspu były wyłącznie tylko natury spekulatywnej; jedynym ich celem było zaspokojenie chciwości osobistej jednostek. Ross Brown w sprawozdaniu swojem o półwyspie kalifornijskim opowiada, że w r. 1867 na jedną albo dwie mile od Santa Maria odkrył ruiny pewnej osady. Na tem to miejscu sędzia Hyde z San Francisco proponował zbudować miasto Santa Maria. Projekt ten opierał się na podstawie bardzo problematycznej wartości, a mianowicie na gołosłownem twierdzeniu p. Hyde, że będzie w stanie stworzyć ze Santa Maria ujście dla drogi żelaznej przez góry do Colorado. Dużo pieniędzy pochłonęła ta spekulacya; w nadziei zrobienia w krótkim czasie fortuny, wiele osób dało się namówić do udania się tamże. Przedsiębiorstwo to skończyło się z rozmaitych przyczyn kompletnem ban-

kructwem; główną jednak jego przyczyną była ta okoliczność, że każdy udający się tam, szedł jedynie z ideą spekulowania. Nikt nie próbował zająć się uprawą ziemi, co niezawodnie byłoby się opłaciło stokrotnie i przybyszom przyszłość zapewniło bezpieczną.

Później w r. 1870 Kompania Niższej Kalifornii *(The Lower California Company)* otrzymała od rządu meksykańskiego grunt, obejmujący kawał kraju, rozciągający się naokoło zatoki Magdaleny. Aby zwabić emigrantów, rozgłoszono po świecie, że emigranci nawet bez kapitału znajdą tu od razu sposobność do zarobienia sobie na wygodne życie, jeśli się tylko zajmą zbieraniem rośliny pasorzytnej *orchilla*, używanej do farbowania a rosnącej tu na krzakach w wielkiej ilości. Z orchilli wyrabiają ciemno-czerwoną farbę w rozmaitych delikatnych odcieniach, piękną bardzo w pierwszej chwili, ale nietrwałą. Jest to gęsto-płynny preparat, należący do rzędu amoniakalnego, który się otrzymuje przez macerowanie rośliny w zamkniętem drewnianem naczyniu, napełnionem płynem amoniakalnym. Niska cena rośliny i chciwość Kompanii sprawiły, że ponowny ten eksperyment kolonizacyjny nie udał się znowu. Ostatnie usiłowanie około sprowadzenia emigrantów do Niższej Kalifornii podjęto w r. 1886, wkrótce po mojem do Kalifornii przybyciu z Europy, i to na bardzo wielką skalę, przez międzynarodową Kompanię meksykańską *(The International Company of Mexico)*. Utrzymują, że Kompania ta miała 20 milionów dolarów kapitału i przywilej od rządu meksykańskiego na olbrzymi szmat ziemi. Kompania ta otworzyła bardzo piękną filię w San Diego i wybudowała kilka większych gmachów w Ensenadzie nad zatoką Todos Santos. Interesa Kompanii przez pierwsze trzy lata rozwijały się bardzo pomyślnie. Osadnicy przybywali w znacznej liczbie, bo klimat Ensenady, odległej zaledwie kilka godzin drogi od granic Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, jest rozkoszny, a ziemia, gdy należycie nawodniona, bardzo żyzna. Dogodne warunki ofiarowane osadnikom stanowiły wielką siłę atrakcyjną, a wieści o odkryciu wielkich obszarów złotodajnych w pobliżu Ensenady, sprowadziły tu formalne rzesze łatwowiernego ludu. Aby ludzi tu ściągnąć, puszczono też w świat pogłoskę, że prawa meksykańskie zupełnej uległy zmianie, tak, że Amerykanie będą się tu mogli we wszystko tanio zaopatrywać i żyć wygodnie. Niektóre z tych praw, co prawda, zmianie uległy, ale zmiany te nie są wystarczające. Oprócz tego natura Meksykanów radykalnej uledz będzie musiała zmianie, zanim Baja California dogodną stanie się siedzibą dla *Gringos*, jak w Meksyku cudzoziemców nazywają, bo krajowcy cudzoziemców, szczególnie zaś Amery-

kanów, serdecznie nienawidzą. Trzeba przyznać, że prezydent Diaz i minister jego Gonzales jasną sobie z tego umieli zdać sprawę, że tylko amerykańska energia i kapitał amerykański są jedynie w stanie ożywić i podnieść ten kraj, dlatego też uczynili wszystko, co w danych warunkach uczynić było można, aby ściągnąć emigracyę do napół umarłego Meksyku; ale krajowcy sprzeciwili się wszelkim innowacyom, i choi ciaż wrodzona ich rasie grzeczność i uprzejmość nakazuje im z uśmiechem na ustach witać nowoprzybyłego, nie zawahają się jednak, gdy chwila odpowiednia się nadarzy, zdradziecko z tyłu nań z nożem się rzucić.

Cło od przedmiotów, które dla Amerykanina są niezbędne, jest tak wielkie, że o robieniu tu interesów mowy być nie może. Nowe prawa wyraźnie przepisują, że wszelkie przedmioty i artykuły nieodzownie potrzebne do gospodarstwa domowego, jakoteż wszelkie przyrządy i machiny potrzebne do przemysłu rolniczego lub górniczego kolonistów, mają być wolne od cła. Zaledwie jednak koloniści zaczęli sprowadzać meble do urządzenia wybudowanych domostw potrzebne, nałożono natychmiast na nie cło wysokie, tłumacząc ustawę w ten sposób, że uwolnionemi od cła w tym kraju są tylko rzeczywiste potrzeby do życia. W kilku przypadkach mieszkańcy Ensenady złożyli całe wagony mebli na składzie w San Diego w Stanach Zjed. Pół. Ameryki, woląc płacić składowe, niż cło wygórowane.

Na dwadzieścia mil na północ od La Paz i w tejże samej odległości na południe od Guaymas, znajduje się wyspa Carmen. Na wyspie tej jest wielkie jezioro słone, kształtu owalnego, otoczone wzgórzami znacznej wysokości w formie krateru. Sól znachodzi się tu w warstwach. Warstwa wierzchnia ma grubości sześć cali; inna, w głębokości stóp czternastu, ma grubości cali czternaście. Klimat jest tu niezmiernie gorący, a ludność wyspy składa się z około 50 głów, w połowie z Indyan, a w połowie z Meksykanów. Z wyjątkiem wszędzie obecnych kaktusów, wyspa ta pozbawiona jest prawie zupełnie roślinności. Około pięć mil na południowy zachód od jeziora słonego, znajduje się tu źródło słodkiej wody. OO. Jezuici uważali posiadanie tego jeziora słonego za tak cenny nabytek, że roku 1730 wnieśli do wicekróla podanie, aby im nadano to jezioro na własność wieczystą, obiecując w zamian za ten przywilej utrzymywać bezpłatnie misye kalifornijskie.

Wyspa Tiburon, na dwadzieścia mil długa i dziesięć mil szeroka, jest w czasie większej części lata zajęta przez Indyan szczepu Ceres. Chaty ich i obozowiska widzieć można na wschodniem wybrzeżu wy-

spy. Indyanie ci bardzo są nieprzyjaźni i witają gradem strzał jadowitych każdego, ktoby się odważył tu wylądować. Łodzie ich na szczególniejszą zasługują uwagę. Zbudowane są z długiej trzciny wiązanej powrozami nakształt faszyn. Trzy takie snopy trzcinowe, złączone z sobą nakształt tratwy, są w stanie utrzymać na wodzie jednego albo dwóch ludzi. Indyanie klęczą na tych tratewkach trzcinowych i tak wiosłują. Dawniej nabyć było można z łatwością taki przyrząd do lokomocyi wodnej za stare ubranie, albo też za budelkę *whisky*, ale Indyanie wnet poznali się na tem, że statki ich, jako osobliwości i okazy stopnia kultury, mają znaczną wartość i bardzo wysokie obecnie na nie ceny nakładają.

Biały obelisk na 20 stóp wysoki, spoczywający na szerokiej podstawie, a wzniesiony na nizkiem płaskowzgórzu w pobliżu brzegu skalistej przepaści, oznacza punkt, od którego wytyczono linię graniczną pomiędzy Stanami Zjednoczonemi Północnej Ameryki a Niższą Kalifornią. I widzieć można było biały ten słup graniczny doskonale z pokładu statków morskich, dopóki nie uległ ruinie przez ręce amatorów pamiątek.

Ensenada, pierwszy port meksykański, do którego statki handlem nadbrzeżnym się trudniące, po opuszczeniu San Diego, zawijają, była, zanim międzynarodowa kompania meksykańska kolonizacyę północnej części półwyspu rozpoczęła, maleńką wioską, składającą się zaledwie z tuzina chat z gliny ulepionych, ciągnących się wzdłuż pagórków otaczających zatokę Todos Santos. Rok 1887, na który przypada rozpoczęcie działalności rzeczonej kompanii kolonizacyjnej, sprowadził zmianę zadziwiającą. Pieniądze amerykańskie i przedsiębiorczość amerykańska zbudowały tu miasto nowe i napełniło je osadnikami z poza granic kraju, którzy się spodziewali zrobić fortunę w lat kilka. Ludziom tym zdawało się, że świat winien im nietylko dać utrzymanie, ale i majątek. Kilku z nich nadzieje nie zawiodły, ale reszta napróżno dotąd wyczekuje nadejścia milionów.

Obecnie biura kompanii kolonizacyjnej przeniesiono do San Quentin, gdzie są wielkie pokłady soli, a Ensenada przedstawia widok miejscowości, wlokącej żywot bez jutra.

Na południowy zachód od Ensenady, około 120 mil od wybrzeża, leży wyspa Guadalupe, należąca także do posiadłości kompanii międzynarodowej. Wyspa ta, na 15 mil długa, przedstawia się wspaniale od morza ze swemi wysokiemi, dumnie w górę strzelającemi skałami, do-

chodzącemi miejscami do 2500 stóp wysokości. Skały te są kompletnie nagie, gdzieniegdzie jakoby od kruszcu miedzi na zielono zabarwione.

Sosny pokrywają wierzchołek góry, poza którym ma się znajdować obszerny szmat ziemi, dobrze zalesiony, o gruncie podobno bardzo urodzajnym. W jednem tylko miejscu znajduje się tu przystań maleńka, stworzona przez wąwóz, otwierający się ku morzu. W gardzieli tej górskiej stoi załogą oddział żołnierzy meksykańskich z rodzinami, którego zadaniem jest chronić psy morskie (foki) i kozy od kłusowników morskich. Życie ich niezmiernie jest proste. Ściany ich domostw zbudowane są z luźnie poukładanych kamieni, a pokrycie dachu stanowią liście palmy wachlarzowej, przyniesione z gór na 7 mil odległych. Ośm dni czasu kosztuje wyprawa po te liście w góry i sprowadzenie ich na dół nad brzeg morza.

Żołnierze z rodzinami żywią się wyłącznie koziem mięsem i mlekiem, plackami z kukurudzy *(tortillas)*, podobnemi do podpłomyków owsianych naszych górali tatrzańskich i huculów, i kawą, a sypiają na gołej ziemi zawinięci w koce.

Miasteczko Magdalena nad zatoką tego samego imienia, składa się zaledwie z 50 domów i szałasów, pokrytych liśćmi palmowemi, i dwóch starych cmentarzy. Połów żółwi zwykłych i szlachetnego ich gatunku, którego pancerze dostarczają materyału do tak kosztownego i poszukiwanego szyldkretu, jakoteż zbieranie *orchilli*, stanowi główne źródło utrzymania dla mieszkańców.

W tych to stronach znajduje się roślina *Damiana*, posiadająca znakomite lekarskie własności, a pewna kompania francuska czy też amerykańska dzierży w ręku swoim monopol zbierania tej rośliny.

Przylądek San Lucas, ostatnia południowa kończyna *peinsuli*, jest to miasteczko liczące około 150 mieszkańców. Brzegu strzegą wydmy piaszczyste. Pagórki zielenią się roślinnością, a majestatyczna palma kokosowa nadaje wybrzeżu koloryt okolicy podzwrotnikowej. O założycielu najzamożniejszej i najdystyngowańszej z rodzin tutejszych, opowiadają następującą historyę romantyczną.

Niejakiś Richie, młody i przystojny marynarz na pokładzie angielskiego statku wojennego, sprzykrzywszy sobie rygor wojskowy i służbę marynarską, dezerterował z okrętu, gdy ten w pobliżu przylądka San Lucas kotwicę zarzucił. Osiadłszy pośród mieszkańców tutejszych, ożenił się z czarnooką Meksykanką. W miarę jak rodzina jego się powiększała, pomnażał się i jego majątek, dzięki racyonalnej hodowli bydła, będącej głównem zajęciem tutejszych mieszkańców.

Niektóre z kobiet tutejszych bardzo są ładne, ale ich piękność prędko przekwita; w średnim wieku lub późniejszym bardzo stają się brzydkie. Dziewczęta mają nadzwyczaj małe ręce i nogi, i ładną figurę. Wybornie zażywać umieją koni. Trzeba wiedzieć, że na półwyspie Kalifornii, wozy należą do przedmiotów prawie zupełnie nieznanych i że jedyna lokomocya odbywa się konno. Niepodobna sobie nic piękniejszego wyobrazić nad te dziewczęta-amazonki kalifornijskie, gdy te na dzielnych koniach w otoczeniu młodzieży, pod wieczór wyjeżdżają, aby użyć konnej przejażdżki, jedynej przyjemności, jaką tu mają.

Szczególniejsze upodobanie okazuje płeć piękna tego półwyspu do bielidła i różu. Jasno oliwkowe twarzyczki powlekają warstwą bielidła, które następnie wedle fantazyi różem nakładają. Ale zwyczaj ten nietylko w płci pięknej Niższej Kalifornii jest w użyciu. Kosmetyki znajdziemy tak u najdzikszych jak u najbardziej ucywilizowanych narodów, ale są różnice w kosmetykach, jak różnice w cywilizacyi.

Od Przylądka św. Łukasza, najsławniejszego promontorium na zachodniem Ameryki wybrzeżu, statek zwraca się na północny wschód ku wielkiej bramie Kalifornijskiego morza i zawija do San José de Cabo. Miejscowość ta nie posiada portu bezpiecznego na wybrzeżu właściwego Meksyku, ale tylko przystań otwartą, jak Maratlan, stolica Sinaloy. Góry pokryte są drzewami i zielonością, a dolina posiada obfitość świeżej wody w strumieniu. Góra Rafael majestatycznie wznosi się na 5000 stóp ponad morza powierzchnię, a pomiędzy brzegiem morskim a miastem rozciągają się na dwie i pół mili moczary słone, Salatea zwane. Ludność miasta wynosi 1000—1500 głów.

Kopalnie srebra San Antonio i połów rekinów, z których olej wytapiają (olej z rekinów używany jest w kopalniach Niższej Kalifornii i Meksyku do oświetlania), stanowią obok rolnictwa główne źródła zarobku i utrzymania dla ludności tutejszej. Palma Christi albo orzeszek rycynusowy rośnie tu dziko i nadzwyczaj bujnie, kwitnąc wiecznie i wiecznie owocem się okrywając. Z punktu tego widać miasteczko Loreto, dawną obu Kalifornij stolicę, gdzie pierwszy kościół misyonarzy roku 1699 stanął.

Miejscowość ta nie była szczęśliwie wybrana na założenie miasta, gdyż od czasu do czasu woda podmywała je i zabierała, tak że prócz kościoła i okolicznych budynków, niewiele tam ze starego pozostało miasta. Kościół zawiera kilka cennych obrazów i pamiątek hiszpańskiego pochodzenia, a ołtarz i chrzcielnica są z czystego alabastru.

Muleje, dawniejsza Misya św. Rozalii de Muleje, leży ponad stru-

mieniem świeżej wody. Mała ta mieścina nie liczy więcej nad 500—600 mieszkańców. Kapitan naszego statku, Mittelstädt, pochodzący z Ostrowa w naszem Księstwie, opowiadał mi, że ludność tej miejscowości posiada więcej energii i większego ducha przedsiębiorczości aniżeli reszta mieszkańców półwyspu.

Santa Rosalia ma przystań otwartą (nie posiada portu ochronnego), i jest miasteczkiem górniczem z pięknemi dokami i koleją żelazną, łączącą osadę z kopalniami na 10 mil odległemi. Rotszyldowie włożyli tu około 4 miliony dolarów w kopalnie miedzi, które eksploatują francuscy i angielscy emigranci. Urzędnicy kopalni i górnicy mieszkają w ładnych drewnianych domkach, malowanych na niebiesko, różowo i biało, tak że miasteczko to wygląda na francuskie miejsce kąpielowe w meksykańskiej oprawie z kaktusów, palm i innej podzwrotnikowej wegetacyi. Niedaleko stąd, znajdują się inne, bardzo bogate kopalnie miedzi, eksploatowane przez John'a L. Boyd'a.

Niezmiernie ciekawem i interesującem zjawiskiem tej części morza Kalifornijskiego jest znachodzenie obszernych bardzo wodnych obszarów na różowo zabarwionych. Zjawisko to nie było obcem i dla najpierwszych żeglarzy hiszpańskich, którzy się na to morze zapuścili i którzy wskutek tego morzu Kalifornijskiemu dali nazwę *El Mar Vermejo*, morza Szkarłatnego albo Koszenilowego.

Zjawisko to wywołuje niezliczona ilość wymoczków, znajdujących się w pewnej głębokości pod powierzchnią wody. Przy ujściu morza Kalifornijskiego do Oceanu podobne zjawisko, ale o kolorze mleczno-różowym, wywołuje pospolita *Nocticula Miliaris*, pływająca na powierzchni wody.

Jedną z roślin, zwracających powszechnie na siebie uwagę przybysza do Baja Californii, jest *Siempre viva* (roślina wiecznie żyjąca). Znalazłem ją także w górach Sierra Madre del Pacifico we właściwym Meksyku. Należy do famili, mchów. Roślina ta w stanie suchym wielkości jest kurzego jaja, a liście jej wtedy skurczone są i zwinięte ku środkowi rośliny. Maleńkiemi korzonkami, delikatnemi jak włosy, czepia się skał, rośnie w ich szczelinach, a wystawiona na długie i straszne posuchy, posiada nadzwyczajny przymiot przetrwania choćby najstraszniejszych upałów. Po deszczu życie zaczyna wracać tej zeschłej roślinie, otwiera się i zaczyna się zielenieć, ale gdy czas posuchy nastaje, brunatnieje, kurczy się i zamiera pozornie. W czasie pory deszczowej łatwo ją znaleść, w czasie posuchy zaś będąc koloru skał, między któremi żyje, z trudnością tylko odszukać się daje. Suche, brunatne,

martwe te główki, gdy włożone do wazonu z wodą, natychmiast do życia powracają, zieloną sukienkę na się przywdziewają, a trzymane w wilgoci, zielonemi przez lata całe pozostają. Woda odżywi je, choćby niewiedzieć jak stare i suche były.

Modest Maryański.

Słowo o przedstawieniu „Lizystraty“ w Krakowie [1].

Nie jest dobrze rozmazywać skandale — ale prostować fałsze, które sumienie publiczne wypaczają, jest obywatelskim a osobliwie redaktorskim obowiązkiem; i wszystkie inne względy, rzeczowe czy osobiste, temu obowiązkowi ustąpić powinny.

Dlatego, choć z bólem serca, piszemy o Lizystracie. Reasumujmy fakta.

Grecy starożytni mieli pojęcia moralne wolniejsze od naszych, a jednak komika swego, Arystofanesa, uważali za nazbyt wyuzdanego [2]. Między wszystkiemi zaś utworami Arystofanesa Lizystrata uchodziła zawsze za najbezwstydniejszy. Nawet historycy literatury greckiej w dziełach naukowych wymawiają się od zdania sprawy z jej treści; a ci, którzy o niej wspominają, piętnują zwykle jej niemoralność ostatniemi słowy [3]. Jeżeli więc wogóle coś z Arystofanesa miało się na nowożytnej scenie pojawić, to wszystkiego innego można się było raczej spodziewać, niż tej brzydoty. — Tymczasem ta właśnie sztuka doczekała się w rozpasanej dzisiaj Francyi tłumacza, który ją do paryskiej sceny przystosował... a wnet potem — na Boga! czy i Polska miałaby w tej mierze być do Francyi podobną? — polskiego znalazła tłumacza, który

[1] Artykuł ten miał być drukowany już w poprzednim numerze *Przeglądu,* lecz dopiero po wyjściu tego n-ru miałem sposobność przeczytać rękopis polskiego tłumaczenia Lizystraty, poczem dopiero mogłem wziąść za pióro.

[2] Plutarch (Σύγκρισις Ἀριστοφάνους καὶ Μενάνδρου), Dion Chrysostomus (*Or.* 16, 9) stawiają Arystofanesa niżej od Menandra, z powodu jego nieprzyzwoitości, chociaż go o wiele przewyższa talentem.

[3] Prof. monachijski Wilhelm Christ (ateista) tak się o tej komedyi wyraża w swym „Podręczniku historyi literatury greckiej“: „Die lüsternen Einfälle und unflätigen Witze des Stückes waren nur im Theater zu Athen denkbar, wo die Männer unter sich waren und auch die Frauenrollen von Männern gespielt wurden“. — Podobny sąd wydaje Karol Sittl w swej „Historyi liter. gr.“. — Hegel w swej „Estetyce“ mówi: „Ohne ihn gelesen zu haben, lässt sich kaum wissen, wie dem Menschen sauwohl sein kann“.

ją dla naszej publiczności, w narodowym relikwiarzu naszym, Krakowie, wystawił. To się niestety stało!

Przygotowania były wielkie, scenerya kosztowna w Wiedniu zamówiona, ubiory podobno świetne; sam też dwuznaczny rozgłos klasycznej sztuki zaciekawiał. Mówiono, dla ośmielenia sumień, że tłumacz polski wypuścił drastyczniejsze ustępy, pozasłaniał co trzeba figowym liściem, umaił wszystko politycznemi alluzyami do dzisiejszych stosunków. Z innej strony opowiadano sobie, że nawet aktorki przy próbach z płaczem prosiły, żeby ich nie zmuszano do wygłaszania takich obscenów. Te wszystkie okoliczności razem mogły zapewnić sztuce wielki udział publiczności.

Mimo wszystko, mnóstwo szanujących się osób, zwykle uczęszczających do teatru, nie przyszło na Lizystratę. Z tych, które przyszły, wiele (nietylko pań ale i mężczyzn) wyszło z oburzeniem w ciągu pierwszego aktu. Reszta siedziała z widocznem zaambarasowaniem. Wizyty, które się zwykle w czasie przedstawienia z loży do loży oddają, tym razem nie miały wcale miejsca. Parter był oczywiście pełny; ale któż nie wie, jak łatwo przy tego rodzaju rozgłosie zapełnić parter? Możemy nawet zapewnić przedsiębiorców tej sztuki, że była na niej pewna liczba 14-to i 15-letnich panienek szkolnych.

Po pierwszem zaraz przedstawieniu oburzenie było powszechne. Z trzech miejscowych gazet, dwie bardzo surowo potępiły tę komedyę, trzecia w pierwszej chwili wyraziła się z pewną nieśmiałością, w której czuć było, że boi się zganić a nie chce pochwalić. Ale krytyki gazet były niczem w porównaniu z oburzeniem, które wyrażało społeczeństwo wszelkich warstw i odcieni. Słyszeliśmy wytrawnego krytyka sztuki, określającego swój sąd w jednem słowie: „Jest to obrzydliwość". Słyszeliśmy zdanie poważnych osób: że na takie przedstawienie chyba tylko baletniczki patrzeć mogą. Słyszeliśmy matki-Polki z dalekich dzielnic, gorzko się żalące: Przywozimy do Krakowa synów na czas karnawału, ażeby odetchnęli zdrowem, polskiem powietrzem po miazmach, jakie wziewają w Rosyi; przywozimy córki, ażeby się przypatrzyły polskiej sztuce, kształciły serca — a oto na co nas narażacie! Najmniej pod względem *decorum* wymagający mężczyźni mówili, że przynajmniej żon i córek na tę sztukęby nie prowadzili.

Wobec tego powszechnego, głębokiego wzburzenia, co robią ci, którzy tę sztukę na scenę wprowadzili? Nie tracąc czasu, wymyśliwają zręczną dla zamaskowania swego błędu, ale zgubną taktykę: piszą recenzye, artykuły wychwalające bez miary sztukę, a wszystkie gorsze-

nia się i krytyki przypisują politycznej i partyjnej zawiści „demagogów“ do „znakomitego publicysty konserwatywnego“, który Lizystratę wystawił. — I żeby tej strategicznej fincie nadać pozór prawdopodobieństwa, umieszczają te artykuły w trzech głównych gazetach konserwatywnych kraju. Artykuły te, tak są do siebie podobne układem i tokiem myśli, że widocznie, jeśli nie z jednego pióra, to z jednej pochodzą kuźni. Z szacunku zaś, jaki mam dla tych trzech redakcyj, przypuszczam, że nie inaczej je umieściły, jak pod naciskiem.

Nadomiar w *Neue freie Presse* z 7-go lutego pojawił się artykuł o Lizystracie, te same powtarzający zdania i pewnie krewniak tamtych artykułów. Dodano w nim tylko małe przysmaki, wedle gustu *Neue freie:* i tak, powiedziane tam jest, że przeciwko tej sztuce wystąpili w Krakowie Jezuici, „którzy w tym kraju na daleko niższym stoją umysłowym poziomie, niż gdziekolwiek indziej“ *(sic).*

To posługiwanie się gazetą, jak *Neue freie,* w tem, co się uważa za interes partyi konserwatywnej, jest do zapamiętania. — Lecz ostatecznie mało nas *Neue freie* obchodzi; co nas obchodzi, co nas boli, to, że w naszych konserwatywnych pismach pojawiły się artykuły, zaprzeczające niemoralności Lizystraty i stłumiające słuszne wzburzenie sumienia publicznego. Wobec takich głosów (które są może tylko jednym głosem, ale publiczność o tem nie wie), poczciwi ludzie muszą sobie zadawać pytanie: czyśmy się nie pomylili, oburzając się na to przedstawienie? Może nie jesteśmy dosyć artystycznie wykształceni, aby o tem sądzić? Czyśmy się nie dali przypadkiem bezwiednie uwieść demagogom? Tem bardziej takie wątpliwości mogą mieć ci, którzy nie mieli szczęścia być na Lizystracie, a z żadnej gazety dowiedzieć się nie mogą o jej treści. — Otóż to właśnie naginanie, wypaczanie sumienia publicznego, niby w interesie partyi a właściwie w interesie jednostki, zmusiło nas do wzięcia za pióro w tej wstrętnej sprawie, i to zmusza nas do zaprotestowania: Nie! to oburzenie przeciwko Lizystracie nie było sztucznem, nie było partyjnem, ale było najszczerszym głosem społeczeństwa. Czy który ze sprawozdawców partyi przeciwnej nie śmiał się w kułak na myśl, że politycznego przeciwnika schłoszcze — tego nie wiem, to bardzo być może; ale to nie zmienia faktu, że potępiające artykuły gazet spotkały się tym razem z werdyktem zmysłu moralnego publiczności.

Jakżeż można było nawet przypuścić, że społeczeństwo nasze polskie nie oburzy się na rzecz tak moralnie szkaradną, że nawet starożytność uważała ją za taką? — Mówią, że polski tłumacz pozawieszał

listki figowe, że powsadzał polityczne koncepta. Nie wątpimy, że chciał istotnie pozasłaniać wszystko co trzeba; ale grubo się pomylił myśląc, że tego dokonał. Sama treść i główna myśl tej komedyi jest tak bezwstydna i obrzydliwa, że nawet te gazety, które przedstawienia broniły, treści tej ani jednem słowem wypowiedzieć nie śmiały. A na tle tej kanwy igrają najbrzydsze popędy, najgrubsze żarty, alluzye, dwuznaczniki, od początku do końca. Jeżeli się coś z tego zasłoni, to zarówno przez zasłonę przezierać musi — chybaby się tyle zasłoniło, żeby się wcale nie rozumiało, o co idzie w komedyi. Toby było najlepiej, ale wtedyby już komedyi nie było. Mówią — i ktoś w *Zagłobie* podkreślił to tłusto — że klasyczna nagość nie jest erotyczną. Rozróżnijmy! jest wiele rzeźb z charakterem czysto idealnym — zgoda najzupełniejsza; lecz oprócz tego, pozostawiła nam ta sama starożytność dzieła arcylubieżne i rozpustne. Takie po muzeach (neapolitańskiem, watykańskiem i innych) zamykają w osobnych gabinetach, aby nie były dostępne publiczności, ale tylko ludziom z celami naukowemi. Otóż Lizystrata jest płodem klasycznym tej samej kategoryi, co owe rzeźby w osobnych gabinetach zamykane — wolno ją studyować filologom, ale nie wolno, bez uchybienia moralności publicznej, wystawiać jej w teatrze.

A czy nie zapobiegają choć po części złemu sławne owe koncepta i alluzye, które pododawał tłumacz? Mój Boże! kiedy te „polityczne“ koncepta występują w prasie z pretensyą, jakoby one same ściągnęły tę burzę na Lizystratę — to przypominają mi muchę w bajce Lafontaina: *Le coche et la mouche*. Są one dosyć niewinne, a pośród reszty akcyi komedyi, przechodzą niepostrzeżenie. Zresztą polityczne morały w ustach Lizystraty są niesmaczne, a śmiechy z politycznych przeciwników, pomieszane z lubieżnemi żartami, źle dźwięczą.

Mówią nam jeszcze obrońcy, że komedya ta nie jest właściwie niemoralna, tylko bezwstydna. — Najprzód to jest nieprawdą: nietylko żony Ateńczyków wchodzą tu w grę, ale też inne istoty, które napróżno tłumacz przezwał Beotkami, skoro zostawił im rolę heter, i do ich domu prowadzi publiczność w III. akcie. Ale choćby i tak było, żeby ta sztuka była li tylko bezwstydną, jednak wystawienie takiego bezwstydu na widok publiczny, jest czynem niemoralnym i czynem demoralizującym.

Słyszałem znów kogoś, co przyznając najzupełniej niemoralność tej komedyi, mówił, że każdy z historyi literatury powinien wiedzieć czem jest Lizystrata i nie prowadzić na nią żony i córki; nie teatr

więc winować należy jeżeli się zrobił skandal, ale głupotę publiczności. Ależ doprawdy — przypuściwszy nawet, że każdy mąż dosyć na to historyi literatury posiada — pytam: czy teatr krakowski może się wypełnić samymi mężczyznami i to literatami? czy może pokryć swe wydatki i dać 7 przedstawień tej sztuki, nie spekulując na ten miejski tłum, cisnący się zwykle na „zaciekawiające“ widowiska, bez różnicy wieku i płci?

Mówią wreszcie, że jeszcze gorsze sztuki przedstawiają na scenie krakowskiej. Piękna mi obrona! Byłoby to strasznem potępieniem teatru krakowskiego przez tych, którzy najwięcej interesowani są w bronieniu go! Byłoby to racyą dostateczną, aby nietylko odmówić mu subwencyi krajowej, ale zamknąć go, opieczętować „ze względów sanitarnych!“ Zresztą chcę wierzyć, że się to tylko z potrzeby obrony wypowiedziało i że, jak od kompetentnych znawców teatru słyszałem, żadna z grywanych tu sztuk nie dorównała tej szkaradzie — choć wiele ich na surowe napiętnowanie zasłużyło.

Żadnej więc niema wymówki. Zrobiło się bardzo źle, wystawiając na scenę Lizystratę, bo się sprawiło zgorszenie. Tylko skokainowanie zmysłu moralnego może tak wielki błąd wytłumaczyć. Zrobiło się jeszcze dużo gorzej, broniąc tego błędu w prasie konserwatywnej, bo to jest nietylko zgorszeniem, ale wykrzywieniem sumień. Najgorzej, a przynajmniej najniemądrzejby się zrobiło, gdyby się ten błąd jednego przyjęło, jawnie czy milcząco, na konto partyi konserwatywnej (która istotnie nic wspólnego z tem nie ma). Tego jednego wobec opinii kraju jużby się nie zasłoniło, jakkolwiekby się z nim i z jego Lizystratą solidaryzowano, a ściągnęłoby się na partyę, ba, nawet na jej zasady (choć one przecież Lizystraty nie zrodziły!) głębokie dusz odwrócenie.

Ks. M. Morawski.

Korespondencya Redakcyi.

W. księdzu K. Rychlikowi w Wiedniu. Prosimy o podanie swego adresu.

Druk ukończony 27 lutego 1895 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronica.

Ruch ludowy w Galicyi. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 1

Listy z podróży po Azyi. (Z Japonii i Korei. Dok.). Przez *księcia Pawła Sapiehę* 37

Doloras i Dolores — Campoamor i Ballart. Z literatury hiszpańskiej. Przez *T. W.* 55 261

Indukcya u Arystotelesa i Perypatetyków. (Dok.). Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 72

Walka o tron krakowski w roku 1228. Przez *d-ra K. Krotoskiego* 94 244 345

Dziedziczność i ewolucya. Komórka i zapłodnienie. Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 161 401

Piąty wieczór nad Lemanem. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 198

Nowe odkrycia w katakumbie św. Pryscylli. Przez *ks. d-ra Józefa Bilczewskiego* 226 378

Szkolnictwo ludowe na Żmudzi. Przez *Jana Witorta* . 321

Pierwsza ofiara Murawiewa. Opowiadanie naocznego świadka. Przez *ks. Władysława Czencza T. J.* . . 368

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica.

Z piśmiennictwa krajowego:

Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Napisał ks. Karol Fischer, proboszcz w Dobrzechowie. Tom II. obejmujący czas od Niedzieli I. Postu do Zielonych Świątek. *(Ks. H. P.)*. 112

Wykład Liturgii Kościoła katolickiego. Napisał ks. Antoni Nowowiejski, magister św. Teologii, prof. Seminaryum dyecezalnego w Płocku. Tom I., poszyt pierwszy 114

Rozmyślania na wszystkie dni roku, do użytku kapłanów i osób świeckich. Przez ks. Hamon'a. Tłumaczenie z francuskiego. Tom I. Od 1. Niedzieli Adwentu do 1. Niedzieli Postu. Rozmyślania dodatkowe o Świętych. *(Ks. H. P.)*. . 115

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. w. Przez Wilh. Bogusławskiego. Tom III. *(Rusin z Pokucia)* 116

Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków. Ks. Jan Piotrowski. Wydał A. Czuczyński. *(A. Szarłowski)* 122

O książkach elementarnych na szkoły wojewódzkie z czasów Komisyi edukacyi narodowej. Przez d-ra Antoniego Karbowiaka. *(Dr. A. M. Kurpiel)* 125

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1893/4 . . 128

Samobójstwo. Studyum krytyczne. Dr. Eugeniusz Rehfisch. Przekład Wiktora D. *(W. J. Struszkiewicz)* 128

Wydawnictwa „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“ 279

Z najnowszych powieści polskich. *(Ks. Jan Badeni T. J.)*. . . 281

Socyalizm w Galicyi. Przedruk z *Gazety Kościelnej*. *(Ks. H. J.)*. 296

Życie katolickie. Część II. zawierająca regulamin życia czyli ogólne zasady postępowania. Ułożyła Cecylia Plater-Zyberkówna. *(Ks. M. Morawski T. J.)*. 427

Nowy Brewiarzyk Tercyarski, ułożony przez O. L. K. Edycya piąta powiększona. *(Ks. H. P.)*. 432

Studenci Polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI. i XVII. wieku. Napisał Mathias Bersohn. Część II. *(W. J. Struszkiewicz)* 433

Nicolai Hussoviani Carmina. Edidit, praefatione instruit, adnotationibus illustravit Joannes Pelczar. *(Wł. Rejowicz T. J.)*. 435

Na schyłku wieku. Studyum. Przez Teodora Jeske-Choińskiego. 438

Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego w latach 1893/4. I. Szkoły ludowe i seminarya. II. Szkoły średnie (Gimnazya i szkoły realne). *(L. M. Dziama)* 440

Charitas. Księga zbiorowa, wydana na rzecz rz.-kat. Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. *(Wł. R.)*. 444

Na Lagunach. Przez Stan. Bełzę 445

Dusze w odlocie. Z pamiętnika młodego lekarza. Nowela, z ilustracyami E. Lindemana. Maryan Gawalewicz. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 446

Biedni ludzie. Opowiadanie z większego miasta. Napisał Józef Hopcas. *(R.)* 447

Stronica.

Z piśmiennictwa zagranicznego:

APOLOGIE DES CHRISTENTHUMS. Von Fr. Albert Maria Weiss O. Pr. Dritte Auflage. Erster Band. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)*. 129

INSTITUTIONES THEOLOGICAE DOGMATICAE SPECIALIS. R-mi P. Alberti a Bulsano, recognitae... a P. Gottfried a Grann Ord. Cap. T. I. De Deo in se spectato, de Deo Creatore et Redemptore. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)*. 131

LE ROSAIRE MÉDITÉ D'APRÈS LE TEXTE DE L'ÉVANGILE ET LES ENSEIGNEMENTS DE LÉON XIII. Par L.-J. Lalieu, Docteur en théologie et Licencié en Droit Canon. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)*. 132

BITWA POD WISEM. Napisał i ułożył Piotr Kuničić. (Viški boj. Napisao i priredio Petar Kuničić). *(Tytus Sopodźko)* . . . 133

LES PÈRES DE L'ÉGLISE DES TROIS PREMIERS SIÈCLES. Portraits et notices, extraits du cours d'éloquence Sacrée de Mgr. Freppel. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)*. 298

INSTITUTIONES PROPAEDEUTICAE AD SACRAM THEOLOGIAM. Auctore Christiano Pesch S. J. *(X...)*. 298

THREE LECTURES ON THE VEDÂNTA PHILOSOPHY, by F. Max Müller. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)*. 300

POD JARZMEM. Powieść z życia Bułgarów w przededniu oswobodzenia. Przez Jana Wazowa. Z 25 ilustr. w tekście, wykonanemi przez Piotrowskiego, Oberbauera i Mrkwiczka. (Подъ Иго-то, романъ изъ живота на Българи-тѣ въ прѣдвечерие-то на освобождение-то. Отъ Ивана Вазовъ. Съ 25 илюсрацийтъ текста изработени отъ Пиотровски, Обербауера и Мърквичка). *(Tytus Sopodźko)* 301

DAS PROBLEM DES LEIDENS IN DER MORAL. Eine akademische Antrittsrede von Dr. Paul Keppler, o. ö. Professor der Moraltheologie an der theol. Facultät in Freiburg i. B. *(Ks. dr. C. Wądolny)* 448

NATURPHILOSOPHIE. Von Dr. Constantin Gutberlet. Zweite sehr vermehrte und verbesserte Auflage. *(J. Nuckowski T. J.)*. 450

LES OUVRIÈRES DE L'AIGUILLE À PARIS. Par M. Charles Benoist. *(M***)* 453

SZKICE Z ŻYCIA MAŁEGO NADMORSKIEGO MIASTECZKA. Skreślił J. Drażenowicz. (Crtice iz primorskoga malogradskoga života. Napisao ih J. Draženović). *(T. Sopodźko)* 455

Z pism czasowych:

ŚWIAT KOBIECY z dodatkiem GOSPODYNI. Czasopismo redagowane przez kobiety dla pań i panien. Redaktorka Teodora G. Noewa. Rocznik II. (Женский Свѣтъ съ притурка „Домакиня“, периодическо списание, редактирано отъ жени за госпожи и госпожици. Директорка Теодора Г. Ноева. Година II.). *(Tytus Sopodźko)* 135

Stronica.

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Konferencye wschodnie. — Apostolskie konstytucye o obrządkach wschodnich. — Centrum a książę Hohenlohe. — Po sankcyi antykościelnych praw węgierskich. — Portugalskie Centrum. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 139

Najświętsza Marya Panna z Guadalupe w Meksyku. (Nuestra Señora de Guadalupe). Przez *Modesta Maryańskiego* . . . 147

Listy australskie polskiego emigranta. (Dokończenie) . . . 155

LUTY.

Sprawy Kościoła: Wiedeńskie rozprawy o spoczynku niedzielnym. — Po ustąpieniu Wekerlego. — List węgierskich biskupów. — Katolicy a ewangelicy na Szląsku austryackim. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 303

Z przechadzek po Wiedniu: Wiedeńskie kościoły. — Polskie pamiątki. Przez *ks. K. Rychlika* 314

„Warszawskie, prawosławne bractwo Św. Trójcy". Przez *ks. H. P.* 318

Korespondencya Redakcyi 320

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Dwa dokumenty papieskie. — Węgierska „partya ludowa". — Wybory w Csakathurn. — Program francuskich socyalistów. — Polsko-katolicki wiec w Bochum. — Książę biskup Puzyna w Krakowie. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 457

Niższa Kalifornia (Baja California): Kraina odcięta od świata i zacofana. — Bogactwa jej naturalne i ich rozmaitość. — Usiłowania nieudałe około kolonizacyi tego półwyspu. Przez *Modesta Maryańskiego* 467

Słowo o przedstawieniu „Lizystraty" w Krakowie. Przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 476

Korespondencya Redakcyi 480

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.